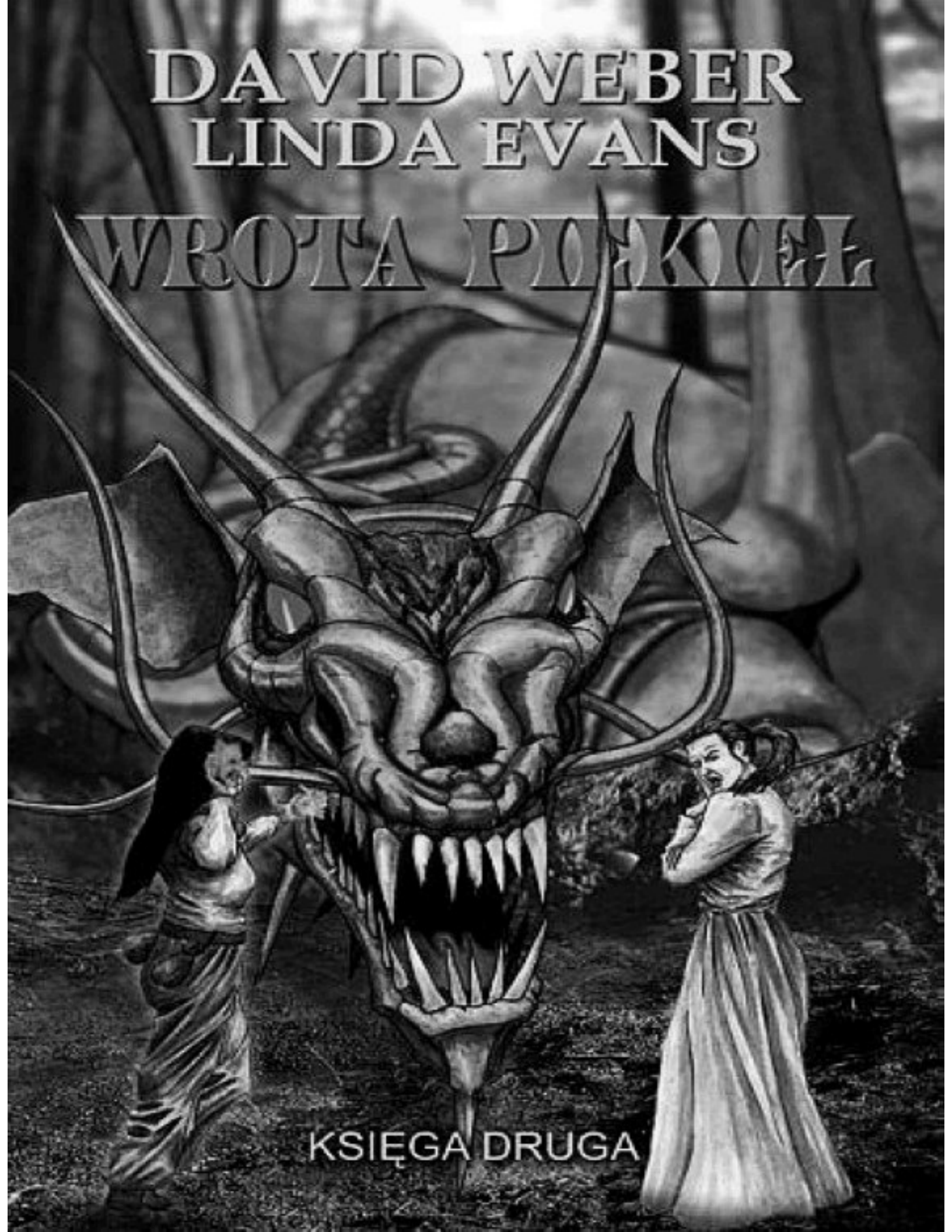


DAVID WEBER
LINDA EVANS

WROTA PIKIOŁ

KSIĘGA DRUGA



DAVID WEBER LINDA

EVANS

Multiwersum #1 Wrota piekiel

tom II

*„Nie ma mowy, żeby nie dać się ponieść,
rozerwać, a nawet oszołomić.*

Prawdziwie wspaniała opowieść."

-„Booklist"

„...doskonała mieszanka wojskowości,

techniki ze sprawnie prowadzonym rozwojem postaci

i świetnie opanowanym ukazaniem ludzkich dramatów...

warte polecenia"

- WILSIN LIBRARY BULLETIN

KSIĘGA DRUGA



Dla Sharon,

Ponieważ z nią u boku

Mogę stawić czoła całemu multiwersum.

Dla Davida i Aubrey,

którzy sprawiają, że się uśmiecham

I dla Boba

za jego nieustanną pomoc techniczną.

Bez niego nie użyłabym żadnego z

Talentów.

DAVID WEBER – autor bestsellerowego cyklu książek o Honor Harrington, powieści *In Fury Born i 1633* (z Erikiem Flintem) oraz wielu innych. We współpracy ze Steve'em White'em napisał *Powstanie, Krucjatę i W martwym terenie* oraz jeszcze jeden bestseller z listy New York Timesa *Opcję Siwy*, które to powieści osadzone zostały w realiach gry strategicznej *Starfire*. David Weber współpracował również z innymi autorami np. z Johnem Ringo, z którym stworzył cykl *Imperium Człowieka*

LINDA EVANS – autorka, wspólnie z Johnem Ringo napisała *The Road to Damascus* a z Robertem Asprinem cztery powieści z cyklu *Time Scout* dla wydawnictwa *Baen*. Z Asprinem współpracowała też przy niedawno wydanej książce *For King and Country*. Linda Evans jest ekspertem od uzbrojenia, zarówno współczesnego jak i dawnego, z której wiedzy korzysta szeroko tworząc SF. Jest także autorką powieści *Far Edge of Darkness* (wyd. *Baen*) i kilku nowel wydanych w popularnej serii wydawnictwa *Baen* – *Bolo*. Mieszka w Archer na Florydzie.

ROZDZIAŁ

PIERWSZY

Gdy jej ojciec zarządził przerwę w obradach, Andrin czuła już silny ból głowy. Nie opuściła swojego miejsca i pocierając zbolące skronie przyglądała się służącym, którzy wnosili do komnaty Tajnej Rady kolejne przekąski. Mimo siły osobowości cesarza i zdolności organizacyjnych Shamira Taje, radcy zdołali do tej pory podjąć tylko kilka decyzji. Andrin miała jednak nadzieję, że to, co udało im się już ustalić było tym, co rzeczywiście najważniejsze, a poza tym, jej ojciec miał niewątpliwie rację, co do tego, że wszyscy potrzebują posiłku zanim rozpocznie się – niewątpliwie wielogodzinne – posiedzenie Konklawe.

Jedli więc siedząc przy inkrustowanym stole, przykrytym teraz troskliwie białym, świeżo wyprasowanym, lnianym obrusem. Nawet podczas obiadu omawiano najistotniejsze punkty i wątpliwości dotyczące kryzysu. Kiedy wszyscy już skończyli, służba niemal niezauważalnie uprzątnęła zastawę ze stołu i pojawiły się na nim kielichy wina, gorąca herbata, kawa z Nowej Farnalii i parujące kubki pochodzącego z tego samego regionu kakao, którym zawsze chętnie rozkoszowała się Andrin i kilku spośród radców. Lokaj dorzucił też węgla do kominka, za co księżniczka była szczególnie wdzięczna. Ciepło bijące prosto w jej plecy było równie przyjemne, jak rozgrzewająca moc kakao.

Przysłuchiwała się debacie i zdała sobie sprawę, że w istocie rozumie jedynie niewielką część z tego, o czym rozmawiali radcy. Szybko pojęła, że brakuje jej po prostu wiadomości o faktach i znajomości niektórych terminów, by mogła swobodnie śledzić dyskusję. Nie mogła niestety przerywać dorosłym i prosić co chwila o objaśnienia – okoliczności i presja czasu wykluczały to zupełnie. Z drugiej jednak strony wiedziała, że jeśli nie zapyta teraz, to potem nie będzie już pamiętała swych wątpliwości.

Zawahała się przez chwilę, po czym poprosiła służącą – dziewczynę starszą od niej najwyżej o jakieś trzy lata – o zeszyt i pióro, a także o kałamarz, który mógł się przydać w razie, gdyby zasechł tusz w wewnętrznym zbiorniczku pióra. Służąca wróciła bardzo szybko i Andrin gorąco jej podziękowała.

–Cała przyjemność po mojej stronie, wasza wysokość – wymamrotała dziewczyna prawie niedosłyszalnie i dygnęła głęboko – niemalże do samej podłogi. Podniosła oczy i na chwilę spojrzała na Andrin, po czym lękliwie utkwiała wzrok na powrót w posadzce.

–Bo ja... – powiedziała pospiesznie, bardzo prędko, zupełnie jakby odwagi miało starczyć jej jeszcze tylko na kilka zdań – od zawsze czekałam na okazję, by móc pani służyć. Jeśli będę kiedykolwiek mogła się jakoś przydać, znajdzie mnie księżniczka na zewnątrz. Wystarczy otworzyć drzwi i zawołać. Przyniosę pani, cokolwiek sobie

pani zażyczy.

Wyprostowała się zadziwiająco wdzięcznie i wymknęła się z sali. Andrin popatrzyła za nią w szczerym zdumieniu i po chwili skupiła się ponownie na trwającej przy stole dyskusji. Sączyła kakao, słuchała i od czasu do czasu notowała w zeszycie nurtujące ją pytania i niejasne dla siebie pojęcia. Po jakimś czasie zegar oznajmił kurantem nadejście połowy godziny. Cesarz uciszył Radców i spojrział na Alazon Yanamar.

Telepatka siedziała wyczekująco z zamkniętymi oczyma. Najwyraźniej Nasłuchiwała przekazu od dyrektora naczelnego Limany – czy raczej wiadomości, która miała dotrzeć do niej przez sieć Głosów, rozmieszczonych łańcuchem pomiędzy Tajvaną i komnatą Tajnej Rady. Organizacja podobnej transmisji na tak rozległych przestrzeniach zawsze stanowiła poważne wyzwanie, tym bardziej teraz, w zupełnie nadzwyczajnych okolicznościach. Koordynację i bezpieczeństwo komunikacji należało zapewnić pomiędzy siedzibą Zarządu Portali w Tajwanie, a każdą stolicą Sharony. Nawet ASG nie mogła umożliwić wszystkim przywódcom udziału w obradach w czasie rzeczywistym – telepaci nie mogli przecież przesyłać wiadomości przez portale. Andrin wiedziała jednak, że za każdym z nich, w każdym łańcuchu tranzytowym, ciągnęły się kolejne szeregi Głosów i Konklawe odbędzie się tak sprawnie, jak tylko będzie to możliwe.

Yanamar otworzyła wreszcie oczy. Tak nagle, że zaskoczona Andrin poczuła na plecach zimny dreszcz.

–Wasza cesarska wysokość – powiedziała telepatka głosem tak głębokim, dźwięcznym i pełnym subtelnych modulacji, że księżniczka pomyślała, iż oddałaby za taki wszystkie błyskotki ze swojej szkatułki z biżuterią – dyrektor naczelną Limana rozpoczął posiedzenie Konklawe. Główny Głos Zarządu Portali, Yaf Umani przekazuje mi to, co widzi i słyszy.

Ton jej głosu przeszedł nagłą transformację. Nie polegała ona wyłącznie na zmianie brzmienia – kolejne słowa Yanamar rozbrzmiewały już z innym rytmem i akcentem. Powtarzała słowa wypowiedane przez człowieka, znajdującego się ćwierć świata dalej. Samo to mogło spowodować zawrót głowy, ale bardziej jeszcze zdumiała Andrin trójwymiarowa projekcja, która nagle pojawiła się znikąd w drugim końcu komnaty. Obraz przedstawiał mężczyznę, stojącego na podwyższeniu w sali, której nigdy dotąd nie widziała. Obok niego – pomiędzy mówcą a radcami – siedzieli inni. Na ścianie za mówcą wisiała mapa nowo odkrytych portali. Stojący na podium człowiek patrzył wprost na Andrin i radców, choć nie mógł ich przecież widzieć.

Księżniczka od dawna już wiedziała, że telepaci potrafią odbierać i przesyłać szczegółowe obrazy tego, co działo się gdzie indziej. Wiedziała też, że zdolnością ukazywania tych obrazów nie-Głosom, mógł się poszczycić może jeden na dziesięć tysięcy Głosów. Mimo, że Andrin była arystokratką, to jak dotąd manifestację tego

Talentu miała okazję oglądać tylko jeden, jedyny raz – wtedy, gdy sławny na cały wszechświat Projektor Falgayn Harwal odwiedził Cesarską Operę w Estafel. Na wspomnienie tego, jak Harwal wraz z tuzinem swoich specjalnie szkolonych Głosów-asystentów wypełnił całą salę projekcją występu chóru z Nowej Tajwany – ośmiu tysięcy śpiewaków – nadal przechodziły ją dreszcze.

Harwal jednak był wyjątkiem. Ludzie z Talentem równie silnym jak jego, rodzili się być może raz na dwieście lat i choć Andrin wiedziała, że istnieją inni podobnie uzdolnieni, to nigdy nie widziała prezentacji ich możliwości. A już na pewno nie z tak niewielkiej odległości i nie w tak nielicznym towarzystwie. Przestała się już zastanawiać, dlaczego to właśnie Alazon Yanamar została osobistym Głosem jej ojca. Ktoś, kto władał imperium zajmującym niemal cały kontynent i kilka wielkich wysp musiał korzystać z usług Głosu Utalentowanego tak bardzo jak ona.

Zastanowiła się, czy podobne umiejętności ma też Główny Głos Zarządu Portali i doszła do wniosku, że najprawdopodobniej tak.

Z zamyślenia wyrwał ją głos telepatki.

–Wielce szanowni przywódcy państw, władcy suwerennych narodów Sharony i członkowie rad, rządów i senatów. Nazywam się Orem Limana i jestem dyrektorem naczelnym Zarządu Portali Trans-Temporalnych Sharony i ze swego miejsca dziękuję wam, za uczestnictwo w Konklawe. Czy możemy zacząć od sprawdzenia listy obecności uczestników obrad?

Słowa wypowiedane przez Yanamar nie do końca odpowiadały ruchom ust Limany, różnica nie była jednak zbyt duża. Andrin czuła się dziwnie nieswojo patrząc na niezwykłą projekcję i słysząc głos telepatki powtarzającej to, co – trzy tysiące mil dalej – mówił dyrektor.

Przeczytano prawie nie mającą końca listę nazwisk. Dyrektor Limana wymieniał w kolejności alfabetycznej nazwy poszczególnych państw i kolonii. Gdy mówił, Andrin patrzyła na mapę Sharony starając się dopasować w myślach nazwiska przywódców do odpowiednich miejsc. Po chwili dała sobie jednak spokój, wzięła do ręki pióro i sporządziła swoją pierwszą notatkę z Konklawe:

Nauczyć się na pamięć nazwisk wszystkich przywódców państw Sharony i gubernatorów kolonii – zastanowiła się i po chwili dopisała. – Zapamiętać także nazwiska ich następców, o ile państwa są monarchiami i drugich osób w państwie w przypadku krajów o innych ustrojach.

Kiedy zrozumiała jak poważne czeka ją wyzwanie prawie jęknęła.

Dyrektor uporał się z mozolnym zadaniem sprawdzenia, czy wszyscy zaproszeni słyszą przekaz i przeszedł do omówienia powodów zwołania Konklawe.

–Zacznę od przypomnienia obecnym, że wiadomość o ataku otrzymała klauzulę najwyższej tajności na mocy Karty Założycielskiej Zarządu Portali. Tak powinno pozostać przynajmniej do chwili, gdy rodziny zabitych, rannych czy pojmanych zostaną powiadomione o tym, co spotkało ich bliskich. Przedstawiciele Zarządu Portali w tej właśnie chwili są w drodze do rodzin każdego z członków napadniętego zespołu.

–Chciałbym też poprosić – ciągnął – o nieupublicznianie tej wiadomości do momentu, w którym Konklawe nie sformułuje planu, mającego zapewnić bezpieczeństwo obywatelom Sharony, znajdującym się w Łańcuchu Karys i jego najbliższych okolicach. Przekazując opinii publicznej informacje na temat ataku i naszych działań zaradczych, zminimalizujemy ryzyko ogólnoświatowej paniki. Mam nadzieję, że jesteśmy co do tego zgodni?

Ojciec Andrin skinął głową. Telepatka przekazała jego gest. Zanim dyrektor Zarządu Portali przemówił ponownie znów upłynęła dłuższa chwila.

–Dziękuję. Doceniam państwa postawę w tej kwestii. Odchrząknął. Była to dopiero pierwsza wyraźniejsza oznaka jego zdenerwowania. Andrin w duchu podziwiała zimną krew mężczyzny.

–A zatem – odezwał się znów Limana – musimy zająć się sprawą, dla której zwołałem Konklawe. Musimy wspólnie zapobiec kryzysowi. Zarząd będzie oczywiście w ten proces zaangażowany, ale jak państwo doskonale wiecie, Zarząd jest tylko ciałem organizacyjnym i nie dysponujemy możliwościami samodzielnego reagowania na tego rodzaju sytuacji. Z tą myślą pozwolę sobie rozpocząć od zaznajomienia was z moimi dotychczasowymi decyzjami. Potem poproszę was, szanowni członkowie Konklawe, o sugestie dotyczące działań, jakie waszym zdaniem powinniśmy podjąć do momentu zwołania drugiego Konklawe – które jak sądzę powinno odbyć się przy osobistym udziale nas wszystkich.

–Zanim ktokolwiek z państwa zaprotestuje, pragnę was zapewnić, że drugie Konklawe jest absolutnie niezbędne. Musimy wypracować trwałą strukturę władzy, która mogłaby efektywnie pokierować mobilizacją, organizacją i rozmieszczeniem zasobów cywilnych i militarnych Sharony. Tego typu zadania wymagają szeroko zakrojonych, pragmatycznych i elastycznie podejmowanych decyzji. O koniecznych, by to osiągnąć rozstrzygnięciach z pewnością nie uda się nam postanowić na spotkaniu takim jak dzisiejsze. Na miejsce posiedzenia następnego Konklawe, sugerowałbym Tajwanę. Tu znajduje się siedziba Zarządu Portali, a po drugie, właśnie to miasto było w przeszłości praktycznie stolicą świata. Co więcej – dysponujemy tu odpowiednią infrastrukturą, która umożliwi przeprowadzenie i zabezpieczenie podobnego zjazdu.

–Jeśli zgodzimy się wszyscy na Tajwanę, polecę swoim pracownikom skontaktować

się z wami, w celu ustalenia daty. W ten sposób dopracujemy szczegóły i uzgodnimy terminarże. Zjazd mógłby się, jak sądzę, odbyć w dawnym Wielkim Pałacu Calirathów. Im szybciej, tym lepiej. Kiedy już to wszystko ustalimy, zajmiemy się kwestiami waszych podróży i resztą pomniejszych szczegółów. Tym z państwa, którzy mimo wszystko nie będą mogli stawić się osobiście, zapewnimy przekaz telepatyczny. Czy są jakieś sprzeczności?

Ku zaskoczeniu Andrin nikt nie zaprotestował. Ojciec rzucił na nią okiem i – także zdziwiony – uniósł brew.

–Wydaje się, że miałaś rację Drin – szepnął do córki. – Pojedziemy do Tajwany.

Skinęła głową i potarła sobie ramiona. Próbowwała pozbyć się drażniących ukłuć, które wciąż czuła pod rękawami sukienki.

Dostała gęziej skórki. To, że jej Przebłysk sprawdził się tak dokładnie, nie tyle ją zaskoczyło, co raczej zaniepokoiło.

–Na wstępie poinformuję was o obszarach, w których najbardziej potrzebna jest Zarządowi pomoc – ciągnął dyrektor Limana – potem zaproszę państwa do dyskusji. Chciałbym, żebyście przedstawili propozycje, co do każdego z wymienionych przeze mnie punktów. Zarówno w trakcie mojego wprowadzenia jak i późniejszej dyskusji, proszę o spokój i zachowanie według zasad parlamentarnych. Inaczej Głosy mogą mieć kłopoty z trans misją.

–Jeśli zechcecie państwo zadawać pytania, lub podzielić się z wszystkimi swymi uwagami, pomysłami i rozwiązaniami – na te ostatnie mam szczególną nadzieję – proszę o przesyłanie ich do Yafa Umaniego, który jest Głównym Głosem Zarządu. On poinformuje mnie o kolejności, w jakiej nadeszły i dzięki temu zachowamy odpowiedni porządek wystąpień. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to najwygodniejsze rozwiązanie, zwłaszcza, że nasze grono jest niezwykle liczne, lecz tym bardziej jeszcze unaocznia to konieczność spotkania osobistego. W chwili obecnej lepszym sposobem prowadzenia obrad po prostu nie dysponujemy. Czy wszystko jest jasne?

Ojciec Andrin skinął raz jeszcze. Oczy jego telepatki zaciągnęły się na chwilę mgłą – przesyłała odpowiedź do Tajwany.

–A zatem do dzieła – znów odezwał się Limana. – Zgodnie z zapowiedzią, zacznę od naszkicowania sytuacji i moich dotychczasowych decyzji. Mamy do czynienia z niejasnymi i niepokojącymi doniesieniami. Po pierwszej wiadomości o kontakcie otrzymaliśmy dwie następne. Nadeszły około dwóch godzin temu. Nie wolno nam zapominać o rozległych akwenach, które informacje muszą pokonywać w kilku wszechświatach dzielących siedzibę Zarządu od miejsca ataku. Szczerze mówiąc i tak jestem zaskoczony prędkością, z jaką dotarły do nas te kolejne przekazy.

–Pierwszą z nowych wiadomości był uzupełniający raport nadesłany przez kapitana Halifu. Jako dowódca naszego najbliższego fortu, tutaj w Nowej Uromathii – Limana wskazał na mapie niedawno nazwany wszechświat – wysłał na miejsce kontaktu ekspedycję ratunkową. Z powodu odkrycia w tamtej okolicy wielu nowych portali, zarówno siły Halifu jak i pozostałych dowódców fortów w rejonie, zostały ostatnio mocno przetrzebione. Do wykonania tej misji Halifu mógł więc wyznaczyć jedynie oddział kawalerii.

–Drugą informację przesłał nam – w tej samej chwili – kapitan chan Tesh – dowódca kolumny posiłkowej, która od jakiegoś czasu była już w drodze do fortu kapitana Halifu. Towarzyszy mu też młodszy kapitan Traygan, Głos Zarządu pozostający do dyspozycji Halifu. To on odebrał pierwszą wiadomość, gdy był tutaj, w Thermyn – Limana ponownie wskazał miejsce na mapie. – Chan Tesh poinformował, że zmierza do Halifu forsownym marszem, prowadząc tam kilka plutonów kawalerii, piechoty i artylerii. Więcej informacji na razie nie otrzymaliśmy i prawdopodobnie nie otrzymamy przez następnych parę dni.

Limana znów na moment umilkł, podniósł wzrok znad swych notatek i spojrzał w oczy zebranych w przestronnej sali ludziom.

–Jedynym, co w tej chwili wiemy na pewno jest fakt, że nasz zespół badawczy został zaatakowany, w wyniku czego, większość jego członków poniosła śmierć. Kapitanowie Halifu i chan Test działają jak mogą najszybciej w ramach swoich ograniczonych zasobów ludzkich, odległości i luk w systemie komunikacyjnym. Z ich raportów wynika, iż za swoje główne zadanie uważają odnalezienie i uratowanie, tych którzy ewentualnie przeżyli. Między wierszami w wiadomościach od obu oficerów można co prawda wyczytać targającą nimi wściekłość, lecz nie wydaje mi się, by którykolwiek z nich chciał wywołać otwarty konflikt zbrojny. Jednakże – tym razem dyrektor zrobił tylko krótką przerwę i powiódł oczyma po słuchaczach – jasne jest to, że nasi dowódcy mają – w razie potrzeby – zamiar użyć siły nie tylko w samoobronie, lecz także po to, by zmusić przeciwnika do uwolnienia ewentualnych jeńców. W tej chwili ponowny kontakt został prawie na pewno nawiązany, co oznacza, że jest o wiele za późno na wydanie im bezwzględniego zakazu użycia broni, nawet gdybyśmy tak postanowili. A szczerze przyznam, że osobiście nie wy dałbym takiego rozkazu.

Ostatnie zdanie Limana wypowiedział ponuro i oschle. Świetnie wyszkolony i pełen wyrazu Głos Alazon Yanamar oddał to doskonale. Andrin zauważyła przy tym, że co najmniej połowa siedzących obok Radców, pokiwała ze zrozumieniem głowami.

–Na nasze szczęście – mówił dalej Limana – kapitan Halitu dysponuje wykwalifikowanymi specjalistami: Nosem i Tropicielem, którzy przekażą nam swe analizy z miejsca ataku – odczekał chwilę i ciągnął – niemniej, do poznania prawdziwego losu wszystkich członków zespołu mogą jeszcze upłynąć tygodnie lub nawet miesiące.

–Tymczasem, nie wolno nam zapominać o powadze wyzwania, które stanęło przed Halifu i chan Teshem. Wszystkie dane wskazują na to, iż ostatnim odkryciem zespołu było całe skupisko portali, z których wszystkie leżą bardzo blisko siebie. Niestety nie mamy żadnej możliwości sprawdzenia, który portal – lub które portale – zostały wcześniej zajęte przez naszych przeciwników. Co więcej – ten portal wejściowy – Limana wskazał na mapie kółko, oznaczające nienazwany jeszcze wszechświat, z którego odchodziło sześć kresek ze znakami zapytania, symbolizującymi linie tranzytowe – jest bardzo duży. Według danych dostarczonych nam przez Chalgyn, jego średnica wynosi trzydzieści siedem mil.

Słyszając to Andrin aż się zachłysnęła. Portal nie był „bardzo duży” – był ogromny!

–Do obrony portalu tej wielkości, potrzebowalibyśmy sił wielokrotnie większych od tych, którymi dysponują Halifu i chan Tesh – ciągnął nachmurzony Limana. – Na mocy własnych pełnomocnictw wysłałem już polecenie wzmocnienia ich jednostek znajdującymi się najbliższe oddziałami SZZP, wszystko wskazuje jednak na to, iż będzie to dodatkowo jedynie kilka batalionów. W chwili obecnej nie dysponujemy tam ilością wojska konieczną do obrony frontu o długości siedemdziesięciu czterech mil.

–Co gorsza brak linii kolejowych w rejonie oznacza, że nasze wojska po dotarciu w rejon kontaktu będą przemieszczać się bardzo powoli. Rozmawiałem już o tym z Gahlreenem Thaymishem z KTT i nakazałem podwoić wysiłki w celu jak najszybszego przedłużenia linii. Uruchomiłem odpowiednie procedury kryzysowe i w tym momencie KTT znajdują się pod bezpośrednim kierownictwem Zarządu Portali. Dyrektor Thaymish wysłał już dyspozycje by wszystkie dostępne ekipy konstrukcyjne Kolei Trans-Temporalnych podjęły natychmiast prace w Łańcuchu Hayth. Zarówno jednak materiały do budowy torów, jak i ludzie dotrą na miejsce dopiero za kilka tygodni.

Limana zamilkł i pokręcił powoli głową.

–Jestem pewien, że wszyscy państwo dzielicie ze mną nadzieję, iż ten tragiczny w skutkach i brutalny atak, nie doprowadzi do otwartej wojny z obcą trans-wszechświatową cywilizacją o nieznannej sile i możliwościach. Nie wolno nam niestety zakładać podobnie optymistycznego wariantu. Regimentarz Namir Velvelig, dowódca Fortu Raylthar, strzeże portalu wyjściowego w Failcham – Limana wskazał wszechświat na mapie – i jest to najbliższy miejscu kontaktu, należycie obsadzony załogą fort, choć i tam, w związku z nagłym poszerzeniem łańcucha, występują pewne braki osobowe. Jak państwo widzicie Fort Raylthar znajduje się o dwa wszechświaty i osiemset mil od miejsca, w którym zaatakowano nasz zespół. Regimentarz ze swojej strony także wysłał już posiłki i...

Głos dyrektora rozpląnął się w chaosie strachu i przerażenia, który rozpętał się nagle w sercu Andrin. Zesztywniała na krześle i wstrzymała oddech. Regimentarz

Velvelig był przecież dowódcą Janakiego, a ona nagle Zobaczyła, jak coś straszego – bezkształtnego, czarnego i groźnego – dzieje się z jego żołnierzami. Wszędzie dokoła Widziała płomienie, słyszała ludzkie krzyki, huk wystrzałów, uderzenia lśniących błyskawic i coś niesamowitego spadającego na nich z powietrza, a potem...

Andrin wyszczerzyła zęby, warcząc z wściekłości i strachu. Coś chwyciło ją w swe szpony i trzęsło całym jej ciałem. Jęknęła i uderzyła obiema pięściami przed siebie w daremnej próbie odparcia ataku. Wtedy ktoś chwycił ją naprawdę. Czyjeś dłonie złapały jej przedramiona – delikatnie, lecz stanowczo. Unieruchomiono ją, wyciągnięto jej ręce wzdłuż ciała. Mężczyźni trzymali ją mocno aż odzyskała władzę nad swym wzrokiem.

Jej zagubione oczy wpatrywały się w oblicze ojca. Cesarz ścisnął ją w ramionach, tulił. Zindel był blady jak sama śmierć. Tylko na jednym jego policzku widniała ciemniejsza plamka – szybko rosnący siniak. Przypomniała sobie, że machnęła rękoma. Dotarło do niej też, że stoi, choć nie pamiętała momentu, w którym podniosła się z krzesła.

–Papo? – wyszeptała i zrozumiała nagle, że zakłóciła przebieg Konklawe. Odciągnęła ojca od niesłuchanie ważnego raportu dyrektora naczelnego Zarządu Portali. Poczowała, jak oblewa się palącym rumieńcem. Miała ochotę schować się pod stołem i umrzeć ze wstydu.

–Andrin – ojciec odezwał się spokojnie, lecz gdzieś w jego głosie pobrzmiwało polecenie nie znoszące sprzeciwu – powiedz mi dokładnie, co Zobaczyłaś. Wszystko, co Ujrzałaś.

–Ja... ja nie wiem – zadrżała. – Widziałam płomienie. Ogień był wszędzie. Na niebie. Padał na nas z góry jak deszcz. Były też błyskawice. Coś wielkiego i czarnego mknęło na nas spośród chmur. Nie wiem, co to było, ani skąd się wzięło. Ludzie strzelali, wrzeszczeli, płonęli...

–Gdzie to się działo?

–Nie wiem! Dyrektor Limana mówił właśnie o regimentarzu Velveligu, który wysłał posiłki i wtedy nadszedł Przebłysk. Silny jak pociąg towarowy – teraz trzęsła się już tak, jak w gorączce. – Przepraszam – szepnęła, nie potrafiąc przypomnieć sobie niczego więcej. – Wiem tylko, że Janaki jest z Velveligiem. Nie mam jednak pojęcia kiedy, ani gdzie się to wszystko rozegrało. Nie wiem nawet czy on też był w tym Przebłysku, a...

–Ciii – łagodnie i kojąco szepnął cesarz i przytulił ją mocniej, skrył ją w swych silnych, niosących ciepło i pocieszenie ramionach. Posadził dziewczynę z powrotem

na krzesła i przysunął bliżej ognia. Uklęknął przy córce i potarł jej lodowate dłonie.

–Niech ktoś przyniesie trochę brandy! – rzucił przez ramię.

–Już niosą – oznajmił Taje i w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Służąca, która wcześniej przyniosła Andrin pióro i zeszyt, weszła do sali, podeszła do cesarza z karafką w jednej i kryształową szklaneczką w drugiej ręce. Patrzyła szeroko otwartymi, wylęknionymi oczyma.

–Proszę, wasza wysokość! – wydukała zdyszana. – Nigdy w życiu nie biegłam tak szybko!

–Niech ci bogowie wynagrodzą, moje dziecko – skinął głową cesarz i wziął karafkę. Nalał brandy do szklaneczki i podniósł ją do ust księżniczki.

–Napij się Andrin. To ci dobrze zrobi. Nie, nie odstawiaj. Weź jeszcze. Właśnie tak. Do końca, najdroższa. To lekarstwo.

Andrin łyknęła jeszcze raz i zakrztusiła się czując w przelyku płynny ogień. Po chwili dreszcze zaczęły ustępować.

–Lepiej? – zapytał cicho jej ojciec. Andrin skinęła głową zaskoczona tym, że pałacy napój rzeczywiście pomógł jej się uspokoić.

–Tak – wymamrotała. – Dużo lepiej.

–Dzięki niech będą Marnilay – powiedział pobożnie cesarz, po czym zarzucił córce na ramiona swój płaszcz i kazał służącej przynieść ciepły koc. Kiedy służka wybiegła z komnaty, cesarz spojrzał na swoją osobistą telepatkę.

–Alazon, prześlij proszę priorytetową wiadomość dyrektorowi Limanie. Poproś go, by ostrzegł regimentarza Velveliga. Niech w najbliższej przyszłości spodziewa się kłopotów. Nie wiem dokładnie gdzie, ani kiedy powinien ich oczekiwać, ale Księżniczka Koronna Andrin doznała właśnie silnego Przebłysku. Niech regimentarz dokładnie usłyszy wszystko, co Andrin nam właśnie opowiedziała.

Jeden czy dwóch radców wymieniło ze sobą sceptyczne spojrzenia. Policzki Andrin znów pokryły się rumieńcem. Wszystko to zauważył jej ojciec i zdumiał ją – a także radców – swoją natychmiastową reakcją.

–Chciałbym wyjaśnić coś raz na zawsze – zaczął głosem tak chłodnym, że Andrin nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszała chłodniejszy. – To, czego byliśmy przed chwilą świadkami nie było wybrykiem rozhisteryzowanej nastolatki. Jeżeli ktokolwiek z was wątpi w Talent mej córki, niech raczy sobie przypomnieć pożar lasu w Kilrayen. Chcę też przypomnieć wam wszystkim, że Andrin jest zaraz po

Janakim, następczynią tronu. Być może z powodu jej młodego wieku nie podkreślaliśmy w przeszłości tego faktu dostatecznie mocno, ale gdyby coś złego spotkało mego syna, to właśnie Andrin obejmie po mnie tron. W związku z tym, będziecie ją zawsze traktować z szacunkiem należnym jej urodzeniu i tytułowi. Gdyby natomiast ktoś spośród was – choć byłoby to wielce nierozważne – żywił dalej wątpliwości, co do poprawności Przebłysków mojego dziecka, pozwolę sobie poinformować was o czymś jeszcze. Otóż doświadczyłem właśnie identycznego Przebłysku, choć jej był o wiele dokładniejszy i bardziej szczegółowy. Moja córka posiada bardzo silny Talent i jest szalenie cennym sprzymierzeńcem w wojnie, na progu której znalazło się Cesarstwo. Czy ktokolwiek z Radców chciałby o tym podyskutować?

Nikt się nie odezwał. Spojrzenia nie wyrażały już powątpiewania, a tylko skrucę i uległość. Andrin – nieoczekiwanie dla samej siebie – poczuła odruch współczucia wobec skarconych ludzi. Rozumiała z jak wielkim trudem przychodziło osobom tak wysoko postawionym, członkom Tajnej Rady, dawanie wiary wizjom siedemnastoletniej, bez względu na to, jaka krew krążyła w jej żyłach. Ta myśl w niezrozumiały sposób pomogła jej lepiej ich poznać. Uśmiechnęła się i kilku Radców odwzajemniło ten uśmiech, co natychmiast rozładowało panujące w sali napięcie, Cesarz przyglądał się temu z niejakim niedowierzaniem.

Ciszę przerwało chrząknięcie telepatki.

–Wasza wysokość, wiadomość została przesłana. Potwierdzono odbiór. Regimentarz Velvelig usłyszy wszystko, co do słowa.

–Dziękuję Alazon – powiedział cicho Cesarz. Przysunął krzesło Andrin na powrót do stołu, poklepał ją lekko po ramieniu i wrócił na swoje miejsce.

–W takim razie możemy powrócić na Konklawe.

Andrin z najwyższym zdumieniem zauważyła, że dyrektor Limana wstrzymał obrady i cały czas oczekiwał na powrót cesarza Zindela. Przestraszyła się myśli o tym, że to jej atak zmusił do zwłoki wszystkich bez wyjątku, przywódców Sharony. Z drugiej jednak strony rozumiała dzięki temu, jak wielką wagę Limana przykładął do udziału Ternathii, czy raczej do osoby jej ojca. Dyrektor podjął przerwany wątek.

–Jak mówiłem, regimentarz Velvelig znajduje się dwa wszechświaty od miejsca kontaktu. Według mnie wysyłanie liczniejszych posiłków, niepotrzebnie osłabiłoby jego własny posterunek. Sądzę, iż mądrzejszym posunięciem będzie podciągnięcie w rejon ataku, oddziałów z bardziej oddalonych punktów łańcucha. Cały ten łańcuch – od Hayth, aż do Nowej Uromathii – można pokonać drogą lądową, z jedynym wyjątkiem tysiąca stu mil drogą morską w Salym. Linie kolejowe sięgają aż do Traisum, wobec czego można nimi dość szybko przerzucić odpowiednie siły.

Przy wiszącej za Limaną mapie pojawiła się młoda, ciemnowłosa kobieta. Gdy dyrektor zaczął opisywać poszczególne garnizony SZPP, ich miejsce stacjonowania i czas, jakiego potrzebowały na przemieszczenie się, kobieta zaznaczała odpowiednie miejsca.

Patrząc na symbole na mapie Andrin ze zgrozą zrozumiała, że wielonarodowe siły Zarządu były jeszcze bardziej skromne niż do tej pory przypuszczała.

„Ależ to przecież było oczywiste!” – skarciła się w myślach – „SZPP powołano jako siły pokojowe! Nawet, jeśli nie pamiętałaś tego z lekcji, to powinnaś to pamiętać z listów od Janakiego!”

Na myśl o bracie znów poczuła zimnego, oślizłego węża strachu, wijącego się wokół jej kręgosłupa. Jednak odepchnęła lęk od siebie. Nie było to łatwe, niemniej udało się. Gdy podniosła wzrok zobaczyła, że Głos Yanamar przechyla głowę, jakby czegoś nasłuchując.

–Pytanie od cesarza Uromathii Chavy Busara – odezwała się. – „Jego wysokość mówi: Mamy w polu silne zgrupowanie kawalerii, które wysłaliśmy do obrony naszej kolonii w Camryn. Oddziały te znajdują się jedynie cztery wszechświaty drogi od Traisum. Bez naruszania zdolności bojowej naszych posterunków moglibyśmy odesłać do pomocy tysiąc ludzi – może nawet tysiąc pięciuset. Byłby to dla mnie zaszczyt, gdyby moi żołnierze mogli okazać się pomocni w tak poważnej sytuacji. Nasz sztab generalny porozumiałby się z Zarządem w sprawie jak najbardziej efektywnego wykorzystania tych wojsk.

Shamir Taje zaklął na głos. Andrin nigdy wcześniej nie słyszała, by pierwszy radca używał podobnego języka i to krótkie, treściwe zdanie otworzyło jej oczy. Taje spojrzął na nią, zarumienił się i skinął głową w niemych przeprosinach. Spojrzął na pozostałych obecnych.

–Oczywiście, że Chava bardzo tego chce! – powiedział cierpko. – Daj kurze grzędę, a zaraz będziesz mieć całą ich armię w swoim kurniku!

–Spokojnie, Shamir – odezwał się łagodnie cesarz. – Tysiąc pięciuset ludzi w tej odległości od strefy zagrożenia, to jeszcze nic takiego. Poza tym Orem Limana potrafi radzić sobie z władcami, którzy przekraczają swe uprawnienia. Zwłaszcza z takimi, którzy wkraczają w jego kompetencje – ojciec Andrin uśmiechnął się szelmowsko. – Na mocy postanowień Karty Założycielskiej, żadne państwo nie może przejąć bezpośredniej kontroli nad Siłami Zbrojnymi Zarządu Portali, bez zgody pozostałych członków Konklawe. Naprawdę uważasz, że Uromathia jest na tyle popularna by wygrać takie głosowanie?

Andrin spodziewała się chichotów i uśmieszków. Członkowie Tajnej Rady skwitowali

jednak wypowiedź cesarza ponurymi pomrukami i słowami „Dzięki ci Mamilay”. Była to ciekawa obserwacja. Ternathia tradycyjnie traktowała Uromathię z pewną rezerwą, ale reakcja radców była jeszcze ostrzejsza niż się tego Andrin mogła wcześniej spodziewać. W jej zeszycie pojawiła się kolejna notka: „Sprawdzić, dlaczego nie darzymy Uromathii zaufaniem.”

–Doceniam szczodrość propozycji, wasza wysokość – odezwał się dyrektor Limana. – Generał Raynor skontaktuje się z waszymi oficerami sztabowymi. W ten sposób przeszliśmy do kolejnego punktu, jaki chciałem dziś poruszyć. Jestem cywilem i moim zadaniem jest jedynie zarządzanie sprawami cywilnymi. Nie jestem wojskowym. Obecny głównodowodzący SZZP, generał Raynor jest człowiekiem o wielkim doświadczeniu w polu, zna także wszystkie szczegóły dotyczące dyslokacji naszych wojsk, fortów i stanu zaopatrzenia. Niestety jednak, jego kadencja wygasa za dwa miesiące, po których powróci do Republiki Tathawir na Nowej Farnalii. Na kolejne dwa lata dowództwo SZZP przypadnie generałowi Inarowi Alvary z Arpathii. Nie chciałbym urazić ani jego, ani też Septentriona, lecz wydaje mi się, że zastąpienie człowieka o tak rozległej wiedzy i doświadczeniu – świadomego wad i zalet naszej armii – kimś nowym w obliczu tak poważnego kryzysu militarnego byłoby aktem nierozwagi. Generał Alvam z pewnością przysłuży się naszemu dowództwu, lecz zalecam przedłużenie kadencji generała Raynora przynajmniej do czasu, gdy generał Alvaru zapozna się z wszystkimi niezbędnymi w tej sytuacji informacjami.

–Szalenie mądra sugestia – mruknął ojciec Andrin. – Może i Limana nie jest żołnierzem, ale nie buja też w obłokach.

Marszałek chan Gristhane – głównodowodzący armii – także przychylił się do tej opinii. Yanamar odchrząknęła i kontynuowała przekaz.

–Z tym wiąże się bezpośrednio jeszcze jedna ważna kwestia – powiedział dyrektor. – Nie czuję się dobrze, podejmując wojskowe i polityczne decyzje, od których może zależeć być albo nie być naszej cywilizacji. Nie posiadam odpowiednich kwalifikacji. Jestem tylko administratorem i zarządzam portalami, co już w tej chwili jest ciężkim wyzwaniem, a wkrótce stanie się na pewno jeszcze trudniejsze. Będziemy musieli poradzić sobie z przemieszczaniem wystarczającej liczby ludzi i sprzętu, by zabezpieczyć granice o długości wielu tysięcy mil. Towary i maszyny trzeba będzie przerzucać przez liczne portale, które bez wątplenia okażą się wąskimi gardłami naszej sieci komunikacyjnej. Nie mówię już o organizacji transportu przez bezdroża i dzicz.

–Nie podoba mi się myśl o militaryzacji Zarządu – ciągnął – lecz stanie on wkrótce w obliczu decyzji, których ja po prostu nie będę w stanie podejmować. Potrzebuję waszej rady. Nie chciałbym, by przez mój brak kompetencji jacyś ludzie weszli pod działa obcych, czy czymkolwiek oni miotają te swoje ogniste kule i błyskawice. Decyzje, co do tego, które z portali wzmocnić jako pierwsze, które wszechświaty

można pozostawić bez załogi, jaki sprzęt rzucić na pierwszą linię i w jakiej kolejności to robić – będziemy musieli podjąć wspólnie. Należy postanowić, co należy budować – linie kolejowe dla ludzi i sprzętu, statki transportowe, dzięki którym nasze oddziały pokonają oceany, czy może okręty handlowe do przewożenia surowców naturalnych i innych towarów. Musimy też zdecydować, czy skupić się na wyrębie lasów, czy budowaniu fabryk cementu do budowy nowych fortów. Ta lista wydaje się nie mieć końca i szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia, czym powinniśmy zająć się najpierw.

–Tu potrzebna jest fachowa wiedza z dziedziny wojskowości. Tylko ludzie, znający się na rzeczy, będą w stanie odpowiednio ustalić priorytety. To jednak tylko część zadań. To Konklawe – i to, które nastąpi po nim – musi postanowić jak ma wyglądać praca Zarządu Portali w warunkach wojny. Komu powierzyć polityczne i militarne dowództwo? Kto poinformuje mnie – lub innego szefa Zarządu – co do najpilniejszych zadań w danej chwili? Kto będzie wydawać odpowiednie zarówno z politycznego, jak i wojskowego punktu widzenia, rozkazy naszym oddziałom w polu? Ani ja ani rada Zarządu nie mamy – na mocy istniejących przepisów i traktatów – odpowiednich uprawnień. Niemniej, ktoś będzie musiał się tym zająć. Proszę was o radę w sprawie tymczasowego kierownictwa, a także o jakieś sugestie, co do rozwiązań długofalowych.

–O bogowie – mruknął Shamir, przeczesując dłonią swe siwe włosy.

–No, to teraz się zacznie – powiedział cesarz i zagwizdał cicho pod nosem.

–Nie żartuj sobie – syknął Taje. – Przecież on mówi o piep... Pierwszy Radca tym razem opamiętał się w pół słowa, rzucił okiem na Andrin, zarumienił się jeszcze bardziej niż przedtem i głośno odchrząknął. Ktoś na drugim krańcu stołu zachichotał, lecz Taje, rozsądnie zignorował to i spojrzął ponownie na Zindela.

–On mówi o rządzie światowym – powiedział. – Tylko, kto ma tym do diabła kierować?

–Na pewno nie Uromathia – syknął marszałek chan Gristhane. – Niech mnie kur...

Nadeszła jego kolej na nagłe zamilknięcie i korne spojrzenie w stronę Andrin, która z całych sił powstrzymywała się od śmiechu.

Stary, pomarszczony żołnierz wyglądał bardzo śmiesznie z głupią i zmieszaną miną na twarzy.

–Niech skonam, a nie będę wykonywać rozkazów Chavy Busara – powiedział po chwili. – Ja nie żartuję, wasza wysokość. Nie zniosę, by ktoś taki wydawał rozkazy naszym żołnierzom.

Wargi cesarza zadrgały nieznacznie.

–Podejrzewam, że w tej chwili podobne rozmowy toczą się w każdej sali tronowej i każdym gabinecie prezydenta na całej Sharonie. „Nikt poza nami, na bogów!” – dodał oschle i spojrział przelotnie na Andrin. – Dlatego uważam, że ten pomysł to zgniłe jajo. Co do waszego skrępowania w obliczu mej córki, to chcę zauważyć, że dama stojąca w kolejce do tronu Ternathii z pewnością usłyszy jeszcze wiele gorszych rzeczy niż kilka soczystych słówek. Próbując ją chronić przed złem nie wyrządzamy jej przysługi. Nie wolno nam traktować jej jak delikatnego puchu. Z pewnością będzie jej niełatwo, lecz to młoda i silna kobieta. Jestem pewien, że jakoś przeżyje te wasze... by tak rzec... barwne wybuchy ekspresji.

Tym razem kilku radców zachichotało głośniej, a Andrin zdobyła się na odwagę, by zadać pierwsze od początku obrad Konklawe pytanie.

–Dziękuję papo. Czy mogę zapytać, z jakiego powodu nikt nie ufa Uromathii?

Chan Gritsthane wybuchnął rwanym, niewesołym śmiechem.

–Jeśli księżniczka ma akurat wolne dwadzieścia lat, to przekażę jej pobieżny przegląd przyczyn takiego stanu rzeczy.

–Nie teraz Thalyar – wtrącił cesarz. – Dlatego, córeczko, że Chava VII pogwałcił każdy traktat, który w życiu podpisał, dlatego też, że próbował przejąć handlowe statki Ternathii utrzymując, że przewożą nielegalne towary, i jeszcze dlatego, że narzucił nam zawyżone opłaty portowe. Co więcej kilkakrotnie udowodniono mu próbę przekupstwa urzędników Zarządu Portali, a prócz tego jest zamieszany w sprawę niegodnych i bezprawnych działań uromathiańskich zespołów badawczych. Thalyar, masz moje słowo, że Ternathia odrzuci każdy traktat o przyszłym rządzie światowym, gdyby narody Sharony okazały się na tyle głupie, by powierzyć cesarzowi Chavie dowództwo na czas tego, czy innego dowolnego, kryzysu.

Ktoś siedzący dalej przy stole głośno prychnął. Głównodowodzący armii Ternathii, chan Gristhane jeszcze przez chwilę toczył dokoła złym wzrokiem, po czym uspokoił się i uśmiechnął cierpko do swego cesarza.

–No cóż, skoro w ten sposób wasza wysokość stawia sprawę... – powiedział i odwrócił się do Andrin, która słuchała mężczyzn z szeroko otwartymi oczyma. – Wasza wysokość, jeśli Chava Busar kiedykolwiek zechce wręczyć pani upominek, proszę zrobić wszystko, co tylko możliwe, by uprzejmie go odmówić. W jego opinii podarunki, stanowią bowiem pierwszy krok do całkowitego pokonania obdarowanego.

–Rozumiem – powiedziała słabym głosem. – Dziękuję za ostrzeżenie, marszałku.

Chan Gristhane uśmiechnął się do księżniczki. Cesarz pochylił się nad stołem.

–Chciałbym dodać jeszcze jedną rzecz, Andrin. Uromathianie w większości są uczciwymi, ciężko pracującymi ludźmi, którzy chcą tylko godnie żyć i zostawić swym potomkom coś w spadku. Uromathiańskie banki na przykład, traktowały pomysł rozwoju nowych wszechświatów i kolonii z dużą dozą niepewności. Są przy tym niesłychanie uczciwe. Nie uciekają się do szemranych sztuczek w swoich interesach, ani nie dyskryminują obcokrajowców. Mówię to dlatego, żebyś zapamiętała, iż obwinianie całych narodów za niemoralne decyzje ich przywódców jest najczęściej grubym błędem.

Andrin zastanowiła się przez chwilę.

–Nawet, jeśli chodzi o naród, który dopuścił się mordu na cywilnym zespole badawczym?

–O tym będziemy jeszcze się musieli przekonać. W przeszłości Sharony także pojawiały się nacje chore na wściekłą ksenofobię, prowadzącą je do popełniania czynów, które według dzisiejszych standardów określa się jako zbrodnie wojenne. Ze smutkiem przyznaję, że najstraszliwsze przejawy ksenofobii, miały miejsce jeszcze na długo po pojawieniu się wśród nas Utalentowanych.

–Dopóki nie uda się nam zebrać więcej informacji, nie będziemy wiedzieć z kim mamy do czynienia – ciągnął cesarz. – Zawsze staram się zachować otwarty umysł, choć zgadzam się, że na tę chwilę sytuacja wygląda bardzo złowieszczo. Tę pesymistyczną ocenę może zmienić tylko kolejny kontakt z naszym przeciwnikiem.

Przez oblicze Zindela przebiegł cień. Andrin wiedziała, że ojciec zobaczył echo Przebłysków ukazujące mu wojnę i rzezie, które oboje oglądali w swych wizjach. W końcu odetchnął głęboko.

–Moją pierwszą, odruchową reakcją była chęć wkroczenia na ich terytorium z bronią w ręku. Pragnąłem zemsty i miałem ochotę zetrzeć ich wszystkich z powierzchni ziemi – powiedział z żelazną determinacją w głosie. – Lecz to właśnie dlatego, nie wolno mi było wydać takiego rozkazu. Władca, w którego rękach spoczywa odpowiedzialność za setki milionów istnień nie może kierować się gwałtownymi emocjami, bo doprowadzi do katastrofy. Mściwa reakcja skończyłaby się śmiercią wielu moich poddanych, a ja okazałbym się – rzucając na szalę życie dzielnych mężczyzn i kobiet – zwykłym mordercą.

Któryś z radców syknął przez zęby.

–Z drugiej strony Andrin, gdybym miał absolutną pewność, gdybym dysponował niezbitymi dowodami na to, że ludobójstwo stanowi jedyny sposób na zapewnienie bezpieczeństwa i przetrwania Ternathii – lub nawet całej Sharony – to zrobiłbym to.

Kosztowałyby mnie to pewnie utratę duszy, może nawet szaleństwo, ale na bogów, wydałbym odpowiednie rozkazy. Zrobiłbym to z tym samym przekonaniem, z jakim walczylibym, by przed ludobójstwem powstrzymać każdego, kto w mojej ocenie popełnia moralny i polityczny błąd. Na dokonywaniu podobnych wyborów polega właśnie sprawowanie władzy. Nie zapomnij o tym nigdy, córeczko.

Ojciec spojrział na Andrin tak przenikliwie, że księżniczka odniosła wrażenie, że stanęła w płomieniach. Poczowała zdejmujący ją całą lęk, lecz dzięki wysiłkowi woli nie odwróciła wzroku od cesarza. Przeraził ją ten przypominający ojca człowiek, na którego patrzyła, a którego nie widziała nigdy wcześniej. Był to mężczyzna zdolny jednym słowem skazać na śmierć miliony ludzi i zarazem nieprzejednany na tyle, że nikt, ani nic na świecie nie było w stanie przekonać go do zmiany raz podjętej decyzji.

„Nigdy nie będę do tego zdolna” – pomyślała w panice. – „Przecież nie rozumiem nawet jak, tak można...”

Po chwili Zindel spojrział już łagodniej i uśmiechnął się smutno do córki.

–Nie podoba mi się, że musiałem cię wystraszyć Andrin, ale wiem, że to dla ciebie lepiej. Lepiej, żebyś poznała prawdę już teraz, a nie długie miesiące czy lata po tym, gdy poznasz smak władzy. Potem jeden fałszywy krok może doprowadzić całe Cesarstwo na skraj przepaści. Janaki poznał już ciężar mej korony – korony, która i tobie kiedyś przypadnie w udziale. Żałuję tylko, że nie było ci dane pozostać dzieckiem, choć trochę dłużej.

Strach, który cisnął ją w piersi, zamienił się w dławiący gardło i utrudniający oddychanie ból. Nie potrafiła powstrzymać łez. Spłynęły po jej policzkach jednocześnie napęlniając ją wstydem z powodu tak fatalnego braku kontroli nad własnymi emocjami. Wiedziała, że płacząc tylko pogłębi jeszcze smutek swojego ojca. Chciała powiedzieć „przepraszam”, lecz słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Skinęła więc tylko głową w nadziei, że Zindel zrozumie, lub choć przestanie na nią patrzeć tym swoim współczującym spojrzeniem, którego nie była już w stanie znieść. Wyrzuty sumienia raniły ją głęboko niczym ostrze sztyletu. Rozumiała, że ojciec nie mógł tego nie powiedzieć. Gdyby postąpił inaczej, nie byłby warty korony, którą dźwigał na swej głowie. Rozumiała to, choć nie potrafiła dobrać słów, by powiedzieć o tym ojcu.

Nigdy przedtem nie czuła się tak beznadziejnie bezwartościowa.

Cesarz bez słowa wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podał ją córce przez stół. Uchwyciła się tego kawałka białego lnu, jak tonący chwyta się brzytwy. Osuszyła łzy i spróbowała rozkazać im, by przestały już płynąć. Musiała zмагаć się z całym swym ciałem, które namawiało ją do tego, by skuliła się i zaszlochała jak mała, zgubiona

dziewczynka. Wyprostowała się jednak, kilka razy głośniej przełknęła ślinę i zebrała się w sobie. Nie patrzyła w pełne niepokoju i współczucia oblicza radców. Wiedziała, że jej własne uczucia są i tak zbyt wyraźne, i nie chciała odsłaniać się ani trochę bardziej. Spojrzała za to raz jeszcze w oczy cesarza i poczuła jakąś nową więź, która zawiązała się między nimi właśnie w tej chwili.

On odczuł dokładnie to samo. Zdała sobie z tego sprawę widząc teraz w swoim ojcu władcę, a zarazem chłopca, który lata temu stał się mężczyzną. On dobrze wiedział, na co ją naraża, wiedział, przez co przechodzi jego córka, wiedział, do czego ją przed chwilą zmusił. Jego ojciec postąpił z nim niegdyś tak samo. Patrząc na niego zrozumiała to wszystko i zdała sobie sprawę, że ojciec cierpi. Cierpi, dlatego że ją kocha. I ona pokochała go jeszcze mocniej niż do tej pory. O wiele mocniej.

–Wybacz mi ojcze, że znowu zakłóciłam Konklawe – wydusiła z siebie. – To się już nie powtórzy.

Nie zawstydził jej kolejnymi zapewnieniami, iż nic takiego się nie stało. Dobrze wiedziała, że się stało. Bardzo chciała znaleźć się blisko mamy... zdawała sobie sprawę z tego, co właśnie bezpowrotnie utraciła. Nie będzie już mogła nigdy ukryć buzi w rękawie mamy, nie będzie mogła udawać, że świat jest bezpiecznym i przyjaznym miejscem. Teraz – w komnacie pełnej ludzi – poczuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek dotąd.

Cesarz skinął głową i poprosił telepatkę, by podjęła przerwana transmisję mowy dyrektora Limany.

ROZDZIAŁ

DRUGI

Pociąg opuścił wreszcie gwarne miasto Nad Zatoką, leżące w miejscu gdzie Zatoka Shurkhalianka łączyła Morze Palca z wodami Oceanu Harkalańskiego. Mimo, że podróżowali ciągnięci przez wspaniałą i szybką, wybraną przez księcia koronnego lokomotywę, droga zajęła im prawie dziesięć godzin. Konklawe skończyło się już ponad godzinę temu. Halidar Kinshe czuł ogarniające go znużenie. Był wyczerpany, choć na Konklawe zabierał głos stosunkowo rzadko. Wilkon przekazał jemu i księciu przebieg obrad i Kinshe musiał szczerze przyznać, że wszystko skończyło się o wiele lepiej niż się tego wcześniej obawiał. Nie było jednak powodów do zbytniego optymizmu. Wszyscy przywódcy państw byli w jednakowo paskudnych nastrojach. Co gorsza harmonizowały one doskonale z tym, co czuł on sam – z jego poczuciem odpowiedzialności i palącą żądzą zemsty, która rosła w miarę jak zbliżali się do celu.

Nad Zatoką było jednym z najruchliwszych portów świata. Po okalających je wodach, krążyły we wszystkie strony statki pękające od towarów z najprzeróżniejszych zakątków Sharony. Przebiecie się przez tłoczne miasto zajęło im bardzo dużo czasu. Po drodze ominęli wysunięty najdalej na południowy zachód cypel i skierowali się na wschód w kierunku małego miasteczka, w którym Shaylar chodziła do szkoły. Stąd było niedaleko – jedynie trzydzieści mil – lecz gdy pociąg wtoczył się na niewielką stacyjkę i pasażerowie zaczęli wysiadać, słońce chyliło się już dobrze ku zachodowi.

Dłuższy czas zajęło też wyładowanie wierzchowców konnej eskorty. W końcu ruszyli w kierunku Instytutu. Mieszkańcy miasteczka przyglądali się im ciekawie. Niezbyt często widywali powozy oznaczone królewskimi symbolami. Kinshe obserwował jak grupki podekscytowanych gapiów zbierają się na uliczkach i placach. Niezapowiedziana wizyta członka rządzącej dynastii, wzbudziła wielkie poruszenie. W powozie jednak przez całą drogę panowała cisza. Wyjechali z miasta i trzy mile potem zobaczyli budynki Instytutu Waleni.

W tej części Shurkhal Kinshe nie był od długich lat – czy mówiąc bardziej dokładnie – od dziesięcioleci. Jako młody, świeżo wybrany członek parlamentu stał na tutejszej plaży, gdy uczestniczył w uroczystości otwarcia Instytutu, który był jedynym w całym królestwie ośrodkiem komunikacji z waleniami. Z jednej strony była to ambasada, lecz przede wszystkim stacja badawcza. Założyła ją dr Shalassar Kolmayr-Brintal, która – choć nie shurkhalianka z urodzenia – przysłużyła się wielce całemu krajowi.

To dzięki jej pracy, delfiny wskazały nurkom drogę do bogatych ławic perłowych, które bez ich pomocy mogły pozostać w ukryciu jeszcze przez długie stulecia. Perły

z Shurkhal, słynące ze swych rozmiarów i szczególnego blasku, osiągały na światowych rynkach zawrotne wręcz ceny. Królestwo Shurkhal zapewniło sobie także prawa do eksploracji odpowiedników swych złóż pereł, w nowo odkrywanych wszechświatach, co z jednej strony umocniło jeszcze prestiż królestwa, a z drugiej zapewniło dopływ gotówki, pozwalającej na zakładanie i rozbudowę kolonii.

Wszyscy obywatele Shurkhal wiedzieli, komu powinni być za to wszystko wdzięczni i z kogo mogą być dumni. Shalassar Kolmayr-Brindal stała się jednym z nich, mimo że urodziła się na jednej z tysiąca maleńkich wysepek Oceanu Zachodniego. Ocean Zachodni był największym akwenem Sharony. Z północy na południe jego wody przelewały się przez dziewięć tysięcy mil, a wzdłuż równoleżnika ciągnęły się przez niemal dziesięć tysięcy mil. Wysepki na tym ogromnym oceanie w większości należały do Republiki Lissii, która zajmowała wielką wyspę o rozmiarach całego kontynentu, gdzie rodziły się najdziwniejsze stworzenia Sharony.

Właśnie na jednej z tych maleńkich wysepek wychowała się Shalassar. Jej Talent telepatyczny od początku okazał się szalenie mocny i przez całe dzieciństwo jej najlepszymi przyjaciółmi były delfiny i wielkie wieloryby, żyjące w głębinach Oceanu Zachodniego. Do Shurkhal przybyła właśnie po to, by założyć w królestwie Instytut, który miał stać się częścią łańcucha placówek służących poszerzaniu kontaktów ludzi z inteligentnymi morskimi ssakami.

Znaleźli się już na tyle blisko, że wyraźnie widzieli spory pomost i rozległy, ograniczony linami teren, stanowiący oficjalną ambasadę. Na żerdzi przy pomocy wisiał duży dzwon, którego solidna lina znikwała pod wodą. Dzwon służył jako przyrząd sygnałowy. Kinshe słyszał, że niekiedy trzeba było wymieniać zarówno dzwon jak i sam pomost. Zdarzało się to wtedy, gdy któryś z mniej doświadczonych emisariuszy morskich ssaków, szarpnął za linę nieco zbyt mocno. Tym jednak, tak samo jak niczym innym w życiu, Shalassar zanadto się nie przejmowała.

Kinshe zagryzł wargę i pomyślał gorzko, że od dzisiaj miało się to zmienić.

Wewnątrz nie było nikogo. Znaleźli przytwierdzoną do drzwi kartkę: „Jesteśmy w ambasadzie. Zapraszamy. Woda jest cudowna!”

Odczytał tchnące radością słowa i po raz kolejny ból ścisnął go za serce. Spojrzał na żonę. Także i ona przygryzła wargę. Wziął ją za rękę i wrócili do powozu. Przejechali kolejne pół mili i dotarli do skupiska budynków wzniesionych nad samą wodą. Panującą dokoła błogą ciszę, mąciły jedynie podmuchy wiatru i miarowy, przypominający bicie serca rytm morskich fal. Cisza w powozie jednak nie była błoga. Ciężła im, niczym zbierająca się na horyzoncie burza. Tę ciszę zakłócał ostry jak nóż stukot podków o żwir, którym wysypano drogę.

–Hal – powiedziała cicho Alimar i ścisnęła dłoń męża. Chciała dodać coś jeszcze,

lecz zamilkła i znów zapadła głucha cisza. Jeszcze w pociągu usilnie próbowała go przekonać, że to nie on zawinił tragedii. Bardzo się starała, choć wiedziała, że prawdopodobnie będzie musiała tłumaczyć mu to jeszcze na łożu śmierci.

Powóz klekocąc zatrzymał się przed głównym budynkiem administracyjnym Instytutu. Lokaj otworzył drzwiczki i tym razem jako pierwszy wysiadł książę. Pomógł wsiąść Alimar. Jako trzeci wyszedł Kinshe, na samym końcu pojawił się na zewnątrz Wilkon.

Otworzyły się drzwi i wybiegła ze środka Shalassar Kolmayr-Brindal. Zaskoczona otworzyła szeroko oczy. Przyjrzała się królewskiemu herbowi na drzwiach powozu.

–Wasza wysokość! – powiedziała – zdumiona obecnością księcia – i poseł Kinshe! – dodała dygając głęboko. Tego gestu nauczyła się dopiero po przybyciu do Shurkhal. Halidar pomyślał, że Shaylar była miniaturką tej kobiety, której lissiańskie dziedzictwo uwidoczniło się w jej miodowej cerze i czarnych, lśniących, prostych włosach spływających niczym wodospad na jej plecy. Gdzeniegdzie przetykały je smużki srebrnej siwizny – jedyne świadectwa wieku, jakie u niej zauważył. Ich przyjazd zaskoczył ją niezmiernie, lecz starała się nie dać tego po sobie poznać. Pomogła jej w tym wewnętrzna, naturalna godność i wdzięk.

–Proszę nam wybaczyć ten niezapowiedziany najazd – powiedział uprzejmie Danith Fyysel. Decyzja o tym, by nie uprzedzić Shalassar telepatycznie o przyjeździe należała do niego, lecz Kinshe zgadzał się z tym całkowicie. Mogli oczywiście poprosić Wilkona, by uprzedził i ją i jej męża, lecz zgodnie postanowili milczeć. Nie chcieli niepokoić rodziców Shaylar zbyt wcześnie. Książę wziął kobietę za rękę, pomógł jej się podnieść i przedstawił swych towarzyszy.

–Posła Kinshe już pani zna – powiedział. – Pozwolę sobie więc przedstawić jego żonę, Alimar Kinshe-Falis i Samarię Wilkona, który pracuje jako starszy Głos w Zarządzie Portali – dopełnił formalności i zaczerpnął głęboko powietrza. – Ja towarzyszę posłowi Kinshe i Głosowi Wilkonowi w tej podróży na wyraźną prośbę mojego ojca. Muszę teraz zapytać; pani doktor, czy zastaliśmy pani męża?

Shalassar uniosła brwi. Patrzyła to na księcia, to znów na Kinshego.

–Tak, on... – zaczęła i nagle urwała. Spojrzała w oczy księcia koronnego Danitha i pobladła.

–Coś się stało, prawda? – spytała w napięciu. – Coś złego?

Danith wyprostował ramiona, lecz uprzedził go Halidar Kinshe. Wystąpił o krok do przodu, zanim książę zdążył cokolwiek powiedzieć. Bardzo by chciał, żeby mógł się tego podjąć kto inny. Ponury obowiązek spoczywał jednak na jego barkach.

– Przybywamy z wiadomością, pani doktor. Bardzo pilną i ważną wiadomością. Możemy ją jednak przekazać wyłącznie w obecności pani męża.

Shalassar przycisnęła dłonie do policzków. Jej długie, smukłe palce wyraźnie się trzęsły.

–Chodzi o Shayl? Tak? Coś się stało mojej maleńkiej Shayl...

Usta kobiety zadrżały niepewnie, wielkie czarne oczy pokrył cień. Kinshe domyślił się, że Shalassar musi być bardzo zdenerwowana. Użyła panińskiej formy imienia córki. Wpatrywała się w Kinshego jeszcze przez kilka sekund, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę Instytutu. Zatrzymała się jednak i na powrót spojrzała na przybyszy.

–Wejdźcie proszę – zaprosiła ich słabnącym głosem. – Nie stójcie państwo na słońcu. Musi być wam wszystkim potwornie gorąco, z pewnością jesteście też spragnieni. Poproszę by podano wam zimną wodę i owoce...

Alimar znów przygryzła wargę i mocniej ucisnęła męża. Szkoda jej było Shalassar, która nawet w takim momencie starała się uczynić zadość konwenansom. Weszli do lobby Instytutu. Budynek przeznaczony był głównie pod biura, do których prowadził niewielkich rozmiarów przedsionek, w nim zjawiający się z rzadka goście mogli poczekać dwie lub trzy minuty na przybycie dyrektora.

Przez otwarte na oścież okna wpadała do wewnątrz morska bryza. Niosła ze sobą jedyny w swoim rodzaju zapach oceanicznej głębi. W grubych ścianach Instytutu panował przyjemny chłód, kojący nawet teraz, gdy na zewnątrz szalał żar. Kolorowe boje podtrzymujące zagrodzony akwen ambasady raziły oczy, odbijając wściekle jaskrawy blask słońca. Kinshego znów zabolowało serce. Czuł się jak potwór, który przybył skazać to piękne miejsce swymi czarnymi słowami.

Po chwili pojawiła się jedna z pracownic Instytutu. Przyniosła obiecane napoje. Shalassar poszła poszukać męża. Mogła, co prawda skontaktować się z nim przy pomocy myśli – oboje byli Utalentowanymi telepatami, a ich zdolności pogłębiała jeszcze małżeńska Więż, lecz wybrała się po niego osobiście. „Bez wątpienia po to” – pomyślał Kinshe – „żeby się po drodze uspokoić i odnaleźć w sobie odwagę, do wysłuchania wiadomości”.

Upił łyk rozkosznie chłodnej wody. Nie mógł się zmusić do skosztowania choć jednej z przyniesionych przez asystentkę Shalassar, soczystych cząstek pomarańczy. Nie spróbował nawet słodkich daktyli leżących na paterze. Żołądek Kinshego buntował się na samą tylko myśl o jedzeniu. Wilkon także nie tknął poczęstunku. W oczach telepaty widać było zdenerwowanie jeszcze silniejsze od tego, które odczuwał poseł. Kinshe znał tylko treść wiadomości, którą mieli

przekazać rodzinie Shaylar, lecz nie był Głosem. Wilkon był Głosem i nie tylko miał świadomość, jakiego rodzaju nowiny muszą obwieścić, lecz doświadczył całej tragedii we własnym umyśle.

Po jakimś czasie powróciła Shalassar, prowadząc za sobą męża. Thaminar Kolmayr, podobnie jak większość Shurkhalian pełnej krwi był szczupłym mężczyzną, ani wysokim ani niskim. Nie miał na sobie ani jednego grama zbędnego tłuszczu. Przypominał kawałek starej, dobrze wyprawionej, mocnej skóry. Mimo że posiadał silny Talent, z wyboru pozostał na ojcowiznie i pracował jako rolnik i hodowca trzód. Nigdy nie próbował nawet zostać zarejestrowanym Głosem. Cerę miał zniszczoną, pokrytą zmarszczkami, stwardniałą od długich godzin spędzanych przy pracy w palącym, pustynnym słońcu. Cechowała go – właściwa także wszystkim jego pobratymcom – godność postawy i zachowania. Powitał księcia głębokim, oficjalnym ukłonem, po czym spojrział Kinshemu prosto w oczy. Pod ciemną, krótko przystrzyżoną brodą zadrgała mu szczęka.

–Proszę do gabinetu – powiedział. – To lepsze miejsce do rozmowy.

Przeszli do pomieszczenia, którego wystrój w równym stopniu, co reszta osiągnięć, odzwierciedlał historię życia właścicielki. Na ścianach wisiały wyspiarskie obrazy – pamiątki z panięskich lat Shalassar. Większość miejsca zajmowały drewniane, starannie natłuszczane, by mogły oprzeć się surowemu klimatowi pustyni, szafki z dokumentami. Stojące w narożniku biurko wyglądało na dostawione na siłę, jakby było jedynym ustępstwem na rzecz typowej organizacji biura. To przy nim właśnie Shalassar spisywała rozmowy z przedstawicielami mieszkańców morza, czytała prace studentów, których wielu wykształciła w ciągu lat swej pracy, pisała tu swe artykuły i książki. Zdarzało się też, że przy tym biurku podpisywano traktaty regulujące stosunki narodów Sharony z ich myślącymi, podwodnymi sąsiadami.

Myśląc o tym, Kinshe dostrzegł w widocznej za oknem wodzie kilka zgrabnych, pokrytych lśniąca skórą ciał wybijających się co chwilę nad powierzchnię. Do jego uszu dobiegł syk powietrza, oddychających morskich ssaków. Sądząc po rozmiarach uznał je za stado delfinów, choć były wśród nich także dwa większe zwierzęta, których gatunku nie był pewien.

Ojciec Shaylar zamknął za nimi drzwi. Kinshe dokonał ponownej prezentacji gości. Thaminar Kolmayr stał obok żony. Trzymali się za ręce. Dwoje telepatów, złączonych na tę jedną chwilę we wspólną, przerażoną osobowość rodziców. Patrzyli na przybyszy szeroko otwartymi, wylęknionymi oczami.

–Co się stało? – spytał w końcu Thaminar, głosem ostrzejszym niż przedtem. – Co mogło się stać tak złego, że sam król na posłańców wyznaczył swojego następcę i posła?

–Miał miejsce pewien incydent... – zaczął Kinshe i urwał, przeklinając się w duchu za własne tchórzostwo. Poprawił się. – Obywatele Sharony padli ofiarą wrogiej napaści. Bardzo mi przykro, że muszę oznajmiać państwu tego rodzaju nowiny. Dyrektor Zarządu Portali poprosił Głosa Wilkona, by przekazał wam ostatnią wiadomość przesłaną przez państwa córkę.

Na dźwięk złowieszczego słowa „ostatnią” pod Shalassar ugięły się kolana. Uchwyciła się męża, zacisnęła powieki i opuściła się powoli na krzesło, zaczęła się trząść. Thaminar uklękła przy żonie, objął ją ramieniem i podniósł wściekle spojrzenie na Kinshego.

– Kinshe? Co to ma znaczyć? Wroga napaść? To brzmi jak wojna...

– Owszem – poseł przytaknął, starając się nie tracić kontroli nad emocjami. – Nadal nie znamy zbyt wielu szczegółów, lecz pewne jest, że zespół, w którym pracowała Shaylar natknął się na przedstawicieli nieznannej, ludzkiej cywilizacji – najwyraźniej wrogo nastawionej. Pierwszy jej przekaz poinformował nas o morderstwie, popełnionym na jednym z jej kolegów. Starali się uciec do najbliższego portalu, lecz nie udało im się.

Shalassar załkała. Oddychała z trudem. Jej wilgotną od łez twarz ścisnął żal i trwoga. Kinshe zmusił się, by dokończyć.

–Druga i ostatnia wiadomość od niej została nadana niecałe dwie godziny po pierwszej. Z powodu opóźnień na linii, dogoniła po drodze pierwszą i obie dotarły do Zarządu dzisiejszego poranka.

Odchrząknął.

–Być może część z nich przeżyła – powiedział – choć nie ma na to zbyt wielkich szans – dodał pospiesznie, widząc z bólem, jak nadzieja gaśnie w oczach obojga rodziców Shaylar. – Z najbliższego fortu wysłano ekipę ratunkową. Właśnie po to, by odszukać tych członków zespołu, którzy mogli ujść z życiem z drugiego ataku obcych. Jednak...

Musiał na chwilę zamilknąć. Z trudem przełknął ślinę. Nie był telepatą, lecz i tak czuł, że jego opowieść jest zbyt drastyczna.

–Jednak prawdopodobieństwo, że kogoś uratujemy jest znikome – dokończył cicho i spokojnie. – Zapewniam, że odnajdziemy sprawców tej napaści. Wtedy dowiemy się, czy wzięli kogokolwiek w niewolę. Nie pozostawimy tej zbrodni bez odpowiedniej kary – dodał głosem, który zabrzmiał w jego uszach jak słowa kogoś obcego. – Chcieliśmy – mam na myśli dyrektora naczelnego Zarządu Portali, króla Fyysela i księcia koronnego Danitha, a także Alimar i siebie – przekazać wam tę wiadomość, zanim informacja o ataku zostanie upubliczniona.

–Przywódcy narodów i państw Sharony – ciągnął – zebrali się dzisiaj na Konklawe, by podjąć decyzję, co do naszej reakcji. O tym wydarzeniu rozniosą się wkrótce pogłoski, choć próbowaliśmy nie robić wokół niego szumu. Jednak dziennikarze, gdy tylko dowiedzą się o zwołaniu Konklawe, zaczną zadawać pytania o jego powód. My ze swojej strony chcieliśmy mieć absolutną pewność, że nie dowiecie się państwo z gazet. Matka Shaylar uniosła głowę.

–I jak przywódcy Sharony zamierzają zareagować? – spytała szorstko.

Halidar Kinshe odetchnął głęboko i powiedział jej. Gdy wspomniał, że jest bardzo możliwe, iż siły zbrojne Sharony zostaną znacznie wzmocnione kolejnymi rekrutami, oboje pobledli. Kinshego to jednak nie zdziwiło. Dobrze wiedział, że Shaylar miała braci w wieku poborowym, którzy wkrótce poznają powód, dla którego bez wątpienia zechcą zgłosić się na ochotnika.

–Przykro mi – powiedział. – Moglibyśmy z naszej strony wprowadzić przepis zabraniający wcielania do armii wszystkich męskich spadkobierców z danej rodziny. To nawet mogłoby przejść, ale przecież nie powstrzymalibyśmy ich od zaciągnięcia się, na przykład pod fałszywymi nazwiskami.

Ojciec Shaylar popatrzył mu w oczy. Po dłuższej chwili pokręcił głową.

–Nie, nie powstrzymalibyśmy – zgodził się ponuro. – Moi synowie są za bardzo do mnie podobni i wiem, na co ich stać. Jestem jednak panu niezmiernie wdzięczny za troskę i za chęć pomocy. To bardzo wspaniałomyślny gest. Nie wiem, co by się z nami stało, gdyby i oni...

Urwał. Słowa nie chciały przejść mu przez gardło. Zapadła upiorna cisza. Przerwał ją wreszcie książę Danith.

–Ojciec prosił mnie o przekazanie państwu jeszcze jednej wiadomości. Za państwa pozwoleniem uczynię to teraz... zanim jeszcze Głos przekaże państwu relację Shaylar.

Shalassar zadrżała. Mocniej jeszcze ścisnęła męża i skuliła się nieznacznie na krześle.

–Słucham – powiedziała grobowym głosem.

–Jego wysokość zapewnia, że nigdy nie ustanie w wysiłkach mających na celu odnalezienia państwa córki, nie spocznie, póki – przynajmniej – nie wyjaśnimy wszystkich szczegółów tej tragedii. Zgodnie z postanowieniami dzisiejszego Konklawe, Shurkhal wzmacnia swą armię i wszyscy jej żołnierze, poza i ponad wszystkimi innymi zadaniami otrzymają jedno konkretne: odnaleźć Shaylar Nargre-Kolmayr... lub ludzi, którzy ją zamordowali. Przez oblicze doktor Kolmayr-Brintal

przebiegł cień. Książę zacisnął usta.

–Przykro mi – dodał głosem, w którym słychać było jego własne cierpienie – ale musimy stawić czoła ewentualności, że ona odeszła i podejmować odpowiednie do tej możliwości działania.

Nabrał głęboko powietrza i mówił dalej.

–Cały naród naszego królestwa odczuje tę stratę bardzo boleśnie. To cios zadany nie tylko naszej narodowej dumie, ale i samej duszy tego kraju. Jego wysokość uprasza was, byście pamiętali, że wasza córka stanowiła obiekt uwielbienia milionów obywateli – ci sami ludzie, gdy tylko dotrze do nich ta tragiczna wiadomość, otoczą najwyższym szacunkiem również was. Jego wysokość zdaje sobie sprawę, jak ciężka i bolesna jest dla państwa ta strata, postanowił więc przysłać wam kilka osób, które pomogą wam uporać się z szumem, jaki wokół państwa osób niewątpliwie powstanie, gdy media podadzą informację o ataku. Jeśli dysponujecie jakimś małym biurem, być może na terenie Instytutu, które moglibyście oddać tym ludziom do dyspozycji, zajmą się oni wszystkim, a państwo uchronią w ten sposób swą prywatność, tak potrzebną w chwilach podobnego nieszczęścia. Czy przyjmiecie państwo tę propozycję?

Rodzice Shaylar patrzyli na księcia szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma. Byli w zbyt silnym szoku by zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź. Kinshemu przemknęło przez głowę, że być może aż do tej chwili nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo popularna była ich córka w całym Shurkhal, ani z tego jak boleśnie całe królestwo odbierze jej śmierć. Kochali ją przecież nawet ci, którym nie podobało się, że pracowała w męskim zawodzie... możliwe zresztą, że to właśnie oni uwielbiali ją najbardziej.

Pierwszy doszedł do siebie Thaminar.

–To chyba nie jest... chciałem powiedzieć, czy to naprawdę konieczne?

–Owszem, proszę pana – odpowiedział cicho książę Danith, wkładając w każde słowo najszczerzą powagę. – Uważam, że to naprawdę konieczne. Jego wysokość zgadza się z tą opinią.

–Ja także się zgadzam – dodał spokojnie Kinshe. – Wasza rodzina najmocniej odczuje szok i wściekłość wszystkich mieszkańców Sharony. My – to znaczy król, parlament i wszyscy pozostali w Shurkhal – nie możemy pozwolić wam zмагаć się z tym wszystkim samotnie. Nie jesteście przygotowani na to, co zacznie się dziać, kiedy wszyscy poznają prawdę. Nasi ludzie pomogą wam przebrnąć przez ten chaos, co i tak jest niczym przy bezmiarze cierpienia i przy stracie, jaką państwo ponieśliście. Naprawdę potrzebny wam ktoś do pomocy. Pozwólcie nam sobie

pomóc, nawet jeśli ta pomoc jest tak skromna.

Shalassar skinęła. Jej głowa poruszała się niczym główka zepsutej marionetki. Thaminar wyglądał na zagubionego. Był w tej chwili silnym mężczyzną, do którego bólu i gniewu dołączyło się coś jeszcze. Coś, czego nie rozumiał. Coś, co napawało go lękiem. Jego spojrzenie – sięgające teraz dużo dalej, poza gabinet wypełniony drewnianymi szafkami, poza grube ściany budynku i poza jego okna, a także poza pachnące, połyskujące w słońcu morze – stopniowo wróciło do zebranych i skupiło się na następcy tronu.

–Rozumiem – powiedział pustym, wyjałowionym z uczuć głosem. – Jeżeli na nasze barki ma spaść jeszcze większy ciężar, to rzeczywiście czyjaś obecność może okazać się wielce pomocna. – Kinshe poczuł, że ojciec Shaylar zbierał w sobie siły – choć mogły to być jedynie resztki odwagi. Mężczyzna zwrócił się do telepaty.

–Pan przyniósł wiadomość od mojego dziecka?

–Tak – głos Wilkona nabrzmiał bólem. – Błagam was oboje o wybaczenie tego, co zaraz państwu pokażę.

Rodzice Shaylar wtulili się w siebie jeszcze mocniej. Ich palce wpite wzajemnie w siebie zdrząły.

–Proszę nam pokazać – wychrypiał Thaminar.

Zamknęli oczy i przez mgnienie – może był to okres dwóch uderzeń serca – nic się nie wydarzyło.

Potem, nagle i równocześnie, niczym kierowani jednym duchem drgnęli. Kinshe nie próbował nawet znaleźć określenia dla dźwięku, który dobył się z ust Shalassar. Brzmiał trochę jak odgłos rozdzieranego płótna... a może raczej jak coś miękkiego, ginącego pod kołami pociągu. Cierpiał patrząc na nich, lecz nie był w stanie odwrócić wzroku od kropel potu zbierających się na ich czołach, od drżenia ich zboliałych mięśni, od...

Nagle ktoś krzyknął. I nie byli to rodzice Shaylar. Głos doleciał z zewnątrz, zza okna. Z morza...

Kinshe odwrócił się i wyrżał. Ograniczony linami akwen, stanowiący ambasadę morskich stworzeń oszalał. Delfiny wyskakiwały z wody. Było ich pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt. Stawały na ogonach i wydawały z siebie głosy, które zmroziły posłowi krew w żyłach. Po chwili rozległ się inny głos – niski, głęboki – i pojawił się wieloryb. Większy od kolejowego wagonu, którym tu przybyli. Wynurzył się nad lustro wody, przez niecałą sekundę utrzymał się na ogonie niczym góra połyskliwego ciała, wbijająca się wprost w pustynne niebo. Jego krzyk stłumił wszystko inne. Kinshe

poczuł go nawet we własnych kościach. Fala dźwięku uderzyła w okno niczym pięść. Woda plusnęła głośno, gdy stworzenie opadło z powrotem w fale, niszcząc pomost i wciągając dzwon w głębinę.

„Humbak” – zdał sobie sprawę w najwyższym zdumieniu - „Śpiewający wieloryb”. Tym razem jednak morski olbrzym nie śpiewał. Wściekle ryczał. Krzyczał z czystego, nieopanowanego gniewu i bezsilności.

„Na bogów!” – Kinshe pojął, że Shalassar nadawała to, co odbierała od Wilkona. Być może nawet nieświadomie. Jednak walenie to wszystko odbierały. Odwrócił wzrok od okna i spojrzał na kobietę. Trzęsa się. Zaciskała powieki ze wszystkich sił. Wydawała z siebie dźwięki, jakie można niekiedy usłyszeć od małych, schwytyanych w pułapkę zwierzątek. Po chwili zeszywniała i szeroko otworzyła oczy.

–Shaylar! – krzyknęła. Jej mąż zadrżał tak gwałtownie, że ledwie zdołał utrzymać równowagę. W następnej chwili matka Shaylar zemdląca. Opadła bezwładnie na krzesło, a głowa osunęła się jej na piersi. Zapadła w błogosławioną nieprzytomność.

Kinshe patrzył na to piekącymi oczyma. Postąpił krok do przodu.

–Nie podchodź do niej! – warknął Thaminar.

Jego oczy przypominały wypalone żywym ogniem dziury. Pochylił się nad żoną. Odgarnął jej z twarzy wilgotne włosy. Raz po raz powtarzał cicho jej imię. Wreszcie słabo zatrzepotała powiekami. Otworzyła oczy. Przez długą chwilę patrzyły jak martwe. Potem jednak wróciło ostre jak uderzenie bata wspomnienie i Shalassar zaczęła płakać. Szlochała głośno, urywanymi falami. Thaminar kołysał ją w ramionach jak dziecko. Sam wyglądał jak wypatroszona marionetka.

Kinshe mógł tylko patrzeć. Poczuł jak po policzku spływa mu łza. Zastanawiał się usilnie, co powinien zrobić. Czy w ogóle ktoś potrafiłby coś zrobić? I wtedy...

–Mężczyźni. Wynoście się stąd! – Alimar Kinshe-Falis powiedziała z naciskiem do swego męża, swego księcia i Samariego Wilkona. To nie była prośba. To był rozkaz. – Idźcie stąd. Zajmijcie się czymś. Nie wiem czym. Wynoście się.

Nawet na nich nie spojrzała. Podeszła przez gabinet do matki Shaylar, wzięła ją w ramiona i spojrzała na Thaminara.

–Przynieś trochę brandy, jeśli macie – rozkazała. – W ostateczności może być wino. Ona tego potrzebuje.

Ku niepomiernemu zaskoczeniu Kinshego, ojciec Shaylar wstał bez słowa i wyszedł z gabinetu. Szedł jak duch, który przemierza świat, niedostępny już jego zmysłom. Poseł popatrzył za nim i zrozumiał.

„On musi czuć się potrzebny. Musi wiedzieć, że może zrobić coś, by pomóc żonie. Sam nie wiedział jak ma to zrobić.”

Szacunek, jaki Halidar Kinshe żywił do żony od zawsze był wysoki. W tej chwili jednak wznósł się na niebotyczny poziom. Wyszedł na palcach z gabinetu i przywołał gestem pozostałych.

Alimar dużo lepiej od niego wiedziała, co trzeba zrobić. Pozwolił jej na to.

ROZDZIAŁ

TRZECI

Starszy miecznik Otwal Threbuch przemykał przez mrok niczym duch.

Czuł się zresztą dokładnie tak, jak z pewnością czują się wszystkie duchy świata - było mu zimno, wewnątrz siebie miał tylko pustkę i wrażenie, że znalazł się niewiarygodnie nie na miejscu. Nie powinno go już być wśród żywych. To, co zobaczył spowodowało, że jakąś częścią siebie żałował, iż nie zginął. Przyszło mu do głowy, że czuje dokładnie to, co od dziesiątków lat starał się wybić z głów świeżo upieczonym rekrutom, którzy nasłuchali się zbyt wielu ballad o heroicznym męstwie. Ta refleksja jednak w niczym mu nie ulżyła. W szczególności nie zmniejszyła drążącego go poczucia winy.

Leżał na gałęzi i patrzył. Nie mógł zrobić absolutnie nic i przyglądał się jak obcy dokonywali rzezi obrońców portalu. Tak samo, jak wszyscy Arkanianie był zaskoczony, gdy ujrzał, że artyleria nieprzyjaciół jest w stanie prowadzić ogień pomiędzy wszechświatami. Rozumiał, że to właśnie dlatego przez ten niespodziewany ostrzał, kompania C – jego kompania – została tak błyskawicznie wycięta w pień. To jednak nie tłumaczyło wszystkiego. W głębi serca przeklinał teraz Hadrigna Thalmayra bardziej gorzko, niż Shevana Garlatha.

Wiedział, co się święci od chwili, gdy ten niekompetentny idiota w mundurze setnika otworzył ogień do kogoś, kto w oczywisty sposób przybył w charakterze parlamentariusza. Thalmayra poznał od razu i widząc go pojął, kto stał za kretyńskim rozlokowaniem wojska. Nie był to więc nagły atak głupoty Olderhana. Tyle, że i ta myśl – myśl o tym, że mózg Sir Jasaka działał nadal jak należy – nie sprawiała, że cierpienie z powodu tego, co spotkało kompanię Threbuca było choć trochę lżejsze.

Przez cały czas trwania walki czuł w sobie przemożną chęć zrobienia czegoś, czegokolwiek. Wołała o to każda komórka jego ciała. Niemniej, wyrobiony przez długie lata służby profesjonalizm przypominał mu o tym, gdzie i po co jest i szeptał, że nie może zrobić niczego. Niczego, co pomogłoby komukolwiek, a już na pewno nie tym przeklinającym, krzyczącym i umierającym na jego oczach ludziom. Być może sam poczułby się nieco lepiej, może nie czułby teraz przytłaczającej winy, nie żałowałby, że przeżył. Ale nic więcej. Tymczasem informacje, w których był posiadaniu mogły pomóc wielu innym. Musiał je dostarczyć. Co więcej – o ile się nie mylił – był ostatnim żołnierzem kompanii C, pozostającym na wolności. Nikt poza nim nie mógł już opowiedzieć pięćsetnikowi Klianowi o tym, co się tu stało.

Zacisnął szczęki. Gdy pomyślał o tym wszystkim, z czego będzie musiał zdać raport – w tym o śmierci Emiyeta Borkaza – zapiekły go oczy.

Borkaz nie potrafił siedzieć beczynn timer. W chwili, kiedy zdesperowane niedobitki obrońców rzuciły się do beznadziejnego ataku, próbując przenieść swą ciężką broń na drugą stronę portalu, zwiadowca wyskoczył z ukrycia i, z krzykiem i przekleństwami na ustach pobiegł ku walczącym. Zanim obcy zauważyli szarżującego Arkanianina przebył prawie całą drogę pomiędzy drzewami. Threbuchowi wydawało się także, że Borkaz zabił, co najmniej jednego z wrogów (czyli i tak miał ich na koncie więcej od miecznika). Potem jednak pociski z potwornej, grzmiącej broni uderzyły w jego ciało. Trzy. Niemal jednocześnie. Z pewnością zginął zanim jeszcze jego ciało padło na ziemię.

Mimo wszystko obcy też popełniają błędy. Borkaz zaatakował ich od tyłu, więc powinni byli wysłać w tę właśnie stronę kilka patroli. Przecież nie mogli mieć pewności, czy za nimi nie czai się ktoś jeszcze. Być może jednak Threbuch oceniał ich zbyt surowo. Teren był mocno pofałdowany i mogli się nawet nie zorientować skąd nadbiegł Borkaz. Mogli pomyśleć, że podobnie jak reszta przybył zza portalu, tyle, że był szybszy od swoich towarzyszy.

Miecznik zamarł w pół kroku. Zauważył wśród drzew jakieś poruszenie. Stanął wyężdżając wzrok i słuch. Tam!

Nieprzyjacielski strażnik poruszył się bardzo nieznacznie. Być może tylko na tyle, żeby pobudzić krążenie w zdrętwiałej nodze. Threbuch ominął go w zupełnej ciszy szerokim łukiem z prawej strony.

Kusiło go przemożnie, by inaczej zakończyć to spotkanie. Wśród śpiewnych podmuchów nocnego wiatru, jego kuszy nie usłyszałby nikt. Co więcej – był przekonany, że bez większych problemów zdołałby podkraść się do obcego z tyłu i poderżnąć mu gardło. Robił to już wcześniej. Chęć przynajmniej takiej odłaty za to, co spotkało kompanię C paliła go jak rozżarzone węgle. Zbyt dobrze jednak wiedział, na czym polega jego zadanie. Z pewnością nie brzmiało ono: zabić jednego, dwóch lub tuzin wrogich żołnierzy. I czykolwiek osobista satysfakcja nie miała tu nic do rzeczy. Jego misja polegała na dotarciu do domu z najpotężniejszą we wszystkich wszechświatach bronią – z informacją. Gdyby natomiast pokusił się o zabicie, choć jednego z obcych, to nie mieliby już żadnych wątpliwości, że z potyczki wymknął się przynajmniej jeden Arkanianin. Zdaliby sobie sprawę z wagi wiadomości, które uciekinier może przekazać swoim i wysłaliby za nim bezlitosny pościg, przed którym mógłby już nie uciec.

Wyraźnie poczuł moment przejścia. Przeczolgał się przez portal. W jednej chwili mroźna jesień zamieniła się w tropikalny upał. Wysiłkiem woli odepchnął od siebie nagle ogarniające go poczucie bezpieczeństwa. Wiedział, że nie jest bezpieczny. Nawet najmniej kompetentny dowódca – a oficer dowodzący obcymi był wyraźnie bardzo zdolny – wystawiłby strażę po obu stronach portalu.

Szedł dalej. Przedzierał się ostrożnie przez gęstą, bagienną trawę, pełził w błocie. Modlił się, by nie wypłoszyć z gniazda żadnego ptaka, który wzbiłby się w powietrze zbyt głośno trzepocząc skrzydłami.

Udało mu się jednak. Udało mu się też niezauważenie przejść obok kolejnego strażnika obcych, którego wyraźną sylwetkę zobaczył na tle księżycowej tarczy. Przebycie odcinka nieco ponad ośmiuset jardów zajęło mu bite trzy godziny, ale nie żałował czasu. Przeżył i to się teraz liczyło najbardziej. Kiedy zniszczony obóz znalazł się ćwierć mili za nim, podniósł się wreszcie na nogi i ruszył przed siebie. Myśl o przebrnięciu przez siedemset mil bagien pełnych jadowitych węży i krokodyli, bez racji żywnościowych nie była szczególnie pociągająca, lecz lepszego pomysłu po prostu nie miał.

*** * ***

Nieco ponad godzinę później Threbuch zeszywniał w najwyższym zdumieniu. Znieruchomiał nasłuchując odgłosów nocy. Rzucił okiem na swój kryształ osobisty. Jego szkliste serce świeciło słabym blaskiem. Rozmyślnie przytłumił światło, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Otworzył szeroko oczy. Na wyświetlaczu błyskał miarowo mały, ostro zakończony diament.

Stał tak jeszcze przez kilka chwil. Patrzył. Diament jednak znieruchomiał. Minęło jeszcze trochę czasu i miecznik odwrócił się w prawo tak, by zrównać swój, wskazywany w kryształ zieloną strzałką kierunek marszu z kursem, w jakim znajdował się diament. Ruszył powoli, ostrożnie przez sięgające mu do kolan błoto.

Diament zamrugął silniej i z większą częstotliwością, po czym, z nienacką przestał mrugać i zaczął płonąć jednostajnym, zielonym światłem.

Threbuch zatrzymał się. Stał w gęsto zarośniętym, wyjątkowo mrocznym miejscu, osłonięty od wiatru przez kępę wysokich, tropikalnych drzew, moczących swe korzenie w bagienną wodzie. Przyjrzał się w chwilowym zachwycie pięknemu efektowi, jaki tworzyła kombinacja księżycowego światła, cieni i kołyszących się na wietrze traw. Wreszcie chrząknął głośno.

–Kto tam? – zapytał ostro.

–Starszy miecznik! – odpowiedział mu zaskoczony, zachrypnięty głos. – Na bogów! Gdzie się pan podziewał?

–O cholera! – Iggy?

–Tak, mieczniku.

Threbuch patrzył z niedowierzaniem. Spomiędzy drzew wyszedł powoli Iggy

Shulthan. Wyglądał jednak dziwnie niekształtnie. Oczy miecznika rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy zrozumiał, co za „garb” dźwigał Shulthan na plecach.

–Bogowie! – na pół szepnął, na pół zawołał Threbuch głosem człowieka, który nieoczekiwanie stał się świadkiem cudu. – Masz brzęczki!

Treser ptaków wyciągnął dłoń. Miecznik podał mu swoją i wymienili uścisk tak mocny, że Threbuch poczuł go w kościach. Twarz młodszego podoficera uwalana była błotem. W jego oczach – nawet przy nikłej poświacie księżycy – nadal widać było wspomnienia przerażających scen, których Shulthan był świadkiem. „A może” – zastanowił się Threbuch – „może mi się tylko wydaje. Może widzę je w jego źrenicach, bo wiem, że sam noszę je w sobie.”

–Ja... ja uciekłem miecznikowi – w głosie oszczepnika słychać było wstyd. – Złapałem tylko te brzęczki – tak czytałem w Regulaminie – i pobiegłem. Uciekłem!

Gardło dławili mu łyzy. Threbuch puścił jego dłoń i złapał mocno za ramiona.

–Synu, postąpiłeś właśnie tak, jak należało – zapewnił Shulthana. – Nawet przez chwilę nie wolno ci myśleć inaczej. Regulamin nie powstał bez powodu. To ty jesteś jedynym łącznikiem kompanii z całą resztą armii. Kiedy coś się pieprzy, ktoś musi poinformować o tym dowództwo. Tym kimś jest właśnie treser brzęczków.

–Ale nie dostałem rozkazu od setnika – wyszeptał Shulthan mrugając przez łyzy. – Padł tak szybko... Oni strzelali do nas, jak do kaczek i...

–Wiem Iggy – powiedział łagodnie Threbuch. – Ja utknąłem po ich stronie portalu. Mogłem tylko siedzieć i patrzeć na to wszystko. Właśnie dlatego, że moje informacje są dla pięćsetnika Kliana tak samo ważne jak twoje – miecznik zauważył, że jeżeli nie przełknie kilka razy śliny to nie powie już ni słowa. – To była chyba najcięższa próba w całym moim życiu. Nie myśl więc, że nie rozumiem co czujesz, Iggy.

Młodszy z mężczyzn bez słowa skinął głową. Miecznik uściśnął go raz jeszcze i wypuścił z objęć. Cofnął się i chrząknął.

–Myślisz, że komuś jeszcze mogło się udać?

–Nie miecznikowi – Shulthan pokręcił głową. – Nikogo nie widziałem. Nawet tamtych.

–Ja też nie widziałem, żadnych oznak pościgu – przytaknął Threbuch, choć odpowiedź oszczepnika nie była tą wymarzoną. Zresztą o tym, że treser jest sam wiedział już wcześniej. KO, który miał ze sobą – w odróżnieniu od kryształu Shulthana – wyposażony był w zaklęcie wskazujące lokalizację wszystkich żołnierzy kompanii w promieniu pięciuset jardów. Idąc przez bagna uruchomił czar nawigacyjny, który już samodzielnie wywołał funkcję lokalizatora. Tyle, że urządzenie

nie pokazało mu nikogo – poza Iggym. Miał jednak nadzieję, że Shulthan wiedział o kimś, kto uciekł w inną stronę, o kimś, kto ukrywał się dalej niż ćwierć mili od nich i kto też chciał dotrzeć na odległe wybrzeże.

–A gdzie Borkaz? – spytał po chwili oszczepnik. Twarz Threbucha spał nagły grymas.

–Nie udało mu się – pokręcił głową i zaczął wyjaśniać, lecz zaraz przerwał. Wyraźnie widział, że Shulthan nadal mocno przeżywał fakt pozostawienia ginących przyjaciół z tyłu. Zrozumiał, że nie pomoże mu opowiadając o śmierci Borkaza, przypuszczającego straceńczy atak na obcych. To musiało poczekać przynajmniej do momentu, kiedy Shulthan zrozumie, że postąpił rozsądnie, a Borkaz po prostu głupio.

–No, ale zajmijmy się sobą – dodał miecznik moment później. – Wysłałeś już brzęczka?

–Nie, mieczniku – Shulthan pokręcił głową. – Najpierw po prostu biegłem, a potem się ukryłem – przyznał ze wstydem.

–Nie myśl sobie, że ja robiłem cokolwiek innego – powiedział Threbuch i podniósł wzrok. Spojrzał w niebo i zdał sobie sprawę, że jest już dobrze po północy. – Musimy wysłać jednego teraz. Zanim doleci na wybrzeże będzie już dzień, a pięćsetnik Klian musi się o wszystkim dowiedzieć. Poza tym, musimy przygotować jakieś lądowisko, jeśli chcemy, żeby nas stąd wyciągnęli.

–Tak jest, mieczniku.

Threbuch spojrział na wyświetlacz swojego kryształu. Chciał wyszukać odpowiednie miejsce, w którym mógłby wylądować smok. Musiało być odpowiednio oddalone od obozu. Bogowie tylko przecież wiedzieli, na jaki dystans działała ta niesamowita artyleria obcych.

Gdy się tak zastanawiał poczuł bolesny skurcz pustego żołądka. Spojrzał na Shulthana.

–Nie masz przypadkiem ze sobą czegoś do jedzenia Igggy? – zapytał i mrugnął okiem. Młodszy żołnierz się roześmiał.

–A właśnie że mam, mieczniku. Zabrałem ze sobą plecak i jest w nim kilka żelaznych racji.

–Igggy, jaka szkoda, że nie jesteś kobietą – powiedział Threbuch z nagłą energią, jaka na wieść o posiłku może wypełnić tylko kogoś, kto nie jadł od ponad dwudziestu czterech godzin. – A może zresztą nie szkoda. Gdybyś był, musiałbym się z tobą

ożenić, a brzydki jesteś jak rosomak – miecznik znów zerknął na KO, odczytał potrzebne współrzędne i podniósł wzrok na Shulthana.

–Wyślijmy tego brzęczka, a potem zaprowadź mnie do tych racji i cofnij się na bezpieczną odległość.

* * *

–Jest on... jednorożec – powiedziała Shaylar powoli i starannie po andarańsku.

–Tak! Bardzo dobrze! – odpowiedziała w tym samym języku Gadrial i uśmiechnęła się serdecznie. Pochyliła się niżej nad oszalamiająco wiernym obrazem zwierzęcia, wyświetlonym we wnętrzu stojącego na jej maleńkim biurku, lśniącego kryształu. Po chwili wskazała groźnie wyglądającego mężczyznę, który stał obok jednorożca w staroświeckim stalowym napierśniku.

–A to?

–Jest on... kawalerzystą – odpowiedziała Shaylar z przekonaniem. Gadrial ponownie przytaknęła i Shaylar odwzajemniła jej uśmiech. Spojrzała na Jathmara, który siedział obok, na wolnym łóżku w kwaterze Gadrial. Jej radość przygasła nieco, gdy dzięki małżeńskiej więzi odczuła reakcję męża na pokazywane przez obcą kobietę obrazy.

Czarna jak węgiel istota, którą Gadrial nazywała „jednorożcem” nie przypominała żadnego zwierzęcia jakie przyszło im kiedykolwiek wcześniej oglądać. Nie było jednak tak całkowicie obce jak smok i przez to okazało się tym bardziej niepokojące. Stworzenie miało rozmiary i kształt konia. Wyjątek stanowiły jego nogi, proporcjonalnie dłuższe, niż u wierzchowców z Sharony i wyglądające na niesamowicie potężne mięśnie zadu. Żaden koń nie miał też długich, porośniętych futrem, rysich uszu ani tak krótkiego, umięśnionego karku. Znane im konie nie szczyrzyły też nigdy zębatej paszczy, z której wystawały kły przywodzące na myśl dzika. Jednorożec z całą pewnością był mięsożerny. Od koni odróżniał się też długim, białym rogiem o długości niemal jarda. Niesamowite były także oczy zwierzęcia – wielkie, zielone z purpurowymi tęczęwkami i pionowymi, wąskimi jak u kota źrenicami.

Shaylar stwierdziła w duchu, że niepokój Jathmara nie był bezpodstawny. W porównaniu z tym stworem rodem z narkotycznego snu, lekko uzbrojeni kawalerzyści ze swoimi lancami i szablami wyglądali prawie na bezbronnych.

–Wasze słowa? – spytała Gadrial.

Shaylar spojrzała ponownie na obrazek i wzruszyła ramionami.

–Nie słowo – odparła wskazując palcem jednorożca, po czym przesunęła rękę i

pokazała stojącego obok dziwnego stworzenia męczyznę.

–Kawalerzysta – objaśniła i zobaczyła jak pod obrazkiem w kryształach pojawiają się obce znaki alfabetu Gadrial.

–Dobrze. Dziękuję – powiedziała Gadrial i dotknęła przypominającym różdżkę rysikiem powierzchni swojego kryształu osobistego. Obraz zmienił się natychmiast i tym razem Shaylar i Jathmar zobaczyli coś, co rozpoznali od razu.

–To jest „słoń” – wyjaśniła Gadrial.

*** * ***

Gadrial obserwowała swoich uczniów, przyglądających się wizerunkowi słońca i starała się nie dać po sobie poznać zdumienia. Uczyli się zaskakująco szybko.

Prawie już zapomniała, że miała w swoim kryształach pakiet zaklęć do nauki języka. Nie używała ich nigdy wcześniej, ale były dodatkiem do „akademickiego” zestawu, które przemyślny akwizytor sprzedał Instytutowi Garth Showma niecały rok temu. Z możliwości oferowanych przez poprzedni pakiet, Gadrial była w zupełności zadowolona – w swojej pracy korzystała i tak przede wszystkim z zaklęć wytwarzanych na miejscu, przez pracowników jej wydziału – reszta dawała się swobodnie dostosować do jej indywidualnych potrzeb. Akademia jednak mocno naciskała na wyposażenie wszystkich swoich pracowników w nowy, ulepszony zestaw. Pamiętała, że bardzo się jej to nie podobało – była bowiem przekonana, że i tak nie wykorzysta nawet dwudziestu procent nowych czarów, a nie miała szczególnej ochoty na poznawanie ich specyfiki i sposobów użycia (które różniły się prawie zawsze). Od dawna jednak rozumiała, że na spory o takie drobnostki szkoda jej własnej energii, a poza tym wszystkie nowe zaklęcia wraz ze swoimi zbędnymi dodatkami i tak nie naruszały specjalnie zasobów pamięci jej osobistego kryształu.

W ciągu czterech ostatnich dni poczuła jednak głęboką wdzięczność, za ten „zbędny wydatek”, który sprezentował jej zarząd Akademii. Przypomniało jej się w którymś momencie, że czytając instrukcję nowego pakietu widziała rozdział o zaklęciach językowych i translatorskich. Po przybyciu do Fortu Rycharn ponownie zagłębiła się w dokumentację zestawu i rzeczywiście, do swojej dyspozycji miała całkiem pokaźny wybór czarów do nauki języka, pozwalający zarówno na dosłowny jak i lingwistyczny przekład z, i na dowolny z języków Arkany.

Jednak najważniejsze w tej sytuacji było to, że w skład zestawu wchodził też wybór zaklęć, który nazwała „samouczkiem ransarańskiego”. Z takich zaklęć korzystali ludzie, którzy zamiast korzystać z kryształów woleli uczyć się sami, bądź po prostu nie ufali Obdarzonym tłumaczom. Oczywiście te zaklęcia nie były w stanie po prostu „wcisnąć” w czyjąś głowę nowego języka, ale pozwalały na przekazywanie uczniom

reguł gramatyki i nowego słownictwa w przystępny i sensownie uporządkowany sposób. Twórcy magicznej aplikacji założyli co prawda – nie bez powodu – że użytkownik będzie znał, co najmniej jeden z języków Arkany i stwarzało to teraz trochę kłopotów, lecz i tak całość stanowiła doskonałą pomoc naukową dla stawiających swoje pierwsze kroki w andarańskim Jathmara i Shaylar.

Gadrial z kilku powodów nie pomyślała nawet o tym, by uczyć obcych ransarańskiego. Po pierwsze – choć sama często się o to sprzeczała – zdawała sobie sprawę, że ransarański jest trudnym językiem. Zdarzali się ludzie – zwłaszcza w Mythal – którzy nazywali jej język „pomieszaniem z poplątaniem” i nawet ona nie była w stanie się z tym opisem spierać. W ransarańskim pełno było nieregularnych czasowników, homonimów, synonimów, dziwacznej ortografii, wyjątków w wymowie oraz zapożyczeń ze wszystkich innych głównych języków Arkany. W czasach studenckich jeden z jej przyjaciół nosił koszulkę z napisem; „Ransarański nie zapożycza się u innych języków. On idzie za nimi ciemną uliczką, wali je w łeb i wynajduje w kieszeniach drobne formy gramatyczne.” Gadrial wiedziała, że dokładnie tak działo się przez całe stulecia. Jej język był niezrównany pod względem zdolności dostosowania się do zmiennych warunków historycznych i społecznych. Słyszała opinię, że tę swoją cechę zawdzięcza elastycznej konstrukcji składniowej i semantycznej.

Niemniej – był to trudny język, nawet dla Arkanian.

Z drugiej strony, andarańskiego można było nauczyć się stosunkowo szybko, choć Gadrial nigdy nie podobało się w nim to, że nowe słowa tworzone łącząc ze sobą stare. Ransaranie po prostu wymyślali swoje neologizmy... albo kradli je z języków innych nacji, po czym nadawali im nowe znaczenia. W andarańskim praktycznie nie istniały nieregularne czasowniki, a homonimów było zaledwie kilka. Ważną cechą tego języka było też i to, że ortografia oparta była wprost na wymowie. Wystarczyło raz usłyszeć jakiegokolwiek andarańskie słowo, żeby móc je potem bezbłędnie zapisać.

A wreszcie – był to oficjalny język armii Arkany. I w tym nie było nic dziwnego. Siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent żołnierzy pochodziło z Andary.

Gadrial przekonała się do andarańskiego, kiedy pracowała pod kierunkiem magistra Halathyna w Garth Showma. Mimo, że nie był to najbardziej elastyczny język świata, to jednak swoją zdolnością do adaptacji do nowych realiów przerastał różne dialekty mythalańskie. Mythalański z kolei cechował się największą precyzją spośród języków Arkany. Po części brało się to stąd, iż badania nad magią wymagały od tego języka rozróżniania bardzo do siebie zbliżonych i często abstrakcyjnych pojęć. Ta sama cecha sprawiała, że nie był zbyt elastyczny. Ciężko było tworzyć w nim nowe słowa i nie najlepiej przystosowywał się do zmieniających się okoliczności. Gadrial podejrzewała, że jeszcze jednym powodem trwania takiego stanu rzeczy była konieczność zachowania ksenofobicznej, kastowej struktury społecznej Mythal,

której władcy nie chcieli wprowadzać żadnych zmian i w zarodku tłumili wszelkie ich zażądki.

Andarański nie był tak skostniałym językiem. Cechowało go nawet swoiste wewnętrzne piękno, które sprawiało, że świetnie nadawał się do popisów oratorskich oraz do pisania wierszy. Gadrial szczególnym uznaniem darzyła literaturę starożytnej Andary, choć nadal nie rozumiała wielu elementów w społeczeństwie i kulturze tego kraju. Andaranie żyli pod dyktando grupy wojskowych arystokratów – ich ustroj można było nawet nazwać swego rodzaju militarną autokracją – posługujących się surowym kodeksem honorowym i wyśrubowanymi pojęciami odpowiedzialności, obowiązku i zobowiązań. Gadrial tymczasem była Ransaranką. Pochodziła z królestwa, w którym ponad wszystko wynoszono jednostkę i jej niezbywalne prawa. Ścisłe, skoncentrowane na wspólnocie, zasady moralności andarańskiej wydawały się jej niekiedy wręcz nieludzkie, lecz lektura dzieł dawnych autorów – przede wszystkim sag opiewających bohaterskie czyny – przekonała ją, iż powinna lepiej poznać tę kulturę.

Teraz jednak najważniejsze było to, że andarańskim posługiwała się armia Unii Arkany. Gadrial była przekonana, że Shaylar i Jathmar dobrze zdają sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później wojskowi zechcą ich przesłuchać.

Pomimo znacznej pomocy jaką znalazła w edukacyjnych zakłędach językowych, które tak szczęśliwie odkryła w swoim kryształ, Gadrial spodziewała się, że nauka okaże się procesem powolnym i żmudnym, przynajmniej na początku. Wkrótce jednak stało się jasne, że Shaylar obdarzona była niesłychanym talentem do języków. Mówiła, co prawda z dziwnym – choć przyjemnym dla ucha – akcentem, nadającym andarańskim słowom i zdaniom niecodziennego, śpiewnego brzmienia, a kolejnych zasad i nowego słownictwa uczyła się zadziwiająco szybko. Była w tym dużo lepsza od Jathmara. Gadrial zrozumiała, że choć musiało upłynąć jeszcze trochę czasu zanim obca kobieta będzie w stanie używać złożonych zdań i trudniejszych form czasowników, to jej zdolność komunikacji w podstawowych sprawach rosła w znacznym tempie.

Gadrial doszła do wniosku, że musi jej w tym pomagać coś więcej niż dobre ucho i talent językowy. Mimo, że sugestia magistra Halathyna, który od samego początku twierdził, że ani Shaylar i Jathmar, ani reszta ich pobratymców nie słyszeli nigdy o magii, to w Shaylar było coś dziwnego...

Gadrial dobrze pamiętała tę niesamowitą chwilę na grzbiecie Pazura, kiedy nagle, w jakiś niezrozumiały sposób zrozumiała, że obca błaga ją o „zabranie smoka z jej głowy”. Shaylar wykazywała się też wyraźną i wybitną wrażliwością na uczucia i emocje znajdujących się w jej pobliżu ludzi. Jedynym wyjaśnieniem mogło być to, że obca posługiwała się jakimś szczególnym uzdolnieniem, może nawet nieznanym odpowiednikiem Daru. Gadrial nie była pewna na czym ten „Dar” polegał i nikomu nie

zdradziła swoich podejrzeń, lecz z każdym dniem otrzymywała więcej dowodów na potwierdzenie tej teorii.

Uczenie obcych języka nie odbywało się także bez korzyści dla niej samej. Jathmar i Shaylar poznawali mowę Andaran, a Gadrial poznawała jednocześnie podstawy ich języka. Jeńcy zdawali sobie z tego doskonale sprawę i widać było, że nie są tym zachwyceni, ale akceptowali to, wiedząc dobrze, że nie było innego wyjścia.

Ku pewnemu zaskoczeniu Gadrial odkryła, że ten przyspieszony kurs językowy pozwalał jej oderwać myśli od bardziej ponurych rozważań. Zarówno ona jak i Jasak, czekali z niepokojem na powrót starszego miecznika Threbucha. Nadal też czuła złość na magistra Halathyna za to, że tak głupio i uparcie odmówił wycofania się na wybrzeże. Stary naukowiec najwyraźniej nie miał na tyle zdrowego rozsądku by pojąć, że w sytuacji w jakiej się znaleźli, dalsze przebywanie w obozie na bagnach nie miało najmniejszego sensu. Z drugiej strony powtarzała sobie bez przerwy, że prawdopodobnie niepotrzebnie się denerwuje, niemniej nie potrafiła uspokoić się do końca.

–No dobrze – zwróciła się do uczniów odsuwając mroczne myśli na bok. Wyświetliła w kryształach obraz przedstawiający ślizgacz i pokazała palcem jego trzeci wagon. – To jest „wagon ślizgacza” i służy do...

Urwała. Ktoś zapukał we framugę otwartych drzwi. Obróciła się i zobaczyła Jasaka Olderhana. Zdziwiona uniosła brwi. Oficer stał sztywno i był blady jak ściana. Wyglądał niemal jak skazaniec, który czeka już tylko na bełt kuszy. Stało się coś bardzo złego.

–Pani magister Kelbryan – powiedział nieco zbyt oficjalnym tonem – pięćsetnik Klian prosi, by zechciała mu pani poświęcić kilka minut swojego cennego czasu.

–Co się stało? – spytała i wstała rozedrgana, zdjęta nagłym lękiem. Mina i głos żołnierza wywołały u niej gęsią skórę.

–Nie tutaj – pokręcił głową. Wtedy zobaczyła, że nie przyszedł sam. Za Jasakiem pojawił się Obdarzony uzdrowiciel, który uleczył Shaylar. Jeszcze dalej z tyłu stanął uzbrojony strażnik.

–O co chodzi? – powtórzyła pytanie, łamiącym się coraz bardziej głosem. Olderhan musiał dostrzec w jej oczach strach. Ciężko przełknął ślinę.

–Mamy wiadomości z bazy przy portalu – powiedział oschle. – Proszę ze mną – dodał. Jego słowa zabrzmiały raczej jak błaganie niż bezpośredni rozkaz. – Ci panowie zostaną z Jathmarem i Shaylar.

Gadrial zauważyła, że odruchowo wytarła w spodnie wilgotne od potu dłonie. W

milczeniu popatrzyła jeszcze przez chwilę na Jasaka, po czym odwróciła się do Shaylar jako tej, która szybciej przyswajała sobie nowy język.

–Ja idę Shaylar – powiedziała powoli i wyraźnie. – Z Jasakiem. Wrócę niedługo. Rozumiesz?

Obca kobieta skinęła głową. Także i jej oczy przesłoniła chmura niepokoju.

–Gadrial? – Shaylar wyciągnęła rękę i delikatnie, niemal czule dotknęła ramienia Gadrial. Robiła tak bardzo często. – Czy jest... kłopot? – spytała szukając przez chwilę w pamięci potrzebnego słowa.

Gadrial wzruszyła bezradnie ramionami.

–Nie wiem – odparła. Shaylar zagryzła wargę i ponownie skinęła. Jathmar ze ściągniętą twarzą przyglądał się uzbrojonemu żołnierzowi. Przymrużył oczy. Gadrial spojrzała na medyka i strażnika.

–Jeżeli można, to nie zamykajcie drzwi, proszę. Oni lepiej się wtedy czują.

W oczach żołnierza coś drgnęło – coś złowieszczonego i niebezpiecznego, prawie zabójczego. „Na Rahil, co mogło stać się przy portalu?” – zapytała się w myślach. Przebiegł ją zimny dreszcz, gdy przypomniała sobie, kogo tam zostawiła.

–Proszę – dodała patrząc żołnierzowi prosto w oczy. – Oni są cywilami – z rozmysłem podkreśliła ostatnie słowo. – Przerażonymi, wylęknionymi cywilami, których życie my – wskazała na siebie i Jasaka – roznieśliśmy w strzępy. Wiem, co się tam stało, ale wiem też, że nie była to ich wina.

Strażnik zacisnął mocniej zęby, ale służbiście skinął.

–Jak sobie pani życzy, pani magister. Drzwi będą otwarte – „a ja będę ich pilnować, jak gryf pilnujący swojej ofiary” – zdawało się dodawać jego ciało i spojrzenie.

Gadrial popatrzyła jeszcze przez chwilę w jego niebezpieczne, chmurne oczy, po czym kiwnęła głową i wyszła za Jasakiem na korytarz. Parę sekund później znaleźli się na zewnątrz. Wzmagający się, wiejący od morza wiatr zaszumił w jej włosach. Niósł ze sobą ostry zapach słonej wody. Promienie popołudniowego słońca zalewały płynnym złotem plac przed koszarami. Wtedy zauważyła coś jeszcze. Brama fortu została zamknięta. Potężny drewniany rygiel spoczywał w zawiasach. Po palisadzie przechadzali się czujni strażnicy z bronią w dłoniach gotową do strzału. Kanonierzy ze smokami polowymi stali w gotowości przy tych kilku działach, które pozostały do dyspozycji pięćsetnika Kliana po wysłaniu posiłków dla setnika Thalmayra.

„Co się do cholery stało?” – ponownie przemknęło jej przez myśl.

Jasak szedł obok. Milczał. Poruszał się tak sztywno, jak sztywny był wiszący u jego boku miecz. Spojrzała na niego kątem oka, starając się domyślić jakie uczucia kryją się za oficjalną maską, w jaką zmieniło się oblicze oficera. Nie miała jednak na to wystarczająco dużo czasu. Przeszli przez plac i znaleźli się w głównym budynku dowództwa fortu.

Adiutant Sarra Kliana prawie podskoczył na ich widok w krześle, zerwał się na równe nogi i zasalutował.

–Pięćsetnik czeka, Sir!

Jedno, przelotne spojrzenie na wyraz twarzy młodzika wystarczyło, by Gadrial poczuła jak ściska ją w żołądku. Jasak mocno zastukał do drzwi dowódcy.

–Wejść! – odpowiedział natychmiast Klian. Jasak otworzył drzwi, przytrzymał je dla niej i gestem wskazał, by weszła pierwsza. Zrobiła to i zobaczyła miecznika Threbucha i kompanijnego tresera brzęczków. Czekali na nich razem z pięćsetnikiem.

–Mieczniku! – zawołała z uśmiechem i podskoczyła do niego. Chwyliła go uradowana za ręce. – Tak się wszyscy martwiliśmy! Naprawdę bardzo się cieszę, że widzę pana całego i zdrowego.

Wysoki, dobrze zbudowany Shalomarianin był wyraźnie zmieszany tak gorącym powitaniem. Jego zazwyczaj nieskazitelny mundur był teraz brudny. Na twarzy żołnierza rósł kilkuniedniowy zarost. Wyglądał też na wyczerpanego i chudsze niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni. Na twarzy nosił tę samą sztywną, oficjalną maskę co Jasak. Oblicza ich obu przypominały marmurowe rzeźby. Coś jednak pod tą zasłoną zadrżało i to coś wystarczyło by zgasić radość Gadrial i przepelnić ją nową, gwałtowną falą strachu.

–Co się stało? – zapytała ostro. – Stało się coś strasznego, prawda? Mówcie!

W oczach Threbucha płonął ból. Zaciśnął zęby i nadal milczał. Spojrzał tylko na pięćsetnika i zaczekał, by to dowódca fortu odpowiedział.

–Pani magister Kelbryan – powiedział Klian ciężkim, zmęczonym głosem. – Proszę, niech pani spocznie. Proszę – powtórzył.

„Boi się, że zemdleję, kiedy usłyszę to, co mają mi do powiedzenia” – zrozumiała i przeszyły ją lodowate igły przerażenia.

–Chodzi o magistra Halathyna, prawda? – spytała szeptem, opadając na krzesło stojące przed biurkiem pięćsetnika. – Coś stało się Halathynowi.

Powieki dowódcy drgnęły. Zaczepnął głęboko powietrza.

–Setnik Olderhan – zaczął – nalegał, bym odwołał nasze siły z bazy na bagnach. Chciał w ten sposób uniknąć kolejnej zbrojnej konfrontacji pomiędzy naszym wojskiem, a pobratymcami Jathmara i Shaylar – odchrząknął. – Powiniennem być go posłuchać, ale wydawało mi się wówczas, że ryzyko nie jest aż tak poważne. Miałem też nadzieję – i założyłem to – że na jakąkolwiek odpowiedź obcy będą potrzebować znacznie więcej czasu. Starszy miecznik jednak potwierdził przekonanie magistra Halathyna vos Dulainaha – i pani – że portal, którym nadeszli obcy to co najmniej siódemka. Najprawdopodobniej zresztą mamy do czynienia z klasą osiem. Tak przynajmniej wynika z raportu miecznika Threbucha. Po drugiej stronie tego portalu znajduje się nieprzyjacielski fort.

Gadrial gwałtownie wciągnęła powietrze.

–Wydaje się, że ciągle jest jeszcze w budowie i nie jest w pełni obsadzony – ciągnął Klian – ale miecznik był świadkiem przybycia posiłków, które nadciągnęły forsownym marszem. Mieli ze sobą więcej broni tego rodzaju, z jaką mieliśmy już do czynienia. Przywieźli też inną broń. Coś przypominającego rury, które...

Rzucił okiem na Threbucha.

–Jak były duże mieczniku?

–Długie na mniej więcej sześć stóp, Sir – odparł Threbuch – o średnicy jakichś czterech i pół lub pięciu cali. Z cienkimi ściankami. Po mojej stronie portalu mieli cztery te przekłute rury, ale obecny tu oszczepnik Shulthan mówi, że z drugiej strony były jeszcze co najmniej dwie lub trzy podobne. Była także broń innego rodzaju. Też rura, ale krótsza i nie tak gruba. Montowali ją na trójnogu, niemal zupełnie tak, jak my to czynimy ze smokami piechoty. Ale to nie był smok. Z boku wystawała z tego... korba i długi pas z tymi cylindrycznymi przedmiotami, które znaleźliśmy w ich obozie. Po przekręceniu tej korby... – przełknął ślinę – okazało się, że to działa tak, jak ta ich osobista broń, Sir – Threbuch spojrzał prosto w oczy Jasaka – ale zamiast pojedynczych strzałów ta rura strzelała raz za razem, tak szybko, że brzmiało to jak huk jednego, długiego wystrzału. Jestem pewien, że było to co najmniej sto strzałów na minutę, Sir.

Urwał nagle. Po brwi spłynęła mu cienka strużka potu.

„On widział tę broń w akcji” – pojęła Gadrial i zrobiło się jej zimno.

–Zaatakowali portal – powiedziała. – Napadli nasz portal, mam rację?

–Tak – potwierdził pięćsetnik Klian z krótkim, pełnym bólu i wściekłości skinieniem. – Ale zanim to zrobili prosili o kogoś. O konkretną osobę. O Shaylar.

Gadrial z sykiem wypuściła powietrze. Pobladła, gdy zrozumiała, o czym tak naprawdę mówił oficer. Jeżeli obcy chcieli odebrać Shaylar, to musieli przecież wiedzieć, że ktoś przeżył potyczkę na polanie. A skoro wiedzieli...

Spojrzała na Jasaka.

–W jaki sposób? Boże, jak udało im się przesłać wiadomość? Przecież twoi ludzie szukali ewentualnych gońców... i w obozie i na polanie.

–Szukali – powiedział Olderhan przez zęby. – Cholernie dokładnie szukali. Na pewno nikt nie uciekł. Chyba, że poszedł najpierw korytem strumienia, a dopiero potem wyszedł z wody i ruszył do portalu. Nie wiem w jaki sposób, ale jednak udało im się poinformować swoich. W dodatku zrobili to bardzo szybko. Według miecznika ich żołnierze przeszli przez portal o wiele wcześniej, niż ktokolwiek mógłby dobiec do niego piechotą.

Gadrial dotknęła dłonią policzka. Był lodowaty.

–Ale to nie... – zamilkła. To oczywiste, że nie było to niemożliwe. Przecież w jakiś sposób obcy właśnie tego dokonali. – Muszą dysponować jakimś odpowiednikiem brzęczków – powiedziała zdając sobie sprawę, że jej rozum kluczy bezradnie w poszukiwaniu dowolnej wymówki, czegokolwiek, co mogło oddalić moment, w którym usłyszy resztę przerażających wiadomości.

–Rzeczywiście – zgodził się Klian. – Mamy nadzieję, że właśnie pani uda się dowiedzieć, co to takiego. Shaylar wydaje się pani do pewnego stopnia ufać. Gdyby udało się wyciągnąć z niej, w jaki sposób poinformowali swoich pobratymców o wydarzeniach z polany, moglibyśmy dzięki tej wiadomości ocalić sporo ludzkich istnień. Możliwe, że bardzo wiele. Musimy wykorzystać każdą dostępną nam przewagę. A to dlatego pani magister, iż okazało się, że oni mają nad nami porażającą przewagę bojową.

–Nawet – ciągnął oschle – biorąc pod uwagę, że to nasze własne błędy jeszcze pogorszyły całą sytuację. Jeden z nich popełniłem ja sam. Nie usłuchałem dobrej rady setnika Olderhana. Setnik Thalmayr także dopuścił się kilku grubych błędów. Niestety bardzo kosztownych. Sam się zresztą przyłożyłem do jednej z jego pomyłek. To ja osobiście rozkazałem mu rozmieścić żołnierzy tylko po naszej stronie portalu. Miałem jednak na myśli umocnienia i główne siły. Nie mówiłem o strażach. Wystawianie straży we wszechświatach po obu stronach portali jest standardową procedurą. Spodziewałem się, że Thalmayr postąpi zgodnie z tą zasadą. Najwyraźniej jednak setnik niewłaściwie zinterpretował moje słowa.

Dowódca zamilkł. Skrzywił się i popatrzył na nich ponuro.

–Obawiam się jednak, że bez względu na to jak bardzo błędy Thalmayra i moje

przyczyniły się do tej katastrofy, to główny wpływ na to miał jeszcze jeden, niezwykle groźny czynnik – spojrzał prosto w oczy Gadrial jakby przepraszająco. – Pani magister, artyleria obcych w jakiś niezrozumiały sposób potrafi strzelać poprzez portale.

Zamilkł. Gadrial otworzyła szeroko oczy. Nic dziwnego, że tak dziwnie na nią patrzył. Rozpaczliwie potrzebował wyjaśnienia. Ale i ona nie potrafiła mu pomóc. Przecież żadne zaklęcie nie potrafiło oddziaływać poprzez barierę portalu! Dowiedziono tego już ponad dwieście lat temu. Była to od tego czasu jedna z podstawowych zasad, które znali wszyscy zaangażowani w eksplorację nowych wszechświatów i...

Potok jej myśli zatrzymał się nagle. Pomyślała o czymś jeszcze bardziej przerażającym. Owszem, czary nie potrafiły złamać granicy portalu, ale przecież obcy nie mieli o magii najmniejszego pojęcia. Ich broń musiała zatem działać w oparciu o jakieś inne, nie magiczne zasady. Domyślili się tego z Jasakiem już jakiś czas temu. Skoro sprawdziło się to w przypadku ich ręcznej broni mogło też sprawdzić się jeśli chodzi o artylerię. A skoro ich artyleria, podobnie jak reszta broni, miotała najzupełniej fizyczne, konkretne pociski to...

–Nie mam pojęcia, jak dokładnie działa ich uzbrojenie pięćsetniku – przyznała szczerze. – W każdym razie jeszcze nie. Wiem natomiast, że obcy nie stosują magii. To z kolei prowadzi do prostego wniosku, że ograniczenia, jakim poddane są nasze zaklęcia ich zupełnie nie dotyczą.

W oczach oficera pojawił się nowy, jeszcze silniejszy strach. Pokręciła głową.

–Aczkolwiek nawet ich broń ma jakieś ograniczenia. Na pewno – dodała. – Bez względu na swoją konstrukcję i sposób działania. Nie ma technologii bez ograniczeń. Musimy się tylko dowiedzieć, co ich sprzęt potrafi, a czego nie. W tej chwili jednak najbezpieczniejszym założeniem będzie według mnie, jeśli przyjmimy, że ich działa, podobnie jak broń podręczna, strzela konkretnymi pociskami, w których zawarte są zaklęcia. Jeśli się nie mylę, to mogą razić ogniem wszędzie tam, gdzie doleciałoby do wolne fizyczne ciało. W tym i przez portale.

Klian i Jasak wymienili niewesołe spojrzenia. Po chwili pięćsetnik zwrócił się na powrót do niej.

–Rozumiem. Tak czy inaczej atak był potężny. Jestem pewien, że setnik Thalmayr w najśmielszych snach nie spodziewał się czegoś takiego. Sam bym się nie spodziewał. Cała nasza doktryna obronna właśnie legła w gruzach. Stoimy teraz przed wyzwaniem. Albo znajdziemy sposób na powstrzymanie ich przed podobnym atakiem w przyszłości, albo sami nauczymy się strzelać przez portale.

Gadrial skinęła głową i częścią umysłu od razu zaczęła szukać rozwiązania. Nie

poświęciła jednak temu zadaniu zbyt wiele energii. Zanadto przejęta była czym innym. Czymś, co przepełniało ją niewysłowionym strachem.

–Jak mocno... – musiała urwać w pół zdania. Zaszło jej w gardle. – Jak mocno dostaliśmy?

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Gadrial poczuła zażenowanie milczeniem żołnierzy. Wreszcie dowódca Fortu Rycharn odetchnął głęboko.

–Jedyni żołnierze, którzy ocaleli z ataku na bazę na bagnach znajdują się w tym forcie, pani magister – w jego głosie wyraźnie słyhać było emocje. W tej chwili nie była ich w stanie powstrzymać nawet słynna dyscyplina andarańskiego oficera. – Z oddziału, który stacjonował w momencie ataku przy portalu, wliczając w to rannych z polany, których nie zdążyliśmy jeszcze ewakuować przeżył tylko starszy miecznik Threbuch i oszczepnik Shulthan. Wszyscy pozostali albo trafili do niewoli, albo nie żyją.

Gadrial zdała sobie sprawę, że odruchowo zacisnęła dłonie na poręczy krzesła tak mocno aż zbieleły jej knykcie. Na to nie była przygotowana. Nie przygotowało ją to, co usłyszała wcześniej, jej własne wysiłki też nie na wiele się zdały. Rozmiar klęski uderzył ją jak młotem. W mrocznym spojrzeniu Sarra Kliana zobaczyła też dziwną litość i współczucie.

Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Dosłownie. Głos nie chciał przejść przez gardło, nie chciał powstać na wargach. Nie mogła zadać pytania, które potwierdziłoby to, co i tak wiedziała już całym sercem i rozumem. Próbowwała powiedzieć cokolwiek. Bez skutku. Po chwili nie musiała już pytać o nic.

Miecznik Threbuch przyklęknął na jedno kolano przed jej krzesłem. Ten mężczyzna, który wydawał się tak silny, tak opanowany, tak panujący nad własnymi emocjami, że podejrzewała czasem, iż jest wykuty z granitu. Ten mężczyzna klęczał przed nią. Uścisnął jej lodowatą rękę i mimo cierpienia poczuła cień zaskoczenia. Jego dłoń też drżała.

–Moja pani – powiedział przez ściśnięte gardło. – Przykro mi. Nie mogłem nic zrobić. Zupełnie nic. Nie byłem nawet po właściwej stronie portalu. Nie mogłem dostać się do obozu. Ani przebić się do magistra Halathyna.

Gadrial rozplakała się. Płakała w ciszy – nadal nie potrafiła zaczerpnąć na tyle powietrza, by zaszlochać na głos.

–Jak? – wyszeptała głosem cichym, jak odgłos palców ducha drapiącego w kryształowy kielich. W oczach Threbucha coś zadrgało.

–Chciałbym, bardzo chciałbym móc pani powiedzieć, że zginął z ręki wroga. Było

jednak inaczej. Jeden z obcych wyciągnął magistra Halathyna z namiotu i zaczął go przepytować. Myślę, że pytał o Shaylar, dlatego, że Halathyn wskazywał ręką w kierunku wybrzeża, w stronę tego fortu. I właśnie wtedy, któryś z naszych kanonierów...

–Nie! – wydarło się z jej piersi. Stanęły jej przed oczyma koszmarne oparzenia Jathmara. Nie mogła znieść myśli o tym, że taka sama ognista kula mogła powalić starego naukowca.

–Nie, pani magister! – powiedział z naciskiem Threbuch. Miecznik wyciągnął rękę i złapał ją za brodę, po czym zmusił ją do spojrzenia mu prosto w oczy. – Wiem o czym pani myśli, ale to nie była ognista kula! Bogowie okazali się litościwi. Nie cierpiał. Przysięgam, że nie cierpiał. Obaj zginęli od uderzenia błyskawicy. W jednej chwili...

Dopiero teraz udało się jej zaszlochać. Czowała, że wokół niej ktoś chodzi, słyszała głosy, lecz ich nie rozumiała. Ręce Threbucha zniknęły. Potem uklękła przy niej ktoś inny. Ktoś, kto próbował ją przytulić, pocieszyć. Wyrwała się jednak. Chciała ich nienawidzić. Dlaczego nie zmusili Halathyna do powrotu na wybrzeże? Dlaczego nie rozkazali mu ewakuować się razem z nią?

–Gadrial, proszę... – dotarł do niej w końcu głos Jasaka, głos pełen bólu i gniewu. – Pozwól mi sobie pomóc.

Otworzyła szeroko oczy i przez łzy spojrzała na oficera. Nawet teraz, z głębin swej rozpaczki zdołała dostrzec w jego twarzy strach i lęk. W tej samej chwili dotarło do niej, że Sir Jasak Olderhan stracił niemal wszystkich swoich podkomendnych. Zginęli ludzie, o których dbał i mimo że bywał wobec nich niekiedy oschły i surowy, to kochał ich przecież jak braci. Kochał ich w ten tajemniczy i niezrozumiały, żołnierski, męski sposób. Jednak teraz nie mógł zapłakać nad stratą. Nosił przecież nazwisko Olderhan, a wraz z nim ciążyły na nim wszystkie wymogi andarańskiego kodeksu honorowego. Przez jej cierpienie przebiło się ukłucie wstydu. Pokręciła głową.

–Przykro mi – powiedziała bardzo cicho. – Wiem, że także i tobie był bliski. Oni wszyscy byli...

Setnik skinął tylko głową, prostym, sztywnym gestem. Gadrial rozumiała, że odpowiedział na jej słowa tak oszczędnie jedynie dlatego, że nie byli sami – w gabinecie Kliana znajdowali się także dwaj żołnierze, którymi Jasak dowodził.

–Przykro mi – powtórzyła, tym razem zwracając się do Otwala Threbucha. – Na pewno myśli pan, że go nienawidzę – ciągnęła. – Staram się tego nie czuć.

Powieki miecznika zadrgały. Gadrial przygryzła wargę.

–Staram się nie zniechęcić żadnego z was. Próbuję też wmówić sobie, że ja także nie zawiniłam. Przecież on był taki uparty...

Zamilkła w rozpaczliwej walce o zachowanie kontroli nad własnymi emocjami. Podniosła po chwili wzrok i spojrzała prosto na Threbucha.

–Byłeś po tamtej stronie portalu, mieczniku. Rozumiem cię doskonale. Sama widziałam, czego potrafi dokonać ich broń. Jestem pewna, że nie zdołałbyś nawet dotrzeć do obozu, zanim... Nikomu by się to nie udało. Nie mam żadnych wątpliwości. Nie w walce z takim przeciwnikiem. To wszystko jest straszne... – głos łamał się jej nieustannie i choć chciała zmusić się do dokończenia zdania, to w końcu poddała się i zapłakała. Tym razem pozwoliła Jasakowi się objąć. Wtulając się w szerokie ramiona oficera poczuła ulgę. Ogarnęło ją przytulne ciepło, rozluźniły się jej spięte mięśnie. Była na siebie zła. Nie podobało się jej, że załamała się w obecności tych ludzi jak mała dziewczynka. Niemniej śmierć magistra Halathyna, tak okrutna i niepotrzebna śmierć...

–Chciałabyś wrócić do swojej kwatery? – zapytał łagodnie Olderhan.

Przytaknęła i oficer pomógł jej wstać, podtrzymał i podał jej swoje przedramię. Gadrial chciała powiedzieć pięćsetnikowi Klianowi coś jeszcze, ale głos znów odmówił jej posłuszeństwa. Spojrzała bezradnie na miecznika Threbucha i nadal nie potrafiła niczego z siebie wykrztusić. Otwał wyciągnął rękę i w milczeniu uściśnił jej palce. Po chwili Jasak wyprowadził ją z gabinetu. Otworzył przed nią drzwi i objął ją na korytarzu. Kolana gięły się pod nią, więc pomógł jej iść przez całą drogę – po schodach i na dziedziniec.

Dotarli już prawie do jej pokoju, gdy zamarła w pół kroku i zeszywniała.

–Co się stało? – zapytał Jasak z niepokojem.

–Shaylar i Jathmar. Są u mnie.

Wiedziała, że nie potrafi spojrzeć im w oczy. Jeszcze nie teraz. Rozumiała co prawda, że to nie oni zabili Halathyna i innych Arkanian, ale zrobili to przecież żołnierze, którzy ich poszukiwali. Żołnierze pochodzący z ich świata. Nie mogła stawić im czoła. Nie teraz, kiedy rana była tak bardzo świeża.

Jasak zmełł pod nosem przekleństwo i poprowadził ją do swojej kwatery. Zajmował pokój w budynku oficerskim, a nie jak pozostali – w pomieszczeniach dla cywilnych pracowników fortu. Swoje ubrania i sprzęt, który przywiózł z bagien rozłożył starannie, z wojskową precyzją. Na biurku stał, migocząc linijkami tekstu osobisty kryształ. Najwyraźniej wiadomość o klęsce zastała go przy pracy.

Nie wskazał jej krzesła – zaprowadził ją prosto do łóżka.

–Połóż się. Odpocznij choć trochę – powiedział pomagając jej usiąść.

Materac w łóżku oficera, jak zresztą we wszystkich wojskowych pryzkach w pogranicznych fortach stanowił prosty, bawełniany worek wypchany tym, co akurat było pod ręką. Zdarzały się słomiane, czy nabite kłaczkami bawełny. Ten, który przypadł Jasakowi – podobnie jak ten, na którym sypiała w Rycharn Gadrial – napełniony został piórami. Zwinęła się na boku, na miękkim, starannie rozścielonym kocu. Olderhan otworzył okno. Do wewnątrz wpadł chłodny powiew morskiej bryzy. Spojrzał na nią.

–Zostań tu Gadrial. Przyjdę po ciebie za jakiś czas, dobrze?

Łzy na powrót stanęły w jej oczach. Oficer okazał się na tyle taktowny, że nawet nie wymienił imion ludzi, których zamierzał usunąć z jej pokoju. Dobiegł ją stukot jego kroków na podłodze z surowych desek, po czym szczęknęły zamykane drzwi. Leżała nieruchomo, zasłuchana w szelest wiatru, w odgłosy odległych rozmów i krzyk mew szybujących w przestworzach nad fortem. Przyszły do niej wspomnienia.

Pamiętała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Swój pierwszy dzień w akademii Mythal Falls. Była wtedy wylęknioną, młodą dziewczyną – przybyszką z omiatanych wichrem, pustych równin północnego Ransar. Nie miała jeszcze nawet czternastu lat. Z otwartymi szeroko ustami oglądała starożytne, kamienne budynki. W oszołomieniu przypatrywała się grzmiącemu niczym najprawdziwsza burza wodospadowi – jednemu z dwóch największych we wszystkich wszechświatach. Czuła też wyraźnie, że nawet ziemia pod jej stopami i powietrze wokół tętniło czekającą w uśpieniu magią. Jej energia drażniła skórę, wierciła delikatnie w kościach. Ale żaden z tych cudów nie był tym najważniejszym.

Najwspanialsze i najbardziej zdumiewające było coś innego.

Ona – Gadrial Kelbryan – uzyskała na egzaminach w szkole tak dużą ilość punktów, że zainteresował się nią we własnej osobie magister Halathyn vos Dulainah i zaoferował jej miejsce w Akademii.

Wydawało się jej to niemożliwe. Wcześniej nie wiedziała nawet o tym, że jej nauczyciele przesyłali komukolwiek karty egzaminacyjne. Nie podejrzewała też, że mogło jej pójść tak dobrze. Nie wierzyła w nic z tego, aż do momentu, w którym otrzymała kryształ z osobistym zaproszeniem od Halathyna. Zaraz potem, jak w nierealnym śnie poznała go osobiście. Już następnego dnia. Wziął ją pod swoje skrzydła – ją – nieśmiałą nastolatkę z Ransar – jedyną nie-Mythalankę wśród wszystkich studentów Akademii – jedną z trzech najmłodszych osób, jakie kiedykolwiek rozpoczynały tu studia. Sam ją tam zawiózł. Pokazał jej wszystko, a także wyjaśnił skąd brały się dziwne sensacje na skórze i w kościach.

–Czary – powiedział z niemal dziecięcym zachwytem, głosem w którym słycać było nieustające zdziwienie niezliczonymi cudami wszechświata – wszystkich wszechświatów. – W miejscach takich jak to zbiera się magia – wskazał swoją ciemnoskórą ręką, ryczącą pod ich stopami kaskadę wody. – Choć może lepiej byłoby powiedzieć, że w takich miejscach magia zyskuje swobodę. Są też inne miejsca o wielkiej koncentracji tych energii, które zwykliśmy nazywać „czarami”. Są to inne wodospady, niektóre szczyty górskie, kilka wyjątkowo głębokich jaskiń. Wszędzie tam krzyżują się ze sobą linie mocy. Tutaj jednak, tu gdzie rzeka Mythal spada w tę oszalamiającą otchłań, tutaj, na Uskoku, gdzie kończy się i porusza cały kontynent, magia jest najsilniejsza.

Gadrial spojrzała zdumiona na tego wysokiego, imponującego mężczyznę, u którego miała studiować.

–Mythal się porusza? – spytała i natychmiast, gdy tylko skończyła mówić poczuła się niewiarygodnie głupia. Halathyn łagodnie zachichotał.

–Ależ oczywiście, choć nie jest to powszechnie znany fakt. Większość ludzi wpadłaby w panikę, gdyby ktoś powiedział im, że ziemia po której codziennie stąpają tak naprawdę znajduje się w ciągłym ruchu. Ten ruch jest rzecz jasna niesłychanie powolny – mniej więcej ułamek cała na rok – niemniej jednak istnieje. Nie zastanowiło cię nigdy dlaczego wielkie kontynenty, na przykład Mythal i Hilmar przywodzą na myśl fragmenty jednej układanki? Pasujące do siebie fragmenty większej całości?

–Tak proszę pana – skinęła głową Gadrial. – Myślałam o tym.

–Oczywiście, że myślałaś. Jesteś nie tylko Obdarzona, ale i bystra. Inaczej zresztą nie byłoby cię tutaj – machnął ręką w kierunku starożytnego, kamiennego budynku. – Ale czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że ten ich kształt mógł wziąć się stąd, iż niegdyś kontynenty rzeczywiście stanowiły jedną całość? Jeden przeogromny kontynent?

Tym razem Gadrial pokręciła głową a Halathyn uśmiechnął się szerzej.

–No cóż, tego też się spodziewałem. W końcu przypuszczenie, że ziemia porusza się pod naszymi stopami sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi. A jednak. Potwierdziły to nasze badania – odchrząknął. – Muszę też nieskromnie przyznać, że tego odkrycia dokonał mój własny zespół.

Chcąc nie chcąc, Gadrial zachichotała na widok jego miny i tonu jego głosu. Jednak natychmiast, zmieszana własnym brakiem szacunku, zasłoniła usta obiema dłońmi, ale naukowiec znów się tylko uśmiechnął. – Zanim skończysz studia – zapowiedział – nauczę cię samodzielnie czuć ten ruch.

I nauczył. Otworzył przed nią świat cudów tak potężnych i tak zadziwiających, że

cały okres w Akademii stał się dla niej czasem codziennego zdumienia. Halathyn pokazał jej także, jak bardzo jej własna dusza była głodna wiedzy, jak silnie łaknęła zrozumienia otaczającego ją świata, w tym tych sił i praw, których pojęcie i kontrola możliwa była tylko dla osób posiadających Dar. Nauczył ją wszystkiego, dzięki czemu powstała cywilizacja Arkany.

Następne trzy lata spędziła pod kierownictwem Halathyna, poznając sposoby właściwego wykorzystania własnego Daru. Potem, gdy inni magistrowie – podżegani przez jej własnych kolegów usunęli ją z Akademii, odbierając tym samym możliwość nauki – stanął po jej stronie niczym skała. Wyrzucono ją ze studiów na podstawach tak kruchych, że pękłyby od samego chyba spojrzenia. Był to jeden z najgorszych dni jej życia, dzień w którym załamała się kompletnie, niczym dziecko, któremu ktoś z premedytacją i złośliwie odebrał cały świat.

Był to także dzień, w którym Halathyn vos Dulainah rzucił się do walki ze swoimi najbardziej zasłużonymi, najbardziej utytułowanymi kolegami z furią, która zaszokowała ją prawie tak samo, jak koszarowy język, którego nie spodziewała się po nim wcale.

–...wsadźcie sobie tę swoją przeklętą, świętoszkowatą Akademię w najgłębszy zakamarek waszych zakłamanych, rasistowskich, rodowodowych dup! – zakończył swą wściekłą tyradę. Magiczne tarcze, którymi zazwyczaj się otaczał zasyczały i sypnęły iskrami. Wyglądało to tak, jakby miał w rękach błyskawicę i z trudem tylko powstrzymywał się od jej użycia. Nad jego głową pojawił się złowrogi blask. Kanclerz Akademii i szefowie poszczególnych wydziałów – w zasadzie cały Senat uczelni – zamarli w niedowierzaniu i całkowitym osłupieniu.

–Idziemy stąd, czeladniczko Kelbryan – powiedział zwracając się do niej w nagłej ciszy, która po ognistym wystąpieniu aż dzwoniła w uszach.

–My? – Zapytała nierozumiejąc, czując wzbierający w gardle płacz. – Nie jestem pewna, czy rozumiem, panie magistrze.

Przez mgnienie spojrział na nią zbyt surowo, jakby karcąc studentkę za niezrozumienie kolejnego zadania. Po chwili jednak gniew pałający w jego brązowych oczach złagodniał. Wziął ją za rękę.

–Drogie dziecko – powiedział nie zwracając najmniejszej uwagi na siedzących dokoła, ogłupiałych członków senatu Akademii. – Dzień, w którym z powodu „niezadowolających postępów w nauce oraz nieuczciwego i niehonorowego podejścia do zdawania egzaminów”, relegowano najzdolniejszą adeptkę magii teoretycznej, z jaką miałem przyjemność i przywilej pracować, jest jednocześnie moim ostatnim dniem pracy w tych murach.

Ktoś cicho jęknął. Gadrial pomyślała, że zaraz rozlegną się protesty, ale magister Halathyn po prostu spojrzął na pozostałych obecnych wzrokiem, w którym na nowo zapłonęły furia i wściekłość. Kanclerz opadł z powrotem na krzesło. Nie odezwał się już ani słowem.

–Niniejszym składam na pańskie ręce swą rezygnację. Ze skutkiem natychmiastowym – oznajmił Halathyn.

–Ale nie wolno panu! – krzyknęła zdjeta nagłym lękiem. – Nie może pan z mojego powodu rujnować sobie kariery! Jestem przecież tylko zwykłą czeladniczką, panie magistrze a pan... pan jest...

Halathyn położył jej palec na ustach. Zupełnie nie przejął się zgorszonymi spojrzeniami mężczyzn i kobiet, którzy byli przecież jego wieloletnimi współpracownikami i kolegami.

–W żadnym wypadku nie jesteś „zwykłą czeladniczką” – powiedział – zresztą to... ta farsa to tylko kropla, która przepelniła czarę. Powinienem był opuścić to miejsce długie lata temu. To nie twoja wina, może taka tylko, że to, co te świętoszkowate, ograniczone, ignoranckie, przesiąknięte arogancją, bigoteryjne, zachłyśnięte władzą i bezdennie głupie świny zrobiły z tobą, otworzyło mi oczy do reszty. Skoro wolą kisić się w zatrutym sosie *shakiry* to proszę bardzo. Ja naprawdę mam lepsze zajęcia niż babranie się w gównie i nazywanie tego szukaniem diamentów! – Uśmiechnął się nieoczekiwanie. Gadrial patrzyła na niego w najwyższym zaskoczeniu. – Poza tym, zaproponowano mi coś lepszego!

Jeden z szefów wydziałów wyprostował się w krześle i pochylił ku Halathynowi, spojrzął na niego wzrokiem, w którym mieszały się podejrzliwość, rozgoryczenie, szok i mściwość. Magister zauważył ten ruch kątem oka i odwrócił się ku niemu natychmiast, z niezmiennym, ostrym jak brzytwa uśmiechem.

–Powiem więcej, moja droga – ciągnął zwracając się nadal do Gadrial, choć nie odrywał wzroku od pozostałych magistrów, jakby brał udział w pojedynku i szykował się właśnie do zadania ostatecznego ciosu. – Dostałem właśnie propozycję, która może okazać się moją życiową szansą. Otworzę bowiem nową akademię. Instytut magii teoretycznej w Nowej Arkanie, pod auspicjami Naczelnego Dowództwa armii. A pani, czeladniczko Kelbryan, została właśnie jego pierwszą studentką.

Głosy protestu rozległy się dopiero teraz. Krzyki oburzenia, przekleństwa i groźby. Magister Halathyn jednak nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi. Gadrial też je zignorowała. Była zbyt zaskoczona i oszołomiona. Patrzyła w oczy swojego mentora. Oczy tak przyjazne, tak przesiąknięte energiami życia i ciekawością świata, tak pełne pasji, tak sprawiedliwe. Popatrzyła w nie i załżała się łzami. Nie były to jednak łzy rozpacz i bezradności. Nie tym razem. Już nigdy więcej miała tak nie płakać.

Nigdy aż do teraz – bez mała dwadzieścia lat później i Bóg tylko raczy wiedzieć, jak wiele wszechświatów dalej.

Halathyn odszedł na zawsze. Tak głupio i bezsensownie. Zupełnie za nic. Lekkomyślny, szaleńczy strzał kanoniera, żołnierza zaślepionego strachem i pragnieniem zemsty na wrogu, zakończył życie największego naukowca w historii Arkany. Strzelec musiał go nie zauważyć, chociaż – i ta możliwość mroziła jej krew w żyłach – być może żołnierza to po prostu nie obchodziło. Nie obchodziła go śmierć starego cywila, o tyle o ile mógł razem z nim zginąć jeden z obcych.

Gadrial Kelbryan wtuliła twarz w poduszkę Sir Jasaka Olderhana i rozplakała się jak maleńka, zagubiona dziewczynka.

ROZDZIAŁ

CZWARTY

Z fortu wyruszyli o świcie.

Shaylar wiedziała, że stało się coś złego, ale nikt nie powiedział im dokładnie co takiego zaszło. Nikt nawet nie próbował. Jasak bez słowa wyprowadził ich z kwatery Gadrial i zaprowadził do ich pokoju. Shaylar przez całą drogę nie miała okazji, by go dotknąć, nie mogła więc skorzystać z Talentu, który pomógłby jej rozwikłać zagadkę. Czuli jednak oboje, że sytuacja musiała przyjąć wyjątkowo dla obcych niekorzystny obrót. Całą noc spędzili bowiem pod kluczem. Przed drzwiami Arkanianie zostawili uzbrojonego strażnika, a inny strzegł ich okna i jeszcze jeden – o ile prawidłowo zinterpretowali odgłosy kroków – zajął miejsce na dachu.

Szli teraz po przestronnym dziedzińcu. Gadrial czekała na nich przy zakratowanej zastawce wodnej w bramie. Nie czuła się dobrze. Napuchnięte i zaczerwienione od długiego płaczu oczy miała podkrążone tak bardzo, że wyglądały na podbite. Wokół niej wyczuwało się aurę wyczerpania. Shaylar zrozumiała to wszystko od razu i nic w tym dziwnego – w końcu zupełnie niedawno sama była w identycznym stanie.

–Kto... – zaczęła zdanie, ale po chwili zdała sobie sprawę, że nie zna słowa oznaczającego „umieranie”. Zresztą i tak nie było sensu pytać. Gadrial nie zainteresowała się nią zupełnie. Nawet nie podniosła wzroku. Co więcej – nikt na nich nie patrzył. Nie w oczy. Shaylar wymieniła z Jathmarem zaniepokojone i pełne zaskoczenia spojrzenie. Spojrzenia otaczających ich ludzi prześlizgiwały się obok, nie zatrzymując się na nich nawet przez mgnienie.

Fort zbudowano tak, że molo wychodzące w morze stanowiło przedłużenie murów. Wejść lub zejść z drewnianego doku można było tylko przechodząc przez dziedziniec. Razem z Gadrial czekali też inni. Jeden z nich – wysoki mężczyzna o stalowoszarych włosach stał wyprężony jak struna i patrzył przed siebie, w pustkę. Shaylar niejasno go sobie przypominała. Widziała go tamtego upiornego dnia, na polanie wśród powalonych drzew. Potem jednak już go nie było. Zastanowiło ją to i zmarszczyła brwi.

Skoro był z Jasakiem Olderhanem wtedy, gdy ich żołnierze wymordowali cały ich zespół, to gdzie podziewał się aż do tej pory?

Najbardziej prawdopodobna ewentualność napełniła ją lękiem. Mężczyzna miał twardą, ogorzałą twarz zawodowego żołnierza. Dobrego żołnierza. Jednego z tych doświadczonych podoficerów, którym przełożeni chętnie zlecali ważne zadania... na przykład dalekie, głębokie patrole na terytorium wroga. Czyżby ten człowiek poszedł do ich portalu? Shaylar nie wiedziała nic o obcych, nie wiedziała też jak dobrze znają

ten wszechświat i jego okolice. Niemniej, jeżeli wiedzieli o istnieniu skupiska portali już od jakiegoś czasu, to logicznym było, że Jasak wysłał kogoś na rekonesans, zaraz po natknięciu się na zespół chan Hagrahyla, po to chociażby, by zobaczyć, co się tam stało i co się zmieniło od ostatniego razu, kiedy odwiedzali te okolice. Jeżeli się nie myliła, to siwowłosy żołnierz z pewnością natknął się na wiele zmian...

Na przykład na fort kapitana Halifu. A jeżeli kapitan Halifu wysłał jednak jakiś oddział z misją ratunkową...

Rzuciła okiem na Jathmara, który odebrał część jej myśli, czując je przez małżeńską więź.

–Myślę, że znaleźli nasz portal wejściowy – szepnęła do męża.

–To zupełnie możliwe – przytaknął. – W każdym razie wydarzyło się coś bardzo poważnego. Gdybym musiał zgadywać, to powiedziałbym, że wpadli na naszych chłopaków. I raczej nie była to towarzyska pogawędka.

–To by znaczyło, że kapitan Halifu wysłał kogoś za nami.

–Albo po to tylko, żeby sprawdzić, czy ktoś przeżył potyczkę, którą znali z twojego przekazu – Jathmar z ponurą miną skinął głową. – Mówiłaś, że zostawili w lesie lżej rannych, którzy mieli na bagna dotrzeć pieszo. To oczywiste, że musieli zostawić za sobą wyraźny ślad, którym nasi mogli pójść prosto do ich portalu.

Shaylar skinęła i nowy strach ściągnął jej twarz. Ani przez chwilę nie wątpiła, że Darcel Kinlafia przyłączyłby się do każdego, kogo wysłałby na ich poszukiwania Halifu. A skoro on – lub jakikolwiek inny Głos – przeszedłby na drugą stronę bagiennego portalu, to z całą pewnością spróbowałby się z nią skontaktować. Nie odebrała jednak niczego i sama także nie mogła nawiązać z nikim telepatycznej łączności. A przecież próbowała – raz za razem – ze szczególnym natężeniem o zwykłych, ustalonych jeszcze przed tragiczną bitwą porach. Próbowała nawiązać kontakt odkąd tylko obcy ją wyleczyli. Oczywiście nie miała wielkiej nadziei na powodzenie. Nie wiedziała jak szybko potrafiły latać smoki, ale wydawało się niemal oczywiste, że skrzydlata bestia mogła zanieść ich daleko poza zasięg, na jaki działał jej Talent. Co gorsza zasięg Darcela był przecież o wiele krótszy.

Nie wiedząc o istnieniu latających stworzeń i rozumiejąc, że podmokły teren uniemożliwiłby wrogom zbyt szybki transport lądowy, Darcel nie miał żadnych podstaw by przypuszczać, że obcy znikną z najbliższych okolic portalu szybciej niż w tydzień. A jeżeli i on próbował się z nią skontaktować, podobnie jak ona z nim, to przy braku powodzenia na pewno założył, że stało się najgorsze.

Nie widząc sposobu, by temu zaradzić odłożyła te rozważania na bok. Zastanowiła się za to – z innej perspektywy – nad tym, co przed chwilą powiedział jej Jathmar.

–Gadrial jest w ciężkim szoku – zauważyła mówiąc mu prosto do ucha. – Wydaje mi się, że kogoś straciła, kogoś bardzo bliskiego.

Jathmar spojrzał na nią ostro. Zadrgały mu nozdrza.

–Pamiętasz tego mężczyznę z obozu – odpowiedział cicho. – Tego, który wyglądał jak Ricathianin?

–Tak, ten, który pokazywał nam słowa w kryształach i ognistą różę – przytaknęła Shaylar. – Gadrial była z nim emocjonalnie związana. Widziałam to w jej spojrzeniach, słyszałam to też w jej głosie. Znali się wystarczająco długo, by móc się swobodnie przekomarzać, jak starzy przyjaciele. Potem pokłócili się. Tuż przed wyjazdem. Teraz, gdy o tym myślę, to mam wrażenie, że i Jasak go cenił. Nie myślisz chyba, że...?

–Nie wiem – odpowiedział Jathmar nadal nie podnosząc głosu – ale wcale nie byłbym zadowolony, gdyby to akurat jemu stało się coś złego.

Shaylar zamrugała nie potrafiąc ukryć zaskoczenia. Więzy małżeńska nie pozwalała Jathmarowi ukryć przed nią żadnego z uczuć, jakie żywił wobec obcych, ale tak samo i ona nie potrafiła zamaskować swoich odczuć wobec niego.

Wzruszył ramionami.

–To przecież oczywiste, że akurat on nie był żołnierzem. Tak samo jak i Gadrial – wskazał obcą dziewczynę delikatnym ruchem głowy. – Nie noszą mundurów. No i... nie wiem jak to ująć. Było w nim coś takiego... – pokręcił głową nie potrafiąc dobrać słów. – W każdym razie mam nadzieję, że Grafin wszystkich pozostałych posłał do arpathiańskiego piekła, ale byłoby mi naprawdę przykro, gdybym dowiedział się, że zginął akurat ten staruszek. Jak on się nazywał? – zmarszczył czoło. – Chyba jakoś na „H”, prawda?

Shaylar ostrożnie rozejrzała się po twarzach stojących obok obcych i przysunęła bliżej do męża.

–Halathyn – powiedziała półszepem. Jathmar skinął głową.

–Tak. Właśnie tak – westchnął z żalem. – Przypuszczam, że w końcu nam jednak powiedzą. Może zresztą powinniśmy spytać sami? Ale na pewno jeszcze nie teraz. To chyba nie jest najlepszy moment.

Shaylar przesunęła spojrzeniem od napuchniętych od łez oczu Gadrial, przez ściśnięte, blade i milczące usta Jasaka, aż do twardej szczęki i dziwnie rozkojarzonych oczu wysokiego, siwowłosego żołnierza.

–Masz rację – przytaknęła zdecydowanie. – Zapytamy później. Dużo później.

W tej samej chwili drewniany skobel szczęknął i zazgrzytał. Skrzydła bramy uchyliły się ociężale. Strażnicy nie otworzyli jej jednak na oścież, a tylko na tyle, by mógł przez nią przejść Jasak w towarzystwie żołnierza, którego imienia Shaylar nadal nie mogła sobie przypomnieć. Po nich przeprowadzono ją z Jathmarem i kilkoma innymi żołnierzami. Ręce i nogi jednego z nich skute były kajdankami.

Widok skrępowanego, obcego żołnierza niezmiernie ją zdumiał. Chwilę temu pod bramą go nie zauważyła, lecz teraz go poznała. Oczywiście nie znała jego imienia – nie miała pojęcia, jak się nazywał, ani kim był – ale pamiętała go z tamtego pierwszego, straszego dnia. Miał ciemną skórę, podobnie jak Halathyn. Tak samo jak starzec wyglądał na Ricathianina. Z tym, że to podobieństwo było wyłącznie fizyczne – ograniczało się jedynie do koloru skóry i faktury włosów.

Mimo ciężących mu kajdan szedł prosto jak struna, a na jego twarzy malowała się arystokratyczna wzgarda dla całego otoczenia. Usta wydymał w ten sposób, w jaki czynili to niektórzy wysoko urodzeni w Sharonie – szczególnie dobrze urodzeni obywatele Othmaliz, przepojeni poczuciem wyższości nad wszystkimi innymi ludźmi wyłącznie z tego powodu, że ich przodkowie nie wypuścili Tajwany z rąk. Miała raz czy dwa do czynienia z takimi osobami i nigdy nie były to przyjemne spotkania, choć żaden z nich – nawet arystokrata z Othmaliz – nie chciał wchodzić w paradę Głosowi o jej pozycji.

W tym konkretnym mężczyźnie kryło się jednak coś więcej niż tylko zwykła arogancja. Spojrzenia, które posyłał Olderhanowi i Gadrial niosły ze sobą tak silny ładunek wrogości i nienawiści, że Shaylar aż wstrzymała na moment oddech. W pewnej chwili warknął na niego ostro jeden z obcych i także on przeszedł przez bramę. Mimo brzęczących kajdan szedł krokiem wielkiego pana, przechadzającego się wśród grupki żebraków.

–Ciekawe, za kogo on się uważa? – mruknął pod nosem Jathmar.

–Dobre pytanie – zgodziła się Shaylar.

–Nie wiem, czy mam ochotę płynąć z nim na tym samym statku – dodał jej mąż prawie bezgłośnie i uściśnął mocniej jej rękę.

Nie mieli jednak wyboru. Shaylar pomyślała jedynie z nadzieją, że drzwi obcych zaopatrzone były w dobre zamki. Zadrżała na tę myśl. Przecież ją i Jathmara też na pewno zamkną i niepokoiła ją możliwość, że trafią do jednej celi ze skutym żołnierzem. Przeszył ją kolejny dreszcz. Zastanowiła się, za co spotkał go ten los.

Surowo wykończony pomost wyglądał bardzo niepewnie. Jednak, kiedy już na nim stanęli okazało się, że jest bardzo solidny. Shaylar przyjrzała się stojącemu

nieopodal statkowi. Starła się zająć myśli czymkolwiek byle tylko nie zastanawiać się nad ewentualnością podróżowania wspólnie z trzecim więźniem Jasaka. Szczęśliwie statek okazał się na tyle dziwny, że nie miała z tym problemu. Bez wątplenia był też najbardziej niezwykłym statkiem, jaki widziała w życiu. Zauważyła, że także i Jathmar jest równie zdumiony.

–Jak to u licha pływa? – zastanowił się głośno.

Shaylar tylko pokręciła głową. Statek nie był może ogromny, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że jest zbudowany do pływania po otwartym morzu. Był nawet większy, niż wydawał się jej tuż po przybyciu do Rycharn, kiedy oglądała go ze smoczego grzbietu. Nie była wtedy, co prawda w nastroju do prowadzenia dokładnych obserwacji – było to przecież jeszcze przed jej uleczeniem – ale co nieco pamiętała.

Jednostka była nieco mniejsza, niż statki klasy „Podróżnik”, które pokonywały morza i oceany Sharony, stanowiąc poważną część międzywszechświatowego systemu transportowego. „Podróżnik” miał około czterystu stóp długości i pięćdziesięciu pięciu stóp szerokości. Shaylar dobrze знаła te statki, jak zresztą każdy, w jakikolwiek sposób związany z eksploracją nowych wszechświatów. Nie były to może demony prędkości, ale nadrabiały to swą niezawodnością. Pierwotnie zaprojektowano je jako statki handlowe i ich przedział pasażerski nie grzeszył zbytnimi luksusami. Z drugiej strony ich ogromną zaletą była modułowa konstrukcja, umożliwiającą prawdziwie masową produkcję. Części do budowy „Podróżników” przewożono lądem w wielkich wagonach kolejowych i składano dopiero w miejscu przeznaczenia.

Statek, który teraz oglądali łączyły z „Podróżnikami” jedynie wymiary.

Na pierwszy rzut oka stwierdziła, że wykonano go z drewna. W tym akurat nie widziała zupełnie nic dziwnego. Drewniane kadłuby były na Sharonie o wiele bardziej pospolite niż konstrukcje ze stali. Modułowa, stalowa konstrukcja „Podróżnika” była oczywiście wielkim skokiem cywilizacyjnym, lecz nadal wielu państwom i koloniom łatwiej było sprowadzić pracowników stoczniowych i drwali, niż importować kosztowną infrastrukturę, umożliwiającą składanie okrętów w odległych, nierozwiniętych wszechświatach.

Fakt, że statek obcych był drewniany, okazał się jednak bardziej niezwykły, gdy pomyślała o drugiej z wyraźnych różnic pomiędzy nim a statkami z jej świata. Był bowiem od nich dużo smuklejszy. Dzioby „Podróżników” były proste i płaskie, niemal pionowo ścięte. Ten statek kończył się natomiast ostro, spiczaście, a jego burty wdzięcznie obniżały się ku pokładowi. Shaylar nie znała się na żeglarskim, ale miała kiedyś okazję – lub w zależności od punktu widzenia – pecha przeżyć na pokładach statków z Sharony kilka ciężkich sztormów. Przyszło jej teraz do głowy, że na statku

obcych doświadczenia to nie byłoby aż tak ponure. Jego konstrukcja wyglądała bardziej... nowocześnie – nie znalazła lepszego określenia – i z tego właśnie powodu drewno wydawało się mocno anachronicznym budulcem.

Trzecią cechą, która od razu rzuciła się jej w oczy były rozmiary nadbudówki, czwartą natomiast to, że nigdzie nie widać było niczego, co choć częściowo przypominałoby kominy znanych z Sharony parostatków. Statek obcych wyposażony był w pojedynczy maszt, na którym nie powiewał najmniejszy nawet żagiel. W ogóle nie było widać śladu żadnego napędu, jaki Shaylar była w stanie sobie wyobrazić.

Potem zauważyła coś jeszcze – rząd szerokich na trzy stopy okienek ciągnących się na poziomie pokładu przez całą długość nadbudówki. Były teraz zamknięte. Nie wyglądały jednak na otwory wentylacyjne lub otwory, przez które pozbywano się śmieci. Na burcie którą oglądała widniało ich osiem i założyła, że po drugiej stronie okrętu znalazłaby ich dokładnie tyle samo.

Jasak i Gadrial poszli dalej. Jathmar z żoną ruszyli po pomoście ich śladem. Shaylar zaczęła się zastanawiać, jak daleko stąd znajduje się ojczysty wszechświat Olderhana. Zastanowiła się też nad tym, jakie konsekwencje mogły wiązać się z odkryciem, że nie było to blisko. Jednostka, ku której zmierzali z całą pewnością był okrętem wojennym, lub uzbrojonym w celach obronnych. Statki, na których przychodziło jej pływać w Sharonie nigdy nie były wyposażone w żadną broń. Po chwili zrozumiała, że nie mogła to być też lekka kanonierka, ani okręt obrony wybrzeża. Nie. To musiał być pełnomorski okręt wojenny. Świadczyło o tym to, że był wytworem silnie zmilitaryzowanego społeczeństwa. Jacy inni ludzie wysłaliby na bezludne pogranicze uzbrojone okręty wojenne?

Z tą myślą doszła do trapu, który w przeciwieństwie do pomostu okazał się cienki i wyglądał dość niepewnie. Jasak powiedział coś do Gadrial – o wiele za szybko jak dla Shaylar, wciąż nie najlepiej znającą andarański. Obca kobieta spojrzała na oficera, zdobyła się na słaby uśmiech i pokręciła głową. Weszła na stromo wznoszący się trap, mocno przytrzymując się ograniczających go lin a następnie na górujący nad nimi pokład. Jasak popatrzył za nią przez chwilę, po czym zwrócił się do Shaylar, zaskoczył ją swoim gorzkim uśmiechem, który pojawił się na jego ustach, mimo wyraźnie wielkiego ciężaru, jaki spoczywał na jego barkach.

–Kobiety idą przodem – powiedział powoli i wyraźnie po andarańsku, wyciągając do niej rękę.

Shaylar oblała się rumieńcem. Jego uprzejmość zaskoczyła ją zupełnie. Mimo, że i wcześniej okazał dla niej i Jathmara wiele dobroci, to teraz spodziewała się bardziej oschłego traktowania.

Zawahała się patrząc mężczyźnie w oczy. Poza zdziwieniem chodziło też o to, że

chciała – potrzebowała – go dotknąć. Musiała znaleźć sposób, by dzięki swemu Talentowi dowiedzieć się, co zaszło. Jednocześnie opadł ją dziwny lęk. W oczach oficera było tyle bólu... i rozumiała aż nazbyt dobrze, że ten ból tylko na nią czekał. Wystarczyło wziąć wyciągniętą dłoń...

Gadrial zatrzymała się kilka stóp dalej i spojrzała przez ramię swymi przekrwionymi oczyma. Shaylar poczuła jak zalewa ją kolejna fala wstydu. Gadrial – mimo swego tak wyraźnego cierpienia – nadal troszczyła się o jeńców. Obejrzała się dlatego, że wyczuła jej własne wahanie, mimo, że nie знаła i nie rozumiała jego powodów.

To wystarczyło. Shaylar zebrała się w sobie, otworzyła szeroko swój Talent i chwyciła Jasaka za rękę.

To był błąd.

Wszystkiego dowiedziała się w jednej chwili, gdy tylko zetknęły się ich palce. Przygryzła wargę i zachwiała się gwałtownie, zupełnie, jakby ktoś nagle uderzył ją w tył głowy. Okazało się, że dyscyplina i samokontrola Olderhana były na tyle silne, że nie doceniła bezmiaru przepełniającego go cierpienia. Przygotowała się bardziej na odbiór najdrobniejszych odcieni emocji i jak największej liczby szczegółów stojących za nimi faktów, a w zamian otrzymała śmierć.

Bezmiar śmierci zmieszany z wrażeniem opuszczenia kogoś bliskiego i szalejącymi falami poczucia winy i bezradności. Oboje z Jathmarem już wcześniej dowiedzieli się, że Jasaka zastąpił ten drugi oficer, ten który chciał ich w jakiś sposób skrzywdzić, ale to nie tłumaczyło tych przytłaczających wyrzutów sumienia i odpowiedzialności. Wszystko to pałało w jego duszy z niszczycielską, toksyczną siłą.

Ślaniając się na nogach tonęła w koszmarnej otchłani cierpienia Jasaka Olderhana. Jęknęła cicho, czując jak obcy żołnierz chwyta ją swymi mocnymi ramionami w ostatniej chwili, ratując ją przed upadkiem na z grubsza tylko ociosane deski pomostu. Gdy ją podnosił niczym małą dziewczynkę, poczuła też bijący od niego ogromny niepokój o jej zdrowie, który przedarł się nagle przez chmurę mroczniejszych uczuć.

Shaylar wynurzyła się z ciemności, w panice zatraskując podwoje swego Talentu, ucinając kontakt z otchłanią duszy oficera.

Musiała odczekać jeszcze dwa lub trzy uderzenia serca i wróciła wreszcie do siebie. Jasak patrzył skonsternowany i silnie zmartwiony.

Pokręciła lekko głową, uśmiechnęła się do żołnierza, wyrażając jednocześnie przeprosiny za swoją „niezdarność” i dziękując za pomoc. Wtedy wyciągnęła do niej rękę Gadrial.

Obca kobieta zrobiła to jednak z dziwnym wahaniem, jakby nie była pewna, czy dobrze postępuje. Podobnego zachowania Shaylar nie zaobserwowała u niej nigdy wcześniej. Wyglądała jak osoba, tocząca jakąś wewnętrzną walkę, niemal zmuszając się do udzielenia pomocy.

Nauczona wcześniejszym doświadczeniem z dotykiem Jasaka i nietypowym wahaniem Gadrial, Shaylar przygotowała się na szok kontaktu zanim jeszcze przyjęła wyciągniętą dłoń. Zamiast nastawiać się na natychmiastowy odbiór wszystkich emocji Gadrial, otworzyła się tylko częściowo, lecz i tak, gdy tylko zacisnęła swe palce na jej ręce przeszył ją dreszcz i pobladła.

Ból Jasaka był okropny. Gadrial cierpiała jednak o wiele bardziej. Imię Halathyna płonęło w jej szarpanych żalobą i żalem uczuciach tak gorąco, że Shaylar dosłownie je usłyszała. Czegoś takiego nigdy przedtem nie zaznała w kontakcie z osobą pozbawioną Talentu. Wysiłkiem woli opanowała się i nie przytuliła zbolalej kobiety do siebie. Gadrial okazała jej przecież tyle serca i udało się jej w jakiś niewytłumaczalny sposób utrzymać Jathmara przy życiu przez całą drogę do fortu. Teraz Shaylar czuła jej ból aż nazbyt wyraźnie i poczuła silną potrzebę, by jakoś obcą pocieszyć. Nie mogła jednak tego zrobić. Nie mogła ryzykować, że zdradzi się przed nimi ze swym Talentem, który za wszelką cenę musiał pozostać tajemnicą. Uścisnęła więc dłoń Gadrial jak gdyby nigdy nic i razem weszły po rozkołysanym, stromym trapie.

Gdy znalazły się już na pokładzie, Shaylar puściła rękę obcej, stanęła obok niej, odwróciła się do pomostu i spojrzała na krainę, którą mieli wkrótce opuścić. Objęła się ramionami, by opanować nie ustępujące dreszcze i zrozumiała, co to wszystko znaczyło.

Halathyn nie żył.

Była pewna, że starzec zginął. Jednak nie tylko on odszedł. Śmierci było wiele więcej. Bardzo dużo. To wynikało jasno z kłębiących się uczuć Olderhana. To także tłumaczyło nagłą zmianę w zachowaniu obcych wobec obojga jeńców. Kapitan Halifu musiał zaatakować obóz na bagnach i z całą pewnością posłał wszystkich ich żołnierzy do diabła.

Ten wniosek przeraził Shaylar do szpiku kości. Wraz z Jathmarem byli bezradnymi jeńcami ludzi, którzy teraz, po tej drugiej bitwie z pewnością pomyślą, że Sharonianie są o wiele bardziej wojowniczym narodem, niż mogli przypuszczać po ich pierwszym kontakcie.

Nie obawiała się zemsty ze strony Jasaka, choć to przecież jego ludzie polegli w niedawnej potyczce. Nie wierzyła jednak, by okazał się człowiekiem zdolnym do czegoś takiego. Przeczyło temu zbyt wiele rzeczy, które zdążyła już w nim wyczuć. Tyle, że Jasak Olderhan, o ile się nie myliła w ocenie, był tylko jednym z oficerów –

dowódcą stosunkowo niewielkiego oddziału. Shaylar spędziła wśród wojskowych wystarczająco dużo czasu, by nauczyć się rozpoznawać miejsce człowieka w hierarchii i była prawie pewna, że Olderhan nie był nikim wysoko w niej postawionym. Co więcej – miała wrażenie, że jest od niego starsza. Wskazywał na to jego stopień, chyba, że armia obcych zorganizowana była zupełnie inaczej niż SZPP czy inne armie Sharony.

Gdyby sytuacja zaogniała się tak szybko, jak się tego obawiała, oczywistym krokiem obcych, będzie przekazanie ich pod kuratelę kogoś innego, jakiegoś wyżej postawionego oficera. I wtedy Jasak nie będzie mógł już ich chronić. Nawet jeśli po ofierze poniesionej przez jego ludzi nadal miałby na to ochotę.

Dowódca fortu – którego zabudowania z tej odległości, na tle ciągnącego się aż po horyzont bagna wyglądały na śmiesznie małe – był na pewno wyższy rangą i starszy wiekiem od Olderhana. Odwiedził ją i Jathmara w ich kwaterze tylko jeden raz w ciągu całego ich pobytu w forcie. Jednak wtedy nie odezwał się do nich ani słowem. Przyglądał się im po prostu przez kilka długich, milczących chwil. Obejrzał sobie najpierw Jathmara, a potem Shaylar. Powodów wizyty nie zdradził nawet mrugnięciem. Tak samo nie wiadomo było, do jakich wniosków doszedł. Wychodząc skinął tylko szorstko głową i zniknął.

Shaylar nie chciała – nie ważyła się – zakładać, że inni oficerowie będą traktować ich z podobną wyrozumiałością. Z pewnością nie mogła uczynić tego teraz. Stała więc tak drżąca i czekała na Jathmara. Gdy znalazł się na pokładzie objął ją czule ramieniem. Shaylar obróciła się przodem do niego i przywarła do jego piersi. Tulili się do siebie, a na okręt wchodzili kolejni pasażerowie.

Gośćmi zajęła się szóstka ludzi, którzy najwyraźniej stanowili załogę statku. Podobnie jak Jasak i reszta żołnierzy, także i oni mieli na sobie mundury, choć ich stroje różniły się wyglądem od pozostałych. Ubrani byli w czerwone bluzy, tylko jeden z nich nosił czerwoną, wojskową kurtkę ze złotym paskiem i białe spodnie. Mężczyzna w kurtce musiał być kimś w rodzaju podoficera. Wymienili z Olderhanem służbiste pozdrowienia, po czym marynarz powiedział coś do swoich ludzi i wskazał im głową Shaylar i Jathmara. Jeden z marynarzy w czerwonej kurtce ruszył ku nim, lecz wtedy odezwał się Jasak i marynarz zawahał się, oglądając na swego przełożonego. Ta rozmowa także przeprowadzona została zbyt szybko i Shaylar nie zrozumiała słów, choć domyślenie się, co zaszło nie wymagało od niej długiego zastanowienia.

Jasak po raz kolejny stanął w ich obronie i prosił żołnierza w kurtce, by pozwolił im pozostać na pokładzie przynajmniej jeszcze przez chwilę, przed odesłaniem jeńców do przeznaczonej dla nich kajuty, czy celi. Po chwili młodszy oficer skinął głową i zajął się pilniejszymi sprawami.

Przez trap weszli ostatni z pasażerów i dowódca statku wydał marynarzom jakiś rozkaz. Sekundę później trap zaczął się unosić, choć marynarze wcale go nie wciągali. Nie używali ani podnośnika ani dźwigu. Po prostu uniósł się, oderwał od burty i od nabrzeża, obrócił elegancko w powietrzu i zawisł równolegle do okrętu. Zatrzymał się jakieś dziesięć stóp nad głową Jasaka, po czym samoczynnie zamocował do specjalnych uchwytów na nadbudówce.

Shaylar patrzyła na to z najwyższym niedowierzaniem i usłyszała równie zdumiony cichy okrzyk Jathmara.

–Jak oni to zrobili? Na wszystkie diabły Uromathii! – zapytał oszołomiony, gdy dwóch marynarzy zabezpieczało trap na nowym miejscu. Shaylar była tak samo zaskoczona jak i on, ale przypomniawszy sobie oglądane jeszcze na upiornej polanie, podobnie unoszące się w powietrzu nosze, na których obcy transportowali jej męża.

–To ta ich lewitacja – powiedziała oczarowana. – Pamiętasz swoje nosze? I te, na których wieźli innych rannych?

–Z tymi małymi, szklistymi kostkami? – Jathmar przyjrzał się jej przez chwilę, po czym wzruszył ramionami. – Fakt. Skoro potrafią zmusić do lewitacji nosze, to nie ma powodu, dla którego trapy miałyby być mniej posłuszne – zgodził się i prychnął. – To pewnie też wyjaśnia, dlaczego na tym statku nie ma żadnych żurawi. Po co mieliby się męczyć z dźwigami, skoro mogą wsadzić do skrzyni kostkę szkła i polecieć nimi gdzie im się podoba.

Pokręcił głową nie mogąc się otrząsnąć i wtedy doleciał go cichy głos Jasaka.

–Pójdziecie teraz do siebie – oznajmił oficer.

* * *

Kwatery, do których ich zaprowadzono stanowiły przyjemne zaskoczenie. W niczym nie przypominały wilgotnej, mrocznej i bez wątpienia zamieszkałej przez stada szczurów celi, jaką wyobrażała sobie Shaylar.

Kajuta znajdowała się na pierwszym piętrze nadbudówki, tuż nad otworami strzelniczymi okrętu, pomiędzy kajutami Jasaka i Gadrial. Starszy, siwowłosy żołnierz zajął kwaterę naprzeciwko drzwi Jasaka, a trzeci jeniec zniknął gdzieś pod pokładem – prawdopodobnie trafił do celi, którą Shaylar przygotowała mu w myślach.

Kajuta nie była duża, ale to akurat stosowało się do wszystkich kajut, jakie widziała Shaylar w swym życiu. Być może była nieco mniejsza niż pokoiki na „Podróżnikach”, ale o ile się nie myliła, znajdowali się przecież na okręcie wojennym i tego rodzaju niedogodności były prawdopodobnie nieuniknione. Zawsze podejrzewała, że na

podobnych okrętach pasażerowie nie mają tylu wygod co na statkach cywilnych.

Kwaterę wyposażono wręcz bezlitośnie praktycznie. Było czysto i wygodnie. Grodzie pomalowano na biało, a pod pryczami wbudowane były zmyślne skrzynki. Był też iluminator. Co prawda nie tak duży by ktokolwiek – nawet Shaylar – mógł się przezeń prześliznąć, ale pozwalał na oglądanie morza, a co ważniejsze wpuszczał do wewnątrz światło, co było wielką ulgą. W celi, której się obawiała miało przecież nie być żadnych okien.

Z radością pomyślała, że w nocy będą mogli popatrzeć na księżyc.

Usiadła na pryczy i westchnęła. Nie było to może specjalnie miękkie legowisko, ale i tak dużo bardziej przyjemne niż rozciągnięty na ziemi śpiwór. Rozległo się chrząknięcie i podniosła wzrok.

–Zostać – powiedział stojący w otwartych drzwiach Jasak. – Przyjdę szybko.

Shaylar skinęła głową domyślając się, co nastąpi za chwilę. Drzwi się zamknęły, lecz zdążyła jeszcze zobaczyć uzbrojonego strażnika, który stanął przed nimi na posterunku. Szczęknął zamek. Jathmar skrzyżował ręce na piersi i wściekłym wzrokiem popatrzył na zamknięte wyjście.

–Jesteśmy uwięzieni na statku, który za chwilę znajdzie się gdzieś na środku oceanu – warknął. – Te drzwi wyglądają na wyjątkowo solidne, zamek zresztą podobnie. Przez to okienko nie wyśliźniesz się nawet ty! Po jaką cholere przysłali tu jeszcze tego strażnika?

Shaylar poczuła niepokój bijący od męża niczym nagły atak migreny, doleciał ją też jego strach i frustracja. Podeszła do Jathmara, musnęła wargami jego usta, objęła i złożyła głowę na jego sercu.

–Musieliśmy im naprawdę nieźle dołożyć – mruknęła.

–Mam nadzieję – rzucił ostro Jathmar.

–Ciii – odchyliła się na tyle, że mogła spojrzeć prosto w jego zbolale oczy. – Co się stało, to się nie odstanie. Musimy liczyć się z konsekwencjami. Powinniśmy też zastanowić się, co im powiemy, gdy spytają w jaki sposób przekazaliśmy naszym wiadomość. Uczę się ich języka Jathmar i choć bez pomocy drugiego telepaty idzie mi to strasznie mozolnie, to już niedługo będę go znać na tyle, że na pewno o to zapytają. I zechcą usłyszeć odpowiedź.

Jathmar zacisnął mocniej szczękę. Wyraźnie zagrały mu mięśnie. Nie powiedział jednak słowa.

–Jathmar – ciągnęła łagodnie – musisz wyrzucić z siebie choć część nienawiści i poświęcić tę energię na wymyślenie sposobu, w jaki będziemy mogli ich wodzić za nos, tak by nie stali się zanadto podejrzliwi. Nie możemy dopuścić, by zaczęli nas traktować gorzej niż do tej pory.

Przez chwilę spodziewała się ze strony męża wybuchu gniewu, lecz tak się nie stało. Stłamsił złość w sobie.

–Rzeczywiście, biorąc pod uwagę sytuację traktują nas... przyzwoicie – mruknął zrzędlawie i z wyraźną niechęcią.

–Tak, to prawda – opowiedziała.

–Ale – ciągnął – nie mogę przestać ich nienawidzić, Shaylar. Zniszczyli wszystko co mieliśmy. Pozbawili nas naszych marzeń. Zabili naszych przyjaciół i o mały włos, a pozabijaliby i nas...

Zaczerpnął głęboko powietrza. Z całych sił starał się opanować. Nie było to jednak proste.

–Nie mam nawet odwagi się z tobą kochać – powiedział po dłuższej chwili nieszczęśliwym głosem. – Nie możemy zamknąć drzwi od wewnątrz. Co by się stało, gdyby ktoś nagle wpadł? Gdyby nas zabrali? I co by było, gdybyś zaszła w ciążę? – pokręcił głową i zacisnął zęby. – Wcześniej wpadka oznaczała tylko koniec pracy w zespole, a teraz? Co by zrobili z naszym dzieckiem? Co by jemu zrobili? Mogliby przecież pomyśleć, że to świetny sposób na wyciągnięcie z nas potrzebnych im informacji.

Zamknął oczy, mocniej przytulił żonę i zatopił twarz w jej włosach. Jego palące pragnienie jej ciała przepłynęło do niej przez Więż, niczym rozpalona do czerwoności lawa. Odebrała też strzępy żarliwego gniewu i rozpachy. Nie wiedziała, co powinna mu odpowiedzieć. Była w stanie go jedynie tulić, prawie ślepa od łez. Stali tak na środku swojego wygodnego więzienia i tulili się w poczuciu dojmującej bezradności i bezbronności.

Shaylar nie wiedziała ile upłynęło czasu. Odkąd obcy odebrali im zegarki mieli kłopot z jego odmierzaniem. Zresztą nawet nie próbowała liczyć minut. Stała po prostu przy Jathmarze, z policzkiem opartym na jego piersi, wsłuchana w mocny, równomierny rytm jego serca. Docierały do niej niewyraźne odgłosy dobiegające przez otwarty iluminator.

Minęło jeszcze kilka chwil i statek ruszył. Po raz kolejny uświadomiła sobie jak bardzo różni się ich dawny świat od tego, w którym znaleźli się teraz. Okręt popłynął bez wcześniejszego pomruku maszyn, kadłub nie wibrował od drgań silnika. Nie było także słycać łopotu żaglowego płótna, ani skrzypienia masztów i olinowania. Płynęli

w zupełnej ciszy, a za okrągłym okienkiem powoli znikał pomost.

Nagle statek jeszcze raz wyhamował. Shaylar spojrzała na zewnątrz i zobaczyła jak cały kadłub powoli, z gracją odwraca się w miejscu rufą do lądu. Dzięki temu znów zobaczyła fort. Ostatnie spojrzenie na ląd. Poczwała, jak świeże łyżki szczypią ją w oczy. Ponownie uścisnęła Jathmara, po czym niecierpliwie otarła powieki i podeszła do iluminatora, by przyjrzeć się bagnom ciągnącym się wzdłuż wybrzeża.

Statek ruszył, tym razem już naprzód. Przyspieszał stopniowo i szybko. Wreszcie ich podróży zaczął towarzyszyć dźwięk – chlupot wody i chrzęst drewnianego kadłuba. Nadal jednak najmniejszy nawet odgłos nie zdradzał źródła potężnej siły, która pchała ich przez fale.

Fort, w którym spędzili ostatnie dni małał z każdą minutą. Okręt łagodnie nabierał prędkości. Już teraz płynęli szybciej niż większość statków na Sharonie. Shaylar nie potrafiła dokładnie ocenić prędkości, lecz z całą pewnością mknęli szybciej niż wielkie, ekspresowe statki pasażerskie, a może i prędeziej od tych nowych, napędzanych turbinami okrętów wojennych, o których ostatnio ktoś jej opowiadał. I wszystko to bez najmniejszego drgnienia i w tej niesamowitej ciszy. Nie dymiły kominy, nic nie buczało. Jedynie ta prędkość. Oszalamiająca i tak łatwo osiągnięta.

Zasłoniła dłonią usta. Rozległe bagno i drewniana palisada fortu były niezwykle samotne. Całowane promieniami słońca budynki, zaludnione były tylko przez liczne chmary mew i garstkę miniaturowych ludzi. A może to tylko ona poczuła się tak nagle nieznośnie samotna?

Wtedy Jathmar podszedł do niej od tyłu i przytulił.

–Jestem tu, ukochana – szepnął. – Jestem i będę. Bez względu na wszystko.

Docisnęła jego ramiona mocniej do siebie i stała tak w milczeniu. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Trudno jej było w tej chwili przypomnieć sobie, że znaleźli się w tym wszechświecie w poszukiwaniu nowych widoków i nowych miejsc do odwiedzenia. Przecież chcieli obejrzeć miejsca, w których nie powstała nigdy wcześniej ludzka stopa. Stopa mieszkańca Sharony.

W tej chwili czuła tylko żal i rozpacz... i jeszcze te czułe, kochające ramiona – ostatnią rzecz, jaka jej pozostała.

ROZDZIAŁ

PIĄTY

Ktoś zastukał delikatnie w niewielki gong zawieszony na zewnątrz jego namiotu i Balkar chan Tesh podniósł wzrok. Od razu rozpoznał wysokiego, barczystego oficera piechoty morskiej, choć osobiście nie spotkali się nigdy wcześniej. Młody żołnierz wyglądał na wyczerpanego, co świadczyło o tym, że dotarł tu równie forsownym i pospiesznym marszem jak wcześniej chan Tesh. Wyglądał jak skóra zdarta żywcem z ojca. Gdyby jednak nie był, to szaroniebieski sokół wędrowny, siedzący na wyjątkowo nieregulaminowym ochraniaczu na ramieniu jego tuniki, stanowiłby i tak znaczącą wskazówkę.

Nawet jak na przedstawiciela tego gatunku ptak był wielki. Wysoki niemal na dwadzieścia cali, a rozpiętość jego skrzydeł musiała wynosić dobrze ponad cztery stopy. Właściciel nie założył mu na łeb kaptura, ani nie trzymał go na uwięzi co było co najmniej dziwnym zwyczajem. Potężne pazury wpijały się w ochraniacz delikatnie, ale widać było, że zwierzę świadome jest ich siły. Ciemne oczy ptaka patrzyły bystro i z uwagą. Wpatrywały się w chan Tesha niepokojąco intensywnie.

Kapitan pomyślał, że jest to najwspanialszy drapieżnik jakiego kiedykolwiek przyszło mu oglądać. Zresztą powinien taki być. W tym celu prowadzono przecież przez tysiące lat hodowlę jego przodków.

–Tak? Słucham? – odezwał się nie dając po sobie poznać, że wiedział kim jest jego gość.

–Młodszy kapitan chan Calirath – przedstawił się przybysz. – Kapitan Halifu polecił mi stawić się do pana zaraz po przybyciu na miejsce.

–Rozumiem – chan Tesh odłożył pióro i oparł się wygodniej na swym płóciennym, polowym krzeselku. – W takim razie słucham... chyba, że jest pan zanadto zdżony – dodał z nikłym uśmiechem.

–Dziękuję, kapitanie – odpowiedział uprzejmie żołnierz. Chan Tesh w duchu uśmiechnął się jeszcze szerzej, tym razem z aprobatą.

Młodszy kapitan, Jego Wysokość Księżę Koronny Janaki chan Calirath, dziedzic Uskrzydłonej Korony mierzył około metra dziewięćdziesięciu. Ramiona miał szerokie i mocne jak wszyscy mężczyźni z jego rodu. Sam jednak wzrost nie tłumaczył wrażenia, jakie wywoływał samą swą obecnością. Wcześniej Chan Tesh zastanawiał się w jaki sposób przedstawi mu się księżę i spodobało mu się teraz to proste, żołnierskie „młodszy kapitan chan Calirath”, które tym bardziej podkreślało wagę faktu, że ten młody człowiek, pewnego dnia zasiądzie na tronie najstarszego i

najpotężniejszego imperium w dziejach świata.

„A przynajmniej w dziejach naszego świata” – poprawił się w myślach chan Tesh.

–Zaczekaj na mnie, serce moje – Janaki mruknął do sokoła i zgonił ptaka delikatnie z ramienia. Sokół wzbił się w powietrze z cichym skrzekiem. Chan Tesh popatrzył za nim, gdy drapieżnik zniknął ponad koronami drzew. Księżę również przyglądał się pupilowi z uśmiechem, po czym wszedł dalej do namiotu, nieśmiało ale bez wahania. Widać było, że nauczył się już wchodzenia pod niewielkie, wojskowe pałatki, co nie było przy jego wzroście prostym zadaniem. Przysiadł z rezerwą na wskazanym przez chan Tesha składanym krzeselku i okazało się, że ostrożność jego ruchów nie była przesadna. Mebel niebezpiecznie zatrzeszczał pod jego ciężarem, ale na szczęście drewniane listewki nie puściły.

–Mam nadzieję, że nie odbierze pan tego niewłaściwie, kapitanie – odezwał się chan Tesh – ale muszę przyznać, że nie podoba mi się, że trafił pan do mnie akurat w takim momencie.

–Sir... – zaczął Janaki, ale chan Tesh powstrzymał go uniesieniem dłoni.

–Kapitanie – ciągnął – jestem Ternathianinem, dobrze znam tradycję pańskiego rodu i szanuję ją. Jednak udawanie, że jest pan zwykłym młodszym kapitanem nie ma większego sensu. Nie mam zamiaru robić z pańskiego pochodzenia wielkiej sprawy, ale wszyscy zdajemy sobie sprawę, kim pan jest i co ważniejsze, kim pan pewnego dnia zostanie. To zawsze będzie dla pańskich dowódców istotną rzeczą.

–Tak, kapitanie. Zdaję sobie z tego sprawę – dźwięk jaki wydał z siebie Janaki nie był może westchnieniem żalu, ale różnił się od niego bardzo nieznacznie. Chan Tesh z trudem stłumił cisnący mu się na wargi uśmiech.

–Wolałbym, żeby było inaczej – powiedział starszy oficer współczująco. – W obecnej sytuacji spróbuję jednak upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Będąc szczerym do bólu, wasza wysokość – rozmyślnie użył cesarskiego tytułu – każdy oficer pozostający przy zdrowych zmysłach bez wahania odesłałby pana od razu na tyły. Zwłaszcza w sytuacji tak najeżonej niepewnością i niewiadomymi jak nasza obecna. W tym jednak wypadku mam dla pana zadanie, wprost wymarzone dla kogoś o pańskim doświadczeniu.

–Słucham, kapitanie.

–Mamy jeńców, młodszy kapitanie – oznajmił ponuro chan Tesh. – Kilku z nich odniosło w walce bardzo poważne rany. Nasi Uzdrowiciele zrobili dla nich co tylko było w ich mocy i stan wszystkich można już uznać za stabilny. Musimy jednak odesłać ich na tyły do miejsca, gdzie będzie można otoczyć ich jeszcze lepszą opieką. Zresztą nawet gdyby nie było rannych, należałoby odeskortować ich stąd w

celu przesłuchania. I to jak najszybciej. Wzięliśmy do niewoli tylko jednego oficera, ale wydaje się, że to on właśnie był ich dowódcą. On także został ranny i nie wygląda na to, by kiedykolwiek mógł jeszcze chodzić. Schwytaliśmy jednak także kilku starszych podoficerów i oni właśnie stanowią nasze najlepsze i jedyne źródło informacji. Musimy ich przekazać komuś, kto będzie miał pomysł, w jaki sposób się z nimi porozumieć. Nie wspominam już o tym, że odesłanie ich na tyły jest konieczne ze względów bezpieczeństwa. Stamtąd nie uciekną ani nikt ich nie uratuje.

Umilkł. Janaki nieznacznie skinął głową.

–Nie mogę do tego celu przeznaczyć zbyt wielu ludzi – wznowił chan Tesh – i wydaje mi się, że stosunkowo najmniejszy uszczerbek stanowiłoby powierzenie tej misji pańskiemu plutonowi. Nadaje się pan też do tego z innego jeszcze powodu. Wychował się pan w pałacu i jestem pewien, że ma pan bardziej wyczulone ucho na różnego rodzaju polityczne i wojskowe niuanse informacji.

–Chciałbym, żeby co najmniej kilku z nich - ciągnął – trafiło aż na Sharonę. Dobrze by też było, gdyby po drodze nie zmieniał się dowódca eskorty. Niektórzy z nich są jeszcze w ciężkim szoku po tym, czego doświadczyli, lecz większość wydaje się mieć ochotę stawić czoła wszelkim próbom wyciągania z nich poufnych informacji. Podejrzewam, że spędzając z nimi dwa lub trzy miesiące, miałyby pan szanse zdobyć ich zaufanie. Warto w każdym razie spróbować. A jeśli to by się udało, to zebrane przez pana doświadczenie pomogłoby jak najpełniej wykorzystać zdobytą wiedzę.

–Mówiąc bez ogródek – kapitan mówił dalej – chciałbym również, żeby dowódcą eskorty został ktoś o znacznej pozycji. To zapobiegłoby próbom przejęcia jeńców przez innych oficerów, którzy mogliby chcieć zatrzymać ich bliżej frontu. Podsumowując – wydaje mi się, że jest pan odpowiednią osobą do przeprowadzenia wstępnej analizy informacji, wydobytych od jeńców – a także wiem, że mimo pańskiego niewysokiego stopnia jest pan wystarczająco zdolny by doprowadzić ich do celu.

–Z całym szacunkiem kapitanie, ale czy zatrzymanie ich w pobliżu frontu nie miałyby jednak pewnego sensu? W ten sposób, kiedy już się czegoś dowiemy, moglibyśmy błyskawicznie dostarczyć informacje tam, gdzie byłyby najbardziej potrzebne.

–Oczywiście – zgodził się chan Tesh. – Dlatego też nie odeślę wszystkich jeńców. Większość zostanie tutaj. Zajmie się nimi regimentarz Velvelig – zdrowymi jak i tymi poważniej rannymi – w Forcie Raylthar. To wystarczająco daleko by nie przejmować się kwestiami bezpieczeństwa, mają tam także odpowiednio wielu Uzdrowicieli. Moim zdaniem równie ważne jest jednak odesłanie części jeńców do Sharony. Tam czynniki rządowe i wywiad będzie się mógł nimi zająć dokładniej. I pan, młodszy kapitanie, zawiezie ich prosto do Tajwany.

–Tak jest, kapitanie.

–Co więcej – dodał cicho chan Tesh – ktoś powinien zająć się też sytuacją polityczną w naszym świecie. Nie mam zielonego pojęcia jak się ona rozwinie ale zdaję sobie sprawę, że będziemy potrzebować jakiegoś rodzaju ujednoczonej polityki militarnej i wewnętrznej. Zarząd – ze swymi obecnymi uprawnieniami – nie da sobie rady z tak poważnym kryzysem. To znaczy, że politycy będą zmuszeni wypracować jakieś nowe instytucje i mechanizmy działania. Jest dla mnie oczywiste, że pańska rodzina zostanie mocno uwikłana w te kwestie i pańska obecność na pewno nikomu nie zaszkodzi. Zwłaszcza jeśli wróci pan do domu z pierwszą partią schwytanych jeńców. Przez kilka sekund młodszy żołnierz przyglądał się chan Teshowi niczego nie zdradzającym wzrokiem. Kapitan siedział i czekał. Wątpił, by cokolwiek z tego co powiedział księciu przed chwilą, stanowiło dla niego jakąś nowość. Z tego co wiedział nigdy żaden Calirath nie był idiotą, a tylko idiota nie dostrzegłby, jak zacięta polityczna walka miała się właśnie rozegrać w Sharonie. Janaki musiał zdawać sobie sprawę także z roli, jaką w tej rozgrywce miała odegrać jego rodzina – i on sam.

–Oczywiście kapitanie, rozumiem – powiedział po chwili książę koronny. Chan Tesh zauważył, że jego rozmówca nie wyraził swej aprobaty, ale na to był przygotowany.

–Poza powyższym – oznajmił – jest jeszcze jedno zadanie, które chciałbym panu powierzyć.

–Tak, kapitanie?

–Darcel Kinlafia – Głos Kinlafia – jedyny pozostający przy życiu członek zaatakowanego zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn – chan Tesh spojrzał chmurnie. – Szczerze powiedziawszy... Martwię się o niego.

–Wolno mi spytać z jakiego powodu, kapitanie?

–On tam był. Przez całą bitwę utrzymywał łączność z Shaylar. Widział jak dokoła niego padają jego najbliżsi przyjaciele i nie mógł im nijak pomóc. Teraz zaczął się za to obwiniać. Mam wrażenie, że znienawidził sam siebie. To wspomnienie, wspomnienie ataku go... zatruwa, a na domiar złego jest przecież Głosem. Wiem, że to niczyja wina, ale ktokolwiek, kto ma choć cień Talentu odbiera jego emocje i przekazuje je dalej. Nie chciałbym, żeby z tego powodu ktoś z naszych ludzi posunął się do czegoś głupiego. Nie wolno nam działać z czystej zemsty. Równie ważne jest w mojej ocenie to, że jemu samemu dobrze by zrobiło, gdyby znalazł się daleko stąd. Kinlafia potrzebuje czasu i przestrzeni. To go uleczy. Siedząc tutaj jest wciąż za blisko tamtej polany...

–Rozumiem, kapitanie – Janaki ponownie skinął głową. Tym razem w jego oczach o barwie morza zabłysło coś na kształt aprobaty. Przechylił głowę na bok.

–A jednak, czy możemy sobie pozwolić na odesłanie go na tyły? Z tego co wiem, jest nie tylko świetnym Głosem ale i Ogarem Portali.

–Jest, owszem – przytaknął chan Tesh zaskoczony szybkością z jaką księżę dowiedział się tego wszystkiego. – Ale zdążył już podać nam namiary na najbliższy portal – jak się wydaje jedyny nieznany portal w tym wszechświecie. Wiemy, że leży gdzieś na północnym wschodzie. Możliwe, że w Esferii albo Nowej Ternathii. Oczywiście nie wiemy jeszcze jak daleko stąd, nie wiadomo także czy obcy nie mają innych baz w tym wszechświecie. Najgorsze jest jednak to, że nadal za cholere nie możemy zrozumieć, w jaki sposób udało im się ewakuować ludzi z tego przeklętego bagna! Mimo wszystko, wiemy gdzie w razie potrzeby rozpocząć poszukiwania ich portalu, a więcej nie powie nam nikt, nawet Ogar Portali. Tak naprawdę to nie potrzebujemy od niego już nic, natomiast istnieje potrzeba odesłania go z tego miejsca.

–Z dała od miejsca i od wspomnień – powiedział powoli Janaki. – Gdzieś, gdzie będzie mógł dojść do siebie.

–Właśnie tak – odparł chan Tesh – choć nie tylko o niego tu chodzi. Jak już powiedziałem był przez całą bitwę w kontakcie z Shaylar i jestem pewien, że w jego umyśle kryje się jeszcze wiele szczegółów, które mogłyby nam pomóc. On je zna, lecz, by tak rzec... nie wykazuje zbytnej ochoty do współpracy z nami w tym zakresie. Nie winię go za to. Rozumiem, że dla niego to wszystko musi być po prostu jednym wielkim koszmarem. Za każdym razem, kiedy wspomina, musi przeżywać całą bitwę na nowo, co dla telepaty musi być jeszcze trudniejsze niż dla zwykłych ludzi. Potrzebuję jednak kogoś, komu udałoby się przekonać go, żeby zrobił to jeszcze raz. Kogoś, kto wycisnie z niego wszystko, co zapamiętał.

–Te informacje mogą się okazać szalenie istotne, ale równie dobrze mogą nie mieć większego militarnego znaczenia. Nie w dłuższej perspektywie. Rozmawiałem o tym z podkapitanem Yarem – moim starszym Uzdrowicielem. Otóż, sądzi on, że wyrzucenie z siebie tego wszystkiego może Darcelowi pomóc. Wydaje mi się, że on prędzej otworzy się przed kimś takim jak pan, niż przede mną. Gdyby też udało się go przekonać do tego, jak bardzo ważne jest by w Tajwanie ktoś opowiedział o wszystkim z pierwszej ręki, to może zechce wrócić. W innym wypadku będę musiał go aresztować, by nie zagrażał jeńcom.

–Jest aż tak źle, kapitanie? – spytał Janaki otwierając nieco szerzej oczy. Chan Tesh wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Może zanadto się martwię. Darcel to porządny i przyzwoity człowiek. To zresztą jak myślę stanowi właśnie część naszego problemu. Nie przywykł do noszenia w sobie tak głębokich pokładów nienawiści. Nie umie sobie z nią poradzić. Chciałbym jednak, żebyśmy w miarę możliwości, wasza wysokość, pomogli mu

pozostać porządnym i przyzwoitym.

–Doskonale rozumiem, kapitanie – powiedział Janaki z szacunkiem. Kapitan skinął głową.

–W takim razie, wasza wysokość, może przejdziemy się do jeńców? – chan Tesh uśmiechnął się niewesoło. – Gdzieś w pobliżu na pewno natkniemy się też i na Darcela.

–Wydaje mi się, że ten przypadek będzie wymagał od nas szczególnej ostrożności – zauważył podkapitan Delokhan Yar. Stał w towarzystwie Janakiego przy jednym z łóżek, rozstawionych pod płócienną płachtą, rzucającą cień na prowizoryczny szpital polowy. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna leżał nieruchomo na łóżku. Nie był to jednak zwykły bezruch. Był sparaliżowany. Wpatrywał się nieruchomo w poznaczone plamami słońca płótno.

–To ich dowódca? – zapytał chłodno Janaki.

–Tak uważamy.

–Rozumiem.

Janaki przyjrzał się rannemu zimnym, pełnym wzdargy wzrokiem. Kapitan chan Tesh szczegółowo przedstawił mu przebieg bitwy pod portalem. Powiedział też, od czego się zaczęła. Kapitan Arthag wykazywał do tej sprawy bardziej filozoficzne podejście niż chan Tesh. Janaki przypuszczał, że Sept miał rację. Nie istniało przecież zbyt duże prawdopodobieństwo, że obcy używali do oznaczenia parlamentariusza takiej samej flagi jak oni. Choć z drugiej strony ten idiota musiał przecież rozumieć, że Arthag przybył pod portal rozmawiać, a nie walczyć. Żaden oficer wart swego munduru nie dopuściłby się też tak karygodnych błędów w taktyce. To wyłącznie przez głupotę i złe decyzje rannego zginęli podlegli mu żołnierze.

–W czym tkwi problem? – zapytał po chwili książe koronny Ternathii.

–Rana jest bardzo poważna, kapitanie. Dostał z karabinu Model 10. Pocisk przeszył go tuż nad biodrami. Kula przeszła na wylot i jakimś cudem nie naruszyła żadnego ważnego organu. Drasnęła jednak jego kręgosłup. Jest sparaliżowany od pasa w dół. Na to już nic nie poradzimy. Na domiar złego wykazuje silne tendencje samobójcze.

Janaki skinął głową, choć nie udało mu się powstrzymać myśli, że w tym konkretnym wypadku lepiej by było nie powstrzymywać obcego od zamachu na własne życie. Poza głupotą wrogiego oficera i faktem, że spowodował śmierć tak

wielu ludzi tkwiło w nim coś jeszcze. Coś, czego Janaki nie potrafił dokładniej określić, co jednak kojarzyło się nieprzyjemnie z Przebłyskiem, którego doświadczył na wschód od Fortu Brithik.

–O ile dobrze rozumiem, kapitanie – ciągnął Yar – ci ludzie nie wiedzą czym są Talenty. To zresztą szczególnego rodzaju sprawiedliwość losu. My także nie mamy pojęcia, w jaki sposób robią niektóre rzeczy, które widzieliśmy. Tyle, że nie wiedząc co ja i inni Uzdrowiciele chcemy z nimi zrobić, nie są w stanie nam pomagać. Wielu z nich boi się tak bardzo, że prawie uniemożliwia nam to jakiegokolwiek leczenie. Ten tutaj jest pod tym względem najgorszy. Mam wrażenie, że problem tkwi w tym, że on sam ma jakiś załazek Talentu. Wydaje mi się, że on mniej więcej kojarzy, po co się nim zajmuję, choć nie rozumie tego ani trochę. A ten jego Talent, chociaż zupełnie nie wykształcony, powoduje silne zakłócenia, które blokują nawet próby ulżenia mu w bólu.

–Rozumiem – ponownie przytaknął Janaki. – To znaczy, że kiedy go stąd przeniesiemy będzie cierpiał jeszcze bardziej.

–Owszem i zarazem zamknie jego maniakalno-depresyjne błędne koło – zgodził się Yar. – Mówiąc bez ogródek nie sądzę, by przetrzymał podróż. No chyba, że podjęlibyśmy jakieś drastyczne działania.

–Na przykład jakie?

–Obawiam się kapitanie, że w tym momencie przychodzi mi do głowy jedynie możliwość całkowitego wyłączenia go – stwierdził Uzdrowiciel. Najwyraźniej nie podobał mu się własny pomysł, ale przedstawił go bez zmrużenia oka. Janaki zastanowił się przez chwilę.

–Myśli pan, że naprawdę nie ma innego wyjścia? - zapytał w końcu.

–Mój Talent pozwala mi na naprawianie fizycznych uszkodzeń. Nie bardzo jednak potrafię radzić sobie z psychiką – przyznał otwarcie Yar. – Dlatego też tu się znalazłem. Na froncie częściej zdarzają się obrażenia fizyczne, rany, które bardziej zagrażają życiu i wymagają szybszej interwencji. Ten człowiek wymaga pomocy kogoś, kto zapobieże temu, co się z nim dzieje. On coraz bardziej wycofuje się w głąb siebie. Nie sądzę byśmy znaleźli odpowiedniego fachowca na czas. Chyba, że na czas podróży właśnie go wyłączymy.

Jasaki posępnie skinął głową. Technika odłączenia świadomości pacjenta od jego ciała była stosunkowo prosta, lecz gdy stosowało się ją bez wyraźnej zgody chorego, stanowiła poważne złamanie zasad etyki lekarskiej. Niestety, w tym wypadku nie mieli żadnej możliwości by wytłumaczyć obcemu oficerowi, co zamierzają z nim zrobić. Nie było więc mowy o żadnej jego świadomej decyzji.

Przysięga, którą złożył Yar wymagała na nim dotrzymania tych standardów i zabraniała wyłączania przytomnego człowieka. Z drugiej strony, treść tej samej przysięgi nakładała na Uzdrowiciela obowiązek walki o życie pacjenta...

„Jest jeszcze jeden czynnik” – pomyślał ponuro Janaki. – „Ze wszystkich jeńców, których udało się pojmać chan Teshowi, ten konkretny posiada bez wątpienia najcenniejsze informacje. Musimy utrzymać go przy życiu za wszelką cenę... bez względu na to, co ja sam o tym myślę.”

–Czy jeśli go wyłączysz, będziemy w stanie go karmić i zadbać o wszystko przez całą drogę do Fortu Raythar? – zapytał.

–Nie powinno być z tym problemu, kapitanie. Na pewno nie większy, niż z każdym pacjentem z uszkodzeniami kręgosłupa.

–W takim razie proszę przedstawić swoje zalecenia na piśmie. Poprę je i dam do zaakceptowania kapitanowi chan Teshowi.

–Dziękuję, kapitanie – Yar pokręcił smutno głową. – Nie podoba mi się to, ale naprawdę nie widzę innego sposobu. Bogowie, tak żałuję, że nie przeżył żaden z ich Uzdrowicieli.

–Naprawdę żaden? – Janaki zmarszczył brwi. – Jak to się stało?

–To przez jedno z tych ich diabelstw, kapitanie – Yar westchnął ciężko. – Zorganizowali na tej swojej żalösnej reducie punkt pierwszej pomocy. Pocisk z naszego moździerza zaliczył bezpośrednio trafienie – oczy Uzdrowiciela zaszyły mrokiem. – Jeden czy dwóch jeszcze chwilę żyło, ale dostali zbyt mocno i nie potrafiliśmy im pomóc. Boli mnie śmierć każdego Uzdrowiciela na świecie, choć z drugiej strony zastanawiam się czy ich śmierć nie była dla nas błogosławieństwem.

–Jak to? – zapytał Janaki zaskoczony szczerą frustracją, bijącą od Yara. Uzdrowiciel uśmiechnął się cierpko.

–Powiedzmy, że ich Uzdrowiciele znają kilka sztuczek, o których my nie mamy bladego pojęcia, kapitanie.

–Co to znaczy? – Janaki uniósł brew. Yar zachichotał ochryple.

–Po zdobyciu ich obozu okazało się, że większość rannych w poprzedniej bitwie została ewakuowana. Tak przynajmniej myśleliśmy. Udało się nam schwytać może sześciu obcych, którzy nadal wymagali opieki lekarskiej. Wszyscy oni cierpieli jedynie na powierzchowne obrażenia. Wtedy jednak do dzieła przystąpili młodszy zbrojny Hilovar i podzbrojny Parcanthi. Dzięki Talentom, Wyśledzili oni kilku ciężko rannych nieprzyjaciół. Ten Ślad ciągnął się od samej polany aż na bagna. Tu się

urywał i wygląda na to, że ich ewakuowano, choć nikt nie ma pojęcia w jaki sposób. Tyle, że nie zabrali wszystkich ciężko rannych. Ślady wskazywały na to, że część pozostała w obozie, z tym, że wrócili już do zwyczajnej służby. Ci obcy, którzy mieli jeszcze ślady lekkich ran okazali się tymi samymi, którzy odnieśli poważne obrażenia we wcześniejszej potyczce.

–Słucham? – Janaki uniósł obie brwi. Yar znów zachichotał.

–Proszę mi wierzyć kapitanie. My byliśmy tak samo zaskoczeni – zaskoczeni i oszołomieni. Wygląda na to, że ich Uzdrowiciele potrafią dosłownie wymusić gojenie się ran. Owszem, niektórzy szczególnie Utalentowani nasi też potrafią dokonywać prawdziwych cudów, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale z tego co usłyszałem od Hilovara i Parcanthiego, to tamci dysponują jakimiś technikami umożliwiającymi błyskawiczne leczenie nawet bardzo skomplikowanych uszkodzeń tkanki. Mam też wrażenie, że jest to proces wyjątkowo dla ich medyków kosztowny energetycznie lub otumaniający zmysły. Wnioskuje po tym, że najpierw zajęli się poważniejszymi przypadkami, czyli tymi, którzy mogliby nie przeżyć bez pomocy lekarza, a dopiero potem zajęli się lżej rannymi i łatwiejszymi w leczeniu pacjentami. Właśnie tacy – z płytkimi, nie wymagającymi natychmiastowej interwencji ranami – siedzieli nadal w tych ich szpitalnych namiotach, kiedy zaatakowaliśmy obóz.

–Myślisz, że jednemu z tych ich... magików mogłoby się udać wyleczenie ran tego tutaj? – Janaki nie potrafił ukryć niedowierzania, pobrzmiwającego w pytaniu. Yar parsknął cicho.

–W to akurat wątpię, kapitanie. Co prawda ani Hilovar, ani Parcanthi nie są Uzdrowicielami i nie powiedzą mi tego, co powiedziałyby Utalentowany medyk, ale z tego czego się od nich dowiedziałem wynika, iż ich Uzdrowiciele przyspieszali gojenie się ran, które tak czy inaczej z czasem zaleczyłyby się same. Mówimy tu o zrastaniu się kości i narastaniu tkanek, czyli o tym, co wydarzyłoby się i tak samo z siebie, zakładając oczywiście, że pacjent przeżyłby odpowiednio długo. Jednak dokonanie czegoś w rodzaju regeneracji uszkodzonych nerwów czy naprawa poważniejszego urazu mózgu... – przez chwilę Yar mówił ciszej, a spojrzenie zaszło mu dziwną mgłą. Najwyraźniej przypomniał sobie osobę, która doznała urazu głowy na Polanie Powalonych Drzew – wymagałoby zupełnie innych zdolności. Nie mówię, że to absolutnie wykluczone, ale raczej bardzo mało prawdopodobne. Niestety.

Milczał przez kilka sekund, rozważając jakie konsekwencje pociągnęłyby za sobą, gdyby rzeczywiście okazało się, iż Uzdrowiciele przeciwnika potrafią dokonywać podobnych cudów. Po chwili jednak otrząsnął się i podjął urwany wątek.

–Z drugiej jednak strony, gdybyśmy mieli któregoś z obcych medyków, byłibyśmy w stanie uleczyć tego tutaj z większości fizycznych obrażeń jeszcze przed podróżą. Moglibyśmy się wtedy martwić tylko o jego stan mentalny i emocjonalny. No i byłbym

spokojny o jego życie.

–Rozumiem. Podobnie zresztą jak pan, cierpię z powodu śmierci Uzdrawiciel i bez względu na mundur jaki noszą – pokręcił głową Janaki. – Myślę też, że powinniśmy czym prędzej poznać ich techniki leczenia i nauczyć się je wykorzystywać samemu. Z wielu powodów.

–Zgoda, kapitanie – westchnął Yar – zupełna zgoda.

Uzdrawiciel patrzył jeszcze przez chwilę na leżącego z kamiennym obliczem, nie reagującego na nic co działo się dokoła niego, obcego oficera, po czym pokręcił głową.

–Większość pozostałych, rannych jeńców nadaje się do transportu o wiele bardziej niż ten – powiedział energiczniej. – Gdyby zechciał pan pójść ze mną, mógłbym ich pokazać i pomówilibyśmy jeszcze trochę,...

Uzdrawiciel poprowadził księcia koronnego na drugą stronę szpitalnego namiotu. Janaki poszedł za nim, rzuciwszy jeszcze tylko jedno surowe spojrzenie na odpowiedzialnego za tak wiele krwi i cierpienia, patrzącego teraz martwym wzrokiem mężczyznę.

*** * ***

–Darcel Kinlafia?

Telepata wzdrygnął się na dźwięk nieznanego głosu, który rozległ się tuż za nim. Obrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z człowiekiem, który nawet jak na Ternathianina wydał mu się niezwykle wysoki. Nieznajomy nosił mundur dowódcy plutonu Imperialnej Piechoty Morskiej.

„Jest zdenerwowany” – zauważył Janaki unosząc rękę by uspokoić Taleenę. Sokolica poruszyła się energiczniej i znieruchomiła mu na ramieniu. Po chwili Janaki zrozumiał, dlaczego Głos zachował się właśnie w taki niespokojny sposób. W nawiedzonym spojrzeniu opalonego mężczyzny o kędzierzawych włosach, które od dawna domagały się już fryzjera płonął pobitewny stres. Kinlafia nie mógł być starszy od Janakiego bardziej niż o jakieś dziesięć lat, ale w tej chwili wyglądał prawie jak wiekowy starzec.

–Tak – odchrząknął telepata, rozluźniając odruchowo zaciśnięte na kolbie pistoletu palce – to ja. A pan to...?

–Młodszy kapitan chan Calirath – przedstawił się Janaki. Oczy Głosa rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu.

–Wielcy bogowie! – z trudem przełknął ślinę. – Czym mogę panu służyć? Wasza wysokość? Wasza książęca mość?

Szukając najbardziej poprawnej formy zwracania się do księcia koronnego Ternathii aż poczerwieniał z wysiłku. Janaki uśmiechnął się szeroko.

–Wystarczy kapitanie chan Calirath. Co więcej, biorąc pod uwagę to jak blisko będziemy ze sobą współpracować myślę, że moglibyśmy się też zastanowić nad zwykłym „Janaki” – oczy Kinlafii rozszerzyły się jeszcze bardziej. Książę wzruszył ramionami. – Nie podobają mi się te wszystkie dworskie formy. Nie cierpię ich. Poza tym trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Jestem przecież tylko młodszym oficerem.

Szczęka Kinlafii nadal znajdowała się tuż nad ziemią. Janaki westchnął. Zawsze było tak samo, choć musiał też przyznać, że żołnierze radzili sobie z tym nieco lepiej od innych. Bez wątpienia działało się tak dlatego, że w armii panowała ścisła, wewnętrzna hierarchia, która pozwalała na użycie zwykłego „młodszego kapitana” zamiast „przyszłego namiestnika bogów”. Z wojskowymi, dzięki dowodzeniu swoim plutonem piechoty morskiej, miał dużo więcej doświadczenia w tym zakresie niż z cywilami, choć i tak cały czas żałował, że z nikim nie może porozmawiać tak zwyczajnie i bezpretensjonalnie jak zdawali się rozmawiać wszyscy inni.

–Proszę o mnie myśleć jak o normalnym oficerze, wyznaczonym na dowódcę oddziału eskortującego jeńców na tyły i jednocześnie dzięki swemu wrodzonemu sprytowi, wyluskującym z nich informacje o pierwszorzędnym znaczeniu militarnym. O reszcie niech pan spróbuje zapomnieć, dobrze? To cholernie irytujące. Za każdym razem, gdy tylko gdzieś się pojawię ludzie potykają się o własne nogi i języki. W domu jest jeszcze gorzej niż tutaj. Przyznam się, że niedawno postanowiłem zostać w wojsku jak długo się da. Właśnie z tego powodu.

Kinlafia aż zamrugął. Potem, w jednej chwili rozluźnił się i uśmiechnął. Choć nie był to prawdziwy uśmiech – ten nie miał prawa pojawić się na jego zrytej żałobą i gniewem twarzy – niemniej był szczery. Gdy Janaki spojrzał na ten grymas doznał Przebłysku. Zobaczył dobrodusznego, ciepłego, pełnego radości człowieka, który mieszkał kiedyś w duszy skrytej teraz pod tą wściekłą maską. Dostrzegł też natychmiast, jak istotny mógł się jeszcze ten człowiek okazać. Nie tylko zresztą dla Sharony. To książę zrozumiał ujrawszy w tym samym Przebłysku rysy własnej siostry. Co jednak na bogów Kinlafia mógł mieć wspólnego z Andrin? Przebłysk jednak odszedł równie szybko jak się pojawił. Jego poblaski rozbrzmiewały jeszcze przez moment w głębi ciała, napełniając Janakiego poczuciem pośpiechu, pilności i frustracji. Nie był już w stanie uchwycić swej wizji w karby. Nie potrafił zmusić jej do odsłonięcia własnego znaczenia. Był jednak pewny, że doświadczył najprawdziwszego, wróżebnego Przebłysku. Przebłysku, w którym ujrzał coś, co się ma wydarzyć, coś co nie było tylko jedną z możliwych wersji przyszłości.

–Naprawdę? – zdziwił się Kinlafia nie zdając sobie sprawy z tego, co właśnie przeżył jego rozmówca. – Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Ale dobrze. Z całych sił postaram się zapamiętać kim pan jest i czyim jest pan krewnym.

–Dzięki – odparł zwięźle Janaki, starając się jednocześnie użyć całego swego wieloletniego doświadczenia do ukrycia wszelkich zewnętrznych objawów Przebłysku. – Za każdy dzień więcej spędzony tutaj, gotów byłbym poświęcić sporą część całej sławy i uwagi, jaka otacza mnie w domu. Ale to już decyzja dowództwa. Proszę mi wierzyć, nawet arystokratyczne tyłki Calirathów potrafią czuć nieliczne zmęczenie po kilku tygodniach spędzonych w siodle. Niestety, góra chce żeby jeńcy – i pan – znaleźli się w drodze w górę łańcucha jak najszybciej.

–Ja? – głęboko w oczach Kinlafii pojawiło się coś przypominającego podejrzliwość.

–Oczywiście, że pan – prychnął Janaki. – Jestem pewien, że rozkaz nakazujący panu jak najszybciej złożyć osobisty raport dyrektorowi naczelnemu Limanie już w tej chwili mknie siecią Głosów. To pan przecież jest naszym najbardziej bezpośrednim źródłem informacji o pierwszym ataku obcych i pan także towarzyszył oddziałowi podkapitana Arthaga przez całą drogę aż do tego miejsca. To pan także brał udział w bitwie o portal i pan jest jednym z tych, którzy jako pierwsi znaleźli się we wrogim obozie. Co więcej – jest pan Głosem i jako taki pamięta pan wszystko, co zaszło w każdym z tych miejsc. Nie wydaje się panu, że wszyscy możni naszego świata mają wszelkie prawo być zainteresowani spotkaniem pana w cztery oczy?

Kinlafia znów zamrugnął. Podejrzliwość zniknęła z jego spojrzenia wyparta przez zrozumienie... i strach. – Ale ja nie...

–Cisza – przerwał mu Janaki. – Proszę tego nie mówić.

–Nie mówić? – powtórzył za nim Kinlafia. Książkę pokręcił tylko głową.

–Chciał pan powiedzieć, że nie rozumie pan w jaki sposób pana wspomnienia mogą być dla tych na górze aż tak istotne – wyjaśnił łagodnie książkę. – Miał pan też zamiar dodać, że nie jest pan przeszkolonym żołnierzem i, że kapitan chan Tesh i podkapitan Arthag stanowią dużo lepsze źródła informacji na temat przebiegu walk i taktyki nieprzyjaciela. Miał pan też zapewne na myśli, że Uzdrowiciel Yar był od pana znacznie bliżej jeńców, zwłaszcza tych rannych. Mam rację?

–Mniej więcej – przyznał Kinlafia na co Janaki wzruszył ramionami.

–To wszystko jest bez znaczenia – powiedział. – Obawiam się, że zdaję sobie sprawę jak bardzo bolesne będą dla pana pytania, które pana czekają.

Tym razem mówił już bardzo delikatnie, choć była to mocna i niewzruszona łagodność. Ton głosu człowieka, który dawał rozmówcy do zrozumienia, że wie ile

bólu może sprawić rozmówcy nawet przeprowadzone najdelikatniej przesłuchanie, a jednak stanowczo utrzymywał, że to przesłuchanie było mimo wszystko nieuniknione. Janaki odezwał się w sposób, który jasno powiedział Kinlafii, że książę wie o jego strachu i cierpieniu i nie kpił przy tym ani trochę. Nie było to też zwykłe, banalne współczucie – był to głos, który napawał siłą i obiecywał pomoc w najcięższych chwilach.

Kinlafia przyjrzał się badawczo młodemu oficerowi, który chwilę temu nalegał by ten zwracał się do niego po imieniu i zdał sobie sprawę, że choć Janaki chan Calirath mógł temu zaprzeczać, to cały czas stała za nim powaga i mądrość długich pokoleń jego cesarskich przodków. Telepata zrozumiał, że w młodzieńcu, na którego czole miała pewnego dnia w sali tronowej w Estafel spocząć Uskrzydłona Korona, nie było ani grama arystokratycznej arogancji. Krew Erthaina Wielkiego niezaprzeczalnie jednak płynęła w jego żyłach i bił też od niego ten niewytłumaczalny magnetyzm, który od pięciu tysięcy lat pociągał za Calirathami rzesze mężczyzn i kobiet, choćby w ogień – a częściej na karty historii.

Balkar chan Tesh i Delokahn Yar obaj bezskutecznie próbowali przekonać Kinlafię, by stanął twarzą w twarz z tym, co i tak musiało nastąpić, już prawie od tygodnia, od dnia ataku na portal obcych. Teraz to, co im się nie powiodło dokonał książę koronny Janaki w dwóch krótkich zdaniach.

„A przecież on nie jest nawet moim księciem!” – pomyślał Głos z mieszaniną rozpaczy, podziwu i uległości.

–Rozumiem wasza wysokość – odezwał się po chwili. – Ma pan rację. Wiem o tym. Nie będzie to łatwe. Wręcz przeciwnie.

–Zdaję sobie z tego sprawę – przytaknął Janaki i podniósł wzrok na popołudniowe słońce. – Proszę popatrzeć – zauważył – już prawie pora kolacji. Odłóżmy resztę rozmów na później. Zjedzmy coś przedtem. Potem możemy pójść do mojego namiotu. Mam w nim butelkę zacnej, bernithiańskiej whisky. Obgadamy wszystko na spokojnie.

–Świetny pomysł – powiedział Kinlafia i ku zadowoleniu Janakiego zabrzmiało to tak, jakby rzeczywiście w to wierzył.

ROZDZIAŁ

SZÓSTY

–Muszę usłyszeć wszystko – oznajmił Janaki chan Calirath.

Siedział na posłaniu ze skrzyżowanymi nogami. Swoje jedyne polowe krzeselko odstąpił gościowi, mimo że ten wzbraniał się przed jego przyjęciem. Teraz jednak niezręczność dyskusji na temat miejsc do siedzenia ustąpiła czemuś zdecydowanie gorszemu. Oczy cywila pociemniały, jakby zakryła je czarna chmura wspomnień.

–Wszystko? – spytał ochryple Kinlafia. Janaki skinął głową.

–Niech mi pan wierzy. Nie proszę o to z lekkim sercem. Czytałem raporty kapitana chan Tesha. Rozmawiałem z kapitanem Halifu i z Głosem Trayganem. Wiem, co się tam stało i nie mogę sobie wyobrazić jak strasznym doświadczeniem musiało być przeżycie tego wszystkiego, ale...

–To prawda – wtrącił oschle Kinlafia. – Nie może pan.

–Tak, wiem ale wiem też, że jeżeli chcemy ochronić przed podobnym losem innych – wyjaśnił delikatnie Janaki – to musimy postarać się zrozumieć tych obcych.

–A co tu jest do rozumienia? – pytanie telepaty zabrzmiało gorzko, wściekle i boleśnie. Głos pobladł. – Posłali moich przyjaciół do piekła bez cienia litości. Ghartouna chan Hagrahyła zastrzelili, kiedy stał z pustymi rękoma bez żadnej osłony. Potem zaatakowali parlamentariusza z flagą! To zwykli rzeźnicy. Chce pan ochronić naszych ludzi? W takim razie pošlijmy do tamtych dywizję, albo lepiej sześć dywizji i zetrzyjmy ich z powierzchni ziemi. Każdej ziemi, na jakiej się na nich natkniemy!

Janaki powoli zaczerpnął powietrza. Głos okazał się jeszcze bardziej zgorzkniały niż się tego spodziewał. Zastanowił się teraz czy decyzja o odkładaniu rozmowy do wieczora była słuszna. Być może gdyby przeszedł do rzeczy wcześniej, zanim Kinlafia miał czas przygotować się do tej sytuacji, kiedy jeszcze nie zdążył przebiec wszystkiego ponownie w myślach – może wtedy okrutne wspomnienia nie byłyby dla niego aż tak bolesne.

Tyle, że Janaki chciał zyskać trochę czasu dla samego siebie. Chciał mieć możliwość przemyślenia tego urywkowego Przebłysku, którego doznał w trakcie rozmowy z Głosem i dlatego właśnie zwlekał. Nie udało mu się wyłowić z pamięci żadnych bardziej dokładnych szczegółów, ale tym bardziej jeszcze utwierdził się w przekonaniu, iż był to prawdziwy Przebłysk. Potem wytypował w myśli kilka najbardziej prawdopodobnych znaczeń widzenia, lecz żeby zobaczyć wszystko w

szerszym kontekście musiał usłyszeć relację Kinlafii. Mimo że świetnie rozumiał jego prawo do wściekłości i bólu.

–Głosie Kinlafia – zaczął – rozumiem...

–Nie, nie rozumie pan!

–Gdyby zamiast zakładać, że wie pan co chcę powiedzieć, pozwolił mi pan dokończyć zdanie to myślę, że udałoby się nam szybciej przebrnąć przez tę niewygodną rozmowę.

Mężczyzna z krzeselka spojrział na niego uważnie, oddech miał przyspieszony. Po chwili jednak opadły mu napięte dotąd niebezpiecznie ramiona. Oparł się z głębokim, umęczonym westchnieniem i złapał się palcami za grzbiet nosa.

–Przepraszam wasza wysokość... Trochę mnie... poniosło.

–Rzeczywiście trochę – przytaknął spokojnie Janaki. – Chciałem powiedzieć, że rozumiem, że przeszedł pan przez piekło jakiego nikt nigdy nie pojmie – a już na pewno nie ktoś kto sam nie jest Głosem i nie przeżyje czegoś podobnego. Rozumiem to i szanuję. Przysięgam, że nie jestem zachwycony zmuszając pana do ponownego przejścia przez ten koszmar. Ale pan też musi zrozumieć, że będzie pan musiał przechodzić przez to jeszcze wiele razy. Nie tylko na moją prośbę, ale i na polecenie ludzi z wywiadu, którzy już na pana czekają. Wszyscy chcemy jednego, chcemy się dowiedzieć z kim do wszystkich piekieł Arpathii, walczymy.

–Wydaje mi się też, że dzięki temu sam pan popchnie to naprzód w swojej głowie. Nie nakłaniam pana do „zostawienia tego w spokoju” ani do „wyrzucania tego z siebie”. Nie mam na tyle czelności i nie jestem aż tak nieczuły, by sugerować coś podobnego cierpiącemu człowiekowi.

W oczach Kinlafii pojawił się podejrzliwy blask. Zamrugał gwałtownie i odwrócił się od księcia.

–Ale musi pan coś z tym zrobić – ciągnął Janaki tym samym łagodnym i nieprzejednanym tonem. Telepata powrócił do niego spojrzeniem. – Sam pan zdecyduje co to takiego będzie. Nie mam na myśli tego, co z tą sytuacją robi Zarząd czy wojsko. Chodzi mi o to, co pan w tej sprawie robi.

–A co ja mogę? – Kinlafia uniósł ręce w geście nabrzmiałym frustracją i bezradnością. – Chyba tylko zaciągnąć się do wojska i zastrzelić tylu tych drani ilu dam radę.

Ostatnie zdanie nawet w jego własnych uszach, zabrzmiało nieco dziecinnie. Miało w sobie coś z chłopięcych dąsów. Poczuł nagle dojmującą falę wstydu. Oto siedzi

przed następcą tronu, najstarszego i najpotężniejszego imperium w dziejach Sharony i lka nad własną bezsilnością. Zupełnie jakby całe multiwersum kręciło się wyłącznie dokoła jego osobistego pragnienia zemsty i od niego tylko zależało.

Janaki przerwał tok jego myśli zaskakującym uśmiechem.

–W armii by tylko pana zmarnowali, Kinlafia!

–Słucham? – Głos zamrugnął w zdziwieniu. Janaki wzruszył ramionami.

–Proszę pomyśleć. Co mógłby pan osiągnąć w armii? Zostałby pan zwykłym, szeregowym żołnierzem. A przecież jest pan Głosem. Z tego wynika, że powinien pan walczyć nie karabinem, a właśnie swoim Talentem. W wojsku byłby pan zdegradowany do roli posłańca w długim łańcuchu anonimowych Głosów. Szedłby pan tam, dokąd by mu kazano. Strzelałby pan na cudzy rozkaz i nie strzelałby pan, gdyby oficer tego zabronił. Na Vothana! Poza tym, ludzie z pańskimi zdolnościami są stanowczo zbyt cenni by ryzykować ich życie w bezpośredniej walce. Obaj doskonale o tym wiemy. Gdyby się pan zaciągnął, szanse na pomszczenie kogokolwiek, spadłyby zamiast wzrosnąć.

Telepata skrzywił się z niezadowolenia. Księżę ponuro zachichotał.

–O tym pan chyba nie pomyślał – zauważył.

–Nie – wymamrotał pod nosem Kinlafia – nie pomyślałem.

–Nie pomyślał pan prawdopodobnie o czymś jeszcze. Ile obcy zajmują wszechświatów? Jak dużą armią dysponują? A jak silną flotą? I na czym do diabła, opiera się ich technologia? Większość z tego co widzieliśmy do tej pory nie składa się w żadną sensowną całość. Wie pan to lepiej ode mnie, w końcu sam pan to widział. Widział i doświadczył na własnej skórze.

Janaki zamilkł. Nie odrywał wzroku od oczu Kinlafii. Zastanawiał się, czy Głos dostrzeże kryjące się w spojrzeniu księcia widma. Jakąś częścią siebie poczuł pragnienie by powiedzieć telepacie – powiedzieć komukolwiek – o Przebłysku, którego doświadczył tamtej nocy w górach. Tego jednak nie mógł uczynić. Wizje śmierci i zniszczenia, obrazy płomieni wybuchających pośród nocy, nieznanne rodzaje broni siejące grozę... to wszystko, przynajmniej na razie musiał zachować wyłącznie dla siebie. Bał się ogromnie, że wszyscy pozostali Sharonianie także ich w końcu doświadczą. Na szczęście do tego jeszcze nie doszło.

Po raz kolejny przemknęło mu przez myśl, że być może powinien przesłać siecią Głosów wiadomość do ojca, że powinien przekazać mu treść Przebłysku. Tylko, że co tak naprawdę mógł powiedzieć cesarzowi? To, że widział rzeź i wojnę? To, że czuł przedsmak swego własnego przerażenia, że bał się już teraz? Talent ojca był o wiele

silniejszy od tego, który ujawnił się w Janakim. Był prawie tak silny jak zdolności Andrin. Prawdopodobnie więc cesarz i tak Zobaczył już wszystko, co pokazało się księciu w jego wizjach. Nawet jeśli było inaczej, Przebłyski Calirathów nie były czymś, co powinno przekazywać się przez pośredników, nawet jeśli tymi pośrednikami mieli być telepaci. O tym należało rozmawiać w cztery oczy, w sytuacji, kiedy ich Talenty mogły komunikować się bezpośrednio ze sobą.

„Szkoda, że choć raz moje Przebłyski nie są bardziej szczegółowe.” – pomyślał z narastającą frustracją. Jego wizje jednak były od zawsze takie same... irytująco niewyraźne, a mimo to wszechogarniające, straszne i potężne.

„Dobrze chociaż, że chan Tesh odesłał mnie z jeńcami do domu.” – myślał. – „Będę miał okazję na rozmowę z ojcem wcześniej niż się tego mogłem spodziewać. To już coś.”

–Tym razem posłaliśmy ich na deski za pierwszym ciosem – ciągnął patrząc telepacie prosto w oczy. – Dołożyliśmy im tak ostro, że nawet nie zdążyli podnieść gardy. Tylko, że teraz mieliśmy za sobą element zaskoczenia. Oni na pewno nie rozumieją naszej technologii i naszych możliwości ani trochę bardziej niż my rozumiemy to, czym oni dysponują. Niestety jest tak, że wojskowi większą naukę wyciągają z porażek niż ze zwycięstw. Chyba nie powinniśmy więc zakładać, że równie łatwo pójdzie nam za każdym starciem? Obcy zupełnie nie spodziewali się ataku bronią w rodzaju tych móżdżerzy kapitana chan Talmarhy. Co będzie jeśli okaże się, że i oni mają jakąś broń, której istnienia jeszcze nie podejrzewamy? Na przykład takiej, przy których nasze karabiny maszynowe wyglądają jak dziecinne zabawki? Czy naprawdę powinniśmy wysłać tam dywizję, albo i sześć dywizji tylko po to, by odkryć, że czekają na nie setki ich dywizji? Ciężko uzbrojonych? Takich, które tylko szukają okazji by zabić każdego mężczyznę, kobietę i dziecko stąd do Sharony?

–Nie – Kinlafia zagryzł wargę. Mówił cicho i niechętnie. – Nie powinniśmy.

Siedział załamany na swoim krzeselku ze wzrokiem utkwionym w pustkę. Patrzył najwyraźniej na coś, co sprawiło, że jego wzrok zaszedł trupią bladością. Tak tkwił przez dwie nieskończone długie minuty w zupełnym milczeniu. Wreszcie spojrzął przytomniej na księcia. Wyglądał na przybitego i zagubionego.

–Jedną z rzeczy jakich nikomu nigdy nie powiedziałem – odezwał się mrozącym krew w żyłach szeptem – jest to, że ja ją kochałem.

Janaki nie odpowiedział. Nie potrafił.

–Nie jest pan Głosem – ciągnął cicho Kinlafia. – Nie rozumie pan jak to jest łączyć się z innym Głosem. A kiedy jest się z drugą osobą związanym tak intensywnie i tak

głęboko, jak my byliśmy podczas ataku obcych...

Umilkł na kolejną długą chwilę. Spoczywające na kolanach telepaty ręce zadrżały.

–...wtedy... w pewnym sensie stajemy się tą drugą osobą. Na tak długo, jak długo trwa połączenie. I zawsze, bez względu na to, jak bardzo druga strona tego chce, to jednak ma w sobie element gwałtu. Inaczej jest ze zwykłym przekazywaniem wiadomości, ale w sytuacji powiązania psychiki... W każdym razie ja czułem wszystko co czuła ona, widziałem to samo i słyszałem... To wszystko przydarzyło się także mi. Ja tam po prostu byłem.

Telepatę przebiegł gwałtowny dreszcz.

–Przez te kilka minut ja byłem Shaylar. Słyszałem i Widziałem dużo więcej niż tylko myśli i obrazy, które przesyłała. Czułem wyraźnie smak jej strachu. Czułem jej miłość do Jathmara. Przeżyłem też moment, w którym ona zdała sobie sprawę, że nigdy już nie zobaczy własnych rodziców, że nigdy nie urodzi dzieci, że nie wyjdzie spod między tych drzew z życiem. A mimo to nie zerwała połączenia. Połączyła się ze mną bardziej intensywnie niż przyszło mi to kiedykolwiek robić z innymi Głosami. Cały czas strzelała. W takiej chwili wielu innych szukałoby schronienia, albo po prostu padłoby na ziemię, chowając głowę w dłoniach. I rzeczywiście! Niektórzy właśnie tak robili. Ale nie ona. Nie. Nie ona. Słyszała, że strzały rzedną. Wiedziała, że dookoła giną nasi przyjaciele – nasza rodzina – ale nie zaprzestała walki. Nawet na chwilę. Spaliła wszystkie mapy, wszystkie swoje notatki, wszystko, a potem znów sięgnęła po broń, choć nikt inny już nie strzelał. Nikt poza Jathmarem, którego te bydlaki zabiły na jej oczach. Bogowie! Ona była taka piękna, taka odważna... A ja nie mogłem do niej pobiec, nie mogłem być tam, gdzie ona... No i wreszcie poczułem, jak odchodzi...

Głos uwiązał mu w gardle.

Janaki poczuł, że nagle zapiekły go oczy. Cały świat stał się zamazany, niewyraźny od łez. Opanował jednak drżenie rąk i wyciągnął korek z butelki whisky. Od początku spodziewał się, że to będzie konieczne, ale w najczarniejszych przypuszczeniach nie myślał, że aż tak bardzo. Nalał alkoholu do szklaneczki i podał wprost w rozedrgane ręce telepaty.

Kinlafia chwycił naczynie mocno i łapczywie upił spory łyk. Ręce trzęsły mu się przez cały czas. Janaki dyskretnie zachowywał milczenie. Ponownie napełnił puste już naczynie, po czym usiadł na posłaniu i zaczął czekać aż Kinlafia odzyska panowanie nad emocjami na tyle, by spojrzeć mu znowu w oczy.

–Dzięki - powiedział wreszcie Głos ochryple i wskazał na pustą szklaneczkę. Osuszył wilgotną twarz szorstkim rękawem i głośno odchrząknął.

–Miałem jeszcze potem nadzieję – powiedział krzywiąc się – miałem nadzieję, że ona

żyje. Parcanthi i Hilovar Widzieli, że żyła jeszcze po bitwie. Widzieli, jak zabierają ją do tego obozu. I tak bardzo miałem nadzieję, że znajdziemy ją po tym, jak rozprawimy się z tymi bydlętami. Tak się jednak nie stało.

–Ale przecież widzieliście to dziwne zwierzę, które służyło im za środek transportu – zauważył spokojnie Janaki. – Nikt też nie znalazł jej ciała.

–Myśli pan, że o tym nie myślałem? – prychnął ostro Kinlafia marszcząc brwi. – Widział pan te bagna. Ja potrafię się z nią skontaktować na maksimum sześćset mil. Potrzebuję do tego co prawda transu, ale nawet gdyby jej Głos został uszkodzony przez uraz głowy, jak twierdzi Hilovar, to mógłbym ją wyczuć na jakieś czterysta, może czterysta pięćdziesiąt mil. Zwłaszcza tak niedługo po bezpośrednim połączeniu jakie mieliśmy w trakcie bitwy. Wyczułbym jej obecność w ten sam sposób, w jaki wyczuwam kierunek w jakim znajduje się najbliższy portal.

A jednak cisza. Jakie to musiałyby być zwierzę, które przeprowadziłoby ją dalej niż na czterysta pięćdziesiąt mil w takim terenie, w przeciągu trzydziestu sześciu godzin?

–Nie wiem – przyznał Janaki. – Mi też żadne nie przychodzi do głowy.

–No właśnie. Wiemy ponadto, że była bardzo poważnie ranna, może nawet umierająca. Tak ocenili jej stan Parcanthi i Hilovar. Wynika z tego, że obcy wciągnęli ją na grzbiet jakiegoś zwierzęcia i zawieźli w te bagna by tam umarła. Gdzieś wśród wody i błota.

Głos zacisnął szczęki i mocniej uchwycił szklankę z alkoholem.

–Podejrzewam, że robili wszystko co w ich mocy, by utrzymać ją przy życiu – zauważył cicho Janaki. Kinlafia spojrział gniewnie. Książę wzruszył ramionami. – Nie twierdzą wcale, że robili to z dobrego serca, Głosie Kinlafia.

–Na pewno nie – zazgrzytał Kinlafia i zaczerpnął głęboko powietrza. – Nie rozumiem dlaczego tak postąpili, ale wiem, że to oni są odpowiedzialni za to, co się jej i reszcie moich przyjaciół stało. To obcy ścigali ich w lesie jak łowną zwierzynę a potem ich wymordowali. To wyłącznie ich wina, że w końcu umarła.

Pokręcił głową. Patrzył wzrokiem twardszym od obsydianu.

–Nigdy im tego nie wybaczę – ciągnął cicho. – Być może Shaylar byłaby w stanie ja nie potrafię. Ma pan jednak rację w jednym punkcie. Nie powinienem się zaciągać do wojska. Nadal więc nie wiem, co mógłbym ze sobą zrobić.

–Na początek może pan powiedzieć mi wszystko – odparł Janaki. – Chcę poznać każdy, najdrobniejszy nawet szczegół, bez względu na to jak banalny może się na

pierwszy rzut oka wydawać. To na pewno zaboli. Wiem o tym. Ale chcę żebyśmy przebrnęli jeszcze raz przez każdą sekundę kontaktu z obcymi – zarówno przez to, co Widział pan oczyma Shaylar jak i potem. Potem wszystko powtórzemy.

–Ale dlaczego? – spytał Głos, w którego oczach nadal czaiły się ponure myśli.

–Dlatego, że musi pan wrócić jak najszybciej do Sharony. Tam pańska wiedza pomoże ludziom, którzy zdecydują o naszej reakcji. Zanim się pan tam jednak znajdzie, powinien pan pomóc ludziom tutaj. Oni też potrzebują tych informacji. Przekażę je im przed wyruszeniem, a im więcej razy przeżyje pan to na nowo tym więcej szczegółów uda się nam ustalić.

–Głosy mają doskonałą pamięć – sprzeciwił się gwałtownie Kinlafia – sam pan to mówił.

–Tak, wiem o tym. Ale w tej chwili pańska pamięć jest zamglona emocjonalnym wstrząsem. Dlatego tak nalegam, na kolejne powtórzenia i to jeszcze teraz, gdy wspomnienia wciąż są stosunkowo świeże. Szczerze mówiąc, ktoś powinien to z panem zrobić zaraz po pierwszej bitwie, a nie teraz, kiedy coś mogło już bezpowrotnie umknąć w niepamięć.

Kinlafia skrzywił się brzydko. Janaki pokręcił głową.

–Przykro mi, ale taka jest prawda. Ktoś tego zaniedbał. Nie możemy pozwolić, by te wszystkie informacje nam umknęły. Muszę pana zmusić do przejścia przez to piekło, ale to tylko dlatego, że nie ma sposobu, by stwierdzić, który z setek szczegółów może okazać się tym najważniejszym, zanim ta wojna się nie skończy. Nawet emocje Shaylar mogą okazać się przydatne, a pan nosi je wszystkie w głowie. Wszystko, co pan Widział, Słyszał. Wszystko, czego ona powąchała i czego dotknęła. Wszystko, co zrobiła podczas waszego kontaktu i wszystkie pańskie myśli. Ostre wrażenia i niewyraźne intuicje. Potrzebujemy absolutnie wszystkiego, co skrywa pańska pamięć. Musimy do tego dotrzeć przez tę barierę, którą teraz stanowi cierpienie. Chcę, żeby pan wiedział jeszcze o jednym – ja także mam doskonałą pamięć i dlatego to ja zostałem tym nieczułym bydlakiem, który pana przez to wszystko przeczołga.

–Tak – Kinlafia ponownie zacisnął usta, lecz skinął powoli głową wyraźnie nieszczęśliwy. – Rozumiem to. Rozumiem aż nazbyt dobrze. Bardzo nie chcę tego wszystkiego przeżywać po raz kolejny, ale chyba nie mam wielkiego wyboru, prawda?

–Nie. O ile rzeczywiście chce nam pan pomóc w zrozumieniu obcych. Ja także nie mam wyboru. Spodziewam się, że mnie pan znienawidzi jeszcze zanim skończymy.

–Prawdopodobnie – mało wesoły uśmiech zagościł na twarzy telepaty. – Przynajmniej na jakiś czas. Ale na pewno nie na zawsze. Kiedy moja nauczycielka z

trzeciej klasy wciskała mi do głowy tabliczkę mnożenia też jej nienawidziłem. Wtedy wolałem spędzać dni z wędką nad wodą albo włóczyć się po lesie. Teraz jednak już jej nie nienawidzę. Nieraz przekonałem się, jak bardzo potrzebna bywa matematyka. Jasak odpowiedział mu uśmiechem.

–Brzmi zachęcająco. Mam nadzieję, że się trochę lepiej poznamy. Nie mam zbyt wielu okazji do rozmowy z cywilami, zwłaszcza tymi Utalentowanymi. Nie mówię tylko o pobycie tutaj. W ogóle ludzie zazwyczaj są tak bardzo onieśmieleni samą moją obecnością, że nie udaje im się wyjść poza sztywne konwersacje.

–Wyobrażam sobie – Kinlafia uśmiechnął się blado. – Szczerze mówiąc, wasza wysokość to jednak rozmowa z księciem koronnym Ternathii jest lekko stresująca.

–Nawet z takim księciem, który zerwany o świcie z łóżka wkłada skarpety na odwrót? – zażartował Janaki.

Kinlafia roześmiał się i oparł wygodniej w krzeselku. Westchnął.

–No dobrze. Przejdziemy przez to tyle razy ile będzie trzeba, ale co potem? Wydaje mi się, że ma pan na myśli coś jeszcze?

–Rzeczywiście mam – Janaki skinął głową. – Proszę mi powiedzieć, Głosie Kinlafia. W jaki sposób ktoś – mężczyzna lub kobieta – może wyrzeć naprawdę wielki wpływ na całą cywilizację?

–Na całą cywilizację? – powtórzył telepata i Janaki przytaknął.

Głos nie odpowiedział od razu. Zastanowił się przez chwilę.

Janaki patrzył na niego z sympatią. To był zdecydowanie dobry znak, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co mieli razem zrobić. Wreszcie Kinlafia wydał usta.

–Można na przykład dokonać jakiegoś wielkiego wynalazku – odpowiedział ostrożnie. – Na przykład wynaleźć nowy środek transportu, nową broń lub lekarstwo.

Janaki znów skinął głową.

–Można też – ciągnął Głos – napisać coś, co zmieni sposób myślenia ludzi, albo przekazywać wiadomości w sposób, który pozwoli ludziom zastanowić się nad nimi w inny od dotychczasowego sposobu.

– To wszystko prawda – zgodził się książę – ale proszę mi powiedzieć: Kto rozkazuje armii iść do natarcia?

–Generalowie.

–A kto rozkazuje generałom? – drażył Janaki. – Kto śle w bój generałów?

–Politycy oczy...

Kinlafia urwał w pół słowa i spojrzał na księcia w zdumieniu.

–Nie mówi pan chyba poważnie. Nie jestem przecież politykiem! Jestem zwykłym Głosem, członkiem zespołu badawczego.

–Nie jest pan zwykłym Głosem z zespołu. Już nie – zauważył Janaki. – Jest pan jedynym ocalałym członkiem zespołu, który został rozbity przez ludzi stanowiących największe zagrożenie, w obliczu którego kiedykolwiek stanęła nasza cywilizacja. Pan tam był. Jako jedyny człowiek z Sharony. Ludzie będą chcieli poznać pańską opowieść, a sposób w jaki im pan ją przekaże będzie mieć ogromny wpływ na to, co ludzie będą o tym kryzysie myśleć, a także na to jak zareagują głowy państw.

–Ale...

Janaki uniósł rękę i powstrzymał odruchowy protest Kinlafii.

–Gdybym był na pana miejscu – ciągnął książę – startowałbym w wyścigu do następnego wolnego miejsca w Izbie Talentów, lub jakkolwiek się to nazywa w kraju, z którego pan pochodzi. Tak przy okazji, zanim dotrzemy do domu może się okazać, że mamy już jeden wspólny rząd. Tylko bogowie raczą wiedzieć jak się to skończy, ale skoro okazało się, że nie jesteśmy w multiwersum sami, to Sharona potrzebuje rządu światowego a częścią takiego rządu na pewno stanie się Izba Talentów. Proszę nie mieć co do tego żadnych złudzeń. I na pańskim miejscu poruszyłbym niebo i ziemię, a w razie potrzeby i połowę piekieł Arpathii żeby w niej zasiąść.

–Na bogów! Pan nie żartuje – w oszołomionych oczach Kinlafii zapłonął ogień. – Naprawdę uważa pan, że miałbym szanse w wyborach?

–Nie przychodzi mi na myśl nikt bardziej odpowiedni – przyznał otwarcie Janaki. – Pańskie nazwisko wkrótce rozpozna każdy na świecie. Zanim dotrzemy do Sharony będzie pan gwiazdą i media będą się o pana zabijać. Gdy tylko ogłosi pan, że zamierza pan startować w walce o urząd by ochronić niewinnych, zorganizują panu prawdziwą darmową kampanię wyborczą. Żadnego kupowania przestrzeni reklamowej – ani w gazetach ani w sieci Głosów.

–A mówiąc o sieci Głosów – ciągnął książę – jest pan przecież jednym z nich. Będą pana uwielbiać Kinlafia i na pewno poprą pańską kandydaturę. Gildia Głosów jest jednym z lepszych sprzymierzeńców, jakich mógł pan sobie wymarzyć. Tak samo Stowarzyszenie Głosów Dziennikarzy. Wystarczy dobrze wszystko rozegrać a będą gotowi wesprzeć pana także finansowo. Tak, tak. Wiem, że nie mogą zrobić tego bezpośrednio. To w końcu w większości krajów nielegalne – prychnął. – O ile wiem

to można tak robić tylko w Uromathii, która akurat nie jest naszym wymarzonym wzorcem. Chodzi jednak o to, że zrobią co mogą choćby w ten sposób, że ogłoszą pański numer konta, a pieniądze spłyną same. Nie mam tu żadnych wątpliwości. Zanim się pan obejrzy, uczniowie będą na pana rzecz prowadzić zbiórki w szkołach.

Darcel Kinlafia patrzył na Janakiego ze szczerym niedowierzaniem. Odetchnął głęboko, wypuścił powietrze i wreszcie znalazł w sobie siłę, by coś powiedzieć.

–Ale dlaczego pan to wszystko mi mówi wasza wysokość? Dlaczego pan mi pomaga? Zwłaszcza po tym, jak powiedział mi pan, że moje postanowienie zmazania tych obcych bydłaków z kart historii jest złym pomysłem?

–Z kilku powodów – odparł ksiązę.

Zastanowił się czy wyjawić telepacie je wszystkie. Postanowił jednak milczeć. Ludzie stają się zazwyczaj zbyt nerwowi, gdy członkowie cesarskich rodzin opowiadają im o Przebłyskach, które z całą stanowczością wskazują na konieczność jakiegoś działania. Zwłaszcza, gdy ci członkowie nie potrafili wytłumaczyć, z jakiego powodu uważają, że te działania są rzeczywiście konieczne. Zdecydował więc, że powie Kinlafii tylko to, z czego mógł się przed nim wytłumaczyć.

–Po pierwsze – zaczął – gdy wiadomość o tym ataku przeniknie do opinii publicznej ludzie będą wściekli. Sharona będzie wtedy potrzebować czegoś, co pozwoli te wszystkie negatywne społeczne emocje skanalizować. Powstanie nisza dla instytucji lub osoby, która pomoże naszym obywatelom poczuć, że robią coś konkretnego, że pomagają. W tej chwili jest pan bardzo zgorzkniały i przepełniony gniewem. Nic w tym dziwnego, po tym czego pan doświadczył. Rozumiem też, że prawdopodobnie już nigdy nie zdoła pan wybaczyć obcym tego, co zrobili. Ale mimo to jest pan przecież także uczciwym, porządnym człowiekiem. Mam też wrażenie, proszę mi wybaczyć, że kryje się w panu wiele współczucia. Jak myślę to właśnie owo współczucie stanowi teraz źródło pana gniewu i cierpienia. Nie wiem oczywiście jak to się wszystko skończy, ale jestem niemal stuprocentowo pewien, że pojawią się i tacy, którzy cały ludzki gniew i strach zechcą bez najmniejszych skrupułów wykorzystać nie dbając o żadne współczucia i moralność. Będą się starali wynieść na szczyty władzy z czysto egoistycznych pobudek. O wiele bardziej wolałbym, żeby nasze społeczeństwa przekazały swą energię i poparcie komuś takiemu jak pan. Komuś, kto kieruje się w życiu poczuciem sprawiedliwości, a nie wyłącznie ślepym, własnym interesem.

–Proszę mnie źle nie zrozumieć – ciągnął ksiązę. – Ja wiem, że gady wypełzną ze swych nor bez względu na to, czy rozpocznie pan polityczną karierę, czy nie. Taka jest po prostu ludzka natura. Jeżeli jednak ludzie poznają pańską kandydaturę, to duża część z nich przekaże swe głosy właśnie panu, a nie komu innemu. Można mieć nadzieję, że pan przesłoni sobą innych, bardziej wątpliwych kandydatów. A

skorzystałyby na tym cała Sharona.

–Być może jest w tym co pan mówi trochę sensu, tylko, że bez względu na dobro Sharony ściągnę na siebie wrogość paru wysoko postawionych, potężnych osób – zauważył Kinlafia.

–Prawdopodobnie tak. To także jest częścią gry, którą nazywamy polityką. Nie można jednak nie doceniać kogoś, komu wyrządzono zło i szuka sprawiedliwości. Być może rozumieją to też niektórzy z tych mężczyzn i kobiet, którym pokrzyżuje pan plany. Nie wykluczałbym ewentualności, że się do pana przyłączą. Oczywiście jak z pod ziemi wyrosną także inni nieoczekiwani sprzymierzeńcy. Tacy, którzy zechcą dostać się na szczyt na pana plecach, wykorzystają pańską popularność. Na to też trzeba będzie uważać. Zwłaszcza w chwili, kiedy już przestanie się tak bardzo liczyć – szalenie ważna w trakcie kampanii – retoryka i agresja, i znajdzie się pan w sytuacji, w której będzie mógł pan rzeczywiście zacząć działać – to znaczy będzie pan mógł skopać tyłki karierowiczom i gryzipiórkom, którzy zechcą, jak wiemy, wykorzystają obecny kryzys dla własnej korzyści.

–Rozumiem.

–Szczерze mówiąc – uśmiechnął się Janaki – to wątpię, czy pan rozumie. Jeżeli nawet, to póki co obaj rozumiemy to wszystko inaczej. Ja politykę mam w genach. Można powiedzieć, że hodowano mnie dla polityki przez bite pięć tysięcy lat. Moje przybycie tutaj – księżę machnął ręką ku wejściu do namiotu, za którym na mroźnym, jesiennym niebie widniały już pierwsze północne gwiazdy – miało być rodzajem wakacji, przerwy w edukacji politycznej, formą urlopu, który zarazem stanowi konieczną podstawę dla funkcji, jaką przyjdzie mi kiedyś pełnić.

Kinlafia zamrugął ze zdziwienia. Janaki wzruszył ramionami.

–Przecież to jasne, że człowiek, który ma dowodzić całymi flotami i armiami będzie robił to o wiele lepiej, jeśli sam będzie mieć wojskowe doświadczenie. Z przykrością stwierdzam, że ta zasada nie sprawdza się za każdym razem, ale statystycznie tak. Poza tym, ludzie większym zaufaniem darzą przywódców, którzy osobiście ryzykowali kiedyś życiem. Także i to jest ważne, że ktoś kto na własne oczy widział, co w praktyce oznacza rozkaz wysłania armii do boju, zastanowi się dwa razy zanim sam podejmie podobną decyzję. A jeśli już się na to zdecyduje, będzie mieć do tego o wiele większe moralne prawo. To między innymi z tych właśnie powodów, cesarze Ternathii nazywali się prawie zawsze *chan* Calirath. Prawie wszyscy byli wojskowymi.

–To jednak najmniej ważne. Chcę powiedzieć, że naprawdę jestem głęboko przekonany, iż Sharona potrzebuje kogoś takiego jak pan Głosie Kinlafia. Co więcej – dodał nieco ciszej – pan też potrzebuje się tym zająć, prawda? Ma pan silną potrzebę zrobienia czegoś. Nie może to być cokolwiek. Musi pan podjąć decyzję o tym, jak

zmierzyć się z całym dorobkiem życia Shaylar Nargry-Kolmayr. Życia i śmierci. Musi pan postanowić, czy dążyć do zemsty, czy do realizacji sprawiedliwości. To pan musi zdecydować, czy cena jaką przyjdzie panu – i wszystkim mieszkańcom Sharony – zapłacić warta będzie tego wszystkiego.

Kinlafia splótł palce. Nie powiedział nic. Skinął tylko głową.

–Więcej nie mam w tej chwili do powiedzenia – powiedział książę – ale jeśli jest pan tym zainteresowany tak mocno jak myślę, to na pewno jeszcze do tego tematu powrócimy. Czekają nas wspólna podróż co najmniej do Fortu Brithik i w jej trakcie będę mógł pana niejednego nauczyć. Zaopatrzę też pana w listy polecające. Skontaktuję pana z odpowiednimi ludźmi, których pomoc może się jeszcze okazać nieoceniona.

Kinlafia popatrzył przez chwilę na arystokratę z głębokim namysłem, po czym uśmiechnął się niepewnie.

–Gdyby Ternathia była państwem demokratycznym a ja byłbym Ternathianinem, zagłosowałbym na pana w każdych wyborach, w jakich by pan startował – powiedział. Janaki wyraźnie się zdziwił.

–Dlaczego?

–Dlatego, że według mnie naprawdę panu zależy na ludziach, którymi przyjdzie panu kiedyś rządzić. Zresztą dba pan nie tylko o Ternathian. Ważna jest dla pana przyszłość całej Sharony. My wszyscy. Do diabła, za przeproszeniem waszej wysokości. Panu zależy nawet na mnie, choć nie jestem pańskim poddanym. Tak, jak ja to widzę, to jest wielka rzadkość.

Mocno zdumiony Janaki zmarszczył brwi. Zaskoczyło go oświadczenie Kinlafii i to także, że zrozumiał, iż telepata mógł mieć rację. Być może Calirathowie rzeczywiście stanowili bardziej wyjątkowy ród, niż sam do tej pory przypuszczał.

–Może tak – powiedział uśmiechając się jeszcze bardziej krzywo niż Głos. – Muszę zapamiętać, żeby podziękować ojcu za to, że dobrze mnie wychował. A proszę mi wierzyć nie było to łatwe zadanie.

Zaśmiali się obaj. Potem jednak książę koronny spoważniał raz jeszcze.

–Jakkolwiek by te spawy wyglądały myślę, że na dzisiaj już mamy dość – powiedział. – Co z kolei kieruje moją uwagę w stronę drugiego powodu naszego spotkania. Może jeszcze szklaneczkę whisky?

ROZDZIAŁ

SIÓDMY

Wyrafinowana, starannie ułożona fryzura Andrin, zamieniła się w powiewającą za księżniczką płataninę czarnych, przetykanych złotem jedwabistych pasemek. Księżniczka stała w pobliżu dziobu, na pokładzie spacerowym trzydziestotysięcznika, parowca SC „Powiew”. Na zniszczenie swej fryzury nie zwróciła jednak najmniejszej uwagi. W jej głowie toczyło się już i tak zbyt wiele myśli, choć skrzywiła się lekko, kiedy zdała sobie sprawę z prawdopodobnej reakcji jej osobistej opiekunki, instruktorki protokołu i pierwszej damy dworu. Lady Merissa była od Andrin niemal trzy razy starsza i była przy tym osobą, której bardziej niż na czymkolwiek innym zależało na nienagannym wyglądzie i zachowaniu podopiecznej. Księżniczka wiedziała, że stara dama, o ile tylko podźwignie się z łoża boleści, do którego przykuła ją choroba morska, wpadnie na widok jej włosów w szczere przerażenie.

Andrin było przykro z powodu złego samopoczucia Merissy, choć nie była w stanie pojąć, w jaki sposób ktokolwiek mógł dostać choroby morskiej na pokładzie tak dużego statku. Osobiście wolałaby płynąć na wyścigowym jachcie swego ojca – „Sokole”. Tam rzeczywiście kołysałoby zauważalnie i Lady Merissa miałaby zdecydowanie więcej powodów do choroby.

Wcześniej zastanawiała się, czy nie powinna zostać dla towarzystwa w kabinie. Dzień wstał jednak tak piękny, że nie chciała dusić się w zamkniętych przestrzeniach. Wyszła z łóżka w chwili, gdy wschodzące słońce rzuciło przez okienko kajuty pierwsze złote promienie. Narzuciła stosowną sukienkę i ciepły, wełniany płaszcz. Zdjęła z żerdzi swą sokolicę – Finenę – posadziła ptaka na rękawicy, po czym ruszyła energicznie do wyjścia. Lady Merissa była osobą zbyt dobrze wychowaną, by protestować przeciw dzieleniu kabiny z drapieżnym ptakiem, ulubieńcem księżniczki. Andrin jednak zdawała sobie sprawę, że jej opiekunka dojdzie do siebie o wiele szybciej, jeśli sokół choć na chwilę zniknie z jej oczu. Zabrała więc Finenę ze sobą prosto na pokład. Ptak wydawał się tak samo zadowolony czując promienie słońca, jak cieszyła się z nich Andrin.

A pokrzepienia potrzebowali wszyscy. I to bardzo.

Wiadomość o rzezi dokonanej na zespole badawczym Konsorcjum Chalgyn poznali już, zgodnie z przewidywaniami, wszyscy. Reakcja opinii publicznej okazała się o wiele gorsza niż się tego obawiano.

Wystarczyły do tego już same tylko artykuły w prasie. Pozbawiona Talentów większość Sharonian nie była w stanie skorzystać z transmisji wiadomości poprzez sieć Głosów i nie mogła doświadczyć ataku osobiście, ale i tak doskonale rozumiała

co się stało. Być może ludzie nie rozumieli powodów ataku – co według Andrin nie różniło ich wcale od cesarzy, królów i prezydentów – ale samą napaść poznali już w najdrobniejszych szczegółach dzięki odwadze pewnej kobiety, która przekazanie tej wiadomości przypłaciła własnym życiem.

Ci, którzy dowiedzieli się o bitwie poprzez sieć Głosów przeżyli to jeszcze ciężiej.

Także i Andrin zmusiła się do Obejrzenia przekazu sieci USMS. Jej talent telepatyczny nie był szczególnie mocno rozwinięty, lecz wystarczał do odbierania serwisów informacyjnych z sieci. To, co zobaczyła sprawiło, że całym sercem pożałowała, że w ogóle miała jakikolwiek Talent. Na tak straszne obrazy jak te, które przed śmiercią przyszło oglądać Shaylar Nargrze-Kolmayr nie przygotowały jej nawet koszmary Przebłysków.

Przeraźliwe były same wydarzenia, ale tym, co wprawiło całe wszechświaty w najwyższe zdumienie była intensywność i dokładność przekazu Shaylar. Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę, że była ona jednym z najlepszych Głosów Sharony, lecz głębokość i moc jej połączenia z Darcelem Kinlafią była wprost wstrząsająca. Telepaci odbierali każde ukłucie jej strachu, wszystkie przyprawiające o skręt trzewi odcienie cierpienia, każdą wspaniałą chwilę odwagi. Ludzie poznali także straszliwą siłę diabelskich ognistych kul i piorunów, jakimi miotali obcy. Wszyscy stali się świadkami morderstwa z zimną krwią, dokonanego na dowódcy zespołu, który wstał bezbronny wśród powalonych leśnych olbrzymów. Mieszkańcy Sharony poznali także bezprzykładną determinację młodej kobiety, która paliła swe bezcenne notatki, i groźne mapy, podczas gdy dokoła niej krzyczeli, płonęli i umierali jej najbliżsi przyjaciele.

W przekazie było to wszystko jak na dłoni. To przydarzyło się im, ich siostram i braciom. Ludzie wiedzieli doskonale, co przeżywała Shaylar, ponieważ doświadczyli tego wraz z nią. Zobaczyli także i to, co Widział Darcel Kinlafia. Choć Głos przekazał relację Shaylar ze zdumiewającą wiernością to jednak intensywność ich połączenia sprawiła, że w wiadomości znalazły się i jego emocje. Każdy więc, poza bólem Shaylar poznał cierpienie mężczyzny, który w oczywisty sposób ją kochał. To tylko spotęgowało koszmar, jaki stał się wkrótce udziałem całego świata.

Żadne z wydarzeń w całej historii Sharony nie wywołało aż tak silnego oddźwięku. Andrin wiedziała, że martwiło to niepomrotnie jej ojca. Zindel chan Calirath sam nie był mniej podatny na wściekłość i gniew niż ktokolwiek inny, ale był przecież cesarzem Ternathii. Musiał więc myśleć o sytuacji nie biorąc pod uwagę własnych emocji i wszechogarniającego szaleństwa. Tymczasem nastroje ludzi – strach, rozżalenie i nienawiść – poważnie ograniczały pole wyboru, którego miał niebawem dokonać. Jak powiedział jeszcze przed pierwszym Konklawe Shamirowi Taje i jak obawiała się Andrin sądząc po własnych Przebłyskach, możliwość uniknięcia otwartej wojny z obcymi z każdym dniem stawała się mniej prawdopodobna.

To było właśnie prawdziwym powodem – choć księżniczka nie przyznałaby tego przed nikim, a w szczególności nie przed swoim ojcem – dla którego tak bardzo potrzebowała znaleźć się na pokładzie, pod otwartym niebem, gdzie jej zmysły wypełnione nowymi doznaniem mogły wreszcie zaznać ulgi. Chciała choć na krótką chwilę zapomnieć o dręczącym ją przecuciu, że oto ze zbocza wielkiej góry historii stacza się na nich wszystkich potężny, miazdzący wszystko na swej drodze gład.

I rzeczywiście jej się udało, choć jakąś niewielką częścią umysłu nadal zastanawiała się nad niedawnymi wydarzeniami. Była to jednak bardzo niewielka część. Reszta jej zmysłów była niemal pijana słonecznym światłem, odbijającym się od migocących fal, wiatrem smagającym jej twarz, głębokim pomrukiem i wibracjami pokładu „Powiewu”, którego silniki zawzięcie pracowały głęboko pod jej stopami, rytmicznym szumem i chlupotaniem wody, pieniającej się za rufą statku. „Powiew” był wolniejszy od „Sokoła” – cesarskiego jachtu, ale nie prędkość była jego powołaniem. Ten statek zbudowano z myślą o spokojnych i wygodnych rejsach przez ocean Yandor pomiędzy Ternathią a Nową Farnalią. Parowiec osiągał około dwudziestu węzłów, a wyposażenie jego kabin było porównywalne z tym, jakim szczyciły się najlepsze lądowe hotele. „Powiew” mógł zabrać na pokład ponad pięciuset pasażerów pierwszej klasy, czterystu pięćdziesięciu drugiej i bez mała sześćset osób podróżujących w przedziałach trzeciej klasy. Oczywiście pewna część kajut zarezerwowana była też dla załogi, która była w stanie poprowadzić statek dokądkolwiek tylko zażyczyłby sobie cesarz. Tak liczna ilość miejsc na pokładzie, okazała się szczęśliwym zrządzeniem losu, ponieważ w ten rejs wybrało się także kilkuset ważnych polityków wraz ze swoimi sztabami.

Poza tym, choć „Powiew” był rzeczywiście znacznie wolniejszy od oceanicznych chartów w rodzaju „Sokoła”, to przecież podczas tej podróży nie musiał się z nikim ścigać.

Andrin spojrzała w kierunku sterburty, za którą widniała sylwetka jednego z okrętów eskorty „Powiewu” – krążownik SC „Książę Ternathii” – dwanaście tysięcy ton stali, wyposażone w cztery podwójne wieżyczki z dziewięciocalowymi działkami, rozmieszczonymi po dwa na dziobie i dwa na rufie. Na burtach otwierały się lufy czternastu dział sześciocalowych. Siostrzany statek „Księżca” – SC „Diuk Ithrial” płynął z drugiej strony, czujnie strzegąc pasażerskiego olbrzyma. Andrin zaczęła się zastanawiać jak bardzo jej obecność na omiatanym wiatrem pokładzie musiała martwić kapitana Farsala chan Morthaina – dowódcę eskorty. Nie często się przecież zdarzało, by na jednym statku znajdował się sam cesarz wraz z jednym z następców tronu, wszyscy członkowie Tajnej Rady, przedstawiciele wszystkich trzech izb parlamentu Ternathii, cała czołówka urzędników z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ponad siedemdziesięciu parlamentarzystów i szefowie imperialnego sztabu.

Oficjalnie chan Morthain i jego okręty znalazły się tu, by strzec „Powiewu” przed

piratami, choć wszyscy wiedzieli, że na wodach pomiędzy wyspą Ternath a Tajvaną żaden piracki statek nie pojawił się już od długich stuleci. Kapitan chan Morthain martwił się bardziej o szaleńców, którzy w jakiejś szybkiej, wypchanej po brzegi materiałami wybuchowymi łodzi mogli zechcieć wbić się w burtę statku cesarza. Andrin podejrzewała też, że obecność okrętów wojennych miała stać się wskazówką i przestrogą dla niektórych niezbyt uczciwych „sprzymierzeńców” Ternathii.

Finena, siedząca dotąd spokojnie na przedramieniu Andrin przechyliła swą smukłą głowę. Ptak spojrzał wygłodniałym wzrokiem na szybujące wśród chmur mewy. Andrin wybuchnęła śmiechem.

–Może rzeczywiście powinnaś zjeść śniadanie na pokładzie – odezwała się do sokoła. – Biedna Merissa znów musiałaby zwrócić wszystko, co sama zjadła, gdybyś postanowiła złamać swój post w kajucie.

Finena spojrzała bystro na Andrin. Podobnie jak Taleena, ulubienica Janakiego, Finena była cesarskim sokołem wędrownym, lecz nie przypominała żadnego innego ptaka, który wyklął się w imperialnej ptaszarni. Była ostatnim potomkiem ukochanego sokoła Zindela – Charaeila – i choć nie była prawdziwym albinosem – jej oczy były czarne jak węgiel, jak u wszystkich sokołów – nie miała szaroniebieskiego upierzenia samców i nie nosiła też brązowych piór samiczek. Była olśniewająco biała, a w kilku miejscach na brzuchu, tam gdzie inne ptaki były zaznaczone czarnymi jak węgiel paskami, Finena miała szare piórka. Sokolica nie była rozumnym zwierzęciem jak na przykład delfiny czy wieloryby i wielkie małpy, choć brakowało jej bardzo niewiele. W odróżnieniu od tego jak postępowano z resztą ptaków łownych świata, cesarskim sokołom Ternathii nigdy nie nakładano kapturów, nawet po zakończeniu szkolenia. Tak samo, jak inne podniebne drapieżniki, tak i te sokoły żywiły się wyłącznie innymi ptakami nie tykając zwierząt żyjących na ziemi. Pozostawienie im takiej swobody możliwe było dlatego, że sokoły z rodu Fineny wykazywały się na tyle rozwiniętą inteligencją, że wiedziały, kiedy wolno im latać, a kiedy nie. Nie potrzeba więc było ani łańcuszków, ani zasłon na oczy. Finena była bardzo mądrym zwierzęciem, a Andrin wychowała ją od pisklęcia.

Andrin leciutko pogładziła mocno zakrzywiony dziób Fineny. Ostra broń ptaka otarła się w odpowiedzi o palec księżniczki, która wydeła wzgardliwie wargi i pomyślała o królach i książętach z Uromathii, którzy bez wątpienia także przywiozą na Konklawe swoje sokoły. Finena nie była nigdy niczym krępowana. Nie przywiązywano jej ani do żerdzi, ani do rękawicy, którą Andrin nosiła na dłoni. Finena trwała przy księżniczce i wracała do niej wyłącznie z miłości. Sama wybrała sobie człowieka, którego towarzyszką została. Andrin szanowała ptasią wolność, a sokolica odpłacała jej za to żarliwym oddaniem. Arystokraci z Uromathii natomiast trzymali przy sobie sokoły w charakterze symbolu statusu. Podobnie było i w Ternathii, skąd przejęli ten zwyczaj, tylko że w odróżnieniu od cesarzy Ternathii Uromathianie nie zajmowali się swoimi ptakami sami, lecz powierzali codzienne

dogłądanie skrzydlatych drapieżników sokolnikom. Kiedy natomiast zabierali ptaki ze sobą, przywiązywali je do nadgarstków oraz zakładali im kaptury. I nie miało tu znaczenia czy wybierali się akurat na polowanie czy nie. Oczywiście – żaden ptak niczym nie dorównywał Finenie i Andrin była gotowa przyznać, że pozostawianie swobody innym, mniej inteligentnym sokołom mogło być nieco nieroztropne. Mimo to, niezmiennie uważała, że zakładanie kapturów ptakom wyłącznie dla wygody właściciela było obyczajem barbarzyńskim i okrutnym. Jej wzdrgliwy uśmiech przeszedł w grymas samozadowolenia. Wyobraziła sobie miny książąt i królów Uromathii, gdy zobaczą księżniczkę koronną Ternathii z jej białą, cesarską sokolicą.

Ze smutkiem zdała sobie sprawę, że ternathiańskie tradycje sokolnictwa będą reprezentować w pełni tylko one dwie – Andrin i jej sokół. Charaeil umarł dwa lata temu, a Zindel nigdy nie skojarzył go z inną samicą. „Żałuję, że tata tego nie zrobił” – pomyślała z żalem. – „Choć jednak go rozumiem, wiem przecież jak bym się czuła, gdyby ktoś chciał zamienić mi Finenę, na jakiegoś innego ptaka.” Na samą myśl o tym zadrżała i raz jeszcze czule popieściła dziobek swojego ptaka.

Finena zaczęła czyścić sobie piórka i Andrin odczytała jej emocje. Nie miała z sokolicą prawdziwie telepatycznej więzi – takiej, jakiej doświadczali tłumacze mowy morskich ssaków czy szympansov – niemniej jednak ich powiązanie było prawdziwe. Andrin spojrzała na schody – które marynarze uparcie nazywali „drabinką” – wiodące w górę z pokładu spacerowego.

–Będziesz obiektem pożądania każdego uromathiańskiego samca w Tajvanie, moja droga – powiedziała Andrin tak czule, jakby mówiła do dziecka. – Teraz mogłabyś polecieć i upolować sobie jakiegoś ptaka na śniadanie. Tylko bądź tak dobra i zjedz sobie gdzieś na górze – księżniczka wskazała na bocianie gniazdo umieszczone wysoko na fokmaszcie „Powiewu.” – „Nie chcemy przecież denerwować kapitana Uli ani jego załogi zaśmiecając cały pokład piórami i krwią.”

Jaskrawo biały drapieżnik, którego imię oznaczało „Biały ogień” zaskrzeczał z wyraźnym protestem. Andrin roześmiała się głośno.

–Nie, nie narzekam na twoje maniery, najdroższa. Ale oni utrzymują pokład w takim stanie, że mogłoby z niego jeść nawet dziecko, a nie chciałabym, żeby przez nas obsługa miała więcej pracy. I tak są zdenerwowani mając na pokładzie tak wiele wysoko urodzonych osób.

Z tyłu rozległo się parsknięcie, Andrin odwróciła się i spojrzała na swojego osobistego strażnika, który – zgodnie z regulaminem – stał dwa kroki za nią.

–Śmieję się, śmieję Lazimie chan Zindico – powiedziała surowo. – Ale to przecież prawda.

–Tak jest, to prawda – chan Zindico zgodził się poważnie, choć w jego oczach pełgał diabelski płomyk. – Pomyślałem sobie tylko, że kapitan byłby nielecho zaskoczony, gdyby dowiedział się, że dziedziczka tronu zamartwia się o stan pokładu.

–Może i tak – przyznała Andrin i uśmiechnęła się szeroko. – Ty przecież zawsze masz rację.

–Ależ dziękuję wasza wysokość. Miło jest zostać docenionym po latach.

Chan Zindico uśmiechał się beztrąsko, lecz nawet i tutaj, na ternathiańskim statku, którego starannie dobrana załoga składała się wyłącznie z zaufanych ludzi, jego oczy nieustannie omiatały otoczenie badawczym spojrzeniem. Przysięgał strzec księżniczki przez cały czas i przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami. Swe śluby złożył dobrowolnie w dniu jej narodzin, co niekiedy napawało Andrin dziwną zgrozą. Przecież mogła okazać się rozwydrzonym, zepsutym bachorem, a chan Zindico nadal musiałby dochować zobowiązania i gdyby zaszła taka konieczność musiałby przecież nadstawić własną pierś na każdy wymierzony w nią cios. To właśnie napawało ją trwogą i od kiedy tylko sięgała pamięcią starała się zachowywać tak, by okazać się godną tego rodzaju oddania.

Andrin nie wiedziała, że chan Zindico i jej pozostali gwardziści byli niezwykle dumni z tego, że to jej pilnowali przez dwadzieścia cztery godziny każdego dnia. Nie wiedziała także, że spoglądali ze współczuciem na tych strażników, którzy złożyli śluby strzec małej Anbessy. Najmłodsza córka Zindela odziedziczyła po przodkach prawdziwie cesarski charakter. Cesarzowa Varena postanowiła zmienić ją za wszelką cenę i gwardziści Anbessy żywili szczerą nadzieję, że władczyni osiągnie wreszcie zamierzony skutek. I to szybko.

–Tak czy inaczej – ciągnął chan Zindico, uśmiechając się do Andrin gdy weszli po schodkach na najwyższy pokład „Powiewu” – myślę, że nikt z załogi nie powiedziałby nam ani słowa, nawet gdyby Lady Finena cały pokład zarzuciła piórami i uwalą krwią.

Księżniczka roześmiała się głośno i machnęła ramieniem ku górze. Biała sokolica wystrzeliła wprost w kryształowo czyste, błękitne niebo niczym oślepiający płomień. Ptak zatoczył kilka kół wokół statku, zawrócił i rzucił się w stadko mew jak grom z jasnego nieba. Zatrzepotały pióra, pazury zabłysły i porwały ofiarę w locie. Chan Zindico wiedział, że nie tylko on przygląda się tej oszałamiającej, podniebnej bitwie.

–To sokół księżniczki! – powiedział jeden z obserwatorów trzymających wachtę na mostku po prawej stronie statku i stuknął kolegę łokciem. Finena przysiadła na fokmaszcie i w typowy dla siebie, bałaganiarski sposób zaczęła pożerać upolowaną mewę.

–Piękny ptak, prawda? – zauważył drugi z marynarzy.

–Powiem ci szczerze, że pięknieszego w życiu nie widziałem. Jak ona lata! Na Tróję! Tylko cesarskie sokoły tak wyglądają w powietrzu!

–To prawda. Świetny ptak, wasza wysokość – odezwał się inny głos. Andrin obróciła się zaskoczona i zobaczyła przysadzistego mężczyznę w kapitańskim mundurze, wychodzącego ze sterówki. Kapitan Ula uśmiechnął się do niej nieco zbyt zagadkowo. Księżniczka poczuła jak na twarz wypływa jej rumieniec.

–Przepraszam, że oderwałam pańskich ludzi od zwykłych zajęć, kapitanie – powiedziała. – Nie spodziewałam się, że Finena tak ich zainteresuje.

–Nic się przecież nie stało, wasza wysokość – marynarz ukłonił się dwornie po czym spojrzął na swych ludzi na mostku i huknął na nich głosem przyzwyczajonym do tego, by przekrzykiwać się z dowolnie silnymi wiatrami. – Ale jeśli jeszcze raz zobaczę, że któryś gapi się na sokoła księżniczki, zamiast pilnować swych obowiązków, to sam wyrwę mu wątrobę i dam Finenie! Jasne?

–Tak jest, kapitanie!

Marynarze wrócili do pracy. Ula przez chwilę jeszcze srogo na nich popatrzył, choć w jego oczach pojawiły się też i wesołe błyski. Odczekał kilka sekund i zwrócił się na powrót do Andrin.

–Nie będę pani przeszkadzać. Proszę cieszyć się słońcem i wiatrem, wasza wysokość – powiedział i skłonił się raz jeszcze.

–Dziękuję, kapitanie. Jestem pewna, że dalsza podróż na pańskim pięknym statku okaże się tak samo wielką przyjemnością, jaką jest dotychczas.

Marynarz zrozumiał, że komplement był szczery i zarumienił się lekko z wyraźnym zadowoleniem. Przytknął palce do róna czapki i odszedł.

Andrin podniosła kołnierz swego płaszcza, oparła się o reling i uśmiechnęła do siebie. Widok stąd był jeszcze bardziej przyjemny niż z pokładu spacerowego. Oddała się czystej przyjemności. Finena tymczasem skończyła posiłek i wzbiła się w powietrze. Latała dokoła bez żadnego wysiłku, uważając, by nie wlecieć w ciągnącą się za „Powiewem” smugę dymu.

Chwila okazała się jednak zbyt przyjemna by mogła trwać wiecznie. Andrin stała na pokładzie już może jakieś pół godziny, kiedy przykuło jej uwagę nagłe drgnienie strażnika. Chan Zindico nie poruszył się wyraźnie – większość ludzi najprawdopodobniej w ogóle by tego nie zauważyła, lecz księżniczka знаła swego gwardzistę aż nazbyt dobrze i nauczyła się rozpoznawać każdą zmianę w jego

zachowaniu. Ktoś się zbliżał. Ktoś miał za chwilę wtargnąć w niebezpieczny dla niej obszar.

Obróciła się, żeby zobaczyć kto to taki i aż otworzyła szerzej oczy. Zdziwiła się tak bardzo, że musiała siłą powstrzymać się od rozdziawienia ust.

–Marnilay miej nas w swojej opiece – mruknął chan Zindico na tyle głośno, żeby Andrin mogła go usłyszeć wśród szumu fal i wiatru. – To earl Ilforth. Na pewno zechce się przywitać.

Andrin nigdy wcześniej nie miała przyjemności rozmowy z earlem Ilforthem, Przewodniczącym Izby Lordów. Jej matka starała się raczej unikać jego towarzystwa, co oznaczało, że księżniczka i jej siostry także tych spotkań unikały. Córki zawsze towarzyszyły Varenie w jej panicznych ucieczkach z części pałacu, którą akurat raczył nawiedzić arystokrata. Mimo to, o Ilforcie słyszeli wszyscy i Andrin dobrze wiedziała, że jest on istnym uosobieniem pojęcia „dworskiego bawidamka”.

Przyjrzała mu się badawczo. Jej umysł analizował pierwsze wrażenie, jakie wywarł na niej mężczyzna i jednocześnie usilnie starała się przypomnieć sobie wszystko, co o nim wiedziała.

Pomyślała, że gdyby tylko nie poruszał się z tak wystudiowanym rozleniwieniem, mogłaby przyznać, że dostrzega w nim pewnego rodzaju wdzięk. Jak na Ternathianina był stanowczo za niski. O głowę niższy od Andrin. Ramiona miał wąskie i był delikatnej budowy. Widząc to przypomniła sobie plotki, według których Ilforth był szczególnie wrażliwy na punkcie swych niewielkich rozmiarów. Powiadano, że rekompensował to sobie, uciekając się do pomocy swego ciętego języka i poniżania wszystkich gorzej od niego urodzonych (do której to grupy w jego opinii zaliczali się niemal wszyscy pozostali Ternathianie). Niektóre z jego ciętych ripost stały się wręcz przysłowiowe.

Earl Ilforth był też na tyle bogaty, by bez problemu zaspokajać swe wyrefinowane gusta co do strojów, co zresztą – według powszechnej opinii – czynił z wielkim upodobaniem. Andrin od razu zauważyła, że przynajmniej ta jedna pogłoska była prawdziwa. Mancy Fornath, pięćdziesiąty pierwszy baron Fornath i czterdziesty piąty earl Ilforth wyglądał w swym porannym stroju wspaniale.

Czy raczej – wyglądałby wspaniale – gdyby nie znajdowali się teraz na pokładzie statku pasażerskiego, a na przykład w którejś z komnat Sokolego Pałacu.

Kiedy wychodził na podkład, włosy ułożone miał tak samo starannie jak Andrin. Podobnie też, jak stało się to z jej fryzurą i jego włosy rozsypały się w nieład zanim jeszcze przebył pół drogi. Zdobne pióro quetzala wpięte w kapelusz arystokraty nigdy już nie będzie tyle warte w srebrze ile było jeszcze przed chwilą – pomyślała

Andrin. Jego peleryna składała się z tak wielu warstw, fałd i tyle miała na sobie jedwabnych wstążek, że wyglądała jakby ktoś obdarzył ją. jej własnym, wewnętrznym życiem. Co gorsza – księżniczka odniosła wrażenie – że ożywiony strój stara się pożreć swego właściciela.

–Na Mamilay, czy on naprawdę zawsze się tak ubiera? – spytała bezgłośnie. Chan Zindico parsknął.

–Chciałem zauważyć wasza wysokość, że dziś i tak ubrał się jak na siebie dość zachowawczo.

Na to jednak Andrin nie zdążyła już odpowiedzieć, ponieważ wyrazisty – w życiu nie nazwałaby go wyrefinowanym – arystokrata dotarł wreszcie do celu i skłonił się jej, zamiatając pokład kapeluszem.

–Droga księżniczko! Pozwolę sobie zauważyć, że wyrosła pani wręcz niesłychanie!

Andrin nie wiedziała, czy bardziej rozdrażnił ją jego protekcyjny ton, czy ironiczne, pełne złośliwości spojrzenie, którym prostując się zbadal ją od stóp do głów. To zresztą nie miało żadnego znaczenia. Każda z tych rzeczy nawet w pojedynkę podziałałaby na nią jak płachta na byka, a nawet jeśli nie, to rozwścieczyłyby ją błyski ospałych, połyskujących kpiąco, jasnych oczu Ilfortha. Pełne samozadowolenia spojrzenie dorosłego, wypowiadającego doskonale zgrabną, wyważoną i celną uwagę, która i tak miała przepłynąć gdzieś w otchłań niedostępną dla umysłu zwykłego dziecka.

Przeciwnie niż to było w Uromathii, w Ternathii pojedynki zostały zakazane już wiele pokoleń temu. Andrin przemknęło przez głowę, że trochę szkoda. A może jednak nie. Chan Zindico wychowany w ponad tysiącletniej tradycji ternathiańskich gwardzistów, uczył ją samoobrony od kiedy skończyła dwunasty rok życia, a dziesięć słów, które wypowiedział przed chwilą earl Ilforth, sprawiły że bardzo by chciała zobaczyć jego ziemistą twarz na muszce swojego ulubionego rewolweru marki Halanch i Welnahr.

„Może nie przysporzyłoby mi to zbyt wielu przyjaciół w Izbie Lordów” – pomyślała z żalem. – „Ale jakie byłoby za to przyjemne...”

– Mój drogi panie – powiedziała tonem, który zmroziłby nawet lawę i spojrzała na earla z góry wzdłuż swego nosa – ja także się cieszę mogąc ujrzeć o poranku kogoś tak... wysoko postawionego.

Ilforth zamrugał i pobladł. Zastanawiała się, czy bardziej zaskoczyło go to, że księżniczka jednak zrozumiała jego kpinę, czy też to, że nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek w jej wieku miał czelność odezwać się do niego w ten sposób.

–Ach, no cóż...

Andrin odwróciła się do niego plecami i przenikliwie zagwizdała. Finena zatoczyła koło nad jej głową, po czym runęła w dół z prędkością atakującego węża. Sokoly wędrownie osiągały w locie szybkość ponad dwustu mil na godzinę. Ptak wyhamował jednym ruchem skrzydeł tuż zanim jego szpony zderzyły się ze skórzaną rękawicą księżniczki. Finena spojrzała nienawistnie na Ilfortha i zasyczała. Andrin w życiu nie słyszała takiego dźwięku od żadnego sokoła. Arystokrata cofnął się o krok. Księżniczka ponownie obdarzyła go lodowatym spojrzeniem.

–Przerwałam panu? – spytała.

–Więc... ja... – Ilforth jak zahipnotyzowany wpatrywał się w sokolicę przez kilka sekund. Dopiero po chwili zdołał z trudem oderwać oczy od ptaka. – Proszę o wybaczenie, wasza wysokość, nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak wielki jest pani ptak.

–Doprawdy? – Andrin zmrużyła oczy. – Przecież Finena nie jest wcale największym sokołem cesarskim na świecie, mój panie. Rozumiem, że przyszedł pan porozmawiać o czymś nie cierpiącym zwłoki?

Ilforth odchrząknął.

–Chciałem tylko powiedzieć, że to dla mnie niezwykle zaszczyt móc towarzyszyć waszej wysokości w tak ważnej podróży.

–Rozumiem. Do tej pory też się cieszyłam na myśl o tym rejsie.

Nie podkreśliła słowa „do tej pory” zbyt wyraźnie, lecz zrobiła to wystarczająco dobitnie, by na policzki Ilfortha wystąpiły szkarłatne plamy. Arystokrata był widocznie bardziej przywykły do przytykania innym, niż do radzenia sobie z podobnymi atakami na własną osobę. Otworzył usta, ale za jego wściekłymi oczyma pojawiła się jakaś inna myśl i czerwień zniknęła z jego oblicza przechodząc w błądź.

–Wasza wysokość, błagam o wybaczenie – ton jego głosu także zmienił się w jednej chwili nie do poznania. Mówił ciszej i szybciej, już bez tej pewności, z jaką odzywał się jeszcze przed momentem. – W oczywisty sposób źle się wyraziłem, ale proszę mi wierzyć, że nie było moim zamiarem pani urazić. Jeżeli w czymkolwiek uchybiłem raz jeszcze błagam o wyrozumiałość.

Andrin z trudem powstrzymała się od szerszego otwarcia oczu. Ze zdziwieniem zauważyła pot kroplący się nad wargą Ilfortha. Nigdy przedtem nie widziała u nikogo takiej reakcji. Nigdy wcześniej też nie spowodowała w nikim podobnego zachowania. Zastanowiła się, w jaki sposób siedemnastolatka mogła aż tak bardzo wytrącić z równowagi doświadczonego, starszego arystokratę. Milczała w zdumieniu, co tylko pogorszyło sytuację.

Kiedy tak patrzyła na blednącą coraz bardziej twarz Ilfortha, zrozumiała z piorunującą oczywistością, że nie chodziło tu o to, co mu przed chwilą powiedziała, ale o to kim była i kim jeszcze mogła zostać w przyszłości. Ilforth rzeczywiście nie spodziewał się, że „zwykłe dziecko” dostrzeże zniewagę. Nie był na to przygotowany i nagle zrozumienie własnego błędu wstrząsnęło nim do głębi. Wyśmiewanie się z wieku kogoś, kto pewnego dnia mógł zasiąść na cesarskim tronie nie było najmądrzejszym posunięciem żadnego arystokraty.

Jakąś częścią siebie odczuwała dziecinną rozkosz przyglądając się jego przerażeniu. Nigdy przedtem nie doznała niczego podobnego. Nigdy nie zamieniła dojrzałego mężczyzny w drżącą galaretę kilkoma słowami, zwykłym wyrazem własnego niezadowolenia. Uderzyło jej to do głowy. Ale druga część jej duszy poczuła głęboki szok. Dotarło do niej jak wiele nieszczęścia mogłaby spowodować, gdyby nabrała nawyku używania władzy dla zaspokojenia swych drobnych przyjemności.

Kiedy pomyślała o tym, jak stojący przed nią prostak zareagowałby, gdyby podziękowała mu za lekcję, która na pewno przyda się jej, gdy zostanie cesarzową, jej wargi zaczęły się podnosić ku górze. Nie uśmiechnęła się jednak, a tylko skinęła lekko głową.

–Rozumiem mój panie. Przeprosiny przyjęte – powiedziała chłodno. Ilforth otarł pot z twarzy i uklonił się najbardziej dworsko jak potrafił.

–Do końca życia pozostanę pani dłużnikiem, wasza wysokość.

Już miała powiedzieć, że wydaje się jej, że trzymał czoło na deskach pokładu wystarczająco długo, gdy Ilforth wyprostował się z gracją zakłóconą przez kołysanie statku. Zachwiał się i prawie przewrócił. Udało mu się jednak utrzymać równowagę i uśmiechnął się żałośnie do księżniczki. Był to najszczęśliwszy grymas jaki widziała na jego twarzy od początku rozmowy.

–Obawiam się, że chodzenie po pokładzie nie jest moją najmocniejszą stroną, wasza wysokość.

–Pan jednak przynajmniej chodzi. Lady Merissa cierpi tak bardzo, że nie dała rady nawet wstać z łóżka. Choroba morska.

–Przykro mi to słyszeć – odpowiedział cicho. – Lady Merissa to prawdziwy klejnot całego dworu. Kochamy ją wszyscy. Mam nadzieję, że wkrótce powróci do zdrowia.

Słyszac tę banalną uwagę Andrin zaczęła się zastanawiać czy Ilforth jest żonaty, a jeśli nie to, czy nie myślał czasem o zmianie swego stanu cywilnego. Wydawało się jej, że ktoś mówił jej kiedyś, że earl miał od kilku lat żonę, ale nie była pewna. A jeśli rzeczywiście był żonaty, to czy miał w sobie na tyle ambicji by odsunąć żonę na bok i

zainteresować się damą dworu księżniczki? Tego rodzaju tylne drzwi do kariery na cesarskim dworze już nieraz w przeszłości okazywały się bramą do władzy i sławy. Czyżby Ilforth miał podobne plany? A może – zmrużyła nagle oczy – mierzył jeszcze wyżej?

W tej chwili poczuła jak bardzo brakuje jej w tym rejsie towarzystwa matki. Varena postanowiła jednak pozostać w Estafel wraz ze swymi młodszymi córkami. A z pytaniem jakie Andrin właśnie sobie postawiła nie mogła przecież zwrócić się do ojca.

–Przekażę Lady Merissie pańskie wyrazy troski, jak tylko ją ponownie ujrzę – powiedziała po chwili.

–Wasza wysokość, jest pani aż nazbyt uprzejma.

„Owszem, jestem” – pomyślała Andrin uszczypliwie. – „Zwłaszcza, że tak naprawdę, to mam wielką ochotę wyrzucić cię za burtę i kazać płynąć do Tajwany w pław. Z kotwicą w rękę.”

–Czy chciałby pan porozmawiać o czymś jeszcze, mój panie? – spytała z głębokim postanowieniem zachowania konwenansów, choć całą sobą chciała uwolnić się od nieprzyjemnej rozmowy. – Być może o czymś związanym z Konklawe?

–Ach, tak. Konklawe.

Ilforth bawił się rondem kapelusza i patrzył na zniszczone pióro z Nowej Farnalii, które tak lekkomyślnie wystawił na działanie silnego wiatru oceanicznego, wiejącego ponad falami Vandor tuż za południowym krańcem wyspy Ternath.

–Spodziewam się, że jest pani ciekawa, jakie stanowisko zajęła Izba Lordów – powiedział wreszcie, wzdychając ciężko nad losem swego nakrycia głowy.

Andrin w duchu zamrugła z zaskoczenia. Nie myślała do tej pory o niczym podobnym, lecz teraz – być może zbyt późno – dotarło do niej, że jednak powinna.

–Czy ma pan swobodę dzielenia się tymi informacjami? – zapytała po chwili. Ilforth oderwał wzrok od kapelusza i spojrzał na nią przebiegle.

–Oficjalnie nie, wasza wysokość – wykonał ręką gest, który miał podkreślać ciężar i zawłość spraw, z jakimi człowiek na jego stanowisku musiał się codziennie borykać. Wyglądało to niestety raczej absurdalnie. – Jednakże, skoro pani pozycja, by tak rzec, zmieniła się w ostatnich czasach, mam wrażenie, że byłoby ze strony Izby co najmniej zaniedbaniem, gdybyśmy pani nie poinformowali. Jest pani teraz ważnym członkiem cesarskiej rodziny.

Andrin patrzyła na arystokratę, czekając na cokolwiek poza czczymi pochlebstwami.

–A więc, cóż... Członkowie Izby Lordów zajęli stanowisko, według którego pod żadnym pozorem i za żadną cenę nie wolno nam zrezygnować z choćby najmniejszego fragmentu suwerenności Ternathii.

–Rozumiem – księżniczka wydeła wargi. – Spodziewam się, że podobne nastroje panują w większości delegacji państw Sharony, nie sądzisz mój panie? W tej sytuacji o jakiejś większej swobodzie negocjacji nad kwestią praktycznego systemu zarządzania obecnym kryzysem nie może być raczej mowy, nieprawdaż?

Ilforth zamrugął.

–Przepraszam, wasza wysokość?

–Dla mnie jest oczywistością, że coś należy zrobić by sprostać sytuacji. Należy zmienić sposób rządzenia i administracji. Inaczej Sharona ryzykuje, mój panie, potężnym atakiem obcych. Wydaje mi się też, że jakiegokolwiek sztywne, nienegocjowalne stanowisko, byłoby w tej chwili szczególnie niekorzystnym sposobem radzenia sobie z największym zagrożeniem w historii naszego świata.

Tuż za jej lewym ramieniem rozległo się dziwne chrząknięcie i Andrin odrywając się od rozmówcy obróciła się, chcąc sprawdzić, czy jej gwardzista nie poczuł się gorzej. Chan Zindico był jednak zdrowy, choć twarz lekko mu pokraśniała. Uspokojona, spojrzała z powrotem na czterdziestego piątego earla Ilforth.

–A więc, mój panie?

–Ach, hmm, no cóż... W pani ocenie sytuacji jest rzecz jasna wiele racji, wasza wysokość. Muszę przyznać, że jest pani niezwykle przenikliwa jak na swój wiek, jeśli wolno mi pozwolić sobie na taką szczerość.

Andrin poczuła, że ma ochotę krzyknąć – albo lepiej – zdzielić Ilfortha w łeb czymś dużym i ciężkim. Zamiast tego obdarzyła go jednak mrożącym spojrzeniem.

–Otrzymałam bardzo staranną edukację. To akurat w moim wieku jest najzupełniej możliwe – zauważyła i Ilforth poczerwieniał.

–Oczywiście. Nie śmiałem nawet sugerować, że...

–W takim razie radziłabym mój panie, koncentrować się na merytorycznej zawartości wypowiedzi rozmówców, zamiast na kalendarzu.

Zostawiła go stojącego z otwartymi szeroko oczyma i z kapeluszem w dłoni. Przeszła przez pokład na przeciwległą burtę. Zatrzymała się przy niej niepewnie, nie

wiedząc, dokąd udać się teraz. Chwilę później pojawił się jednak ratunek. Na pokład wyszedł pierwszy lord Tajnej Rady. Ten dla odmiany odziany w praktyczny poranny strój bez śladu piór czy innych uduziwnień.

–Mój panie! Jakże się cieszę, że cię widzę. Czy zechciałby mi pan towarzyszyć w trakcie spaceru?

Shamir Taje popatrzył na księżniczkę przez moment, po czym dostrzegł Ilfortha, który nadal stał jak wryty po drugiej stronie pokładu. Nowoprzybyły rozpromienił się jak małe słońeczko i na jego twarz wypłynął nieoczekiwane zawadiacki uśmiezek.

–Wasza wysokość, z najwyższą rozkoszą.

Podał jej uprzejmie ramię. Andrin złożyła swą dłoń na jego ciemnym, stonowanym rękawie i uśmiechnęła się uroczo.

–Muszę przyznać, że nigdy wcześniej pański widok nie sprawił mi tak niezmiernej radości – powiedziała. Taje zachichotał.

–Wnoszę, że jego lordowska mość znów był przymilny całym sobą. A jakiegoż to, jeśli wolno spytać, kryzysu dyplomatycznego stał się źródłem w tak piękny poranek?

Siedząca na ramieniu Andrin Finena, wydała z siebie niesamowity skrzek. Taje uniósł brwi, na co Andrin zareagowała głośnym śmiechem.

–Mam niejasne wrażenie, że mój ptaszek marzy o pożarciu jego języka na drugie śniadanie – powiedziała księżniczka. – Co więcej, sądzę, że wtedy okazałby się bardziej pożytecznym dla świata, niż teraz, gdy pozostaje w ustach właściciela.

–Marnilay zachowaj! W czymże takim pani uchybił? – spytał pół żartem Taje. W jego oczach pojawił się błysk.

–Masz może przy sobie parę pistoletów, mój panie? – spytała w odpowiedzi i Taje skrzywił się.

–Aż tak źle?

–Jak to się w ogóle mogło stać, że on został przewodniczącym Izby Lordów?

Ku jej zaskoczeniu Taje spojrział jej prosto w oczy i odezwał się zupełnie poważnie.

–Został przewodniczącym, ponieważ jest najstarszym Earlem w Izbie i dlatego też, że ma odpowiednio dużo pieniędzy, a zatem i wpływów. Dzięki temu może kierować swą niefortunną koalicją skrajnych konserwatystów, zwykłych mąciwodów i tych, którzy zawsze wiedzą lepiej. Proszę nigdy nie lekceważyć zła, jakie Ilforth może

wyrządzić w Izbie – lub z Izby. Dzięki Marnilay cesarska kiesa zależy przede wszystkim od Izby Gmin, wasza wysokość. W przeciwnym wypadku ten błękitnokrwisty, zwodniczy pętał zasiadłby na swych niezasłużonych laurach i dyktował koronie, co tylko przyszłoby mu do głowy, za każdym razem, gdy naszłaby go taka ochota. A jestem pewien, że nachodziłaby go nieustannie.

Andrin spojrzała uważniej na człowieka, który nie licząc jej własnego ojca, dysponował największą władzą w całym imperium. Nigdy przedtem nie słyszała z jego ust takiego jadu. Nikt też – zrozumiała chwilę później – nawet Zindel, nie ukazał jej tak wyraźnie mechanizmów władzy.

–Niczym sądom mój ojciec nie ufa tak, jak twoim, Pierwszy Radco – odpowiedziała cicho. – Byłabym zaszczycona gdybyś mógł mnie uczyć podobnych analiz. Oczywiście w miarę swego ograniczonego czasu.

Blask z jakim na nią spojrzał oblał ją ciepłem.

–Wasza wysokość, to jeden z najważniejszych komplementów, jakie kiedykolwiek usłyszałem – odchrząknął i dodał szorstko – będę zaszczycony, mogąc cię uczyć, księżniczko. I będę się modlić do wszystkich bóstw, które czuwają nad losem cesarstwa, żeby moja wiedza nigdy nie okazała ci się przydatna.

Andrin przesunęła swą dłoń po jego ramieniu i dotknęła palców mężczyzny.

–Amen, mój panie – powiedziała cicho, lekko go ściskając. – Nikt nie ma na to większej nadziei niż ja, lecz – ciągnęła z fatalizmem, który był nieznanym dotąd dla niej uczuciem – wolę się przygotować na to, co może nigdy nie nadejść, niż czekać nieprzygotowana. Gdyby Janaki zginął i cokolwiek stało się memu ojcu...

Nie była w stanie dokończyć. Wizja okazała się zbyt przeraźliwa. Nigdy nie zapomniała wstrząsu, jaki przeszła cała rodzina, gdy jej dziadek zginął w centrum własnej stolicy w wyjątkowo niefortunnym wypadku. Miała wtedy zaledwie pięć lat, lecz czuła, że wspomnienie tamtych chwil nie opuści jej aż do śmierci.

Shamir Taje, pierwszy lord Tajnej Rady nie poruszył się przez kilka długich sekund. Patrzył jej prosto w oczy. Potem drgnęła mu ręką, zawahał się i wreszcie dokończył ruchu. Odsunął niesforny kosmyk kruczoczarnych włosów z twarzy Andrin i zawiązał go za jej uchem.

–Przypominasz pani swego ojca, pod tak wieloma względami, że chwilami aż trudno w to uwierzyć – powiedział cicho i odetchnął głęboko. – A zatem, wasza wysokość, czy mam zacząć od analizy obecnej sytuacji politycznej w Izbie Lordów?

–Byłabym wielce zobowiązana.

–W takim wypadku – powiedział głosem suchym jak piaski pustyni – to wielkie szczęście, że nie zaplanowałem na ten poranek żadnych innych zajęć.

Andrin zachłysnęła się, lecz po chwili uśmiechnęła odważnie. Taje skinął głową, przesunął dłoń księżniczki z powrotem na swoje przedramię i poprowadził ją w cieniu kominów „Powiewu”. Zaczął mówić.

ROZDZIAŁ

ÓSMY

Nastał już prawie zachód trzeciego dnia podróży, gdy Andrin wreszcie ujrzała widok, którego wyczekiwała przez cały dzień. Od razu stwierdziła, że było warto. Stojąc na pokładzie, z Fineną na ramieniu, ojcem po lewej stronie i Tajem z prawej, ujrzała wielką skałę, która strzegła wąskiej cieśniny Bolakin.

Pięść Bolakinu stanowiła największą naturalną fortecę Sharony. Była to także najdłużej zajmowana przez jedno państwo forteca. Na mocy zawartego w dawnych czasach traktatu jej garnizon stanowiły mieszane siły Ternathii i Bolakinu. Sam traktat, jak i inne podpisane jednocześnie z nim układy, były też jednymi z najstarszych w historii Ternathii. Jeszcze dawniej – pięć tysięcy lat temu – podpisano tylko umowy z Farnalią, które następnie scementowała seria mieszanych, arystokratycznych małżeństw, mających stanowić potwierdzenie obopólnej korzyści sąsiadujących państw.

Traktaty z Bolakinem podpisano w wyniku najsprytniejszego posunięcia ternathiańskiej dyplomacji w dziejach. Królowe Bolakinu, obserwując ekspansję Imperium na północnych rubieżach Pięści – doskonale rozumiały, że Ternathia zechce rozszerzyć sferę swych wpływów na morze Mbisi i rozmieścić na nim swą flotę. Bolakińczycy mieli także świadomość, że władcy Ternathii zechcą w końcu objąć swą kontrolą także i Pięść, która zabezpieczyłaby cały akwen przed atakami piratów. Królowe Bolakinu wysłały więc do ówczesnego cesarza, posłów z propozycją współdzielenia władzy nad Pięścią, która miała polegać na utrzymaniu wspólnego garnizonu, prawie obu państw do swobodnego i nie obciążonego podatkiem przepływania przez cieśninę dla statków handlowych, oraz równym podziale wpływów z ceł pobranych od wszystkich statków przepływających tędy do Ternathii i Nowej Farnalii. Ponadto Bolakińczycy zobowiązywali się, że ich korsarze nie tkną ani jednego okrętu cesarskiego. W zamian Królowe oferowały też otwarcie swych portów dla statków z Ternathii, co dawało Imperium dostęp do bogactw płynących przez Mbisi z głębi Ricathii, przewożonych karawanami, przemierzającymi wielką pustynię Sarthan i statkami handlowymi, pływającymi wzdłuż długiego, zachodniego wybrzeża Ricathii.

Cesarz był pod wielkim wrażeniem oferty. Propozycja była oczywiście wielce korzystna dla Bolakinu lecz nie naruszała przy tym – a wręcz przeciwnie – interesów Ternathii. Poza tym od jakiegoś już czasu admiralicja i gildie kupieckie naciskały na władze Imperium by Pięść przejąć lub zneutralizować w inny sposób. Cesarz skłaniał się jednak ku ugodowemu podejściu i traktat stanowił doskonałą okazję, pozwalając na uniknięcie ogromnych wydatków związanych z samodzielnym utrzymaniem garnizonu fortecy i stałej eskorty, chroniącej ternathiańskich handlowców przed

napaściami bolakińskich piratów. Nie musiał się także obawiać zbrojnych powstań przeciwko ternathiańskim najeźdźcom.

Tak więc, umowy zostały podpisane, zaaranżowano też towarzyszące im małżeństwa. Cztery i pół tysiąca lat rozwoju regionu później, Andrin, w której żyłach także płynęła domieszka bolakińskiej krwi, patrzyła z zadowoleniem na skutki mądrej decyzji przodków.

Sama Pięść była potężną skałą, wielką górą o stromych zboczach, strzegącą wód cieśniny, wznoszącą się na południowo-wschodnim krańcu półwyspu Narhathan. Miała trzy mile długości i trzy czwarte mili szerokości. Z Narhathan łączył ją nisko położony piaszczysty przesmyk, który na przestrzeni lat poszerzono i wzmocniono wydzierając ziemię morzu. Tam znajdowały się nabrzeża, magazyny, tawerny i zbudowane niedawno luksusowe hotele. Ceł za przepływanie cieśniny nie pobierano już od bardzo dawna, lecz Zatoka Bolakińska pozostała ważnym portem dla wszystkich statków wpływających i wypływających codziennie z Mbisi. Od tysięcy lat była to także jedna z ważniejszych baz morskich Cesarstwa. Pierwotne forty z epoki brązu zdążyły już zniknąć, choć archeologowie odkryli ostatnio ruiny jednego z nich. Zniknęły także pochodzące z późniejszych epok mury z blankami, katapulty i balisty a także ładowane od przodu gładkolufowe armaty.

Teraz wód cieśniny strzegły pancerne wieżyczki dział, o zasięgu pozwalającym na prowadzenie ognia przez całą cieśninę aż po wybrzeże Ricathii. Działa zaopatrywane były z magazynów wykutych głęboko w skale.

Na tle tej starożytnej skały „Powiew” wyglądał jak dziecinna zabawka. W niewzruszonej masie kamienia odbijały się promienie zachodzącego słońca i pokrywały ją żywym, złotawym blaskiem. Czarne jak noc cienie wyznaczały stanowiska potężnych baterii nadbrzeżnych, chronionych tonami hartowanej stali i zbrojonego betonu. Ich działa były w stanie posłać na dno każdy pływający po wodach Sharony statek, który zbliżyłby się do Pięści bliżej niż na dwanaście mil.

Na omiatanej wiatrem, wspaniałej fortecy trzepotały dwie flagi państw, władających po dziś dzień cieśniną. Jedna przedstawiała złotego lwa na czarnym polu – herb Bolakinu. Druga ukazywała złotą, ośmioramienną gwiazdę Ternathii na ciemnozielonym tle. Obie flagi wściekle łopotały na wietrze. I właśnie wtedy, jednocześnie, oba maszty pochylili się w kierunku „Powiewu”.

Zupełnie nie rozumiała własnej reakcji, ale nagle do oczu napłynęły jej łzy. Nie chodziło tylko o dumę z osiągnięć własnego narodu. Jej łez nie wywołał także sposób w jaki dowódca twierdzy uhonorował jej ojca, jej rodzinę i wszystko co jej ród zrobił dla swego ludu. Chodziło tu o coś więcej. Dzięki jakiejś niezrozumiałej alchemii, zrodzonej z wieczornego światła gasnącego w oceanie słońca i z czerni stanowisk artylerii, a także zagrożenia, które przygnało tu „Powiew” i jego zdążających na tak

ważne spotkanie w Tajwanie, ten prosty honor, pochylenie obu sztandarów stało się czymś więcej. Pamiątką tego wszystkiego, przez co przeszło i co wytrzymało cesarstwo... a także złowieszczym zwiastunem tego, co miało jeszcze nadejść.

Ludzie w ternathiańskich mundurach szli już przecież do walki. Szli niosąc ratunek tym, którzy mogli przeżyć i po to by uratować inne niewinne istnienia. Krew mieszkańców Sharony została już jednak przelana i ten prosty gest nie pozwalał zapomnieć, że popłynie jej jeszcze więcej i to bardzo niedługo. Księżniczka poczuła ciężar tych wszystkich śmierci na własnych barkach, przygniatał ją tak, że nie była w stanie dobrać tchu. Ich wrogowie nie mieli twarzy – jedynie kilka niejasnych obrazów przekazanych przez kobietę, która nawet nie zdołała się przyjrzeć swym mordercom. Ścisnęło się jej gardło. Andrin chciała móc przysiąc, że śmierć Shaylar Nargry-Kolmayr zostanie pomszczona. Bardzo chciała być w stanie złożyć takie śluby, chciała potrafić przyrzec, że sprawiedliwości stanie się zadość, ale ciężar, który miażdżył jej pierś nie pozwalał jej nawet i na to.

Widziała na murach twierdzy machających ku nim i pozdrawiających ludzi. Próbowwała z całych sił, lecz nie mogła nawet unieść ramienia by im odpowiedzieć. Gdyby jej ojciec wydał odpowiedni rozkaz ci ludzie poszliby na śmierć. Taki rozkaz mogła wydać też i Andrin, jeśli kiedykolwiek obejmie tron. To przecucie mroziło ją, przerażało i paraliżowało. Czuła się źle mimo, że tuż obok stał jej ojciec, a za nią chan Zindico. Nigdy nie czuła się mniejsza, mniej bohaterska i mniej zdolna by wpłynąć na cokolwiek. Teraz, gdy pomyślała jakie decyzje będzie musiała podejmować cesarzowa w czasie wojny poczuła się tylko małą, zagubioną dziewczynką.

Głośno, z trudem przełknęła ślinę. Raz, drugi raz, po czym złożyła w duchu milczącą przysięgę – nie wobec nieżyjącej Shaylar, ale wobec żołnierzy w forticy i wobec wszystkich innych mężczyzn w mundurach, rozsianych po wszystkich znanych ludzkości wszechświatach.

Przyrzekła, że zrobi wszystko – absolutnie wszystko – co w jej mocy, by przygotować się do roli tej, która ich poprowadzi. Przyrzekła także, że jeśli taka konieczność rzeczywiście zajdzie, to nie zaryzykuje ich życiem zbyt pochwopnie. Andrin była córką, wnuczką, prawnuczką i praprawnuczką cesarzowych. Na przestrzeni długich tysiącleci, władcy Ternathii raz po raz wysyłali swych ludzi na śmierć, czasem mieli ku temu dobre powody, niekiedy nie. Wiedziała o tym, tak samo jak wiedziała, że i w przyszłości cesarze i cesarzowe będą swe wojska posyłać do bitwy. Postanowiła jednak, że jeżeli ludzie tacy jak ci, których widziała na murach twierdzy, mieli ginąć na jej rozkaz, to ona – Andrin nie zmarnuje ich ofiary. Nie każe im umierać dla własnego kaprysu, nie z osobistego gniewu ani też strachu. Ich krwią szafować będzie rozważnie, jak gdyby była cenniejsza od złota, cenniejsza od jej własnej... bo tak przecież było.

Czuła te wszystkie myśli, niczym płomienie tańczące w jej duszy. W tym samym

momencie Finena nieoczekiwanie zerwała się z jej nadgarstka. Srebrna sokolica, przyciągając spojrzenia swymi skrzydłami, na których bieli odbijała się czerwień zachodu, wystrzeliła ku niebu. Zatoczyła koło wysoko ponad powiewającymi sztandarami i runęła w dół, pikując z powrotem ku ziemi niczym meteor.

Znów rozłożyła skrzydła, rozszerzyła ogon na podobieństwo wachlarza i przeleciała nad pokładem z szybkością ponad stu mil na godzinę. Pochyliła się w locie, wzięła szeroki, zamaszysty zakręt i przemknęła w powrotnej drodze przez kryształowo przejrzyste powietrze, jak sen o wcielonym pięknie. Po chwili jej szpony znów uczepliły się rękawicy Andrin.

Wspaniały ptak siedział tak przez nieskończoną, pełną wyczekiwania chwilę – żyjąca rzeźba odlana ze srebra i zdobiona kością słoniową. Rozłożyła skrzydła, gotowa w każdej chwili wzbić się znów w powietrze i uderzyć. Gwałtowna, dumna, butna i czujna... Podobne określenia tłoczyły się w umyśle Andrin zbyt szybko, by mogła je wszystkie spamiętać.

Po chwili sokół złożył skrzydła, po czym pochylił łeb i spojrzał we wstrząśnięte oczy księżniczki. Finena na powrót stała się ptakiem. Sokolem, siedzącym spokojnie na ramieniu właścicielki. Nie była już skrzydlatym wcieleniem przeznaczenia.

Andrin odetchnęła krótko i płytko, po czym spojrzała na swego ojca. Odpowiedziały jej oczy cesarza i dostrzegła w nich to, o czym sama jeszcze chwilę temu myślała. Zindel patrzył jak człowiek, który zdawał sobie sprawę, że jednym słowem może posłać tych ludzi w bój do światów tak odległych, że sama wiadomość o ich śmierci musiałaby wracać do domu wiele długich dni nawet, mknąc z prędkością ludzkiej myśli. On wiedział, że ludzie ci poszliby za jego rozkazem chętnie, wierząc, że sprawa dla której przyjdzie im umierać jest słuszna i warta najwyższej ofiary. Cesarz czuł na sobie tę straszliwą odpowiedzialność, lecz bał się tylko jednego – obawiał się dnia, w którym ciężar ten spadnie na barki jego córki.

Andrin zachciało się płakać. Ojciec spojrzał na nią uważniej i także w jego oku zaszkliła się łza.

–Jestem zmęczona, papo – powiedziała cicho próbując ukryć przyczynę swego złego samopoczucia. – Pożegnaj się już na noc.

–Oczywiście Drin – cesarz skinął głową.

Pocałował ją w czoło, uścisnął przelotnie dłoń i puścił. Księżniczka uciekła do swojej kajuty. Lady Merissa leżała na swej koi, blada i - dzięki bogom – śpiąca. Andrin usadziła Finenę na żerdzi, zdjęła ciężki płaszcz i swą zdobną suknię. Owinęła się mięciutką, przytulną, jedwabną koszulą nocną i dodatkowo założyła na siebie gruby szlafrok z ternathiańskiej wełny i egzotycznego kaszmiru.

Rozbolała ją głowa i dziewczyna skuliła się na łóżku. Gdy słońce zetknęło się z horyzontem, sięgnęła ręką by zapalić lampę, lecz rozmyśliła się. Przez chwilę patrzyła na zewnątrz. Obserwowała jak morze zmienia kolor na złoto, a słońce balansuje na krawędzi świata.

Samego momentu, w którym słońce zanurzyło się w fale nie zobaczyła. „Powiew” zwrócił się dziobem na wschód, prac głębiej i głębiej w Mbisi. Andrin widziała jednak zmieniające się światła na wodzie, obserwowała jak chmury na niebie stają się najpierw pomarańczowe, a potem purpurowe. Gdy blask dnia zniknął wreszcie zupełnie i ożyły nocne niebiosa, w kajucie zrobiło się chłodno. Firmament rozbłyskiwał tysiącami jesiennych gwiazd, zawieszonych jeszcze wyżej niż sunące majestatycznie chmury. Otuliła się szczelniej grubym kocem i przycisnęła zbolące czoło do chłodnej szyby. Nie chciała myśleć o tym, co miało wydarzyć się w Tajwanie. W ogóle nie chciała o niczym myśleć.

Dobrze było tak po prostu siedzieć w ciemności i patrzeć z pustą głową na gwiazdy. Dobrze było czuć drżenie statku, słyszeć stłumiony pomruk jego mocnych silników. Dawno już minęła pora kolacji, ale jej żołądek buntował się na samą myśl o jedzeniu. Przełknęła ślinę czując mdłości. Przymknęła powieki i czując narastający ból w głowie pomyślała o worku z lodem.

Ktoś zastukał cicho do drzwi.

–Odejdź – zawołała niezbyt głośno, by nie zbudzić śpiącej Lady Merissy.

Zapadła cisza, lecz pięć minut później stukanie rozległo się po raz wtóry. I raz jeszcze, po kolejnych pięciu minutach.

Andrin pomyślała, że nawrzeszczy na intruza zakłócającego jej tak potrzebną chwilę samotności. Wskoczyła z łóżka, przemierzyła kajutę kilkoma długimi, rozgniewanymi krokami i szarpnięciem otworzyła drzwi. Natychmiast zamknęła usta, dusząc w sobie słowa, które miała już na końcu języka. W korytarzu stała służąca. Ta sama, która w komnacie Tajnej Rady przyniosła jej pióro i zeszyt. Dziewczyna kołysała się niepewnie i wykręcała sobie nerwowo palce. Patrzyła wielkimi ze strachu oczyma.

Do tej pory Andrin nie wiedziała nawet, że ta służka także znalazła się na pokładzie. Jeszcze mniej spodziewała się ujrzeć ją tuż przed drzwiami własnej kajuty z tacą jedzenia na wózku. Nie było w tym jednak nic niepokojącego. Brandys chan Gordahl – strażnik pilnujący księżniczki nocami, stał nieporuszony.

–Wasza wysokość – odezwała się pośpiesznie dziewczyna – dawno się tak o panią nie bałam. Czy dobrze się pani czuje? Kolacja stygnie i przestraszyłam się, że zachorowałaś pani. To byłaby moja wina, ponieważ w trakcie tego rejsu to ja mam się panią opiekować i...

–Słucham?– Andrin przerwała potok słów służącej i spojrzała na nią w niedowierzaniu. Dziewczyna pobladła. Księżniczka pokręciła głową. – Miałam na myśli, że nie rozumiem – wyjaśniła łagodniej. – Jak to masz się mną opiekować?

Służąca z trudem przełknęła ślinę.

–Dlatego... bo... wasza wysokość, pani pokojówka, panna Balithar, potknęła się i spadła ze schodów idąc do pani z kolacją. Złamała nogę. Podobno dość paskudnie. Jest teraz z Uzdrowicielem. Już się nią zajęli. Ale skoro panna Balithar ma złamaną nogę, a Lady Merissa jest chora, to nie ma pani nikogo innego. Nikogo, kto zadba o to, żeby nie było pani zimno i żeby nie chodziła pani głodna.

–Biedna Sathee! Musi strasznie cierpieć! – Andrin wyraźnie się zmartwiła. Sathee Balithar była jej pokojówką od kiedy księżniczka skończyła pięć lat. Od tego czasu zdążyła praktycznie stać się jeszcze jednym członkiem rodziny.

–Kiedy po mnie przysłano dowiedziałam się, że Uzdrowiciel zapanował już nad bólem. Zajął się tym w pierwszej kolejności. Panna Balithar jest w dobrych rękach, daję pani moje słowo, wasza wysokość.

Służąca nadal lękliwie wykręcała swe palce, a Andrin nadal nie wiedziała, dlaczego to akurat ona stanęła teraz w korytarzu z tacą jedzenia i tak bardzo zaniepokojonym wyrazem twarzy. Księżniczka zmusiła się by myśleć, choć pulsujący ból w skroniach ze wszystkich sił starał się jej to uniemożliwić.

–Cieszę się, że kuracja jest już w toku, ale co akurat ty tutaj robisz? Kto cię przysłał?

Andrin spojrzała na chan Gordahla. Oczy gwardzisty zabłyśły.

–Sprawdziliśmy ją dokładnie zanim jeszcze postawiła nogę na pokładzie, wasza wysokość. Ulthar przyprowadził ją piętnaście minut temu. Przyniosła kolację.

Andrin od razu poczuła się lepiej. Ulthar chan Habikon był kolejnym z jej zaprzysiężonych gwardzistów. Przez podwójną zaporę jaką stanowili z chan Gordahlem nie mógł przedrzeć się nikt niepowołany. Odetchnęła z ulgą, skinęła w podziękowaniu strażnikowi i na powrót spojrzała na roztrzęsioną służącą.

Kim jesteś? – zapytała ciekawie. – I dlaczego to ciebie poproszono, byś zastąpiła Sathee?

–Kiedy dobierano służbę na ten rejs, dostałam swoją największą szansę życia. Pozwolono mi nosić posiłki pasażerom z kuchni – odpowiedziała dziewczyna. – Powierzono mi to zadanie, ponieważ wcześniej dostąpiłam już zaszczytu usługiwania Tajnej Radzie, a tego nie wolno byle jakiemu służącemu. Mój ojciec był lokajem

Tajnej Rady przez całe swoje życie, a matka służyła jako pokojówka pani babce. Stąd nauczyłam się fachu – nosiłam z mamą, pomagałam jej. Wasza wysokość, zje pani coś, bardzo proszę?

–Ja... – Andrin zamknęła usta i przycisnęła dłoń do skroni. – Obawiam się, że nęka mnie potworny ból głowy – przyznała. – Nie przełknę ani kęsa.

Ku zaskoczeniu księżniczki oczy służącej pojaśniały wesoło.

–Pomogę pani, wasza wysokość. Szczerze mówię! Potrafię! Odziedziczyłam ten Talent po matce. Proszę tylko usiąść i dać mi się uleczyć.

Andrin ponownie rzuciła okiem na chan Gordahlą. Gwardzista najwyraźniej wiedział o dziewczynie o wiele więcej niż księżniczka, ponieważ po prostu skinął głową. Biorąc pod uwagę jego manię podejrzliwości wobec każdego, kto mógłby stanowić dla Andrin zagrożenie ten gest mówił sam za siebie. Jednak nawet i teraz, księżniczka nie poczuła się do końca spokojna. Choć z drugiej strony migrena męczyła ją tak bezlitośnie, że raziło ją nawet mdłe światło korytarza. Postanowiła więc przystać na propozycję i usiadła na krześle stojącym przed sekretarzykiem.

–Jak ci na imię? – spytała spoglądając na wchodzącą nieśmiało do kajuty służkę. Dziewczyna z fascynacją przyjrzała się kolejno koszuli nocnej Andrin, a potem Finenie.

–Relatha, wasza wysokość – szepnęła zahipnotyzowana przez białego sokoła. – Relatha Kindare.

Andrin z powodu bólu głowy myślała wolniej niż zazwyczaj, lecz po chwili dotarło do niej, że Finena była w obecności dziewczyny zupełnie spokojna. To było zaskakujące. Sokolica nie tolerowała bardzo wielu służących, a także i pokaźną liczbę arystokratów. Ptak nie lubił stanowczo bardzo wielu osób z cesarskiego dworu – w tym jak się dziś okazało earla Ilfortha – ale Relatha jej nie drażniła. Co więcej – polubiła ją na tyle, że zaczęła jak gdyby nigdy nic czyścić sobie piórka, a nawet nadstawiła łebek do głaskania.

–Chciałabyś jej dotknąć? – spytała Andrin.

–Och, nie mam na tyle odwagi... – zaprotestowała Relatha. Andrin podniosła się z krzesła i podeszła do żerdzi.

–Lubi cię. Chodź, daj mi rękę...

Palce Relathy wyraźnie drżały. Andrin ujęła jej dłoń i najpierw pokazała ją ptakowi, a potem przesunęła nią po srebrzystym grzbiecie sokolicy. Ptak wyprężył się czując delikatny dotyk i niemal zaskrzeczał z rozkoszy. Relatha aż jęknęła. Po chwili jej

twarz rozświetlił szczery zachwyty.

Głaskała ptaka jeszcze przez kilka chwil, po czym spojrzała na Andrin.

–Wasza wysokość, to najpiękniejsze zwierzę jakie w życiu widziałam! Ale przecież panią nadal boli głowa a ja się tu samolubnie zabawiam z ptaszkiem. Proszę usiąść, o tak. Zaraz zajmę się tym bólem.

Gdy tylko Relatha dotknęła jej głowy Andrin zrozumiała, że ma do czynienia z niezwykle utalentowaną Uzdrowicielką. Być może nieszkoloną, ale Utalentowaną jak mało kto. Pod delikatnymi opuszkami dziewczyny ból głowy ustąpił i zniknął bez śladu. Andrin oparła się wygodniej. Magia płynąca z dotyku służącej ukoila jej napięte nerwy. Uspokoil się także jej oddech. Wreszcie Relatha opuściła dłonie. Księżniczka odetchnęła z ulgą i otworzyła oczy.

Obróciła się na krześle i spojrzała ciekawie na dziewczynę.

–Dlaczego nigdy nie przeszłaś treningu, Relatha? Masz Talent Uzdrowiciela i to wcale nie mały.

–Ja? Uzdrowicielem? – wybałuszyła oczy Relatha. – Ja jestem służącą!

–A co ma jedno z drugim wspólnego? – Andrin zmarszczyła brwi. – Wiele Uzdrowiielek pochodzi z niższych warstw społeczeństwa. Talentu nie dostaje się wraz z błękitną krwią. Czy ktoś kiedyś mierzył twoje uzdolnienia?

Ostłupiała Relatha pokręciła głową.

– Rozumiem, a chciałabyś? Chciałabyś wyuczyć się na Uzdrowiciela?

Sama myśl o czymś takim wydawała się wstrząsać Relathą do głębi.

–Ja... Ja nie wiem... Nie myślałam nawet, że coś podobnego może mi się przytrafić...

–No cóż, nie ma potrzeby, żebyś podejmowała decyzję w tej chwili – zapewniła ją Andrin. – Ale przemyśl to. Jeśli chcesz żeby zbadano cię w Akademii Medycznej to ja to zorganizuję.

–Ale... dlaczego? – spytała Relatha nadal głęboko zaskoczona. Andrin uśmiechnęła się do niej.

–A dlaczego nie? – odpowiedziała pytaniem.

–No tak, tyle że ja jestem tylko...

– Nawet nie waż się znowu mówić, że jesteś „tylko służącą”! – rozkazała jej Andrin. – Przed chwilą za pomocą zwykłego dotknięcia uleczyłaś potężny ból głowy. Jeśli potrafisz zrobić coś takiego bez żadnego treningu, to znaczy, że służąc innym do obiadu po prostu się marnujesz. Czy ktoś badał Talent twojej matki?

Relatha pokręciła głową.

– Nie wasza wysokość. Powtarzała zawsze, że służąca jest służącą i koniec. Jej powołaniem była opieka nad pani matką. I to jej wystarczało. Tak mówi.

– Hmm – Andrin skrzyżowała ramiona na piersi. - Być może tak było za czasów mojej babci, ale ja nie jestem własną babką. Nie podoba mi się, gdy widzę kogoś z takim Talentem, biegającego z naczyniami z kuchni do kajut i z powrotem. Pomyśl Relatha, naprawdę chcesz spędzić życie biegając z moimi posiłkami? Czy może wolałabyś zostać Cesarskim Uzdrowicielem?

Dziewczyna otworzyła szeroko usta.

– Ja? – pisnęła. – Cesarskim Uzdrowicielem? Ja, wasza wysokość? – dziwiła się, lecz oczy jej zabłysły. – Naprawdę uważasz pani, że...?

Umilkła zapatrzona w Andrin swymi wielkimi oczyma. Księżniczka delikatnie wzruszyła ramionami.

– Nie dowiemy się niczego, póki ktoś cię nie zbada – zauważyła rozsądnie. Relatha ciężko przełknęła ślinę.

– Ja... pomyślę – szepnęła.

– I bardzo dobrze. Pamiętam, że wspominałaś coś o kolacji... Relatha uśmiechnęła się szeroko.

– Została w korytarzu, wasza wysokość. Już po nią lecę. Proszę siadać do stołu.

Andrin nie była pewna dlaczego jej własny Talent odezwał się szumem w uszach, kiedy Relatha wtoczyła wózek do kajuty. Nie rozumiała tego, ale Calirathowie już od dawna nauczyli się przykładac wielką uwagę do pierwszego wrażenia i intuicji, jakie pojawiały się w ich umysłach, kiedy napotykali na swych ścieżkach nowych ludzi.

Miała szczerą nadzieję, że Relatha zdecyduje się na testy. Rzeczywiście wybicie się kogoś z jej warstwy społecznej na wysokość osoby wykonującej zawód Utalentowanych zdarzało się dość rzadko, ale nie było to nic niezwykłego. Co więcej – głównym powodem istnienia w parlamencie Ternathii Izby Talentów było zapewnienie osobom takim jak właśnie Relatha możliwości właściwego wykorzystania danych im przez bogów uzdolnień. Nie podobało się też Andrin to, że

aż do tej pory nikt nie zwrócił uwagi na silny Talent służącej i postanowiła porozmawiać z przewodniczącym Izby Talentów zanim jeszcze dotrą do Tajwany.

Ta myśl wywołała w jej duszy coś dziwnego, niezwykle drżenie. Poczowała niemal fizyczne zadowolenie, że Relatha jest wraz z nią na pokładzie „Powiewu”.

Musiała się tylko jeszcze dowiedzieć, dlaczego ta nieznajoma do dziś dziewczyna stała się nagle tak ważna.

ROZDZIAŁ

DZIEWIĄTY

Shaylar siedziała ze skrzyżowanymi nogami w kajucie Gadrial. Obie – jedyne kobiety na pokładzie – spędzały dzień „typowo po babsku”. Shaylar zajęta była jedną ze swoich ulubionych czynności. Za pomocą pożyczonej od Gadrial igły i nitki oraz nożyczek, których użył jej okrętowy lekarz a także materiału, po który kapitan wysłał głównego stewarda do ładowni, szyła dla siebie sukienkę.

Przyniesiono jej szarą, wojskową, bawełnianą tkaninę. Co prawda z tego materiału nie mogła sobie zrobić szczególnie eleganckiego stroju. Niemniej jednak cieszyła się, że będzie mieć własną sukienkę. Do tej pory za jedyny strój służyło jej to, co dostała od Gadrial i rodzaj marynarskiej pizamy, którą dopasowała do swojego rozmiaru.

Gadrial nie była zdolną krawcową, ale potrafiła za to całkiem ładnie wyszywać, więc wykorzystywała czas podróży na ozdobienie swojego własnego stroju. Styl i wzory jakie pojawiały się pod jej palcami były wyjątkowo śliczne i w niczym nie przypominały żadnych, jakie kiedykolwiek wcześniej oglądała Shaylar. Kobiety pracowały i rozmawiały ściszymi głosami. Nie poruszały żadnych ważnych tematów – gawędziły o wszystkim i niczym, a Shaylar przy okazji szlifowała swoją – coraz lepszą – znajomość andarańskiego.

Shaylar zdawała sobie sprawę, że szybkość, z jaką przyswajała sobie nowy język zdążyła już wzbudzić podejrzenia Jasaka i Gadrial. Na Sharonie nikt by się temu nie dziwił – tam wszyscy byli przyzwyczajeni do tego, że telepaci mieli szczególnie rozwinięte zdolności językowe. Tyle, że nie byli już na Sharonie. Niestety, zanim zdołała się zorientować, że Gadrial nie widziała nigdy by żaden mieszkaniec Arkany (jak ona i Jasak nazywali swój macierzysty wszechświat) tak szybko uczył się nieznanego wcześniej języka, już zdążyła zademonstrować swoje możliwości. W tej chwili jedynym co mogła zrobić było pozorne zwolnienie tempa nauki. Częściej niż przedtem urywała zdania, szukając w myślach słowa i umyślnie mówiła z „obcym akcentem”. Nie wiedziała jednak czy te jej działania odnoszą jakikolwiek skutek. Zresztą nie była pewna, czy ukrywanie swych uzdolnień jest w ogóle dobrym pomysłem. Przewidywanie tego, co ludzie pochodzący z cywilizacji, która nie znała Talentów uznają za normalne a co za groźne lub straszne, okazało się niezwykle frustrujące.

Rozumiała też, że szybkość, z jaką udało się jej poznać nowy język w stopniu umożliwiającym w miarę swobodne rozmowy oprócz wad miała i zalety. Zastanawiała się nad tym, siedząc w plamie słońca wpadającego przez iluminator i szyjąc drobnymi, zwinnymi ruchami. Z jednej strony przełożeni Jasaka o wiele wcześniej zaczęły zadawać swoje nieuchronne pytania, z drugiej jednak, dzięki poznaniu

andarańskiego Shaylar mogła dowiedzieć się o Arkanie o wiele więcej zanim jeszcze przesłuchania się zaczną.

Większość rzeczy, których dowiedziała się do tej pory okazała się bardzo niepokojąca. Pozostałe jednak wydawały się nieść ze sobą pewną nieśmiałość i nikłą nadzieję.

Jasak na przykład, pochodził z jednego z kilku andarańskich królestw zajmujących ten kontynent, który na Sharonie nazywano Nowym Fornal. Okazało się, że Andarani stanowili trzon armii Arkany. Był to naród o długiej, wysoko rozwiniętej militarnej tradycji. Wojsko Arkany podczas dwóch pierwszych starć z Sharonianami nie popisało się być może wybitną skutecznością, lecz to, czego dowiadywała się Shaylar nie pozwalało spodziewać się, że tak będzie przez cały czas.

Większą otuchą napełniało ją to, czego dowiedziała się na temat Ransar. O ile zdołała się dobrze zorientować, rodzinna kraina Gadrial zajmowała w Arkanie obszary, odpowiadające z grubsza sharoniańskiemu królestwom Eniath i Dusith oraz północnym rubieżom Uromathii. W odróżnieniu jednak od monarchii jaka panowała w większości uromathiańskich państw Ransar było państwem demokratycznym. Shaylar nigdy szczególnie nie interesowała się polityką, ale teraz starała się zdobyć wszelkie, najdrobniejsze nawet strzępy informacji i miała wrażenie, że Ransaranie byli ludźmi o wiele bardziej pokojowo nastawionymi od pobratymców Jasaka, a ich kultura była przesiąknięta większym humanizmem od ustroju Andaran.

Trzecim wielkim narodem byli Mythalanie. Jednak z jakiegoś niezrozumiałego powodu ani Gadrial ani Jasak nie chcieli o nich rozmawiać.

Mimo powagi sytuacji w jakiej się wraz z Jathmarem znalazła, Shaylar czuła głęboką fascynację poznając kolejne fakty dotyczące cywilizacji obcych. Często odczuwała też jednocześnie dojmującą irytację, ponieważ chciała się dowiedzieć o wiele więcej niż była w stanie. I nie chodziło tu wyłącznie o sprawy polityczne. Szczególnie dziwiło ją jedno.

Podniosła oczy znad powstającej w jej dłoniach sukienki.

–Gadrial?

–Hmm?

–Co napędza statek?

Gadrial spojrzała na nią ze zdziwieniem. Przyglądała się Shaylar przez dłuższą chwilę, po czym wypowiedziała słowo, którego Sharonianka jeszcze nie знаła.

–Co to znaczy? – spytała Shaylar.

Gadrial złożyła swe wyszywanki na kolana i złożyła ręce. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że zastanawiała się w jaki sposób najlepiej wyjaśnić obcej trudny temat.

–To moc, która napędza całą naszą cywilizację – powiedziała wreszcie powoli, starannie dobierając słowa. – Nie każdy może jej używać. Do tego trzeba urodzić się z Darem.

Shaylar poczuła dreszcz. Nie rozumiała jeszcze dokładnie, lecz to, o czym mówiła obca przypominało trochę ich Talenty. Tyle, że żaden Talent nie mógł posłużyć do napędzania statku. Gadrial wstała i wyciągnęła ze swych bagaży mały, skórzany futerał. Otworzyła go i wyjęła z wewnątrz znajomo wyglądający kryształ.

–To jest mój KO – wyjaśniła. – Mój kryształ osobisty. Widziałas go już, kiedy pomagał nam w trakcie lekcji. Wykorzystuję go też do wielu innych zadań. Zapisuję w nim notatki, prowadzę obliczenia. Mogę zachować w nim praktycznie wszystko. I to właśnie – tu znów użyła słowa, którego odpowiednika Shaylar nie знаła – nadaje mu tę moc.

–Gadrial, ale to przecież tylko kamień.

To zabrzmiało głupio. Shaylar zrozumiała to tuż po tym, jak zamknęła usta. Gadrial już nie raz udowodniła jej, że ten „tylko kamień” potrafił dokonać zdumiewających rzeczy. Wyrwało się jej to dlatego, że sam fakt istnienia podobnego przyrzędu zdawał się gwałcić wszystkie prawa fizyki multiwersum jakie znała Shaylar. Pomyślała, że tak naprawdę ostatnie zdanie powiedziała dlatego, iż głęboko w duszy nie chciała, by podobna rzecz w ogóle istniała.

–Nie bądź niemądra, Shaylar – zbeształa ją Gadrial, jakby była telepatką i właśnie odczytała myśli Sharonianki. – Widziałas już działający kryształ. Tyle, że nie każdy potrafi z niego korzystać. Do jego konstrukcji, a także do kompilacji zaklęć, które umożliwiają działanie jego aplikacji potrzeba kogoś Obdarzonego. Niemniej w każdym z takich kryształów można przechowywać ogromne ilości informacji. Wystarczy tylko wiedzieć jak je w nim zapisywać i jak je potem odczytać. Osoby posiadające Dar mogą też zaprogramować kryształ tak, by mogły go używać osoby bez Daru. Patrz.

Zaczęła mamrotać. Używała przy tym jakiegoś nieznanego języka. Na pewno nie był to andarański. Choć Shaylar widziała już to niezliczoną ilość razy, to gdy kryształ zaśnił swym wewnętrznym światłem dostała gęsiej skórki. Wewnątrz kamienia pojawiły się zawijasy obcego alfabetu. Ten rodzaj znaczków różnił się jednak od napisów widniejących w różnych miejscach na okręcie.

–Proszę – powiedziała Gadrial podając kryształ Shaylar. – Załadowałam go dla ciebie.

Shaylar wzięła go do ręki bardzo ostrożnie. Okazał się cięższy niż na to wyglądał.

Przypominał zwykły kryształ kwarcu, lecz najwyraźniej był to minerał o wiele bardziej gęsty. Gdy umieściła go na swej dłoni zawijasy wewnątrz zadrgały. Niezrozumiałe pismo zaczęło się przesuwać i zwiększać, jakby chcąc ułatwić odczytywanie.

–Co to znaczy „załadowałaś dla mnie”? – spytała.

–To znaczy, że uruchomiłam go tak, że cię posłucha. Uruchomiłam magiczne aplikacje w trybie dla nie-Obdarzonych i zdjęłam swoje hasło. Gdybyś chciała, mogłabyś zapisywać i odczytywać dane.

–Ale jak? – spytała podirytowana Shaylar. – Przecież to nie jest żaden przyrząd, tylko zwykły kawał skały!

–Oczywiście, że to jest przyrząd – odparła Gadrial.

–Nie! Nie jest... – Shaylar pokręciła głową szukając w pamięci andarańskiego słowa oznaczającego „mechanizm”. Niestety nie знаła go jeszcze. – Nie ma przełączników – powiedziała zamiast tego. – Nie ma zasilania.

–Ja zapewniłam zasilanie – wyjaśniła Gadrial.

–Ale w jaki sposób?

–Wypowiadając odpowiednie słowa. Masz, spróbuj – Arkanianka podała Shaylar rysik, czy może różdżkę, która wyglądała na wykonaną z tego samego przejrzystego materiału co kryształ.

–Napisz coś na nim – zachęciła.

Shaylar popatrzyła przez chwilę na obcą, po czym ostrożnie przycisnęła czubek rysika do „KO”. Pojawiła się iskra – błękitnozielone światełko innej barwy niż znaki, widniejące wewnątrz kamienia – dokładnie w miejscu kontaktu różdżki ze ściankami kryształu, Gdy poruszyła rysikiem iskra zamieniła się w linię. Shaylar powoli i niepewnie napisała w kryształ swe imię. Postawiła ostatni znak i oderwała rysik. Imię odpłynęło natychmiast na środek kryształu, zastępując słowa, które widniały tam dotychczas.

Shaylar przyjrzała się temu na pół zafascynowana, na pół przestraszona konsekwencjami, jakie mogła nieść ze sobą ta technologia. Pokręciła głową.

–Nie rozumiem!

–To dlatego, że nie posiadasz Daru – wytłumaczyła Gadrial. – Nieobdarzone osoby mogą wykorzystywać większość naszych urządzeń wyłącznie wtedy, gdy zaklęcia ustawione zostaną odpowiednio dla nich i ktoś Obdarzony je wcześniej naładuje. Bez

własnego Daru jesteś zależna od kogoś, kto posługuje się zaklęciami i umie zasilić cały system.

Obie kobiety posługiwały się co prawda tym samym językiem, lecz zupełnie nie potrafiły się zrozumieć. Shaylar głęboko odetchnęła.

–Ale przecież nie można uruchomić maszyny po prostu mówiąc do niej – powiedziała powoli i z naciskiem. Gadrial zmarszczyła brwi.

–Jak to nie? Oczywiście, że można. Ja mogę! Mówiłam ci, że mam Dar.

–Ale... – Shaylar poczuła ochotę żeby wyrwać obcej włosy. – Powtarzasz to bez przerwy. Ale co oznacza ten Dar? Co takiego robisz ty, czego nie potrafią ludzie bez Darów? Co sprawia, że kawałek kamienia świeci się w ten sposób?

–Wykorzystuję pole – powiedziała Gadrial, takim tonem, jakby wierzyła, że to cokolwiek wyjaśnia.

–Jakie pole?

Gadrial ponownie użyła tego samego słowa, co na początku rozmowy. Shaylar jęknęła z frustracji.

–Co cię tak denerwuje Shaylar? – spytała patrząc uważnie na drugą kobietę.

–To, że nie rozumiem twoich słów. To wszystko nie ma dla mnie sensu! – Shaylar wskazała na złowieszczo lśniący kryształ w swojej dłoni. – Ten kamień nie ma sensu! Ten statek nie ma sensu! Nic w waszym świecie nie ma sensu!

Zdała sobie sprawę, jak ciężko oddycha, balansując niebezpiecznie na granicy ataku paniki. Bała się – bardzo się bała – i nie do końca wiedziała czego. Miała wrażenie, jakby stała na krawędzi klifu, z którego mogły ją zepchnąć kolejne słowa Gadrial.

Gadrial odebrała jej swój „kryształ osobisty” i odłożyła go ostrożnie na koc. Zostawiła na nim swą lewą dłoń, spojrzała nieruchomo na Shaylar, po czym pokręciła powoli głową.

–Wy naprawdę nie macie niczego podobnego, prawda? – odezwała się wreszcie głosem pełnym zdziwienia i czegoś w rodzaju współczucia.

–Nie – przyznała Shaylar. Gadrial zaczerpnęła głęboko powietrze.

–Magister Halathyn uprzedzał mnie o tym – powiedziała Gadrial i cień bólu przemknął jej w oczach. Nie odwróciła jednak wzroku od Shaylar i ciągnęła spokojnym głosem.

–Nie chciało mi się w to wierzyć – mówiła. – Wynikałoby z tego, że wasz wszechświat jest tak bardzo różny od naszego, że nie potrafię go sobie nawet wyobrazić. W każdym razie jeszcze nie w tej chwili. Ale wszystko, czego się od ciebie dowiadywałam tylko jego opinię potwierdzało. A teraz jeszcze i to.

Znów pokręciła głową.

–Nic dziwnego, że czujesz się taka zagubiona. Pozwól, spróbuję ci to wyjaśnić.

Oparła się wygodniej na koi, raz jeszcze zastanawiając się nad doborem właściwych słów. Stanęła przed trudnym zadaniem wytłumaczenia skomplikowanego zagadnienia, mając do dyspozycji tylko ograniczony zasób słownictwa.

–We wszechświecie istnieje pewna moc – zaczęła po dłuższym namyśle. – Ludzie posiadający Dar potrafią ją wyczuwać, dotykać jej, a nawet wykorzystywać ją do pewnych rzeczy. Dary niektórych są bardzo słabe. Ludzie wyposażeni w nie potrafią wykonywać tylko proste czynności, a to dlatego, że dotykają tylko niewielkiego ułamka tej mocy. To trochę przypomina... pole energetyczne. Jak światło słońca. Morze energii rozciągające się pomiędzy rzeczami.

Zmarszczyła czoło i skupiła się jeszcze intensywniej. Shaylar pomyślała, że to trochę tak, jak opowiadanie niewidomym o kolorach. Nie spodobała się jej ta myśl. Była telepatką, Głosem. Komunikacja od zawsze stanowiła jej specjalność. W tym celu przyszła na świat i nigdy wcześniej nie czuła się tak bezradna. Nigdy nie czuła się ślepa. Aż do teraz.

–Są też inni – ciągnęła Gadrial. – Ich Dar jest bardzo silny. Mój jest właśnie silny. Silniejszym Darem, ze znanych mi osób obdarzony był tylko Magister Halathyn. On mnie uczył...

Głos uwiązał jej nagle w gardle. Oczy zaszyły łzami.

–Przykro mi – powiedziała cicho Shaylar dotykając ręki Gadrial. Emocje obcej przepląły do niej chaotycznym wirem miłości, żałoby i bólu poczucia straty.

–Wiem, że ci przykro – powiedziała Gadrial. Jej głos wydał się dziwnie cichy wśród panującej w kajucie ciszy.

Shaylar wyczuła, że Gadrial ze wszystkich sił stara się nie obwiniać jej i Jathmara za śmierć Halathyna. Żałowała, że nie zna żadnego sposobu, w jaki mogłaby ukoić jej cierpienie. Nie potrafiła jednak – nie w obecnej sytuacji. Odczekała więc dopóki Gadrial nie otarła łez i nie wyprostowała się raz jeszcze.

–Wiem, że ci przykro – powtórzyła mocniejszym już tonem i odchrząknęła. – Tak czy inaczej Halathyn dysponował potężnym Darem. Nikt chyba nie rozumiał pola lepiej od

niego. To on nauczył mnie wszystkiego, co o nim wiem. A to, czego dowiedziałam się sama nie byłoby możliwe, gdyby nie podstawy, które on mi przekazał.

Shaylar znów poczuła wzbierające się w obcej cierpienie, lecz tym razem Gadrial już się mu nie poddała.

–Uczył mnie tego wszystkiego i na pewno nie chciałby, żebym się tak rozklejała. A więc... Tego pola można używać, da się je wykorzystywać – ujarzmić. Jego energia jest wprost niewyobrażalna. I to ona właśnie napędza nasz okręt – wskazała ręką dokoła. – Jeżeli ktoś Obdarzony wypowie właściwe słowa, pobudza nimi pole, którego energia wpływa do zasobników zakłęb na statku. Uwalniana przez nie moc, pcha statek przez wodę. Na tej samej zasadzie działają inne urządzenia. Wszystkie nasze urządzenia.

Sięgnęła do swego bagażu i wyciągnęła jeszcze jeden futerał.

–To urządzenie skonstruowałam razem z Halathynem. Pomaga nam lokalizować portale. To właśnie robiliśmy, kiedy natknęliśmy się na was. Szukaliśmy pobliskiego portalu.

Wymamrotała coś w stronę przyrządu i znów w kajucie zajaśniało. W jego prostokątnym okienku pojawiło się kilka barwnych wskaźników.

–Patrz, widzisz to? – Gadrial wskazała palcem kilka niewielkich, świecących strzałek i kolumnienek. – Jutro przybijemy do portu na wyspie, którą nazywamy Chalar. Tam jest nasz następny portal. Widzisz? Ta strzałka wskazuje nam jego kierunek.

Shaylar powoli skinęła. Czuła jak ogarnia ją oszołomienie. To małe urządzenie, które obca trzymała w dłoni było o wiele bardziej efektywne niż Talent któregoś z Ogarów Portali. Skoro Arkanianie byli w stanie zrobić coś takiego, to do czego jeszcze byli zdolni? Po chwili dotarło do niej, że Gadrial mówi dalej.

–...w fazie eksperymentów oczywiście. Właśnie sprawdzaliśmy je w lesie, wtedy, gdy twoi ludzie zabili Osmunę...

–Osmunę? – zdziwiła się Shaylar. – Kto to jest Osmuna?

–Tak nazywał się żołnierz, którego zabili wasi – odparła zaskoczona Gadrial.

–My kogoś zabiliśmy?! – zachnęła się Shaylar. – To wy zabiliście Falsana. Bogowie, Gadrial... on umarł mi na rękach! Przebył z tą strzałą w piersi całe mile, próbował dotrzeć do obozu...

–Nie wiedziałam, że to tak wyglądało – powiedziała cicho Gadrial. – Przykro mi. Wierz mi. Bardzo mi przykro.

–Tyle, że to nie powstrzymało was od zabicia reszty moich towarzyszy, prawda? – odgryzła się Shaylar bardziej surowo niż początkowo zamierzała. Gadrial skrzywiła się, lecz wytrzymała jej spojrzenie.

–Nie chcieliśmy tego – wyjaśniła. – Pierwszy zrozumiał to wszystko Jasak. Dwóch mężczyzn spotkało się w lesie. Byli sami i nikt nigdy nie dowie się już, który sięgnął po broń pierwszy. A przynajmniej my się tego nie dowiemy. My nie wiedzieliśmy nawet, co zabiło Osmunę. Pewne było tylko to, że zginął, że został zamordowany. Poszliśmy do waszego obozu tropem zabójcy. Ale wy byliście już w drodze do portalu. Tego samego, którego my szukaliśmy i...

–I wtedy urządziliście na nas polowanie! – Shaylar gwałtownie wyprostowała się na łóżku. Jej twarz ścisnęły bolesne wspomnienia. Słowa uwolniły wreszcie długo tłumiony wewnątrz ból, który wylewał się teraz szerokim strumieniem. – Tak bardzo się baliśmy! Wiedzieliśmy jedynie, że ktoś zamordował Falsana i że ci ludzie teraz ścigają nas. Nie byliśmy dość szybcy...

–Oczywiście, że was ścigaliśmy – Gadrial patrzyła na nią wielkimi oczyma. – Zastanów się, co zrobiłby któryś z waszych oficerów, gdyby znalazł swojego martwego żołnierza? Co zrobiłby wasz dowódca odpowiedzialny za opanowanie sytuacji?

–Opanowanie sytuacji??? – Shaylar zaniósła się szorstkim, nieprzyjemnym śmiechem. – Tak to nazywacie? Kiedy zastrzeliliście bezbronnego Ghartouna, który chciał z wami rozmawiać też tylko opanowywaliście sytuację?

–To Garlath go zastrzelił – prychnęła Gadrial i telepatka, nawet nie dotykając jej poczuła ogromną falę gniewu. Nie – to nie był gniew – to była rozpalona do białości wściekłość. Co więcej, Gadrial nie była wściekła na nią.

–Ten głupi, tchórzliwy, arogancki, niekompetentny skurwy... – Gadrial zaczęła używać słów, których Shaylar jeszcze nie знаła, ale które nie wymagały słownika. Kimkolwiek był ten Garlath, Gadrial nim gardziła. Jeszcze i teraz.

–Nie byłam na tyle blisko, by to dokładnie widzieć – powiedziała wreszcie obca kobieta. – Jasak zabronił mi podchodzić. Wiem tylko, że krzyczał na Garlatha. Ale ten idiota i tak strzelił i wtedy rozpętało się piekło. W życiu nie słyszałam czegoś podobnego.

Shaylar zadrżała. Jej doskonała pamięć telepatki pozwoliła jej przypomnieć sobie rozkaz, który padł od strony lasu, kiedy Ghartoun podniósł się z ziemi. Wtedy obce słowa nie znaczyły dla niej nic i aż dotąd zakładała, że był to rozkaz do ataku. Teraz jednak znała już andarański i kiedy w jej głowie komenda rozległa się ponownie, rozpoznała w niej głos Jasaka Olderhana:

„Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!!!”

Ochrypy rozkaz zahuczał w jej głowie niczym burzowy grzmot. Spojrzała na Gadrial wielkimi oczyma.

–Jasak zabronił mu strzelać – powiedziała wreszcie cicho i powoli. – Rozkazał mu wstrzymać ogień.

–Tak właśnie było! – przytaknęła Gadrial ze ściągniętym obliczem na którym po raz kolejny pojawił się strach. – Sama słyszałam to polecenie. Słyszałam jak cięciwa kuszy zaśpiewała już po tym. I zaraz rozległ się ten potworny huk i ryk...

Shaylar nie wyczuwała w obcej kłamstwa. Gadrial Kelbryan zaczęła łkać. Najpierw cicho, lecz po chwili ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się na dobre.

Umarli za nic. Za nic! A kapitan Halifu, nie wiedząc, że Jasak nie chciał dopuścić do walki rozlał jeszcze więcej krwi. Halathyn zginął na próżno. On i tak wielu innych. A w Sharonie wszyscy mieli zobaczyć przekaz od Darcela. Obrazy ognia i śmierci, morderstwa z premedytacją i rozmyślnej rzezi. Tak to rozumieją, ponieważ wtedy ona w ten sposób myślała.

Nagle zdała sobie sprawę, że rozpęta się wojna. Zrozumiała to tak jasno, jak chyba nigdy wcześniej. Zupełnie jakby pochodziła z dynastii Calirath i doświadczyła Przebłysku. Wybuchnie straszliwa, potworna wojna i życie straci jeszcze więcej ludzi. Tak głupio. Po obu stronach. Jedynie dlatego, że nikt nie wiedział, że pierwsza masakra była zwykłą pomyłką. Błędem.

Gadrial objęła ją i mówiąc coś bezradnie próbowała pocieszyć. Wtem gwałtownie otworzyły się drzwi pomiędzy kajutą sypialną a małym pokojem obcej i stanął w nich Jathmar. Był blady jak ściana.

–Shaylar!

Spojrzała na męża pustym wzrokiem i po chwili znalazła się w jego ramionach. Przywarła do niego, zapłakana.

–Co się stało? – zapytał ostro. – Co ona ci zrobiła?

–Nic – Shaylar zachłystywała się łzami. – Nic Jathmar. Och, Jath – to wszystko to jedna wielka, koszmarowa pomyłka.

Spróbowała mu opowiedzieć, choć mówiła o wiele bardziej chaotycznie niż przed chwilą czyniła to Gadrial. Jathmar słuchał jej słów. Jego szalejące uczucia biegły przez małżeńską więź. Kiedy wreszcie upiorna prawda dotarła i do niego, usiadł i siedział przez długą chwilę w całkowitej ciszy z zaciśniętą szczęką. W końcu zadrżał i

ciężko westchnął.

–Rozumiem. Wierzę ci, ponieważ ty wierzysz jej. Bogowie, co za idiotyczna, potworna pomyłka.

Shaylar skinęła. Mąż podniósł jej brodę palcem do góry, uśmiechnął się i otarł palcem łzy z jej policzków.

–Przydałaby ci się chusteczka, kochanie. Problem w tym, że nie mam już ani jednej.

Pociągnęła nosem i spojrzała z wdzięcznością na Gadrial, która wcisnęła jej w dłoń swój haft. Shaylar osuszyła oczy, wydmuchała nos i uśmiechnęła się słabo do obcej.

–Dziękuję – powiedziała i zauważyła, że Gadrial patrzy na nich oboje uważnie, ze zmarszczonym czołem.

–Shaylar? – spytała powoli i niepewnie. – Tak?

–Skąd Jathmar wiedział, że jest ci źle?

Oboje Sharonianie zmartwieli. Wymienili szybkie spojrzenia.

–Cholera jasna – zaklęła Shaylar. Jathmar pokręcił głową.

–Moja wina – mruknął po shurkhaliańsku, którego w odróżnieniu od ternathiańskiego nie uczyli Gadrial. Potarł sobie nos. – Przestraszyłem się nie na żarty. Odebrałem twój strach, a potem wszystkie twoje uczucia jakby zwariowały. No i...

–Cicho – tym razem to Shaylar pokręciła głową i wzruszyła ramionami z krzywym uśmiechem. – To i tak musiało się kiedyś wydarzyć. A twoja wina, że zareagowałeś nie jest wcale większa od mojej. To ja uniosłam się jak wariatka.

–Ale dlaczego? Czulem, że zbierało się na to jeszcze zanim ona opowiedziała tę rewelację o tym, jak mu tam, Garlathu. To była tylko kropla, która przeppełniła czarę, ale i wcześniej byłaś w porządnym stresie. Co się tu do wszystkich piekieł Arpathii, działo?

–Gadrial wyjaśniała mi coś bardzo ważnego, Jathmar. Tłumaczyła mi zasady, na których opiera się ich technologia. Jathmar, myśmy wcześniej żartowali, że Halathyn czarował, ale teraz myślę, że to rzeczywiście tak jest. To czary. Nie wiem, jak można to inaczej nazwać.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i spróbowała mu wyjaśnić jakiej energii używali Arkanianie. Z jednej strony nie było jej łatwo, ponieważ sama do końca nie rozumiała

tęgo, czego dowiedziała się od Gadrial. Z drugiej jednak zadanie miała ułatwione tym, że oboje posługiwali się tym samym językiem i tym także, że łączyła ich Więź. Dobrą chwilę zajęło jej przekazanie Jathmarowi podstaw magii obcych, kolejną zajęło mężczyźnie zaakceptowanie tej prawdy. Wreszcie skinął nieznacznie głową.

–Racja – przyznał. – Wpływanie na energię za pomocą słów? Zaklęcia i inkantacje? Magiczne pierścienie – to znaczy te ich kostki – w których przechowuje się czary? To czysta fantazja, to niemożliwe, ale sam nie widzę innego wyjaśnienia – westchnął. – A na domiar złego jeszcze zdradziłem się z naszymi zdolnościami. Musimy jej coś powiedzieć.

–Owszem, musimy – zgodziła się Shaylar. – Daj mi pomyśleć.

Zastanowiła się błyskawicznie, jakich słów powinna użyć, by nie powiedzieć za dużo. Po chwili spojrzała na Gadrial, która przez cały czas obserwowała ich podejrzliwie spod przymrużonych powiek.

–Przepraszam – zaczęła. – Jathmar był bardzo zaskoczony. Chciał wiedzieć, co mnie tak zdenerwowało i musiałam mu wyjaśnić. On także jest mocno wstrząśnięty pomyłką na polanie.

–Ale skąd wiedział? – powtórzyła pytanie Gadrial i Shaylar uśmiechnęła się zawadiacko.

–Opowiadałaś mi o waszym Darze. O tym, z czym się niektórzy z was rodzą. W Sharonie, w naszym rodzimym świecie mamy... coś innego. To nie jest ta wasza... magia... – nie była pewna, czy używa słowa, którego używała wcześniej Gadrial we właściwym kontekście, ale żadnego innego po prostu nie знаła. – Niczego takiego nie mamy, ale i u nas niektórzy rodzą się z pewnymi umiejętnościami, których nie mają inni. Nazywamy to...

I znów okazało się, że jeszcze nie poznała odpowiedniego andarańskiego pojęcia.

–Jak nazywacie to, co sprawia, że ktoś zostaje wielkim artystą wielkim uczonym. To, co odróżnia go od reszty. To co on ma i co sprawia, że może robić rzeczy niedostępne innym?

–Talent? – podpowiedziała Gadrial i Shaylar skinęła energicznie głową.

–Tak. Talent. Więc niektórzy w naszym świecie rodzą się ze szczególnymi Talentami. One tkwią... – znów zawahała się nad doбором słów -...tkwią w umyśle – pokazała palcem na własną skroń. – Jathmar i ja jesteśmy małżeństwem. Oboje mamy niewielkie Talenty. Nic specjalnego – dodała tak obojętnie jak tylko umiała, ciesząc się w duchu, że Gadrial nie jest telepatką, która potrafiłaby wyczuć kłamstwo. – I kiedy dwoje ludzi z Talentami bierze ślub, tworzy się między nimi więź.

Więź umysłów i uczuć. Jathmar zawsze wie, kiedy jestem przestraszona, albo kiedy się martwię. Ja też wiem, kiedy jego coś niepokoi lub gniewa. Kiedy jesteśmy blisko siebie, więź działa lepiej ale czujemy się też kiedy jesteśmy w innych pomieszczeniach. Naprawdę nie znacie niczego podobnego? To trochę tak, jak wtedy gdy matka po prostu wie, że jej dziecku coś się stało.

–Nie – Gadrial pokręciła przecząco głową. Patrzyła na Shaylar szeroko otwartymi oczami. Jathmar spojrział na żonę w zdumieniu.

–Naprawdę nie? – zaskoczenie było słychać nawet w niezręcznej, zbyt starannej andarańszczyźnie mężczyzny.

–Nie.

Cała trójka popatrzyła na siebie w milczeniu. Każde z nich było wstrząśnięte z innego powodu.

–Cóż – zauważyła Gadrial. – To tylko potwierdza, jak bardzo różnią się między sobą nasze światy.

–Tak – przytaknęła Shaylar. – Są jeszcze bardziej odmienne, niż się tego spodziewałam.

–Mam jeszcze jedno pytanie – Gadrial wytrzymała spojrzenie Shurkhalianki. – Jakie wy macie... Talenty?

Shaylar wiedziała, że to pytanie w końcu padnie. To było logiczne. Żałowała tylko, że nie wyjaśniła tej sprawy już wcześniej. Kłamstwa, nawet takie polegające na nie mówieniu prawdy, przychodziły Głosom z trudem. Nie była nawet pewna, jak powinna teraz skłamać. Nie wiedziała, czy lepiej będzie jeśli w nadziei na to, że nie docenią potęgi Talentów, pomniejszy ich moc? Czy może jednak powinna je wyolbrzymić? Mogła spodziewać się wtedy, że obcy zaczną bać się Sharony i nie będą już wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, co pozwoliłoby pobratymcom jej i Jathmara na przygotowanie się do obrony?

–Jathmar jest Kartografem – odezwała się wreszcie. - On... Widzi ukształtowanie terenu wokół siebie. Niezbyt daleko – dodała. – Najwyżej kilka mil w każdą stronę.

Gadrial otworzyła szeroko usta. Popatrzyła chwilę na mężczyznę, po czym zwróciła się na powrót do Shaylar.

–A ty? – spytała.

–Och, mój Talent nie jest tak mocny – odpowiedziała wymijająco Shaylar. – Potrafię wyczuwać Jathmara poprzez naszą Więź. To pomaga mi wyczuć, kiedy ma kłopoty,

co jest ważne, kiedy sporządza mapy. Pomagam mu też je rysować.

–Nie znaleźliśmy ani jednej – powiedziała Gadrial, patrząc na oboje uważnie. Shaylar spojrzała jej prosto w oczy i pokręciła głową.

–Oczywiście, że nie. Spaliłam je.

–Spaliłaś?

–A ty co byś zrobiła na moim miejscu? – ostro zapytała Shaylar. – Oddałabyś je napastnikom? Zupełnie nieznanym ludziom? Żołnierzom, którzy zabili twojego przyjaciela, a potem ścigali cię po lesie niczym królika? Mordercom, którzy na twoich oczach strzelali do twoich bliskich i do ciebie? Pozwoliłabyś takim ludziom poznać drogę do własnego świata?

–Nie – powiedziała po chwili Gadrial stłumionym głosem. – Nie zrobiłabym tego.

–Widzisz. Ja też tego nie chciałam.

Gadrial z wolna skinęła głową, ale w wyrazie jej twarzy pojawiło się kolejne podejrzenie. Otworzyła usta, by o coś jeszcze zapytać, ale zaraz je zamknęła. Shaylar spokojnie czekała nie odwracając wzroku, jakby nie miała przed obcą nic do ukrycia.

–Shaylar – powiedziała wreszcie Gadrial nieszczęśliwym głosem – wydaje nam się – Jasak tak myśli – że przekazaliście jakoś wiadomość do swoich, że ostrzeżliście ich przed nami. Czy był w waszym zespole ktoś, kto mógł to zrobić? Swoim umysłem? Dzięki Talentowi?

Dalsze wytrzymywanie jej spojrzenia okazało się męką. Shaylar jednak dała radę.

–Nie wiem, Gadrial.

–Nie wiesz? Czy nie chcesz mi powiedzieć?

–Czego ty ode mnie oczekujesz, Gadrial? – spytała Shaylar przez łyżę. – Jesteśmy waszymi więźniami.

–Nie jesteście naszymi więźniami – pokręciła głową Gadrial. – Jesteście jeńcami Sir Jasaka Olderhana.

–Masz chyba na myśli armię? – poprawił ją oschle Jathmar swym niezdarnym andarańskim.

–Nie. Nie mam. Sama tego do końca nie rozumiem. Nie jestem żołnierzem i nie jestem Andaranką. Andaranie to militarystyczne społeczeństwo i działają według

wielu skomplikowanych zasad, które są mi obce. Niektóre z nich dotyczą właśnie jeńców i odpowiedzialności wobec nich. Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej będziecie musieli spytać o to Jasaka.

–Oczywiście, że chcę wiedzieć więcej i wydaje mi się, że mamy do tego prawo, prawda? – zapytał zdecydowanie Jathmar głosem twardym jak stal.

Gadrial spojrzała mu w oczy i przygryzła wargę. Po chwili odetchnęła niespokojnie.

–Tak. Prawda. Zaczekajcie tu. Znajdę go i poproszę, żeby wam wszystko opowiedział. Żeby wytłumaczył to nam wszystkim. Sama czuję się w tych kwestiach zagubiona i nie wiem tyle, ile czuję, że powinnam.

–Dziękuję – powiedziała cicho Shaylar. Gadrial skinęła głową i wyszła z kajuty. Shurkhalianka zadrżała.

–Domyśla się, Jathmar – zmartwiła się w ojczystym języku.

–W końcu na pewno – zgodził się z ciężkim sercem. – Prawdopodobnie wcześniej niż byśmy chcieli. I to przeze mnie. Powinienem był się domyślić, że nic ci nie zagraża. Nie przy Gadrial.

–Przestań się obwiniać – dotknęła ręką policzka męża i uśmiechnęła się lekko.

–A kogo mam winić, kochanie? Ty przecież niczego złego nie zrobiłaś – wziął dłoń żony w swoją, ucałował jej palce i przytknął sobie do serca. – Wiem jak ciężko musiało ci być, kiedy jej kłamałaś. Wydaje mi się, że ja nie dałbym sobie z tym rady. Udało ci się ją prawie przekonać, że nie wiesz czy wysłaliśmy wiadomość.

–Prawie – mruknęła Shaylar – a Jasaka Olderhana tak łatwo w pole nie wywiodę.

–Nie. To prawda. A jednak uważam, że miałaś rację. Czego oni się po nas spodziewają? Nie wydaje mi się, że gdyby role się odwróciły to z chęcią wyjawialiby informacje mogące zagrozić całej cywilizacji.

–Raczej nie – zgodziła się gorzko Shaylar. – Ciekawe jak wiele informacji nasi zdołali wyciągnąć od ich więźniów? – zadrżała. – Nie wiem, czy chciałabym dowiedzieć się jak nasze wojsko traktuje ich żołnierzy. My mieliśmy wielkie szczęście...

Objął ją mocno ramieniem. Nie musiał niczego mówić. Sama wyczuwała jego strach. Lęk przed tym, ku czemu zmierzali. Gdy Jasak przyjdzie z wyjaśnieniami, Shaylar będzie wiedzieć czy nie kłamie, o ile tylko uda się jej dotknąć oficera. Jednak z pewnością będzie bardzo podejrzliwy. Dowiedzieli się już o niej przecież zbyt wiele. Do tego momentu obcy patrzyli na jej nawyk dotykania ludzi, jak na zwykły przejaw sposobu bycia. Jathmara rozmyślnie dotykała w trakcie rozmów równie często, ale

teraz...

Być może nigdy już nie pozwolą się jej dotknąć. Dobrze rozumiała, że była to bardzo prawdopodobna ewentualność. Zdała sobie również sprawę, że skoro raz okłamała obcych, za żadną cenę nie może dać się im przyłapać na tym kłamstwie później. Gdyby poznali prawdę z pewnością nie traktowaliby ich już tak dobrze. Mogliby stać się nieprzyjemni.

Zastanawiała się nad tym wszystkim, ale zanim udało się jej zapytać Jathmara o zdanie było już za późno. Otworzyły się drzwi i stanął w nich Jasak Olderhan. Oficer rzucił im ponure, srogie spojrzenie.

ROZDZIAŁ

DZIESIĄTY

„On wie” – zdała sobie sprawę Shaylar czując mrożące ukłucie przerażenia. – „On już wie...”

Jej strach wzbudził gniew pełgający w oczach Jasaka, to jednak, co czało się w tym wzroku oprócz gniewu sprawiło, że Jathmar poderwał się z miejsca i stanął między żoną i oficerem, za jedyną broń mając swoją odwagę.

–Jeśli ją skrzywdzisz – powiedział cicho, lecz z naciskiem podkreślając każde słowo.
– Zabiję cię.

Jasak Olderhan spojrział na mężczyznę z morderczym ogniem. Potem jednak nabrał głęboko powietrza i powoli je wypuścił. Pałająca w jego oczach groźba zgasła. Nadal był zły, bardzo zły swą zimną, kontrolowaną wściekłością – nie groził już jednak jeńcowi śmiercią. Jathmar ani drgnął.

–Gadrial – odezwał się ponuro Jasak – zostań proszę w korytarzu. Nie chcę, żebyś przebywała w tej kajucie.

Shaylar miała ochotę zapewnić Jasaka, że Gadrial nic przy nich nie grozi, lecz to co wyczuła w swoim mężu sprawiło, że nie odezwała się słowem. Jathmar zrobiłby wszystko, by ją ochronić i mógłby posłużyć się nawet Gadrial – najbliższą im istotą w całym tym wszechświecie. Poczwała nagły ucisk w gardle. To było jakieś szaleństwo.

Olderhan wszedł wreszcie do środka i starannie zamknął za sobą drzwi. Nie użył jednak zamka – na statku znajdującym się na środku oceanu nie było takiej potrzeby. Oparł się o nie plecami i popatrzył na więźniów przez kilka chwil. Znów głęboko odetchnął.

–Gadrial powiedziała mi, że chcecie wiedzieć jak wygląda wasza sytuacja? Chcecie wiedzieć, co oznacza, że jesteście moimi jeńcami?

–Tak.

–A ja natomiast chciałbym wiedzieć w jaki sposób udało się wam powiadomić waszych żołnierzy.

W kajucie zapadła lodowata cisza. Zrobiło się mroźno mimo wpadających przez iluminator ciepłych promieni słońca.

–Czy wy zdajecie sobie sprawę – zapytał cicho Jasak – co wasza armia zrobiła z

moimi ludźmi?

–Z tego co rozumiem, to dokładnie to samo, co twoi ludzie zrobili z naszym zespołem – odparł oschle Jathmar.

Oczy setnika znów zabłysły tym samym morderczym ogniem, co przed chwilą. Nozdrza zadrgały mu niebezpiecznie.

–No dobrze. Wydaje mi się, że można w tym dostrzec jakąś sprawiedliwość – rozluźnił zaciśnięte pięści, po czym potarł oczy ruchem wyrażającym naraz zmęczenie, frustrację i nieznośne napięcie.

–Pamiętacie może Hadrigna Thalmayra? – zapytał po chwili zniechęca.

–Tego oficera, który cię zastąpił? Tego, który chciał skrzywdzić Shaylar i mnie?

–Tak – odpowiedział Jasak głosem suchym jak letnie wiatry w Shurkhal. – On był bardzo... – urwał, szukając słowa, które mógłby już znać wciąż uczący się andarańskiego Jathmar. – On myślał bardzo wąsko. Staralem się go przekonać, żeby wycofał się spod portalu przynajmniej na jakiś czas. Popelniliśmy już jeden błąd i nie chciałem dopuścić do kolejnej pomyłki, która sprowadziłaby na nas jeszcze więcej śmierci. Nie posłuchał mnie. Nie posłuchał mnie też pięćsetnik Klian w Forcie Rycharn. Nie spodziewali się, że wasi żołnierze znajdą się tak szybko, w tak niewielkiej odległości od naszego portalu. Nie wydawało im się też możliwe, że wysłaliście swoim wiadomość o bitwie. Mylili się jednak w obu tych sprawach, prawda?

–Czyżby? – odparował Jathmar.

–Ty mi na to odpowiedz – powiedział spokojnie Jasak. – Ale zastanów się zanim to zrobisz. Ja potrafię kojarzyć pewne sprawy. A nad tą układanką głowię się już od jakiegoś czasu. Jesteście w naszych rękach ledwie niecałe dwa tygodnie, a już niemal płynnie mówicie po andarańsku. Jak to możliwe? Nikt nie potrafi nauczyć się obcego języka w tym tempie. Przynajmniej nie w Arkanie.

–Poza tym – ciągnął oficer – jest jeszcze ta zdumiewająca umiejętność twojej żony. Ona prawie zawsze zna uczucia innych osób. Jest aż za bardzo wrażliwa. A przy każdej rozmowie dotyka ludzi. Zawsze jest taka zatroskana? Zawsze pełna wyrozumiałości? Jathmar, przecież ja widzę, że ona rozumie za dużo. To zupełnie tak, jakby swoim dotykiem odczytywała to, co myślą i czują inni.

Spojrzał nad ramieniem Jathmara prosto w oczy Shaylar. Kobieta spięła się w sobie. Zmusiła się jednak by wytrzymać i to spojrzenie – drugie ciężkie do zniesienia spojrzenie, od chwili wcześniejszej rozmowy z Gadrial. Tym razem było jednak trudniej – o wiele trudniej. Niełatwe było choćby tylko patrzenie oficerowi w oczy. O

kłamaniu nie chciała nawet myśleć. Gdy stalowe i zimne spojrzenie Jasaka powróciło do Jathmara poczuła ulgę tak nagłą i wielką, że się prawie zachwiała. Zupełnie tak, jakby ktoś odsunął od jej twarzy płonąca pochodnię.

–Jest jeszcze sprawa smoka – dodał po chwili Olderhan.

–Smoka? – powtórzył szczerze zaskoczony Jathmar.

–A tak. Ty byłeś wtedy nieprzytomny. Ale Shaylar na pewno wszystko świetnie pamięta, prawda? – spojrzał na nią przelotnie i znów poczuła jakby przeszył ją lanca. – Musieliśmy przetransportować was drogą powietrzną – wyjaśnił Jathmarowi Jasak. – Inaczej nie udałoby się uratować ci życia. Kiedy przyleciał smok, ciebie wsadziliśmy na jego grzbiet bez żadnych problemów. Gdy jednak chcieliśmy wprowadzić na niego Shaylar, zwierzę nagle oszalało z wściekłości. Wydawało się, że drażni go nawet jej widok. Chciałbym się teraz dowiedzieć dlaczego. Co takiego wyczuł w niej smok? Czy zobaczył coś, czego my nie potrafiliśmy?

– Jeszcze bardziej dziwne było to, że gniew smoka w jakiś sposób ranił twoją żonę. Nie tylko przerażał. Ranił. Chwycała się za głowę i krzyczała. Nie raz. Nie tylko wtedy, gdy chcieliśmy ją umieścić razem z innymi rannymi. To samo miało powtórnie miejsce już w powietrzu. Zwierzę chciało nas zrzucić, próbował dosięgnąć jej zębami. Ona tego jednak nawet nie widziała – znów skryła twarz w dłoniach i wrzeszczała z bólu. Gadrial musiała ją uspić swoimi zaklęciami. Tylko po to, żeby jakoś złagodzić ból. I po to też, żeby – jak to Shaylar powiedziała? – „zabrać smoka z jej głowy”?

Tym razem Shaylar skrzywiła się wyraźnie. Nie mogła na to nic poradzić. Wspomnienie tamtej okropnej nocy było zbyt chaotyczne, zbyt zamazane, by mogła ją sobie dokładnie przypomnieć, nawet mimo swej doskonałej pamięci telepaty. Pamiętała jednak chwilę, o której mówił Jasak. Pamiętała, jak błagała Gadrial. Aż do tej pory nie miała jednak pojęcia, że obca kobieta mogła ją zrozumieć. Zrozumiała co to oznaczało i poczuła przez małżeńską więź, że Jathmar także zdał sobie z tego sprawę.

–Zechciałbyś mi to wszystko wytłumaczyć, Jathmar? – zapytał Olderhan. – Gdyby nie to, że tego rodzaju rzeczy są niemożliwe, powiedziałbym, że twoja żona potrafi robić coś swoim umysłem – coś co rozwścieczyło smoka, którego wściekłość w jakiś sposób wpłynęła do jej głowy. No, ale to przecież fantazja. Absurd. Chyba, że to jednak nie jest niemożliwe, mam rację? Macie przecież te swoje Talenty – ostatnim słowem strzyknął jak kroplą jadu. – Dokonujecie siłą własnych myśli tak wielu różnych rzeczy. W co wy próbujecie z nami grać?

„On się boi” – zrozumiała nagle Shaylar. – „Śmiertelnie się boi, bo niczego nie rozumie.” Sama doskonale wiedziała, jakie to uczucie. Dopiero co sama przez to przeszła, gdy Gadrial opowiadała jej o magii. Strach oficera był jednak o wiele

głębszy niż jej. Nie był to zwyczajny lęk przed nieznanym.

„Boi się, że możemy wprowadzać do ich umysłów nasze myśli, że jesteśmy ich w stanie dzięki temu kontrolować. Przecież nigdy dotąd nie miał żadnych doświadczeń z telepatią. Jest przy tym odpowiedzialny. Jeśli się boi, to nie tylko o siebie. Olderhan jest oficerem i jako taki czuje na sobie obowiązek dbania o życie i zdrowie innych ludzi. Chce mieć pewność, że nikogo nie skrzywdzimy.”

–To nie działa tak, jak myślisz, Jasak – usłyszała własne słowa.

–Shaylar! – Jathmar obrócił się na pięcie i spojrzał na nią pełnymi niezgody oczyma. Kobieta jednak pokręciła tylko głową.

–Nie Jathmar. Muszę mu to powiedzieć. Zaufaj mi, proszę – specjalnie mówiła po andarańsku. Jej mąż patrzył pytająco w jej twarz jednocześnie badając jej emocje poprzez Więż. Przygryzł wargę. Bał się o żonę, a jednak po chwili skinął głową i odwrócił się do Jasaka.

–Powtórzę jeszcze raz Jasaku Olderhanie. Jeśli ją skrzywdzisz, zabiję cię.

Zmagali się spojrzeniami przez kilka długich, niebezpiecznych sekund. Wreszcie Jasak głęboko westchnął.

–Jak na ludzi z Talentami potraficie czasem być zdumiewająco mało spostrzegawczy. Ja nie walczę z kobietami. Przynajmniej nie wtedy, gdy mam szansę wiedzieć, że właśnie mam jakąś po drugiej stronie kuszy. Nie krzywdzę ich. Kiedy znalazłem Shaylar leżącą wśród tamtych drzew...

W jego oczach poza gniewem pojawiło się wyraźne cierpienie. Zauważyła je nie tylko Shaylar. Jej mąż także się rozluźnił. Panujące w kajucie napięcie zelżało. Nie ustąpiło zupełnie, ale wystarczająco, by zrozumieli, że nikomu nie grozi już śmierć. Jathmar nadal nie dopuściłby jej do Jasaka nawet na krok bliżej. Nie pozwoliłby nawet stanąć jej obok siebie. Shaylar rozumiała to, choć bardzo chciała jego ciepła. Chciała znaleźć się w ramionach męża. Miała już dość samotnego krycia się za jego plecami. Wiedziała też jednak, że nie ma najmniejszego sensu w dalszym zaognianiu sytuacji.

Wyciągnęła więc tylko rękę, szukając dotyku nawet tak przelotnego jak muśnięcie dłoni. Jathmar sięgnął do tyłu i uścisnął ją lekko.

–Jasak, otwórz drzwi, proszę – odezwała się. – Wiem, że się boisz. Martwi cię, że Jathmar mógłby ze strachu użyć Gadrial jako zakładnika. Ale ona też musi usłyszeć, to co teraz powiem.

Olderhan spojrzał jej badawczo w oczy. Próbował dociec, co mogło się za nimi kryć. Wyraźnie czuła jego wysiłek na powierzchni swego umysłu i zastanowiła się, czy

oficer sam nie nosił w sobie załączka Talentu. Nawet jeśli tak było, to nie potrafił go wykorzystać, więc próba wtargnięcia do jej wnętrza spełzała na niczym. Została mu tylko irytacja i brak odpowiedzi. W końcu odwrócił się i otworzył drzwi.

Gadrial spojrzała na nich wielkimi, szeroko otwartymi z niepokoju oczami. Ruszyła naprzód, lecz Jasak uniósł dłoń.

–Nie wchodź tu – ostrzegł. – Jeszcze nie teraz. Ale Shaylar chciała, żebyś i ty mogła posłuchać. To powinno być ciekawe.

Spojrzał na Shurkhaliankę zimnym, stalowym wzrokiem i czekał.

–Jestem Utalentowana – zaczęła bardzo powoli i spokojnie Shaylar. – Talenty przypominają troszeczkę wasze Dary. Niektórzy się z nimi rodzą. My ich jednak nie używamy do kontrolowania jakiegoś zewnętrznego pola energetycznego. Talenty pozwalają nam robić różne rzeczy przy pomocy naszych umysłów. Ludzi z takim Talentem jak mój nazywamy „Głosami”. Potrafię porozumieć się swoim umysłem z innym Utalentowanym Głosem. Z nikim innym nie mogę tego zrobić. Nawet z Jathmarem.

Jasak stał sztywno w otwartych drzwiach. Widać było, że nie wierzy. Shaylar jednak nie przerywała. Nie miała innego wyjścia. Puściła dłoń Jathmara i musnęła palcami jego skroń, po czym przyłożyła rękę do własnego czoła.

–Jathmara i mnie łączy szczególnego rodzaju więź. Tak się dzieje, kiedy pobierają się Utalentowani. Ich bliskość i stopień współodczuwania jest o wiele większy niż w przypadku innych małżeństw. On wyczuwa moje nastroje, ja odbieram jego. Czuję też jego umysł. Nie słyszę go wyraźnie – lecz czuję. To trochę tak, jakbym dotykała czegoś konkretnego. On czuje także i mój. Nawet na odległość kilku mil. Udaje nam się często odgadnąć myśli drugiego, ponieważ bardzo dobrze się znamy, ale bezpośredniego dostępu do umysłu Jathmara nie mam.

–Nie potrafię też odczytywać twoich myśli, ani myśli Gadrial – ciągnęła. – Nie słyszę ich i nie potrafię cię też nakłonić, byś pomyślał to, czego ja zażądam. Zauważyłeś już, że mam zwyczaj częstego dotykania ludzi – zaskoczyła oficera smutnym uśmiechem. – Spodziewałam się, że w końcu któreś z was zwróci na to uwagę, ale nie pomyślałam, że właśnie ty okażesz się tym pierwszym. Przecież to Gadrial spędza ze mną więcej czasu. Ale widocznie jesteś bardziej podejrzliwy. Nic zresztą dziwnego – jesteś żołnierzem i to część twojej pracy.

Olderhan obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, ale potem, ku jej ogromnej uldze, rozluźnił się nieznacznie.

–Tak. Na tym polega moja praca – odparł szorstko, zaczerpnął głęboko powietrza i zmusił się, by odezwać się łagodniej.

–Dobrze – powiedział. – Spróbuję cię wysłuchać z większą ufnością. Muszę to wszystko zrozumieć z wielu istotnych powodów. A słuchając, będę cały czas pamiętać, że pomimo tego, co wasi żołnierze zrobili z moimi i pomimo zagrożenia jakie dla nas stanowią, to ani ty, ani Jathmar nie otworzyliście do nas ognia, zanim my tego nie zrobiliśmy.

–Owszem – odezwał się Jathmar przez zęby. – To nie my strzeliliśmy pierwsi. Byli wśród nas doświadczeni traperzy, którzy zauważyli spanikowane zwierzęta uciekające we wszystkie strony przed ludźmi, którzy chcieli nas otoczyć. Zrozumieliśmy też od razu, że macie nad nami liczebną przewagę. Dlatego wyszukaliśmy sobie tę kryjówkę na polanie. Kiedy was wreszcie ujrzeliśmy, nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że jesteście żołnierzami. Nas było tylko dwudziestu cywilów. Strzelanie byłoby czystym szaleństwem. No, ale rozsądek nam jednak nie pomógł, bo wy musieliście sobie postrzelać. Być może Gadrial mówi prawdę i nie wydałeś rozkazu, ale tak czy inaczej, to ty tam dowodziłeś. Ty ruszyłeś za nami w pościg i cała reszta była już nieunikniona.

Jathmar mówił jeszcze staranniej niż zwykle. Kilka razy urywał, by dobrać odpowiednie słowa. Nie udało mu się jednak ukryć wzburzenia. Jasak popatrzył na niego przez kilka długich, nabrzmiałych milczeniem chwil.

–Pozwól, że teraz opowiem, jak tamte wydarzenia wyglądały z mojego punktu widzenia – powiedział w końcu setnik. – Miałem do czynienia z ludźmi dysponującymi najstraszliwszą bronią, jaką w życiu widziałem. Być może tylko specjaliści z Akademii widzieli coś bardziej przerażającego. Przez długi czas nie wiedzieliśmy nawet, na jakiej zasadzie działa, a robi to niezwykle skutecznie. Kiedy doszliśmy do waszego obozu śladami człowieka, który zabił jednego z moich, zobaczyliśmy, że zbudowaliście taką palisadę, jaką w naszym świecie zazwyczaj stawiamy my – żołnierze. W niczym nie przypominało to naszych cywilnych obozów. Miejsce wybrane było strategicznie, zapewniało dobre pole ostrzału, kontrolę nad okolicą. Dla mnie była to po prostu jakaś obca instalacja wojskowa. Jednego poległego już miałem. Nie miałem natomiast pojęcia, kim jesteście, skąd przybyliście, ani kto strzelił pierwszy. Bałem się też innych rodzajów waszej broni i także tego, że w pobliżu mogą znajdować się wasze kolejne oddziały. Pamiętaj, że obóz rozbiliście w najlepszym miejscu po tamtej stronie portalu! Owszem, okazaliście się w końcu cywilami, ale skąd mogłem o tym wiedzieć wcześniej? Nic na wasz temat nie było pewne poza tym jednym, że zabiliście już jednego z nas. Każdy żołnierz Arkany ma ścisłe rozkazy co do nawiązywania kontaktu z obcymi, ludzkimi cywilizacjami. Obowiązkiem jest przeprowadzić pierwsze spotkanie – w miarę możliwości – w sposób pokojowy. Tyle, że wtedy krew już została przelana i to przez człowieka, który wydawał się należeć do obcej armii. Na mocy tych samych rozkazów musiałem więc opanować sytuację. Biorąc to wszystko pod uwagę Jathmar, nie sądzę, że ty zachowałbyś się inaczej, aż do momentu pierwszego naszego strzału.

Tym razem to setnik spojrział wyzywająco na Jathmara. Jathmar nie odebrał jednak tego spojrzenia jako aktu wrogości, lecz jako prośbę o zrozumienie. Poczł jak opuszczają go nerwy.

Nie chciał sobie na to pozwolić. Dotarło do niego nagle, że bardzo pragnął swojego gniewu. Nie miał najmniejszej ochoty pójść choćby krok dalej drogą wiodącą ku zrozumieniu postawy Jasaka, ku przemyśleniu jego decyzji i wszystkich wydarzeń z punktu widzenia arkaniańskiego dowódcy. Gdyby to wszystko zrozumiał nie potrafiłby go już dłużej nienawidzić.

Dobrze też jednak wiedział, że nie może tak kurczowo trzymać się swej wściekłości na obcych. Wzruszył więc ramionami.

–Nie wiem – odparł zwięźle. – Nie jestem żołnierzem. Chciałbym chyba myśleć, że nie ścigałbym grupki cywilów, ale z drugiej strony nie wiem co by było, gdybym uznał, że idę śladem żołnierzy. Po prostu nie wiem.

–Doceniam twoją uczciwość – powiedział Jasak. – Jest jeszcze coś. Coś, co zrozumiałem, jeszcze zanim rozpętało się to piekło. Wy także chcieliście opanować sytuację. Nie chcieliście rozlewu krwi ani trochę bardziej ode mnie. Tego akurat byłem pewien.

–Skąd to wiedziałeś? – spytała zupełnie zaskoczona Shaylar.

–Nie zaczęliście strzelać bez ostrzeżenia. Uciekliście między te pnie a przecież, gdybyście dążyli do walki, moglibyście okopać się za tą swoją palisadą, albo spróbować zasadzki, kiedy szliśmy śladami waszego towarzysza do obozu. Nie zrobiliście nic podobnego. Ruszyliście od razu, najszybciej jak tylko byliście w stanie, ku portalowi. Chcieliście od nas odskoczyć. Oczywiście mogły stać za tym bardzo różne powody – w tym i czysto wojskowe, ale kiedy moi żołnierze weszli na polanę nie otworzyliście ognia. Mieliście wtedy przewagę i byliście w stanie powalić wielu naszych, zanim udałoby nam się jakkolwiek odpowiedzieć. Tak się nie stało. Nie strzelaliście dopóki jeden z moich żołnierzy nie zabił jednego z was. Człowieka, który wstał żeby porozmawiać.

Pokręcił powoli głową. Patrzył na jeńców bardzo ponuro.

–Nie jestem gotów, by powtórnie teraz analizować wszystkie własne decyzje z tamtego dnia. Nigdy też nie będziemy mieć pewności, co stało się, kiedy ten wasz człowiek – Falsan – spotkał w lesie Osmunę. Koniec końców, to jednak my strzeliliśmy pierwsi i nie ma tu znaczenia, czy ja wydałem taki rozkaz, czy nie. Takie są fakty. To chyba znaczy, że powinienem was w tej chwili przynajmniej wysłuchać bez żadnych uprzedzeń. Zaslługujecie na to.

Shaylar chciała coś powiedzieć, lecz oficer uniósł dłoń. Zamknęła usta i Jasak

uśmiechnął się niewesoło.

–Nie zrozumcie mnie źle. Nadal jestem żołnierzem i moim obowiązkiem jest strzec moich ludzi. Po tym, co wydarzyło się przy naszym portalu – po tym co wasze wojsko zrobiło naszym, obawiam się, że czeka nas paskudna, brutalna wojna – setnik mówił szczerze i bez ogródek. – Nawet gdyby cała nasza czwórka wymyśliła jakiś sposób, żeby ją powstrzymać i tak pewnie będzie już za późno. Dowódcy po obu stronach z pewnością już zaczęli reagować na to, co przeczytali w raportach i bogowie tylko wiedzą, jak gwałtowne będą to reakcje. A kiedy zabiorą się za tę sprawę politycy nadziei nie będzie raczej żadnej.

–Wszystko, co możemy zrobić w tej chwili – ciągnął Jasak – sprowadza się do jednego. Shaylar – spróbuj mnie przekonać, że Talenty waszych umysłów nie są super bronią. Że nie potraficie w dowolnym momencie zniszczyć Arkany swymi myślami. Wierzcie mi lub nie, ale jestem najbardziej obiektywnym sędzią jakiego tu spotkacie. Jeśli nie uda się wam przekonać mnie, to Naczelnego Dowództwa Andary także nie przekonacie. Ani Dowództwa, ani żadnego z polityków, którzy kierują Unią Arkany.

–Ja to doskonale rozumiem – szepnęła. – Rozumiem i to mnie właśnie przeraża najbardziej.

–Nic dziwnego.

Zadrżała słysząc jego niewesołe słowa. Bała się nie tylko o siebie. Bała się o los całej Sharony, o każdego Utalentowanego we wszystkich wszechświatach. Jasak nie skończył.

–Zanim powiesz cokolwiek więcej i zanim zdecyduję, czy powinienem ci wierzyć czy nie, chcę się dowiedzieć jednego – po co dotykasz ludzi, jeśli nie po to, żeby odczytywać ich myśli?

Głos oficera nadal brzmiał podejrzliwie, choć już nie dźwięczał tak silnym niedowierzaniem jak wcześniej. Kobieta spojrzała mu bez wahania w oczy.

–Większość ludzi, nawet tych nieutalentowanych potrafi powiedzieć bardzo wiele o uczuciach innych, prawda? Jeśli spojrzysz teraz na Jathmara to widzisz, co on czuje. Możesz to stwierdzić po wyrazie jego twarzy, po spojrzeniu, sposobie mówienia czy poruszaniu się. W ten sposób można dowiedzieć się o każdym bardzo dużo, prawda?

Jasak skinął głową, choć widać było, że nie rozumie, do czego zmierza Shaylar.

–Więc ja to też wszystko widzę. Ale dodatkowo, kiedy kogoś dotykam to wyczuwam jego emocje. Nie słyszę w ten sposób myśli, odbieram tylko uczucia. Jeśli ktoś, kogo dotknę jest przerażony to i mnie zdejmuję strach, jeśli jest wściekły to czuję jakby

mnie ktoś zdzielił pięścią. Jeśli ktoś jest w żałobie to mam ochotę się rozplakać.

Spojrzała na Gadrial, która cały czas stała za Jasakiem w korytarzu.

–Tamtego dnia, gdy wchodziliśmy na statek, Jathmar i ja zdawaliśmy sobie sprawę, że stało się coś straszego. To było takie oczywiste, ponieważ Gadrial płakała. Jej stres i szok widać było w oczach, na całej twarzy, w postawie. Każdy by się tego domyślił. Ale – Shaylar spojrzała znów na Jasaka – kiedy wziąłeś mnie za rękę na trapie...

Shaylar zamknęła odruchowo oczy i zadrżała.

–Prawie się wtedy przewróciłam. Poczułam od ciebie tak bardzo przejmujący żal. Teraz już wiem, że cierpiełeś z powodu śmierci swoich żołnierzy. Wtedy jednak niczego podobnego się nie spodziewałam i nie zdążyłam zablokować tych uczuć. Dostałam jak obuchem w głowę, naprawdę bym upadła, gdybyś mnie nie podtrzymał. A potem jeszcze dotknęła mnie Gadrial i jej uczucia były jeszcze bardziej bolesne. Poczułam...

Shaylar przywołała w pamięci tamte emocje chcąc nazwać je jak najdokładniej.

–Czułam poczucie przerażającej straty. Osobistej, bardziej bolesnej niż dla ciebie strata żołnierzy, Jasak. To przypominało raczej śmierć członka rodziny. Jakbyś... straciła ojca? – dokończyła niepewnie i spojrzała na Gadrial.

–Tak – Gadrial prawie zaszlochała. – Dokładnie tak się czuję. Halathyn był dla mnie jak ojciec.

–Przykro mi, że zginął – powiedziała cicho Shaylar. – Dotknęłam go wtedy, pierwszego dnia – zamrugnęła żeby strząsnąć łzy. – Zaufałam mu w jednej chwili. Był bardzo łagodnym człowiekiem. Miałam wrażenie, że otaczał miłością wszystko dokoła, cały świat.

–Tak właśnie było – Gadrial otarła oczy. – Kochał wszystko, a ja nadal nie mogę uwierzyć, że już go przy mnie nie ma i że zginął tak strasznie i tak bardzo głupio.

–Oni wszyscy zginęli w straszny sposób – Shaylar odezwała się nagle o wiele ostrzej – i każda z tych śmierci była głupia. Wszystkich można było uniknąć. Żal mi ciebie i Halathyna, Gadrial – ale komu jest żal nas? Kto żałuje Ghartouna, który wstał bez broni, żeby z wami porozmawiać? Kto oplakuje Barrisa Kasella, który uratował moje zdrowie psychiczne, po tym jak Falsan wydał ostatnie tchnienie na moich rękach? Wśród nas byli też chłopcy! Młodzi ludzie, tuż po szkole. Zajmowali się naszymi zwierzętami i bagażami. Chłopcy, którzy mieli swoje marzenia i jeszcze wiele lat życia przed sobą. I oni też zginęli tak strasznie i głupio. Zupełnie bez powodu.

Gadrial przygryzła wargę. Shaylar spojrzała Jasakowi Olderhanowi prosto w oczy.

–Pierwszego dnia, tego ohydneho, pierwszego dnia... – nie próbowała nawet ukryć swoich łez – nie wiesz nawet, jak bardzo się bałam. Jak straszny szok przeżyłam, nawet jeszcze zanim spaliliście poległych. Byłam ciężko ranna – wiecie to zresztą od swoich Uzdrowicieli. Życie mojego męża wisiało na włosku, był poparzony tak strasznie, że ledwie mogłam na te jego rany patrzeć, a wy na dodatek jeszcze skremowaliście resztę.

Zadrżała. Jej umysł rozpaczliwie starał się wyrzucić z siebie to wspomnienie, ale siłą woli nakazała sobie pamiętać.

–Kiedy ich podpaliliście zaczęłam upadać. Chwyciłeś mnie wtedy – zupełnie tak samo jak później na trapie. Pamiętasz tę chwilę, Jasak?

Oficer skinął powoli głową.

–Gdy mnie wtedy dotknąłeś – umilkła, przełknęła mocno ślinę i owinęła się ramionami. – Mój Talent był wtedy poważnie uszkodzony wskutek uderzenia, niemniej czułam, że żałujesz. Poczułam twoje przerażenie, twój szok. Zaskoczyło mnie to kompletnie. Nie spodziewałam się czegoś podobnego, lecz byłam zbyt oszołomiona i zbyt chora by zrozumieć cię w pełni. To, co poczułam wystarczyło jednak, żebym dowiedziała się, iż chciałeś w ten sposób złożyć hołd naszym umarłym.

Patrzyła na Olderhana i widziała w jego oczach wspomnienia z tamtego straszliwego dnia.

–Czułam też coś jeszcze – ciągnęła Shaylar – coś, co zrozumiałam dopiero dzisiaj, kiedy Gadrial powiedziała mi, że nie rozkazałeś strzelać do Ghartouna. Z początku nie chciałam w to uwierzyć, ale jako Głos mam doskonałą pamięć, Jasak. Zamykam oczy i słyszę twój krzyk. Słyszę jak zabraniasz mu strzelać. Teraz – kiedy już wiem, że moi przyjaciele zginęli absolutnie bez żadnego powodu poza błędem jakiegoś głupca, to wszystko boli mnie jeszcze bardziej. Ale z drugiej strony otrzymałam dziś potwierdzenie tego, co poczułam wtedy – na polanie.

Oficer patrzył na nią spod przymkniętych powiek, nadal podejrzliwie.

–Bogowie, Jasak! Myślisz, że byłam ci w stanie wtedy zaufać? Pozwolić się dotykać? Że mogłam powstrzymać się od drżenia za każdym razem, gdy na mnie patrzyłeś? Mówisz o tym, jak przerażająca wydawała się wam nasza broń – pomyśl tylko czym wasze działa wydawały się nam! Wymordowaliście moich najlepszych przyjaciół! Spaliłeś ich żywcem, cholera! Bogowie! Podobnego barbarzyństwa nie widziałam nigdy w życiu! Utrzymujecie, że jesteście cywilizowani, a z drugiej strony konstruujecie broń, która pali ludzi żywym ogniem!

–Nie masz pojęcia, co mi wtedy zrobiłeś – ciągnęła wzburzona. – Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mi nadal robisz. Nie wiesz co się ze mną dzieje każdego dnia, który spędzam uwięziona w tej kajucie ze strażnikiem, który przygląda mi się podejrzliwie, kiedy choćby wyjrzę przez okno! Nie mogę już spacerować w świetle księżyca! W ogóle nie wolno mi spacerować! Nie mogę się nawet wykąpać! Za każdym razem kiedy chcę się załatwić, muszę prosić Gadrial, by uprzedziła tego mięśniaka za drzwiami, żeby mnie nie zastrzelił przy „próbie ucieczki”!

Patrzyła na Olderhana z wściekłością w oczach, pierś unosiła się jej gwałtownie. Ledwie tylko powstrzymywała swe emocje na wodzy. Miała ochotę krzyczeć, rzucić się na niego z pięściami, sprawić, żeby popamiętał, żeby wreszcie dotarło do niego, co im uczynił. Zapamiętana w swym gniewie i bólu nie zwracała uwagi na to, że gdzieś z tyłu głowy była pewna, iż on to wszystko wie. Że żołnierz ją rozumie i żałuje z całego serca, że gdyby tylko potrafił, to odwróciłby bieg wydarzeń, choć nadal bez zmrużenia oka będzie robić to, czego wymagało od niego poczucie obowiązku. Wiedziała też, że jeżeli nie uda się jej go przekonać, że Talenty nie stanowią śmiertelnego zagrożenia dla całego jego narodu, to oficer ze wszystkich sił postara się wyeliminować niebezpieczeństwo.

–Twoje uczucia – odezwała się znowu – poznałam dzięki swemu Talentowi. Temu samemu Talentowi, którego tak bardzo się obawiasz. Chciałam cię wtedy nienawidzić. Bogowie! Chciałam cię zabić! Byłam tak mocno wstrząśnięta, a ciągle przerażało mnie coś nowego. I wszystko przez ciebie. Nie chciałam, żebyś mnie dotykał, ani wtedy, ani nigdy. Ale zrobiłeś to. A przez to, że mnie dotknąłeś i dzięki temu, że jestem Utalentowana zrozumiałam, że nie chciałeś tej tragedii, że bardzo tego żałujesz i poczułam, że chcesz mnie ochronić przed kolejnymi krzywdami. A kiedy to się stało nie byłam już w stanie ciebie nienawidzić. Nie potrafiłam. Jestem przecież Głosem – urodziłam się po to, żeby rozumieć ludzi. Nie mogę przestać ich rozumieć. Nawet wtedy – załkała w gniewie – kiedy wcale sobie tego nie życzę.

–Chciałam cię nienawidzić – ciągnęła – ale mój Talent mi na to nie pozwolił. Nie jestem bronią. Jestem Głosem. Mostem pomiędzy ludźmi. Żywym narzędziem, dzięki któremu ludzie się porozumiewają. Mam tę zdolność we krwi, w kościach, nawet w skórze. Gdybyś, Jasaku Olderhanie, choć na chwilę przestał trzymać się tak kurczowo swoich podejrzeń i nieufności, zobaczyłbyś prawdę.

Odetchnęła głęboko, otarła łzy wściekłości z twarzy i pokręciła głową.

–Nie potrafię ci udowodnić, że mój Talent nie stanowi dla was zagrożenia – powiedziała cicho i delikatnie. – Ale przecież gdybym mogła wyrządzić komuś jakąkolwiek krzywdę, to już chyba bym to zrobiła, prawda? A tymczasem nauczyłam się dzięki niemu waszego języka. Bądź pewny, że gdybym mogła wykorzystać swoje zdolności, by pomścić wszystkie cierpienia, strach, poniżenia i całą bezradność w jakie nas wpędziliście, to nie zawahałabym się – popatrzyła mu wyzywająco w oczy. –

Zasługiwaliście na to i nie wątpię, że spodziewałeś się czegoś podobnego. Ale nie mogę. Nie jesteś Głosem. Nie ma w tobie nawet cienia moich zdolności. Pozostają mi jedynie słowa. Tylko nimi mogę cię skrzywdzić albo przekonać.

Olderhan patrzył na nią bez słowa, po czym przeniósł spojrzenie na Jathmara. Shaylar poczuła – silniejszą niż kiedykolwiek przedtem – ochotę i potrzebę dotknięcia obcego żołnierza. Tak bardzo chciała, dowiedzieć się, jakie emocje płynęły za tym jego kamiennym, wypranym z uczuć obliczem. Nie mogła jednak. Stała więc tylko i czekała na jego reakcję.

*** * ***

Jasak przyglądał się drobnej, stojącej przed nim kobiecie. Patrzył w twarz jej męża i widział w niej jak bardzo Jathmar boi się o swoją Shaylar, wiedząc jednocześnie, że nie będzie w stanie zrobić niczego, by powstrzymać Jasaka przed zrobieniem tego, co zamierzał.

W tym właśnie tkwiło sedno problemu. Jasak musiał zdecydować, co należy zrobić. Shaylar miała rację. Nie miał Talentu, nie dysponował żadnym sposobem, by sprawdzić jak wiele prawdy kryło się w jej słowach. Nie potrafił też odczytać jej emocji. Musiał dokonać wyboru jedynie w oparciu o jej słowa.

Pomimo tego, co właśnie usłyszał istniała przecież zupełnie realna możliwość, że Shaylar wpływała na jego ocenę sytuacji, na jego postanowienia i na wszystkie pozostałe myśli. Zaangażowanie, z jakim przed chwilą mówiła nie zmieniało wcale faktu, że Jasak nie miał pojęcia, jakie inne zdolności obca kobieta mogła przed nim ukryć. Przyznała już przecież, że potrafi odczytywać uczucia innych oraz, że jest tym, co nazywała „Głosem”. Jasak nie miał już najmniejszych wątpliwości, w jaki sposób wiadomość o bitwie dotarła do żołnierzy obcych. Zapomniała potem ukryć swojej biegłości w andarańskim. Jathmar uczył się zadziwiająco szybko, ale to jak błyskawiczne postępy robiła Shaylar niemal wzbudzało w setniku lęk.

I tu właśnie leżał pies pogrzebany. Czy te niezwykle umiejętności Shaylar powinny wzbudzać lęk? Czy może bał się ich tylko dlatego, że zupełnie ich nie rozumiał? Może dla nich – dla obcych była to zwykła cześć codziennego życia, tyle, że po prostu bardzo odmienna od tego, czego doświadczał on sam?

–Usiądź Shaylar proszę – powiedział po chwili.

Popatrzyła na niego w bezruchu jeszcze przez kilka sekund, po czym wycofała się za Jathmara i usiadła niepewnie na koi Gadrial.

Jasak zaczekał aż kobieta znieruchomieje, podszedł do małego biurka w kącie kajuty i odsunął małe krzeselko, które następnie przysunął Gadrial. Odczekał, aż usiądzie i odetchnął głęboko.

–Po pierwsze – zaczął cicho. – Nie zaprzeczam, że dowodziłem oddziałem żołnierzy, którzy zabili waszych towarzyszy, a was oboje ciężko ranili. To bardzo ważne i wróć do tego tematu za chwilę.

Jathmar obserwował go nawet uważniej, niż Shaylar. Wziął w rękę dłoń żony. Jasak zrozumiał, że pomagało im to nawiązać tę małżeńską więź, o której wspominała Shaylar. Jathmar potrzebował jej pomocy, bo spodziewał się, że Jasak użyje andarańskich słów, których mężczyzna jeszcze nie poznał.

–Po drugie – ciągnął – bez względu na to, co myślę o zagrożeniu jakie wasze Talenty mogą stanowić dla pasażerów tego statku i dla całej Unii Arkany, nie winiłbym was za ich wykorzystanie. Nie spodziewam się, że mając je do dyspozycji dobrowolnie wyrzeklibyście się ich użycia. Gadrial w podobnej sytuacji na pewno użyłaby swego Daru.

–Po trzecie – powiedział – wierzę wam – spostrzegł, że napięte plecy i ramiona obojga jeńców nieco się rozluźniły. – Wierzę, że to, co mi powiedziała Shaylar jest prawdą. Nie znaczy to jednak, że jestem pewien, że przekazaliście mi całą prawdę.

Shaylar i Jathmar zeszywnieli na powrót. Oficer mówił chłodnym, spokojnym głosem.

–Na waszym miejscu na pewno nie powiedziałbym niczego, co pomogłoby w walce przeciwko moim pobratymcom, chyba, że w obliczu absolutnej konieczności. Poznałem was oboje już na tyle dobrze, że nie mam wątpliwości, że myślicie podobnie. Jesteście bardzo inteligentni i na pewno zdajecie sobie sprawę, że wcześniej czy później zostaniecie bardzo dokładnie i szczegółowo przesłuchani. Na pewno rozumiecie też, że zajmą się wami zawodowcy, ludzie którzy potrafią składać w sensowną całość najmniejsze nawet strzępy informacji i będą w stanie dowiedzieć się od was rzeczy, których wcale im nie powiecie. Póki co jednak – oprę się na dwóch założeniach. Po pierwsze, że powiedzieliście prawdę, a po drugie, że dacie mi swój parol.

Ostatniego słowa nie znała nawet Shaylar. Jasak uśmiechnął się zawadiacko.

–Parol to inaczej słowo honoru – obietnica – że nie będziecie próbowali uciec, że nie skrzywdzicie nikogo, chyba, że w obronie własnej i że powstrzymacie się od wszelkich wrogich działań wobec nas, tak długo, jak długo my będziemy traktować was godnie i z szacunkiem. Nie potrafię cofnąć czasu i odwrócić tego, co stało się na tamtej polanie – mogę jednak postarać się, by odtąd postępowano z wami jak należy.

Jathmar nabrał głęboko powietrza, lecz zanim zdołał otworzyć usta Shaylar ścisnęła mocniej jego rękę. Odwrócił się i przez kilka chwil popatrzył w jej oczy. Potem zwrócił się na powrót do Jasaka.

–Chcesz nasz poprosić, żebyśmy byli... potulnymi więźniami – powiedział swoim zbyt starannym, sztywnym andarańskim. – A co z naszym obowiązkiem podejmowania prób ucieczki?

–Ucieczki? Jathmar? A dokąd? – cicho wtrąciła ze swego krzesła Gadrial. Mężczyzna odwrócił się do niej i zobaczył jej smutny uśmiech. – Nawet gdybyście uciekli, to dokąd byście się udali? Jaką mielibyście nadzieję na dotarcie do domu?

–Gadrial ma rację – przytaknął Jasak, widząc niezmiennie zacięty wzrok Jathmara. – Zaufaj mi, nie uda się wam uciec, choćbyście próbowali sto lat. No, chyba że – oficer uśmiechnął się brzydko – wasze Talenty okazałyby się w rzeczywistości o wiele bardziej pożyteczne niż mi powiedzieliście.

–Skoro ucieczka jest niemożliwa, to dlaczego każesz nam przyrzekać, że nie będziemy jej próbować? – spytał ostro Jathmar.

–Ponieważ od tego zależy stopień środków zapobiegawczych, które – jako odpowiedzialny za was oficer – będę musiał podjąć – odparł Jasak bez zmrużenia oka.

–Tylko jak długo jeszcze pozostaniesz „odpowiedzialnym za nas oficerem”? – spytała Shaylar. – Powiedziałam już, że ci ufam Jasak i to prawda. Bardziej chyba nikomu innemu z Arkany nie byłabym w stanie zaufać. Ale co z tym drugim oficerem? Co z setnikiem Thalmayrem? Co z wszystkimi pozostałymi żołnierzami, którzy krzywo na nas patrzą? Wcześniej czy później twoją odpowiedzialność za nas przejmie jakiś wyższy rangą oficer. W jaki sposób będziemy mogli jemu zaufać? I czy cokolwiek, co obiecamy teraz tobie będzie mieć wpływ na to, jak potraktują nas inni?

–Właśnie dlatego chciałem wrócić do tego, o czym mówiłem na samym początku – wyjaśnił Jasak. – To, że dowodziłem oddziałem podczas bitwy sprawia, że jestem odpowiedzialny za ofiarę waszych towarzyszy i za was.

–Ale ja przecież wiem, że zabroniłeś temu oficerowi strzelać! – zaprotestowała Shaylar.

–Owszem, zabroniłem i wątpię, żeby nawet ktoś z Talentem takim jak twój był w stanie zrozumieć, jak ważny jest dla mnie fakt, że wy zdajecie sobie z tego sprawę. Ale nie zmienia to faktu, że oficer, który strzelił jako pierwszy był moim podkomendnym. Teraz rozumiem, że powinienem był wtedy ominąć regulamin i odebrać mu dowództwo jeszcze zanim was dogoniliśmy. Nie zrobiłem tego jednak i przejąłem dowodzenie dopiero potem, gdy on już nie żył - kiedy strzelali wszyscy dokoła, a moi żołnierze leżeli na całej polanie – martwi, umierający, ranni. To ja prowadziłem tę potyczkę, nie Shevan Garlath. I zrobiłbym to ponownie, dokładnie tak samo jak wtedy, chyba że warunki i moja wiedza byłyby inne.

Popatrzył silnym, zdecydowanym wzrokiem w oczy obojga Sharonian.

–Nie miałem w tamtej chwili wyboru, co nijak nie zmienia tego, że to moi żołnierze was zaatakowali, ani tego, że byliście grupką cywilów broniących się przed nagłym, niespodziewanym atakiem. Moi ludzie zniszczyli życie waszej dwójki tak samo skutecznie, jak skuteczni byli zabijając waszych towarzyszy. To sprawia, że spoczęło na mnie honorowe zobowiązanie wobec was.

–Honorowe zobowiązanie? – powtórzył powoli Jathmar. Setnik skinął głową.

–Wśród moich pobratymców – Andaran, nie Arkanian w ogóle – istnieje obyczaj zwany *shardon*. Używa się tego terminu do określenia wzięcia kogoś pod swoją i swego rodu ochronę. Ty i Shaylar jesteście teraz mymi *shardonai*. Jako dowódca, którego żołnierze wyrządzili krzywdę wam i waszym ludziom jestem zobligowany chronić was tak, jakbyście byli ze mną spokrewnieni.

Co więcej – według prawa Andary *shardonai* są traktowani jak członkowie rodziny swego *baranal*.

–Co to oznacza? – spytał Jathmar.

–To oznacza, że mam honorowy obowiązek odmówić przekazania was jakimkolwiek innemu oficerowi, bez względu na różnicę rang. Oznacza to też, że ja i członkowie mojej rodziny mają obowiązek dopilnowania, żeby traktowano was godnie, żeby nic wam się nie stało i żebyście byli bezpieczni. Oznacza to także, że choć żadne z was nie ma obywatelstwa Andary i nawet nie pochodzicie z Arkany, to wasze dzieci otrzymają pełne obywatelstwo Andary – wraz ze wszystkimi jego przywilejami i obowiązkami. Jedyna różnica między wami – *shardonai* – a moimi siostrami czy rodzicami polega na tym, że możemy was chronić jedynie pod warunkiem, że z własnej woli pozostaniecie pod moją opieką.

–To znaczy, dopóki zechcemy być twoimi jeńcami – zauważył ostro Jathmar. Jasak przytaknął.

–Praktycznie tak – powiedział z niezmiennym wyrazem twarzy. – Przykro mi, ale temu nie da się zaradzić. Nie teraz.

–A przez jak długi czas zechce nas widzieć przy twoim boku twój rząd? – zapytała podenerwowana Shaylar.

–To będzie trwało dopóki będę żył ja, ktokolwiek z mojego rodu, lub do chwili waszej śmierci – wyjaśnił oschle Jasak.

Sharonianie spojrzeli na oficera w najgłębszym niedowierzaniu. Wreszcie ciszę przerwało chrząknięcie Gadrial.

–Wiele lat mieszkałam wśród Andaran – powiedziała. – Jest wiele rzeczy związanych z tamtejszym kodeksem honorowym, których sama nadal nie rozumiem i nie będę tego udawać. Jedno wiem jednak na pewno. Skoro Jasak wam mówi, że jesteście pod ochroną całego jego rodu, to znaczy, że jesteście pod ochroną całego jego rodu.

–I oni ochronią nas przed całą armią? Będą nas bronić przed własnymi władzami? – Jathmar nie potrafił uwierzyć... chyba nawet nie próbował.

–Wydaje mi się, że nie do końca rozumiecie, co znaczy „rodzina Jasaka” – uśmiechnęła się Gadrial. Spojrzeli na nią ciekawie i kobieta wzruszyła ramionami. – Jasak to Sir Jasak Olderhan. Jego ojcem jest Thankhar Olderhan, który – nie licząc innych tytułów – jest diukiem Garth Showma... i planetarnym gubernatorem Nowej Arkany. Być może jest gdzieś jeszcze jeden andarański szlachcic o tak potężnych politycznych i wojskowych wpływach jak Jego Łaskawość. Z pewnością jednak nie ma dwóch takich. A według litery andarańskiego kodeksu honorowego, cały ród Olderhan oraz wszyscy jego klienci i osoby zależne, prędzej zginą niż pozwolą komukolwiek naruszyć *shardon*.

–A reszta rządu? Politycy? Wszyscy będą się temu tak po prostu przyglądać? – Shaylar wraz z Jathmarem popatrzyli na Jasaka tak, jakby dostrzegli w nim nagle kogoś innego niż dotąd.

–Nie sędzę, by spodobało się to wszystkim – przyznał Jasak. – Niektórzy spróbują ominąć kodeks, prawie na pewno pokuszą się o to Mythalanie. Znajdą się i tacy – na pewno spróbują tego Mythalanie – którzy spróbują usprawiedliwić naruszenie *shardonu* w ramach „dbałości o bezpieczeństwo narodowe”. Tyle, że – dodał tym samym bezbarwnym tonem – nie uda im się to.

Shaylar i Jathmar popatrzyli po sobie, po czym spojrzeli na setnika. Olderhan zrozumiał, że jeńcy mu ostatecznie uwierzyli.

–No dobrze – odezwał się wreszcie Jathmar.

Starał się mówić spokojnie, swoim zwyczajnym tonem. Nie było to jednak łatwe. Po części dlatego, że poczuł jak przepełnia go poczucie wielkiej ulgi. Wcześniej nie podejrzewał nawet, że Jasak może pochodzić z tak wpływowego i potężnego rodu. Nie przyszło mu też do głowy, że rodzina ta może wziąć pod swe skrzydła jego i Shaylar. Poza ulgą i wdzięcznością czuł też ciężar ceny. Za tę ochronę mieli zapłacić arystokracie dożywotnim pozostaniem w niewoli. Próbował to sobie tłumaczyć, powtarzał sobie, że więźniami przecież byli i tak, a obyczaj *shardon* oferował im przynajmniej szansę życia na ludzkim poziomie. Tego był pewny. Nie zmieniało to jednak faktu, że ochronę zaoferował im człowiek odpowiedzialny za masakrę ich przyjaciół i pojmanie ich samych.

Przez więź dotarła do niego reakcja Shaylar. Dotarło do niego, że targano nią o wiele mniej wątpliwości niż nim. Shaylar była Shurkhalianką. Została wychowana w kulturze i w społeczeństwie, które także miało swój kodeks honorowy, nieco zbliżony do tego, który opisywali Jasak i Gadrial. Setnik wreszcie opowiedział o jakiejś pochodzącej z Arkany rzeczy, którą Shaylar potrafiła zrozumieć. Była to dla niej skała, której mogła się uchwycić, kotwica w obcym świecie. Jathmar czuł za to wobec oficera wdzięczność, choć z drugiej strony nie podobało mu się to, że to właśnie Jasak – nieprzyjaciel – a nie on, jej mąż – sprawił, że wreszcie poczuła się bezpieczniej.

–No dobrze – powtórzył. – Zgadzą się zostać twoimi... *shardonai* i zgadzamy się też, żebyś ty i cały twój ród – chronili nas w miarę możliwości. Dajemy ci też nasz parol, który jednak przestanie obowiązywać, gdy tylko przestaniesz nas chronić.

–Dziękuję – odpowiedział cicho Jasak.

Siedział w milczeniu około minuty. Potem otrząsnął się i spojrzał uważnie na Shaylar.

–W ramach twojego parolu, Shaylar – powinienem się dowiedzieć, jak blisko musisz być innego Głosu, żeby się z nim skontaktować.

Shaylar zamarła i rzuciła błagalne spojrzenie na Jathmara. Jej mąż wyglądał na bardzo zaskoczonego. Skarciła się w myślach. Od dawna przecież wiedzieli, że Olderhan jest inteligentny. Teraz dodał po prostu dwa do dwóch i otrzymał wynik, którego najbardziej obawiała się Shaylar.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć. Nie wiedziała co ma powiedzieć, ale to nie miało najmniejszego znaczenia, ponieważ zanim zdążyła się odezwać Jasak uniósł dłoń i przerwał jej.

–Wiem, że czujesz pokusę, by mnie okłamać – stwierdził – i nie winię cię za to. Nie będę cię też zmuszał do odpowiedzi, jeśli mi jej odmówisz. Ale zobowiązania honorowe powinny działać w dwie strony – tak przynajmniej uważamy w Andarze. Odmowa odpowiedzi to jedna rzecz – okłamanie swego *baranala* to zupełnie co innego.

–A jeśli ona ci po prostu nie odpowie? – spytał Jathmar, którego przepelniło nowe podejrzenie.

–Jeśli nie odpowie to zmusi mnie tym samym, bym założył najgorsze. Jestem oficerem Unii Arkany i moim obowiązkiem jest zapobiec temu, by Shaylar kontaktowała się z kimkolwiek z Sharony, a także uniemożliwienie jej dostępu do informacji, które wasi pobratymcy mogliby wykorzystać. Będę więc musiał poprosić Gadrial i jej kolegów z Instytutu, by wynaleźli zakłęcie, które trwale unieszkodliwi

„Głos” Shaylar. Szczerze mówiąc nie wiem, czy to w ogóle jest możliwe, ale musimy to sprawdzić. Do tego czasu będę musiał upewnić się, by nie dowiedziała się niczego ważnego na temat Arkany. Postarałbym się zrobić to najdelikatniej jak to możliwe, ale sprowadziłoby się to praktycznie do zamknięcia jej. Znaleźlibyście się w izolacji. Wolałbym tego uniknąć, ale przysięga wojskowa nie zostawia mi wyboru.

Jathmar chciał odpowiedzieć ostro, ale Shaylar powstrzymała go dotknięciem.

–Zaczekaj Jath – powiedziała cicho po shurkhaliańsku. Spojrzał na nią. – To ja zawiniłam – dodała. – Nie chciałam tego, ale on okazał się sprytniejszy niż oboje myśleliśmy. Szczerze mówiąc, to nie powiedział przeciw niczego z czym nie moglibyśmy się zgodzić. Gdybyś miał więźnia, który potrafi się – w niewidoczny i cichy sposób – porozumiewać z wrogiem, to nie dałbyś mu chyba dostępu do żadnych ważnych informacji, prawda?

–No cóż... – odezwał się. Kobieta pokręciła głową.

–Oni nie znają Głosów Jath. Nie mają też Protokołów, które my stosujemy w podobnych sytuacjach. Nawet gdybym chciała im powiedzieć, jak wyłączyć czasowo mój Talent, to żaden z nich nie potrafiłby tego zrobić.

–Chcesz więc powiedzieć mu prawdę? Całą?

–Wiedzą już, że to ja przesłałam wiadomość do Darcela. Mniejszej odległości niż z polany do portalu nie mogę mu więc podać. Powinnam jednak podać mu zawyżoną liczbę, czy zaniżoną?

Jathmar zaczął się intensywnie zastanawiać, starając się jednocześnie, by wyraz jego twarzy nie zdradzał zbyt intensywnego skupienia. Żałował, że nie mają więcej czasu, by się nad tym zastanowić i był też zły na siebie, że nie przemyślał problemu wcześniej. Teraz jednak nie mogli już dłużej zwlekać z odpowiedzią. Biorąc pod uwagę to, co usłyszeli od Jasaka na temat różnicy pomiędzy kłamstwem, a odmową udzielenia informacji wszystkie zalety *shardonu* mogły zniknąć, gdyby setnik stwierdził, że jeńcy go oszukują.

„Poza tym” – myślał – „Jasak ma rację co do tego, że zobowiązania honorowe działają w obie strony. Skoro tak chętnie przyjęliśmy od niego obietnicę ochrony, to chyba powinniśmy też, do cholery, przyjąć na siebie wynikające z tego układu obowiązki. Nie mówiąc już o tym, że jeśli tego nie zrobimy, to równie dobrze on może się rozmyślić i co wtedy?”

–Powiedz im prawdę – odezwał się po dłuższej chwili. Po andarańsku.

–Dobrze – odpowiedziała Shaylar w swoim ojczystym języku i pocałowała go lekko w policzek. Potem spojrzała na Jasaka.

–Znajdujemy się teraz bardzo daleko poza granicą mojego maksymalnego zasięgu – powiedziała, przyznając tym samym ostatecznie, że to ona nadała ostrzeżenie, które sprowadziło na głowy żołnierzy Jasaka wściekłe kontruderzenie. Zobaczyła to w oczach Olderhana, lecz oficer jedynie skinął głową. Jego głos pozostał spokojny, niemal kojąco łagodny.

–Jaki jest twój maksymalny zasięg? – spytał. – I jakie możesz przekazywać wiadomości?

–Zasięg zależy od współpracujących Głosów – odpowiedziała. – Mój własny wynosi nieco ponad osiemset mil, ale nawet gdyby był większy to nie mogłabym porozumieć się z nikim przez portale. Żaden Głos nie nadaje przez portale. Co do rodzajów wiadomości – wzruszyła ramionami. – Mogę wysyłać – mogłabym wysyłać gdybym miała w zasięgu innego telepatę – wszystko. Mogłabym też nawiązać głębokie połączenie i wtedy odbiorca dosłownie widziałby moimi oczami i słyszał moimi uszami. Przy takim połączeniu obaj telepaci...

Shaylar Nargra-Kolmayr oparła się na łóżku w kajucie Gadrial Kelbryan. Wzięła męża za rękę i patrzyła w oczy człowieka, którego honor stanowił jedyną barierę pomiędzy nimi i wrogością nieznanego wszechświata. Tak bardzo chciała, żeby wierzył, że jest z nim uczciwa. A statek niósł ich ku – być może dożywotniej – niewoli.

ROZDZIAŁ

JEDENASTY

–Zastanawiał się pan może nad moją propozycją?

Darcel Kinlafia uniósł brew, odwrócił się i spojrzał na jadącego obok siebie potężnego, młodego człowieka. Musiał przyznać, że przez wszystkie dni, które spędzili razem księżę Janaki wywierał na nim coraz większe wrażenie. Nie chodziło przy tym wyłącznie o magnetyczną osobowość ani o oczywistą inteligencję arystokraty. Janaki po prostu wyglądał jak księżę – był niesamowicie wysoki (nawet jak na kogoś z rodu Calirath), miał potężne bary i był przystojny. Do tego jeździł na przepięknym wierzchowcu, co wraz z sokołem siedzącym mu stale na ramieniu dodawało mu jeszcze większego splendoru. Widząc to coraz wyraźniej, oraz mając w głowie coraz wyraźniejszy obraz siebie samego jako przyszłego rekina politycznego Kinlafia doszedł do wniosku, że Janaki chan Calirath stanowił ucieleśnienie marzeń cesarskiego rzecznika prasowego.

Głos wiedział oczywiście, że koń księcia nie urodził się w żadnej ze stajni SZPP. Same rozmiary księcia sprawiały, że ciężko było mu dobrać odpowiednie zwierzę, ale dynastia Calirath zmagala się z tym problemem już od stuleci. Deresz Janakiego – jeden z dwóch bliźniaczych koni, z których drugi dreptał z tyłu razem z resztą luzaków – był ternathiańskim shikowrem, pochodził z rasy wyhodowanej z najwyższą starannością i miłością na zielonych łąkach Ternathii w ramach programu, którego księgę hodowlaną prowadzono już od ponad dwóch tysięcy lat.

Rasa ta otrzymała nazwę od imienia pierwszego ogiera, założyciela rodu, który z kolei został nazwany na pamiątkę starożytnej shurkhaliańskiej szabli kawaleryjskiej, którą jeźdźcy Imperium nauczyli się stosować po kilku wstępnych porażkach w starciach z jeźdźcami z pustyni. Zresztą w samych koniach też płynęła ostrożnie dobrana domieszka krwi shurkhaliańskich rumaków. Konie rasy shikowr były potężne i silne. Charakteryzowały się specyficzną postawą. Pierś nosiły wyprężoną i podaną do przodu, a zadnie nogi miały lekko wysunięte do tyłu. Ich chód był zadziwiająco sprężysty jak na zwierzęta tych rozmiarów. Co ciekawe shikowry nie potrafiły kłusować. Zamiast tego dysponowały dwoma innymi chodami, dzięki którym szybko pokonywały nawet duże połacie terenu, a sam kłus rekompensowały sobie przechodząc z marszu bezpośrednio w cwał. Shikowry były równie wysokie jak większość wojskowych rumaków, lecz były od nich nieco lżejsze. Znano je i ceniono szeroko za to, że doskonale łączyły ze sobą prędkość, inteligencję i wytrzymałość.

Były to szczególnie ważne zalety, gdy przychodziło shikowrom nosić na swych grzbietach mężczyzn z rodu Calirath.

Wszystko to razem sprawiało, że konie te od stuleci stanowiły standardowe zwierzęta kawaleryjskie, choć deresz Janakiego był wyjątkowy nawet pośród swych pobratymców i pod każdym względem przewyższał wierzchowce zwykłych żołnierzy.

Mówiło się, że w czasach gdy wojska Imperium toczyły walki z Arpathianami najcenniejszym łupem o jakim marzyli Septowie było uprowadzenie kilku shikowrów i dołączenie ich do własnych stadnin. Kinlafia obejrzał sobie należącego do podkapitana Arthaga palomino stojącego obok shikowra Janakiego i wierzył w te opowieści.

–Nad jaką propozycją, wasza wysokość? – odpowiedział wreszcie Głos podnosząc oczy na Janakiego.

–Tę na temat zmiany zawodu.

–Och – uśmiechnął się Kinlafia – o tę propozycję chodzi...

–Widzę, że już zaczął pan ćwiczyć sztukę unikania udzielania odpowiedzi wprost – zauważył książę. – To dobry znak czy zły?

–Jak sądzę zależy to od bardzo wielu czynników, wasza wysokość – powiedział o wiele poważniej niż przed chwilą telepata, skupiając się na błotnistym szlaku, którym jechali. Droga zaczęła się wznosić.

–Mam na imię Janaki – poprawił go książę, lecz Kinlafia pokręcił głową.

–Wasza wysokość, ja naprawdę doceniam pańską zachętę do zwracania się do pana po imieniu i być może pewnego dnia, jeśli rzeczywiście zajmę się polityką i moja kariera rozwinie się w taki sposób, jak pan sądzi, być może zgodzę się na to – przynajmniej na osobności. Teraz jednak czułbym się z tym bardzo niezręcznie. Poza tym myślę, że to nie najlepszy pomysł z jeszcze jednego powodu. Gdyby mi ten sposób zwracania się wszedł w nawyk, znaleźliby się na pewno tacy, którzy oskarżyliby mnie o brak należytego szacunku wobec księcia. To nie pomogłoby mi w sondażach.

–Słuszna uwaga – zgodził się po chwili Janaki – ale fakt, że myśli pan w tych kategoriach wskazuje na to, że jednak rozważa pan rozpoczęcie kariery politycznej?

–Tak wasza wysokość – westchnął Kinlafia. – Rozważam. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Sam w to jeszcze nie wierzę, ale myślę o tym poważnie. I to wyłącznie pańska wina.

–Przyznaję się. Moja – uśmiechnął się Janaki. Po sekundzie uśmiech opuścił jego oblicze. – Jest pewien powód, dla którego tak pana w tej kwestii naciskam.

–Powód, wasza wysokość?

–Tak. Zanim dotrzemy z tymi rannymi do Fortu Brithik upłynie sporo czasu. Potem droga będzie łatwiejsza, ale i tak nie pobijemy w górach żadnych rekordów prędkości, zwłaszcza, jeśli ktoś postanowi odesłać rannych do Fortu Raylthar zamiast trzymać ich w Brithik. Jeśli poważnie bierze pan pod uwagę moje rady, to myślę, że powinien pan ruszyć przodem. W pojedynkę dotrze pan do celu o wiele szybciej. Co więcej – jeśli myśli pan, że pańskie siedzenie to zniesie, to mógłbym dać panu list zezwalający na korzystanie ze świeżych koni SZZP w posterunkach po drodze.

–Ale dlaczego? – Kinlafia znów spojrzał na księcia. – To znaczy, dlaczego uważa pan, że pośpiech jest w tej chwili tak ważny?

Janaki nie odpowiedział od razu. Obrócił się w siodle i spojrzał za siebie, na drogę, którą dopiero co przebyli. Dziś w Nowej Uromathii jakimś cudem nie padało, choć oczywiście nikt nie spodziewał się, że taka pogoda utrzyma się na dłużej. Na szczęście Sharonianie, a w szczególności SZZP mieli ogromne doświadczenie w transportowaniu ludzi i sprzętu przez każdy, najbardziej nawet niedostępny, rodzaj terenu.

Każdy oddział zmierzający do fortu kapitana Halifu i portalu wiodącego do wszechświata, który zdążył już zyskać sobie nieformalną nazwę Wrót Piekieł, starał się ze swej strony uczynić szlak, choć trochę bardziej przejezdnym. Lwią część pracy wykonała kolumna chan Tesha, głównie dlatego, że jego oddział miał ze sobą wozy, którym kawalerzyści musieli jakoś umożliwić przejazd. Nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby tego szlaku drogą, lecz przynajmniej przez najgłębsze z rowów i jarów przerzucono prowizoryczne mosty, najbardziej podmokłe fragmenty terenu zostały utwardzone pniami powalonych drzew i wycięto w zaroślach w miarę widoczny trakt szerokości mniej więcej dwóch standardowych wozów zaopatrzeniowych Zarządu.

W odróżnieniu od nich, wozy medyczne miały szerokie i grube pneumatyczne opony wykonane ze stosunkowo niedawno odkrytej wulkanizowanej gumy. Wyposażono je także w najlepsze resory i sprężyny, jakie kiedykolwiek powstały na Sharonie. W terenie takim jak ten, nie można się było spodziewać, że ranni przejadą zupełnie bez wstrząsów, lecz generalnie wozy te sprawdzały się nad podziw dobrze. Ambulanse były też o wiele lżejsze od wozów zaopatrzeniowych, co w połączeniu z lepszymi oponami sprawiało, że nie opierały się tak mocno na ziemi i ciągnące je muły miały ułatwione zadanie.

Jednak mimo tych zalet cztery wozy medyczne przydzielone oddziałowi Janakiego niezmiernie ich spowalniały. Kinlafia rozumiał to doskonale. Nie rozumiał tylko, z jakiego powodu tak bardzo niepokoiło to Janakiego. Osobiście, Głos nie miałby nic

przeciwno nieco wydłużonemu powrotowi do Tajwany. Bał się nieuniknionych spotkań z dziennikarzami. Bał się też równie nieodwołalnej wizyty u rodziców Shaylar.

–Obaj nie mamy bladego pojęcia, co teraz dzieje się w domu – odezwał się wreszcie Janaki odwracając się do telepaty – ale wiem, że trzeba działać szybko. Zanim się to wszystko zaczęło tory kolejowe sięgały prawie do Fortu Salby, a żeby tam dotrzeć nawet w pojedynkę, będzie pan potrzebował około dwóch miesięcy. Można sądzić, że gdy pan tam dotrze, w Salby będzie już stacja. Stamtąd dalsza droga to już tylko dwa lub trzy tygodnie. Tak czy inaczej, Darcel, to razem prawie trzy miesiące. Trzy miesiące, podczas których sytuacja polityczna może się zmienić i wybory mogą zostać już rozpisane. Chciałbym, żeby dotarł pan do domu na czas, czyli możliwie wcześnie.

Kinlafia nieznacznie zmarszczył czoło. Uwierzył już w to, że Janaki szczerze wierzył, iż Darcel Kinlafia miał coś do zaoferowania światu jako polityk. Nie mógł jednak pozbyć się przeczucia, że kryło się za tym coś więcej poza chłodną polityczną kalkulacją. Książę musiał mieć w wyniesieniu telepaty do władzy jakiś inny cel. Podobnie jak każdy Głos, Kinlafia był szczególnie wyczulony na emocje ludzi, z którymi się stykał, choć w życiu nie pozwoliłby sobie na pogwałcenie prywatności księcia, przez bezpośrednie wysondowanie jego umysłu. Nawet i bez tego czuł wyraźnie, że młodemu arystokracji bardzo zależało na jego politycznej przyszłości – była to głęboko osobista i niemal fizyczna potrzeba.

Zastanawiał się, czy nie powinien o to zapytać, ale po raz kolejny stwierdził, że byłaby to z jego strony bezczelność. Zamiast więc zastanawiać się nad pytaniami, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi skupił się na reszcie argumentów Janakiego. Im dłużej o nich myślał tym bardziej skłaniał się do wniosku, że – jak zwykle – książę miał rację.

Janaki chan Calirath obserwował oczy telepaty i wyraźnie widział kłębiące się za nimi myśli. Był niemal pewien, że Kinlafia rozumiał, że książę nie wyjawiał mu wszystkich powodów, dla których tak bardzo zależało mu na karierze polityka. Był mu wdzięczny za to, że się nie dopytywał. Gdyby spytał wprost, Janaki odpowiedziałby mu szczerze i bez ogródek, problem polegał na tym, że sam sobie nie był w stanie podać choćby tymczasowo zadowalającego wytłumaczenia. Przebłysk, którego do tej pory doświadczył już kilka razy nie był teraz ani trochę bardziej zrozumiały niż przedtem. Janaki mocno się z tego powodu irytował, lecz na to akurat nie miał żadnego wpływu. Musiał nauczyć się żyć z tymi fragmentarycznymi informacjami, jakie podsuwał mu jego Talent. Dla Kinlafii byłoby to prawdopodobnie jeszcze bardziej frustrujące, a mogłoby też wydać mu się niebezpieczne. Zwłaszcza, że Przebłysk, mimo, że niezbyt wyraźny, pojawiał się w towarzystwie coraz silniejszego uczucia pośpiechu. Jasne też było, że choć obecność Kinlafii mogła zgodnie z Przebłyskiem okazać się korzystna dla Andrin, to niekoniecznie musiała

być dobra dla samego telepaty.

Janaki nie wiedział, co Głos ma zrobić dla jego siostry, ale czuł, że było to szalenie ważne. A Janaki kochał swoją siostrę. To z kolei oznaczało że poseł Kinlafia mógł być niezwykle istotnym człowiekiem dla księcia koronnego Janakiego.

–No dobrze, wasza wysokość – zgodził się wreszcie Kinlafia. – Przyjmuję pańską propozycję. Obie pańskie propozycje – rzucił okiem na zegarek a potem na słońce ześlizgujące się powoli ku zachodowi. – Dziś jeszcze zostanę razem z wami i prześpię się w obozie. Rano pojedę przodem.

–Świetnie – Janakiemu udało się ukryć ulgę i uśmiechnął się. – Dzięki temu będę mieć czas, żeby napisać dla pana kilka listów polecających. Jeden z nich – uśmiechnął się do Głosu ponownie – będzie skierowany do mojego ojca. To dość wpływowy polityk.

*** * ***

Shaylar i Jathmar stali na pokładzie arkaniańskiego okrętu, który powoli zbliżał się do drewnianego nabrzeża. Molo wyciągało się z dużego fortu, wzniesionego na południowo-wschodnim wybrzeżu zatoki, która według Talentu Jathmara rozciągała się z północy na południe na trzydzieści mil i na sześćdziesiąt ze wschodu na zachód. Shaylar była niemal pewna, że było to południowe wybrzeże wielkiej wyspy zwanej Esferią – którą Jasak i Gadrial nazywali Chalar – dominującą na Morzu Nowofarnaliańskim i Zatoce Nowej Ternathii. Na Sharonie Esferia była bogatym portem przeładunkowym pomiędzy Chairifonem i Nową Ternathią oraz Nowym Farnal. Na Arkanie tymczasem Chalar stanowiła ojczyznę i centrum największego morskiego imperium w dziejach planety.

Daleko w głębi wyspy dostrzegli szeroki łuk portalu, za rzeką, która wiała się pomiędzy wzgórzami, wypływając od strony prymitywnie wyglądającego miasteczka przyklejonego do wschodniej ściany fortu. Nawet Jathmar miał w tym terenie problem z oceną odległości, ale wyglądało to tak, jakby portal znajdował się piętnaście mil dalej, co znaczyło, że jego średnica wynosiła około dziesięciu mil. Granica wyznaczająca przejście między wszechświatami była bardzo wyraźna. Po tej stronie portalu niebo było bezchmurne, rozpalone tropikalnym słońcem i błękitne, po drugiej stronie panowała noc i szalała wściekła burza. Shaylar widziała po drugiej stronie strzelające błyskawice smagające jaśniejącymi biczami kłębiące się chmury. Forpoczty chmur wypływały też na tę stronę. Tu, w miejscu gdzie stała było ciepło, wiała delikatna bryza. W pobliżu portalu potężne podmuchy wiatru targały koronami drzew. Burza ziała swym groźnym oddechem. Ziemię siekł deszcz zrodzony w zupełnie innym wszechświecie.

Shaylar zadrżała na ten widok. Była to jedna z niezwykłości, do których przywykał z

czasem każdy, kto często podróżował pomiędzy wszechświatami. Oczywiście nie sprawiało to, że chętniej przechodziło się w obszary o gorszej pogodzie.

Poza tym, o wiele bardziej interesowało ją to, co znajdowało się bliżej. Okręt powoli wpływał do portu.

Ten fort – Jasak nazywał go Fortem Wyvern – był o wiele większy niż ten, z którego wyruszyli. Nie był wielki, ale był wyraźnie mocniejszą, i wcześniej zbudowaną budowlą. Sądząc po rozmiarach miasteczka, które zagnieździło się w jego pobliżu fort miał wieloletnią tradycję. Nie czuło się w nim jednak takiego zamieszania i energii, jaka była od pogranicznych osiedli na Sharonie.

Na pierwszy rzut oka miasto przypominało raczej prostą, niemal prymitywną osadę rolniczą. Nie było tu nawet śladu przemysłu opartego na energii pary lub wody, co byłoby normalne w dowolnym osiedlu Sharonian. Im dłużej jednak przyglądali się z Jathmarem zabudowaniom, tym szybciej doszli do wniosku jak bardzo mogą mylić ich pozory.

Znaleźli się już na tyle blisko, że mogli dobrze sobie obejrzeć to, co okazało się miejscową stocznia. Nie była duża i budowano w niej jedynie trzy nowe statki. Kiedy jednak Shaylar spojrzała dokładniej poczuła jak oczy same otwierają się jej szeroko. Wcześniej widziała na tyle dużo sharoniańskich stocznii, by spodziewać się parowych czy wodnych pił i innych urządzeń. Tu jednak nie zauważyła niczego podobnego. Panowała prawie niezmacona cisza. Nie rozlegały się żadne odgłosy, ani jednego uderzenia siekiery czy młotka.

Zamiast tego wszystkiego zobaczyła wielkie pnie lewitujące w powietrzu, zawisające w miejscu i cierpliwie czekające, aż jakaś nieznana siła porąbie je na równe deski, które – ponownie same z siebie – układały się w schludne stosy. Przetarła oczy w zdumieniu i zobaczyła pracowników, zajętych czynnościami, które wyglądały równie absurdalnie.

Dwóch z nich nadawało kształt deskom, z których miał powstać kadłub dla największego ze statków, z tym, że robili to bez żadnych znanych Shaylar narzędzi. Obaj robotnicy trzymali uchwyty przymocowane do lśniącego podłużnego kryształu. Rączki te tkwiły w nim pod pewnym kątem, a sam kryształ miał jakieś osiem stóp długości i cal średnicy. Dokładnie na środku cylinder się rozszerzał – na długości około stopy osiągał siedem cali grubości. Robotnicy trzymając go z obu stron przesuwali nim nad deską nie dotykając jej, a spod kryształu, w niesamowitej ciszy, wzbijały się wióry i kawałeczki drewna.

Pozostali stocznioowcy zajmowali się innymi czynnościami – czynnościami, do których na Sharonie używano energii pary wodnej lub ludzkich mięśni. Tu jednak wszystko napędzane było magią – taką samą jak ta, którą władała Gadrial. W stocznii

pracowało może trzydziestu ludzi, lecz największy z budowanych statków miał około trzystu stóp długości. Był mniejszy niż okręt, na którym przyплыnęli Sharonianie, ale i tak w ich rodzimym wszechświecie konstrukcją jednostki tych rozmiarów zajmowałoby się o wiele więcej robotników. Co więcej ten statek – w odróżnieniu od dwóch innych powstających w magicznej stoczni – nie miał żagli. Shaylar zadrżała – skoro magia Arkanian pozwalała im osiągać taką wydajność to...

–Niedługo przybijemy – oznajmił Jasak podchodząc do nich z tyłu. – Będę musiał złożyć raport pięćsetnikowi Grantylowi, dowódcy fortu. Jestem pewien, że zechce... poznać was oboje, choć nie spodziewam się, żebyśmy zabawili tu długo.

–To nie wygląda specjalnie zachęcająco – zauważyła Shaylar wskazując dłonią potężną burzę szalejącą za granicą portalu.

–Nie wygląda – zgodził się oficer. – Po drugiej stronie tego portalu znajduje się ta kraina, którą wy nazywacie chyba Uromathią. Jeśli chodzi o temperatury, to nie jest tam najgorzej, ale zanim dotrzemy do następnego portalu będziemy musieli przebyć góry. Także musimy odczekać zanim się wypogodzi i zanim przygotujemy się do lotu.

–Do lotu? – powtórzył Jathmar i Jasak skinął głową.

–Na smoczym grzbiecie spędzimy dużo czasu – poinformował setnik. – To zresztą jeden z powodów, dla których mam nadzieję, że gwałtowna reakcja Pazura wynikała jedynie z urazu głowy Shaylar.

–Też mam taką nadzieję – odpowiedziała lekko drżącym głosem, choć sama podejrzewała, że wściekłość smoka spowodowała, próbując użyć swego Talentu do porozumienia się z Darcelem. Za każdym razem, kiedy skupiała się na Głosie smok próbował ją pożreć. Czowała więc dziwną radość i ulgę na myśl o tym, że w tym świecie nie było w zasięgu żadnego innego telepaty.

–Gdyby się okazało, że to nie miało jednak nic wspólnego z moim urazem – powiedziała uśmiechając się blado – głosowałabym chyba za podróżą konno.

–Na pewno nie – odezwała się Gadrial. Shaylar spojrzała na nią. Obca stała w podmuchach gorącego wiatru grającego w jej włosach. Gadrial skrzywiła się nieładnie.

–Wierz mi – dodała. – Podróżowałam już tędy i to nic przyjemnego. Tory ślizgaczy sięgają tylko do Zielonej Przystani a to jest około dwudziestu tysięcy waszych mil stąd. Z Zielonej Przystani do Arkany jest jeszcze sześćdziesiąt tysięcy mil więcej, więc nawet jeśli do ślizgaczy dolecimy smokami, to w Garth Showma znajdziemy się dopiero za jakieś cztery miesiące. Nie wyobrażasz sobie nawet, co oznacza przebycie takiej drogi konno.

–Faktycznie chyba nie – przytaknęła Shaylar starając się ukryć szok jakim zareagowała na to, co powiedziała przed chwilą Gadrial. Z Nowej Uromathii do Sharony było czterdzieści tysięcy mil. Jathmar i ona już od jakiegoś czasu podejrzewali, że Arkanianie eksplorowali wszechświaty o wiele dłużej od ich pobratymców, niemniej...

–No cóż – powiedział Jasak, gdy trap uniósł się ze swych uchwytów i ułożył pomiędzy statkiem i nadbrzeżem – tak czy inaczej powinniśmy się pożegnać z kapitanem i zejść na ląd.

*** * ***

Generał dywizji Arlos chan Geraith przerwał swą rozmowę z generałem dywizji chan Manthauem. Umilkli widząc, że ktoś otworzył drzwi do sali konferencyjnej. Odwrócili się od widniejących za oknem ośnieżonych, górskich szczytów i z szacunkiem odczekali aż do wewnątrz wszedł generał korpusu Fairlain chan Rowlan, dowódca Piątego Korpusu Cesarskiej Armii Ternathii w towarzystwie swojego szefa sztabu i starszego logistyka.

Chan Rowlan ruszył prosto do swego krzesła u szczytu stołu konferencyjnego. Jak na rodowitego Ternathianina był raczej średniego wzrostu i zazwyczaj poruszał się z przesadną dozą dostojeństwa, jakby chciał tym sposobem zrekompensować sobie brakujące cale. Dziś jednak po statecznym, poważnym sposobie chodzenia nie było nawet śladu. Oficer szedł szybko, niemal pospiesznie. Patrzył ponuro dokoła.

„Co chyba nie stanowi dla ciebie jakiegoś ogromnego zaskoczenia, prawda Arlos?” – chan Geraith zapytał retorycznie sam siebie. W tej myśli dawało o sobie znać spore poczucie humoru żołnierza, choć i on wyraźnie odczuwał czające się pod warstwą wesołości niepokój i mroczne myśli.

–Dzień dobry – chan Rowlan przywitał się z chan Geraithem i jego towarzyszami. – Cieszę się, że mogliście wszyscy się ze mną spotkać. Nie mamy jednak zbyt wiele czasu na pogawędki, więc przejdźmy od razu od rzeczy.

Chan Geraith podszedł do stołu i usiadł. Pozostali dowódcy dywizji piątego korpusu – Yarkowan chan Manthau, dowódca dziewiątej dywizji piechoty i Ustace chan Jassian z dwudziestej pierwszej – zajęli miejsca po prawej i lewej stronie chan Geraitha. Generał pomyślał (nie po raz pierwszy w życiu) jak wiele różniło wojsko Ternathii od armii jedyne go jej prawdziwego rywala Cesarstwa – Uromathii. Uromathianie z upodobaniem oddawali się noszeniu barwnych mundurów, odznakom i salutom – nie wspominając już nawet o ukłonach i strzelaniu obcasami przed przełożonymi. Ternathianie natomiast zazwyczaj przechodzili od razu do rzeczy ignorując mniej lub bardziej stronę formalną. Taka postawa miała zresztą długie tradycje. W żadnej z pozostałych armii świata nie można było znaleźć tylu jednostek,

które mogły się poszczycić nieprzerwaną służbą od ponad tysiąca lat.

Trzecia dywizja dragonów chan Geraitha była właśnie taką jednostką, co sprawiało, że starsza była niż całe Cesarstwo Uromathii. A także starsza niż uromathiański język.

Mając za sobą tak długą historię ternathiańscy oficerowie nie czuli szczególnej potrzeby podkreślania własnego znaczenia i prestiżu. Nawet generałowie dywizji, tacy jak chan Geraith, którzy mieli pod sobą bez mała dziewięć tysięcy żołnierzy, zazwyczaj rezygnowali z galowego munduru na rzecz munduru polowego. Drugą różnicą było to, że o ile oficerowie armii Ternathii dyskutowali między sobą o militarnych problemach i kwestii doboru strategii jak rozumni dorośli, to starsi rangą oficerowie młodszego imperium Uromathii zachowywali się w podobnych sytuacjach niczym drażliwi, niepewni swego nastoletkowie kłócący się na placu zabaw.

Chan Geraith wiedział, że jest w stosunku do Uromathian trochę niesprawiedliwy, ale nie miał sobie tego za złe. Po prostu ich nie lubił. Zawsze kiedy miał z nimi osobiście do czynienia, lub wypowiadał się publicznie na ich temat zachowywał się odpowiednio uprzejmie, ale nie widział najmniejszego powodu, by podobnymi względami darzyć Uromathian także w zaciszu własnych myśli.

–Jestem pewien, że jesteście wszyscy świadomi tego, co zaszło w Łańcuchu Karys – powiedział chan Rowlan.

Przez moment oblicze dowódcy korpusu skrzywiło się z bólu wymieszanego z czymś mrocznym i nieładnym. W odróżnieniu od chan Geraitha, który nie posiadał żadnego Talentu, żona chan Rowlana była Głosem, a i on sam posiadał niemałe zdolności telepatyczne. Chan Geraith nieczęsto widywał na jego twarzy nienawiść, ale teraz widniała tam wyraźnie. Rozumiał dowódcę doskonale.

–Nie wiecie jeszcze natomiast – ciągnął oficer z nieco wymuszoną werwą – że otrzymałem właśnie bezpośrednio rozkazy od marszałka chan Gristhane. – Piąty korpus ma się przygotować do drogi.

Chan Geraith wraz ze swoimi towarzyszami drgnęli w krzesłach jednocześnie, zupełnie jakby przecwiczili ten ruch wcześniej.

–Jest kilka powodów, dla których zostaliśmy wybrani – ciągnął chan Rowlan. – Jeden z nich jest czysto polityczny i nie powinien stanowić tematu rozmów poza tą salą. Chodzi o to, że Chava Busar już oddał do dyspozycji Zarządu prawie dwa pełne regimenty kawaleryjskie. Oddziały te otrzymały absolutny priorytet transportowy jako najbliższe strefy kontaktu, dostępne Zarządowi siły nie wchodzą w skład SZZP. Ternathia ze swojej strony nie chce, żeby Chava miał pretekst do wysłania w tamten rejon kolejnych jednostek i stąd pomysł z nami.

–Poza tym – ciągnął – są też powody czysto wojskowe. Jesteśmy najbliższym Larakeshu ternathiańskim korpusem. Fort Erthain jest też bliżej Larakeshu niż którakolwiek nie-ternathiańska – generał z rozmysłem nie użył słowa „uromathiańska” – baza wojskowa. Jesteśmy w stanie dotrzeć do portalu szybciej niż ktokolwiek inny. Powinniście też wiedzieć, że na tę chwilę linia kolejowa nie została jeszcze doprowadzona do Fortu Salby w Traisum. To daje nam prawie cztery tysiące mil bezdroży do Wrót Piekieł.

Chan Geraith zauważył, że oficer bez wahania użył nowej, nieoficjalnej nazwy portalu, za którym doszło do kontaktu z obcymi. Uniósł dwa palce.

–Tak, Arlos?

–Czy powinienem założyć, że za moje wszystkie grzechy, trzecia pójdzie na szpicy?

–Tak, powinienes – odparł chan Rowlan. Chan Geraith skinął głową.

Fort Cesarz Erthain, położony na otoczonych górami równinach Karmalii był jedną z największych baz Cesarskiej Armii. Pod wieloma względami był zresztą największą bazą w całym multiwersum. „A przynajmniej w naszej części multiwersum” – poprawił się w myślach oficer. Tutaj znajdowały się też tereny doświadczalne na których wojskowi testowali swoje najnowsze zabawki.

Przez ostatnie dwa lata, piąty korpus jako całość – a trzecia dywizja dragonów w szczególności – eksperymentowała z radykalnie nowym podejściem do wojskowej logistyki. Podstawy projektu pojawiły się po pewnych udoskonaleniach ciężkiego sprzętu jakich dokonały zespoły Kolei Trans-Temporalnych. Byli tacy, którzy uznawali, że tak zwany silnik spalinowy miał stać się w przyszłości podstawowym systemem napędowym. Był lżejszy i bardziej wydajny od silników parowych. Temu Chan Geraith nie mógł zaprzeczyć. Tyle, że te hałaśliwe benzynowo-ropowe ustrojstwa nadal znajdowały się w okresie swego wczesnego dzieciństwa, a co więcej w warunkach polowych, w jakich KTT wykonywało większość swoich prac konstrukcyjnych (i w jakich musiały poruszać się wojska) trudno było o oczyszczoną ropę. W tej sytuacji KTT wyspecjalizowały się w konstruowaniu coraz bardziej wydajnych parowych koparek, buldożerów i ciągników. W paleniskach tych maszyn można było palić dowolnymi materiałami i z każdym kolejnym modelem silniki te stawały się mocniejsze, lżejsze i bardziej niezawodne. Tak było na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat.

Co więcej – maszyny te osiągnęły taki stopień wyrafinowania, że postanowiła się im przyjrzeć właśnie armia. Chan Geraith był jednym z oficerów, który nie był do końca przekonany, co do zastosowania podobnego sprzętu w warunkach bojowych, lecz przez dwadzieścia kilka ostatnich miesięcy zobaczył na tyle dużo, by być przekonany, iż rzeczywiście w tego rodzaju wynalazkach należało upatrywać

przyszłości wojskowego transportu.

Plany wymagały, by w nowe transportery piechoty i zaopatrzenia został wyposażony cały piąty korpus, ale jak to zawsze było (zwłaszcza w czasach pokoju) na całkowitą realizację zamierzeń nie starczało armii środków. Trzecia dywizja dragonów, wytypowana na jednostkę szybkiego reagowania była najmniejszą z trzech dywizji korpusu (oddziały konne zawsze liczyły mniej ludzi niż odpowiadające im jednostki piechoty) i zarazem najbardziej mobilną. To właśnie ją wyposażono ostatnio najlepiej, choć i tak nadal było to około osiemdziesięciu procent założonego stanu. Jediną pociechą w tej sytuacji było to, że kawalerzyści chan Geraitha nie musieli mieć tylu pojazdów do przewożenia piechoty, co reszta dywizji.

–Żeby Arlos mógł osiągnąć pełen poziom wyposażenia – ciągnął chan Rowlan patrząc na chan Manthaua i chan Jassiana – obedrzemy was obu ze skóry. Co więcej, wyposażymy go nadmiarowo. Jest przecież jasne, że gdy tylko wyprowadzimy nasze parowce w pole, to od razu pojawią się jakieś techniczne problemy i awarie. Spróbujemy więc zastąpić niezawodność sprzętu jego liczebnością.

Obaj dowódcy piechoty skinęli głowami. Oczywiście żaden z nich nie był szczególnie zadowolony z tego, co usłyszał, niemniej obaj doskonale rozumieli powagę sytuacji.

–Marszałek chan Gristhane poinformował mnie także, że fundusze na produkcję i zakup nowych parowców i na program alternatywny, czyli na badania nad wersjami benzynowymi otrzymają absolutny priorytet. Co więcej – oficer uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili, w której Zobaczył przekaz zza Wrót Piekieł – dowództwo floty już zostało poinformowane, że nie dostanie dwóch nowych pancerników, o które się ostatnio dopominali. Mam wrażenie, że po latach siły lądowe znów zyskały na znaczeniu w oczach Skarbu.

Uśmiech zgasł równie szybko jak się pojawił. Wszyscy czterej dowódcy przypomnieli sobie powód tej nagłej zmiany sytuacji. Chan Rowlan odchrząknął.

–Arlos, wyruszysz jak najszybciej. Przygotujcie się.

Chan Geraith skinął głową. Nie wspomniał ni słowem o tym, że przygotowania rozpoczął już trzydzieści sześć godzin temu. Jego dragoni od wczorajszego świtu sprawdzali sprzęt, kuli konie, i ładowali na parowe transportery amunicję oraz zaopatrzenie.

–Będziesz w stanie wyruszyć w ciągu dwudziestu czterech godzin? – spytał chan Rowlan, co oznaczało, że przygotowania chan Geraitha nie były dla niego tajemnicą. – Mniej więcej tyle czasu zajmie kolejarzom przygotowanie dla was wagonów.

–Pierwsza z moich brygad będzie gotowa za dwanaście godzin – obiecał chan Geraith. – Brakuje mi piętnastu procent parowców, ale skoro mamy to nadrobić sprzętem od Yarkowana i Ustace'a mogę pierwszej brygadzie przerzucić trochę wyposażenia drugiej i trzeciej. Trzecia stanie się przez to pewnie trochę wolniejsza, bo jeszcze bardziej straci na możliwościach transportowych, kiedy wyposażę i wyślę drugą ale i tak myślę, że kwatermistrze poradzą sobie ze wszystkim na czas.

–Świetnie – powiedział chan Rowlan. Wyprostował się na krześle i odetchnął.

–W tym momencie nie wiemy jeszcze, na co się natkniemy kiedy wreszcie dotrzemy do Nowej Uromathii – przyznał – ale, Arlos, zrobimy co w naszej mocy, by informować cię na bieżąco przez sieć Głosów. Będziemy przekazywać ci decyzje polityczne i strategiczne, choć różnica czasów jest tam taka duża, że z pewnością często będziesz musiał polegać na własnym osądzie. Ja wyruszę, żeby do ciebie dołączyć od razu jak tylko upewnię się, że możemy ci wysłać co najmniej jedną dywizję piechoty. Ale do tego czasu to ty będziesz tam najważniejszy – pod wieloma względami.

–Rozumiem – odparł chan Geraith.

–W takim razie chciałbym, żebyś zrozumiał jeszcze jedno. Naszym głównym obowiązkiem jest ochrona obywateli Sharony i odbicie naszych, którzy mogli wpaść w ręce nieprzyjaciela. Wiem, że wszyscy mamy nadzieję na uratowanie Shaylar Nargry-Kolmayr, ale są tam też inni cywile i wojskowi. Ich bezpieczeństwo to nasz absolutny priorytet. Marszałek chan Gristhane wskazał jednakże na jeszcze jeden bardzo ważny aspekt sytuacji. Wrota Piekieł to część skupiska. Według ocen Zarządu kilka portali z Łańcucha Karys powstało zupełnie niedawno. Możliwe jest więc, że mamy do czynienia z łańcuchem o niespotykanej dotąd aktywności. Nowe portale mogą pojawiać się tam nawet w tej chwili, kiedy my tu sobie gawędzimy. Nie możemy dopuścić, by to skupisko pozostało w rękach wroga – a obcy zrobili wystarczająco dużo, by ich tak nazywać. Istnieje przecież możliwość, że rozrastając się utworzy połączenie z którymś z naszych starszych łańcuchów.

–Czyli moim zadaniem jest także zabezpieczenie tego wszechświata? – chan Geraith chciał mieć absolutną pewność. Chan Rowlan przytaknął.

–Być może za jakiś czas wypracujemy jakieś rozwiązania dyplomatyczne. Zanim do tego dojdzie, na pewno będziemy musieli mieć pewność, że odpowiedzialni za to... że zostaną surowo ukarani. Chyba, że kapitan chan Tesh sam już tego dopilnował. Tymczasem, największym ustępstwem na jakie możemy pójść jest jakiś rodzaj wspólnej kontroli tego skupiska. Jeśli trzeba będzie w tym celu użyć siły, to trudno. Nie mamy wyjścia. Zawsze też istnieje możliwość, że Konklawe, które odbędzie się w Tajwanie zmieni te rozkazy, chociaż osobiście szczerze w to wątpię. Otrzymasz formalnie spisane instrukcje, w których staraliśmy się przewidzieć wszystkie możliwe

ewentualności i kierunki rozwoju sytuacji, ale w zasadzie twoje zadanie sprowadza się do zabezpieczenia skupiska i utrzymania nad nim kontroli.

Chan Geraith ponownie skinął głową. Myśl o wyprawie z pojedynczą dywizją dragonów na wojnę z całą armią zupełnie nieznaną trans-wszechświatowej cywilizacji była co najmniej nieprzyjemna. Zwłaszcza kiedy się pomyślało o niesamowitej broni, której działanie obcy już zdążyli zademonstrować. Co więcej – w odróżnieniu od kolegów – chan Geraith miał mocne podejrzenia, że tamci nie pokazali jeszcze całej swej technologicznej potęgi. To, co widzieli do tej pory mogło być jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Był przekonany, że czeka ich jeszcze wiele nieprzyjemnych niespodzianek. Z drugiej strony Sharona też mogła ich z pewnością niejednym zaskoczyć, niemniej martwiła generała pewność siebie, jaką zaczęli przejawiać niektórzy młodszy oficerowie po tym, jak dotarła do nich wiadomość o łatwym zwycięstwie oddziału chan Tesha.

Mimo tych wszystkich zmartwień chan Geraith był pewien, że da radę zabezpieczyć i utrzymać to skupisko o ile uda mu się dotrzeć tam przed siłami obcych. Chan Tesh trzymał przecież łapę na portalu wejściowym nieprzyjaciela, a portal ten miał szerokość jedynie kilku mil. Trzecia dywizja dragonów utrzymałaby front tej długości nawet, gdyby atakującymi były hordy arpathiańskich demonów.

–Rozumiem, panie generale – powiedział wreszcie. – Kiedy pan tam dotrze, oprowadzę pana po naszym skupisku.

* * *

–Chciałeś się ze mną zobaczyć Gahlreen? – zapytał uprzejmie Olvyr Banchu, gdy sekretarka otworzyła drzwi i pozwoliła mu przejść.

Gahlreen Taymish, dyrektor naczelny Kolei Trans-Temporalnych podniósł oczy znad rozrzuconych po całym biurku dokumentów i energicznie skinął głową.

–Tak, cholera, chciałem – rzucił. Odsunął się na krześle, wstał i obszedł swoje olbrzymie biurko, by uścisnąć dłoń Banchu, po czym wskazał ruchem głowy widniejący za oknem portal Larakesh.

Banchu zrozumiał bez słów. Taymish znany był ze swego bogactwa, swej obrotowości, bezkompromisowości, żywiołowego temperamentu i arogancji, lecz gdzieś głęboko tkwił w nim młody chłopak, który wyrósł na nieurodzajnej farmie pod Larakesh. Chłopiec, który marzył o tym portalu, dominującym nad miastem i całym wszechświatem... chłopiec, który marzył też o swej przyszłości. Nigdy nie znudził go wspaniały widok leżących ponad cztery tysiące mil – i jeden wszechświat – dalej gór w pobliżu południowego krańca Ricathii. Taymish stał teraz przed oknem, patrzył na szczyty i zastanawiał się nad obietnicami nowych, nieodkrytych jeszcze światów.

–Spodziewam się, że sam się już domyśliłeś dlaczego cię wezwałem – powiedział dyrektor po chwili rzucając Banchu bystre spojrzenie kątem oka.

–Wydaje mi się, że są dwie możliwości – odpowiedział Banchu. – Po pierwsze mogłeś mnie wezwać, żeby poinformować mnie, że właśnie wyleciałem za to, że nie dotrzymałem tego szaleńczego kalendarza robót, który mi niedawno narzuciłeś. Po drugie mogłeś mnie wezwać, żeby powiedzieć, iż nie spodziewałeś się, że wyrobię się w tak krótkim czasie i chcesz mi pogratulować tego, że i tak nieźle mi poszło.

–Ciepło – uśmiechnął się Taymish. - To prawda, ani przez chwilę nie sądziłem, że wyrobisz się na czas. W miarę upływu lat odkryłem, że wymaganie niemożliwego wyzwala u ludzi siły, których sami w sobie wcześniej nie podejrzewali. Okazuje się, że człowiek starając się zaspokoić wrzeszczącego mu nad głową idiotę potrafi przenosić góry. I owszem. Jestem zadowolony z tego, co zrobiłeś. Jednakże teraz mam już dla ciebie nowe zadanie.

–Ach tak?

Banchu spojrzał nieufnie na przełożonego. Przez piętnaście lat, jakie upłynęły od chwili, gdy Taymish - wtedy szef Departamentu Budowy KTT, wyrwał go z poprzedniej posady w Ministerstwie Transportu Uromathii, Olvyr Banchu zdążył się nauczyć, że jego szef zwykł nagradzać ludzi, którzy radzili sobie z niewykonalnymi zadaniami powierzając im jeszcze bardziej niedorzeczne misje.

–Dokładnie – Taymish uśmiechnął się szeroko do głównego inżyniera KTT Uśmiech nie trwał jednak zbyt długo. – Chcę, żebyś udał się osobiście do Traisum i przejął tam kierownictwo.

–Rozumiem.

Banchu nawet nie próbował udawać zaskoczenia. Linia kolejowa biegnąca przez Łańcuch Hayth w kierunku Karys rozrastała się w zadowalającym tempie jeszcze przed atakiem na zespół badawczy Konsorcjum Chalgyn. Zadanie było potężnym wyzwaniem, ale z drugiej strony z łatwymi wyzwaniami KTT nie miawały zazwyczaj do czynienia. Budowniczym i inżynierom pomagał też fakt, że każda planeta, do której prowadziły portale była w istocie kopią Sharony. Trasy dla linii kolejowych nie musiały być więc opracowywane za każdym razem od nowa, ponieważ można było korzystać z gotowych map topograficznych. Dostarczenie na miejsce budowy materiałów, sprzętu i ludzi stanowiło więc problem czysto techniczny, a pracownicy KTT byli przecież najbardziej doświadczonymi i najwydajniejszymi inżynierami i robotnikami kolejowymi w historii świata. KTT położyły już ponad dwa miliony mil torów łączących ze sobą czterdzieści wszechświatów.

To jednak, co było świetnym wynikiem w czasach pokoju i w sprzyjających

warunkach stawało się zupełnie czym innym, w obliczu groźnego, zabójczego wręcz wroga czającego się na drugim końcu łańcucha tranzytowego.

–Mam ich pogonić, tak? – zapytał po chwili.

–To część mojej prośby – powiedział Taymish. – Tu w centrali twoja pomoc jest dla mnie wprost nieoceniona, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Nie urodziłeś się po to, by gnić za biurkiem. Jeśli ktokolwiek zdoła zmusić te łajzy do położenia kilku dodatkowych mil torów dziennie to właśnie ty. Natomiast szczerze mówiąc głównym powodem, dla którego chcę cię tam wysłać jest twój staż pracy.

–Tak? – Banchu uniósł brew, na co Taymish zachichotał. Nie był to szczególnie przyjemny dźwięk.

–Przez Hayth przerzucamy dokładnie w tej chwili ciężki sprzęt, tory, i ludzi. Ściągnęliśmy tam robotników z całej sieci. W Łańcuchu Salth zawiesiliśmy wszystkie projekty, wszystko i wszystkich stamtąd pchnęliśmy na budowę tej linii do Karys i Nowej Uromathii. To znaczy też, że jedzie tam wielu wysokiej rangi, doświadczonych inżynierów. Nie potrzebuję żeby wybuchły mi tam jakieś konflikty o to, kto jest ważniejszy i czyich poleceń należy słuchać w pierwszym rzędzie. Kiedy tam będziesz nic takiego nie przyjdzie im do głowy. Po drugie w rejonie znajdują się wkrótce naprawdę ważne szczyty z armii. Chcę żeby z naszej strony mógł rozmawiać i współpracować z nimi ktoś na ich poziomie. Ktoś, kto im powie realnie, co będziemy w stanie zrobić, a czego nie. Ktoś kto wyjaśni im też, czego możemy potrzebować z ich strony.

–A to, że jestem Uromathianinem i powierza mi się największy i najbardziej żywotny projekt budowlany w historii Sharony niczego tu nie zmienia? – spytał domyślnie Banchu.

–Jak dotąd to nie miało znaczenia - powiedział Taymish. – Do diabła, Olvyr. Sam nie wiem, czy zatrudniłem cię u siebie bardziej dlatego, żeby utrzymać Chavie nosa zabierając mu dobrego inżyniera, czy po to, żeby zaspokoić ternathiańskich liberałów. Oczywiście do czegoś tam się przydałeś, ale to szczegół.

Banchu wybuchnął śmiechem. Gahlreen Taymish miał zwyczaj pieczenia wielu pieczeni przy jednym ogniu, więc w tym co powiedział z pewnością tkwiło jakieś ziarno prawdy. Oczywiście Olvyr był pewien, że Taymish – gdyby tylko był pewny zdolności kandydata – zatrudniłby każdego, bez względu na jego narodowość.

A jednak dyrektor naczelny często wykazywał zdumiewającą wręcz wrażliwość i zrozumienie stosunków międzyludzkich. Umieszczenie Uromathianina na czele tak ważnego projektu było sposobem na zaspokojenie ambicji cesarza Chavy – a przynajmniej na miłe polechtanie jego dumy i ambicji. Niestety – poza cesarzem także

wielu zwykłych Uromathian żywiło skrywaną wrogość do Ternathii, która stała się z czasem jedynym supermocarstwem Sharony, mimo wielkości ich kraju. Także i oni uspokoiliby się widząc jednego ze swoich na tak ważnym stanowisku.

Uromathiańska prasa będzie z pewnością zachwycona. A jeśli w rejonie pojawią się jacyś uromathiańscy oficerowie SZZP obecność Banchu mogła okazać się jeszcze bardziej cenna. Przy nim starcia pomiędzy żołnierzami z obu głównych mocarstw Sharony nie będą tak poważne, jak mogłyby być w innej sytuacji.

–W porządku – powiedział. – Wysyłam jutro dwa pociągi budowlane. Pojadę jednym z nich. Może nawet zdążę jeszcze pocałować żonę na do widzenia.

ROZDZIAŁ

DWUNASTY

Tajvana oszalała.

Andrin była przyzwyczajona do igrzysk cesarskich widoków, lecz nie mogła wyjść z podziwu już podczas samego zbliżania się do miasta. Znała oczywiście mapy i widziała obrazy – zarówno te malarskie jak i nowoczesne – fotografie. Teraz jednak osobiście żeglowała przez długie, wąskie przesmyki Cieśnin Ibrala, po lewej mając długi cypel zwany Ostrzem Ibrala a po prawej północno-zachodnie rubieże Shurkhal. Cieśnina miała długość trzydziestu ośmiu mil, lecz w najszerszym miejscu mierzyła sobie jedynie cztery mile. W najwęższym natomiast woda płynęła pasem o szerokości niecałej mili. Mimo to – ilość statków przepływających tędy o dowolnej porze dnia lub nocy przytłaczała wyobraźnię.

Boje, latarnie morskie, statki pilotujące, jednostki Królewskiej Policji Celnej Othmaliz utrzymywały tę tłoczną trasę w jako takim porządku. Kary za jakiegokolwiek naruszenie Zasad Żeglugi Ibral były tak wysokie, że zrujnowałyby większość armatorów. Andrin wiedziała o tym, tak samo jak wiedziała, że wzdłuż cieśniny budowano wielotorową linię kolejową, która miała nieco odciążyć wody samej cieśniny. W ciągu ostatnich dwóch dni jednak oglądali - i omijali – nieprzerwany strumień statków handlowych wszelkich rozmiarów i rodzajów wpływających i wypływających z cieśniny.

Widok takiej masy towarów jeszcze bardziej uzmysłowił Andrin jak ważna była eksploracja wszechświatów leżących po drugiej stronie Wrót Larakesh.

Z pokładu „Powiewu” przez cały czas rejsu przez cieśninę widać było oba jej brzegi. Na każdym z nich wznosiły się liczne fortece i umocnienia. Wiele z nich było prawie tak samo starych jak sama Pięść Bolakinu. Budowano je i przebudowywano, modernizowano czy po prostu zastępowano nowymi, w miarę rozwoju techniki wojennej. Surowe oblicza fortec podkreślały ogromne znaczenie tego wąskiego szlaku wodnego. Od momentu wynalezienia prochu strzelniczego nikomu nie udało się wziąć cieśniny siłą. Nie było zresztą ku temu wielu okazji, gdyż do chwili wycofania się Imperium z tych terenów, żadne państwo nie ważyło się nawet pomyśleć o próbie zbrojnej zmiany właściciela wodnej drogi prowadzącej do dawnej stolicy starożytnego Imperium Ternathii.

Obecnie większość z tych umocnień stanowiła przede wszystkim atrakcje turystyczne, choć nie wszystkie zostały zupełnie opuszczone. Królestwo Othmaliz, któremu przypadła Tajvana po wycofaniu się Ternathii, utrzymywało w nich załogi. Garnizony nie były oczywiście zbyt duże – w końcu na Sharonie od bardzo dawna nie toczono już żadnych wojen. Mimo to posterunki nadal strzegły cieśniny i

„Powiew” musiał uzyskać specjalne zezwolenie rządu Othmaliz na ich wyminięcie. Dzięki sieci Głosów cała procedura zajęła Alazon Yanamar jedynie kilka chwil, lecz prostota nie przesłoniła Andrin rzeczywistego znaczenia tego faktu.

Nie umknęły jej także skutki pojawienia się „Powiewu”. Gdy liniowiec zbliżył się do zachodniego wylotu cieśniny potężny strumień statków zmienił się w wąską stróżkę, by po chwili zamrzeć zupełnie. Z początku księżniczka nie rozumiała dlaczego tak się stało. Potem jednak pojęła gdy przesmykiem ruszył „Powiew” pilnowany z przodu przez „Księcia Ternathii” i z tyłu przez „Diuka Ithrial”.

Cieśninę zamknięto dla ruchu handlowego.

Jedynymi statkami w zasięgu wzroku były kutry policji celnej i lekkie kanonierki floty wojennej Othmaliz. Krążowniki eskorty „Powiewu” opuściły bandery w geście pozdrowienia. Oba ternathiańskie okręty z całą pewnością pokonałyby bez trudu każdy statek z Othmaliz, lecz to one właśnie pierwsze oddały salut gospodarzom. Andrin spojrzała na ojca.

–Zastanawiasz się, czemu to my im salutujemy Drin? – zapytał z lekkim uśmiechem.

–Tak... właśnie o tym myślałam – przyznała.

–Widzisz, Othmaliz jest małym kraikiem, to prawda – powiedział. – Licząc pod względem dochodu na głowę mieszkańca jest to chyba najbogatsze królestwo w multiwersum, ale w porównaniu z naszym Cesarstwem jest maleńkie. Co więcej tu nie ma nawet króla, choć oficjalnie Othmaliz pozostaje królestwem. To jednak – wskazał na opuszczoną banderę na maszcie „Powiewu” a potem na opuszczane w odpowiedzi flagi na okrętach Othmaliz – jest niezwykle ważne. Nie tylko dlatego, że Othmaliz lepiej się z tym poczuje, ale przede wszystkim dlatego, że my, jako zagraniczni goście powinniśmy zachowywać się tutaj tak, jak chcielibyśmy by zachowali się oni wkraczając na nasze terytorium. Zauważ też, że zamknęli ruch w cieśninie specjalnie dla nas. Płyniemy teraz sporo ponad dopuszczalną tu prędkość, a i tak po drugiej stronie znajdziemy się dopiero za trzy godziny. Trzy godziny na które zamknęli dla naszego bezpieczeństwa najruchliwszy wodny szlak świata.

Andrin skinęła głową. Myślała o tym samym.

–Nikt ani przez chwilę nie sądzi, że Othmaliz, mimo posiadania Tajwany i kontroli nad cieśniną, jest równe bogactwem i znaczeniem Ternathii, lecz jest to królestwo jak każde inne i należy mu się taki sam szacunek jak nam. Wojna to inna sytuacja, ale w czasach pokoju mądry władca powinien traktować wszystkich tak samo.

–Kurtuazja nic nie kosztuje, a skłonność do jej okazywania jest również subtelnym sposobem na podkreślenie własnej siły. Zdarzają się oczywiście sytuacje, gdy podobne zachowanie odebrane zostałoby jako oznaka słabości, ale to tylko wtedy,

gdy zachowaliby się tak przedstawiciele jakiegoś monarchy czy państwa znanego ze swej wojowniczości. My natomiast – Ternathia – zawsze szcyciliśmy się tym, że zawsze postępujemy w zgodzie z protokołem dyplomatycznym i prawem międzynarodowym – nawet wobec naszych wrogów. Gdybyśmy nie okazali tej uprzejmości, to tym samym wykazalibyśmy się arogancją i wzdargą wobec naszych gospodarzy. Nie dochowanie takich zasad stanowi pożywkę dla gniewu, nieufności i swarów, o których ciężko się potem zapomina. Naszym obowiązkiem jako reprezentantów kraju jest być uczciwymi, otwartymi i uprzejmymi wobec kraju przyjmującego. Pogwałcenie tych obowiązków mogłoby szybko doprowadzić do nieporozumień, uraz a nawet przemocy.

Księżniczka pomyślała o dominujących opiniach na temat cesarza Uromathii i zrozumiała, o czym mówił jej ojciec.

–A czy pomoc Głósów nie zapobiega w większości wypadków nieporozumieniom? – zadała kolejne pytanie.

–Teoretycznie – a najczęściej i praktycznie – owszem. Tylko, że jeśli wrogość zdąży się już wykluc, to zwykła komunikacja nie wystarcza do jej pokonania. Jeśli dwa narody mają długą tradycję wzajemnej niechęci, jeśli zawsze uchybiają sobie na forum międzynarodowym, jeśli poniżają jedno drugie w trakcie negocjacji, to nieporozumienia i wybuchy gniewu pojawiają się szybko, zwłaszcza w ciężkich czasach. Jeśli wszyscy mają szczęście, dyplomaci i Głosy wkraczają do akcji zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. To nie zawsze jednak skutkuje, a kiedy się nie udaje, konsekwencje mogą być straszliwe dla wszystkich zainteresowanych.

–Masz na myśli to co stało się za Wrotami Piekieł? – spytała cicho. Cesarz ponuro skinął głową.

–Tak, to właśnie mam na myśli. To oczywiście nie do końca dobry przykład, gdyż w tym przypadku nie było ustanowionych kanałów dyplomatycznych ani protokołów, ale jest wielce prawdopodobne, że cała ta sytuacja wyrosła ze zwykłego zaskoczenia, strachu i nieznanomości drugiej strony. Może się mylę i możliwe też, że nigdy się nie dowiemy, jak się to wszystko zaczęło, ani która strona wystrzeliła jako pierwsza. Jestem jednak pewien, że konsekwencje tych wydarzeń ponosić będziemy jeszcze bardzo długo.

Dlatego też tak ważnym jest, by nie dopuszczać do nieporozumień tu – na Sharonie. Zwłaszcza w takiej chwili.

–Tak, rozumiem papo. Dziękuję.

–To było bardzo dobre pytanie Drin. Powinnaś zadawać więcej takich. To teraz twój obowiązek.

–Będę pytać papo.

Zapadła cisza – długa chwila nabrzmiała zastanowieniem. Stali obok siebie przyglądając się mijanym wybrzeżom przez całe trzy godziny podróży Cieśninami Ibrala. Wreszcie dotarli do morza o tej samej nazwie.

Morze Ibrala – ciągnące się przez sto siedemdziesiąt pięć mil z północy na południe, a w najszerszym punkcie liczące sobie prawie pięćdziesiąt mil – przepłynęli w znacznie dłuższym czasie. Andrin wiedziała, że mimo, iż nie było wielkie, to w najgłębszym miejscu miało czternaście tysięcy stóp. Kiedy na nie wpływali, jak okiem sięgnąć widziała statki oczekujące przed wejściem do cieśniny na chwilę, gdy opuści ją „Powiew”.

Andrin zeszła z pokładu tylko po to, by coś zjeść i wytrzymać godzinę towarzystwa lady Merissy. Potem wróciła w towarzystwie Lazimy chana Zindico – i lady Merissy – i znów zajęła swe miejsce na pokładzie spacerowym. Zapatrzyła się w ciemne wody morza Ibrala. Statki handlowe zostawiły „Powiewowi” i jego eskorcie niewiele miejsca, ale i tak miała na co patrzeć. Nie przejmowała się nawet tym, że gapiała się jak zwykła nastolatka. „Przecież ja jestem zwykłą nastolatką” – pomyślała z uśmiechem.

Kiedy z morskich fal zaczęło się wreszcie wynurzać miasto było już dobrze po południu. Na horyzoncie pojawiła się najpierw szara smuga, która rosła i pęczniała, aż w końcu zobaczyli pierwsze szczegóły.

Tajvana znajdowała się u południowego krańca dziewiętnastomilowej cieśniny Ylani i leżała na bez wątpienia najbogatszym i najbardziej zróżnicowanym kulturowo przecięciu szlaków handlowych Sharony. Na ciemnych wodach przesmyku kładła się gęsta mgła historii. Na jego brzegach wznosiło się w przeszłości tak wiele miast, że ich fundamenty i mury tworzyły grube warstwy, z których każda opierała się na jeszcze starszej. Mury miasta budowano i odbudowywano tyle razy, że miejscami te warstwy grube były na sto stóp.

Andrin bardzo chciała poznać nie tylko samo żyjące miasto, ale też starożytne ruiny odkrywane stopniowo przez archeologów. W Tajwanie odkopywano budynki sprzed ponad pięciu tysięcy lat, czyli jeszcze starsze niż sama Ternathia. Księżniczka czytała o ruinach, widziała stare ryciny z pierwszych wykopalisk i oglądała nowoczesne zdjęcia dokumentujące bardziej współczesne badania, podczas których naukowcy odsłaniali coraz więcej tajemnic dziejów. Nawet jednak cud fotografii nie mógł się równać doświadczeniu osobistej przechadzki wśród ruin. Andrin powiedziała ojcu o swym marzeniu już jakiś czas temu i Zindel zgodził się zorganizować dla niej taką wyprawę.

**–Na pewno nie tylko my zechcemy obejrzeć sobie miasto powiedział. –
Podejrzewam, że większość uczestników Konklawe zażyczy sobie je zwiedzić,**

przynajmniej pobieżnie. Myślę, że dla wielu z nich będzie to jedyna taka okazja w życiu.

–Wynika z tego, że nawet kryzysy multiwersalne mają jakieś dobre strony – uśmiechnęła się Andrin i cesarz roześmiał się na głos.

–To prawda. I nie przejmuj się, sam chętnie parę rzeczy zobaczę. Co prawda w odróżnieniu od ciebie już tutaj byłem ale zapewniam cię, że nie jesteś na tym statku jedynym Calirathem zaintrygowanym miejscowymi wykopaliskami i starożytnymi monumentami.

Ojciec podszedł do niej i sam oparł się o reling. Księżniczka ujrzała wysokie iglice, strzelające ku niebu ze świątyń co najmniej tuzina wyznań. Złocene kopuły odbijały słoneczne refleksy, rozsiewając na niebie błyszczące światelka. Potem, przed nimi pojawił się, niczym złota nić, zdobny łuk. Potem pojawił się jeszcze jeden i kolejny, aż wreszcie Andrin zobaczyła cały niesamowity, ogromny most łączący oba brzegi cieśniny Ylani.

–Jak? – zapytała w najwyższym zdumieniu. – Kto potrafił coś takiego wybudować?

–Żałuję, ale tego nie możemy przypisać sobie – powiedział z uśmiechem jej ojciec. – Niestety zaszczyt wzniesienia tego mostu przypadł Jego Koronowanej Eminencji Seneszałowi Othmaliz. O ile się nie mylę, konstrukcja liczy sobie już siedem miesięcy.

Andrin odwróciła się od mostu do ojca.

–Ale w jaki sposób papo? Przecież most tej długości powinien zawalić się pod własnym ciężarem! A już na pewno, przy pierwszym silniejszym powiewie wiatru!

–Cóż – oczy Zindela zabłyśły – niektórzy powiadają, że seneszał zawarł pakt z diabłami ze wszystkich jedenastu piekieł Arpathii. Mówię, że piekieł było jedenaście, bo ile było diabłów nie wie nikt. Nawet sami Arpathianie. Ja też przestałem je liczyć kilka lat temu – uśmiechnął się Zindel. – Mam czasem wrażenie, że Septowie wymyślają sobie nowe diabły za każdym razem, gdy powieje wichura lub księżyc wejdzie w nową fazę. W każdym razie pakt miał polegać na tym, że w zamian za plany mostu władca oddał w zastaw swoją duszę i teraz przez resztę życia będzie musiał budować kolejne świątynie, żeby ją wykupić – zachichotał cesarz. – Prawda jest jednak mniej barwna. Seneszał ogłosił konkurs dla najzdolniejszych inżynierów świata. Temu, kto potrafiłby zbudować w tym miejscu przeprawę obiecał tytuł diuka i dożywotnie wpływy z myta pobieranego za przejazd mostem.

–Jest... zdumiewający – Andrin aż jęknęła.

Rzeczywiście był. Z każdą chwilą wyglądał jeszcze wspanialej. Filary tworzyły

potężne wieże z kamienia i betonu. Przesła były stalowe, lecz nie wykonano ich z litego metalu, jak się tego Andrin spodziewała. Splecione były na kształt metalowych lin i to właśnie one nadawały mostowi pozór pajęczyny. Zmarszczyła czoło starając się to zrozumieć. Powiał silniejszy podmuch.

I wtedy do niej dotarło.

–To naprawdę czysty geniusz! – zawołała zachwycona. – Używając zamiast sztywnych belek stalowych lin inżynier sprawił, że cała konstrukcja jest elastyczna i nie pęka!

Cesarz uśmiechnął się od ucha do ucha.

–Brawo Drin! Właśnie na takiej zasadzie zbudowano ten most. Nie zapominaj też, że w tej części świata dość często zdarzają się trzęsienia ziemi. Jestem pewien, że konstruktorzy myśleli także i o tym – śmiał się dalej. – Jeśli kiedykolwiek znudzi cię władza i życie na dworze, i zechcesz spróbować czegoś bardziej przyziemnego, powinnaś pomyśleć o inżynierii!

Wtedy rozległo się urażone mknienie lady Merissy, która wreszcie zdołała podźwignąć się z łoża boleści.

–Wasza wysokość! Cóż za nieprzyzwoita sugestia! Jej wysokość nosi nazwisko Calirath! Nie może zostać... pracownikiem!

Strażniczka reputacji Andrin popatrzyła na Zindela oburzona. Cesarz spojrział na nią spokojnie.

–Droga lady Merisso, nie miałem najmniejszego zamiaru sprawić ci zawodu. Jednak jeśli jako Calirath, Andrin, pomiędzy swymi lekcjami postawy, ćwiczeniami z nauczycielem tańca i lekcjami z Shamirem Taje i innymi szanownymi wykładowcami, zechce jeszcze budować mosty – powiedział z błyszczącymi oczyma – to może zbudować ich tyle, ile się jej żywnie spodoba i otrzyma na to moje błogosławieństwo. My Calirathowie paraliśmy się już różnymi zajęciami i projektami tylko dlatego, że stanowiły wyzwanie. Poza tym – dodał – budowa mostów to nie praca. To powołanie!

Nawet tak subtelne rozróżnienie nie przekonało jednak lady Merissy, która wyglądała jakby miała dostać ataku apopleksji. Żeby się nie roześmiać Andrin musiała obiema dłońmi zasłonić buzię. Merissa przerażona odpowiedzią cesarza spojrziała na księżniczkę najsurowiej jak potrafiła. Zindel roześmiał się głośno.

–Lady Merisso – powiedział wesoło – jest pani beznadziejnym przypadkiem arystokratyzmu.

Widać było, że opiekunka Andrin toczy wewnętrzną walkę. Z jednej strony chciała

oburzyć się, z drugiej czuła, że nie mogła tego zrobić wobec najpotężniejszego człowieka Sharony. Najpotężniejszy człowiek Sharony tymczasem odwrócił się od niej i spojrzał na most Ylani. Oburzenie Merissy na myśl o karierze inżynierskiej Andrin szczerze go rozbawiło. Jego radość miała jednak lekko gorzki posmak – dobrze bowiem rozumiał, jak wiele ograniczeń spoczywało na przyszłości jego córki. Wiedział też, że wraz z upływem czasu przybędzie ich jeszcze więcej.

Księżniczka była żywiołową, inteligentną młodą kobietą, której naturalny entuzjazm był nazbyt często temperowany zasadami wynikającymi z jej urodzenia. Inne dziewczyny, które zechciałyby studiować inżynierię także na pewno wzbudziłyby zdziwienie u wielu, w tym i w samych wykładowcach, lecz taka możliwość stała przed nimi otworem. Dla Andrin te drzwi miały pozostać zamknięte na zawsze i to wcale się jej ojcu nie podobało. Spojrzał na nią i zdjął jej z brwi kosmyk włosów.

–Rozumiesz Andrin, prawda? – zapytał cicho.

Jej oczy były równie szare jak sieczone wiatrem wody morza Ibral. W ich prostolinijnym spojrzeniu nie kryło się nic złego, lecz widniała w nich pewna rezerwa. Rezerwa z jaką ludzie patrzą na rzecz, którą rozważają w powiązaniu z bezlikiem innych, zewnętrznych czynników. Były to oczy zbyt stare jak na siedemnastolatkę, choć z drugiej strony dziwnie łagodne, młode i bezbronne.

–Tak, papo – odpowiedziała równie cicho i na jej usta wypłynął smutny uśmiech. – Rozumiem, że i tak muszę zająć się zbyt wieloma rzeczami, by jeszcze myśleć poważniej o chwilowych kaprysach.

„O trwałych kaprysach też powinnaś zapomnieć” – dodał w myślach cesarz.

–Żałuję, że tak musi być – powiedział już głośno – lecz nie jesteśmy w stanie zmienić świata ani własnego przeznaczenia. No, ale wystarczy już o tym. Patrz! – wskazał na lewy brzeg przesmyku. – Czyż to nie jest najpiękniejsza świątynia Shalany jaką kiedykolwiek widziałas?

Andrin spojrzała we wskazanym kierunku i jęknęła przeciągle i z podziwem. Ze szczytu strzelistej kopuły wznosiła się smukła wieża, kształtem przypominająca iglicę. Była złota – wyglądała jakby upleciono ją ze złotych nici. Tymczasem sama kopuła pokryta została złoto-błękitną mozaiką układającą się w spiralnie wijące się pasy, ciągnące się wężowo do samej ziemi. Złote fragmenty zostały wykonane rzeczywiście ze szczerzego złota – z cieniutkich pasków złotej folii układanych warstwa na warstwie przez tysiące pielgrzymów. Błękitne pasy natomiast powstały ze wspaniałego lazurytu. Tę część mozaiki stworzono z dziesiątek tysięcy płytek wyciętych z tego półszlachetnego, poświęconego Shalanie, kamienia. Paski lazurytu wyłożono następnie błękitnymi klejnotami – chwytającymi w siebie, oślepiające światło słońca. Tysiące szlifowanych szafirów zdobiło całą kopułę, stanowiąc

zapiierający dech w piersiach dowód bogactwa świątyni Shalany, którą nadzorował zakon kapłanek. Ściany Wielkiej Świątyni wzniesiono z białego marmuru, także inkrustowanego kawałkami lazurytu, uformowanego w stylizowane morskie fale i słoneczne promienie. Zakon Shalany cieszył się reputacją najpotężniejszego stowarzyszenia religijnego Sharony. Jego świątynie – i banki – znajdowały się w niemal każdym kraju. Patrząc na piękną budowlę Andrin nie miała wątpliwości, że reputacja nie była daleka od prawdy.

–W życiu nie widziałam czegoś tak ślicznego! – zachwyciła się cicho Andrin. – Jest piękniejsza niż którakolwiek ze świątyń Ternathii! W całym kraju nie mamy czegoś tak cudnego!

Zachłusnęła się na jakiś inny widok i wyciągnęła rękę ku prawemu brzegowi.

–A to? Co to jest? – spytała, choć domyśliła się niemal od razu. Na prawym brzegu przesmyku Ylani osadzona na wzgórzu, pyszniła się wielka budowla.

–To pałac! – pisnęła. Przez chwilę pozwoliła sobie na dokładnie takie zachowanie, jakie przystało młodej, nastoletniej dziewczynie, którą w rzeczywistości – pod warstwami rezerwy, oglady i arystokratycznego obycia – była.

Nie pomyliła się. Patrzyła na Wielki Pałac starożytnego Imperium Ternathii. Budowla nadal stanowiła rezydencję władców. Teraz zajmował ją seneszał Othmaliz, wraz ze swoją liczną służbą, choć bez rodziny.

Królestwo Othmaliz nie było własnością arystokratycznej dynastii, lecz mimo to jego ustroju nie można było nazwać demokracją ani republiką. Tytuł seneszala wywodził się jeszcze z czasów, kiedy tak właśnie nazywano urzędników zarządzających Tajvaną w imieniu cesarzy Ternathii. Po wycofaniu się Imperium tytuł przeszedł na kolejnych, teokratycznych władców Othmaliz.

Królestwem tym władali bowiem kapłani – i zawsze kawalerowie. Seneszale nie żyli w celibacie – co więcej żyli w sposób biegunowo odległy od życia w celibacie – lecz prawa Othmaliz zabraniały im ślubu. Liczni potomkowie kolejnych seneszali nie mogli więc dziedziczyć ani tytułów, ani bogactw rodziciela. Nie mieli także prawa mieszkać w Wielkim Pałacu. Po śmierci jednego z władców wybierano następnego seneszala spośród najwyższych kapłanów Zakonu Bergahla. Zdarzało się nieraz, że tron obejmował wnuk lub syn zmarłego władcy, lecz działo się tak jedynie wtedy, gdy udało się takiemu człowiekowi samodzielnie dojść wcześniej do znacznej pozycji w zakonie.

Zindel od zawsze uważał, że przeznaczenie całego ogromnego Pałacu na siedzibę jednego tylko człowieka wraz z jego służbą było zwykłym marnotrawstwem. Pałac zajmował obszar pięćdziesięciu akrów – jeśli liczyć tylko jego zadaszoną część. Wraz

z przypałacowymi ogrodami i innymi odkrytymi terenami był jeszcze większy. Cesarz myślał o tym stojąc obok swej córki, ciesząc się z radości, jaką sprawiał jej tak długo wyczekiwany widok domu przodków.

Mury Wielkiego Pałacu lśniły bardzo jasno, niemal oślepiały. To całe arkusze miki, którymi inkrustowano ściany słały w ich oczy swój blask. Dach wyglądał niczym baśniowa, fantastyczna kraina wrózek. Usiany był niezliczonymi, kolorowymi kopułami, barwnymi wieżyczkami i stromymi iglicami. Nie przyozdobiono go jednak – na podobieństwo niemal wszystkiego innego w kraju – kolorowymi płytkami, lecz wyłożony został importowanymi płytkami łupkowymi. To one połyskiwały złościście, niczym łuski jakiejś fantastycznej ryby wyrzuconej na brzeg w charakterze daru przez boga głębin. Blask brał się stąd, że każda z płytek obrębiona została starannie złotą folią. Cała budowla zalana była ciepłym, miękkim, niezwykłym światłem.

Efekt jaki wywierał pałac był tym bardziej powalający, że jego tło stanowiły kamienne, suche mury i zalane słońcem dachy, których czerwone, gliniane dachówki dawno już straciły swą barwę. Światło igrające w mice murów i pozłocie dachu sprawiało wrażenie, że cały Pałac unosi się w powietrzu nad resztą miasta. Iluzja była tak silna, że Andrin aż zamrugła, chcąc sprawdzić, co jest ułudą, a co prawdą. Pałac był wspaniały – wydawało się wręcz niemożliwe, by był dziełem człowieka. Nie na tej suchej, wiecznie spragnionej ziemi Tajwany.

Kiedy pomyślała o tym, że w tym pałacu żyli jej przodkowie, jej rodzina – poczuła zawroty głowy. Spacerowali po jego komnatach, chodzili pałacowymi korytarzami. Mieszkali w nim, śmiali się, bawili, nienawidzili i kochali w tych właśnie murach, pod tym samym połyskliwym dachem. To z tego szybującego pałacu decydowali o losach połowy świata. Świata, który dawno odszedł już w niepamięć. Zniknął w mrokach korytarzy czasu. Nie był to jednak świat utracony, lecz raczej z żalem porzucony. Po raz kolejny – patrząc na to, z czego zrezygnowała jej rodzina – Andrin poczuła smutek.

Kiedy myślała o wielkiej zmianie jakiej dokonali w świecie jej przodkowie – zmroziła ją inna refleksja. Teraz i jej świat się zmieniał. Równie dogłębnie i o wiele bardziej gwałtownie. Cały świat – świat jej i wszystkich innych Sharonian – stanął w obliczu zagrożenia ze strony bezimiennego wroga. Przez jeden upiorny moment ujrzała Wielki Pałac w płomieniach, które wzbijały się coraz wyżej na tle nocnego nieba, a pośród kolumn czarnego dymu biegali na oślep, szukający ratunku ludzie. Jęknęła i chwyciła się mocniej relingu. Nie była pewna, czy był to prawdziwy Przebłysk, czy zwykły wytwór pobudzonej wyobraźni, którą podsyczał jeszcze lęk o przyszłość jedyne, znanego jej świata.

Nabrała głęboko powietrza w płuca. Spróbowała się uspokoić, ukoić nerwy i podniosła wzrok na ojca. Zaskoczyła ją głęboka zmarszczka widniejąca na jego czole. Nie wiedziała, o czym on myśli, ale nie miała wątpliwości, że był równie

zaniepokojony jak ona. Odwróciła wzrok i spojrzała na przystań w Tajwanie. A raczej na liczne nadbrzeża Tajwany. Było ich kilka, rozrzuconych na obu brzegach cieśniny. Zauważyła, że wielkie doki na lewym brzegu służyły handlowcom i ruchowi towarowemu, podczas gdy prawy brzeg przeznaczony był raczej dla statków pasażerskich. Cumowały tam zarówno małe, prywatne jachty jak duże, oceaniczne promy, wożące stąd turystów i biznesmenów do najprzeróżniejszych miejsc świata.

Kapitan Ula pokierował „Powiewem” obok kei towarowych, przy których tłoczyły się statki. Liczne dźwigi wyładowywały na brzeg potężne skrzynie i palety z ładowni. Kiedy przepłynęli jeszcze kawałek Andrin ujrzała doki towarowe rozrzucone dokoła zatoki, wznającej się w dzielnicę handlową Tajwany na kształt rogu. Dalej widziała wille i pałace bogaczy – kupców i arystokracji. Wiedziała, że rody niektórych z tych ludzi są niemal tak samo stare jak dynastia Calirath. Spostrzegła jeżdżące po portowych ulicach, wypchane towarami po brzegi wozy. Setki dokerów ładowały wszystkie w pośpiechu, po czym woźnice odprowadzali je w kierunku magazynów.

Kapitan „Powiewu” zwrócił statek po chwili ku przeciwnemu, prawemu brzegowi i zmniejszył prędkość. Płynęli ku pasażerskim dokom wyraźnie oznaczoną bojami trasą, pod czujnym okiem holowników. Stąd Andrin mogła już zobaczyć widniejące w oddali Morze Ylani. Jego chłodne, ciemne wody mieszały się ze spokojnymi falami Morza Ibrala w spienionym, zamulonym wirze. W przesmyku zawsze był silny prąd. Księżniczka widziała jak spod rufy „Powiewu” odpływają w dal kłęby piany.

Siedząca na zdobionej klejnotami rękawicy z białej skóry Finena, zamachała niespokojnie skrzydłami, zupełnie jakby bliskość Tajwany po tylu dniach samotności na pełnym morzu podrażniła jej niezwykle wrażliwe nerwy. Andrin uspokoiła sokolicę gładząc jej srebrne, połyskujące skrzydła i zauważyła, że kolorystyka upierzenia Fineny była o wiele lepiej dobrana do murów Wielkiego Pałacu, niż jej własny strój. Aż zbyt dobrze wiedziała, że swój znośny wygląd zawdzięcza jedynie lady Merissie i jej znanstwu kosmetyków, fryzur i innych zagadnień dworskiej mody. To opiekunka zasugerowała jej dopasowaną czapkę, która pozwalała uchronić upstrzoną drogimi kamieniami koafiurę przed zgubnym wpływem morskiego wiatru. Lady Merissa układała jej włosy przez ponad godzinę po obiedzie i gdyby Andrin wylądowała w Tajwanie potargana odebrałaby to jak ciężki, osobisty cios.

Bez tej pomocy Andrin nie dałaby sobie rady i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Dzięki temu znosiła męczące niekiedy przywiązanie lady Merissy do manier i dworskiej etykiety. Doceniała to nawet. Zwłaszcza teraz, kiedy najbardziej na świecie chciała dać ojcu i Cesarstwu powód do chluby. Gdyby swoim zachowaniem lub wyglądem przyniosła zamiast tego wstyd, nie darowałaby sobie już nigdy.

Na szczęście miała przy boku Merissę, która bardzo namęczyła się dziś nad wyglądem księżniczki. Cały czas chichocząc pomagała jej też i Relatha, która w ciągu kilku dni stała się niezastąpioną pomocnicą Merissy i niezawodną towarzyszką

Andrin. Obsługa kambuza „Powiewu” straciła na liczebności, lecz księżniczka nie czuła się winna. Cieszyła się mając przy sobie rówieśniczkę.

–Och wasza wysokość! – westchnęła Relatha, gdy lady Merissa skończyła dopinać na Andrin suknię ozdobioną wzorami z kości słoniowej i srebra, wykończoną gronostajami i perłami. – Wygląda pani jak obrazek! Jak pani piękna sokolica! Powinni waszej wysokości namalować taki portret!

Lady Merissa znieruchomiła, przechyliła głowę na bok i zastanowiła się.

–Wasza wysokość, ona ma rację. Powinni panience namalować w tej sukni portret, koniecznie z Fineną na rękawicy. Wielka księżniczka koronna Ternathii i jej cesarski sokół wędrowny – od pięciu tysięcy lat symbol imperium. Tak. Ufam, że uda mi się to zorganizować, gdy już wrócimy do Sokolego Pałacu.

–Skoro nalegasz – mruknęła Andrin, zdjęta lękiem, że uroda Fineny przysłoni ją całkowicie.

Teraz jej wspinała suknia przykryta była lekkim, chroniącym przed wiatrem płaszczem. Nie musiałyby go zakładać, gdyby nie ta morska bryza – było przecież ciepło. Oczywiście w Othmaliz też panowała już jesień, lecz temperatury nie spadały zbyt nisko, a nawet było nadal cieplej niż w Estafel. Andrin podejrzewała, że jest około dwudziestu stopni. Na zboczach rosły palmy, a wiejący wśród nich wiatr nie był zimny tylko przyjemnie chłodny. Płaszcz miał jeszcze jedną zaletę.

Świetnie ukrywał nerwowe gesty dłoni, którymi starała się wygładzić swą wzorzystą suknię.

Wiedziała, że po przybyciu wszystkich uczestników Konklawe odbędzie się uroczyste powitanie połączone z obiadem. Andrin chciała z tej okazji wygłosić któreś z przygotowanych przez lady Merissę, dopieszczonych do ostatniego słowa, oświadczeń. Nie wiedziała jeszcze tylko, na które z nich powinna się zdecydować i postanowiła, że uzależni to od własnego humoru, a także od klimatu w jakim przebiegną wstępne – choć tak samo formalne – spotkania z pozostałymi politykami, jeszcze przed przybyciem kompletu delegatów. Zadrżała – ale nie z zimna – i przytuliła się lekko do ojca. Zindel objął ją i uśmiechnął się do córki łagodnie.

–Jesteśmy już prawie na miejscu, szkrabie – powiedział.

–Tak – odparła. Ojciec nie nazywał jej tak odkąd skończyła pięć lat. Uśmiechnęła się i zamilkła. Przyjrzała się coraz bliższej przystani pasażerskiej.

Kapitan zatrzymał silniki, dyszące parą holowniki dopchnęły „Powiew” do zdobnego, marmurowego nabrzeża, na którym furkotały flagi wszystkich państw Sharony. Gęstniał na nim tłum elegancko ubranych ludzi i powozów. Bliżej znajdowali

się już tylko robotnicy portowi.

Koła łopatkowe „Powiewu” prychnęły pianą. Pokład zadrżał, gdy trzydzieści tysięcy ton kadłuba uderzyło o odbijacze. Parowe kabestany zagrały – liny naprężyły się. Zabrzmiały szorstkie rozkazy i odpowiedzi marynarzy. Z kominów buchnęły kłęby pary.

Po chwili – po raz pierwszy od prawie tygodnia – pokład pod stopami Andrin znieruchomiał.

ROZDZIAŁ

TRZYNASTY

Na nabrzeżu rozbrzmiała muzyka. Zaskakująco liczna orkiestra odegrała w hołdzie przybyszom cesarski hymn Ternathii. Marynarze i robotnicy ustawili przy burcie „Powiewu” trap. Zindel puścił dłoń córki i podał jej ramię.

–Moja droga, czy zechcesz powitać ze mną Tajwanę?

Uśmiechnęła się do ojca z odwagą i skinęła głową. Wystudiowanym ruchem położyła skrytą w rękawiczce dłoń na rękawie jego płaszcza. Lady Merissa zdjęła jej z włosów ochronną czapeczkę. Dopiero teraz czarne włosy Andrin i ich złote pasemka zaśniły pełnym blaskiem. Starannie ułożona przez opiekunkę fryzura wyglądała doskonale. Szpilki i spinki zakończone klejnotami rozbłysły w popołudniowym słońcu niczym korona utkana z żywego ognia. Andrin skłoniła się lekko Merissie. Księżniczka uniosła drugą rękę, podnosząc na wysokość piersi białą rękawicę, na której siedziała Finena i poszła naprzód u boku cesarza.

Gdy dotarli do trapu Andrin puściła ojca i podwinęła ręką swe spódnice. Skupiła się na ostrożnym stawianiu kroków. Upadek na twarz na oczach wszystkich dygnitarzy Tajwany był ostatnią rzeczą, na jaką miała w tej chwili ochotę. Zeszła jednak na keję bez przeszkód i z powrotem położyła dłoń na czekającym już ramieniu ojca. Uśmiechnęła się łagodnie, choć pod sukienką drżały jej kolana.

Orkiestra odegrała skocznie czwartą zwrotkę hymnu. Andrin wkroczyła wraz z ojcem na długi, czerwony dywan rozciągnięty spod statku na środek nabrzeża – do miejsca w którym czekał tłum. Wpatrywało się w nich prawdziwe morze twarzy. Andrin poczuła jak z przejęcia wilgotnieją jej dłonie. Ternathianie przemierzili długość dywanu i znaleźli się twarzą w twarz ze stojącymi półkołem, elegancko wystrojonymi dygnitarzami. Jeden z nich – niski i krępy mężczyzna w wyjątkowo zdobnej szacie liturgicznej zakonu Bergahla musiał być we własnej osobie seneszalem Othmaliz.

Andrin przyjrzała mu się uważnie. Finena poruszyła się niespokojnie na jej rękawicy. Sokolica otworzyła dziób, lecz nie zaskrzeczała. Andrin ze zdziwieniem poczuła, że arystokrata nie spodobał się ptakowi. Księżniczka miała jednak nadzieję, że nie najlepszy nastrój skrzydlatej ulubienicy został spowodowany obecnością liczego tłumy ludzi, a nie samą tylko osobą seneszała. Nie byłoby dobrze, gdyby już na samym początku wizyty udało im się obrazić władcę Othmaliz. Jednocześnie Andrin zaczęła się zastanawiać, co takiego tkwiło w tym mężczyźnie, że tak wyraźnie odstręczało sokoła.

Historię zakonu Bergahla znała nieźle, choć w tej chwili rozumiała, że nie aż tak

szczegółowo, jakby tego sobie życzyła. Bergahl był bogiem-patronem Tajwany zanim jeszcze tereny te objęła w posiadanie starożytna Ternathia. Był to bóg wojny i sprawiedliwości, do której niezłomnego szerzenia zobowiązywali się wszyscy jego wyznawcy. Imperium, mające długą tradycję tolerancji religijnej nie miało nic przeciwko wierze obywateli swej nowej stolicy, choć cesarze wyraźnie podkreślali, że realizacja i egzekwowanie prawa należały do imperialnych sędziów, a nie do kapłanów Bergahla. Niemniej imperium pozwoliło zakonowi zachować pozycję zwierzchnika prawa religijnego. Ponowne znaczenie i władzę sądowniczą w kwestiach świeckich zakon zaczął stopniowo odzyskiwać dopiero po wycofaniu się Ternathii. Więcej Andrin nie potrafiła sobie przypomnieć, choć kołatało się jej w pamięci, że czytała kiedyś o tym, iż Zakon odzyskiwał swe wpływy niespecjalnie honorowymi metodami.

Szambelan stojący przed seneszalem ukłonił się nisko i powitał ich, mówiąc płynnie w języku Ternathii.

–Jego koronowana eminencja, seneszal Othmaliz wita cesarza Ternathii i księżniczkę koronną Andrin. Cieszcie się gościnnością naszego miasta. Od czasów, kiedy Ternathianie ostatnio stali na tych brzegach rozwijamy się bez przeszkód przez wiele wspaniałych stuleci.

Andrin poczuła jak ramię jej ojca zamienia się w kamień. Ktoś za nimi zachłysnął się głośno. Nie rozumiała, czemu powitanie wywołało tak gwałtowne reakcje, lecz jasne było, że Zindel został właśnie poważnie obrażony i miało to coś wspólnego z ostatnim zdaniem. Wszyscy przecież wiedzieli, że nie był to pierwszy raz, kiedy cesarz odwiedzał wolną Tajwanę, a od wycofania się Imperium minęło niecałe trzysta lat, i raczej nie można było takiego czasu nazwać „wieloma wspaniałymi stuleciami”. Dlaczego więc szambelan zdecydował się użyć właśnie takiego sformułowania? Jaką sugestię czy wiadomość chciał w ten sposób przekazać Zindelowi?

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie, lecz nie musiała jej znać, by wiedzieć, że ojciec został obrażony. Nie dała się jednak ponieść nerwom. Pobladła jedynie, a jej wzrok zamienił się w lód. Spojrzała przez seneszala na wylot, jakby przestał istnieć. Nawet jego własny szambelan, który z całą pewnością powtarzał cudze, starannie dobrane słowa, zdawał się pojmować, że seneszal popełnił błąd. Jego twarz poczerwieniała – ze wstydu, nie z gniewu.

Shamir Taje wystąpił przed Andrin i Zindela i obrzucił zmieszanego dyplomatę pełnym wzgardy spojrzeniem. Szambelan zrobił się jeszcze bardziej czerwony. Wytrzymywanie wzroku pierwszego radcy nie szło mu najlepiej.

–Wasze powitanie odebraliśmy z nastawieniem odpowiadającym temu, z jakim zostało ogłoszone. Powiedz swemu seneszalowi – słowa Tajego zabrzmiały lodowato, a kiedy wypowiadał tytuł władcy miało się wrażenie, że używa wulgaryzmu

- że jego cesarska wysokość, Zindel chan Calirath, cesarz Ternathii i Pan Zachodu domaga się natychmiastowego zaprowadzenia do kwater, godnych jego pozycji i urodzenia.

Ton Tajego ogłaszał wszem i wobec, że radca wątpił, by władca Othmaliz był w stanie spełnić ten warunek. Tym razem zarumienił się sam seneszał. Po chwili jednak podkuśtykał naprzód. Rubaszny człowieczek w wysadzanych klejnotami szatach. Wyglądał jak malowane jajko.

–Tysięczne wyrazy przeprosin! Mój szambelan nie popisał się układając słowa powitania! Jesteście rzecz jasna niezwykle mile widziani w stolicy swych przodków. Proszę, zapraszam – mój powóz czeka by zabrać cesarza i jego śliczną córkę do Wielkiego Pałacu. Odpowiednie komnaty już czekają.

Andrin zjeżyła się w duchu. Nazywanie jej „śliczną córką” było mniej więcej taką samą prawdą jak mówienie o seneszalu, że jest „najbardziej uprzejmym gospodarzem świata”. Uśmiechnęła się jednak chłodno i wdzięcznie skinęła odpowiadając tak, jak zrobiłaby to zapewne w tej sytuacji cesarzowa Varena.

–Jestem pewna, że łaska twojej gościnności panie, nie uchybi naszym skromnym potrzebom – powiedziała płynnie po shurkhaliańsku, w oficjalnym języku Othmaliz.

Seneszał otworzył szeroko oczy. Potem jego spojrzenie, jak zahipnotyzowane, powędrowało ku Finenie i gałki oczne mężczyzny niemal wyszły z orbit. Grdyka władcy podskoczyła pod zdobnym kołnierzem. Andrin uśmiechnęła się szerzej. Zrozumiała, że seneszał boi się jej ptaka! Ucieszyła się na tę myśl i zastanowiła się, czy powóz okaże się na tyle niewielki, by władca miał okazję zapoznać się bliżej z Fineną przez całą drogę z nabrzeża do pałacu.

–Pozwolisz, mój panie, że przedstawię Finenę – powiedziała słodkim głosem, nadal nienagannie po shurkhaliańsku. – To ternathiański cesarski sokół wędrowny, a zarazem moja wierna towarzyszką. Nie odstępuję mnie na krok.

Seneszał uśmiechnął się słabo.

–To piękne i niezwykle zwierzę, księżniczko – wyraźnie było widać, że miał ochotę uniknąć towarzystwa Andrin z siłą równą tej, która trzymała go na urzędzie. – Hmm... Tak... Proszę do powozu. Tędy.

Wytwornym gestem wskazał kierunek. Andrin zgrabnie ukloniła się w odpowiedzi. Pochylając się spojrzała kątem oka na ojca i zobaczyła w jego oczach złośliwe i jednocześnie wesołe błyski. Z trudem zachowała kamienny, poważny wyraz twarzy i ruszyła u boku Zindela. Musieli przywitać się z całą masą miejscowych dygnitarzy. Andrin starała się zapamiętać jak najwięcej nazwisk i twarzy. Pocięszała się tym, że jeżeli ona kogoś pominie, to z pewnością zapamięta go lady Merissa. Jedną z

większych zalet opiekunki – był to prawie psychiczny Talent – była jej fotograficzna pamięć. Lady Merissa nigdy niczego nie zapomniała. Okazała się w związku z tym wymarzoną dla księżniczki nauczycielką protokołu. Bywała męcząca, lecz mimo to niezmiennie bezcenna.

Za szeregami dyplomatów czekało prawdziwe morze zwykłych ludzi – w tym dwa rzędy dziennikarzy. Ci przybyli do Tajwany, sądząc po wyglądzie, z każdego zakątka Sharony. Jasne błyski płonącej magnezji zamącił wzrok Andrin jeszcze na długo przedtem zanim dotarli do wytwornego powozu seneszala. Była to antyczna, kryta karoca – dosłownie spływająca złotem.

–Widzę, że nadal używają karety ternathiańskich cesarzy – mruknął ktoś za nią. – Wydawało by się, że są w stanie wysupłać trochę pieniędzy na własny powóz. Przecież samo jego ubranie warte jest co najmniej kilka takich.

Usta Andrin zadrgały. Był to głos earla Ilfortha. W tej chwili niemal uwielbiała tego nadętego, dupka. Tylko Mancy Fornath był na tyle prostacki, by głośno skomentować powóz gospodarza, dzięki czemu Andrin poznała kolejną cechę władcy Othmaliz.

Seneszal wykonał ruch ręką, jakby chciał pomóc Andrin wsiąść do wewnątrz, lecz tym razem Finena już zasyczała. Odsunął gwałtownie dłoń. Księżniczka zagryzła wargi zmuszając się do zachowania powagi i pozwoliła pomóc sobie przy wsiadaniu swemu ojcu.

Po chwili pomyślała, że pojazd rzeczywiście pachniał, jakby miał kilkaset lat. Skórzane obicia siedzeń, choć nadal pysznie zdobne – powinny były zostać wymienione przynajmniej sto lat temu, na jakieś inne, nieco mniej zatęchłe. Kiedy to zauważyła, poczuła głęboką wdzięczność do losu, za to, że pozwolił jej mieć ze sobą płaszcz, którym starannie odgrodziła swą suknię od butwiejących, cuchnących kanap.

„Czyżby jeszcze jedna rozmyślna zniewaga?” – zastanowiła się. Czy może po prostu gospodarz był na tyle skąpy, że póki pozostałości po Imperium jeszcze jako tako działały nie chciał wydawać ani grosza na kolejne wystawne powozy? Z zewnątrz karoca rzeczywiście przedstawiała się imponująco, a biorąc pod uwagę strój seneszala, to musiał być człowiekiem uważającym, że zasługuje na wiele, bez względu na to, skąd to „wiele” pochodzi. A także bez względu na to jak bardzo to „wiele” zapleśniało od czasu, kiedy porzucił je poprzedni właściciel.

Ojciec usiadł obok niej. Seneszal zajął miejsce naprzeciwko swych gości. Pozostali członkowie ternathiańskiej delegacji wsiedli do innych powozów i karet. Cała kawalkada prowadzona przez karete należącą niegdyś do cesarzy ruszyła z kopyta ulicami Tajwany. Zindel prowadził z seneszalem zdawkową konwersację, omawiali

mijane miejsca. Andrin słuchała, choć o wiele bardziej pochłaniały ją same widoki.

Tajvana w odróżnieniu od swego władcy okazała się miejscem godnym najwyższego zainteresowania. Główne aleje miasta były szerokie, brukowane. Wzdłuż ulic rosły rzędy palm. Pośrodku każdej z ulic, kwieciły się wąskie ogrody, rozdzielając pasy. Widać było, że gospodarze miasta zmienili organizację ruchu, by umożliwić przejazd delegacji, a zarazem dać mieszkańcom okazję do obserwowania przejazdu. Większość gapiów zebrała się najprawdopodobniej po to, żeby obejrzyć powóz cesarza Ternathii. Wtedy właśnie Andrin doznała największego zaskoczenia dnia.

Na każdym zakręcie i wzdłuż każdej przecznicy witały ich głośnie okrzyki uradowanych ludzi. Dzieci wymachiwały wstążeczkami w zielonych i złotych kolorach ternathiańskiej flagi. Kobiety rzucały przed karete bukiety kwiatów. Entuzjastyczne powitanie, jakim obdarzyła ich Tajvana zaskoczyło księżniczkę niepomierne. Do tej pory spodziewała się raczej chłodnego przyjęcia. Seneszał milczał, jakby był zupełnie nieświadom tumultu panującego na zewnątrz, choć jego oczy patrzyły bardzo ponuro. Spod półprzymkniętych powiek obserwował, jak jego poddani pozdrawiają obcokrajowca, cesarza, którego przodkowie władali jego ojczyznę przez tysiąc lat.

Andrin zrobiło się go żal.

Tak wielu ludzi pozdrawiało ich machając z takim zaangażowaniem, że zanim się spostrzegła, zaczęła im odpowiadać podobnym gestem. Zrobiła to całkowicie spontanicznie i zdumiała się jeszcze bardziej widząc, jak jej proste pozdrowienia doprowadzały do łez dorosłe kobiety, a ku ich powozowi leciało jeszcze więcej kwiatów. Umundurowani policjanci, część z nich na koniach, pilnowali, by radość tłumów nie wylała się na trasę przejazdu. Andrin zauważyła też, że nie wszyscy gapie byli równie zachwyceni. Gdzieniedzie młodzi mężczyźni w wieku poborowym rzucali im podejrzenie wrogie spojrzenia. Niektórzy starsi panowie patrzyli równie nieprzyjaźnie, choć już bez młodzieńczego ognia w oczach. Zauważyła także kilka transparentów z hasłami, których przeczytać nie zdołała, ponieważ jacyś ludzie odebrali je właścicielom zaraz po tym, jak zaczęli je rozwijać.

Rzuciła okiem na ojca, który także zauważył te pojawiające się co jakiś czas oznaki niezadowolenia. Postanowiła, że najlepszym sposobem zachowania będzie naśladownictwo cesarza. On także pozdrawiał szalejący tłum z okna karety. Tak samo robiła i ona, lecz jej wcześniejsza ekscytacja minęła, kiedy zdała sobie trzeźwo sprawę z tego, jakie nastroje mogły panować w społeczeństwie Tajwany. Poczowała ochotę, żeby zaszyć się w jakimś spokojnym miejscu w towarzystwie Zindela i Shamira Taje i porozmawiać o sytuacji. Księżniczka miała nadzieję, że antyternathiańskie nastroje były udziałem jedynie mniejszości, choć wspomnienie nieziemskiej wizji Wielkiego Pałacu w płomieniach wywołało dreszcz na jej plecach.

Ale przecież chyba nikt nie byłby na tyle szalony, by podłożyć ogień pod tak wielki

budynek, na dodatek pełen ludzi?

Dziewczynka w niej miała nadzieję, że nie; rozkwitająca dziedziczka cesarskiego tronu, która zaczynała właśnie rozumieć, że w polityce wszystko jest możliwe, nie była jednak taka pewna. Poczła nagle wielką radość na myśl o tym, że w powozach jadących bezpośrednio z tyłu, mniej niż dwadzieścia stóp za nimi, podróżowali jej i ojca gwardziści. Dobrze się czuła też wiedząc o tym, że cała cesarska ochrona zamieszka w tym samym skrzydle pałacu, co ona i Zindel. Dotychczas nie zwykła myśleć w ten sposób, ale nabrała nagle ponurych podejrzeń, że resztę życia spędzi biorąc pod uwagę także i takie nieprzyjemne sprawy, jak całodobowa ochrona.

*** * ***

Davir Perthis stał w oknie na siedemnastym piętrze budynku Towarzystwa Żeglugowego Mahkris i obserwował procesję wijącą się przez barwne ulice Tajwany. Z tego budynku i z tego okna obserwował przejazd każdej z delegacji przybyłej na Konklawe. Oglądał je wszystkie, widział jak zmierzały szerokimi alejami miasta w kierunku Wielkiego Pałacu. Niektóre z nich witała ciekawość tłumów. Jedną czy dwie – na przykład delegację z Uromathii pod przywództwem cesarza Chavy – zastała niemal milcząca, chłodna podejrzliwość mieszkańców. Nikogo jednak dotąd nie powitano tak radośnie, hucznie i przede wszystkim tłumnie, jak powracającego do starożytnej stolicy swych przodków cesarza Zindela.

Perthis uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie wątpił, że bez względu na to, co zrobił on osobiście, a także cała USMS, na powitanie cesarza i tak wyległoby wielu ludzi. Nie był jednak pewien, czy gdyby nie on i jego sieć, to mieszkańcy wylegliby aż takimi tysiącami, a także czy witaliby Ternathian tak entuzjastycznie.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Nie wiedział jeszcze, czy udało mu się osiągnąć zamierzony cel. Nie miał także pewności, czy kiedy to wszystko się skończy będzie jeszcze mieć pracę. Bez względu na to, co sam myślał o swoim planie, ostatnie kilka tygodni jego życia wypełniało przecież łamanie wewnętrznych przepisów USMS, w tym i tak ważnych, jak te dotyczące obiektywnego przedstawiania racji poszczególnych frakcji politycznych. Javi Kavilkan ani razu nie przyznał tego otwarcie, lecz Perthis podejrzewał, że szef doskonale zdawał sobie z jego poczynań sprawę. Milczenie Kavilkana mogło zwiastować jego karierze coś pozytywnego, albo wręcz przeciwnie. Nawet jednak gdyby stracił pracę nie żałowałby ani przez chwilę.

Przywołał w swoim umyśle straszne obrazy z ostatniego przekazu telepatycznego Shaylar Nargry-Kolmayr i jego uśmiech stał się już mglistym wspomnieniem. To on przekonał Kavilkana, by puścić te obrazy w świat bez montażu czy jakiegokolwiek obróbki i usuwania uczuć i myśli nadawcy. Kavilkan wahał się przez godzinę lub dwie. Zdawał sobie sprawę z okrucieństwa materiału, ale w końcu, po namyśle, zdobył się na odwagę autoryzacji przekazu w niezmienionym kształcie. Nie dlatego,

że był to sensacyjny materiał, choć USMS jak wszystkie media musiały przecież zabiegać o oglądalność. Javi Kavilkan puścił przekaz dlatego, że było to ważne dla całej Sharony. Każdy mieszkaniec tego świata miał prawo dowiedzieć się, co tak naprawdę zaszło na polanie a dziennikarze nie mieli prawa karmić ludzi wygłodzoną, ugrzecznioną wersją wydarzeń – musieli pozwolić odbiorcom doświadczyć na własnej skórze przerażenia i strachu – a także bezprzykładnej odwagi – Shaylar Nargry-Kolmayr.

Dzięki temu każdy, kto odbierał przekazy sieci Głosowej USMS – czyli praktycznie każdy Sharonianin posiadający choć szczątkowy Talent telepatyczny – nie tylko wiedział jak przebiegała bitwa. Każdy był tam osobiście. Wszyscy wiedzieli, co zaszło i z jakim zagrożeniem musiała zmierzyć się teraz Sharona. Każdy stał się też świadom tego, kto oddał pierwszy strzał. Wszyscy widzieli chwilę, w której ktoś strzelił do nieuzbrojonego człowieka, próbującego wyciągnąć rękę i porozmawiać.

Dziennikarze mediów drukowanych także nie oszczędzali swych czytelników. Perthis musiał przyznać, że wykonali znakomitą pracę, jeśli chodzi o analizy sytuacji po kontakcie. To jednak nie chłodne analizy publicystów, a brutalny, dosłowny niczym uderzenie pięści przekaz Głosów rozbudził w mieszkańcach wszystkich znanych wszechświatów wściekłość, furię i żądzę zemsty.

To także w sieci telepatycznej podkreślano po raz pierwszy, konieczność powołania ogólnoswiatowego rządu. Nie mówiono o jakiejś tymczasowej radzie, która miała zająć się rozwiązaniem kryzysu. Nie chodziło też o sojusz militarny i wspólne dowództwo, które byłoby w stanie koordynować działania armii różnych państw. Nie. Tym, czego potrzebowała i czego wymagała Sharona był rząd z prawdziwego zdarzenia. Istniała paląca potrzeba powołania instytucji mogącej samodzielnie rozkazywać armiom dowolnej narodowości rządu, którego nie hamowałyby konieczność dyskusowania działań i decyzji ze sprzymierzeńcami i koalicjantami; rządu, którego postanowienia miałyby moc prawną rządu, który stałby się głosem wszystkich Sharonian i poprowadziłby nadciągającą wojnę w ich imieniu.

Perthis nie był pewien, czy Kavilkan rozumiał jego zamierzenia i poglądy. Wiedział natomiast, że podzielał je Tarlin Bolsh. Szef działu międzynarodowego starannie dobierał swoje „gadające głowy” i całą politykę swego działu kształtował subtelnie w kierunku wskazywanym przez Perthisa. Dla przykładu – listy gości zapraszanych do dyskusji politycznych transmitowanych przez sieć Głosów charakteryzowały się tym, że znajdowały się na nich nazwiska autorytetów politycznych i naukowców, którzy przychylnie spoglądali w kierunku Cesarstwa Ternathii i jego obecnego przywódcy.

Ludzie Bolsha stali także za pojawieniem się serii drukowanych artykułów i Głosowej serii dokumentów przypominających tysiącletnią historię Tajwany. Ukazywano w nich podobieństwo pomiędzy rozmiarami obecnego kryzysu z tymi, z którymi już się mierzono i, z którymi sobie radzono w przeszłości, tu w Tajwanie. Nie

omieszkało oczywiście – zupełnie przypadkowo – dodać pod rządami jakiej dynastii kryzysy te zażegnano.

Dokumenty były świetnie przygotowane od strony materiału historycznego. Były także ściśle i rzetelne, co sprawiało, że tym bardziej odpowiadały potrzebom Perthisa. Dzisiaj wszyscy w Tajwanie znali już treść tej serii z wersji drukowanej, bądź z przekazu telepatycznego i przypomnieli sobie dni chwały, jakiej miasto zaznało pod rządami Calirathów.

Pojawiły się oczywiście – nieuniknione przy takiej akcji – głosy przeciwników. Wiele z nich – przyznawał to nawet sam Perthis – było zupełnie uzasadnionych. Tajwana i Othmaliz były teraz niepodległe. Ten stan rzeczy trwał już ponad dwieście lat, podczas których miasto i państwo osiągnęło wiele i miało się czym poszczycić. Sama myśl o ponownym wпадnięciu w potężne objęcia obcokrajowców, o utracie stosunkowo niedawno odzyskanej niezależności na rzecz jakiejś bliżej nieokreślonej, złożonej całości, nie mogła być w tej sytuacji równie ochoczo przyjmowana przez wszystkich.

Przeciwko temu jednak stawiano na szalę reputację Calirathów – ich tradycje rządzenia z honorem, uczciwością i odpowiedzialnością za losy poddanych. Perthis sam dziwił się w duchu jak wielu mieszkańców Tajwany – a także ludzi innych narodowości – w chwili strachu i niepewności zwracało się nie do własnych rządów, a właśnie pod skrzydła ternathiańskiej dynastii. Natychmiast odkurzono legendę życia cesarza Haliana, który poległ prowadząc osobiście swą armię do boju i to nie w obronie własnych ludzi, lecz bolakińskich sprzymierzeńców. Cesarz stanął naprzeciwko o wiele liczniejszej armii barbarzyńców, którzy przebili się już wśród krwi i mordu przez pół Ricathii.

Halian rzucił się do walki, mimo że u wybrzeży stała flota Ternathii gotowa do wyciągnięcia z okrążenia zarówno swego władcy jak i jego armii.

Odmówił więc nie tylko wycofania swych żołnierzy, lecz także nie zdecydował się na ocalenie samego siebie. W ten sposób poległ, pociągając za sobą w śmierć trzy czwarte swych żołnierzy, lecz mury bronionego bolakińskiego miasta można było oglądać jeszcze i teraz, a przed Bramą Haliana wznosiła się teraz wielka statua cesarza. Zbudowano ją dokładnie w miejscu, w którym znaleziono ohydnie posiekane, poćwiartowane ciała władcy i jego gwardii przybocznej.

Halian nie był jedynym Calirathem, który podjął tego rodzaju decyzję. Oczywiście – zdarzali się Calirathowie tchórze, a nawet zdrajcy i tyrani. Jeden z cesarzy był nawet w oczywisty sposób szalony i rozprowadano szeptem (niepotwierdzone) plotki, że zginął zamordowany przez własną straż przyboczną. Podobnych wypadków było jednak bardzo mało jak na tak długie, nieskończone stulecia rządów dynastii i o tym pamiętali wszyscy. Dwieście trzydzieści lat wspaniałomyślnie ofiarowanej

niezależności nie zdołało wykorzenić wspomnień o tysiącletnich sprawiedliwych rządów i ochrony. Był to żyzny grunt dla planów Perthisa i to nie tylko w Tajwanie, lecz na całej Sharonie. Wszystko szło dokładnie tak, jak sobie tego życzył.

Bez wątpienia to stanowiło też jeden z powodów, dla których seneszał zrobił z siebie skończonego dupka. Perthis pomyślał o tym ze zbójeckim uśmiechem. Nigdy nie darzył tutejszego władcy specjalną estymą, lecz teraz stracił do niego resztki szacunku. Seneszał najwyraźniej bał się, że Calirathowie mogą rzeczywiście powrócić do Tajwany i Perthis uważał, że boi się tego nie tylko dlatego, że utraciłby władzę i autorytet. Krążyły pogłoski, że obecny seneszał w poważny sposób nadużywa swej urzędowej władzy. Wydawało się też, że plotki te opowiadały jedynie o wierzchołku góry lodowej. Seneszał na pewno pocił się na samą myśl o ewentualnym cesarskim dochodzeniu, które mogłoby zostać wszczęte, gdyby doszło do zmiany u steru władzy.

Ciężko było wymyśleć sposób, w jaki teokrata mógłby skutecznie poprawić swą sytuację, lecz sposób, jaki wybrał jedynie pogarszał jego sytuację. Perthis wiedział o dziwnym powitaniu herolda i znał też odpowiedź Tajego. Nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale miał szczerzy zamiar wkrótce się tego dowiedzieć.

W tej chwili jednak bardziej od podtekstów liczyło się to, że wszyscy stali się świadomi tego, iż seneszał w jakiś sposób głęboko i osobiście uraził cesarza Ternathii zaraz po jego przybyciu. Odpowiedź Zindela (czy raczej jej brak) podkreślił tylko małość i głupotę gospodarza. Uśmieszek Perthisa zmienił się w szeroki uśmiech. Reakcja młodej księżniczki koronnej Andrin była równie wspaniała jak jej sokół.

Nigdy wcześniej nie miał okazji przyjrzeć się księżniczce. Zauważył, że zarówno o niej, jak i o jej młodszych siostrach nie było szczególnie wiele materiałów. Jedyne, czego udało mu się dowiedzieć, to tyle, że Andrin miała około siedemnastu lat, była wysoka i miała reputację cichej i inteligentnej. Wiadomo też było, że posiadała Talent Calirathów.

Nie był więc przygotowany na widok opanowanej, eleganckiej młodej kobiety o lodowatym spojrzeniu, która patrzyła na okrągłutkiego, przysadzistego i tłustego seneszała, jakby był szczególnie obleśnym ślimakiem, którego właśnie odkryła we własnej pościeli. Zachowała się doskonale stojąc przed nim niczym wysoka i smukła statua z płomieni i kości słoniowej, ukoronowana lśniąca w słońcu niezliczonymi klejnotami fryzurą. Przerazenie, jakie w seneszału wzbudził jej ptak tylko jeszcze to wrażenie wzmogło. Zindel sprawił, że seneszał wypadł żałośnie, a Andrin dodatkowo go ośmieszyła, co dla każdego władcy było o wiele bardziej zabójcze.

Perthis uniósł dłoń pozdrawiając kruczowłosą młodą kobietę, która machała do ludzi z okna okropnie kiczowatego, starożytnego powozu. Do tej pory wcale o niej nie

myślał, lecz w tej chwili jego ludzie zbierali już materiały na temat księżniczki. Czuł, że księżniczka może okazać się równie przydatna, co jej ojciec.

Podejrzewał też, że Andrin nie będzie skłonna mu dziękować, kiedy zrozumie co zrobił jej samej i jej rodowi. Uśmiech Perthisa zgasł.

* * *

Podjazd do Wielkiego Pałacu tak samo jak cała droga otoczone było wiwatującym tłumem, ciągnącym się aż do zdobnej bramy, strzeżonej przez żołnierzy w mundurach armii Othmaliz. Strażnicy wyposażeni byli w takie same karabiny Model 10 jak wojsko Ternathii. Andrin poznała broń i poczuła się niezwykle z siebie dumna. Ojciec nie pozwolił by jej edukacja pominęła te zagadnienia, nawet mimo, że księżniczka nie miała nigdy założyć ternathiańskiego munduru.

Oficerowie dowodzący gwardzistami zasalutowali słuźbiście, kiedy karoca seneszala przejechała przez bramę. Sami strażnicy stanęli w pozycji prezentuj broń, co stanowiło zarówno rodzaj militarnego teatru, jak i pokazu profesjonalizmu. Żołnierze patrzyli badawczo omiatając wzrokiem pasażerów każdego z powozów długiej kawalkady. Andrin przypomniła sobie o demonstrantach, których widziała po drodze i poczuła się raźniej widząc tak starannie pilnujących bramy strażników.

Do samego pałacu prowadził niezbyt długi, otoczony palmami podjazd. Kończył się wysypanym żwirem rondem, tuż przed wystawnymi głównymi drzwiami budynku. Andrin wiedziała, że wrota te wykonano ze szczerego, starannie polerowanego srebra. Wysokie były jak dwóch dorosłych mężczyzn. Czytała o tym wszystkim już wcześniej ucząc się historii Wielkiego Pałacu, lecz żadna lektura nie przygotowała jej na to, co teraz zobaczyła. Zachłysnęła się z zachwytu i przełknęła głośno ślinę.

Jeżeli nawet cesarz był równie zachwycony widokiem nie dał tego po sobie poznać. Wsiadł po prostu z karety jako pierwszy i podał rękę córce. Potem odsunął się uprzejmie, przepuścił seneszala i czekał, aż gospodarz wejdzie pierwszy na wiodące ku srebrnym wrotom schody. Stopnie wykuto z polerowanego, białego marmuru. Stały na nich dwa długie szeregi służących w liberjach, którzy kłaniali się przechodzącym gościom.

Gdy zbliżyli się nieco bardziej rozchyliły się olbrzymie skrzydła. Każdy z ich paneli stanowił istne arcydzieło sztuki reliefu. Płaskorzeźby przedstawiały rozmaite sceny z dziejów Ternathii. Andrin poznawała je na pierwszy rzut oka. Podwinęła leciutko rąbek swojej spódnicy i przekroczyła wysoki próg, który sam w sobie stanowił architektoniczną ciekawostkę. Nigdy wcześniej takiego nie widziała. Zatrzymała się. Pozwoliła zginającemu się w pół słudze, zdjąć sobie płaszcz z ramion. Inni służący pomogli rozebrać się pozostałym członkom delegacji. Po chwili Andrin ruszyła znów naprzód, stukając butami o marmurowe posadzki. Z trudem tylko udało się jej

utrzymać zamknięte usta.

A nie było to łatwe. Wielki Pałac samym swym istnieniem sprawiał, że Sokoli Pałac miał się czego wstydić.

Andrin nigdy dotąd nie widziała takiego nagromadzenia bogactwa. Absolutnie zachwycający był już sam olbrzymi marmurowy hol, pełen najprzedniejszych wytworów sztuki Sharony. Co najmniej połowę z marmurowych i brązowych posągów, które mijala, oglądała już wcześniej w podręcznikach do historii sztuki i książkach, o arcydziełach starożytnego świata. Natychmiast zaczęła żałować, że nie ma czasu by dłużej się przy nich zatrzymać i z westchnieniem poszła dalej.

Kolejni lokaje kłaniali się im po drodze. Piękne damy dygały, wystrojone w suknie równie wytworne jak ta, którą miała na sobie Andrin. Wdzięczne były jak kwiaty i nosiły na sobie więcej klejnotów, niż niejeden monarcha. Dla każdej siedemnastolatki byłoby to przeżycie przyprawiające o zawrót głowy, ale Andrin nie dała tego po sobie poznać. Odkryła też, że niezwykle pomocne okazało się to, co zawdzięczała wyłącznie wysiłkom lady Merissy. Jej strój pasował i do wnętrza i do szat dam dworu. Skrzydła Fineny lśniły w świetle wpadającym przez okna i świetliki w suficie równie jasno jak klejnoty.

Raz po raz łapała się na myśli, że w tych murach żyły jej prababki. Przechodzili z komnaty do komnaty a każda z nich powalała urodą i przepychem. Wkrótce straciła rachubę sal, które przemierzali w tym nie kończącym się labiryncie korytarzy i wielkich, wypełnionych echem ludzkich kroków, sal. Wydawało się, że będą tak iść wiecznie, lecz podróż nagle zakończyła się w sali, która musiała być komnatą audiencyjną. Oczekiwał ich tu połyskliwy, barwny tłum ludzi wszelkich kolorów skóry i włosów – nie wspominając o barwach ich strojów. Andrin zrozumiała, że musieli być to delegaci na Konklawe.

Andrin spięła się w sobie i poczuła jak budzi się w niej płomienny gniew. Gospodarz przyprowadził ich prosto z doków na oficjalne spotkanie, nie dając im nawet cienia szansy na odetchnięcie, zmianę strojów, czy umycie się. Ani słowem też nie zdradził, dokąd ich prowadzi.

Znów wyrachowana obraza? Czy tylko karygodny brak wrażliwości?

Po chwili pomyślała o czymś jeszcze i ta myśl także ją rozgniewała. Czy ci ludzie zebrali się tu, żeby przywitać jej ojca? Czy może w jakimś innym celu? Nie istniał niestety żaden dyskretny sposób, w jaki mogła się tego dowiedzieć i nie miała czasu się zastanawiać. Jeden z urzędników wymienił przenikliwym głosem ich imiona.

–Jego koronowana eminencja seneszał Othmaliz! Jego cesarska wysokość Zindel chan Calirath, cesarz Ternathii! Jej wysokość księżniczka koronna Andrin z

Ternathii!

Powitały ich uprzejme oklaski. Andrin dygnęła przelotnie zgromadzonym, uważając by Finena nie zachwiała się jej na ramieniu. Ojciec uklonił się równie krótko i w sali rozległ się szmer rozmów, z których większość dotyczyła cesarskiej sokolicy. Wtedy rozpoczęła się nieunikniona runda pozdrowień i powitań.

Pierwsza twarz, którą zobaczyła Andrin należała do starszego od niej ledwie o kilka lat uromathiańskiego księcia. Kiedy młodzieniec zauważył, że Finena nie jest spętana ani zakapturzona w jego migdałowych oczach pojawiły się zdumienie, zazdrość i szok. Drugi z uromathiańskich książąt powiedział coś do swego towarzysza w wyraźnym zdumieniu, lecz Andrin – czy to z powodu odległości, czy też swej niedostatecznej biegłości w ich języku – nie zrozumiała słów.

W odróżnieniu od Fineny sokoły obu młodych arystokratów miały naciągnięte ozdobne, wysadzone klejnotami kaptury. Ich łapy przywiązane były długimi, skózanymi paskami do rękawic właścicieli. Andrin przeszła obok nich patrząc chłodno na skrępowane ptaki i skinęła im lekko głową. Jeszcze jeden uromathiański książę – trzymający się nieco z boku – zaskoczył ją swym szerokim uśmiechem i głębokim, kurtuazyjnym ukłonem, podczas którego równie ostrożnie co ona przed chwilą balansował sokołem siedzącym na ramieniu. Nie był przystojny, lecz jego oczy błyszczały ciepło i przyjemnie. Ucieszył się widząc zaskoczone spojrzenia swych pobratymców.

Andrin postanowiła sobie zapamiętać to oblicze. Chciała się dowiedzieć skąd pochodzi i dlaczego tak uradowało go zakłopotanie towarzyszy. Zapamiętała sobie, że musi zapytać lady Merisę, która niewątpliwie знаła jego nazwisko, pozycję, rodowód a także wartość jako kandydata na męża. Nawet, jeśli nie wiedziała tego jeszcze w tej chwili, to pewne było, że zdąży zebrać wszystkie potrzebne informacje jeszcze przed wieczerzą.

Wcześniej jednak musieli przetrwać niekończący się pochód delegatów, których trzeba było powitać. Już po chwili stało się jasne, że na miejscu znaleźli się przedstawiciele około dwóch trzecich państw świata i wszyscy ich reprezentanci czekali z zapartym tchem by powitać cesarza Ternathii i jego wysoką córkę. Rzeczywiście była wysoka – zdała sobie z tego sprawę ze smutkiem, kiedy zauważyła, że przerastała większość obecnych w sali mężczyzn i wszystkie bez wyjątku kobiety. Zmieniło się to dopiero, kiedy witali się z delegacją z Farnalii. Poczula wtedy przemożną ochotę rzucić się cesarzowej wdowie Farnalii na szyję, jako że władczyni była wyższa od niej. Elegancka, siwowłosa cesarzowa uśmiechnęła się do niej konspiracyjnie i mrugnęła okiem, co niesłychanie rozbawiło Andrin.

–Nie spodziewam się, że mnie pamiętasz moja droga – powiedziała cicho, lecz głosem zaskakująco pełnym uczucia. – Kiedy bawiłam ostatnio w Estafel byłeś

malutka. Byłam za młodu przyjaciółką twojej babki. Ona była druhną na moim ślubie, a ja byłam druhną na jej. Musimy koniecznie porozmawiać przy kolacji.

–Babcia często o pani wspominała – odpowiedziała szczerze uśmiechnięta Andrin. – Ucieszyłabym się, mogąc zamienić kilka słów podczas kolacji, czy kiedykolwiek indziej.

–To miło z twojej strony, że chcesz sprawić przyjemność starej kobiecie. Do zobaczenia wieczorem – cesarzowa przycisnęła policzek do policzka Andrin w protokolarnym pocałunku i ciepłą, mocną dłonią uściśnięła palce księżniczki.

Jedyną dobrą rzeczą, jaka wyniknęła z odbierania pozdrowień tej nie kończącej się kolejki było to, że Andrin otrzymała w końcu szansę na poznanie imienia uromathiańskiego księcia o zaraźliwym uśmiešku. Kiedy dotarł do niej i jej ojca z przyjemnością zauważyła, iż mimo, że pochodził rzeczywiście z Uromathii to nie był jednym z poddanych cesarza Chavy.

–Junni Fai Yujin, król Eniath i książę koronny Howan Fai Goutin – zaanonsował urzędnik wręczając im listy uwierzytelniające.

Podobnie jak wielu swych półnomadycznych poddanych Junni Fai Yujin był jak na człowieka z uromathiaską krwią stanowczo za wysoki. Był oczywiście niższy od Andrin, lecz jedynie o pół głowy, przy czym ramiona miał szersze, niż księżniczka w którymkolwiek miejscu swego ciała. Była to pierwsza z cech, która odróżniała go od innych Uromathian, z jakimi się już witała. Mimo swych znacznych rozmiarów uklonił się i podał jej dłoń zręcznym, gibkim ruchem. Nie mówił po ternathiańsku a jej uromathiański nie był na tyle dobry, by swobodnie posługiwała się jego dialektem, w którym wiele słów okazało się zapożyczeniami z arpathiańskiego.

Odpowiedziała głębokim dygnięciem, którym chciała wyrazić szacunek dla jego królestwa i narodu – wśród którego rodziło się wielu słynnych sokolników. Ku jej zdumieniu król z większym zachwytem niż w nią wpatrywał się w Finenę. Uniosła więc ramię, by mógł lepiej przyjrzeć się białoskrzydłej sokolicy.

–Finena – powiedziała cicho, gładząc jednocześnie połyskliwe jasne pióra.

–Finena – odszepnął król w odpowiedzi. Podniósł na nią wzrok i zobaczyła w jego ciemnych oczach masę pytań, których nie potrafił zadać z braku słów. Po chwili zwrócił się do syna i powiedział coś, z czego Andrin nawet nie zdołała wyłowić pojedynczych słów. Książę koronny Howan Fai Goutin – którego nazwisko – jak w przypadku wszystkich potomków Uromathian – wymieniano na środkowym miejscu – odezwał się łamanym ternathiańskim.

–Imię srebrnego jest... – urwał szukając słów – Co za znaczenie?

–Co oznacza jej imię?

–Tak, proszę? – skinął głową.

–Biały ogień – wyjaśniła. W oczach księcia Howana pojawił się błysk.

–Achhh – jęknął niemal z uwielbieniem i odwrócił się do ojca, z którym zamienił kilka zdań. Tym razem Andrin wyłowiła trzy słowa. Po chwili król Junni zadał przez syna następne pytanie.

–Proszę, dlaczego Finena nie wiązana?

Andrin rzuciła spojrzeniem na rzemienie krępujące sokoły króla i księcia Howana. Oba ptaki wyglądały wspaniale. Bardzo chciałyby je zobaczyć w locie, na tle jasnego nieba, tak samo wolne jak Finenę. Po chwili popatrzyła przez moment w oczy księcia, aż wreszcie zwróciła się do króla Junniego.

–Czyż można spętać wiatr? – zapytała. – Finena jest wolna. Jest ze mną, dlatego, że mnie kocha.

Księżę Howan cicho syknął. Andrin zaryzykowała rzut oka w jego kierunku, lecz nie zobaczyła spodziewanego wyrazu dezaprobaty, a raczej spojrzenie pełne szacunku. Młody arystokrata przełożył ojcu jej odpowiedź i król syknął dokładnie tak samo, jak chwilę temu jego spadkobierca. Junni spojrział na nią, wziął jej dłoń do ręki, rozprostował księżniczce, palce i oparł je na własnym sercu. Spojrział na jej ojca i nie wypuszczając jej dłoni wykonał głęboki ukłon. Powiedział coś jeszcze i księżę Howan przetłumaczył.

–Mój ojciec powiedział, że Ternathia jest bogata w mądrość swych córek. Chce z tobą porozmawiać, panie. Wkrótce. Jeszcze przed Konklawe.

–Ternathia czuje się zaszczycona – skłonił się Zindel w odpowiedzi. – Rozmowa z Eniath będzie dla mnie przyjemnością, kiedy tylko zażyczy sobie tego król Junni Fai Yujin.

Król Junni ukłonił się ponownie, nadal bardzo sztywno, wyprostował się i oddalił z godnością bijącą z każdego jego ruchu. Księżę rzucił Andrin badawcze, przenikliwe spojrzenie, ukłonił się równie formalnie i poszedł za ojcem. Zindel pochylił się do córki i pogładził skrzydła Fineny.

–Bardzo mi się podobało, to co przed chwilą zrobiłaś Drin – szepnął jej do ucha. - Była to jedna z lepszych rozmów dyplomatycznych, jakie słyszałem w ciągu ostatniego roku. Potrzebuję na Konklawe wsparcia Eniath, a nie byłem pewny, czy uda mi się ich pozyskać. Teraz mam przynajmniej jakiś wstęp do rozmów. Szacunek to ważna rzecz i dobry fundament.

Andrin zrobiło się tak miło, że prawie poczuła zawroty głowy. Chciała uśmiechnąć się do ojca promiennie, lecz musiała się zadowolić lekkim uniesieniem kącików warg. Czuła na sobie spojrzenia zbyt wielu ludzi, którzy uważnie śledzili każdy jej ruch. Opanowanie wyrazu twarzy nie było łatwe, lecz wreszcie się jej udało. W oczach cesarza, zobaczyła wyraz uznania i odniosła wrażenie, że unosi się z dumy dziesięć cali ponad podłogę.

ROZDZIAŁ

CZTERNASTY

Shaylar i Jathmar siedzieli w swojej kwaterze w Forcie Wyvern, rozmawiali z Gadrial ściszonymi głosami i słuchali podmuchów wiatru.

Wreszcie zaczynał cichnąć. Cieszyli się z tego niezmiernie. Burze po drugiej stronie portalu szalały wściekle, z krótkimi tylko przerwami, przez bite dwadzieścia cztery godziny po ich przybyciu. Co więcej, chmury zdawały się przenosić na ich stronę portalu. Tak przynajmniej wyglądało to przez następne dwa dni, kiedy to deszcz i silny wiatr atakował fort. Żaden z pilotów smoków transportowych nie byłby szczęśliwy, gdyby kazano mu lecieć w taką pogodę i Jasak zrezygnował z nacisków. Postanowili więc odczekać z wylotem do momentu, gdy pogoda poprawi się w obu sąsiednich wszechświatach.

W Wyvern nie czekało im się jednak zbyt przyjemnie. Dowódca fortu – pięćsetnik Grantyl różnił się bardzo od pięćsetnika Kliana. Nie okazywał im takiego współczucia, ani nie cechował się podobną świadomością, że to, co stało się na polanie nie było winą Sharonian. Potrafił za to bez ogródek okazać im swój strach. Shaylar była przekonana, że Grantyl czułby się w miarę dobrze dopiero, gdyby zamknął ich w jakimś głębokim lochu i zgubił do niego klucz.

To, że tego nie zrobił tylko unaoczniało przybyszom jak ważna była w istocie instytucja *shardonu*, o której opowiedział im Jasak. Shaylar znajdowała się zbyt daleko, by usłyszeć dokładnie rozmowę setnika z Grantylem i wychwyciła jedynie kilka zdań. Nie potrzebowała jednak swego Talentu, by zrozumieć jak zde gustowany i wściekły był komendant fortu. Jednak mimo gniewu i mimo, że był o wiele wyżej postawiony od Jasaka w wojskowej hierarchii nie próbował nawet zamknąć jeńców w odosobnieniu. Nalegał tylko na rozstawienie przed ich drzwiami straży. Poza ich obecnością, Sharonianie traktowani byli niczym goście. Może nieproszeni, ale goście.

–Wiesz – mówiła teraz do Gadrial – nie wiem, czy my w pełni, w głębi duszy doceniamy jak wielkie mamy szczęście, że Jasak okazał się przyzwoitym człowiekiem.

Siedzący na łóżku przy żonie Jathmar zadrżał. Shaylar wzięła go za rękę. Czowała, że jego stosunek do obcego oficera był bardziej ambiwalentny.

–Komendant tego fortu – ciągnęła Shaylar – nie był chyba zadowolony, że nie mógł nas zaraz po przyjeździe zakuć w grube łańcuchy.

–Masz rację. Grantyl chciał was zamknąć w areszcie razem z vos Hovenem –

przyznała Gadrial – ale i on pochodzi z Andary i nie miał w związku z tym dużego wyboru. Musiał zaakceptować *shardon* Jasaka. – Uśmiechnęła się słabo. – Poza tym i on wie, kim jest ojciec Jasaka, co także mogło mieć tu pewne znaczenie.

–Nie dziwię się – odezwał się Jathmar i sam uśmiechnął się ponuro.

–Bo i nie ma czemu – Gadrial skinęła głową. Tym razem w jej głosie zabrzmiała nuta niepokoju. Coś ją martwiło. Shaylar uniosła brwi.

–Czy coś jest nie w porządku? – spytała. Gadrial skrzywiła się.

–Martwię się o komendanta następnego fortu, w którym się zatrzymamy – wyjaśniła.

–Dlaczego? – zapytał Jathmar i nagle spojrzał bystro na kobietę.

–Dwutysięcznik mul Gurthak niestety nie jest Andaraninem. Pochodzi z Mythal i chociaż nie obnosi się z tym szczególnie pochodzi z bardzo wpływowego rodu klanu *shakira*. Poza tym stacjonuje bardzo daleko od ludzi, którzy mogą mu rozkazywać... albo go ukarać. Szczerze mówiąc, to jeżeli ktokolwiek w ogóle pogwałci zobowiązania Jasaka jako waszego *baranala*, to na pewno będzie to Mythalanin.

–Dlaczego ty i Jasak tak bardzo nienawidzicie Mythalan? – spytała Shaylar. Gadrial spojrzała na nią ciekawie i Sharonianka wzruszyła ramionami. – Mówiłaś, że magister Halathyn też pochodził z Mythal, a jednak czuję i widzę, że uważałaś go za cudownego człowieka. A Jasak nigdy nie powiedział niczego dobrego o żadnym Mythalaninie – może poza Sendahlim. A ten aresztowany żołnierz – ten vos Hoven – prawie spala się z własnej nienawiści za każdym razem, gdy widzi Jasaka.

–To długa i skomplikowana sprawa – powiedziała powoli Gadrial. – Wiem o co ci chodzi. I rzeczywiście pewnie samo to, że mul Gurthak jest Mythalaninem powinno mnie... lekko niepokoić. Ale jeżeli pytacie, czy nasze opinie o Mythalanach i ich społeczeństwie są usprawiedliwione, to pomyślcie sobie, że ja i Jasak pochodzimy z zupełnie różnych kultur, a mimo to oboje równie nie znosimy Mythalan i ich świata.

–Ale dlaczego? – spytał Jathmar. Gadrial westchnęła.

–W naszym wszechświecie Mythal – które wy nazywacie Ricathią – stworzyła najstarszą cywilizację spośród najważniejszych kultur. To oni także odkryli niemal wszystkie nasze techniki magiczne, sposoby wpływania na pole energetyczne i tak dalej. W dawnych czasach prace nad zaklęciami prowadzono przede wszystkim metodą prób i błędów, ale to działo się naprawdę dawno temu. Także i teorię stojącą za tymi prymitywnymi zastosowaniami magii zaczęli opracowywać ponad dwa tysiące lat temu. Prawdziwa metoda naukowa powstała już kilkaset lat temu, a i tak większość ich pracy teoretycznej nie straciła na aktualności. Także i dziś dziedzina magii teoretycznej jest prawie zupełnie zdominowana przez Mythalan. Nie mają takich

sukcesów w zastosowaniach praktycznych, jak na przykład moi pobratymcy, ale najbardziej prestiżową szkołą magiczną jest Akademia Mythal Falls. Tam wykładał także i magister Halathyn.

W oczach Gadrial pojawił się ból. Shaylar zauważyła, że obca kobieta cierpi bardziej niż zazwyczaj, gdy ktoś wymieniał nazwisko Halathyna. Pozbierała się jednak szybko, zła na samą siebie i mówiła dalej tym samym, spokojnym głosem.

–Nikt na świecie – a już na pewno nie magister – nie może nie doceniać tego, co osiągnięto w Mythal przez te wszystkie stulecia. Niestety, prawdą jest też, że to tam rozwinęło się społeczeństwo oparte na zasadach zupełnie różnych niż te, którym hołduje reszta krain Arkany. Tam podstawowym wyróżnikiem człowieka jest to, czy posiada Dar, czy nie. Osobiście uważam, że ich osiągnięcia naukowe i organizacja społeczna mają na siebie wzajemny wpływ. Tak czy inaczej – jeśli ktoś rodzi się Mythalaninem i posiada Dar – to należy do kasty *shakira* albo *multhari*. Jeśli nie jest osobą Obdarzoną, to automatycznie wchodzi w skład kasty *garthan*. Są od tej zasady pewne wyjątki, ale bardzo ich mało.

–Co to są kasty? – Spytała Shaylar, dla której słowo brzmiało całkowicie obco. Gadrial westchnęła.

–Mythalanie dzielą swoje społeczeństwo na trzy wielkie grupy, które my nazywamy „kastami”. Każda z nich ma swoje przywileje i miejsce w hierarchii. Stosunki pomiędzy kastami – a także zasady zachowania wewnątrz nich – uświęcone są żelaznymi tradycjami, a w większości wypadków także prawem pisanim. W każdym razie przynależność do którejś z tych kast zależy od tego, czy człowiek rodzi się z Darem, czy bez. Nie można tego zmienić.

–Jak już powiedziałam – ciągnęła – *shakira* są kastą obdarzonych. Stanowią mniejszość całej ludności. W najlepszym wypadku jest ich może dwadzieścia procent. Zajmują wszakże sam szczyt drabiny społecznej. W ich rękach znajduje się bogactwo i władza. Sami uważają się za niezwykle oświeconych, ponieważ uprawiają rodzaj bezpośredniej demokracji nie znanej nigdzie indziej w Arkanie. Oczywiście prawo głosu mają tylko *shakira* i *multhari*. To zresztą jest głównym powodem, dla którego demokracja bezpośrednia się tam sprawdza – nie ma zbyt wielu głosujących.

Następną w kolejności kastą są *multhari*. To tradycyjna kasta wojowników. Można ich w pewien sposób porównać do Andaran, choć są pomiędzy nimi potężne różnice. Między innymi taka, że jednym z podstawowych zadań *multhari* jest utrzymywanie *garthan* w posłuchu wobec władców *shakira*. Niektórzy *multhari* - nie wszyscy – są jednocześnie *shakira*, a wśród szeregowców w armii Mythal zawsze było też wielu *garthan*. Tylko *multhari* jednak mogą być oficerami.

–W Mythal – mówiła dalej Gadrial – *garthan* wciela się do armii przymusowo.

Shakira, którzy wstępują do wojska mogą spodziewać się natomiast osiągnięcia wysokich rang, zwłaszcza jeżeli rodzina miała tradycje *multhari*. Oczywiście od momentu powstania Unii nie ma już odrębnej Armii Mythal, ale integracja *multhari* do sił zbrojnych Unii przebiegała z kłopotami. Zawsze wykazywali się tradycyjnym dla *shakiry* poczuciem wyższości i oczekiwali, w związku ze swoim pochodzeniem, pewnych przywilejów. Nie akceptowali też faktu, że muszą rywalizować z nie-obdarzonymi – i nie-Mythalanami – o dostęp do awansów. Jako, że wyrazy ich niezadowolenia bywały często... bardzo wyraźne, doprowadziło to do napięć pomiędzy nimi a żołnierzami z powiedzmy Andary czy Ransar.

–Od jakichś czterdziestu lat wydaje się, że Mythal próbuje rozwiązać część z tych problemów. Coraz więcej *multhari* przed wstąpieniem do armii uczęszcza do Akademii Wojskowej w Garth Showma, co pomaga uładzić najbardziej zbuntowane charaktery. Co więcej – niektórzy młodszy *shakira*, którzy nie pochodzili z tradycyjnych rodów *multhari*, zaczęli sami wstępować do armii Unii. Zachęcają ich do tego starsi kasty, po części dlatego, że bez względu na to czy im się to podoba czy nie, związani są Porozumieniami i muszą jednak dążyć do łagodzenia napięć pomiędzy ludami Arkany. Tego przynajmniej wymaga pragmatyka – dodała niechętnie – i chyba powinniśmy im wierzyć. Niestety, ich sposoby rozwiązywania problemów stwarzają swoje własne kłopoty. Na przykład ten żołnierz, o którym mówiłaś, Shaylar – vos Hoven – jest członkiem *shakira*. Można to stwierdzić po przedrostku „vos” w jego nazwisku. Sendahli natomiast jest jednym z *garthan*. Uciekł z Mythal i zaciągnął się do Armii Unii, żeby uniknąć życia w charakterze człowieka drugiej kategorii. A vos Hoven został aresztowany dlatego, że Jasak nakrył go na tym, jak bił Sendahliego chcąc wymusić jego żołąd.

Na czole Jathmara pojawiła się głęboka zmarszczka. Otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć Gadrial mówiła już dalej.

–Robił to dlatego – a Sendahli mu na to pozwalał, mimo że jest od vos Hovena o wiele silniejszy i nie miałby z nim najmniejszych problemów – że według mythalańskiej tradycji i praw *garthanie* nie mają absolutnie żadnego prawa sprzeciwić się *shakirze*. Nie wolno im nawet zeznawać w sądach przeciwko członkom *shakiry*. Aż do powstania Unii Arkany *garthanie* w oczach prawa stanowili własność. Musieli należeć do kogoś z *shakiry*. Nie mieli natomiast prawa do posiadania, do głosu ani nawet do wyboru zawodu. Nie mówiąc już o dochodzie uzyskiwanym z wykonywania swej pracy. Często zdarzało się też, że nie mogli swobodnie wybierać sobie małżonków. Zresztą nawet dzisiaj Obdarzone dzieci *garthan* odbiera się rodzicom i przekazuje do adopcji rodzinom *shakira*.

–To przecież barbarzyństwo! – wybuchnęła Shaylar i Gadrial skinęła głową.

–Oczywiście, że tak – przytaknęła ze smutkiem. – Ja jestem Ransaranką. My wierzymy w przyrodzoną równość wszystkich istot ludzkich. To my stanowimy tę

niebezpieczną, humanistyczną, liberalną część Unii i zawsze byliśmy do Mythalan wrogo usposobieni. Nie cierpimy ich bardzo, właściwie jest to prawie nienawiść. Z drugiej strony Jasak jest Andaraninem – oni różnią się od nas tak bardzo jak Mythalanie. Cała ich kultura opiera się na pojęciach wzajemnego obowiązku i honoru. W Andarze to zobowiązania wobec innych definiują pozycję społeczną. Rodacy Jasaka wierzą w prawa jednostki, ale uważają, że trzeba sobie na nie zasłużyć sumiennym wypełnianiem obowiązków. Nie wykazują się też współczuciem wobec tych, którzy nie spełniają ich wyśrubowanych standardów honoru. Mimo to pogardzają Mythalanami równie mocno jak my. Głównie z powodu stosunku, jaki w Mythal panuje wobec *garthan*. Andaranie nie mogą zrozumieć jak to jest, że sam fakt urodzenia się bez Daru sprawia, że ludzie tacy jak Sendahli stają się gorsi i istnieją tylko dla wygody swych panów – *shakiry*. Gdyby Andaranin – ktoś taki, jak Jasak – uznał nieobdarzonych za gorszych – co jest oczywiście nie do pomyślenia – to uznałby natychmiast za swój obowiązek chronić ich i pomagać im, a nie wykorzystywać. Do tego zobligowałoby go właśnie jego poczucie honoru. Kiedy zobaczył vos Hovena bijącego Sendahliego rozkazał mu przestać... i wtedy vos Hoven próbował go zabić.

Jathmar pokręcił głową z mieszanią odrazy i niedowierzania na twarzy. Gadrial uśmiechnęła się niewesoło.

–Jestem pewna, że na Sharonie też są jacyś ludzie, z których nie byłbyś specjalnie dumny Jathmar. Może nie wszyscy są tak okrutni jak Mythalanie, ale nie spodziewam się, żeby wasz świat różnił się pod tym względem bardzo od naszego. Nie sądzę by zmieniły to nawet wasze Talenty. Niestety my Ransaranie wraz z Andaranami nie mieliśmy innej możliwości i musieliśmy Mythal dopuścić do członkostwa w Unii. Po części dlatego, że mieszkają z nami na jednej planecie, co w mojej opinii daje im prawo do udziału w badaniach portali. Szczerze jednak mówiąc drugi powód był inny. Kiedy pojawił się na Arkanie pierwszy portal wybuchła straszliwa wojna. Wynaleziono wtedy broń o zatrważającej mocy zniszczenia. Była tak straszna, że ledwie udało się uniknąć całkowitego wyniszczenia naszej cywilizacji.

Jathmar i Shaylar zamarli. Oblicza ściągnął im strach.

–Andara i Ransar pojęły, że za moment sytuacja wymknie się zupełnie spod kontroli – ciągnęła ponuro Gadrial. – I to my zaproponowaliśmy utworzenie Unii, która będąc jednocześnie rządem światowym miała zadbać o to, by każdy naród Arkany miał równe szanse w badaniach i czerpaniu zysków z portali. Andaranie poparli nas zdecydowanie, i tylko to zmusiło Mythalan do zaakceptowania pomysłu. Mythal zachowało największą spośród wszystkich krain Unii autonomię – między innymi ma prawo do utrzymania w granicach swego terytorium tradycyjnego systemu społecznego. Nikt nie chciał obdarzyć ich aż tak dużym stopniem autonomii, lecz niestety, to ich naukowcy stali za wynalezioną w czasie Wojen Portalowych bronią. Mieli więcej broni i lepszą. Nie chcieli zniszczyć jej magazynów, dopóki nie

zaakceptowaliśmy ich warunków.

Shaylar słuchała z pobladłą twarzą. Nie wyobrażała sobie nawet konsekwencji zastosowania magicznej broni zdolnej do unicestwienia cywilizacji na całej planecie. Jathmar wyglądał na równie przerażonego. Gadrial spojrzała im prosto w oczy.

–Wiem, czego się obawiacie. Rozumiem to. Ale muszę wam powiedzieć, że nawet najsilniejsza broń, kiedy przychodzi do walki pomiędzy wszechświatami, ma swoje poważne ograniczenia. Po pierwsze – żaden czar nie działa przez portal, co oznacza, że każdy trzeba zdobywać szturmem i bronić przyczółków po drugiej stronie, na których dopiero można rozstawić broń miotającą zaklęcia. W czasie Wojen Portalowych nie miało to większego znaczenia, ponieważ toczyły się one na Arkanie o to, w którym posiadaniu znajdzie się nasz pierwszy portal. Po drugie, ten rodzaj broni, o którym wam opowiadam został zakazany dwieście lat temu. Wszyscy sygnatariusze Porozumień Unijnych zostali zobowiązani do neutralizacji magazynów broni masowego zniszczenia, a także sprzętu i wyników badań, które doprowadziły do ich stworzenia. Zarazem zakazano też stosowania kilku innych szczególnie groźnych zaklęć. W celu sprawdzenia, czy nikt nie łamie przepisów prowadzi się kontrole...

–Ale kiedy przyjdzie co do czego, prawo można zawsze zmienić, prawda?

–Tak, Jathmar. Mogłoby się tak stać – odpowiedziała Gadrial bardzo, bardzo cicho. – I ludźmi, którzy wpadliby na ten pomysł byłiby z pewnością Mythalanie. Są ksenofobiczni do szpiku kości – nawet, kiedy chodzi o Arkanian. Nie chcę nawet myśleć o ich reakcji na wieść o odkryciu waszej cywilizacji. Zwłaszcza – uśmiechnęła się słabo – jeśli pomyślą, że stanęli twarzą w twarz z całą cywilizacją Ransaran.

Shaylar i Jathmar wymienili się spojrzeniami. Gadrial pochyliła się na krześle i wzięła Shaylar za rękę. W oczach Sharonianki pojawiły się łzy. Zrozumiała, że obca kobieta rozmyślnie dała jej okazję, do odczytania uczuć.

–Ani Andaranie ani Ransaranie nigdy nie chcieliby wskrzeszenia tych straszliwych rodzajów broni – powiedziała spokojnie. – O ile tylko wasi ludzie nie okażą się na tyle głupi, by zmusić nas do myślenia, że całkowite zniszczenie waszego świata jest jedynym wyjściem. Z tego jednak co widzę po was, to raczej nie możliwe. Pewności nie mam, ale szczerze w to wierzę.

Nie wspomniała – po raz kolejny – że otrzymała już polecenie od mul Gurthaka, by zaprogramować dane dotyczące skupiska Polany Powalonych Drzew w pozostałych trzech detektorach, które przywiozła z Halathynem na testy. Mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego komendant chciał znać te dane i choć zgadzała się z logiką tego postępowania – wątpiła by Shaylar i Jathmar przyjęli tę wiadomość zbyt spokojnie.

–Tym niemniej musicie pamiętać, że Mythalanie nie podzielają żadnego z moich poglądów co do praw jednostki – zwłaszcza jeśli chodzi o nieobdarzonych. Nie wierzą też (przynajmniej na zewnątrz własnej kasty) tak jak Jasak w zobowiązania honorowe i kodeksy. Musicie być ostrożni – bardzo ostrożni – w rozmowie z którymkolwiek z nich. Bądźcie pewni, że jeżeli któryś z nich znajdzie sposób na obejście ochrony, jaką otoczył was Jasak, to bez wątpienia tak zrobi.

–To była ta zła wiadomość – ciągnęła. – Dobra jest taka, że siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent całej armii Arkany stanowią, Andaranie, tacy jak pięćsetnik Grantyl. Nawet, jeśli im się nie podoba to, co robi Jasak uszanują jego decyzję. I na pewno nie spodoba im się, jeżeli ktokolwiek z Mythal zechce szkodząc wam uczynić dyshonor Andarze.

*** * ***

Shaylar przypomniała sobie tę rozmowę trzy dni później, gdy wiozący ich smok transportowy krążył nad kolejną fortecą. Ten fort był większy niż Fort Wyvern. O ile się nie myliła znajdowali się teraz w miejscu, które na Sharonie byłoby wschodnią Farnalią. Nie kończący się ocean iglastych lasów ciągnął się jak okiem sięgnąć w każdym kierunku. Powietrze nad skalistymi szczytami gór wznoszącymi się pomiędzy portalem Fortu Wyvern a tym nowym fortem – Fortem Talon – było tak mroźne jak ostrzegał ich Jasak.

Góry z kolei były tak wysokie, że pilot rozdał każdemu z pasażerów niewielkie cylindry, które okazały się zbiornikami tlenu. Podłączone były elastyczną rurką do ściśle przylegającej do ust i nosa maski. Shaylar siedziała skulona, oparta o plecy Jathmara owinięta w gruby, futrzany strój pilota. Smok niósł ich przez kryształowo czyste wody zatoki niebios. Mimo ciepłych ubrań (i kolejnego niezwykłego czaru Arkanian, którym Gadrial ogrzewała futra) było jej zimno – nigdy wcześniej nie czuła takiego chłodu. Nigdy przedtem nie czuła się też tak bardzo oddalona od swojej ojczyzny i jej ciepłych plaż. Kiedy wreszcie wylądowali po zachodniej stronie niebotycznych gór poczuła ogromną ulgę.

Cały lot z Fortu Wyvern zabrał im prawie trzy dni. Razem z Jathmarem ucieszyli się widząc wreszcie jakieś ograniczenia niezwykłych możliwości Arkanian. Smoki latały z olbrzymimi prędkościami, lecz ich wytrzymałość nie była nieskończona. W ocenie jeńców bestie były w stanie przelecieć jednego dnia około tysiąca mil lub nieco więcej, lecz większe odległości wyraźnie je męczyły. Smok, który poleciał dalej przenosząc ich przez łańcuch górski, musiał odpoczywać cały dzień na małym, prowizorycznym lądowisku.

Teraz jednak znaleźli się wreszcie u celu. Smok zniżał lot wśród deszczu, ku kolejnemu fortowi – ku ich kolejnemu przystankowi – co Shaylar uświadomiła sobie z rezygnacją ocierając wilgoć, która zebrała się na goglach, kiedy przypomniała sobie,

co Gadrial mówiła o odległości dzielącej ich od Arkany.

Portal, którego strzegł Fort Talon wznosił się z lasów za budynkami. Był większy, niż ten, który przekroczyli przy poprzednim forcie, a teren za nim przypominał płaskie równiny rodzinnej krainy Jathmara – środkowozachodniej Nowej Ternathii. Dostrzegła też niezbyt wielką rzekę, lecz po drugiej stronie panowała noc i nie była w stanie dostrzec zbyt wielu szczegółów. Po chwili smok osiadł z gracją na ziemi. Shaylar nadal nie potrafiła się jeszcze przyzwyczaić do tego, jak szybko i gwałtownie latające bestie hamowały i traciły wysokość przy lądowaniu. Kiedy dotknęli ziemi mocniej objęła męża.

Wreszcie zwierzę znieruchomiło – przeżyli w jednym kawałku kolejny lot i Shaylar odetchnęła z ulgą.

„Muszę się w końcu pozbyć tego strachu przed lądowaniem” – nakazała sobie zdecydowanie. – „Zanim dotrzemy do Arkany będę mieć jeszcze wiele okazji”.

Uśmiechnęła się gorzko. Zsiedli ze smoczego grzbietu. Rozpoczął się ich następny krótki postój. Poza nią na smoku przylecieli Jathmar, Jasak i Gadrial, a także Jugthar Sendahli, Otwal Threbuch, oszczepnik Shulthan i Bok vos Hoven. Dzięki temu na smoku było luźno, co cieszyło Shaylar, ponieważ nie musiała zanadto zbliżać się do kipiącego nienawiścią Boka vos Hovena. Mythalanin nie stanowił oczywiście bezpośredniego zagrożenia dla niej czy Jathmara – był skuty, a ponadto stale pilnował go miecznik Threbuch. Shaylar zresztą podejrzewała, że Threbuch bardzo by się ucieszył, gdyby vos Hoven czegokolwiek spróbował, gdyż mogłoby się to wtedy skończyć nieszczęśliwym upadkiem aresztanta z wysokości kilku tysięcy stóp. Po samym vos Hovenie zresztą też było widać, że dobrze to rozumie.

Komitet powitalny już na nich czekał. Żołnierze stali na skraju lądowiska wydartego dziewczym, wiecznie zielonym lasom, które otaczały fort gęstym murem. Nie było wśród nich Mythalan, a przy tym wszyscy wyglądali niezwykle młodo. Żaden z nich nie był o wiele starszy od Jasaka. Dowódca fortu najwyraźniej uznał, że nie warto kłopotać się osobiście i wysłał młodszych podkomendnych. Shaylar zauważyła cień irytacji w spojrzeniu Jasaka.

–Setnik Olderhan – przedstawił się ich *baranal* salutując zaciśniętą pięścią – tranzyt do Nowej Arkany z magister Kelbryan i zespołem.

–Dowodzący setką Neshok – odpowiedział chłodno oficer. – Spóźniłeś się Olderhan. Brzęczek pięćsetnika Kliana przyniósł wiadomość, z której wynikało, że przylecicie trzy dni wcześniej.

–Zatrzymała nas pogoda w Forcie Wyvern – odpowiedział spokojnie Jasak. – Poza tym po przelocie przez góry ustaliłem z pilotem, że smok potrzebuje dodatkowego

dnia odpoczynku.

–Rozumiem – ton jakim mówił Neshok głosił coś wręcz przeciwnego. Shaylar usłyszała to i mocniej ścisnęła dłoń Jathmara. Setnik z Fortu Talon rzucił im przelotne spojrzenie i zwrócił się do Jasaka.

–Dowodzący Dwoma Tysiącami wkrótce przyjmie. Proszę za mną.

Neshok odwrócił się na pięcie i nie mówiąc już ni słowa ruszył w stronę fortu.

–Gdyby powitał nas jeszcze cieplej – mruknęła po shurkhaliańsku Shaylar – zamarzałabym na śmierć.

–Jesteś dla faceta stanowczo zbyt łagodna – powiedział Jathmar. – Szczerze mówiąc, to po tym, co Gadrial opowiedziała nam o tym mul Gurthaku nie bardzo mam ochotę na ich gościnę. Mam nadzieję, że miała też rację co do tego, że nie da się zbyt łatwo wyciągnąć nas spod skrzydeł Jasaka.

–Tak, matko Martheo, tak – odpowiedziała Shaylar, ale nie patrzyła już za Neshokiem. Spoglądała na dwóch ludzi stojących z tyłu, w grupce zebranych obok utwardzonej drogi prowadzącej do bramy fortu. Większość z nich była żołnierzami, ale nie ci dwaj, którzy przykuli jej uwagę. Zwróciła na nich uwagę właśnie dlatego, że nie mieli na sobie mundurów. Byli też starsi od otaczających ich wojskowych.

Jathmar spojrzał za wzrokiem swej żony i zmarszczył brwi.

–Ciekawe, co to za jedni? – szepnął.

–Właśnie się nad tym zastanawiam – drzenie w głosie Shaylar zaskoczyło i zaniepokoiło Jathmara. Objęła się ciaśniej ramionami, jakby wciąż jeszcze odpędzała od siebie chłód, który przeniknął ją w czasie lotu nad śnieżnymi szczytami.

Ponownie spojrzał na dwóch nieznanym. Obaj mieli na oko czterdzieści, lub może pięćdziesiąt lat i choć Jathmar nie miał o arkaniańskiej modzie bladego pojęcia, to widać było, że ich stroje wykonane zostały z dobrych jakościowo materiałów i uszyte na miarę. Takie ubrania stanowiły w przygranicznych fortach rzadkość. Obaj cywile wyglądali w nich tym bardziej nie na miejscu.

Zgodnie z tym, co mówili Jasak i Gadrial eksploracją dziewiczych wszechświatów na Arkanie zajmowało się wojsko. Kim zatem mogli być ci dwaj mężczyźni? I co robili tu na końcu świata w swoich szytych na miarę strojach?

Możliwe, że byli jakimiś rządowymi urzędnikami. Mogli też okazać się prywatnymi przedsiębiorcami otwierającymi nowy szlak handlowy. Jathmar zdawał sobie sprawę, że ta zgadywanka donikąd go nie zaprowadzi, ale obaj cywile wzbudzali w nim

niezwykłą ciekawość. Patrzyli hardo i z namysłem. Widząc ich inteligentne spojrzenia czuł się bardzo nieswojo. Przywykł już co prawda do spojrzeń pełnych strachu i niepokoju. Arkanianie patrzyli tak na oboje jeńców wszędzie po drodze, gdzie dotarły już wiadomości o ataku Sharonian i ich „demonicznej broni”. Ci dwaj jednak oglądali jego i Shaylar bez strachu, a raczej z wyrachowaniem. Czujnie i z rozmysłem.

Nie potrafił zbyt dokładnie określić źródła swego niepokoju, niemniej bał się coraz bardziej. Objął Shaylar ramieniem i tak przeszli tuż obok patrzących w milczeniu obcych.

Neshok prowadził ich do fortu i Jathmar nagle stwierdził, że dwaj cywile zniknęli ze szczytu listy jego największych zmartwień. Ścieżka wiodła obok lądowiska, na którym roilo się od smoków. Były tu dziesiątki – może nawet setki – latających bestii. Przechodzili blisko kilku z nich.

Kieł Niebios – smok, którym przylecieli tu z Fortu Wyvern – nie reagował taką wściekłością i agresją w stosunku do Shaylar, jak Pazur Wichru, wobec czego Jathmar doszedł do wniosku, że jego żona miała rację. Smoki wściekały się wyczuwając próbę użycia Głosu. Teraz, kiedy szli tuż przed nosami sześciu takich bestii miał wielką nadzieję, że ich teoria się potwierdzi.

Większość smoków zupełnie ich ignorowała, lecz jeden gwałtownie uniósł łeb. Purpurowo złoty potwór był mniejszy od pozostałych smoków, które widzieli, co jednak nie znaczyło, iż był mały. Sam jego łeb dłuższy był niż ciało Jathmara. Kolce chroniące podgardle i czoło smoka wyglądały na jeszcze ostrzejsze niż te, które oglądali u Pazura Wichru.

Zwierzę pochyliło pysk niczym wielki jastrząb i utkwili swe groźne spojrzenie w Shaylar. Otworzyło paszczę ukazując drapieżne kły wielkości talerzy i długi, soczyście czerwony, rozwidlony język. Po chwili odbił się przednimi łapami od śliskiej po deszczu ziemi i uniósł na tylne. Zasyczał niczym parowa lokomotywa.

Shaylar pobladła. Zamknęła oczy i zaczęła się gwałtownie trząść. Jathmar poczuł jak jego żona rozpaczliwie stara się zamknąć swój Talent, zamknąć dostęp do własnego umysłu, by ukryć się przed bestią. Zablokowała nawet ich małżeńską Więź i prawie przestał ją czuć. Przytulił ją do siebie jeszcze mocniej.

Gadrial i Jasak oczywiście nie przegapili reakcji smoka. W doskonałej koordynacji – zupełnie jakby to oni byli telepatami – ruszyli biegiem i własnymi ciałami zastłonili Shaylar przed wzrokiem pobudzonego zwierzęcia. Gadrial – co wstrząśnięty Jathmar zauważył dopiero po chwili – otoczyła niezwykłą, świetlistą aurą. Płomienie zaczęły trzaskać w powietrzu, niecałe trzy cale nad jej skórą. Uniosła ramiona przyjmując wdzięczną pozę, która przywodziła na myśl niektóre ćwiczenia adeptów sztuk walki wręcz. Poczuli też bijące od niej złowieszcze napięcie. Miał wrażenie, jakby dowiedział

się właśnie, że stoi na drodze pioruna. Po raz pierwszy od chwili, kiedy poznał obcą kobietę, przestraszył się jej.

Neshok zachował się, jakby nie stało się nic niezwykłego. Zatrzymał się, ale patrzył to na smoka, to na oboje Sharonian z rosnącym zdumieniem. W ogóle nie zwracał uwagi na Gadrial ani na Jasaka.

–Co... – zaczął, lecz Jasak nie pozwolił mu dokończyć.

–Wyciągnij nas stąd – już! – rzucił ostro. Neshok odwrócił się i spojrzał gniewnie. – Rusz się, cholera! Chyba, że chcesz mieć krew na rękach! – warknął znów Jasak.

Neshok spojrzał wściekle, lecz widząc Gadrial, rozluźnił pięści. Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz zamknął je natychmiast widząc, że na koniuszkach palców Gadrial pojawiło się więcej tańczących płomyków. To i wyraz twarzy Olderhana – oraz fakt, że na tylne łapy wspinał się już drugi smok – w końcu go przekonało. Rzucił eskorcie kilka krótkich rozkazów i ruszyli naprzód szybkim truchtem.

Gdy tylko Shaylar znalazła się czterdzieści czy pięćdziesiąt jardów dalej, oba podenerwowane zwierzęta zaczęły się uspokajać. Ten, który wściekł się pierwszy, syknął za nią groźnie jeszcze raz i opadł na przednie łapy, przyjmując swą wyjściową pozycję.

–To nie ja Jasak! Nie ja! To niemożliwe! Ja nic nie robiłam! – zawołała Shaylar. Olderhan spojrzał na nią. Biegła pomiędzy nim a Jathmarem.

–Wierzę ci – powiedział kładąc jej dłoń na ramieniu, lecz równocześnie pokręcił głową. – Chciałbym jednak wiedzieć, czemu akurat te dwa tak się wściekły, skoro od twojego spotkania z Pazurem żaden smok już się tak nie zachowywał.

–O czym ty mówisz? – spytał surowo Neshok, patrząc wrogo na Shaylar swym kamiennym spojrzeniem. – Co ona miała na myśli mówiąc, że to nie ona?

–Smok transportowy, którym wieźliśmy moich rannych zareagował na obecność lady Nargry-Kolmayr podobnie – wyjaśnił Jasak spokojnym, mocnym głosem, choć trzymał nadal dłoń na ramieniu Shaylar i kobieta czuła jego prawdziwe emocje, dzięki czemu wiedziała, że nie podobało mu się, że porusza ten temat. – Potem, lecąc z Fortu Wyvern nie mieliśmy już żadnych problemów ze smokami, więc mieliśmy wszyscy nadzieję, że był to tylko przypadek.

–To nie jest odpowiedź na moje pytanie – zauważył Neshok beznamiętnie i zatrzymał się na środku drogi, jako że byli już wystarczająco daleko od smoków. Spojrzał wrogo na Jasaka. – Co miała na myśli mówiąc, że to nie ona?

–Lady Nargra-Kolmayr – powiedział i Shaylar zrozumiała, że rozmyślnie powtórzył andarański tytuł – dysponuje czymś, co jej pobratymcy nazywają Talentem. Ma zdolność porozumiewania się z innymi przy pomocy swego umysłu. Wydaje się, że niektóre smoki potrafią tę zdolność wyczuwać.

Neshok otworzył szeroko oczy. Jasak od razu pokręcił przecząco głową.

–To bardzo przypomina nasze zdolności magiczne, setniku – wyjaśnił. – Jakby odmiana Darów, którymi my dysponujemy. Nie jest jednak zdolna do odczytywania zawartości cudzych umysłów, ani nie potrafi wpływać na nasze myśli. Z tej odległości nie ma także mowy o kontakcie z jej wojskiem.

–A skąd ty to wszystko wiesz? – syknął Neshok, którego twarz pociemniała z wściekłości.

–Wiem, ponieważ mi powiedziała – odpowiedział beznamiętnie Jasak – i stąd także, że gdyby potrafiła użyć swojego Talentu przeciwko nam, to już by to zrobiła.

–Powiedziała? Ona ci tak powiedziała?! – powtórzył wzgardliwie Neshok zupełnie ignorując drugie zdanie Jasaka. – Ta kobieta jest jeńcem wojennym i spodziewasz się, że będzie mówić prawdę? Czy naprawdę jesteś aż takim idiotą? Przecież ona będzie kłamać każdym swoim słowem! Powinienem ją zastrzelić na miejscu – albo odesłać do smoków!

Jathmar zeszywniał i zacisnął dłonie w pięści. Neshok mówił zbyt szybko i był zbyt wzburzony, by Sharonianin mógł wszystko zrozumieć, lecz to, co do niego dotarło wystarczyło z nawiązką. Ruszył, by stanąć przed Shaylar, lecz zanim zdążył zrobić choć krok poczuł na swoim łokciu dłoń Gadrial – niezwykle płomienie zdążyły już zniknąć. Spojrzał na nią i odwrócił głowę z powrotem ku żonie – w samą porę, by zobaczyć, że Jasak już zasłonił ją własnym ciałem.

Olderhan był od Neshoka wyższy o dobre trzy cale, miał też o wiele szersze ramiona. To jednak wyraz jego twarzy, a nie rozmiary powstrzymały drugiego oficera.

–Mam dość tłumaczenia się przed bezmózgimi, skretyniałymi karykaturami andarańskich oficerów, którym wydaje się, że posiadli wszystkie rozumy – oznajmił sir Jasak Olderhan bardzo, ale to bardzo powoli – ale spróbuję raz jeszcze i radziłbym słuchać mnie uważnie, bo już więcej nie powtórzę. Lady Nargra-Kolmayr i jej mąż są moimi *shardonai*. Obraza, groźba czy krzywda, jaką ktokolwiek im wyrządzi będzie równocześnie wyrządzona całemu mojemu rodowi, więc może zechciałbyś przemyśleć swoje ostatnie zdanie.

Dłoń Jasaka zawisała w powietrzu, w pobliżu przytroczonego do jego boku krótkiego miecza. Po bokach Jasaka stanęli w milczeniu Jugthar Sendahli i Otwał Threbuch.

Spojrzeni wyzywająco w twarze Neshoka i jego ludzi. Druga Andarańska – jak przypomniał sobie Jathmar – stanowiła własność diuków Garth Showma. Teraz zrozumiał, że sieć wpływów arystokracji sięgała jeszcze głębiej niż dotąd sądził.

Żaden z nich nie dotknął broni. Nie było takiej potrzeby.

–Rozumiem – zazgrzytał po chwili Neshok z pobladłymi wargami. – Cofam, co powiedziałem. Niemniej - *shardonai* czy nie, skąd możesz wiedzieć, czy mówią prawdę? Skąd masz pewność, że twoja decyzja o wzięciu ich w *shardon* nie wynikała z jakichś jej sztuczek?

–Mam tę pewność, ponieważ kiedy podejmowałem swoją decyzję ona była ledwie przytomna z objawami wstrząśnienia mózgu – Jasak pogardliwie wydał wargi. – Poza tym, spędziłem w ich towarzystwie już trzy tygodnie. Odkryłem przez ten czas, że w odróżnieniu od niektórych Arkanian oboje obcy są ludźmi honoru i szanują wzajemne zobowiązania wiążące *baranala* z *shardonai*. Może nie powiedzą mi wszystkiego, może odmówią udzielenia odpowiedzi na niektóre pytania, ale na pewno mnie nie okłamią, setniku.

Wyraz gniewu i strachu nie zniknął z twarzy Neshoka. Jasakowi nie udało się go przekonać, ale nie mógł też kontynuować sporu bez sprowadzania sytuacji na potencjalnie niebezpieczne dla siebie tory. Wtedy, niespodziewanie, odezwała się Gadrial.

–Lady Nargra-Kolmayr jest kryształowo czysta, setniku Neshok. Kłamstwo nie leży w jej naturze. Przecież wystarczy na nią spojrzeć, żeby to zobaczyć!

Słyszając te słowa Neshok odwrócił się do niej. Tym razem spojrzał łagodniej, z pewną dawką współczucia.

–Magister Kelbryan, o pani wspólnej pracy z magistrem Halathynem vos Dulainahem słyszeliśmy wszyscy, nawet tu – na pograniczu. Nie chcę nawet myśleć, jakim wstrząsem musiała być dla pani jego śmierć, to brutalne morderstwo, którego dopuścili się ci... – spojrzał przelotnie na Shaylar i Jathmara. W jego oczach znów zagościł chłód śmierci -...barbarzyńcy.

Shaylar poczuła nagle jak od środka wypełnia ją rozpalona do czerwoności furia, podsycana jeszcze przez echa strachu, który przeżyła pomiędzy smokami. Uwolniła się z uścisku Jathmara. Omijając Jasaka podeszła kilkoma zdecydowanymi krokami do Neshoka. Oficer był od niej o wiele wyższy, lecz gniew sprawił, że kobieta wyglądała przy nim niczym gigant.

–Barbarzyńcy? – wysyczała mu w twarz. – Nie waż się nazywać nas barbarzyńcami! Nie waż się też używać słowa „morderstwo” po tym, co zrobili nam twoi ludzie! Byliśmy cywilami, przeklęty! Cywilami! Jeśli mi nie wierzysz, to przypomnij sobie, co

się stało, kiedy wreszcie zmierzyliście się z naszym wojskiem. Zabijacie cywilów – palicie ich żywcem – i to nas nazywacie barbarzyńcami?

–Mój kraj ma za sobą cztery tysiące lat historii! Cztery tysiące lat cywilizacji, sztuki, nauki i literatury! Nasza cała cywilizacja ma ponad pięć tysiącleci! Pięć tysiącleci pisanej historii! A wy? Jak stara jest wasza cywilizacja?

Neshok wyglądał jak ktoś, kto podniósł swój but i nagle zrozumiał, że spała w nim kobra.

–To nie my zachowaliśmy się jak barbarzyńcy, ale nie myśl sobie, że nie potrafimy odgryźć się po barbarzyńsku! Moja matka jest ambasadorem! Czy naprawdę spodziewasz się, że ona lub którykolwiek z krajów naszego świata wybaczy wam to, co zrobiliście? Oni myślą – ona myśli – że ja nie żyję!

Stanęła wśród ciszy, która nagle zapanowała dokoła. Wpiła się wzrokiem w Neshoka, którego oczy wypełnił nagły szok. Nawet Jasak wyglądał na zbitego z tropu.

–Twoja matka jest ambasadorem? – zapytał szorstko i Shaylar spojrzała na niego płomiennie, zbyt jeszcze wstrząśnięta po spotkaniu ze smokami, by szybko ukryć wściekłość i gniew na Neshoka.

–Tak! A co? Myśleliście, że jesteśmy zbyt prymitywni i dzicy na coś tak cywilizowanego jak dyplomacja?

–Nie Shaylar – powiedział i z rozmysłem wziął ją za rękę, żeby wiedziała, że mówi szczerze. – Nigdy tak nie myślałem. Cywilizacja, której jesteście dziećmi musi być godna szacunku. Chodzi o to, że stanowisko, jakie zajmuje twoja matka sprawia, iż cała sytuacja robi się jeszcze bardziej skomplikowana.

Shaylar zdławiła cisnący się jej do gardła histeryczny śmiech.

–Nie macie nawet pojęcia, jak bardzo jest skomplikowana! – powiedziała. – Nie wyobrażacie sobie tego, czego wymaga od moich pobratymców nasz kodeks honorowy!

–Nie, ale próbuję zrozumieć. Dla twojego dobra i dlatego też, że jest to mój obowiązek. Niech to stanie się jeszcze jednym powodem – Olderhan spojrzał chłodno na Neshoka – byśmy traktowali lady Nargrę-Kolmayr i jej męża odpowiednio do jej rangi.

Setnicy zmierzyli się spojrzeniami. W szczęce Neshoka zadrgały napięte mięśnie.

–Dwutysięcznik czeka – syknął po chwili, odwrócił się sprężysto i ruszył w

kierunku fortu.

Shaylar pomyślała, że zdarzają się ludzie, którym rozumu nie można wtłoczyć do głowy nawet przemocą. Rozumiała też, że reakcja Neshoka na śmierć Halathyna – nie mówiąc już o jego stosunku do niej i Jathmara – nie wróżyła im na przyszłość szczególnie pomyślnie.

Sama ledwie tylko potrafiła sobie wyobrazić reakcję Sharony na wieść o jej śmierci. Nigdy nie była próżna, lecz ze wstydem zdawała sobie od lat sprawę, z tego co Zarząd Portali robił z jej twarzą i wizerunkiem w swych kampaniach reklamowych. Wiedziała, że całe Shurkhal – nawet ci, którym nie podobało się, że zajęła się męskim zawodem – żarliwie pyszni się jej osiągnięciami. Jeśli Darcel przekazał im wszystko, co ona zdążyła nadać, zanim straciła przytomność, to Sharona z pewnością wstrząsała właśnie fala nienawiści, jakiej nie widziano od stuleci. A co do samego Shurkhal...

Obserwując Neshoka i jego zachowanie mogła sobie wyobrazić reakcję Arkany na śmierć magistra Halathyna. I nie zmieniało tu niczego to, że zginął z ręki ich żołnierza a nie kogoś z Sharony.

Opuściła ramiona, kiedy zdała sobie z tego wszystkiego sprawę. Poczwała przemożną chęć, by zwinąć się w kłębek w jakimś cichym i samotnym miejscu, w miejscu, w którym mogłaby się ukryć. Gdzieś, gdzie nie było ludzi w rodzaju Neshoka gdzieś, gdzie potworna broń nie zagrażała istnieniu milionom Sharonian i tam, gdzie nie było legendarnych stworzeń zdolnych wpełzać do jej umysłu.

–Umieścimy was w kwaterach i pozwolimy wam odpocząć – obiecał jej cicho Jasak. – Widzę, że bardzo tego potrzebujesz. Jathmar ci pomoże, dobrze? To nie powinno być już daleko.

Skinęła tylko głową i Olderhan puścił jej rękę. Jathmar objął ją ramieniem i spojrzał na Jasaka.

–Kiedy stąd wyruszymy – odezwał się równie cicho – czy mógłbym prosić, żeby dokądś przenieść te zabójcze bestie?

–To bardzo dobry pomysł – zgodził się Jasak spoglądając na Neshoka – także z mojego punktu widzenia. I nie tylko dlatego, że spoczywa na mnie obowiązek ochrony moich *shardonai*, lecz także dlatego, że dowództwu pewnie nie spodobałoby się gdybyśmy stracili lady Nargrę-Kolmayr wskutek ataku smoka.

–Każę je przenieść – warknął Neshok nawet nie patrząc. – Zadowolony?

–Chwilowo – odparł zimno Jasak. – Teraz zaprowadź nas do kwater. Chcę się upewnić, że moi *shardonai* – celowo podkreślił tradycyjne pojęcie – mają

odpowiednie pomieszczenia, a potem złożę wyrazy szacunku komendantowi. Czy będzie chciał też porozmawiać z magister Kelbryan i lady Nargrą-Kolmayr i jej mężem?

–Jeśli tak, to ich wezwie. Tędy.

Jeśli komukolwiek wydawało się, że starcie pomiędzy Neshokiem i Jasakiem dobiegło końca, to rozczarowanie przyniosła mu chwila, w której po dotarciu do fortu Neshok próbował zamknąć Shaylar i Jathmara w celi obok aresztu vos Hovena.

Nie było to z jego strony mądre posunięcie. Wymiana zdań pomiędzy oficerami była krótka, zimna i gwałtowna. Neshok krył się za dyspozycjami od dwutysięcznika mul Gurthaka. Twierdził, że takie właśnie rozkazy otrzymał i ich zmiana nie leży w jego mocy.

–Dowodzący Dwoma Tysiącami mul Gurthak nie ma uprawnień, które pozwalałyby mu na trzymanie pod kluczem cywilnych członków mojej rodziny, o ile nie popełnili żadnego wykroczenia przeciw prawu Arkany – odparł wściekle Jasak. Neshok chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz wtedy wtrąciła się Gadrial, próbując uspokoić sytuację zanim ta wymknęłaby się spod kontroli.

–Świetnie! – warknęła patrząc na Neshoka równie wściekle jak przedtem Shaylar. – Jeśli masz takie rozkazy to zamknij ich w tym swoim parszywym więzieniu. Ale mnie zamkniesz razem z nimi!

–Magister Kelbryan, pani nie mówi poważnie! – zaprotestował Neshok.

–Bardziej poważna nie byłam w całym swoim życiu – odparła lodowato i wyduła wargę. – Nie chciałabym, żeby przydarzył się im jakiś... wypadek pod twoją kuratelą, setniku. Wydaje mi się, że wszystkim nam ulży, jeśli wyszkolony w magii bojowej magister – który wykładał magię bojową w Instytucie Garth Showma przez ostatnie dziesięć lat – stanie pomiędzy nimi, a tym, co mogłoby ich spotkać. Prawda setniku Neshok?

Podkomendni Neshoka zeszywnieli słysząc wyrażenie „magia bojowa”. Jathmar, po tym co widział przy lądowisku, wcale im się nie dziwił. Co więcej – rozumiał ich doskonale.

Shaylar z kolei obserwowała Neshoka. Nagły rumieniec, który oblał go aż po szyję wystarczył, by dotarło do niej, jakie intencje miał wobec nich komendant tego fortu. Oczywiście mógł to być jedynie pomysł samego Neshoka. Oficer, któremu udałoby się wydobyć informacje od krnąbrnych jeńców wspiałby się po drabinie awansów o wiele szybciej. Co więcej – jeśli informacje okazałyby się cenne nikt nie wypytywałby zbyt szczegółowo o metody ich zdobycia, bez względu na to jak... nieprzyjemne byłyby dla przesłuchiwanym. Zadrzała w objęciu męża.

–Rozumiem – prychnął Neshok. – Odprowadzę was do innych kwater.

Pokój, który w końcu przeznaczono Sharonianom był niewielki i skromnie urządzone. Jasak zażądał, by do pomocy jeńcom wyznaczono Jugthara Sendahliego. Neshok znów poczerwieniał ze złości, kiedy Olderhan dorzucił niezbyt subtelną uwagę, że to właśnie Sendahli jest jedynym w okolicy strażnikiem, na jakim można polegać. Gadrial zajęła pokój obok i strażnik, którego zostawił Neshok był w pełni świadom, że magister nie zamknęła drzwi do siebie.

„Usłyszę każde zamieszanie” – mówiły bez słów otwarte drzwi – „i jeśli ktoś spróbuje czegoś głupiego to pożałuje, że się w ogóle urodził.”

Neshok wyglądał jakby miał za chwilę stanąć w płomieniach, lecz zdusił złość w sobie i pogodził się z sytuacją. Uspokojony Jasak udał się w stronę biura komendanta fortu.

Shaylar opadła na łóżko i spojrzała na męża.

–On chciał nas skrzywdzić – powiedziała.

–Będzie gorzej – powiedział cicho Jathmar przytakując głową.

–Boję się, Jath – szepnęła i Jathmar przytulił ją bardzo, bardzo mocno.

ROZDZIAŁ

PIĘTNASTY

Dowodzący dwoma tysiącami Nith mul Gurthak siedział na swym krześle niczym na tronie. Należał do małej, lecz stale rosnącej grupy Obdarzonych mythalańskich oficerów, którzy wybrali karierę oficera w jednostce liniowej zamiast – co zazwyczaj woleli Obdarzeni żołnierze bez względu na pochodzenie – zająć jedno z miejsc przeznaczonych dla specjalistów. Jasak nie wiedział jak silny jest Dar mul Gurthaka, chociaż fakt, że dwutysięcznik używał nazwiska „mul Gurthak” a nie „vos i mul Gurthak” do czego uprawnieni byli oficerowie z kasty *shakira* wskazywał na to, że uzdolnienia magiczne oficera nie były specjalnie rozwinięte.

Była to jedna z wielu niewiadomych na temat dwutysięcznika. Olderhan nigdy wcześniej nie spotkał się z nim twarzą w twarz. Kiedy podróżował do Mahrithy by oddać się pod rozkazy pięćsetnika Kliana, Mythalanina akurat nie było – wyjechał na inspekcję w teren. Nie spotkał też wcześniej Rithmara Skirvona ani Uthika Dastiri, choć obu tych cywilów widział już na lądowisku. Kasztanowowłosy i zielonooki Skirvon wyglądał na Andaranina, choć jego nazwisko brzmiało jak hilmariańskie. Dastiri z kolei – młodszy, ciemniejszy, z migdałowymi oczyma, a także niższy i szczuplejszy mężczyzna z nadmiarem energii musiał być z kolei Ransaraninem.

–Sami przylecieliśmy dopiero wczoraj wieczorem – powiedział Jasakowi Skirvon, kiedy setnik siadał na krześle, wskazanym mu przez mul Gurthaka opryskliwym gestem. Neshok stanął, nachmurzony i ponury, w drzwiach gabinetu. Otwał Threbuch zajął miejsce za Jasakiem w pozycji na spocznij z dłońmi splecionymi na plecach. – Przylecieliśmy zaraz po otrzymaniu wiadomości od przez pięćsetnika Kliana.

–Mistrz Skirvon i Mistrz Dastiri są terenowymi przedstawicielami Unijnej Komisji Arbitrażowej – wtrącił mul Gurthak. – Mielśmy prawdziwe szczęście, że kiedy pięćsetnik Klian nadał swoje wiadomości przebywali akurat w Ilmariyi w innej sprawie. Dotarli do nas smokiem transportowym o drugiej w nocy.

Jasak skinął głową i na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiej ulgi. UKA odpowiadała bezpośrednio przed Senatem Unii i była quasi – dyplomatyczną organizacją, której zadaniem było rozwiązywanie sporów między instytucjami i osobami prywatnymi. Skirvon i Dastiri nie byli oczywiście kwalifikowanymi ambasadorami szkolonymi do rozmów z przedstawicielami obcych cywilizacji, ale nikogo lepszego w danej sytuacji nie można sobie było zażyczyć.

–Bardzo się cieszę, że panów widzę – powiedział. – Tym bardziej, że dowiedziałem się dziś czegoś, co może panów zainteresować – lady Nagra-Kolmayr jest córką

sharoniańskiego ambasadora.

Skirvon i Dastiri drgnęli w swych siedzeniach. Wymienili się spojrzeniami, po czym utkwili spojrzenia w Jasaku.

–Słyszałem o pewnym... zamieszaniu na lądowisku – odezwał się po chwili mul Gurthak. – Podobno poszło właśnie o tę kobietę – oczy komendanta spoczęły przez chwilę na Neshoku i skrzywił się z niesmakiem. – Z tego co rozumiem narobiła kłopotów.

–Oczywiście można to tak ująć, sir – powiedział chłodno Jasak nie patrząc nawet w stronę Neshoka – choć osobiście sędzę, że jeśli jest się prawie atakowanym przez smoka bojowego, a na dodatek nie otrzymuje się odpowiedniej ochrony od własnej eskorty, to można stracić nad sobą panowanie.

Mul Gurthak zacisnął usta.

–Zaznajomiłem się z dokumentami od pięćsetnika Kliana i wiem już wszystko o pańskiej decyzji wzięcia obcych w *shardon*, setniku – oznajmił lodowato. W jego oczach przez chwilę błyszczało coś bardzo brzydkiego. Po chwili jednak zaczerpnął głęboko powietrza i lekko pokręcił głową.

–To element pańskiej kultury – nie mojej – ciągnął nieco cieplejszym głosem. – Nie mogę powiedzieć, że zgadzam się z pańską decyzją, ale rozumiem jakie pociąga za sobą skutki. Jednocześnie zarówno pan, jak i pańscy *shardonai* powinniście rozumieć, że nie przestają oni być jeńcami – jeńcami wojennymi, a na dodatek stanowią póki co jedyne dostępne nam źródło informacji o wrogu. Jeśli nadal będą odmawiać współpracy z nami, wszyscy znajdziemy się w bardzo... niezręcznej sytuacji.

–Odmawiać współpracy, sir? – brew Jasaka powędrowała ku górze. – Nie rozumiem jak ktokolwiek mógł powiedzieć, że jeńcy odmawiają współpracy. Oczywiście, jak pan właśnie zauważył, oboje są jeńcami wojennymi ludźmi, którzy zabili wszystkich ich towarzyszy. Nie będą dobrowolnie wyjawiać wszystkiego, co pomogłoby nam zabić więcej ich pobratymców. Z drugiej strony jednak robią wszystko co w ich mocy, by nawiązać z nami normalny kontakt. Lady Nargra-Kolmayr nauczyła się płynnie mówić po andarańsku w mniej niż dwa tygodnie, a także przekazała swą wiedzę mężowi. Co więcej...

–Proszę mi wybaczyć, setniku, czy powiedział pan, że oni płynnie mówią po andarańsku? – wtrącił Skirvon.

–W każdym razie lady Nargra-Kolmayr – przytaknął Jasak. – Sam jestem zdumiony sprawnością i tempem, w jakim tego dokonała.

–A czy odwzajemniła się tym samym? – spytał mul Gurthak marszcząc nieufnie brwi.

–To znaczy, czy nauczyła nas sharoniańskiego, sir? – odpowiedział Jasak pytaniem. Komendant skinął głową i setnik wzruszył lekko ramionami.

–Tak samo jak na Arkanie, na Sharonie jest wiele języków, Sir. Między sobą oboje mówią najczęściej w mowie zwanej shurkhaliańskim. To ojczysty język lady Nargry-Kolmayr, lecz nie jej męża. Tak samo jak magister Kelbryan postanowiła nauczyć ich tylko jednego z naszych języków – andarańskiego – tak my uczymy się mowy, którą oni nazywają ternathiańską. Według lady Nargry-Kolmayr jest to język najpotężniejszego narodu Sharony.

–To znaczy, że się go uczycie, tak? – dopytał Skirvon.

–Owszem, lecz oczywiście nie w takim tempie, w jakim oni poznali andarański – Jasak uśmiechnął się cierpko. – Magister Kelbryan uczyła obcych przy pomocy aplikacji ze swego KO. Przy każdym andarańskim słowie, jakie im przekazywała oni uczyli ją ternathiańskiego odpowiednika. Zaklęcia magister Kelbryan zachowują te wyrazy zarówno w formie pisemnej jak i głosowej, a także opracowują zasady tamtejszej gramatyki. Dzięki temu na dobrą sprawę udało nam się opracować podręcznik ich mowy, dzięki któremu możemy też prowadzić symultaniczne tłumaczenia. Rzecz jasna do końca nauki jeszcze daleko i żadne z nas nie zbliżyło się nawet do poziomu płynności, z jaką naszym językiem posługuje się lady Nargra-Kolmayr, ale początek już mamy.

Sięgnął do kieszeni w swej tunice i wydobyl z niej plik gęsto zadrukowanych kartek.

–Magister Kelbryan wydrukowała to wczoraj ze swego KO – wyjaśnił i podał papiery siedzącemu bliżej z obu dyplomatów – Dastiriemu.

–Niewiarygodne – mruknął Dastiri przeglądając dokumenty. Pokręcił głową i przekazał wydruk Skirvonowi – starszemu rangą w UKA.

–Rzeczywiście. Robi wrażenie – zgodził się drugi z dyplomatów. – Czy magister Kelbryan mogłaby skopiować to do naszych KO? Wraz z tymi zaklęciami tłumaczącymi. Dla UKA byłaby to nieoceniona pomoc.

–Ja też chciałbym otrzymać kopię, setniku – dodał mul Gurthak.

Jasak nie widział w tym nic niewłaściwego. Jako głównodowodzący tego krańca łańcucha tranzytowego, mul Gurthak miał dobre powody, by poznać język jeńców. Co więcej – Olderhan wiedział, że im więcej oficerów pozna ternathiański, tym lepiej dla sprawy. Bez względu na kierunek w jakim rozwinie się sytuacja, dojdzie przecież do kolejnych kontaktów z Sharonianami i należało wypracować jakieś, alternatywne

do wzajemnej wymiany ognia, metody komunikacji.

–Jestem pewien, że magister Kelbryan będzie zadowolona, mogąc skopiować te dane dla pana oraz dla Mistrza Skirvona i Mistrza Dastiri, sir – odpowiedział. – Mistrz Skirvon, gdyby był pan tak miły i zabrał też kopię dla pięćsetnika Kliana. Będzie pan mógł mu ją przekazać po przybyciu do Rycharn.

–Doskonały pomysł – zgodził się Skirvon. – Oczywiście, że tak zrobimy.

Dyplomata popatrzył przez chwilę na wydruk, po czym schował go do swojej aktówki i wyciągnął z niej swój KO. Uruchomił urządzenie rysikiem i ustawił tryb nagrywania dźwięku, po czym oparł się wygodnie na krześle.

–Do Fortu Rycharn zgodnie z planem powinniśmy wyruszyć jutro – oznajmił. – Nie uda mi się rzecz jasna do tego czasu opanować płynnie ich mowy, ale te pańskie rozmówki szalenie ułatwią mi pracę. Powinniśmy zacząć od podstaw, jeśli chcemy w końcu rozmawiać z nimi o bardziej złożonych sprawach. Proszę teraz powiedzieć, czego zdążył się pan o obcych dowiedzieć, sir Jasak?

–Wiem już całkiem sporo, mistrzu Skirvon. Dlatego też mówiłem, że nie można zarzucać lady Nargrze-Kolmayr i jej mężowi odmowy współpracy. Jeśli chodzi o kwestie militarne, to wypowiadali się co prawda dość powściągliwie, lecz ja wierzę, że są cywilami i większość wojskowych szczegółów nie jest im po prostu znana. Wiele za to opowiadali o swoim rodzimym wszechświecie – o jego politycznej i społecznej strukturze.

–Ach tak? – Skirvon uniósł brwi zaciekawiony.

–Wiemy już wiele o ustroju Sharony – ciągnął Jasak. – Większość tych informacji zapisaliśmy w KO magister Kelbryan wraz z notatkami o ternathiańskim. Myślę, że wszyscy będziecie panowie zaskoczeni tym, jak stare są ich kultury, a co więcej – choć nie mają żadnego wspólnego rządu na podobieństwo naszej Unii, to ich narody dzielą ze sobą zadziwiająco wiele wartości i pojęć. Według lady Nargry-Kolmayr ich najstarszym państwem jest Cesarstwo Ternathii, które liczy sobie ponad pięć tysięcy lat. Był czas, kiedy państwo to władało ponad dwoma trzecimi znanego wówczas świata, na których to terenach odcisnęło piętno swojego dziedzictwa kulturowego, kiedy je po wiekach opuściło.

Skirvon skinął głową, lecz Jasak odniósł niejasne wrażenie, że dyplomata mu nie dowierza. Nie dowierzał, lub raczej przypuszczał, że Shaylar rozmyślnie wyolbrzymiła wiek i potęgę swej cywilizacji.

–Sam zaznajomi się pan z jej opowieściami mistrzu Skirvon – powiedział Olderhan. – Osobiście wierzę, że nie kłamała, ale jestem pewien, że potrzebuje pan wyrobić sobie własną opinię.

–Zapoznam się z nimi bardzo dokładnie, sir Jasak – obiecał Skirvon. – Tymczasem jednak chciałbym pomówić o czymś bardziej nagłym. Według raportu pięćsetnika Kliana obcy posługują się technologią znacznie różniącą się od naszej.

–Jest to jedno z najbardziej rażących niedomówień, jakie w życiu słyszałem, mistrzu Skirvon – odpowiedział Jasak z uśmiechem.

–Mamy ze sobą zdobyczny sprzęt i z pańskim pozwoleniem, dwutysięczniku – spojrzał na mul Gurthaka – zostawię tutaj reprezentatywną próbkę, zwłaszcza ich broni. Jestem pewien, że dowództwo zażąda, by większość jej przewieziono na Nową Arkanę, gdzie będzie mogła zostać szczegółowo zbadana, lecz to wy jesteście blisko miejsca kontaktu i chyba dobrze będzie, jeśli zaznajomicie się z jej możliwościami.

–Świetna myśl setniku – szczerze ucieszył się mul Gurthak.

–Wracając do pańskiego pytania, mistrzu Skirvon – Jasak zwrócił się na powrót do dyplomaty – obcy dysponują wieloma urządzeniami i narzędziami, których przeznaczenia jeszcze nie zrozumieliśmy. Są wyjątkowo dobrymi inżynierami i rzemieślnikami. Na polu metalurgii i tkactwa są tak samo dobrzy jak my, ale za to wydaje się, że nie mają żadnego odpowiednika naszej technologii magicznej.

–Tak też zrozumiałem z raportu pięćsetnika Kliana – Skirvon mocno zmarszczył czoło – choć ciężko w to uwierzyć. Oczywiście ja nie spędziłem w ich towarzystwie tyle czasu, co pan, sir Jasak. Z drugiej jednak strony wydają się takimi samymi ludźmi jak my, więc powinni mieć identyczny z naszym zestaw genów i te same Dary.

–Tu nie mogę się nie zgodzić – przyznał Jasak. – W tej chwili zbyt mało jeszcze o nich wiem, żebym mógł cokolwiek stwierdzać z całą pewnością, nawet gdybym miał jakieś medyczne czy techniczne przesłanki. Wiem jednak tyle, że zaskakuje ich każda manifestacja magii. Każda – bez względu na to jak proste są to zaklęcia. Magister Halathyn wyczarował banalną różę świetlną, co potrafi przecież Obdarzony czterolatek. Chciał ją wręczyć lady Nargrze-Kolmayr. Kiedy wykwitła mu z dłoni oboje doznali szoku. U obojga nastąpiła identyczna, spontaniczna reakcja – zdumienie graniczące z przerażeniem.

–Przerażeniem? – Skirvon zmarszczył brwi jeszcze bardziej. – Na bogów, dlaczego? Czego tu się bać? Przecież to tylko magia!

–Sharonianie nie znają magii. Nie mają niczego, co choćby przypominałoby w ogóle czary, nie mówiąc już o opartej na nich technologii. Nie wierzyli w istnienie magii do momentu, w którym nie zobaczyli magicznych narzędzi.

–To niedorzeczne – mruknął Dastiri, zdał sobie sprawę, że odezwał się na głos i machnął ręką. – Proszę mi wybaczyć, sir Jasak, ale to brzmi... zbyt dziwnie.

–Zgadzam się – powiedział Olderhan ze zrozumieniem w głosie. – Niemniej to prawda. Magister Kelbryan i ja rozmawialiśmy z nimi o tym bardzo często. Ich cywilizacja nie jest w ogóle oparta na wykorzystaniu magii.

Skirvon siedział prosto i wpatrywał się w Jasaka. Podobnie mul Gurthak, lecz w oczach dowodzącego dwoma tysiącami było coś więcej poza zdumieniem.

–Ale... – wydukał wreszcie dyplomata – jak można stworzyć cywilizację bez magii?

Rozejrzał się po gabinecie komendanta. Był to surowy, typowy dla pogranicza pokój, lecz mimo to znajdowało się w nim około tuzina magicznych urządzeń od kryształów począwszy, przez oświetlenie i czar odpędzający owady, po bezszelestnie wirujące łopaty wiszącego u sufitu wiatraka. W szalkach i szufladach znajdowały się inne czarodziejskie przedmioty.

–Przykro mi sir Jasak, ale Uthik ma rację. To brzmi nieprawdopodobnie. Bez magii musieliby żyć w niezwykle prymitywnych warunkach. Byliby niewiele bardziej rozwinięci od barbarzyńców!

–Z całym szacunkiem, mistrzu Skirvon, nie używałbym tego określenia w zasięgu słuchu obcych – poradził łagodnie Jasak. Zza niego dobiegł stłumiony pomruk. Mul Gurthak spojrzał na Olderhana i uniósł brew.

–Chciałeś coś dodać, setniku Neshok? – zapytał niepokojąco spokojnie.

–Chciałem tylko powiedzieć, sir, że nikt nie powinien tak mówić przy tej dziewczynie. To jasne, ta mała dziwka ma charakterek.

–Tego już za dużo Neshok! – spokój zniknął z głosu mul Gurthaka. Oblicze komendanta stężało. – Obrażasz kobietę i jej ludzi! Groziłeś jej, a to, że ona płynnie mówi w twoim języku tylko pogarsza sprawę. Można o obcych myśleć różnie, ale trudno ją winić, że wpadła w szal w obliczu twojego chamstwa i bezczelności. Powinieneś się cieszyć, że jak dotąd tylko ona udzieliła ci nagany!

–Tak jest, sir – przytaknął Neshok zduszonym głosem. Jasak poczuł ciepło bijące od jego czerwonej twarzy.

–Nie popełnij tego błędu powtórnie Neshok.

–Nie popełnię, dwutysięczniku.

Jasak wiedział, że nikt nie lubi się kajać przed przełożonymi. Neshok jednak nie cierpiał podobnych sytuacji w dwójnasób. I bardzo się to Olderhanowi spodobało.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał. Wreszcie Jasak odchrząknął, spojrzał na

Skivrona i podjął przerwany wątek.

–Jak mówiłem, nie zakładałbym, że ich cywilizacja jest prymitywna czy nierozwinięta jedynie dlatego, że nie używają magii. Sami przecież używamy narzędzi mechanicznych, ale wystarczy spojrzeć na nasze kusze strzelające stalowymi bełtami i na egzemplarz ich broni. Jathmar rozmontował dla mnie jeden z nich – nazywają to karabinami – w Forcie Wyvern. Szczerze mówiąc to, co jest w środku to istne piekło skomplikowanych, maleńkich elementów mechanicznych. Nawet sam pocisk składa się z kilku części. Najbardziej fascynujący jednak jest ziarnisty, czarny proch w tym, co on nazywa „ładunkiem”. – To właśnie proch stanowi chemiczny – znaczenia tego słowa też jeszcze nie rozumiem – element pocisku i sprawia, że pada strzał. Z tego, co sam pojmuję, to działa trochę, jakbyśmy włożyli do ładunku coś podobnego do naszej ognistej kuli, która rozszerza się z wielką prędkością i wypycha pocisk poprzez pustą w środku lufę karabinu w kierunku celu.

–Przy tym opisie kusza wydaje się o wiele bardziej praktyczną i niezawodną bronią – zauważył Skirvon i znów się zafrasował.

–Ich broń jest wystarczająco niezawodna – Jasak prawie zamrugnął ze zdumienia, słysząc, że do rozmowy wtrącił się Otwal Threbuch. – Jest też dość praktyczna, za pańskim przeproszeniem. Widział pan kiedyś bełt z kuszy, który przeszyłby człowieka na wylot z odległości trzystu jardów? Czy widział pan kuszę, która zabija trzydziestu ludzi w trzy sekundy? Trzydziestu! Z odległości czterdziestu stóp? Padli jak jeden mąż, zupełnie jakby potknęli się o niewidzialny drut. Tyle, że to nie był żaden drut. Te ich pociski wrywały w naszych dziury – wielkie dziury. Z przodu można było w nie włożyć bez trudu kciuk, a z tyłu całą pięść. A to jeszcze nic przy tym, co potrafi zrobić ich artyleria. Strzelali przez portal i potrafili ominąć fortyfikacje setnika Thalmayra – podoficer pokręcił ponuro głową. – Proszę mi wierzyć, sir. Może i kusza jest mniej skomplikowana, ale z pewnością nie jest bardziej praktyczna ani niezawodna.

Obaj dyplomaci pobledli jak popiół. Nawet mul Gurthak wyglądał na wstrząśniętego. Znów zapadła cisza. Tym razem jako pierwszy doszedł do siebie Skirvon.

–Nie jestem ani wojskowym ani specjalistą od techniki, sir Jasak – przyznał. – I nadal nie bardzo potrafię uwierzyć w istnienie cywilizacji, która powstała bez pomocy magii, ale na tę chwilę chyba nie pozostaje nam nic innego jak przyjąć pański punkt widzenia – pański i miecznika. Poza tym, choć nie znam się na technologiach, to mam doświadczenie w dyplomacji. Mówił pan, że oni nie mają rządu światowego. Jak w takim razie radzą sobie z eksploracją portali?

–Powołali jakąś instytucję centralną. Organizację, która zarządzą fortami i samymi portalami. Brzmi to trochę jak odpowiednik naszego ZTTTU. Ta instytucja sprawuje też kontrolę nad zespołami naukowców badających nowe wszechświaty. Z drugiej

strony jednak jest to prywatna organizacja. Nie do końca rozumiem. Tak czy inaczej ten Zarząd Portali decyduje o tym, kto może dołączyć do badaczy wszechświatów. Lady Nargra-Kolmayr twierdzi, że jest pierwszą kobietą, której pozwolono pracować w takim zespole. Podejrzewa, że będzie zarazem ostatnią.

Dyplomaci wymienili zaniepokojone spojrzenia i spojrzeli z powrotem na Jasaka.

–Czyli powinniśmy rozmawiać z tym Zarządem Portali, a nie z przedstawicielami rządu? – zastanowił się na głos Skirvon.

–Tak sędzę – przytaknął Jasak. – Ale to jedynie moje przypuszczenie. Jedną z rzeczy, których jeszcze nie wiemy o Sharonie jest to, jak daleko posunęli się w badaniu portali. Z kilku półsłówek wnoszę, że natknęliśmy się na nich, gdy badali wysunięty kraniec bardzo długiego łańcucha. Jeśli to prawda to nie uda im się sprowadzić na front dyplomatów szybciej od nas. Poza tym, oni przy braku wspólnego rządu światowego, będą musieli podjąć wcześniej decyzję, który z rządów powinien prowadzić negocjacje z nami.

–Celne spostrzeżenie, sir Jasak – Skirvon energicznie skinął głową i nagle spojrzał ciekawie na setnika. – Wiem, że zmieniam temat – powiedział przeprasząco – ale przyszło mi do głowy, że skoro nie znają magii, to nie mają też niczego w rodzaju naszych brzęczków i powinno nam to dać przewagę czasu.

–Na to bym nie liczył, mistrzu Skirvon – Jasak ponuro pokręcił głową. – Oni rzeczywiście nie używają brzęczków, ale tylko dlatego, że ich nie potrzebują.

–Jak to nie potrzebują? – zapytał ostro mul Gurthak i Jasak skrzywił się brzydko.

–Dowiedzieliśmy się tego już po opuszczeniu Fortu Rycharn. Sharonianie nie mają Darów, mają natomiast Talenty.

Samego siebie zaskoczył niechęcią, z jaką poruszał ten temat. Dopiero teraz zdał sobie sprawę jak bardzo czuł się odpowiedzialny za Jathmara i Shaylar. Mimo to wiedział, że jest oficerem Unii Arkany i jako taki powinien przekazać informację przełożonym. Opowiedział więc wszystko, czego dowiedział się o Talentach od jeńców.

–W oczywisty sposób – podsumował kilka minut później – możliwości militarne zastosowania tej... żywej technologii są niezmierzone. Cywilne zresztą też.

Słuchacze wyglądali na osłupiałych. Mul Gurthak pochylił się do przodu nad swym biurkiem. Cała jego postawa i mina wyrażały wściekłość.

–Kiedy dokładnie – zapytał lodowatym głosem – się tego dowiedziałeś, setniku?

–Dzień drogi od Fortu Wyvern, sir – odparł chłodno Jasak. – Potem pomyślałem, że skoro sami przybędziemy smokiem jak najszybciej się da, to nie ma sensu wysłać panu tej informacji brzęczkiem. Założyłem, że wolałby pan dowiedzieć się o tym osobiście, tak żeby ograniczyć możliwość przecieku.

–Rozumiem – dwutysięcznik opadł na krzesło i zaczął bawić się rysikiem. Gniew powoli niknął. Nadal jednak nie wyglądał na zadowolonego. – Jak to się stało, że panu o tym powiedzieli? Przecież muszą rozumieć, że to ważna strategiczna informacja.

–Nie jestem pewien, czy zdają sobie sprawę ze wszystkich implikacji – powiedział niechętnie Jasak. – Jak już mówiłem oboje są cywilami, a nie żołnierzami. Natomiast przyznali się do posiadania Talentów po części dlatego, że nie mieli wyboru. Spierałem się z nimi o coś, co wstrząsnęło magister Kelbryan i wtedy powiedzieli część prawdy. Resztę wyjaśnili już z własnej woli.

–Ale dlaczego? – Skirvon zachował zdrowy sceptycyzm, mul Gurthak zresztą także.

–Mam wrażenie, że oni rozpaczliwie poszukują jakiegoś wspólnego gruntu porozumienia, mistrzu Skirvon – odpowiedział powoli Jasak. – Są świadomi różnic między naszymi światami – prawdopodobnie nawet bardziej niż my, bo to w końcu oni są uwięzieni wśród nas. Mam wrażenie, iż uważają, że im więcej dowiemy się o nich – tym szybciej pojmiemy, że nie są potworami, a tylko innymi ludźmi. Chcą jak sądzę, doprowadzić do powstania obopólnego zaufania. I uważam też, że to mądre podejście. Kiedy się nad tym głębiej zastanowić, to czego oni potrafią dokonać za pomocą tych swoich Talentów nie odbiega aż tak bardzo od rzeczy, które robimy my z naszymi Darami. Z tego, co mówiła Shaylar, Talenty przekazywane są genetycznie z pokolenia na pokolenie i nadają się o wiele mniej niż magia do wywoływania tego, co magister Kelbryan nazywa „makroefektami”. Prawdopodobnie dlatego tak mocno polegają na urządzeniach mechanicznych.

–Jakkolwiek groźne mogą wydawać się nam ich zdolności i bez względu na to, jakie swoje niebezpieczne możliwości obcy nam jeszcze pokażą, nie zmieni się jedno. Z dwóch bardzo różniących się od siebie krain Sharony pochodzi dwoje ludzi, którzy pod wieloma względami myślą tak samo i mają podobne zalety i wady. Myślę, że to ważne dla całego procesu rozumienia obcych. Jeńcy są honorowi, odważni i – co w tej sytuacji mocno zaskakujące – uczciwi i otwarci.

Dyplomaci raz jeszcze spojrzeli po sobie. Jasak nie miał zamiaru przejmować się ich minami.

–To rzeczywiście bardzo dla nas pomocne, sir Jasak – powiedział po chwili Skirvon.

–Jeśli pozwolicie panowie, to chciałbym wspomnieć o czymś jeszcze – odezwał się

Jasak. – Wiemy, że na Sharonie istnieje wiele państw i wiemy też, że lady Nargra-Kolmayr i jej mąż nie pochodzą z tego samego narodu. Wystarczy na nich spojrzeć żeby stwierdzić, iż mają zupełnie różne zestawy genów. Mimo to ich pojęcia i wartości – to w co wierzą najgłębiej – są zadziwiająco podobne. Co więcej – jeśli się zastanowimy... Ilu Arkanian wiąże się z osobami spoza własnej kultury? Niewielu, mimo, że żyjemy w zjednoczonym świecie, rządzone przez jeden rząd od dwustu lat.

Wzmianka o mieszanych małżeństwach spowodowała, że mul Gurthak wydał niechętnie wargi. Mimo wszystko to on jako pierwszy zrozumiał, do czego zmierza Jasak.

–Chcesz powiedzieć, że mimo iż nie mają rządu światowego, to ich cywilizacja może okazać się o wiele bardziej jednolita od naszej?

–Właśnie tak, sir – przytaknął Jasak.

–Nie wiemy jednak – zastanowił się głośno Dastiri – jak często zdarzają się wśród nich podobne związki.

–To faktycznie interesujące – zgodził się Skirvon. – Możliwe, że takich małżeństw nie ma wiele, ale ja ufałbym w tej kwestii intuicji sir Jasaka. Wiem, że nie odbył żadnego przeszkolenia dyplomatycznego, ale jako dziedzic na Garth Showma na pewno ma lepsze wyczucie polityczno-kulturowych niuansów niż większość ludzi. A już na pewno lepsze niż wielu równych mu stopniem oficerów – dyplomata rozmyślnie nie spojrział w kierunku Neshoka – a poza tym spędził z jeńcami bardzo dużo czasu. Przepraszam – nie z jeńcami – ze swymi *shardonai* – Skirvon uśmiechnął się do Jasaka przeproszająco, po czym odwrócił do Dastiriego. – Jeśli sir Jasak sądzi, że mamy do czynienia z kulturowym monolitem, to ja w to wierzę.

Nozdrza Neshoka zagrały. Temperatura spojrzenia mul Gurthaka oziębiła się o kilka stopni, lecz trwało to jedynie kilka sekund. Po chwili dwutysięcznik powoli i głęboko odetchnął.

–Tak, to słuszne uwagi – powiedział. – Wygląda na to, że mamy szczęście mogąc skorzystać z twojej intuicji setnika Olderhan.

Zmierzył Jasaka dłuższym, kosym spojrzeniem i w końcu wzruszył ramionami.

–Biorąc pod uwagę rolę Shevana Garlatha w katastrofie na Polanie Powalonych Drzew – dodał – jestem zmuszony zrewidować swoją wstępną, zbyt pochopną opinię na temat pańskich zdolności dowódczych. Część raportu pięćsetnika Kliana, omawiająca profesjonalizm półsetnika Garlatha jasno stawia sprawę – miał pan do czynienia z bardzo... trudną sytuacją i to jeszcze przed nawiązaniem kontaktu z Sharonianami.

Uśmiechnął się chłodno.

–Ludzie zawsze czują pokusę, by to posłańców obwiniać za złe wieści, które przynoszą. Zwłaszcza, jeśli chodzi o katastrofy militarne, czy choćby polityczne. Ale raport miecznika Threbucha z drugiego kontaktu z tymi ludźmi, jasno pokazuje – przynajmniej mi – że wykonał pan świetną robotę opanowując sytuację.

Jasak zjeżył się w duchu, słysząc wyrażenie „opanowując sytuację”. Było w nim coś na rzeczy – nie wymknęła mu się spod kontroli zupełnie, ale coś w samych tych słowach, a może sposób, w jaki zostały wypowiedziane bardzo go zdenerwowały. Zaskoczyła go własna reakcja, lecz nie miał teraz czasu się nad nią zastanawiać. Mul Gurthak nie skończył mówić.

–Nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczę Hadrignowi Thalmayrowi – mówił gorzko komendant – że tak łatwo zmarnował wszystko, co pan osiągnął i stracił tych ludzi, których pan z takim wysiłkiem i poświęceniem ocalił. O utracie portalu nawet nie wspomnę.

Pokręcił głową, rozparł się w krzesło i splótł dłonie na piersi.

–Rozumiem, że od teraz począwszy będzie pan wysyłać raporty na Nową Arkanę jeszcze w trakcie podróży. Dowództwo chce wiedzieć o wszystkim, czego uda się panu dowiedzieć jak najszybciej to będzie możliwe. Musimy pamiętać o opóźnieniach wynikających z odległości, które są wielkie nawet biorąc pod uwagę prędkości brzęczków. To długi łańcuch.

–Tak jest sir. Wiem o tym – pierwszy raport o nawiązaniu kontaktu z obcą ludzką cywilizacją nadal leci do Nowej Arkany na skrzydłach magicznie ulepszonych ptaków. – Tam nikt jeszcze nie wie, że poznaliśmy sąsiadów Unii, ani o bitwach. Obcy za to już wiedzą.

Olderhan spojrział mul Gurthakowi ponuro w oczy. Skirvon i Dastiri zastrzygli uszami, jakby powiedziano coś, czego nie zrozumieli. Komendant obdarzył ich twardym, wąskim uśmiechem.

–Nie słuchaliście panowie setnika wystarczająco uważnie – zauważył. – Mówił przecież, że obcy nie potrzebują brzęczków.

Skirvon otworzył szeroko oczy i pobladł. – Bogowie! Oczywiście! Oni już wiedzą od tygodni!

–Lady Nargra-Kolmayr praktycznie potwierdziła tę wersję – zgodził się niechętnie Jasak. – Nie wiem ile dokładnie czasu, wiadomość wędrowała do ich rodzimego wszechświata, ale biorąc pod uwagę system, który mi opisała – Głosy rozmieszczone przy każdym portalu i tam gdzie to potrzebne pomiędzy nimi, mogło im się to udać w

ciągu kilku godzin. Założę się, że w ich Zarządzie Portali wiedzieli już w momencie, kiedy ja wysyłałem rannych smokiem na bagna. Coś, co powiedziała dziś rano potwierdza, że jej rodzina uważa ją za martwą. Użyła właśnie tego czasu gramatycznego i nie był to raczej błąd językowy. Ona wie, że wiadomość, którą przekazała z Polany Powalonych Drzew już dotarła do Sharony.

Twarze dyplomatów przybrały chorobliwy żółto-zielony odcień.

–Czyli mamy do czynienia z kompletną katastrofą – jęknął Skirvon. – Mieli przecież czas, żeby wysłać ku nam całe dywizje!

–Aż tak źle nie jest – zaprotestował mul Gurthak. Obaj spojrzeli na niego z niedowierzaniem. Komendant wzruszył ramionami. – Działam przy założeniu, że oni o wszystkim wiedzą już od momentu otrzymania pierwszego raportu od pięćsetnika Kliana. Oddział, który zaatakował setnika Thalmayra był o wiele silniejszy, niż ktokolwiek mógł się tego spodziewać, aczkolwiek nie była to też ilość wojska jakiej można by oczekiwać, gdyby nadeszli z jakiejś większej bazy. Wiemy też, że oni nie mają smoków ani chyba żadnego innego sposobu na latanie. Miecznik twierdzi – mul Gurthak rzucił okiem na Threbucha – że ich konie nie są magicznie ulepszone. Najprawdopodobniej mamy więc do czynienia z sytuacją, w której ich sztab jest w stanie szybciej od nas wysłać i odbierać informacje, lecz ich siły poruszają się o wiele wolniej od naszych.

Jasak skinął głową. Do podobnego wniosku doszedł już wcześniej. Pomyślał, że powinien poczuć zadowolenie z faktu, że jego własna ocena była zgodna z oceną przełożonego. I prawie czuł. Nie rozluźnił się jednak do końca, gdyż w oczach cały czas mul Gurthaka pełgało coś bardzo niepokojącego.

–Setniku Olderhan – ciągnął dowodzący dwoma tysiącami, zwracając się na powrót do Jasaka z o wiele cieplejszym niż przed chwilą uśmiechem. – Chcę bardzo podziękować za tak dokładny raport. Jestem bardzo pozytywnie zaskoczony ilością informacji, jakie udało się panu wydobyć od jeńców. To chyba kolejny przykład na to, że marchewką można uzyskać czasem o wiele więcej niż kijem – dodał rzucając Neshokowi wymowne spojrzenie. – Zgadzam się też, że rozpoczęcie rozmów dyplomatycznych jest w tej chwili sprawą najwyższej wagi. Tak samo, jak pańska podróż do Nowej Arkany z *shardonai*. Jak tak myślę o tym, co przed chwilą usłyszeliśmy dochodzę do wniosku, że gdybyśmy nawet mogli wybierać sobie jeńców. to nie moglibyśmy pomarzyć o lepszym źródle informacji.

Raz jeszcze coś ostrzegawczo zadrgało wewnątrz Jasaka. Oceniał jednak, że to było ukłucie instynktu opiekuńczego. *Shardonai* stali się ważni dla niego osobiście, nie tylko na mocy honorowych zobowiązań. To niekoniecznie musiało się dobrze skończyć. Na pewno nie był to stan rzeczy najbardziej korzystny z perspektywy Unii Arkany. Mul Gurthak nie mylił się co do wartości Shaylar i Jathmara, i Jasak

rozumiał, że jako oficer powinien tak samo chcieć wycisnąć z nich wszelkie możliwe informacje. Przynajmniej tyle, ile udałoby się wycisnąć bez krzywdzenia jeńców.

–Jestem pewien, że jesteś zmęczony po tak długim locie, setniku – podjął po chwili mul Gurthak. – Biorąc pod uwagę ten... nieprzyjemny epizod na lądowisku jestem pewien, że zarówno twoi *shardonai* jak i magister Kelbryan są niezmiernie ciekawi przebiegu naszej rozmowy. Odeślę cię zatem teraz do kwater i zapewnij proszę jeńców, że w Forcie Talon nikt nie zechce usuwać ich spod twojej opieki, ani w żaden inny sposób zmieniać ich statusu.

–Dziękuję, sir.

Jasak zrozumiał, że komendant zakończył z nim spotkanie. Bardzo mu się to nie spodobało jako, że wiele dałby za to by poznać treść rozmowy, która niewątpliwie miała się teraz dopiero rozpocząć. Niestety – mimo, że posiadał wysoko postawionego ojca był tylko setnikiem.

–Mieczniku, oszczepniku, wy także jesteście już wolni – ciągnął dwutysięcznik. – Setnik Neshok odprowadzi was do kwater.

Threbuch i Iggy Shulthan stuknęli służbiście obcasami i wyszli za Jasakiem z gabinetu mul Gurthaka.

Dźwięk zamykanych drzwi nie był wcale złowieszczym zwiastunem. To tylko Jasak miał takie wrażenie.

ROZDZIAŁ

SZESNASTY

Mężczyzna, który sam siebie nazywał Nith vos Gurthak jedynie wtedy, gdy był zupełnie sam, popatrzył na zamykające się za sir Jasakiem Olderhanem i towarzyszącymi mu podoficerami drzwi, po czym przesunął wzrokiem po twarzach Rithmara Skirvona i Uthika Dastiriego.

–Energiczny młodzieniec z tego naszego setnika Olderhana – zauważył uśmiechając się bez przekonania.

–Bez wątpienia – powiedział Skirvon. – Ale mam też wrażenie, że zna się na swojej pracy. Wydaje mi się, że z przeprowadzeniem kontaktu i wstępną potyczką poradził sobie znakomicie i wypada nam chyba żałować, że nie dowodził już, kiedy Sharonianie zaatakowali bazę na bagnach.

–To prawda – przytaknął mul Gurthak – „i nawet nie spodziewasz się z jak wielu powodów” – dodał tylko w myślach. – Jednakże – ciągnął – obawiam się, że zanadto przywiązał się do swoich jeńców. Jest dla mnie oczywiste, że za bardzo stara się ich chronić i nie wykluczam, że oni mogą wykorzystać to przeciw niemu.

–Uważa pan, że mogą chcieć przekonać go, że ich pobratymcy są święci? Że mogą igrać z jego współczuciem?

–Tak. Coś w tym rodzaju. Zresztą równie dobrze może być na odwrót – mul Gurthak poruszył się na krześle. – Gdyby udało się im przekonać nas, że stanowią jednolitą, wojskowo silną cywilizację, a w rzeczywistości byłoby inaczej, moglibyśmy przecenić ich zdolności bojowe. Jestem pewien, że naszą... przesadną ostrożność obcy także mogliby wykorzystać z korzyścią dla siebie.

–Zgoda, sir – odezwał się Dastiri – ale z drugiej strony, czy zasady nie nakazują nam w podobnych sytuacjach zakładać najgorszej ze wszystkich możliwości?

–Do pewnego stopnia, mistrzu Dastiri – odparł mul Gurthak i wymienił ze Skirvonem spojrzenie, którego Dastiri nie zauważył. – Problem polega na tym, że jak już zauważyliśmy w czasie rozmowy z setnikiem Olderhanem, nikt na Nowej Arkanie nie ma pojęcia o tym, co się tu dzieje. I zanim ktokolwiek się dowie upłynie jeszcze bardzo dużo czasu. Co więcej – kiedy Dowództwo dowie się już o kontakcie, to znów będziemy musieli czekać na jakiegokolwiek wytyczne. To z kolei oznacza, że tymczasem to ja, jako najstarszy rangą oficer w rejonie, muszę zdecydować co zrobić z jeńcami.

–Nie czekając na rozkazy z Dowództwa lub Parlamentu? – Dastiri spojrzął z

przestrachem. Mul Gurthak uniósł ręce dłońmi do góry w geście wyrażającym kompletny pesymizm i bezradność.

–Znajdujemy się na końcu niesłychanie rozciągniętego łańcucha tranzytowego – przypomniał. – Najbliższa stacja ślizgacza jest o dwadzieścia tysięcy mil stąd, a nie można powiedzieć, żeby ten łańcuch był przesadnie dobrze zaopatrzony w broń i obsadzony wojskiem – komendant uśmiechnął się gorzko. – Gdyby było tu więcej personelu, to znalazłby się także i oficer straszy stopniem od byle dwutysięcznika. W obecnej sytuacji jednak nie mam po prostu żadnego wyboru. Muszę działać samodzielnie mając jednocześnie nadzieję, że rozkazy spłyną jak najszybciej.

–To z pewnością racja – powiedział po chwili namysłu Skirvon. – W takich okolicznościach, gdy mamy na koncie dwie stoczone już potyczki, nie ma według mnie wątpliwości. Decyzje powinien podejmować pan. Jak zatem możemy panu z Uthikiem pomóc?

–Setnik Olderhan nie myli się w swym twierdzeniu, że całą sytuacją powinni jak najszybciej zająć się dyplomaci – odpowiedział mul Gurthak. – To oczywiste. Najlepiej by było, gdyby wszystko od tego momentu udało się rozstrzygnąć metodami wyłącznie dyplomatycznymi, tak by nikt już nie zginął. Jeśli nie uda nam się tak rozegrać sytuacji, powinniśmy przynajmniej negocjować z obcymi tak długo, by zdążyły przybyć do nas posiłki.

–Proszę o wybaczenie komendancie – wtrącił Dastiri – ale czy nie powiedział pan przed chwilą, że na wzmocnienia nie mamy większych szans?

Mul Gurthak pomyślał, że młodszego dyplomatę cechował obrzydliwy, ransarański zwyczaj zadawania pytań w sprawach, które zupełnie nie powinny go interesować. Niemniej Dastiri już od roku pracował ze Skirvonem, a to wiele znaczyło. Znaczyło między innymi to, że nie mógł być wielbicielem Ransaran, więc mul Gurthak postanowił nie potraktować go jeszcze tym razem zbyt ostro.

–Powiedziałem, że nie można powiedzieć, że ten łańcuch jest przesadnie zaopatrzony w broń i obsadzony żołnierzami, mistrzu Dastiri – co nie znaczy, że nie ma w nim wystarczająco wielu batalionów i oddziałów powietrznych – zarówno bojowych jak transportowych. Zaraz po tym jak dostałem wiadomość od Kliana wysłałem rozkazy do wszystkich rozproszonych w łańcuchu jednostek, by stawiły się jak najszybciej w Forcie Talon. Pierwsze kompanie piechoty już przybyły na miejsce. Pozostałe są jeszcze w drodze, wraz z zaopatrzeniem i smokami transportowymi.

–Rozumiem – Skirvon przyjrzał się z namysłem minie dowodzącego dwoma tysiącami. Oblicze dyplomaty nie zdradzało niczego, lecz mul Gurthak nie musiał zbyt długo myśleć, by wiedzieć, nad czym zastanawia się jego rozmówca.

**–Jak pan ocenia nasze możliwości odparcia poważniejszego ataku, dwutysięczniku?
– spytał cywil po chwili.**

**–To trudne pytanie – mul Gurthak zakołysał się delikatnie w krześle i zacisnął wargi.
– W grę wchodzi zbyt wiele czynników bym odpowiedział jednoznacznie. Jak już
mówiłem setnikowi Olderhanowi, przeciwnik ma nad nami przewagę w sensie
szybkości komunikacji. Mają tych swoich Głosów i każdy strateg wam powie, jak
wielką stanowi to zaletę. My mamy z kolei przewagę w sprawności manewrowania
zarówno na poziomie strategicznym jak i taktycznym. To także niemało. Pamiętajcie
panowie, że obcy nie tylko nie znają magii – zakładając, że jeńcy nas nie zwodzą –
ale i nie dysponują smokami. Możemy więc założyć, że nie są w stanie wyobrazić
sobie tego, jak szybko jesteśmy w stanie przerzucać wojska w trudnym terenie.**

**–Co do ich broni – ciągnął komendant – to nie przeczę, że jest zdumiewająco
skuteczna i groźna, lecz prawdziwym powodem, dla którego zginął Thalmayr, a
oddział Olderhana został rozбитo było to, że obcy są w stanie strzelać przez barierę
portalu. Gdyby bitwa rozegrała się na otwartym polu – gdyby ich piechota i artyleria
zmierzyły się z naszymi smokami polowymi, to jestem pewien, że Thalmayr by ich
zmasakrował. To, co stało się na bagnach było jedynie rezultatem nieoczekiwanej
przewagi taktycznej przeciwnika. Teraz natomiast wiemy już, do czego ich broń jest
zdolna i zakładając, że będzie następny raz – będziemy na to przygotowani. Oni z
kolei jeszcze nie widzieli wszystkiego, czym my możemy postraszyć. Jeśli
rzeczywiście są takimi ignorantami w dziedzinie magii to czeka ich parę niemiłych
niespodzianek.**

**–Proszę mi wybaczyć, dwutysięczniku – powiedział Dastiri – ale mówi pan tak, jakby
spodziewał się, że ten następny raz rzeczywiście będzie miał miejsce.**

**–Jestem żołnierzem, mistrzu Dastiri – odparł mul Gurthak nieco zbyt oschle. – Moja
praca polega właśnie na przewidywaniu podobnych scenariuszy. A także na takim
rozmieszczeniu własnych oddziałów, by w razie najgorszego uzyskać jak największą
przewagę pozycyjną. Oczywiście, że nikt nie chce otwartej wojny, lecz jeśli już do
niej dojdzie muszę zapewnić nam zwycięstwo przynajmniej w pierwszych starciach.**

**–Owszem – mruknął Skirvon. – Co więcej, jeżeli magister Kelbryan i magister
Halathyn się nie pomylili, to mamy tam do czynienia z prawdziwym skupiskiem portali
i pozostawienie ich w rękach nieprzyjaciela z pewnością nie leży w interesie Unii.
Obcy na pewno myślą podobnie, co znaczy – spojrzął na swego podwładnego – że
musimy ich przekonać do naszej wersji wydarzeń, Uthik. A jeśli dowodzący dwoma
tysiącami mul Gurthak może zapewnić nam przewagę militarną to i negocjacje
powinny przebiegać dla nas pomyślniej.**

**–O tym właśnie mówię – zgodził się mul Gurthak energicznie kiwając głową. – Do
walki musimy przygotować się bez względu na to, czy chcemy wojny czy nie.**

–Z drugiej strony nie możemy dopuścić do sytuacji, w której obcy pomyślą, że im grozimy, dwutysięczniku – zauważył Dastiri z szacunkiem w głosie – możemy się też mylić co do prędkości z jaką potrafią przerzucać swoje wojska.

–Nie otrzymają najmniejszego powodu by pomyśleć, że im grozimy, mistrzu Dastiri – mul Gurthak po raz kolejny zmusił się do uśmiechu. – Logicznie rzecz biorąc powinniśmy zgromadzić swoje siły w Forcie Rycharn. Ponad siedemset mil od bagiennego portalu. Oni w odróżnieniu od nas nie mają możliwości przeprowadzenia zwiadu powietrznego. Jeśli zgromadzimy tam odpowiednią ilość wojska i smoków transportowych będziemy mieli do dyspozycji ruchomą siłę zdolną odeprzeć każdą inwazję z ich strony, a także będącą w stanie przeprowadzić błyskawiczną ofensywę w razie konieczności. Nasze jednostki powietrzne będą mogły usiąść im na karkach zanim tamci zorientują się, że jesteśmy w tym samym co oni wszechświecie.

Dastiri słuchał komendanta i stopniowo otwierał oczy coraz szerzej. Po chwili spojrzał ponuro na swego kolegę w cywilu. Siedział w milczeniu przez kilka sekund, po czym znów odwrócił się do mul Gurthaka.

–Wydaje mi się, że rozumiem dwutysięczniku – powiedział i opuścił wzrok na moment – na bardzo znaczący moment – na KO spoczywający na kolanach Skirvona. – Ma pan oczywiście rację, co do tego, że żaden z nas nie chce żeby ta sytuacja zaogniła się jeszcze bardziej. Razem z Rithmarem dołożymy wszelkich starań, by tak się nie stało. Ale oczywiście przygotowanie armii do najgorszego jest pańskim podstawowym obowiązkiem.

–Właśnie tak – tym razem mul Gurthak uśmiechnął się do Dastiriego o wiele cieplej niż przed chwilą, po czym spojrzał na stojący na jego biurku zegarek.

–Panowie, zbliża się pora kolacji, a mam jeszcze kilka obowiązków administracyjnych – powiedział. – Proponuję, żebyśmy przerwali to spotkanie do momentu, w którym wszyscy będziemy najedzeni.

–Oczywiście – Skirvon skinął głową i wyłączył KO.

Dastiri wstał, odczekał chwilę i zauważył, że Skirvon nie wykonał najmniejszego ruchu wskazującego na to, że chce wyjść. Spojrzał na przełożonego i na oficera siedzącego za biurkiem, przez moment wydawało się, że chce coś powiedzieć. Nie zrobił jednak nic. Pokręcił tylko głową, skłonił się lekko mul Gurthakowi i uśmiechnął do Skirvona.

–Ja także muszę załatwić kilka spraw jeszcze przed kolacją Rithmar – powiedział zdawkowo. – Do zobaczenia później.

–Do zobaczenia Uthik – odpowiedział Skirvon i popatrzył za wychodzącym z gabinetu podwładnym.

–A więc co naprawdę myślisz o Olderhanie? – spytał mul Gurthak gdy tylko rozległ się szcęk zapadającej za Dastirim klamki.

–Rzutki, gorliwy i w miarę inteligentny młody oficer – odparł Skirvon. – Nie jestem w stanie ocenić jego fachowości jako żołnierza i tu zdam się na pańską opinię – ale bez wątpienia jest spostrzegawczy i zaskakująco dobrze poradził sobie nie tylko z wyciągnięciem od obcych informacji, lecz także z ich analizą. W sensie rozumienia ich sposobu myślenia i kultury.

–Ale...? zachęcił mul Gurthak, gdy dyplomata urwał.

–Właśnie... Jest jedno niewielkie „ale” – Skirvon wsunął się głębiej w krzesło. Ręce złożył na poręczach. – Nie wątpię, że Olderhan będzie pewnego dnia świetny w roli andarańskiego diuka, ale ani w ząb nie rozumie zasad rządzących dyplomacją.

Mężczyźni wymienili się porozumiewawczymi uśmiejchami. Co prawda w żyłach Skirvona płynęła andarańska krew, ale jego rodzina od stuleci mieszkała w Hilmar, a pomiędzy Hilmarianami a ludźmi z królestw północy, którzy niegdyś podbili znaczną część ich kontynentu nadal tliła się tradycyjna nienawiść. Dyplomacie nie zależało na powodzeniu Andaran, a już na pewno nie na pomyślności najpotężniejszego spośród nich – diuka Garth Showma. Niewielu ludzi o tej jego niechęci wiedziało – w końcu ze strony matki sam był po trosze Andaraninem, ale mul Gurthak i jego najbliżsi współpracownicy zdawali sobie sprawę z jej istnienia już od jakiegoś czasu.

Po chwili twarz dyplomaty na powrót spoważniała.

–Pomijając wszystko inne - powiedział – młody Olderhan wydaje się nie rozumieć, że szanse na uniknięcie wojny z Sharonianami są niewielkie i z każdą chwilą maleją. Rozumiem, że chciałby w jakiś sposób zapobiec śmierci kolejnych ludzi, ale szczerze mówiąc nadzieja była mizerna nawet zanim jeszcze odkrył te ich umysłowe zdolności. Teraz natomiast, kiedy wiemy już o nich także i to, to według mnie szans na pokojowe rozwiązanie praktycznie już nie ma. Jako Mythalanin rozumie pan lepiej niż inni jak te informacje zostaną odebrane w domu.

–Cały wszechświat ludzi – nieobdarzonych ludzi – którzy czytają w myślach i potrafią używać umysłów jako broni? – parsknął mul Gurthak. – Przywódcy *shakiry* będą toczyć pianę z pyska.

–Właśnie – spotkali się spojrzeniami. Skirvon wzruszył ramionami. – Olderhan uważa swych jeńców za uczciwych i porządných ludzi. Bardzo możliwe, że ma rację. W końcu prywatnie większość z nas uważa uczciwość i sprawiedliwe traktowanie bliźnich za ważne cnoty. Zwłaszcza, jeśli ktoś stosuje je wobec nas. Obcy nie stanowią tu z pewnością wyjątku.

Mul Gurthak wykrzywił się w uśmiejchu kwaśnym jak zsiadłe mleko.

–Uczciwość i równouprawnienie to niebezpieczne nawyki, którym oddają się niestabilne i zdegenerowane społeczeństwa. Społeczeństwa, wywołujące chaos zagrażający porządnym, uregulowanym, uporządkowanym politycznie i religijnie strukturom państwowym, które jako jedyne umożliwiają trwanie tego świata, a także trwanie *shakiry* na przysługującym jej miejscu. Na szczycie stromej i wąskiej drabiny władzy.

Fakt, że to Rithmar Skirvon znajdował się najbliżej ze wszystkich starszych dyplomatów w chwili, gdy wybuchł kryzys był dla dwutysięcznika niezwykle szczęśliwym zrzędzeniem losu. Oczywiście mul Gurthak słyszał o nim wcześniej i nie bez powodu poprosił go o pomoc zaraz po otrzymaniu raportów od pięćsetnika Kliana. Ludzie, którzy dobrze rozumieli mechanizmy realnej dyplomacji – a także dobrze potrafili rozpoznać swój własny interes – zawsze okazywali się przydatni.

–Jak bardzo... pragmatycznie może zachować się w tej sprawie pański młody przyjaciel Dastiri? – zapytał po chwili dwutysięcznik.

–Cóż. On jest Ransaraninem – zauważył Skirvon krzywiąc się nieznacznie. – Z drugiej jednak strony szczydzi się tym, że jest realistą. Na dodatek pochodzi z Manisthu.

–Ach tak – mul Gurthak skinął głową.

Królestwo to zajmowało Wyspy Manisthu, leżące nieopodal wschodniego wybrzeża Ransar. Przez kilkaset lat jego mieszkańcy żyli w narzuconej samym sobie izolacji i nawet dziś jeszcze pod niektórymi względami byli opóźnieni w stosunku do sąsiadów. Tak samo, jak Ransaranie byli zwolennikami praw jednostki – zwłaszcza własnych praw – lecz ich charaktery kształtowały się pod wpływem patrzących na nich z góry kontynentalnych partnerów. Ransaranie traktowali ich jako nieokrzęsanych prymitywów, niemal na tym samym poziomie rozwoju, co inne nieransarańskie nacje, bezmyślnie rozrzucone przez bogów po całym świecie. Być może to właśnie było powodem, dla którego Manisthuanie jeszcze w czasach przedunijnych zaczęli praktykować *garsulthan*. Pojęcie to pochodzące z ich języka oznaczało „realną politykę”. Nieraz już w kwestiach międzynarodowych okazali się równie pragmatyczni i bezwzględni jak niejeden andarański wódz czy mythalański przywódca kasty.

Mul Gurthak i Skirvon przyglądali się sobie przez chwilę. Komendant rozważał znaczenie słów dyplomaty. Po chwili Skirvon pochylił nieco głowę.

–Co pan tak naprawdę zamierza? – zapytał przechodząc wreszcie do samego meritum.

–Trudne pytanie, prawda? – mul Gurthak zmarszczył czoło w namyśle i zaczął bawić

się starożytnym sztyletem, którego używał jako przycisku do papierów. Tylko niewielu ludzi rozpoznałoby w tej broni mythalański nóż *rankadi*. Współczesne *rankadi* były o wiele prostsze i bardziej praktyczne niż ich starożytni poprzednicy. – Nie ma możliwości, by przywódcy *shakiry* zgodzili się na jakąkolwiek formę „pokoju koegzystencji” z obcymi. I ci szaleńcy z Ransar tego nie zmienią. Nie jestem pewien, jak zachowają się Andaranie. Gdyby ten chłopak z Garth Showma nie znalazł się w samym centrum wydarzeń, stawiałbym na to, że dla odmiany przychylił się na naszą stronę. W obecnej sytuacji jednak mam wrażenie, że wszystko będzie zależało od nastrojów opinii publicznej. Jeszcze przez jakiś czas, do momentu kiedy odpowiednio rozlokujemy nasze siły, nie podamy tego do wiadomości. Potrzebujemy też kogoś starszego i mądrzejszego, a może i bardziej cynicznego – mul Gurthak uśmiechnął się w kierunku Skirvona – kto mógłby przeprowadzić ocenę i analizę przeciwnika. Przydałby się nam ktoś, komu zawilości andarańskiego kodeksu honorowego nie przesłaniają właściwej perspektywy...

–Mnie od zawsze uznawano za całkiem zdolnego analityka – zauważył Skirvon.

–Owszem. Mówiono mi o tym – mul Gurthak znowu się uśmiechnął, ale spoglądał bardzo poważnie. – Tak czy inaczej nie wolno ci zapomnieć, że mamy tu do czynienia z absolutną nieznaną. Więźniowie setnika Olderhana mogą sobie twierdzić, że ani oni, ani ich ludzie nie mają pojęcia o magii, ale ja nie uznaję tego za pewnik, póki nie uzyskam jakiegoś niezależnego potwierdzenia.

–A jeśli okaże się, że oni rzeczywiście nie używają czarów? – spytał ostrożnie Skirvon.

–No cóż, w takiej sytuacji – oficer podniósł sztylet i przyjrzał się światłu złowieszczo grającemu na wypolerowanym ostrzu – będziemy mieli po prostu większe pole manewru, czyż nie?

* * *

Mul Gurthak oparł się wygodniej na krześle i spojrzał w zamyśleniu na sufit. W gabinecie został już sam.

Rithmar Skirvon okazał się niemal tak inteligentnym człowiekiem, jakiego się spodziewał. Dyplomata od dawna prowadził interesy z mythalańskimi bankierami i finansjerami i zawsze dotrzymywał swych zobowiązań. Myślał jednak, że gra toczy się jedynie o pieniądze i osobiste wpływy. Rozumiał co prawda, że ma do czynienia z członkami kasty *shakira*, ale był przekonany, że działają oni jako osoby prywatne, powodowane jedynie własnym interesem. Nie potrafił ogarnąć szerszej perspektywy... co dla niego akurat było szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Ludzi, którzy zbyt dużo wiedzieli o Radzie Dwunastu i jej planach zbyt często spotykały nieszczęśliwe wypadki.

Co niestety w niczym nie poprawiało parszywej sytuacji, w jakiej znalazł się właśnie mul Gurthak.

Dwutysięcznik westchnął. Jak przed chwilą przyznał Skirvonowi nie miał pojęcia jak zareagują Andarani. Ransarani – wyjąwszy może pobratymców Dastiriego, Manisthuan – byli o wiele bardziej przewidywalni. Ci będą chcieli zrozumieć Sharonian. Ransarani w ogóle, z powodów znanych tylko sobie samym, chcieli rozumieć wszystko i wszystkich. Była to ich druga najbardziej irytująca cecha. Druga po tym obrzydliwym przekonaniu, że każdy i wszędzie powinien podzielać ich szaleńcze poglądy na temat niezbywalnych praw jednostki, wszechogarniającej równości ludzi.

Komendantowi udało się nie wstrząsnąć z odrazą tylko dlatego, że spędził całe lata na powstrzymywaniu się przed podobnymi odruchami. Ransarańskie demokracje pełne były szaleńców, głośno krzyczących o swoich absurdalnych przekonaniach. Kontakty z nimi zawsze poruszały go do głębi. Nieprzyjemnie poruszały. Nie zmartwił się wcale, kiedy dowiedział się, że magister Kelbryan pozostała z jeńcami.

To, że postanowiła pocieszać obcych i stanęła w ich obronie, w jednej chwili powiedziało mu wszystko na temat jej podejścia do drogocennych *shardonai* Jasaka Olderhana. Nie był tym zaskoczony. Znał przecież jej historię i pochodzenie i czuł, że im dłużej kobieta pozostanie z jeńcami, tym lepiej. Magister Kelbryan stanowiła uosobienie jednej z największych klęsk w historii Mythal. Mul Gurthak nie miał ochoty zaciskać zębów i zwalczać mdłości, podczas gdy ona rozprawiałaby na temat swych nieomylnych spostrzeżeń dotyczących Sharonian. Jeżeli Kelbryan rzeczywiście wpadła na coś ciekawego, to znajdzie się to w raporcie Olderhana, więc unikanie osobistego z nią kontaktu nie stanowiło dla mul Gurthaka problemu.

Problem stanowił natomiast fakt, że nie licząc jej wybitnego Daru, Kelbryan była typową Ransaranką. I takich jak ona było wielu. Ogromnie wielu – zwłaszcza jeśli spojrzeć na listę posłów w Parlamencie Unii. W odróżnieniu od Mythal, którego liczba ludności stale malała na skutek masowej emigracji *garthan* (co sprawiało, że przywódcy *shakiry* ciągle domagali się wprowadzenia limitów emigracyjnych, czego jak dotąd zabraniały im Porozumienia Unijne) Ransaran przybywało. I to nie tylko w liczbach bezwzględnych. Stanowili też coraz większy procent całkowitej ludności Arkany.

Mimo swojego przekłętą indywidualizmu i przygnębiających osiągnięć technologicznych, jakie dzięki niemu mieli, Ransarani nie byli specjalnie mobilnym narodem. Po części spowodowane to było tym, że po prostu cenili sobie wygody domowego ogniska, a w ich kraju standard siedzib był od lat najwyższy w całej Unii. Lepiej od przeciętnego Ransaranina żyło się tylko kilkudziesięciu rodóm *shakiry*. Po prostu woleli swój rodzimy świat.

Skromne życie w prowizorycznych chatach, gdzieś w głuszy, bez szpitali i uniwersytetów, bez teatrów i muzeów, bez banków, giełdy i bez centrów handlowych pęczniejących od luksusowych towarów sprowadzanych z każdego wszechświata Arkany, okazywało się dla większości szanujących się Ransaran zbyt trudne. Była to jedna z ich cech, które mul Gurthak rozumiał w zupełności. Jemu samemu czasem ciężko było żyć bez wygód cywilizacji i domu.

Życie jednak wymaga poświęceń. Dwutysięcznik zrozumiał to już dawno temu i wiedział też, że większość Ransaran by się z nim nie zgodziła. Oczywiście – nadejdzie w końcu taki dzień, kiedy ci sami Ransaranie ockną się i pojmą, że dokola zaszło parę zmian. Nith mul Gurthak czerpał z tego ogromną satysfakcję. Osobiście bowiem był częścią mechanizmu, który te zmiany wcieli w życie.

Świat stanie się wtedy o wiele bardziej bezpiecznym miejscem – bardziej bezpiecznym i przewidywalnym. O tym jednak nie mógł rozmawiać nawet ze Skirvonem. Dyplomata, owszem był sprzymierzeńcem, lecz nie należał do wewnętrznego kręgu, do którego nigdy nie zostanie dopuszczony. Bez względu na to, jak pożyteczny mógł się jeszcze okazać powód był jeden – Skirvon nie był Mythalaninem.

Mul Gurthak skrzywił się ponownie, po czym odsunął się wraz z krzesłem od biurka i wstał. Myślał o wszystkich niewysłowienie złych wiadomościach, jakie otrzymał na przestrzeni zeszłych kilku tygodni. Dłoń sama zacisnęła mu się na pochwie zawieszzonego u pasa sztyletu. Ledwie powstrzymał się od przekleństwa. Cała ta historia mogła zrujnować cały misterny plan i Gurthak stanął nagle przed tyloma problemami, że nie bardzo wiedział, w którym miejscu powinien teraz zacząć działać. W otaczającym go od lat morzu chaosu, nauczył się co prawda wyczuwać niejasne prądy pomyślnego biegu rzeczy, ale nawet i one okazywały się niekiedy zwodnicze. W związku z czym, przez ostatnie kilka godzin miał nieustanną ochotę przeklinać raz za razem.

Gra w chowanego zdążyła go znużyć już dawno temu. Od dłuższego już czasu nie miał ochoty pokazywać światu zrównoważonej, spokojnej twarzy. Nie podobało mu się, że musi ukrywać swe prawdziwe poglądy po to, by wypełnić zadanie. Jednak nigdy dotąd nie ciążyło mu to wszystko tak bardzo, jak podczas rozmowy z Olderhanem – dlaczego to musiało trafić akurat na Olderhana? – pławiącym się w swej szlachetności i kolejnych błyskotliwych interpretacjach sytuacji. Czuł, że musi zakląć i zrobił to – na początek przeklął niewiarygodnie niekompetentnego Shevana Garlatha a skończył na kimś, kto był kolejnym z problemów na długiej liście dwutysięcznika.

Wściekły wyjrzał przez okno i spoglądając w szybko zapadający zmierzch podjął decyzję. Odwrócił się z powrotem do biurka i spojrzął na antyczny nóż *rankadi*. Tak, to właśnie na tego kogoś zrzuci cały ciężar, ciężący mu na sercu. Na bogów i

przodków – ten głupi, nędzny bękart zasłużył sobie na każdy gram tego brzemienia.

Otworzył drzwi i spojrzął na adiutanta.

–Poślij kogoś do paki i dajcie mi tu Boka vos Hovena.

–Tak jest, sir – adiutant zasalutował energicznie i oddalił się w kierunku aresztu, którego jedyne lokatora zażyczył sobie widzieć komendant. Osiem minut później ktoś zastukał do drzwi gabinetu.

–Wejść! – zawołał mul Gurthak. Drzwi uchyliły się na sześć cali.

–Przyprowadzono więźnia, sir.

–Świetnie. Niech strażnicy zaczekają na zewnątrz, a więźnia dawać mi tutaj.

–Tak jest, sir.

Adiutant zniknął. Nith mul Gurthak rozsiadł się wygodnie za biurkiem i przybrał srogą minę rozsierzonego *shakiry*. Chwilę później otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Bok vos Hoven.

Poruszał się sztywno i dumnie. Widać było, że jest pewien, iż mul Gurthak wyciągnie go z kłopotów, w które się wpakował. Komendant w duchu pokręcił z niedowierzaniem głową. Czyżby naprawdę tak miała wyglądać przyszłość świętej kasty?

Adiutant zamknął ze szczękiem drzwi. Vos Hoven uśmiechnął się i ruszył w stronę biurka mul Gurthaka. Dowodzący dwoma tysiącami jednak ani drgnął. Patrzył tylko na przybysza w milczeniu. Vos Hoven zatrzymał się. Uśmiech zniknął mu z twarzy. Rozejrzał się niepewnie dokoła. Mul Gurthak odczekał do momentu, w którym na czole młodego *shakiry* pojawiły się pierwsze kropelki potu.

–Czy zechciałbyś mnie z łaski swojej oświecić – odezwał się wreszcie komendant lodowato, wyciosując tym samym pierwszy wyłom w murze milczenia, który tak starannie przed chwilą wzniósł – jakiego rodzaju smoczego gówna używasz w charakterze mózgu?

–Sir? - wstrząśnięty vos Hoven otworzył szeroko oczy. Mul Gurthak poczuł wzbierającą w sobie furię. Wyzwoliła ją szczerłość i bezradność, zmieszanie i niepewność widniejące na twarzy stojącego przed nim idioty. Czyżby ten dupek spodziewał się, że on – mul Gurthak – pogratuluje mu jego zachowania?

Poderwał się gwałtownie z krzesła na równe nogi i grzmotnął pięściami w blat.

–Ty imbecyłu! – warknął. – Jak śmiesz ryzykować wszystkim co osiągnęliśmy dla własnej, prywatnej korzyści? Dla własnej korzyści?

Więzień zatoczył się do tyłu, jakby spoliczkowany wybuchem gniewu mul Gurthaka i o mało się nie przewrócił.

–Najwspanialszy panie – wyszeptał po mythalańsku używając tytułu jakim najmniej ważni w rodzie zwracali się do przywódców kasty – jak to możliwe, że zbłądziłem tak okrutnie? Myślałem...

–Myślałeś? – syknął mul Gurthak, po czym okrążył biurko i poderwał vos Hovena do góry, łapiąc go za przeпоconą nagle ze strachu bluzę. – Gdybyś myślał, nie siedziałbyś teraz w łańcuchach czekając na proces! Naprawdę spodziewałeś się, że kiwnę choć palcem, żeby cię ratować po tym, jak okazałeś się największym z głupców jacy kiedykolwiek przyszli w Mythal na świat?

Oficer odepchnął więźnia mocno na bok. Roztrzęsiony Vos Hoven padł na kolana. Zaczął łkać. Mul Gurthak zmierzył go przekrwionymi z wściekłości oczyma i spoliczkował tak potężnie, że młody *shakira* padł jak długi na podłogę.

–Jesteś tak zarozumiały, że nawet płaszczyć się nie potrafisz! – zazgrzytał dwutysięcznik. – Człowiek w twojej sytuacji powinien leżeć na brzuchu i błagać, żeby nie wydano mu rozkazu popełnienia *rankadi*!

Te słowa wywarły pożądany efekt i przebiły wreszcie zbroję samozadowolenia i nadęcia vos Hovena. Aresztant zamarł na długą, pełną przerażenia chwilę, po czym przetoczył się na brzuch, jak mu to nakazał przełożony i zaczął jęczeć zakrywając głowę skutymi dłońmi.

–No, teraz lepiej! – syknął mul Gurthak.

–Czy wolno mi błagać mego pana? – głos vos Hovena trząsł się tak samo mocno, jak drżało całe jego ciało.

–Błagać o co? O swoje zawszone życie?

–N...nie, Najwspanialszy Panie. Ono należy do ciebie, jeśli tylko zażadasz – wyszeptał vos Hoven, po czym zachłysnął się i umilkł.

–Ciesz mi, że w tej twojej pustej czasce nadal kołacze się choć kilka podstawowych informacji o świecie! O co więc błagasz?

–O zrozumienie! Zawiodłem kastę! Nie wiem jednak, w jaki sposób!

W jego skomleniu pobrzmiwał autentyczny niepokój – niepokój zepsutego,

samolubnego dzieciaka źle wychowanego przez beztroskich, pustogłowych dorosłych. Małego chłopca schwytanego w szczęki pułapki bez wyjścia. Mul Gurthak pomyślał jednak, że skoro vos Hoven gotów był przyznać, że zbłądził mimo, że nie wiedział jak, to mimo wszystko istniała jeszcze dla niego jakaś nadzieja. Cień nadziei.

–Cóż za głupiec cię wychowywał?

Vos Hoven skulił się smagnięty pogardliwym pytaniem niczym pejczem. Nie istniała gorsza obelga niż taka, która dotyczyła całego rodu Mythalanina. To przecież ród wyznaczał pozycję człowieka w kaście, a kasta determinowała miejsce w świecie ludzi i królestwach bogów. Bez kasty człowiek był w oczach bogów niczym. Bez rodu, człowiek był nikim dla kasty. Urodzić się w rodzie głupców oznaczało tyle, co służyć siłom chaosu... a zatem zasługiwać na nieuchronne unicestwienie.

Mul Gurthak słuchał rozpaczliwego łkania człowieka, któremu przed chwilą odebrał dotychczasowe miejsce w porządku wszechrzeczy. Nie czuł ani krztyny współczucia. Przecież Mithanan, straszliwe bóstwo, bóg kosmicznej destrukcji mógł zwrócić się przeciwko całej kascie z powodu bezdennej głupoty tego robaka. Tak wysoki poziom idiotyzmu nie mieścił się komendantowi w głowie.

–Proszę, najwspanialszy panie – skomlał vos Hoven – zechciej mnie oświecić. W czym zgrzeszyłem? W jaki sposób zawiedli mnie nauczyciele, przez których przyniosłem hańbę kascie?

Mul Gurthak obszedł dokoła nędzne stworzenie, leżące na podłodze jego gabinetu. Zastanawiał się, w jaki sposób powinien zabrać się do ratowania tego, co jeszcze w młodym *shakirze* można było ocalić.

–Wyjaśnij mi cel istnienia *garthan* – rozkazał wreszcie. Vos Hoven oderwał na moment twarz od podłogi patrząc w zupełnym niezrozumieniu.

–Panie? – odezwał się niepewnie. Mul Gurthak westchnął niecierpliwie.

–Po co istnieją *garthanie*? – powtórzył. – Cała ich kasta?

–Istnieją, by służyć *shakirze* – wydukał więzień, którego twarz powróciła na odpowiednie dla siebie miejsce, czyli na podłogę.

–By służyć *shakirze*? – powtórzył mul Gurthak patrząc z góry na rozciągnięte przed sobą ciało. – W jaki sposób służyć?

–Jako niewolnicy – odpowiedział cicho, nieśmiało vos Hoven. Najwyraźniej zastanawiał się, w jakim celu przełożony kazał mu recytować cały ten katechizm. – Służą jakkolwiek zechcemy.

–Głupcy – mul Gurthak pokręcił głową współczującym gestem. – Przekleci po trzykroć głupcy zajmowali się twym wychowaniem i edukacją.

–Ale... ale dlaczego nazywasz ich głupcami, panie?

–Kasta *garthan* istnieje po to, by umożliwić *shakirze* wypełnianie najważniejszego dzieła w kosmosie, jej istnienie pozwala nam na badania i studiowanie magii. Dzięki niej możemy ją rozumieć na wszystkich poziomach, ze wszelkimi jej niuansami. Oni umożliwiają nam dotykane umysłów samych bogów. Istnieją byśmy mogli odczuć boską obecność, byśmy byli w stanie rozwijać swoją *yurhę* do takiego stopnia doskonałości, w którym Bogowie zechcą ją zauważyć, co jest pierwszym krokiem ku zjednoczeniu z Boskością.

–Gdyby *shakira* musieli orać ziemię i dbać o plony, gdyby *shakira* musieli tkać stroje, gotować i hodować bydło, gdyby *shakira* musieli dźwigać ciężary i czyścić latryny, nikt na Arkanie nie zrozumiałby magii. Nikt nie potrafiłby jej używać. To Mythalanie uwolnili ducha Boskości i zdobyli dla ludzkości Dary. To Mythalanie ustalili prawa rządzące zaklęciami, sporządzili mapy czarodziejskich wymiarów, ujarzmili czary. To dzięki Mythalanom powstała cywilizacja Arkany, czar po czarze i zaklęcie po zaklęciu. A wszystko to dzięki nieustrudzonej, trwającej od tysiącleci pracy *shakiry*.

–A jednak to niezwykle osiągnięcie – ciągnął – nie byłoby możliwe bez *garthan*. Bez ich głuchych na magię mas – niemytych, niekształconych, nieoczytanych, niższych od nas w każdym sensie tego słowa. Bez nich Arkana i wszystkie cuda naszej cywilizacji nie mogłyby zaistnieć. Bylibyśmy jedynie zbieraniną rzemieślników i pastuchów. To właśnie jest prawdziwy cel istnienia *garthan*. To jest ich jedyny sens. Ich zadanie nie polega na zaspokajaniu twojej potrzeby lenistwa! Bogowie nie stworzyli ich do czyszczenia twoich butów, ty nikczemna szujo!

Vos Hoven zadrżał żałośnie po raz kolejny. Mul Gurthak prychnął szorstko.

–Następne pytanie. Co mówi prawo kasty o człowieku, który bije swe dzieci w miejscu publicznym?

–Świętym zrzędzeniem Prawodawcy jest, by ktoś taki został ukarany przez przywódcę kasty. Dyscyplinowanie dzieci jest sprawą prywatną, która nie powinna opuszczać granic domu i intymności rodu. Publiczne bicie dzieci stanowi oznakę braku rozumu, niedostatku cierpliwości a także jest znakiem, że edukacja młodzieży w tym rodzie nie przebiega prawidłowo. Postępek taki kładzie się cieniem i wstydem na rodzie i całej kaście.

Vos Hoven recytował kolejne słowa jak automat. W jego oczach nie było śladu zrozumienia ich znaczenia. Mul Gurthak odnotował to z niesmakiem.

–Według prawa kastowego – prawdziwego prawa kastowego, a nie tej jego nędznej, okrojonej wersji, jaką narzuciły nam unijne układy – czym są *garthan* dla rodu?

–Własnością.

–To ograniczona, współczesna wykładnia. Podaj mi starożytne znaczenie tej zasady – pełen jej sens.

Mul Gurthak prawie dosłownie zobaczył jak Vos Hoven szuka w pamięci tekstu, który powtarzał przecież regularnie przez całe dzieciństwo.

–W najstarszym tekście, o jakim słyszałem, lecz nigdy nie pokazano mi jego egzemplarza Najwspanialszy Panie, mówi się, że kasta *garthan* to nasze... dzieci.

Vos Hoven urwał i aż jęknął.

–Ale przecież ja nie dyscyplinowałem go publicznie! – zaprotestował. – Staralem się robić to na osobności! W ukryciu przed oczyma innych!

–Właśnie dlatego nazywam cię głupcem! – syknął mul Gurthak. – Nic nie rozumiesz! Jedyne na co cię stać to bezmyślne klepanie formułek, ale twój mózg jest pełen piachu, a twoja *yurha* jest tak daleka od oświecenia jak gwiazdy od Arkany. Twoje słowa nie znaczą absolutnie nic i dlatego właśnie błędzisz. Głupio błędzisz. Głupio i kosztownie. Na Mithanana! Czy masz pojęcie jak bardzo kosztownie? Tutaj, poza granicami ojczyzny, wszyscy jesteśmy pod stałą obserwacją! Nigdy nie mamy prywatności, głupcze! Każdy andarański oficer obserwuje każdego *shakirę* w nieustannym poszukiwaniu dowodów na „nierówne traktowanie” *garthan*! A jeśli je znajduje, to co się w wyniku tego dzieje? Odium spada na nas wszystkich! Teraz, przez ciebie, ci zaślepieni swym honorem Andaranie będą obserwować nas wszystkich jeszcze bardziej uważnie! A jaki wpływ to będzie mieć na prawdziwy powód naszej tu obecności? Co stanie się z naszą misją?

Więzień znów zaskomlał. Mul Gurthak uśmiechnął się szyderczo.

–Ach, czyżbyś nareszcie zrozumiał? Żaden *shakira* pod zbyt skrupulatną obserwacją nie będzie w stanie działać tak, jakbyśmy sobie tego życzyli. Nie zajdzie tak wysoko, jak nam tego potrzeba. Zmarnowałeś wszystko, co Rada Dwunastu budowała z mozołem przez trzydzieści długich lat! Musimy teraz wstrzymać realizację planów tylko po to, żeby upewnić się, że nikt nie wpadł na nasz ślad. Wyłącznie z twojego powodu! Będę musiał zatrzymać pracę pozostałych, ty skończony kretynie. Będę musiał powiadomić ich o tym, co zrobiłeś, rozkazać im by ucichli i zaczekali. A wysyłając do nich wiadomości narażę się sam!

Vos Hovenem wstrząsnęły silne dreszcze. Nie przestawał łkać i zawodzić. Mul Gurthak czuł przemożną ochotę wyładować się kopiąc idiotę w żebra. Wiedział

jednak, że tego mu nie wolno. Gdyby poturbował więźnia, pytań pojawiłoby się jeszcze więcej. Więcej nawet niż po wygłupie vos Hovena. Komendant czuł jednak tak wielką wściekłość, że coś musiał z nią zrobić. Ukłękął przy aresztancie i podciągnął jego twarz go góry szarpiąc za długie warkocze. Przerażony vos Hoven wywrócił wystraszonymi oczyma. Mul Gurthak przysunął się do niego i syknął mu prosto w twarz.

–Zbyt ciężko pracowałem żeby osiągnąć swoją obecną pozycję i zbyt często pozwalałem się obrażać duchowym i społecznym prostakom. Ze zbyt wielu wygod zrezygnowałem, żeby teraz patrzeć jak moje dzieło obraca się w ruinę. A skąd zagrożenie? Bo ty musiałeś użyć pięści na *garthanie* za to, że nie zliział błota z twoich butów! Smoki powinienem skarmić twoim ścierwem!

Vos Hoven zadrżał jeszcze gwałtowniej. Już od dwustu lat żaden sąd wojskowy w Arkanie nie skazał nikogo na rzucenie smokom na pożarcie. Sam przepis wciąż jednak istniał, a w Mythal niektórzy starsi przywódcy *shakiry* nadal karmili swe smoki skazańcami. Oczywiście w domowym zaciszu...

Mul Gurthak wyprostował się i pozwolił nędznemu robakowi u swych stóp, dusić się w jego własnych wydzielinach. Trwało to długą, pełną ciężkiego milczenia chwilę. W gabinecie czuć było ostrą, nieprzyjemną woń potu vos Hovena. Zaśmierdziało strachem.

–Miałem co do ciebie pewne plany – oznajmił wreszcie dwutysięcznik. – Plany, które trzeba teraz anulować. Jak myślisz dlaczego? Pamiętasz jeszcze po co wysłałem cię do oddziału Olderhana? Czy może masz tak słabą pamięć, że zdążyłeś już zapomnieć o własnej misji?

–Najwspanialszy Panie, ja... ja próbowałem. Ale nie byłem w stanie. On nigdy tego nie przyzna, ale nienawidzi nas. Nienawidzi *shakiry*. Powinieneś go panie widzieć, jak cackał się z tym *garhtanem*! Chwalił go, rekomendował do awansu. Ale całą resztę nas, wszystkich Mythalan w kompanii miał w pogardzie. Szydził z nas i wyśmiewał. Widać to było w jego oczach.

–Nienawidził wszystkich *shakira*? - zapytał cicho mul Gurthak. – Nawet Halathyna vos Dulainaha?

–Vos Dulainah – vos Hoven wściekle wypluł z siebie nazwisko magistra – był plugawym zdrajcą. Porzucił swą kastę, swą żonę i syna. A Olderhan oszalał na jego punkcie. A czemu? Dlatego właśnie, że vos Dulainah zdradził nas i okrył hańbą. Wszystkich *shakira*.

–Z tego co mówisz wnoszę, że Olderhan traktował swych żołnierzy *shakira* źle, czy tak? – mul Gurthak poważnie spojrzał na vos Hovena. – Pomyśl dobrze nad

odpowiedzią, głupcze. Jeśli skłamiesz, to ja się o tym dowiem, a nie mam zwyczaju tolerować kłamców wśród własnych podkomendnych. Ani wśród członków swej kasty.

Vos Hoven z trudem przełknął ślinę. Przez kilka sekund leżał z twarzą na podłodze w milczeniu. Potem jednak odezwał się cicho i niechętnie.

–Nie. Nie traktował nas źle. Jeśli *shakira* kłaniali się i byli posłuszni jak dobry *garthan*, to traktował nas na równi z innymi. To była dla nas podwójna obraza. Po pierwsze zmuszał nas, byśmy udawali *garthan*, a po drugie traktował nas tak samo jak ich. Jakbyśmy nie byli lepsi.

Mul Gurthak wpadł w najszczerze zdumienie.

–Jak to się na Mithanana stało, że ktoś o tak zadziwiającym poziomie kretynizmu jak ty został wyznaczony do służby naszej wielkiej sprawie? – prawie krzyknął.

–Mój ród jest jednym z największych i najstarszych w Mythal – w głosie vos Hovena na powrót pojawiła się duma. – Brat mojej matki należy do starszyny kasty, tak samo jak ojciec mego ojca. Mam aż dwóch Starszych wśród bliskich krewnych!

Nepotyzm. Mul Gurthak znów poczuł ochotę by coś rozszarpać – najchętniej Boka vos Hovena – rozedrzeć na małe, krwawe strzępy. Tego głupca wytypowano do wykonania misji wymagającej skrytości i talentu aktorskiego nie dlatego, że się do niej nadawał, tylko z powodu pozycji i politycznych wpływów jego krewnych.

–Czyli jesteś lepszy od Olderhana, tak?

–Oczywiście, że jestem!

–A pamiętasz może jeszcze, że wstąpiłeś do armii? W armii oficerowie wydają niższym stopniem rozkazy, wiesz? Bez względu na ich pochodzenie! W armii wymagany jest szacunek i bezwarunkowe posłuszeństwo wobec przełożonego, nawet tak nisko urodzonego! Zapomniałeś o tym? Nawet gdyby twoim oficerem okazał się *garthan*, który dotąd rosił swym potem pola uprawne twego rodu, to i tak winieneś mu posłuch i szacunek!

–Nigdy! – syknął vos Hoven i w jego oczach pojawił się płomień buntu. Mul Gurthak spoliczkował go natychmiast, podniósł jego głowę z podłogi i uderzył raz jeszcze, na odlew, prosto w usta.

–Milcz!

Bunt zgasł. Vos Hoven otworzył szeroko oczy i patrzył na mul Gurthaka, jakby jeszcze i teraz nie dowierzał, że został uderzony.

–Miałeś się zbliżyć do Olderhana. Zdobyć jego przychylność i zaufanie. Miałeś dowiedzieć się od niego wszystkiego na temat jego ojca. Miałeś zdobyć informacje, które moglibyśmy jakoś wykorzystać. To ty miałeś go nam wystawić, gdy nadejdzie czas. Mówisz, że tobie nie ufał, ale chwalił vos Dulainaha. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że żeby zdobyć zaufanie Olderhana należy zachowywać się tak, jak vos Dulainah? Naśladować jego zachowanie i wyrażać podobne poglądy? Naprawdę nie pomyślałeś, że można te rzeczy udawać? Wiem, że nie. I przez twoją piekielną głupotę i bezmyślność, straciliśmy wszelką nadzieję na zbliżenie się do niego. Nie tylko dlatego, że wraca właśnie na Nową Arkanę, gdzie byłoby to trudne nawet przy sporym szczęściu, ale też dlatego, że przez ciebie uprzedził się do nas podwójnie. Myślisz, że Olderhan zaufa jeszcze w przyszłości jakiemukolwiek Mythalaninowi?

Vos Hoven starał się skulić jak tylko było to możliwe. Mul Gurthak patrzył nań z góry, nadal szukając w myślach sposobu na uratowanie z sytuacji czegokolwiek.

Kluczem był ród Garth Showma, fundament politycznej potęgi Andary. Jeśli ten ród zostanie złamany, to i inne rodziny andarańskich arystokratów uda się pokonać. Parlament powierzył im kierowanie armią, ponieważ byli w tym dobrzy i dlatego, że uważali to za swoje powołanie. Poza tym, wszyscy wiedzieli, że Andaranie byli narodem honorowym i godnym zaufania.

Co oznaczało, że aby zastąpić w Dowództwie arystokratów z Andary kimś innym, należało zniszczyć tę ich reputację. Rada Dwunastu strawiła już ponad trzydzieści dwa lata, wprowadzając oficerów z *shakiry* do korpusu, w którym mieli zdobywać kolejne awanse. Do zwieńczenia planu potrzeba było jeszcze kilku lat, ale już niedługo Mythalanie mieli dysponować odpowiednio liczną kadrą wysokich oficerów, którym udało się pozbyć aury wrogich stereotypów ciężących na *shakirze* i uważani byli za żołnierzy „bez reszty poświęconych sprawie zjednoczonej Arkany”, tudzież „żyjących według zasad nowoczesnego społeczeństwa Unii”. To oni mieli we właściwym momencie zastąpić zniesławionych Andaran.

Żeby jednak ten projekt mógł zostać zrealizowany należało okryć niesławą całą arystokrację Andary od rodu Garth Showma poczynając, a imbecyl, który leżał właśnie na podłodze gabinetu komendanta mul Gurthaka zaprzepaścił jeden z ważniejszych elementów całego planu. Jasak Olderhan miał stać się wyłomem w szczelnej zbroi swego ojca. Miał być źródłem przydatnych informacji, a także narzędziem, które można było wpędzić wprost w jakąś starannie przygotowaną pułapkę. To on miał dostarczyć „dowodów” na to, że nawet dziedzic najpotężniejszego andarańskiego arystokraty zachowuje się w sposób, będący pogwałceniem zasad kodeksu honorowego, którego on i jego pobratymcy przysięgali strzec i dochowywać.

Teraz jednak Olderhan znalazł się nagle poza ich zasięgiem. Poza zasięgiem wszystkich Mythalan. Istniała oczywiście możliwość, że cała ta historia z obcymi

skończy się dla setnika usunięciem ze służby, ale mul Gurthak dobrze znał drogi, którymi chadzają umysły Andaran. Cokolwiek miało stać się z karierą Jasaka – jego pobratymcy i najważniejsi posłowie z Parlamentu uznają z pewnością, że zachował się wzorowo. Już z raportu Kliana przebijało przekonanie, iż gdyby pięćsetnik poszedł za radą Olderhana, to masakra przy portalu nie miałaby miejsca.

To mogło nie wystarczyć do uchronienia oficera przed degradacją i wydaleniem z armii, ale z pewnością mogło pozwolić mu na zachowanie twarzy. Co więcej – jeśli Jasak opuści armię, będzie musiał znaleźć sobie inne zajęcie godne dziedzica Garth Showma, a to z kolei oznaczało tylko jedno – karierę polityka. Andaranin przy pewnej dozie sprytu był w stanie przekształcić swą klęskę – usunięcie ze służby mimo ocalenia honoru – w polityczną korzyść. Jeśli tego sprytu zabraknie Jasakowi, to z pewnością wystarczy go Thankharowi Olderhanowi.

Ale co by się stało gdyby okazało się, że decyzje Olderhana – na polanie i potem – nie były jednak słuszne?

Nil mul Gurthak stał nieruchomo. Myśli wściekle ściagały się w jego głowie.

Jeśli nadchodzącego konfliktu z Sharonianami uda się uniknąć, to niemal wszyscy uznają, że jest to zasługa setnika Olderhana. To on przecież ocalił dwójkę obcych – uczynił ich swymi *shardonai* i zrozumiał ich na tyle, by można było dojść do zawarcia pokoju z ich pobratymcami.

Jeśli jednak wojnie nie udało się zapobiec, nikt nie podziwiałby młodego Jasaka, który musiałby ponieść wszystkie konsekwencje rozpętania jej. Gdyby więc wyszło na jaw, że konflikt wybuchł w wyniku jego niekompetencji czy tchórzostwa, gdyby okazało się, że Olderhan sfalszował swój raport ponieważ wiedział, że wszyscy żołnierze z jego kompanii polegali lub dostali się do niewoli, co było bezpośrednią konsekwencją jego błędów...

Mul Gurthak wiedział, że takiej historii zbyt łatwo nie uda się sprzedać. Nie było to jednak niemożliwe. Gdyby wszystko zostało odpowiednio starannie przygotowane i pod warunkiem, że świadkowie, którzy mogliby potwierdzić wersję Jasaka zostaliby wyeliminowani. Poza vos Hovenem i samym Olderhanem z kompanii ocalało jedynie trzech ludzi. Komendant wiedział, że jeśli nie uda się ich zastraszyć, to można ich będzie zmusić do posłuszeństwa na przykład szantażując, lub po prostu zabijając. Potem, kiedy ich już nie będzie, przyjdzie kolej na Kliana.

Mul Gurthak odetchnął kilka razy głęboko i spojrzał na leżącego na podłodze, skutego *shakirę*.

– Dobrze. Być może istnieje sposób, w jaki mógłbyś się uratować. Słuchaj uważnie, bo jeśli zawiedziesz i tym razem, to osobiście cię odnajdę, wręczone ci nóż *rankadi* i

popatrzę, jak podrzynasz sobie gardło. Czy wyraziłem się jasno?

–T...tak Najwspanialszy Panie.

–To dobrze. Zapamiętaj wszystko dokładnie i wiedz, że nie spodoba ci się nowa misja. Nic mnie to nie obchodzi. Zrobisz dokładnie to, co ci każę. Będziesz cierpieć wstyd, kary i poniżenie, a co więcej i tak może ci się nie powieść. Ale jeśli ci się powiedzie w nagrodę nie rozkażę ci popełnić *rankadi*. Tak wygląda nasza umowa. Twój jedyny sposób na ocalenie życia. Zgadzasz się, czy podać ci nóż od razu?

Vos Hoven leżał rozedrgany pod zimnym spojrzeniem komendanta przez chwilę, która wydała mu się małą wiecznością. Wreszcie skinął głową i głośno przełknął ślinę.

–Tak najwspanialszy panie – szepnął. – Rozumiem.

–To dobrze – powtórzył mu Gurthak. – A teraz zamknij się i choć raz w swym nędznym życiu posłuchaj ze zrozumieniem.

ROZDZIAŁ

SIEDEMNASTY

Zindela chan Caliratha bolała głowa.

Bolały go także i plecy. Przez dwanaście godzin spędzonych na narzędziu tortur, które jakiś sadystyczny stolarz miał czelność sprzedać w charakterze krzesła, cały jego grzbiet przeszedł już fazy niewygody, bólu, szarpiącego klucia i wreszcie odrętwienia, przerywanego co jakiś czas ukłuciami w bokach i udach.

„Tego, kto zaprojektował te krzesła powinno się rozstrzelać” – psioczył w myślach – „ewentualnie przykuć do któregoś z nich na miesiąc lub dwa.”

Zdawał sobie sprawę, że mimo niewygody byłby w dużo lepszym nastroju, gdyby tylko pozostali przywódcy nie okazali się tak strasznie, uparcie, absolutnie i radośnie prowincjonalni i zaściankowi. Wszystkie ich ciągle żądania, uniki, blokowanie obrad, kłótnie oraz zwykła, uporczywa niechęć do załatwienia tego, co trzeba było załatwić przede wszystkim doprowadzały cesarza do szału. Okazało się, że Konklawe musiało najpierw zająć się załatwieniem wszelkich małoszkolnych, osobistych zadrażnień i niesnasek zanim będzie można przejść do jakże pilniejszej sprawy przygotowania Sharony do wojny i powołania jakiegokolwiek – choćby tymczasowego – rządu światowego.

Czy ktokolwiek z nich zdawał sobie sprawę, jak poważna jest sytuacja, w której znalazł się cały świat?

Przygotowanie kampanii wojskowej – zwłaszcza na taką skalę – wymaga czasu. Jak dotąd żadne państwo Sharony nie toczyło wojny w kilku wszechświatach jednocześnie. Same problemy logistyczne mogły więc okazać się prawdziwym koszmarem. Takimi właśnie kwestiami powinni się zająć przywódcy zebrani na tym Konklawe, a nie spierać się o to, kto powinien otrzymać prawo do ustawiania znaków drogowych czy lokalizowania nowych szkół w małych miasteczkach i wioskach.

Kiedy głos zabrał limathiański książę regent i stwierdził, że każda instytucja posiadająca władzę na skalę planety musi bezwarunkowo zostać uprawniona do udzielania gwarancji na połowy dalekomorskie coś w Zindelu pękło. Zerwał się na równe nogi i grzmotnął obiema pięściami w stół. Huk poniósł się po całej Kancelarii Cesarza Garima, którą wybrano na miejsce posiedzenia Konklawe.

–Panie dyrektorze! Ternathia składa formalny protest!

Książę regent otworzył szeroko usta. Głowy wszystkich zebranych obróciły się na cesarza, niczym poruszane jednym sznureczkiem marionetki. Zindel poczuł na sobie

mrowie spojrzeń. Orem Limana, który po dwunastu godzinach stania za pulpitem prowadzącego obrady ślaniał się już na nogach, wyprostował się gwałtownie.

–Przeciwko czemu, wasza wysokość? – spytał.

–Panie dyrektorze, protestuję przeciwko temu marnotrawstwu czasu, do którego zmuszają nas krótkowzroczni uczestnicy tego Konklawe. To już drugi dzień obrad. Wczoraj siedzieliśmy w tej komnacie czternaście godzin i nie postanowiliśmy zupełnie niczego. Nie podjęliśmy ani jednej decyzji! Ruchy wojsk, o jakich samodzielnie zdecydował cesarz Chava i ja, nadal pozostają jedynymi wojskowymi przygotowaniami, jakie podjął ktokolwiek poza Zarządem Portali. A przypominam, że od momentu ataku na nasz zespół badawczy minęły już całe tygodnie.

Zindel potoczył gniewnym wzrokiem po wielkiej, marmurowej sali, jakby wyzywając obecnych by spróbowali odmówić racji temu, co właśnie powiedział.

–To Konklawe zwołano w jednym celu. Tylko w jednym. Nie zebraliśmy się tu, żeby rozstrzygać kwestie znaków drogowych, ani decydować o tym jak daleko nasze dzieci powinny mieć do szkoły. Trawimy tu czas, zabawiając się tego rodzaju nieistotnymi, drugorzędnymi zagadnieniami, a tymczasem Sharonianie, wszyscy Sharonianie – mężczyźni, kobiety i dzieci – znajdują się w coraz większym niebezpieczeństwie.

–W odległości czterech portali od Nowej Uromathii mamy kolonie – ciągnął. – Nie tylko forty i garnizony, ale całe kolonie i według moich obliczeń w tym regionie znajdują się dwadzieścia trzy zespoły badawcze. Zespół Konsorcjum Chalgyn został zmasakrowany mimo, że kontakt nastąpił jedyne dwa dni drogi od fortu. Trzecia Ternathiańska Dywizja Dragonów jest już w drodze do Fortu Salby, ale dotrą do celu dopiero za około miesiąc. Na szczęście pierwsze regimenty uromathiańskiej kawalerii dotrą do Salby już za dwa tygodnie. Pozostałe dywizje piątego korpusu wyruszą na przestrzeni najbliższych tygodni.

–Jestem pewien – mówił dalej – że wszyscy jesteście zadowoleni z tego, że wojsko ruszyło już w kierunku strefy kontaktu. Ale wymienione przeze mnie jednostki są jak dotąd jedynymi, które tam wysłaliśmy, a z Fortu Salby do Nowej Uromathii jest jeszcze pięć tysięcy mil - przypomniał ponuro. – Półtora miesiąca do zebrania w Salby i jeszcze kolejne dwa i pół miesiąca drogi na front. Nie mamy pojęcia, co może spotkać nasze oddziały po drodze. Nie wiemy też, jak licznych sił będziemy potrzebować. I mimo to, nadal nie podjęliśmy najmniejszego nawet kroku, żeby przygotować planetę do wojny. Najmniejszego... nawet... kroku...

Ostatnie słowa Zindela rozległy się echem w martwej ciszy, która nagle zapadła w kancelarii.

–To oczywiste, że nasi przeciwnicy zdają sobie sprawę z istnienia wielości wszechświatów. Kapitan chan Tesh natknął się na ich obóz tuż przy portalu. Nie muszę chyba tu tłumaczyć, że nie mamy żadnych danych, co do wielkości ich terytorium czy ilości wszechświatów, które odkryli. Jak wiele wszechświatów zdołali już zbadać? Jak długo prowadzą badania portali? Ile mają kolonii? Jak są silni?

Cesarz urwał po raz kolejny i spojrzał po zebranych.

–My badamy inne wszechświaty od osiemdziesięciu lat. Wydaje się nam, że to długo przyjaciele, ale to nieprawda. Nie zdążyliśmy jeszcze – na przykład – zaludnić nowych terenów. Większość naszych kolonii zamieszкана jest niemal wyłącznie przez osadników przybyłych z Sharony. Przez to nasze wszechświaty cierpią na zbyt niską gęstość zaludnienia. Nasze terytoria są rozciągnięte niczym koraliki na zbyt długiej nitce. Żadna z naszych kolonii nie ma ani wystarczających zasobów ludzkich, ani sprzętu by oprzeć się poważniejszemu atakowi. Żadna z nich nie będzie w stanie obronić się sama, a każdą zamieszkuje przecież zbyt wielu ludzi, byśmy mogli ewakuować ich na Sharonę.

–Możliwe, że nasi wrogowie dopiero zaczęli poznawać portale i światy za nimi. Istnieje też jednak możliwość, że badają je i kolonizują już od stuleci. Możliwe, że stoimy naprzeciwko cywilizacji o ludności dwu- dziesięcio- lub nawet stukrotnie bardziej licznej niż nasza. Owszem, kontakt nastąpił czterdzieści tysięcy mil stąd. Owszem, myśl o wrogach zdolnych przeprowadzić poważną inwazję na takim dystansie wydaje się nedorzecznością. Ale pomyślcie tylko o tym, co umożliwiają nam parostatki i koleje. W niecałe dwa miesiące potrafimy wysłać wojsko stąd, aż do Fortu Salby, mimo że po drodze znajdują się morza i oceany. Dokładnie tyle samo czasu potrzebował trzy tysiące lat temu marszałek chan Baraeg by przemaszerować znad Kanału Bernith nad rzekę Janu. Czy ktokolwiek z was zebranych w tej komnacie zaprzeczy, że toczyliśmy w historii straszne, niszczycielskie wojny, które stanowiły w swoim czasie nawet większe wyzwanie logistyczne?

–Nowoczesny transport umożliwia toczenie wojen na jeszcze większe dystanse. Nie wolno nam więc zakładać, że obcy czegoś nie potrafią. Modłę się cały czas, by okazało się, iż do wojny w ogóle nie dojdzie, że dyplomacja i zdrowy rozsądek zapobiegną najgorszemu i nie wdamy się w konflikt zbrojny z ludźmi, o których niczego nie wiemy. Ale co będzie, jeśli tak się nie stanie? Jeśli zawiedzie dyplomacja będziemy zmuszeni do walki, która zanim dotrze do granic Sharony przetoczy się przez nasze kolonie, chyba, że temu w jakiś sposób zapobiegniemy. Czy zatem nadal będziemy tu siedzieć, ciesząc się ze złudnej ochrony, jaką oferują nam odległości i czy nadal będziemy wykorzystywać to Konklawe do załatwiania zwykłych, codziennych problemów Sharony, podczas gdy niebezpieczeństwo będzie rosnąć z każdą chwilą? Czy mieszkańcy naszych kolonii są mniej ważni od znaków drogowych? Musimy o nich zadbać, cholera! Czy naprawdę uważacie, że matki w koloniach, leżących blisko miejsca kontaktu są zainteresowane tym, kto łowi ryby na

wybrzeżach Limathii? Idę o zakład, że dużo bardziej martwią się tym, czy ich dzieci nie zostaną na ich oczach zastrzelone lub spalone ognistą kulą!

Potoczył gniewnie spojrzeniem po zebranych i wtedy właśnie cała jego furia, frustracja i wściekłość zebrały się i eksplodowały w jednym, potężnym ryku.

–Nie mamy czasu na zajmowanie się jakimiś pieprzonymi rybami!

Wysoko, na galerii za plecami cesarza rozległy się czyjeś pojedyncze oklaski. Sekundę później wszystkie balkony – i co najmniej trzecia część głównej komnaty – rozbrzmiewały gromkimi brawami. Książę regent Limathii spurpurowiał na twarzy. Dziennikarze robili zdjęcia tak szybko, że błysk magnezji niemal pozbawił Zindela wzroku. Orem Limana nawet nie próbował uspokoić sali. Stał tylko i patrzył na obserwatorów popierających głośnymi okrzykami cesarza Ternathii. Na jego oblicze wypłynął dziwny, nikły uśmiezek.

Tumult wreszcie się jednak uspokoił i gdy Limana uniósł ręce w niemej prośbie o ciszę, przebrzmiały ostanie oklaski. Obserwatorzy i delegaci zajęli swe miejsca. Zindel jednak stał nadal. Nie tylko nie uśmiechał mu się powrót na to potworne krzesło, lecz miał jeszcze coś do załatwienia.

–Wasza wysokość – powiedział wśród ciszy dyrektor naczelny Zarządu Portali – dziękuję za złożenie protestu. Przyjmuję go. Przyjmuję go z zadowoleniem. Jeżeli przez naszą opieszałość zginą kolejni Sharonianie będziemy osobiście odpowiedzialni za ich śmierć. Nikt inny tylko my.

–Czy cesarz zechce oddać głos? – zapytał donośnie ktoś niemal niewidoczny w ogromnej sali. Zindel przez chwilę szukał oczami mówcy. Wreszcie ujrzał stojącego delegata z Shurkhal.

–Panie przewodniczący – cesarz zwrócił się do Limany – Ternathia oddaje tymczasowo głos szanownemu przedstawicielowi parlamentu Shurkhal.

–Panie pośle Kinshe, udzielam panu głosu – ogłosił Limana. Udało mu się przy tym powiedzieć to takim tonem, jakby nie miał pojęcia co Halidar Kinshe ma do zaproponowania.

–Dziękuję wasza wysokość – ukłonił się Kinshe i spojrzał na zebranych delegatów.

–Jak jego wysokość raczył już tak... elokwentnie zauważyć, siedzimy w tej sali już dwanaście i pół godziny – razem będzie już ponad dwadzieścia sześć godzin – i wysłuchujemy tego, co w najlepszym razie można nazwać uwagami wstępnymi – jego głos brzmiał w dzwoniącej dokoła ciszy. – Osobiście przypuszczam, że do pewnego stopnia jest to nieuniknione. Uczestniczymy w największym w historii zjeździe przywódców państw Sharony, a każdy rząd i naród przybył z jakąś sprawą, jakimś

problemem czy życzeniem, o którego zauważenie zabiega i którego rozwiązania chciałby. Prawda jednak jest taka, że te same żądania i życzenia i fakt, iż są one tak dla nas naturalne jedynie podkreślają prawdziwą naturę wyzwania, przed którym stanęliśmy. Zebraliśmy się tu jako przedstawiciele niezależnych i niepodległych państw, lecz zagrożenie dotyczy w równym stopniu nas wszystkich i prawdopodobnie żadnemu z rządów nie uda się mu zapobiec w pojedynkę, dzięki własnym tylko staraniom.

–Wszyscy obecni w tej sali – ciągnął Kinshe – wiedzą jaką stratę poniósł mój kraj – Kinshe pobał, a jego głos stał się na moment bardziej szorstki. – Tysiące naszych obywateli już zgłosiło się do armii, tysiące przyrzekło krwawo pomścić śmierć Shaylar Nargry-Kolmayr i jej męża. Shurkhal jednak rozumie, że nie może wymierzyć sprawiedliwości samodzielnie. Musimy działać razem, jak jeden organizm. Przede wszystkim jednak – musimy w ogóle zacząć działać.

Umilkł. Dokoła zapadła cisza przerywana jedynie szelestem stóp i stłumionymi kasznięciami.

–Przyjaciele – wznowił po chwili – potrzebny nam jest światowy rząd, lecz nie mamy czasu na wypracowanie wszystkich szczegółów, tak żeby każde państwo było zadowolone z nowego systemu. Tym bardziej fortunny wydaje się fakt, że wcale nie musimy niczego takiego robić.

Urwał raz jeszcze. Tym razem cisza była tak przytłaczająca, że aż dzwoniła dyplomatom w uszach.

–Dysponujemy już sprawdzonym modelem takiego rządu i możemy z niego skorzystać – ciągnął Kinshe. – Mam na myśli model, który pomyślnie przeszedł próby czasu, wojny, katastrof naturalnych oraz przeciwności wszelkiej innej natury. Model rządu, który w przeszłości pozwalał na sprawowanie władzy nad połową naszej planety. Umożliwiał skuteczne zarządzanie zróżnicowanymi ludami formowanymi przez dziesiątki kultur, posługujących się dziesiątkami języków. I model ten sprawdzał się doskonale. Myślę o rządzie, którego armie stoczyły więcej zwycięskich wojen, niż wojska wszystkich pozostałych nacji Sharony razem wziętych, a zarazem nie był nigdy wojowniczo usposobiony. Myślę o rządzie, którego poddani cieszą się wielkimi swobodami i jednocześnie najwyższym standardem życia na całym świecie.

–Sharona nie zna lepszego modelu sprawowania władzy – ciągnął. – Nie zna, gdyż lepszy system jest w istocie niemożliwy. Zamiast więc głowić się i zadręczać, zamiast dążyć do wypracowania czegoś zupełnie nowego i niesprawdzonego, zamiast powoływać nowe ustroje, o nieznanym wadach i nieustalonych jeszcze stabilności, sięgnijmy po coś, co wszyscy pamiętamy z własnej historii. Stawka jest zbyt wysoka, by ryzykować inne rozwiązania. Co więcej – i co być może jest w tej chwili

najważniejsze mąż stanu sprawujący władzę według modelu, o którym mówię pokazał już, że jasno i wyraźnie dostrzega najważniejsze problemy, którymi należy się teraz zająć. Pokazał, że rozumie skalę zagrożenia i wie, jak należy im zapobiec. Stawiam wniosek o utworzenie zjednoczonego Imperium Sharony w oparciu o model i istniejące instytucje Cesarstwa Ternathii.

Zindel poczuł jak zaczyna mu opadać szczeka. Zanim zdążył zaczerpnąć tchu by zaprotestować, zawołał ktoś inny.

–Farnalia poprze wniosek pod warunkiem, że obecny władca Ternathii, Zindel chan Calirath zostanie również obwołany cesarzem Sharony!

–Królowe Bolakinu popierają projekt wraz z poprawką!

Zindel rzucił okiem na długoletnich sprzymierzeńców, którzy odwzajemnili mu się spojrzeniami tak niewinnymi, jakby wniosek i poprawka były rzeczywiście spontaniczne. Mimo podejrzenia, które nagle go opanowało zrozumiał, że nigdy nie uda mu się udowodnić, że tak w istocie nie było.

Jednak, jeśli nawet wszystko zostało ukartowane, to nie każdy brał udział w spisku.

–Uromathia składa protest! – Chava Busar, cesarz Uromathii, zerwał się na równe nogi. Był siny z wściekłości. W sali znów zawrzało.

Orem Limana potrzebował kilku dobrych minut by opanować panujący wśród zebranych chaos. Udało mu się to dopiero, kiedy zaczął sam krzyczeć. Kiedy delegaci się już uspokoili spojrzał poważnie na uromathiańskiego władcę.

–Przeciwko czemu raczy protestować wasza wysokość?

–Protestuję przeciwko temu niestosownemu i nierozsądnemu pośpiechowi z jakim niektóre delegacje chcą przejść do głosowania nad tymi dwiema, jakże przecież istotnymi sprawami bez dochowania wymogów formalnych i bez otwartej dyskusji.

–O jakich dwóch sprawach wasza wysokość raczy wspominać?

–Pierwsza to uznanie Cesarstwa Ternathii jako modelu przyszłego rządu światowego. Ternathia przecież nie była jedynym wielkim imperium w dziejach Sharony – syknął Chava. – Druga kwestia dotyczy tego, kto stanie na czele owego ewentualnego Imperium Sharony. To dwie różne kwestie, dwa problemy i należy nad nimi przeprowadzić osobne głosowania.

–To żadną miarą nie są różne sprawy! – huknął Cesarz Farnalii, podrywając się z miejsca na przekór wszelkim parlamentarnym procedurom i obyczajom. Ronnel Karone wyższy nawet od Zindela, górował nad cesarzem Uromathii na ponad dwie

stopy.

Patrzył teraz wyjątkowo nieprzyjemnie. – Nie chcemy Ternathii jedynie jako wzorca! Chcemy, by rząd Ternathii stał się naszym rządem, a Ternathia ma już władcę. Zdolnego, inteligentnego i uczciwego władcę.

Zindel się skrzywił. Chava zrobił się czerwony. Karone nie przerywał nawet na chwilę.

–Będziemy głosować poddanie całej Sharony władzy Cesarstwa Ternathii. Drugie głosowanie nie będzie potrzebne, gdyż nie ma żadnej drugiej sprawy. Ternathia ma cesarza i Sharona będzie mieć tego samego!

–Uromathia nie uzna cesarza, który został wyniesiony do władzy w ten sposób, bez szczerzej i otwartej dysputy, nie mówiąc już o regulaminowym trybie zgłaszania kandydatów! – zagrział Chava. W sali po raz kolejny rozpętało się istne pandemonium.

Powietrze zgęstniało od krzyków i gróźb. Dyrektor naczelny raz po raz uderzał młotkiem o pulpit, próbując zaprowadzić porządek. Przez długie chwile nikt nie zwracał na niego uwagi, lecz w końcu, powoli i z trudem, harmider zaczął cichnąć.

–Zgłoszono oficjalny wniosek – odezwał się ostro Limana, kiedy wszyscy zamilkli. – Wniosek otrzymał poparcie. Mamy też oficjalny protest. Dochowując zasad sprawiedliwości nie mogę zarządzić głosowania, dopóki protest nie zostanie uwzględniony.

–Panie przewodniczący!

–Udzielam głosu cesarzowi Ternathii.

–Dziękuję. – Zindel wstał z krzesła i patrząc na zebranych pokręcił głową.

–Drodzy przyjaciele, dyrektor Limana ma rację. Z formalnego punktu widzenia jak sądzę powinniśmy przejść do dyskusji nad wnioskiem, a potem głosować. Ewentualne protesty oczywiście zostałyby podczas debaty uwzględnione. Ternathia jednak nie składała tego wniosku, a cesarz Ternathii nie wyraża życzenia objęcia władzy nad narodami Sharony w drodze głosowania, którego prawomocność mogłaby w przyszłości zostać w jakikolwiek sposób zakwestionowana. Nie stać nas na stworzenie sytuacji, w której jakiegokolwiek państwo czułoby się zmuszane do przyjęcia obcej władzy. To byłaby moi przyjaciele, tyrania w czystej formie, a ja nie zostanę tyranem nawet w obliczu tak wielkiego niebezpieczeństwa.

–Przy całej mej wdzięczności wobec cesarza Farnalii i królowych Bolakinu – Zindel skłonił się w kierunku wymienionych – jestem zmuszony nalegać, by protest, o

którym mowa, został uwzględniony. Spędzenie dwunastu godzin na dyskusji o banałach to jedna sprawa, jednak przeprowadzenie głosowania tej wagi bez otwartej dyskusji i możliwości swobodnego zgłaszania kandydatur to już zupełnie co innego.

Chava uśmiechnął się tryumfalnie. Jego grymas przypominał nieco szczerzącego zęby drapieżnika. Zindel zdawał sobie doskonale sprawę, że gdyby ktokolwiek okazał się na tyle szalony, by to Uromathię wskazać jako przyszły ośrodek władzy na całej planecie, to Chava nawet przez chwilę nie pomyślałby o otwartej debacie. Swoją decyzję podjął mimo tej wiedzy, z pełną świadomością tego, jak kosztowna może się okazać dla niego i dla Sharony. Zgodnie ze swoimi słowami nie chciał jednak rządzić w cieniu wątpliwości, bez względu na to, że czuł ochotę zagrodzenia Chavie drogi do władzy. Karone popatrzył na cesarza, po czym rzucił wściekłe spojrzenie na zadowolonego władcę Uromathii, którego wzrok mówił „Prędzej zamarznij piekło Arpathii niż ty zasiądziesz na imperialnym tronie Sharony”.

–Ternathia wnosi - ciągnął Zindel – co więcej, Ternathia nalega, na wycofanie wniosku i nominacji i zastąpienie ich dwoma oddzielnymi wnioskami. Pierwszym, o przyjęciu przez całą Sharonę ternathiańskich instytucji i modelu ustrojowego jako formy rządu światowego i drugim, o rozpoczęciu zgłaszania kandydatur na najwyższego władcę przyszłego imperium.

–Popieram oba wnioski! – zawołał natychmiast Chava.

–Rozumiem – powiedział Limana. – Złożono i poparto wniosek o wycofanie wniosku poprzedniego i zastąpienie go dwoma nowymi, pierwszym: o przyjęciu przez całą Sharonę ternathiańskich instytucji i modelu ustrojowego jako formy rządu światowego i drugim, o rozpoczęciu zgłaszania kandydatur na najwyższego władcę przyszłego imperium.

Urwał na moment, który wykorzystał na wykonanie głębokiego, pełnego szacunku ukłonu w stronę Zindela, po czym potoczył wzrokiem po ogromnej sali.

–Przejdźmy do dyskusji nad pierwszym wnioskiem – zarządził.

ROZDZIAŁ

OSIEMNASTY

–Coś cię martwi – zauważyła cicho Gadrial.

Jasak drgnął zaskoczony. Nie słyszał jak podchodziła. Stał oparty o parapet palisady Fortu Talon i wpatrywał się w nadciągający zmierzch. Bardzo rzadko zdarzało się by ktokolwiek zdołał niepostrzeżenie podejść go aż tak blisko. Od zawsze szczylił się tym, co jego ojciec nazywał „świadomością otoczenia”, a matka zwała „tą przekłętą, nerwową paranoją Olderhanów”. Co więcej – od czasu starcia z vos Hovenem starał się być jeszcze bardziej ostrożny.

„Od starcia z vos Hovenem i od momentu, w którym zacząłem się obawiać, że moi przełożeni mogą okazać się mymi nieprzyjaciółmi” – pomyślał Olderhan cierpko.

Odwrócił się do Gadrial i uniósł brew.

–Skąd ten wniosek? – zapytał łagodnie.

–Nie bój się – Shaylar nie zaraziła mnie swoim Talentem – odpowiedziała z zawadiackim uśmiechem kobieta. – Choć z drugiej strony, może gdyby tak się stało, to prędeziej zrozumiałabym tę twoją nieprzeniknioną, andarańską duszę. Ale prawdziwy powód jest mniej oryginalny. Stoisz w bezruchu i wpatrujesz się w to lądowisko już dobre pół godziny. Biorąc to pod uwagę, mój nieprzeciętnie inteligentny umysł wnioskuje, że albo coś cię dręczy, albo wybrałeś najmniej wygodną z możliwych, pozycję do drzemki.

–Rozumiem – Olderhan odpowiedział jej uśmiechem, choć w jego spojrzeniu widać było dręczące napięcie.

–Nie przejmuj się tak, Jasak – powiedziała łagodnie. – Miecznik Threbuch stoi w korytarzu tuż przed ich drzwiami. Choć... – Gadrial popatrzyła na oficera badawczo, jakby zastanawiając się czy powinna mu o czymś powiedzieć i w końcu wzruszyła ramionami... choć z drugiej strony, sama też nie jestem tak ufna, jak powinnam być.

–To znaczy? – Jasak zmrużył oczy. Gadrial ponownie wzruszyła ramionami.

–To znaczy, że obłożyłam ich oboje zakłęciami zabezpieczającymi wyższego poziomu. Jeśli ktokolwiek z niewłaściwą charakterystyką aury zbliży się do nich bliżej niż na cztery stopy, to ja się o tym dowiem. A jeśli ktoś zechce ich zranić, albo zaprowadzić dokądś wbrew ich woli, to... Powiedzmy, że ewentualny napastnik nie będzie zachwycony.

Umilkła i spojrzała na oficera z większą niepewnością i niepokojem niż wskazywał na to jej wyraz twarzy. Sir Jasak Olderhan był w końcu Andaraninem i jako taki, głęboko wierzył w honor całej armii Arkany i wszystkich jej oficerów.

–Czy to legalne? – zapytał po chwili.

–Nie jest nielegalne póki działanie zakłęb nie grozi nikomu śmiercią – wyjaśniła. – Pod wieloma względami jest to prawna szara strefa. Ale wydaje mi się, że biorąc pod uwagę sytuację i nasze zobowiązanie do zachowania ich przy życiu oraz ich wartość wywiadowczą, nie zrobiłam chyba niczego niewłaściwego. W każdym razie nie w obliczu prawa.

–Ewentualni napastnicy chyba by się z tobą nie zgodzili – zauważył uśmiechając się słabo setnik, po czym spojrzał bardziej ponuro. – Ale tym akurat pani magister Kelbryan, nie przejmowałbym się zupełnie. Dziękuję.

–Proszę bardzo – powiedziała cicho i złożyła dłoń na przedramieniu oficera. – Jasak, przed chwilą powiedziałam „nasze zobowiązanie” i mówiłam poważnie. Może i nie rozumiem wszystkiego, co wynika z twojego kodeksu honorowego, ale szanuję tę część, którą pojmuję. Co więcej – w pewien sposób podziwiam to wszystko, choć jest to tak bardzo nieransarańskie. Zresztą, nawet gdybym tak nie czuła, to uważam, że Shaylar i Jathmar przeszli już wystarczająco wiele. Jeśli ktokolwiek zechce ich ponownie skrzywdzić, to będzie mieć do czynienia z nami obojgiem. Nie tylko z tobą.

–Dziękuję – powtórzył Jasak jeszcze łagodniej i dotknął dłoni spoczywającej na swoim ramieniu.

Spojrzała w jego ciemnobrązowe oczy i poczuła nagle zdziwienie. Nadal patrzyła spokojnie, lecz tętno wyraźnie jej przyspieszyło. Złajała się za to w myślach. Tego jednego akurat nie było teraz potrzeba żadnemu z nich.

–A więc – powiedziała weselej – cóż cię takiego martwi?

Jasak prychnął. Chciał, żeby zabrzmiało to zabawnie, ale nie udało się. Odwrócił się od niej i ruchem brody wskazał otoczone przez las lądowisko.

–Co tam widzisz Gadrial?

–Jak to co? – kobieta zamrugwała zdziwiona, podeszła do niego i przez kilka sekund przyglądała się temu samemu, na co patrzył setnik. – Zwykle lądowisko – powiedziała wreszcie.

–Zwykle lądowisko... – powtórzył po niej cicho, z namysłem.

–Rozumiem, że ty widzisz coś, czego ja nie dostrzegam.

–Nie – pokręcił głową. – Chodzi o to, że ja wiem na co powinienem patrzeć. Pamiętam, że spędziłaś w Garth Showma wiele czasu, ale mimo to jesteś cywilem Gadrial. Ja nie.

–Oświeć więc biednego cywila. Co powinno być na lądowisku?

–Przepraszam – uśmiechnął się w reakcji na jej przesadnie cierpliwy ton. – Nie chciałem robić tajemnicy. Chodzi o to, że na lądowisku stacjonuje bardzo dużo smoków, Gadrial. Naprawdę bardzo dużo.

Gadrial zmarszczyła brwi i raz jeszcze spojrzała na lądowisko. Po chwili skinęła powoli głową. Już zaraz po przybyciu wydawało się jej, że lądowisko było niezwykle zatłoczone, ale nie zastanawiała się nad tym zbyt długo. Teraz, kiedy Jasak po raz drugi zwrócił jej na to uwagę zdała sobie sprawę, że smoków na lądowisku było o wiele za dużo. Normalnie każdy smok powinien otrzymać odpowiedni obszar na gniazdowanie i osłonę chroniącą zwierzę przed deszczem. Tu jednak było inaczej. Przynajmniej jedna czwarta zwierząt na lądowisku taplała się w pośpiesznie wygrzebanych dołkach, które po ostatnich opadach wypełniły się wodą. Ubłocone i zmęczone smoki ledwie przypominały dumne bestie, rdzeń sił powietrznych Arkany.

–Masz rację – przyznała. – Nie zwróciłam na to uwagi.

–To jeszcze nie wszystko – rzucił trzeźwo Jasak i skinął w kierunku płaskiego skrawka terenu na południe od lądowiska.

Na północy znajdowały się zagrody i stodoły, w których przechowywano importowane do fortu bydło hodowlane i schwytane w okolicy bizony, którymi karmiono smoki. Teraz, wiedząc już, że smoków było niezwykle dużo Gadrial zauważyła też, że i te zagrody pękały w szwach i dokoła pasło się o wiele liczniejsze stado tłustych roślinożerców. Setnik wskazywał jednak w przeciwną stronę. Na południu stały w równych rzędach białe namioty. Zmarszczyła brwi.

–To obóz na przynajmniej dwie kompanie – powiedział. – Prawie pięciuset ludzi.

Gadrial powoli skinęła. Pamiętała, że dawno temu andarańskie stopnie wojskowe, które potem przyjęła armia Unii odpowiadały dokładnie ilości ludzi, jakimi dowodził oficer. Z czasem jednak, w miarę jak armie stawały się coraz większe i bardziej nowoczesne ten stan rzeczy uległ zmianie. Jasak był setnikiem, a dowodzący setką zawsze dowodzili kompaniami piechoty. Z tym, że kompanie liczyły niemal dwustu pięćdziesięciu ludzi, a nie jak dawniej stu. Batalion pięćsetnika Kliana składał się (kiedy był w pełnym stanie) z prawie tysiąca stu żołnierzy, a dowodzący dwoma tysiącami kierował siłą blisko trzytysięczną.

To jednak nie wyjaśniało, co tych pięciuset żołnierzy robiło w namiotach pod Fortem Talon.

–Mul Gurthak ściągła posiłki – powiedziała.

–Właśnie tak – przytaknął Jasak i nabrał głęboko powietrza. – W sumie nie ma w tym nic zaskakującego. W końcu to on jest najwyższym oficerem po tej stronie terminala ślizgaczy Ucala, który znajduje się ponad dwanaście tysięcy mil stąd. Koncentracja siły bojowej jest jego obowiązkiem, chodzi tylko o to, że...

Urwał i pokręcił głową. Nie musiał jednak kończyć. Gadrial zrozumiała i tak.

Stała obok i przyglądała się niewinnie wyglądającym białym namiotom. Mieszkali w nich ludzie, dla których zabrakło kwater w koszarach lub na grzbietach smoków transportowych. Zobaczyła też, co najmniej tuzin smoków bojowych. Takich samych bestii jak te, które tak wściekle zareagowały na obecność Shaylar. Gadrial zrobiło się nagle zimno. Pomyślała o tym, że te zwierzęta mogą wkrótce znaleźć się na polu walki.

„Skoro przygotowujemy się po raz pierwszy od dwustu lat, do użycia smoków bojowych – pomyślała czując na plecach złowieszcze dreszcze i przypomniała sobie rozmowę z Jathmarem i Shaylar – to ciekawe czego jeszcze jesteśmy gotowi użyć ponownie?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie i poczuła się jak tchórz. Bała się odpowiedzi.

*** * ***

–No cóż, panowie – powiedział Nil mul Gurthak odsuwając krzesło i uśmiechnął się do Rithmara Skirvona i Uthika Dastiriego – zdaje się, że na was już czas.

Słońce ledwo weszło nad palisadę Fortu Talon. Obaj dyplomaci byli już spakowani i gotowi do drogi. Ich eleganckie, doskonale skrojone, cywilne stroje zastąpione zostały przez wygodne kombinezony Sił Powietrznych. Żaden z nich jednak nie wyglądał na zachwyconego perspektywą lotu przez pięć tysięcy mil.

–Obawiam się, że tak – skrzywił się Skirvon. – Szkoda, że nie dostajemy dodatków za loty.

–Rozumiem i współczuję – mul Gurthak skinął głową i uśmiechnął się nieznacznie. Po chwili jednak spoważniał. – Wiele od was zależy, panowie. Od waszego rozsądku i zdolności. Nie będę się nad tym rozwodzić, gdyż wiem, że zdajecie sobie z tego sprawę. Wolałbym, żebyśmy mieli czas by poczekać na wytyczne z Parlamentu i Dowództwa. Niestety. Nie dane nam było zaznać tego luksusu.

–Rozumiem komendancie – odparł posępnie Skirvon. – Zapewniam, że zrobimy wszystko co w naszej mocy.

–Nie wątpię w to ani przez chwilę – mul Gurthak wyprostował się za biurkiem i wyciągnął do nich prawą dłoń. – Powodzenia panowie.

–Dziękuję komendancie – powiedział bardzo poważnie Skirvon. Mul Gurthak uścisnął dłonie dyplomatów i odprowadził ich wzrokiem do drzwi.

*** * ***

–Jak daleko jest stąd do następnego portalu? – spytała Shaylar idąca w towarzystwie Jathmara, Jasaka i Gadrial w stronę lądowiska.

–Okolo dziewięciuset mil – odpowiedział Jasak. – Dzień smoczego lotu.

–No tak. Przy założeniu, że smok nie postanowi mnie po drodze pożreć – Shaylar zmusiła się do wesołości.

Jasak przystanął. Zatrzymali się też wszyscy pozostali, w tym wciąż poirytowany setnik Neshok i kilku żołnierzy z jego kompanii. Olderhan spojrzał poważnie na Shaylar.

–To się nie wydarzy – powiedział zdecydowanie. – Polecimy Kłem Niebios. Z nim nie było żadnych problemów.

–To prawda – przytaknęła Shaylar nie próbując nawet maskować swej ogromnej ulgi. Kieł Niebios – smok z Fortu Wyvern stanowił zgrany zespół ze swym pilotem – dowodzącym pięćdziesięcioma Darisem Varkalem. Zwierzę i człowiek znali się od dawna, prawdopodobnie tak samo długo, jak Muthok Salmeet i Pazur Wichru. W odróżnieniu od Pazura jednak, Kieł – będący większym zwierzęciem – nie próbował jej połknąć. Co więcej – Shaylar odnosiła niekiedy wrażenie, że smok ją lubił, choć na tę możliwość nie postawiłaby zbyt dużych pieniędzy.

–Powinnaś też wiedzieć – powiedziała z uśmiechem Gadrial – że Jasak poprosił, by Kieł i półsetnik Varkal zostali z nami tak długo, jak to tylko możliwe. Być może będziemy zmieniać smoka w Rycarh lub Jylaros – mamy do pokonania spore połacie morza w obu tych wszechświatach i może się okazać, że nie będziemy mieli jak przewieźć Kła – ale do Ucali powinno się udać zostać razem.

–Naprawdę myślicie, że to możliwe? – spytał Jathmar.

–To zależy od dostępności statków – wyjaśnił Jasak. – Dlatego do tej pory sam wam o tym nie mówiłem. Nie wszystkie nasze okręty są przystosowane do przewożenia smoków, więc możemy mieć pecha. Mam nadzieję, że się uda, ale gwarancji nie mam.

–Tak czy inaczej dziękuję, że o tym pomyślałeś Jasak – powiedziała Shaylar.

–Mówiłem ci Shaylar – przypomniał cicho Jasak, delikatnie biorąc kobietę za rękę i lekko ją uścisnął – że ty i Jathmar jesteście teraz członkami mojej rodziny. Jestem bardzo niezadowolony z okoliczności, w jakich to się stało, ale od pewnego czasu mam zaszczyt mieć w tobie siostrę. A o własne siostry dbam. Tak samo zresztą – oficer rzucił okiem na Jathmara – jak o braci.

Jathmar odpowiedział zmieszonym spojrzeniem i skrzywił się lekko.

–Tak. Ja też ci dziękuję – powiedział – ale czy ktokolwiek wpadł już na pomysł, dlaczego niektóre smoki tak silnie na nią reagują? Albo, dlaczego zachowują się tak wściekle wobec niej, a nie wobec mnie?

–Co do Shaylar, to jedynym logicznym wyjaśnieniem wydaje się, że w jakiś sposób powoduje to jej konkretny Talent – odezwała się Gadrial. – Możliwe, że zdolności Głosów powodują powstawanie jakiegoś śladu energetycznego czy pola, na które wrażliwe są smoki. Zbyt wrażliwe oczywiście.

Uśmiechnęła się smutno. Jathmar prychnął.

–Prawdopodobnie masz rację – zgodził się.

–A co do tego, dlaczego niektóre reagują gwałtowniej niż inne – wtrącił Jasak, gdy ponownie ruszyli ku lądowisku – to mam załączek teorii.

–Tak? – zaciekawiał się Jathmar patrząc na swojego andarańskiego „brata”. Z ulgą zauważył, że dziś smoki nie stacjonowały już tak blisko drogi jak po ich przylocie.

–Tak – Jasak skinął głową – ale zanim powiem coś więcej muszę zadać kilka pytań Darisowi. Co więcej, nawet jeśli się nie mylę, to jedną zagadkę zastąpi nam kolejna.

–Jasak, przecież to my powinniśmy ukrywać przed tobą informacje – zażartował Jathmar. Setnik zaśmiał się.

–Naprawdę nie chcę niczego przed wami ukrywać, ale po prostu nie wiem jeszcze nic na pewno. Poza tym...

Urwał, gdyż dotarli właśnie do celu. Półsetnik Varkal i Kieł Niebios już na nich czekali. Smok uniósł głowę i spojrzał na przybyszy. Nozdrza bestii zadrgały. Jak zawsze, gdy wielkie stworzenia przyglądały się Shaylar, Jathmar poczuł falę niepokoju. Tym razem jednak – ponownie – Kieł nie zachował się wrogo. W jego potężnej piersi rozległ się tylko niski, przytłumiony, głęboki pomruk.

–Dzień dobry setniku. Magister Kelbryan – Varkal przywitał się z Gadrial i Jasakiem, po czym spojrzał za nim. – Dzień dobry panie Nargra. Dzień dobry lady Nargra-Kolmayr.

–Dzień dobry Daris – odpowiedział za wszystkich Jasak. Shaylar i Jathmar uśmiechnęli się do pilota. W odróżnieniu od większości arkaniańskich żołnierzy, jakich spotkali do tej pory, Daris Varkal zachowywał się wobec nich uprzejmie od samego początku znajomości.

–Wszystko już załatwione. Możemy startować właściwie zaraz – powiedział Jasakowi Varkal.

–Świetnie – Olderhan uśmiechnął się z zadowoleniem. Pilot wyciągnął rękę do Gadrial. Chciał jej pomóc wsiąść na smoka, ale setnik powstrzymał go unosząc dłoń.

–Tak, sir?

–Mam pytanie Daris. Jak dobrze znasz giermka Salmeera i Pazura Wichru.

–Zupełnie nieźle, sir – odpowiedział ostrożnie Varkal. – Muthok to porządny człowiek – jeden z lepszych pilotów, jakich spotkałem. Wiele się od niego nauczyłem. A Pazur to chyba najlepszy smok transportowy, jakiego w życiu przyszło mi oglądać.

–Mam o nich dokładnie tę samą opinię – przytaknął Jasak. – Chciałem jednak zapytać, co ci wiadomo o rodowodzie Pazura.

–Varkal spojrział ze zdziwieniem i Olderhan zaśmiał się gorzko.

–Widzisz, za pierwszym razem, gdy Pazur spotkał lady Nargrę-Kolmayr, chciał ją pożreć – przypomniał pilotowi – ale Kieł wydaje się ją lubić.

–Tak, sir. Lubi – powiedział Varkal, wyraźnie zdziwiony, że oficer to zauważył i spojrział z uśmiechem na Shaylar. – Setnik ma rację, lady – dodał. – Kieł Niebios to mądra bestia. Nie jest tak starym zwierzęciem jak Pazur, ale jest już doświadczony, a ja znam go od dobrej chwili. Z całą pewnością panią lubi. – Pilot pokręcił głową trochę zły na siebie. – Powinienem sam być pomyśleć, żeby o tym pani powiedzieć. Muthok opowiedział mi o zajściu z Pazurem i mogłem się spodziewać, że będzie się pani denerwować.

–Masz rację, ja też to wszystko zauważyłem – odezwał się Jasak z niejaką satysfakcją w głosie. – Dlatego też zacząłem zastanawiać się nad ich rodowodem. Nie jestem żołnierzem Sił Powietrznych, ale parę smoków udało mi się przez lata poznać. Nie obraż się, ale Kieł sprawia wrażenie większego i... nieco mniej zwinnego niż Pazur.

–Nie ma się o co obrażać, sir – Varkal uśmiechnął się szeroko. – Kieł to transportowiec z krwi i kości. Wszyscy z jego przodków aż po pierwsze jajo w Ransar, byli o ile mi wiadomo smokami transportowymi – pilot poklepał z dumą potężną łapę smoka.

–Pazur to zacne stworzenie, ale Kiel uniesie więcej od niego. Bez względu na warunki. Jesteśmy w stanie przewieźć półtora raza tyle, co Muthok z Pazurem, choć szczerze mówiąc to mieliście szczęście, że tam w lesie przy polanie lądowali akurat oni. Jak pan zauważył, Pazur jest odrobinę bardziej sprawny. Nie jestem pewien, czy nam udałoby się wylądować i wystartować w takim strumieniu.

–I to dlatego, że Pazur ma wśród przodków smoki bojowe, prawda?

–Tak, sir. Nie potrafię powiedzieć ile ich było, ale to widać od razu, jeśli się wie, na co zwrócić uwagę – Varkal wzruszył ramionami. – Czysty transportowiec w rodzaju mojego Kła to zwierzę hodowane z myślą o sile, wytrzymałości i maksymalnym zasięgu.

To smoki przeznaczone do zadań strategicznych. Ich zadaniem jest przenoszenie dużych ładunków za linię frontu. Z kolei zwierzęta takie jak Pazur trzyma się głównie do celów taktycznych. Potrafią wykonywać więcej rodzajów zadań. Są szybsze i bardziej zwrotne – jak na smoki transportowe, oczywiście. To ma szczególne znaczenie na przykład w wypadku konieczności błyskawicznej ewakuacji wojska z zagrożonej strefy. Poza tym one potrafią ziać, a to kolejna zaleta w oczach oficerów sztabowych.

–Tak właśnie myślałem – Jasak spojrział na Shaylar i Jathmara. – O ile gdzieś się nie mylę, to wszystkie smoki, które drażniła obecność lady Nargra-Kolmayr były albo smokami bojowymi, albo mieszańcami. Wydaje mi się więc, że tylko takich powinniśmy unikać, a im bardziej oddalimy się od pogranicza, tym mniej ich będziemy spotykać.

–To rzeczywiście byłaby dobra wiadomość – zauważył Jathmar. – Z drugiej strony, nadal chciałbym się dowiedzieć, co powoduje taką ich wściekłość.

–Tak samo i ja, ale tego akurat możemy się nigdy nie dowiedzieć. Póki co wystarczy mi, że potrafimy uchronić Shaylar przed spotkaniem ze smokiem, któremu mogłaby się nie spodobać.

–Zgadza się – powiedziała z naciskiem Shaylar.

Przepełniona otuchą i nagłą odwagą wyciągnęła rękę i poklepała wielką, pokrytą łuskami, przypominającą pień drzewa, łapę Kła Niebios dokładnie tak samo, jak przed chwilą zrobił to Varkal. Wielki smok podniósł łeb, przekrzywił go i spojrział z góry na kobietę. Po chwili opuścił pysk na powrót – ale nie tym szybkim, groźnym ruchem jak inne smoki – zrobił to powoli, prawie łagodnie.

Shaylar usłyszała ciężki oddech Jasaka i poczuła przez małżeńską więź nagle ukłucie strachu Jathmara. Nie ruszyła się jednak z miejsca i po sekundzie wielki łeb zawisł tuż nad nią Gigantyczne prawe oko zwierzęcia omiotło ją badawczym, kojąco

spokojnym spojrzeniem i wtedy podwójny język Kła dotknął ramienia Shaylar. Sam język smoka – proporcjonalnie tak samo wąski jak język węża – był szerokości torsu kobiety. Poczula jego ciężar... i siłę. Bestia dotknęła jej jednak lekko i delikatnie. Wyczuła coś swym Talentem i uśmiechnęła się.

Od zawsze wiedziała, że ma w sobie część Talentu matki. Pływając z delfinami w ambasadzie czuła to dość często, choć w porównaniu z jej Głosem ten Talent był zbyt słaby, by choćby próbować go rozwijać. Teraz poczuła Kła Niebios w ten sam sposób, w jaki wtedy wyczuwała morskie ssaki. W odróżnieniu od groźnej, dzikiej aury Pazura Wichru, Kiel był spokojny i zrównoważony. Nie odbierała... jasności i wyrazistości, jakie charakteryzowały istoty rozumne, ale zaskoczyło ją, jak niewiele dzieliło smoka od samoświadomości. Teraz, kiedy czuła to wszystko nie widziała już w wielkiej bestii większego zagrożenia niż w wielorybach, z którymi bawiła się w dzieciństwie. Zachwycona tym i rozluźniona raz jeszcze pogładziła zwierzę po łapie.

Jathmar wypuścił głośno powietrze. Poczul emocje żony. Shaylar uśmiechnęła się do niego promiennie i spojrzała na Jasaka.

–Wydaje mi się, że wpadłeś na dobry trop – powiedziała. – Nie czuję Kła tak, jak czułabym człowieka, ale z tego co odbieram to on jest zupełnie inny niż Pazur.

–To dobrze – odetchnął setnik i skrzywił się. – Shaylar, cieszę się, że nie musimy się już martwić o smoki transportowe, ale miałbym prośbę, żebyś się na przyszłość powstrzymała od takich wybryków. – Skinął głową w stronę jej ręki nadal spoczywającej na nodze smoka. – Jestem pewien, że Jathmar poczułby się dużo lepiej, gdybyś przynajmniej zapowiedziała mu, że zamierzasz sprawdzać moją teorię. Co więcej – oficer spojrzał na Jathmara – ja też byłbym wtedy spokojniejszy.

ROZDZIAŁ

DZIEWIĘTNASTY

–Robi wrażenie.

Generał dywizji chan Geraith stał z rękami opartymi na biodrach i przyglądał się jak jeden z jego Bizonów, wyrzucając w powietrze tumany czarnego dymu, turlał się pod czujnym okiem kwatermistrza w górę rampy na platformę wagonu wielkiego pociągu. Bizon – a dokładniej rzecz biorąc - ciągnik transportowy typ I, model B – oparty został konstrukcyjnie o największe buldożery Kolei Trans-Temporalnych, choć jego gąsienice i zawieszenie zostały zmodyfikowane by umożliwić osiągnięcie większych prędkości w trudnym terenie. Sam pojazd nie powstał z myślą o przewożeniu ładunków – zaprojektowany był w charakterze ciągnika dla wielkich kołowych lub gąsienicowych przyczep. Mimo swego krępego komina, Bizon wyglądał zgrabnie i sprawiał wrażenie siły.

Przy wagonie, na który wjeżdżał wyglądał niczym karzeł. Przed nim załadowane zostały już dwa inne Bizony. Pracownicy KTT mocowali i sprawdzali właśnie łańcuchy zabezpieczające drugi ciągnik. Gdy trzeci zajął swe miejsce, Geraith zdał sobie sprawę, że w wagonie zostało tyle miejsca, że prawie wystarczało go jeszcze na czwartego Bizona.

–Tak pan myśli, generale?

Chan Geraith odwrócił się od pociągu i spojrzał na stojącego obok mężczyznę. Szef taboru Yakhan Chusal z Wydziału Eksploatacji KTT był urzędnikiem nadzorującym załadunek gigantów. Zajmował się tym od trzydziestu lat i w związku z tym, obserwował wydarzenia z o wiele większą dozą krytycyzmu niż żołnierz.

–Tak, tak uważam – przyznał chan Geraith. – Nie sądziłem, że dysponujecie tak wielkimi wagonami. Oczywiście widziałem zdjęcia tych specjalnych, przegubowych wagonów do przewozu części montażowych statków, ale nie miałem pojęcia, że macie takich rozmiarów standardowe pojazdy.

–Żałuję, że nie mamy jeszcze większych – skrzywił się Chusal. – Nasze największe koparki parowe ledwie się na nie mieszczą, a koparek nie da się przecież przerzucić przez góry przegubowcami. Pod drogą jest za dużo ostrych zakrętów, nie wspominając już o drobnym pytaniu, czy starsze estakady wytrzymałyby ciężar. Z tego co wiem, to szefostwo musiało zrezygnować z zamówienia nowego modelu koparek wyłącznie dlatego, że nie byliśmy w stanie zagwarantować, że będziemy je mieli czym wozić.

–Chce pan powiedzieć, że do przewiezienia jednej tylko koparki potrzebujecie

wagonu tej wielkości? – spytał z głębokim niedowierzaniem chan Geraith.

–Owszem – Chusal wzruszył ramionami. – Tak naprawdę to nawet z tymi wagonami na stanie musimy je rozkładać na dwie części. To z kolei oznacza, że potrzebujemy do ich złożenia na miejscu cholernie wielkich dźwigów, które też trzeba jakoś przewieźć. No, ale do przekopania się przez góry albo do wykopania kanału, musimy mieć wielkie zabawki. I takie właśnie dostajemy.

Chan Geraith pokręcił głową. Na twarzy żołnierza nadal malowało się zaskoczenie. Gdyby osobiście nie zapoznał się wcześniej z eksperymentalnym programem mechanizacji, byłby pewnie bardziej zdumiony. Teraz jednak miał własne doświadczenia i rozumiał, co znaczy praca z potężnym, a mimo to frustrująco niekiedy delikatnym, ciężkim sprzętem.

–Chyba mieliśmy szczęście, że KTT mogły nam przeznaczyć aż tyle rezerw – zauważył oficer po chwili. Chusal parsknął.

–Zależy jak na to spojrzeć, generale. Umowa z Zarządem Portali wymaga na nas, byśmy w każdej chwili dysponowali piętnastoprocentową nadwyżką ponad tę ilość sprzętu, jaka jest nam potrzebna do normalnego działania. Szczerze mówiąc nasi kwatermistrze i księgowi zawsze mieli z tym problem. Zresztą mnie samego też często aż boli, kiedy patrzę jak wszystkie te pojazdy gniją w garażach. Czyli to nie do końca kwestia szczęścia. Poza tym, wydaje mi się, że tej rezerwy i tak wam nie wystarczy.

–Naprawdę?

Chan Geraith zmrużył oczy. Poza dyrektorem Wydziału Eksploatacji KTT, Chusal był bez wątpliwości najlepiej poinformowaną osobą o wszystkim, co dotyczyło ciężkiego sprzętu, w każdym ze zbadanych przez Sharonę wszechświatów. Jeśli on uważał, że zanoszą się na kłopoty, to generał mógł być ich pewien.

No cóż – Chusal odwrócił wzrok i przesłonił ręką oczy, chroniąc je przed promieniami popołudniowego słońca. Przyjrzał się załadunkowi prowadzonemu pod bezchmurnym niebem – pewności oczywiście nie mam, ale o ile nie powstanie ten nowy rząd i nie przeznaczy dla nas całej góry pieniędzy, to nie uda nam się zapewnić transportu w tej skali, z jaką mamy tu do czynienia. Wysyłamy do Łańcucha Hayth lokomotywy i wagony ze wszystkich innych wszechświatów, ale potworne problemy będą już choćby z samym dostarczeniem ich na miejsce.

–Jak poważna jest sytuacja? Tak szczerze?

–Szczerze? – Chusal podniósł głowę i z namysłem spojrzął na wyższego od siebie ternathiańskiego oficera. Wyraz jego twarzy zdradzał, że zastanawia się czy chan Geraith chciał tak naprawdę poznać prawdziwy obraz sytuacji. Wreszcie skrzywił się

nieładnie. – Największy problem będzie z morzami. Przed Reyshar jest sześć tysięcy mil wody, potem jeszcze dziewięćset mil z Reyshar do Hayt i jeszcze tysiąc sto mokrych mil pomiędzy Jyrsalm i Salym. Przed każdym rejsem trzeba będzie wysadzić wszystkich ludzi, rozładować wszystkie pojazdy i konie. Potem musimy wrzucić to na statki, a na drugim brzegu ładować z powrotem na kolejne pociągi. I tak za każdym razem.

Tym razem skrzywił się chan Geraith, choć słowa Chusala specjalnie go nie zaskoczyły. Znał przecież mapy.

–Nie powiem żebym się specjalnie na to cieszył, ale przecież już nieraz coś takiego robiliście.

–Oczywiście, że tak – przytaknął Chusal. – Bez przerwy mamy z takimi problemami do czynienia. Niestety nigdy jeszcze nie robiliśmy tego na taką skalę, generale. Przerzucanie całych armii, nie mówiąc o ich wyposażeniu i innym sprzęcie, a także tych ilości węgla, jakich będą potrzebować nasze parowce i lokomotywy, jeśli mamy dojechać odpowiednio daleko, po prostu zniszczy przepustowość naszych kolei. Kolei i oczywiście floty.

–Haysam i Reyshar – ciągnął – mają sporo statków pasażerskich i frachtowców, i możemy je zarekwirować na potrzeby wojska, tym bardziej, że i tak cały ruch z i do Sharony musi przez nie przejść. Jeżeli chodzi o Łańcuch Hayth czegoś takiego nigdy jeszcze nie robiliśmy. Spodziewam się, że wąskim gardłem okaże się morze pomiędzy Salym i Traisum. Do zorganizowania transportu przez Morze Palca w Traisum trzeba będzie pomyśleć o promie dla pociągów. Przynajmniej do momentu zbudowania mostu. Tak czy inaczej z Hayth będzie kłopot. Dlatego wysłałem tam tak wiele dobrych lokomotyw i pustych wagonów. Każdy cięższy statek towarowy w Hayth i Reyshar został przekierowany do ich obsługi. To spowodowało powstanie kolejnego potwornie ciasnego, wąskiego gardła – dodał gorzko.

–Rozumiem – chan Geraith zmarszczył brwi. – Nie myślałem, że będzie aż tak kiepsko.

–Kiepsko? Teraz jeszcze jesteśmy bardzo daleko od chwili, gdy będzie „kiepsko” generale – zauważył ponuro Chusal. – Choćbyśmy się wszyscy urobili po pachy, to i tak będziemy musieli zapewnić przepustowość praktycznie trzem oddzielnym liniom kolejowym. To właśnie efekt spowodowany istnieniem tych zbiorników wodnych po drodze. Musimy mieć taką samą ilość sprzętu na każdym odcinku lądu. Niestety nie możemy po prostu załadować wojska raz i pomachać mu na do widzenia. Oczywiście, że można zmniejszać opóźnienia starannym planowaniem i logistyką, ale i tak opanowanie tego wszystkiego będzie według mnie prawdziwym koszmarem. Teraz zastanawiamy się nad transportem jednej dywizji. Co będzie, kiedy trzeba będzie przerzucić cały korpus? Linie kolejowe aż do Jyrsalm są tylko dwutorowe.

Pracujemy nad tym, ale to kolejny problem, z którym musimy się jakoś zmierzyć.

Inżynier mówił zmęczonym i pełnym frustracji głosem. Chan Geraith rozumiał go doskonale. Z drugiej strony spotykał takich ludzi już wcześniej i wiedział, że Yakhan Chusal nie został szefem taboru KTT przez przypadek. Generał był pewien, że inżynier poradzi sobie ze swoimi zadaniami dużo lepiej, niż ktokolwiek mógł się w tej chwili spodziewać.

Co oczywiście nie umniejszało skali czekającego go wyzwania.

Oficer raz jeszcze pokręcił głową. Nikt w dziejach nie podejmował się nawet podobnej próby. Nikt nie planował podobnych przedsięwzięć. Jego dywizja musiała ruszać natychmiast i stąd ten wyjątkowy pośpiech, wiedział jednak, że szczegóły operacji będą mogli spokojnie opracować podczas długich, nużących tygodni podróży.

–Inżynierze – zapytał po chwili – czy istnieje możliwość, żeby przydzielił mi pan kogoś ze swoich ludzi? Ja i mój sztab radzimy sobie z planowaniem przemieszczania się w obrębie jednej planety, ale wydaje mi się, że skoro będziemy musieli skakać po wszechświatach, przydałby się nam ktoś z doświadczeniem w tego typu podróżach. Poza tym jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że mówimy po prostu kwatermistrzowi ile zaopatrzenia potrzebujemy. Tutaj jednak przydałby się ekspert, który pomógłby w ocenie ilości sprzętu, jaki realnie będzie dla nas dostępny.

–To doskonały pomysł, generale – Chusal uśmiechnął się ciepło. – Mam kogoś, kto jest wymarzony do tego zadania. – Chan Geraith uniósł brew, Chusal zachichotał. – Waszym kierownikiem składu wyznaczyłem Hayrdara Sheltima. To jeden z najbardziej doświadczonych specjalistów od taboru i logistyki... Poza tym wrócił właśnie ze szkolenia w Larakesh. Jeśli będzie pan mieć jakieś pytania to Hayrdar odpowie na nie najlepiej ze wszystkich ludzi na tej ziemi.

–Dziękuję inżynierze. Naprawdę bardzo panu dziękuję.

*** * ***

–Nie jest ich zbyt wielu, prawda? – mruknął niezadowolony Młodszy Pan Koni Garsal.

–Być może nie jest – odpowiedział cicho Pan Koni Jukan Darshu, Słoneczny Lord Markan. Obaj patrzyli na pierwszych uromathiańskich kawalerzystów wysiadających z wagonów pociągu, który dowiózł ich do Fortu Salby.

Poruszali się powoli i sztywno. Wargi Słonecznego Lorda wykrzywiły się ze współczucia, do którego nigdy by się otwarcie nie przyznał. Ostatnie dwanaście dni były dla jego ludzi bardzo ciężkie. Podróż kolejną z Camryn do Salym nie była jeszcze

taka zła, ale wykończyła ich przesiadka na zorganizowane pospiesznie transportowce i morska podróż z Barkesh do Nowego Ramath. Konie zniosły ją bardzo źle, pogorszenie pogody wpędziło połowę żołnierzy w chorobę morską, a na koniec musieli znowu załadować się do wagonów, którymi pojechali z Nowego Ramath do Fortu Tharkoma. Strzegł on portalu, prowadzącego z Salym do Traisum.

Nowe Ramath dzieliło od Tharkomy jedynie kilkaset mil. Były to jednak długie mile niegościnnego, górskiego terenu. Powolna, nużąca podróż po stromych ścieżkach, które wiły się niczym węże z połamanymi kręgosłupami okazała się bardzo wyczerpująca – zwłaszcza dla tych kawalerzystów, którzy nie do końca wyleczyli się jeszcze z choroby morskiej. To także nie był jeszcze koniec męczarni. – W Traisum portal wychodził w miejscowym odpowiedniku Królestwa Shartha.

Shartha leżała na zachodnim wybrzeżu Ricathii – czyli tysiące stóp niżej i trzy tysiące mil na południe od wlotu portalu w Salym. W Salym żegnały ich ciężkie opady śniegu. Nagła zmiana klimatu, której doświadczyli, gdy pociąg przemknął z na w pół zamrożonej Tharkomy wprost w brutalne, słoneczne upały Równiny Shartha, była silnym szokiem nawet dla twardych, zahartowanych w trans-wszechświatowych podróżach ludzi. Zimne, niedogrzone wagony pasażerskie z lodówek przemieniły się w piece w przeciągu kilku minut. Śnieg i lód roztopiły się w wodę. Markan miał nawet wrażenie, że większość opadu wyparowała w jednej chwili, nie przechodząc przez pośredni, płynny stan skupienia.

Szok dla organizmów był więc potężny, a półtora dnia jakie zajęła im droga od portalu do Salby, okazało się czasem zbyt krótkim, by ludzie i konie zdolali się przystosować do nowych warunków.

–Ale nawet jeśli nie jest – ciągnął Markan – głośnie mówienie o tym nie pomoże ani sytuacji, ani naszemu cesarzowi.

Rzucił okiem na swojego zastępcę. Obaj oficerowie stali na przedniej platformie okazałego wagonu pasażerskiego, jaki przeznaczono na podróż kadrze oficerskiej Markana. W oczach Garsala pojawił się błysk czegoś, co mogło być irytacją albo gniewem. Minęło jednak równie szybko, jak się pojawiło.

–Punkt dla ciebie, Słoneczny Lordzie – przytaknął.

Markan skinął głową. Nie musiał reagować w żaden inny sposób. Z kilku powodów. Po pierwsze Jukan Darshu był Słonecznym Lordem – był to tytuł odpowiadający rangą ternathiańskim diukom – podczas gdy Tarnal Garsal był jedynie Wietrznym Lordem – czyli earlem. Po drugie, mimo swego upodobania dla wygod i nieustannych narzekań na surowe warunki pogranicza (a także mimo niewątpliwej arogancji) był naprawdę świetnym oficerem. Trzecim powodem było to, że Garsal był odległym krewnym Chavy Busara i Markan nie miał zamiaru zrazić do siebie żadnego z nich.

„Nie mówiąc już o tym, że tym razem w niebezpieczeństwie znalazło się całe nasze multiwersum – na równi Ternathia i Uromathia.” – dodał w myślach oficer.

Nieswojo się czuł myśląc o tym, że Cesarstwo i z dawna znienawidzeni Ternathianie mieli stanąć do walki ze wspólnym przeciwnikiem. Przecież Ternathia od zawsze stanowiła wroga. A jeśli nawet nie była państwem wrogim, to do tego statusu brakowało jej bardzo niewiele. Co więcej – od kiedy do władzy doszedł Chava, tradycyjna rywalizacja pomiędzy tymi sharoniańskimi imperiami stała się jeszcze bardziej gorąca i agresywna.

„Być może to nawet trochę niemądre z naszej strony” – zastanowił się Słoneczny Lord. – „A w każdym razie takie było na początku. Teraz przecież cała sprawa i tak toczy się już własnym życiem.”

Markan wiedział, że był o wiele bardziej wyrafinowanym człowiekiem niż większość Uromathian, wliczając w to nawet wielu arystokratów. Mimo swego wykształcenia i ogłady, dzielił jednak wspólnie ze wszystkimi rodakami poczucie... może nie do końca niższości wobec rywali, ale czegoś bardzo do niej zbliżonego.

Prawda wyglądała tak, że Uromathia nigdy nie zdołała pogodzić się z tym, iż Ternathia była o cztery tysiące lat starsza. Tajvana została stolicą Ternathii trzydzieści trzy stulecia temu, a Calirathowie opuścili ją dopiero niecałe trzysta lat temu. W czasie pomiędzy tymi dwoma datami ich imperium rozlewało się na wschód, aż po Góry Cerakondiańskie i po jezioro Arau na północy. Zatrzymało się w końcu na łańcuchu Gór Arau, wznoszących się w odległej, wschodniej części Chairifonu. Do Arau dotarło prawie dziewięćset lat temu i wtedy właśnie, po drugiej stronie gór natknęło się na drugie, niemal równe sobie potęgą państwo.

Tym drugim cesarstwem była właśnie Uromathia, kontrolująca całość terytoriów za górami Cerakondiańskimi i Arau na południe aż do Harkali. Jeśli chodzi o zajmowane obszary Uromathia była mniejszym państwem – jednak w kategorii liczby ludności, oba cesarstwa szły łeb w łeb. Uromathia jednak nie była aż tak starożytna. Powstała z mniejszych państweczek trzysta czy czterysta lat wcześniej, gdy ich władcy postanowili się zjednoczyć w obliczu zbliżającego się coraz bardziej ternathiańskiego giganta.

Przedtem żadnej Uromathii nie było. To dopiero nadejście Cesarstwa Ternathii stworzyło konkurenta. Przodkowie Markana byli zbyt zajęci toczeniem wojen i wzajemnym wyrzynaniem się w służbie niezliczonych królewiatek i książątek, by poświęcać szczególną uwagę pojęciu „cywilizacja”. Jednakże groźba pochłonięcia przez Ternathię działała cuda i najpotężniejsze uromathiańskie królestwa zaczęły podbijać słabszych sąsiadów z jeszcze większym zacięciem, chcąc przygotować się do odparcia ataku. Oczywiście powodowały nimi jedynie patriotyczne uczucia. Wybijając krewnych zabezpieczali przecież poddanych przed obcą okupacją. Żaden z

nich ani razu nie pomyślał o własnych, doraźnych korzyściach!

I udało im się. Stworzyli samodzielne i silne imperium jeszcze zanim Ternathia zapukała do ich drzwi. Swoje państwo oparli na zasadzie ściślejszej centralizacji niż sąsiedzi. Od początku tworzyli je z myślą o efektywnym zarządzaniu w czasie wojny. Tymczasem Ternathiańska biurokracja była produktem tysiącleci stopniowej ewolucji i okresowych reformatorskich skoków. Uromathianie dysponowali potężną siłą militarną, a dzięki mieszanym małżeństwom ich obywatele dziedziczyli już prawie wszystkie istniejące Talenty. Wszystko to razem sprawiało, że po dziś dzień stworzenie Cesarstwa Uromathii można było oceniać jako wielkie i wspaniałe osiągnięcie, z którego można było być dumnym. I Uromathianie byli dumni.

Jednak cechą, która rzucała się w oczy, jeśli ktoś przyjrzał się bliżej narodowemu charakterowi Uromathian było to, że wszyscy podejrzewali, iż pochod Ternathii nie zatrzymał się dlatego, że to Uromathia powstrzymała dziedziców Uskrzydłonej Korony, lecz dlatego, że to sami potężni sąsiedzi postanowili nie poszerzać dalejszych granic. Oba wielkie imperia koegzystowały ze sobą mniej lub bardziej pokojowo przez około sześćset lat, do momentu, w którym Calirathowie nie rozpoczęli swego długiego, stopniowego wycofywania się ze zbyt dalekich rubieży swego państwa. Przez cały ten czas wybuchły między sąsiadami jedynie trzy prawdziwe wojny. Wszystkie bez trudu wygrała Ternathia.

Ternathia, która nigdy nie podjęła próby podbicia Uromathii. Markan rozumiał, że Ternathianie raczej z rzadka powiększali swe cesarstwo na drodze podbojów, lecz Uromathianie nie pogodzili się z tym, że nigdy nie podbili sąsiadów. Cesarstwo Uromathii toczyło swe własne wojny. Dokonywało własnych wspaniałych czynów, lecz wszystko to działo się w cieniu okrytej chwałą Ternathii. Oba imperia nigdy nie były równe sobie. Dynastia Chavy Busara była już czwartym królewskim rodem władającym Uromathią. Calirathowie natomiast byli dopiero drugą rodziną władców w całej historii Ternathii, drugą i rządzącą nieprzerwanie przez ponad cztery tysiące lat. Ten fakt, też w żaden sposób nie poprawiał sytuacji. Uromathia znalazła się w sytuacji wiecznie słabszego, młodszego brata, któremu bardzo nie podobało się, że ten starszy traktuje go z pobłażaniem. Nawet wtedy – a może zwłaszcza wtedy, gdy starszy brat ani przez chwilę nie interesował się młodszym buntownikiem.

Coś z tego pozostało i dawało się odczuć nawet i dziś.

Oczywiście Fort Salby nie należał do Ternathii. Baza podlegała Zarządowi Portali, co – przynajmniej teoretycznie – oznaczało, iż kontrolowały ją różne państwa, a nie tylko jedno imperium. Fakt, iż Siły Zbrojne Zarządu Portali uznały za stosowne przyjąć ternathiańskie stopnie wojskowe, uzbrojenie, doktrynę strategiczną, a nawet krój mundurów sprawiał jednak, że wcale się tego nie czuło.

„Tym razem to jednak my byliśmy najbliżej, gdy trzeba było reagować” – pomyślał z

ponurą satysfakcją Markan. – „Szkoda tylko, że cesarz nie wydał nam bardziej szczegółowych instrukcji.”

Brak zdecydowania i ogólnikowość Chavy bez wątpienia wynikały po części stąd, że uromathiański władca nie do końca ufał sieci Głosów. W odróżnieniu od Zindela z Ternathii, Chava z Uromathii pozbawiony był jakiegokolwiek Talentu i żywił głębokie uprzedzenia wobec tych, którzy je posiadali. W związku z tym, mimo licznych dowodów na poparcie tezy przeciwnej, uważał, że Głosy Zarządu Portali łamali przysięgę poufności, gdy tylko sprzyjało to realizacji ich planów. A ich plany, oczywiście bez cienia wątpliwości były wrogie Chavie.

W tym konkretnym wypadku równie prawdopodobną przyczyną braku konkretnych dyspozycji ze strony cesarza mogła być jednak nie tyle paranoja władcy, co sama bezprecedensowa natura zagrożenia. Tak czy inaczej Markan nie czuł się w takich warunkach szczególnie komfortowo.

Słoneczny Lord niespecjalnie lubił Shurkhal – nie lubił pochodzących stamtąd ludzi oraz wywodzących się z tego kraju firm w rodzaju Konsorcjum Chalgyn. Owszem, w jego opinii cesarska nienawiść do wszystkiego co ternathiańskie była nieco przesadzona. Z drugiej jednak strony wiadomo było wszem i wobec, że Shurkhal, będące przez niemal trzy tysiące lat częścią Imperium Ternathii, uparcie trwało w swoim przywiązaniu do dawnych panów, wspierało ich interesy i popierało cesarską politykę zagraniczną, zamiast po odzyskaniu niepodległości wejść w bliższe stosunki ze znacznie bliższą geograficznie Uromathią. W konsekwencji nie czuł nigdy specjalnego współczucia ani żalu, gdy na pustynne królestwo spadały jakieś drobne nieszczęścia.

Potem okazało się, że w zaatakowanym przez obcych zespole badawczym pracowała Shaylar Nargra-Kolmayr. Markan nigdy nie miał okazji jej spotkać i nie żywił wobec niej żadnych osobistych uprzedzeń, choć jej wyczyny były według niego jawnym afrontem wobec tradycyjnej roli kobiety i nie był w tej opinii odosobniony. Przynajmniej nie w Uromathii. Nie był też zwolennikiem Zarządu, więc to, iż dyrektor Limana wykorzystywał osobę Shaylar w swych licznych kampaniach marketingowych także nie pomagał Markanowi w rozwinięciu wachlarza ciepłych uczuć w stosunku do kobiety.

Zarządu Portali nie lubił podobnie jak większość Uromathian. Jego niechęć do tej międzynarodowej instytucji nie była może aż tak zajadła, jak to było w przypadku wielu arystokratów z jego kraju, niemniej jednak była tak samo szczera. Nikt w Uromathii nie zapomniał, iż Zarząd powstał na życzenie Ternathii (zazwyczaj nazywane dyplomatycznie „propozycją”), która domagała się umiędzynarodowienia portalu Larakesh. Ani jeden Uromathianin nie zapomniał także, że wysiłki ówczesnego cesarza Uromathii na rzecz przejęcia kontroli nad portalem i tworzonym, międzynarodowym zarządem zostały storpedowane przez Ternathię, grożącą zbrojną

interwencją. Ponadto, to właśnie Ternathianalegała, by w radzie nadzorczej Zarządu zasiadali przedstawiciele wszystkich narodów, lecz żeby jednocześnie żaden z nich nie miał większej kontroli nad nim od innych. Owszem, Markan – gdyby go ktoś zmusił do odpowiedzi – przyznałby, że Ternathia nie kontrolowała Zarządu w większym stopniu od Uromathii. Niestety nie potrzebowała sprawować tej kontroli bezpośrednio. Nie potrzebowała, gdyż ten podobno „niezależny” zarząd i tak przyjął ternathiańskie wzorce w każdej sferze swej pracy od struktury firmy poczynając przez techniki prowadzenia eksploracji, po armię. Dyrektorzy Zarządu pewnie nawet podcierali się na ternathiańską modłę.

„Przestań” – ostro skarcił się w myślach. – „Znów pozwalasz ponieść się własnym uprzedzeniom!”

Prychnął niezadowolony. Garsal spojrział na niego pytająco. Markan pokręcił głową.

–Nic takiego. Myślałem o czymś Tarnal – wyjaśnił. – Po prostu myślałem o czymś.

Rozejrzał się ponownie dokoła.

Fort Salby zbudowano w miejscu, w którym na Sharonie znajdowałyby się Shurkhal. Stali teraz na płaskowyżu wśród surowych gór lthal, okalających zachodnie wybrzeże Shurkhal, nad Morzem Palca. W ich rodzimym wszechświecie leżało w tym miejscu – nad oazą – miasto Narshalla. Od wschodu jego granice wyznaczało rozległe pole lawy, a z pozostałych trzech, suche jak kość góry lthal. Tu w Traisum, w którym lasy nie zostały tak przetrzebione tysiącami lat ludzkiej aktywności, góry te były mniej suche niż ich odpowiedniki na Półwyspie Shurkhaliańskim. Markan nie nazwałby ich co prawda, „porośniętymi bujną roślinnością”, ale i tak wyglądały o niebo przyjaźniej niż pustkowia, w pobliżu którego urodziła się Shaylar Nargra-Kolmayr.

Mimo, że klimat był tu bardziej sprzyjający przeprowadzenie linii kolejowej z portalu wejściowego Traisum, otwierającego się na przybrzeżnej Równinie Sharthy, aż do Salby stanowiło tytaniczne przedsięwzięcie. W prostej linii Fort Galsar dzieliło od Fortu Salby tysiąc czterysta mil. Rzeczywisty dystans do pokonania, narzucany inżynierom przez ukształtowanie terenu wynosił co najmniej półtora raza tyle. Budowniczy, chcąc w drodze do portu promu kolejowego na południowym krańcu Morza Palca, ominąć niewygodny Płaskowyż Shartha, musieli przeprowadzić tory po obu stronach Rogu Ricathii. Także budowa kolei z zachodniego portu promu przez lthal nie była spacerkiem. Choć owszem, zdołali tam nadrobić trochę czasu, gdy kładli szyny na prostym i równym terenie wzdłuż wybrzeża, zanim trasa skręciła w głąb lądu, w stronę Fortu Salby.

Wyczyny inżynierów KTT napawały go – jak zwykle – najwyższym podziwem. Wrażenie robiło zwłaszcza to, że udało im się już ukończyć ponad połowę

wielotorowego mostu ponad Cieśniną Łez, łączącą Morze Palca z Zatoką Shurkhaliąską. Ozdobiona koralowcami i rafami, płytka i zdradliwa cieśnina w ich rodzimym wszechświecie, wymagała pogłębiania i poszerzania, by mogły tędy pływać większe statki. Tutaj most nad węższym, szerokim na dwie mile kanałem wschodnim był już niemal ukończony, a druga jego część, dłuższa o szesnaście mil na kanale zachodnim także znajdowała się już w zaawansowanej fazie budowy. Prace trwały na okrągło.

„Te wyścigi, które trwają wszędzie wzdłuż łańcucha” – pomyślał ironicznie Markan – „na pewno mają jakiś związek z opłatami, jakie KTT pobiera za nadgodziny. Ciekawe tylko, komu koleje wystawią rachunek?”

–Najlepiej będzie, jeśli ty dopilnujesz rozładunku. Ja poszukam regimentarza chan Skrithika – powiedział po chwili.

–Oczywiście. Dobrze, że nie mnie tam wysyłasz – mruknął Garsal cicho i na tyle niewyraźnie, że Markan mógł udawać, że nie słyszał. – Tak jest, Sir – dodał Wietrzny Lord już głośniejszym głosem i zasalutował.

–Dobrze – odpowiedział Markan i zszedł z platformy.

Okazało się, że „poszukam” nie było najtrafniejszym słowem.

Wysoki Ternathianin – „oni wszyscy są wysocy” – zauważył w myślach Markan – niemal natychmiast wyszedł mu na powitanie.

–Panie Koni – powiedział gospodarz prawie doskonałym uromathiańskim. – Witamy w Forcie Salby. Bardzo się cieszę, że pana widzę.

–Regimentarzu – odpowiedział po ternathiańsku Markan wyciągając prawą dłoń do tradycyjnego, ternathiańskiego uścisku. Swoboda z jaką chan Skrithik posługiwał się uromathiańskim zrobiła na nim ogromne wrażenie. Znał obcy język z pewnością lepiej, niż Markan mówił po ternathiańsku. Tym niemniej należało robić dobrą minę do złej gry. Uromathiański Pan Koni – i na dodatek Słoneczny Lord z urodzenia – nie mógł wyjść na mniejszego kosmopolitę, niż Ternathianin. Ciągnął więc po ternathiańsku i natychmiast zauważył, choć może bardziej wyobraził sobie, błysk rozbawienia w spojrzeniu chan Skrithika.

–Przybyliśmy jak najszybciej było to możliwe – powiedział Markan. – To niesamowite, w jakim tempie KTT załatwiło dla nas transport. Byli gotowi niemal natychmiast, gdy tylko otrzymaliśmy rozkazy.

–KTT zawsze się sprawdza w awaryjnych sytuacjach – zgodził się chan Skrithik. – Żeby niepotrzebnie nie owijać sprawy w bawełnę, pozwolę sobie powiedzieć, że choć szczerze cieszę się z waszego przyjazdu, to zdaję sobie sprawę, że stosunki

pomiędzy Ternathią i Uromathią zawsze były nieco napięte i nie spodziewam się, żeby pana uromathiańscy podkomendni byli bardziej odporni na tę tradycję od moich Ternathian. Chcę jednak podkreślić, że tym razem nie chodzi o Ternathię czy Uromathię, a o Sharonę. Dołożyłem już ze swej strony wszelkich starań, by żołnierze z mojego garnizonu dobrze sobie to zapamiętali. Witam więc pana w Forcie Salby jak jeden Sharonianin drugiego.

–Dziękuję – odparł Markan, zaskoczony tak otwartym postawieniem sprawy przez chan Skrithika. Spodobało mu się to. Ternathianin zachował się też taktownie stwierdzając, że „napięcie” w stosunkach istniało wyłącznie pomiędzy jego krajem a Uromathią. Gdyby w Forcie Salby witali go Arpathianie lub Harkalanie, też czuliby prawdopodobnie rozterkę i wahaliby się pomiędzy wymogami uprzejmości a ochotą by strzelić Markanowi w plecy przy pierwszej nadarzającej się okazji.

–To samo powiedziałem swoim żołnierzom – powiedział zgodnie z prawdą Słoneczny Lord. – Jestem jednak pewien, że kilka incydentów niestety się nam tu przydarzy. Moi oficerowie dostali jednak szczegółowe instrukcje postępowania w takich wypadkach i o każdym podobnym incydencie mają jako pierwszego informować pana, jako komendanta bazy i mojego przełożonego w ramach SZZP. Moi ludzie zostali także poinformowani, iż każdy wypadek złamania dyscypliny zostanie surowo ukarany dodatkowo według naszych wewnętrznych przepisów, już po tym jak wymierzona zostanie kara nałożona przez Zarząd. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

–Dobrze to słyszeć – zauważył chan Skrithik. – Nie wątpię, że potrafi pan utrzymać dyscyplinę wśród swoich ludzi i jestem pewien, że sprawnie rozwiążemy wszelkie ewentualne problemy.

–Też mam taką nadzieję – odpowiedział Markan i skłonił się lekko.

Nie dodał, że miał swój szczególny powód, by opowiedzieć chan Skrithikowi o wskazówkach dla oficerów. Stopień Markana odpowiadał ternathiańskiemu generałowi brygady, co znaczyło, że był od chan Skrithika starszy rangą. Ternathianin był jednak żołnierzem SZZP, a znajdowali się przecież w bazie Zarządu Portali. Co więcej cesarz Chava wydał Markanowi tylko jeden, jedyny konkretny rozkaz. Oficer miał za wszelką cenę unikać zachowań, które można by zinterpretować jako próbę wystąpienia przeciwko instytucjom i zwyczajom Zarządu. Markan dostał wyraźne polecenie podporządkowania się rozkazom chan Skrithika bez względu na różnicę szarż. Cesarz nie życzył sobie żadnych incydentów w terenie, zwłaszcza w momencie, w którym Konklawe nadal zastanawiało się nad politycznym rozwiązaniem sytuacji.

Markan uznał, że nie powinien szczegółowo wyjaśniać tego wszystkiego chan Skrithikowi. Ternathianin był inteligentnym człowiekiem, a płynność, z jaką posługiwał się uromathiańskim świadczyła o tym, że przynajmniej do pewnego

stopnia znał kulturę Uromathii. Zrozumie przesłanie Markana – zrozumie, że Markan będzie posłuszny nie tylko literze, lecz także duchowi rozkazów, które wyznaczały go jako podwładnego chan Skrithika.

– W takim razie Słoneczny Lordzie – powiedział Ternathianin po chwili – zajmijmy się zakwaterowaniem pańskich ludzi.

– Doskonały pomysł, regimentarzu.

* * *

– Najwyższy czas, cholera! – Hardar Jalkanthi wyraźnie się ucieszył, gdy sygnalizator poszedł w górę, a lampa zabłysła zielonym światłem.

– Trochę oglądy, Hardar – zaśmiał się Charak Tarku. – Z nas dwóch, to ja powinienem być tym nieokrzesanym barbarzyńcą.

Jalkanthi zachichotał. Starszy palacz Tarku trafiał do jego załogi niemal w każdym kursie. Niemniej, kiedy okazało się, że i teraz będą pracować razem poczuł nieskrywane zadowolenie. Rodacy przysadzistego, barczystego Aprathianina byli – biorąc pod uwagę tradycyjny, arpathiański stosunek do techniki – prawdziwą rzadkością w KTT. Jalkanthi jednak dobrze wiedział, że za fasadą szablonowego Arpathianina, którą Tarku pokazywał zazwyczaj całemu multiwersum, chowa się bardzo bystry umysł. Maszynista nie był co prawda pewien, z jakiego powodu Tarku tak się z tym krył i często go to irytowało, lecz współpracowali już ze sobą od prawie czterech lat. Było to na tyle dużo czasu, że między mężczyznami zdążyła narodzić się i utrwalić prawdziwa przyjaźń, której w niczym nie przeszkadzało to, że wywodzili się z zupełnie odmiennych od siebie światów.

– Zawsze myślałem, że Arpathianie, śmiertelnie niebezpieczni myśliwi i nomadzi są cierpliwi, jak mało kto – powiedział Jalkanthi, gdy obaj wspinali się po wysokich stopniach na pomost parowozu model Paladyn 20887.

– To legendy – Tarku machnął ręką. – Kolejny bezpodstawny mit, który wymyśliliśmy, żeby okryć się tajemnicą i aurą grozy.

– W takim razie, panie groźny i tajemniczy, czas już chyba zabrać się do pracy – zarządził Jalkanthi.

– Rozkazy, rozkazy, nic tylko rozkazy – mruknął z uśmiechem Tarku, po czym złapał za pionową poręcz i wychylił się, by spojrzeć za wewnętrzny tender 20887 i dalej poza węglarkę rezerwową o pojemności szesnastu tysięcy galonów, oraz za drugiego Paladyna i jego tendry, także doczepione do 20887.

– Widzisz go? – spytał Jalkanthi.

–Nie, nie widzę... A! Tam jest – Tarku wychylił się nieco bardziej z lokomotywy i pomachał ręką by pokazać zawiadowcy Sheltimowi, że go zauważył. Zawiadowca odmachnął, lecz zieloną flagę nadal trzymał nieruchomo pod pachą.

–No i...? – dopytywał się Jalkanthi.

–Nie popędzaj mnie. To jego wina – zauważył Tarku. – Jak Sheltim wreszcie zamacha tą swoją chorągiewką, to ci powiem.

Jalkanthi skrzywił się i postukał w szklany manometr. Tarku uśmiechnął się pod nosem. Jalkanthi wyciągnął zabluszczoną szmatę, którą starannie przetarł i tak już lśniąca, brązową dźwignię przepustnicy. Od zawsze czuł dumę na myśl o prędkości i mocy swego Paladyna, i lubił ją demonstrować. Dziś jednak miał dodatkowy powód do niecierpliwości.

Jalkanthi był Ternathianinem. Urodził się w mieście Garouoma w prowincji Narhath. Jego żona natomiast pochodziła z Shurkhal. Co więcej jej podobieństwo do zamordowanej Shaylar Nargry-Kolmayr było niekiedy aż przerażające. Jesmanar Jalkanthi-Ishar wyglądała właściwie jak nieco wyższa kopia zabitej kobiety. Jalkanthi miał inne korzenie, ale na tyle przesiąknął rodzimą kulturą żony, by czuć dokładnie tak samo silną wściekłość, jak wszyscy obywatele pustynnego królestwa. Co gorsza Jalkanthi urodził się z Talentem silnym akurat na tyle, by odbierać Głosowe przekazy USMS. Ostatni przekaz Shaylar obejrzał więc na własne oczy. Nie dbał o to, co postanowią głowy państw zebrane teraz na Konklawe. Wystarczała mu zdecydowana postawa cesarza Zindela. Bał się natomiast wszystkiego, co mogło skończyć się przekazaniem władzy Chavie z Uromathii. Teraz jednak nie miał czasu się nad tym wszystkim zastanawiać. Wiedział, jakiego życzy sobie losu dla bydłaków odpowiedzialnych za zmasakrowanie zespołu badawczego Konsorcjum Chalgin i z niecierpliwością czekał, aż wyruszy z pierwszym ładunkiem, który miał przyczynić się do zemsty Sharony.

Kiedy usłyszał, że zapadła decyzja o wysłaniu trzeciej dywizji dragonów do Fortu Salby, postanowił, że poruszy niebo i ziemię by osobiście poprowadzić ten pociąg. Był tak zdeterminowany, że zrobiłby wszystko co konieczne by dopiąć swego. Okazało się jednak, że nie musiał robić nic. Yakhan Chusał jasno zdawał sobie sprawę z tego, kto jest najlepszym maszynistą KTT. Więc przynajmniej...

–Zielona flaga! – oznajmił nagle Tarku.

–Wreszcie! – odparł Jalkanthi i naparł na przepustnicę.

Zasyczała para i ogromna, potężna lokomotywa zadrżała. Niczym żywą istotę przebiegł ją dreszcz. Dziesięć potężnych kół, z których każde było wysokie niemal na siedem stóp, potoczyło się z początku powoli po stalowych szynach, walcząc z

niewiarygodnie wielką bezwładnością pociągu długiego na dwie mile. Po chwili, za 20877 zasyczała i ruszyła druga, identyczna lokomotywa. Łączące stalowe koła belki, poruszyły się i wielki pociąg potoczył się naprzód. Jalkanthi wysunął łokieć za okno i wychylił głowę, by spojrzeć na potężną masę, którą ciągnął za sobą. Trzyście tysięcy ton, jak powiedział zawiadowca Sheltim. Niewielu ludzi było w stanie w to uwierzyć, ale tak wyglądała praca w KTT. Ta firma regularnie przerzucała tych rozmiarów – lub nawet większe – ładunki, wzdłuż żelaznych wstęg torów, które spinały ze sobą nieskończone wszechświaty.

Przed nimi widniało szerokie półkole Wrót Larakesh. Po drugiej stronie widział płaskowyż południowej Ricathii i gwarne miasto Unia.

Zawsze uważał, że nazwa Unia jest nieco głupawa. Po pierwsze Unia nie była niczym innym jak częścią Larakesh tyle, że znajdującą się w innym wszechświecie – w Nowej Sharonie. W chwili jego założenia, nowo powstały wówczas Zarząd Portali postanowił, że dobrym pomysłem będzie wybudowanie nowego, niezależnego, wolnego miasta, którego władarze nie będą odpowiadać przed żadnym z państw Sharony.

Od tamtej pory rzeczywistość uległa zmianie – wolne miasta powstały przy większości portali, wielkości tego w Larakesh – lecz Unia z kilku względów pozostawała przypadkiem szczególnym. Była nie tylko pierwszą osadą, jaką Sharonianie założyli w innym wszechświecie. Zarząd Portali na wniosek Harkali (choć mówiło się, iż sugestia miała swe prawdziwe źródło w Ternathii) przekazał Unii na własność bogate złoża złota z południowej Ricathii. Opłaty za użytkowanie i eksploatację tych pokładów miały stanowić główne źródło utrzymania Zarządu na przestrzeni następnego osiemdziesięciu lat, co uwolniło rządy powołujące Zarząd od konieczności wykładania wielkich sum na jego utrzymanie.

Jalkanthi wiedział, że dzięki temu uniknięto też sytuacji, w której państwa łożące znacznie więcej na Zarząd od innych miałyby też nieproporcjonalnie większy wpływ na jego radę nadzorczą. To właśnie było powodem, dla którego wierzył w plotki głoszące, jakoby plan powstał w Ternathii.

Tak więc, zamiast samodzielnie eksploatować złoża, Zarząd oddał prawa do wydobywania Unii w zamian za odpowiedni procent. W efekcie Unia była miastem wybudowanym wyłącznie w celu obsługi kopalni złota i pracujących w nich ludzi.

Niemniej, bez względu na to, jakie idee się za nią kryły, nazwa „Unia” była głupia. Tym bardziej, że eksploracja multiwersum przyniosła Sharonianom wiele korzyści, ale akurat nie zjednoczenie. Gdy Jalkanthi był jeszcze małym chłopcem, dziadek powiedział mu, że kiedy pojawił się portal Larakesh wielu ludzi miało nadzieję, iż teraz wreszcie nastąpi zjednoczenie całego świata. Starzec żywił nadzieję na restaurację Imperium Ternathiańskiego, jako światowego gwaranta wolności i sprawiedliwości,

który zostałby radośnie powitany przez kraje, którym kiedyś dobrowolnie zwrócił niepodległość i nowe państwa. Nie był w tym marzeniu osamotniony.

Niestety jednak, Sharonianie okazali się zbyt przywiązani do swych narodów i tradycyjnej tożsamości. Dziadek miał też sporo racji narzekając na Zarząd, który aż nazbyt dobrze spełniał swoje zadanie administracji portalami w imieniu wszystkich. Nie istniała więc potrzeba powoływania rządu światowego i Unia pozostała jedynie nazwą miasta, będącą w oczach ludzi pokroju dziadka Jalkanthiego, echem niespełnionej obietnicy.

„Może teraz to się jednak zmieni, dziadku. Znosi się nawet na to, że będziemy mieli swoje Imperium, dokładnie tak, jak tego chciałeś” – pomyślał Jalkanthi. Nieskończony pociąg, wagony pasażerskie, towarowe i platformy, na których podróżowały narzędzia wojny, toczył się jednostajnie naprzód. Gęsty, czarny dym bił z kominów obu Paladynów. Stalowe koła błyskały w słońcu. Wagony stukały, zgrzytały i piszczały ostrymi, raniącymi słuch dźwiękami. Gdy skład przyspieszył dźwięki przeszły w śpiew. Bufory grzmiały zderzając się na łączeniach szyn i zwrotnicach. Wjechali na główny tor.

Jalkanthi widział znajome elementy krajobrazu. Czoło jego lokomotywy przejechało już przez portal. W odróżnieniu od większości portali Larakesh i Unia mimo, że „dzieliło” je sześć tysięcy mil, znajdowały się w tej samej strefie czasowej. Tyle, że oczywiście w Larakesh była jesień, a w Unii panowała wiosna. Promienie słońca padały za portalem pod zupełnie innym kątem, bez względu na to, co sugerowały wskazówki zegarków. Jednak do tego wszystkiego Jalkanthi był przyzwyczajony. Bardziej przejmował się teraz przedostaniem się przez bocznice i tory dworca Larakesh Główny – największej i najbardziej ruchliwej stacji kolejowej w całym znanym multiwersum. Chciał już znaleźć się na pustkowiach Ricathii, gdzie będzie mógł otworzyć przepustnicę do końca.

„Już niedługo” – pomyślał, gładząc brązową dźwignię czule jak ciało kochanki. – „Już niedługo.”

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY

Sarr Klian próbował powstrzymać się od przekleństw. Nie było to łatwe.

–A więc mistrzu Skirvon – powiedział – z tego co rozumiem, to na mocy rozkazów od dwutysięcznika mul Gurthaka, zaraz po nawiązaniu kontaktu z obcymi, mam się zdać wyłącznie na pańskie umiejętności?

–Można to i tak ująć – odpowiedział starszy z dwóch cywilów, którzy tego ranka przybyli do fortu Kliana. – Oczywiście, pięćsetniku, nikt tu nie próbuje negocjować pańskiej władzy w sprawach o bardziej militarnym charakterze – dodał pośpiesznie, co ulżyło nieco frustracji Kliana. – Niemniej, jak sam pan przekonująco zasugerował w swoich raportach dla dwutysięcznika mul Gurthaka ważne jest, żeby z obcymi zaczęli wreszcie rozmawiać cywile – uśmiechnął się. – Ludzie bez mundurów, z teczkami w rękach sprawiają o wiele lepsze wrażenie niż faceci w mundurach wymachujący wojowniczo kuszami – zauważył.

–To prawda – powiedział Klian. Skirvon miał rację. Nie wydarzyło się nic, o co sam by nie prosił. Lecz z drugiej strony, z rozkazów mul Gurthaka wynikało, że Skirvon miał otrzymać decydujący głos, nawet w sprawach czysto wojskowych. To już Klianowi nie podobało się ani trochę. Poza tym – w Skirvonie i jego współpracowniku było coś, co oficera... zastanawiało. Nie był w stanie powiedzieć dokładniej, na czym to wrażenie się opierało, nie potrafił go nawet nazwać i miał nadzieję, że nie jest to tylko pokłosie osobistej złości, wywołanej ograniczeniem własnego autorytetu przez „prostego cywila”. Miał taką nadzieję, lecz pewności nie miał. „I szczerze, to nie wydaje mi się, żeby to o to chodziło” – pomyślał ponuro. – „W zasadzie” – spojrzał na kryształ zawierający rozkazy mul Gurthaka – „to jestem prawie pewien, że mój niepokój wywołał – poza tymi dwoma cywilami – ton rozkazów dwutysięcznika.”

–No cóż panowie – powiedział po chwili i podniósł wzrok na nowo przybyłych – na kiedy mam wam zorganizować transport? I jak licznej eskorty wam udzielić?

–Nie widzę w tej chwili powodu do zbytniego pośpiechu – odparł Skirvon. Brwi Kliana powędrowały ku górze i cywil wzruszył ramionami. – Mistrz Dastiri i ja wciąż studiujemy podręcznik języka obcych, który ułożyła magister Kelbryan. Na szczęście obaj mamy całkiem niezłe zdolności językowe – Dastiri nawet większe niż ja – ale mimo wszystko, kilka dni nauki więcej przed wyruszeniem w dalszą drogę nam nie zaszkodzi. Wydaje mi się, że skoro w tej chwili nie jesteśmy w bezpośrednim kontakcie z obcymi, to spokój okaże się lepszym doradcą niż pośpiech i gnanie na łeb na szyję bez przygotowania. To mogłoby mieć bardzo nieprzyjemne konsekwencje.

Klian skinął głową. Instynkt krzyczał w nim, że rozmowy powinny zacząć się jak najszybciej, ale argumenty Skirvona brzmiały przekonująco, w co najmniej dwóch punktach.

–A co do eskorty – ciągnął z namysłem Skirvon – nie jestem pewien, czy w ogóle będzie nam potrzebna. Jak dotąd obie strony reagowały wyłącznie zwiększając zaangażowanie wojskowych i mam wrażenie, że jeśli jako pierwsi wysłalibyśmy do rozmów dwóch nieuzbrojonych, cywilnych dyplomatów, to pomogłoby to nam rozładować nieco atmosferę.

Klian zmarszczył brwi. To, o czym mówił dyplomata nadal brzmiało rozsądnie, ale oficer tkwiący w pięćsetniku nie był specjalnie zadowolony na myśl o wysyłaniu do obcych, dwóch bezbronnych ludzi bez żadnej ochrony.

–A czy nie istnieje możliwość, że taki postępek – pójście do nich nawet bez symbolicznej straży – mogłoby zostać uznane za oznakę słabości? – spytał.

–Nie wszyscy padają z wrażenia na twarz, na widok uzbrojonego po zęby wojska – po raz pierwszy odezwał się Dastiri, młodszy z dyplomatów. – Nie wszyscy też interpretują nieobecność żołnierzy jako oznakę kapitulacji. W obecnej sytuacji, jak sądzę, powinniśmy z tym bardzo uważać. Tym bardziej, że jak sądzę wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło właśnie dlatego, że z obu stron kontaktem kierowali wojskowi, zbyt niechętnie ustępujący innym.

Klian poczuł jak jeżą mu się włosy na karku. Oczywiście nie miał pewności, że Dastiri chciał go obrazić. Niemniej jego ostatnie zdanie zabrzmiało, jak zabrzmiało.

–W przeciwieństwie do wrażenia, jakie mógł pan odnieść, mistrzu Dastiri – powiedział pięćsetnik równie chłodno, nie starając się nawet ukryć niechęci – nawet żołnierze nie zawsze rzucają się do ataku od pierwszych chwil znajomości i nie zawsze wymachujemy kuszą i mieczem na oślep. Jak wskazałem w swoim raporcie dla dwutysięcznika mul Gurthaka – który jak się spodziewam zarówno pan jak i mistrz Skirvon mieliście okazję czytać – zgadzam się z poglądem setnika Olderhana, że najrozsądniej byłoby wycofać się do Fortu Rycharn. Wtedy jednak dałem się przekonać setnikowi Thalmayrowi, czego teraz szczerze żałuję, zwłaszcza po tym co stało się z kompanią C w chwili ataku Sharonian. Ataku czy też kontrataku. Jestem stanowczo za każdym rozwiązaniem, które pomogłoby – jak pan to ujął – rozładować nieco atmosferę. Mam jedynie wątpliwości, co do tego, jak powinniśmy te działania zorganizować.

Dastiri oblał się rumieńcem. Spojrzenie jego migdałowych oczu stężało, lecz Skirvon położył mu dłoń na ramieniu i uśmiechnął się do Kliana.

–Przepraszam, jeśli słowa moje lub kolegi odebrał pan, jakbyśmy próbowali

pomniejszyć zasługi i pańską troskę, bądź Sił Zbrojnych, pięćsetniku. Oczywiście nie to było naszym zamiarem. Niemniej wydaje mi się, że mistrz Dastiri nie do końca się myli. Dwutysięcznik mul Gurthak zbiera wszystkie dostępne siły, które pozostaną do naszej dyspozycji. Jeśli będziemy potrzebować to możemy otrzymać silne wsparcie w przeciągu naprawdę krótkiego czasu. Póki taka potrzeba jednak nie zajdzie, to skłaniałbym się ku opcji przeprowadzenia kolejnego kontaktu bez udziału wojska. Przynajmniej na samym początku. W końcu – znów się uśmiechnął, lecz jego głos zabrzmiał żelazem – po to tu przybyliśmy. Nigdy bym panu nie narzucił sposobu przeprowadzenia operacji militarnej, choćby dlatego, że nie wiedziałbym jak się do tego zabrać. Ale z całym należnym panu szacunkiem, wydaje mi się, że jeśli chodzi o dyplomację, to mistrz Dastiri i ja mamy nieco większe doświadczenie od pana.

–Bez wątpienia – zgodził się Klian, choć w głębi duszy nadal nie był przekonany. Przecież Unia Arkany tak naprawdę nie potrzebowała dyplomatów przez ostatnie dwieście lat. Po zawiązaniu Unii tradycyjną, międzynarodową dyplomację zastąpili skuteczniejsi w zarządzaniu biurokraci. Choć „rozjemcy” byłoby lepszym słowem – urzędnicy dysponujący mocą wydawania wiążących decyzji i mający (przynajmniej w teorii) pełen dostęp do informacji z obu stron konfliktu. W całej Unii nie było już ani jednego „dyplomaty”, który choć raz siedziałby przy negocjacyjnym stole i rozmawiał z przedstawicielami obcej, suwerennej nacji. Nie mówiąc już o tym, że w tej konkretnej sytuacji rozmawiać należało z przedstawicielami zupełnie innej cywilizacji.

„Właśnie tego się obawiam” – zrozumiał. – „Ci dwaj mówią o dyplomacji i dyplomatycznych metodach postępowania, ale nie rozumieją, że tak naprawdę nie mają pojęcia, za co się zabierają. Wydaje im się, że mają pojęcie, co się tu dzieje i być może mają rację. Ale co się stanie, jeśli jednak okaże się, że są w błędzie?”

–Dobrze zatem – powiedział wstając zza biurka czym dał wyraźny sygnał do zakończenia spotkania. – Proszę dać mi znać, jeśli będę mógł dla panów cokolwiek zrobić. Gdy tylko uznacie, że czas ruszyć ku portalowi na bagnach, zorganizuję panom transport.

–Dziękuję pięćsetniku – uśmiechnął się Skirvon.

Dyplomaci wyszli i Klian usiadł z powrotem za biurkiem. Bawił się kryształem z rozkazami mul Gurthaka i zastanawiał się nad konsekwencjami.

Nie był nimi szczególnie zaskoczony. Może nie spodziewał się jedynie, że dwutysięcznik zareaguje tak błyskawicznie. Oczywiście nie było w tym nic złego, choć nie podobała mu się perspektywa otrzymania nowego przełożonego.

„Daj spokój Sarr” – napomniał się – „przecież mul Gurthak wyraźnie pisze, że pozostaniesz dowódcą Fortu Rycharn, cokolwiek by się nie działo. Chyba nie spodziewałeś się innego rozwoju wydarzeń?”

Nie, oczywiście, że się nie spodziewał. Z drugiej strony nie spodziewał się też, że zastąpi go dowodzący dwoma tysiącami Mayrkos Harshu.

„Dlaczego ze wszystkich oficerów w Arkanie padło akurat na Harshu?” – zapytał milczącej ściany swego gabinetu.

Dwutysięcznik Harshu szczylił się oczywiście znakomitymi referencjami, aczkolwiek cieszył się też w armii swego rodzaju szczególną reputacją, o czym dobrze wiedział i rozmyślnie ją podtrzymywał.

Otóż Harshu był reliktem minionych epok. Należał do tych oficerów, którzy cierpieli na skutek tego, że urodzili się w tak „nudnych” czasach. Uwielbiał to, co sam nazywał „prawdziwą, andarańską tradycją”, choć Klian osobiście uważał, że w rzeczywistości strażnikami tradycji byli ludzie w rodzaju Thankhara Olderhana. Tradycja w wydaniu Harshu przesiąknięta była świadectwami bitew i militarnej chwały, której tak niewiele można było zakosztować od dwustu lat, kiedy to powstała Unia. Oficer wydawał się nie dostrzegać jak wiele ta chwała kosztowała pieniędzy i ludzkich istnień. Być może nazywanie dwutysięcznika „gorącogłowym” było przesadą, ale Klianowi żadne lepsze określenie nie przychodziło do głowy. I to go właśnie martwiło.

„Trzeba też przyznać, że wszystko mu zawsze wychodzi” – niechętnie przypomniał sobie pięćsetnik. – „Być może jest zapatrzony w siebie, ale swej reputacji nie zdobył przecież siedząc na tyłku i wyglupiając się. Poza tym, mul Gurthak nie miał pod ręką żadnego innego, starszego oficera chyba, że sam ruszyłby się z miejsca i osobiście przejął dowodzenie. Swoją drogą to ciekawe pytanie. Dlaczego mul Gurthak nie przyjechał bliżej strefy kontaktu, skoro to on jest przecież osobiście odpowiedzialny za wszystko, co się tu dzieje?”

Klian zmarszczył brwi. Oczywiście mogły istnieć tysięczne powody, dla których mul Gurthak postanowił pozostać w Erthos. Przede wszystkim, tam miał lepsze linie komunikacyjne i mógł stamtąd mieć pieczę nad wszystkim, co mogło opóźnić realizację rozkazu wysłania wszystkich sił naprzód. Sądząc po dyspozycjach z kryształu, dwutysięcznik miał zamiar przerzucić do Fortu Rycharn, co najmniej pełną brygadę powietrzną – możliwe nawet, że dywizję. Ze wsparciem kawaleryjskim.

Brygadami powinni kierować dowodzący pięcioma tysiącami, a dywizją w normalnych warunkach dowodził, dowodzący dziesięcioma tysiącami. Niestety w tej chwili Arkana nie dysponowała w rejonie tak wysokimi oficerami. A była to chwila, pierwsza w całej historii Unii Arkany, w której jej armia stanęła przed ewentualnością otwartej wojny z nieznanym dotąd przeciwnikiem. Dlaczego więc oficer, na którym spoczywała odpowiedzialność za przebieg wydarzeń – nie mówiąc już o okazji dowodzenia najważniejszym manewrem militarnym w dziejach Unii – siedział na tyłach, wysyłając jedynie młodszego oficera by przejął dowodzenie w strefie

frontowej?

Klian założył ręce na piersi i odchylił się w krześle. Intensywnie myślał. Im dłużej się zastanawiał tym mniej mu się to wszystko podobało.

„Wpadasz po prostu w paranoję i to tylko dlatego, że on jest Mythalaninem” – zganił się. – „Nikt w końcu nie powiedział przecież, że zostanie w Erthos na zawsze, prawda? Harshu dowodzi tylko tymczasowo, mul Gurthak na pewno ruszy za nim i zmieni go jak tylko dopilnuje wszystkiego na tyłach.”

To wyjście wydawało się nawet bardziej sensowne niż gnanie na oślep do przodu. Stacjonując w Erthos, gdzie miał dobrze dobrany zespół współpracowników (nie mówiąc o bardziej rozwiniętej sieci brzęczków i smoków niż miałby w Forcie Rycharn) i to stamtąd lepiej było mu planować ruchy i rozmieszczenie wojsk. To zaś było o wiele ważniejsze – choć może nie przynosiło równie wielkiej sławy – od dowodzenia w pierwszym szeregu.

„Być może denerwuję się rzeczywiście dlatego, że jest Mythalaninem” – pomyślał Klian i pokręcił głową z cierpkim uśmiechem.

– „Przejmujesz się tym Harshu dlatego, że on ceni sobie to, co nazywa dawnymi, dobrymi czasami andarańskiej wojaczki. A zachowanie mul Gurthaka martwi cię właśnie dlatego, że on nie zachowuje się jakby cenił sobie te dawne dobre czasy. Zdecydowałbyś się na coś, Sarr.”

Skrzywił się i wyprostował na krześle. Bez względu na to, co planował lub czego nie planował mul Gurthak, Klian doskonale wiedział co powinien teraz zrobić.

Z logistycznego punktu widzenia podróż z Fortu Rycharn do Fortu Wyvern była koszmarem. Po wodach Mahritan pływały tylko dwa okręty nadające się do transportu wojska, z czego tylko jeden był przystosowany do przewozu smoków. Nawet i on zresztą mógł naraz zabrać na pokład jedynie dwa zwierzęta, a był to przecież jedynie ułamek sił, które zamierzał przerzucić mul Gurthak.

Istniał oczywiście sposób na ominięcie tych niedogodności, ale miał on swoją cenę. Żaden smok, nawet długodystansowy, ciężki smok transportowy, nie był w stanie przelecieć z Fortu Wyvern do Fortu Rycharn za jednym zamachem. Wszystkie smoki jednak – nawet krótkodystansowe zwierzęta bojowe – mogły przelecieć z Fortu Wyvern na długi przesmyk, łączący kontynenty Andary i Hilmar. Stamtąd mogły lecieć dalej na południe nad lądem, co pozwoliłoby im dolecieć do Fortu Rycharn w cztery dni, zamiast płynąć pięć.

Lot mogły opóźnić przerwy, przynajmniej jedna, podczas której smoki miałyby okazję zapolować. Hilmar w tym wszechświecie tętnił jednak zwierzyną, która nie znała smoków i można się było spodziewać, że okaże się – przynajmniej początkowo

– łatwym łupem. Wysłanie smoków drogą powietrzną pozwoliłoby mul Gurthakowi na przerzucenie ich naprzód w dowolnej ilości... mógł też wykorzystać ich zdolności transportowe. Średnich rozmiarów smok transportowy taki, jak Pazur Wichru mógł przenieść na grzbiecie pół plutonu piechoty wraz z ekwipunkiem, większe smoki były w stanie unieść dużo więcej, nawet bez pomocy specjalistów Korpusu Kwatermistrzowskiego i ich zaklęć.

Przy zastosowaniu odpowiednich zaklęć lewitacyjnych, dwa ciężkie smoki transportowe potrafiły pociągnąć platformę, na której mieściła się cała kompania piechoty wraz z personelem pomocniczym, uzbrojeniem i zaopatrzeniem wystarczającym na kilka dni działania. Oddziały kawaleryjskie zajmowały oczywiście więcej miejsca od piechoty, ale jeśli dowódca dysponował odpowiednią ilością zaklęć i platform, smoki były w stanie dostarczyć w pobliże nieprzyjaciela nawet ciężką kawalerię. Same czary nie należały do najprostszych w użyciu – nie dlatego, że były skomplikowane, lecz raczej dlatego, iż pochłaniały duże ilości energii i szybko ulegały rozładowaniu. Ten sam zasobnik, który mógł napędzać przez tydzień okręt wojenny był w stanie zapewnić energię zaklęciom lewitacyjnym jedynie na niecałe dwadzieścia cztery godziny. Z tego też powodu, platformy do transportu powietrznego zaopatrywano jednocześnie w kilka zasobników.

Jednak nawet przy zastosowaniu platform, przerzucenie sił tak licznych jak sugerowały to rozkazy z kryształu mul Gurthaka było poważnym przedsięwzięciem. Przedsięwzięciem, które musiało wymagać niewiarygodnej liczby smoków transportowych. Klian podejrzewał, że ich niedobory mogą okazać się tak samo hamującym czynnikiem jak niedostatek samych żołnierzy. Być może właśnie ta kwestia zatrzymywała mul Gurthaka w Erthos, z którego mógł sprawniej zorganizować sieć transportową wymagającą skorzystania z zasobów co najmniej tuzina wszechświatów. Ta liczba dobrze ilustrowała jak wiele kosztów pociąga za sobą pospieszne przerzucanie dużych oddziałów wojska.

Zapowiadało to również problemy dla samego Kliana. W rozkazach mul Gurthaka nie było słowa na temat powrotu smoków transportowych do Erthos. Dwutysięcznik chciał je pozostawić w Forcie Rycharn pod rozkazami dowodzącego dwoma tysiącami Harshu, na wypadek gdyby konieczne było rozpoczęcie działań bojowych. To także miało sens tylko, że Rycharn nie zostało zbudowane z myślą o utrzymaniu przez dłuższy czas takiej liczby ludzi i – co było jeszcze trudniejsze – tak wielu smoków.

Na szczęście smoki chętnie jadały ryby i mięso wielorybów a wody pomiędzy Fortem Rycharn i Fortem Wyvern były tak pełne ryb, jak cały kontynent zwierzyny. Cała flota rybacka Wyvern była już w drodze, by pomóc nakarmić wygłodniałe po przylocie smoki. Drugim szczęśliwym zbiegiem okoliczności było to, że przewiezienie wszystkich wyznaczonych przez mul Gurthaka wojsk wymagać będzie przynajmniej czterech fal smoków.

Według wstępnych zamierzeń dwutysięcznika – które bez wątpienia ulegną znacznym modyfikacjom, kiedy wreszcie żołnierzy dopadną twarde realia problemów logistycznych – w przeciągu przyszłego tygodnia w Rycharn miały się znaleźć dwa napady sił powietrznych i pierwszy batalion piechoty. „Napad” był formacją składającą się z trzech „lotów” po cztery smoki każdy (Klian nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego faceci z Sił Powietrznych nie stosują tych samych nazw jednostek co wszyscy). Oznaczało to, że Klian będzie musiał wymyśleć sposób wykarmienia dwudziestu czterech smoków bojowych z ich hiperaktywnymi metabolizmami. O żywieniu zwierząt transportowych, potrzebnych do przerzucenia ludzi Harshu naprzód teraz nawet nie myślał. Co gorsza – na mocy tych samych rozkazów, mul Gurthak przyśle cały trój napadowy „kieł” Sił Powietrznych – czyli trzydzieści sześć smoków bojowych – na przestrzeni trzydziestu dni. Niewykluczone też było, że zechce ich wysłać jeszcze dwa razy więcej.

Wykarmienie siedemdziesięciu dwóch smoków bojowych i ich obsługi naziemnej, samo w sobie stanowiło gigantyczne wyzwanie. Gdy Klian dodał do tego około dwieście smoków transportowych (i ludzi, którzy je obsługiwali) rozpoznawcze i bojowe gryfy, paszę dla jednorożców i wierzchowców ciężkiej kawalerii, nie licząc nawet samych żołnierzy piechoty, gigantyczne wyzwanie przeradzało się w przerażający problem. A oficer wiedział, że odpowiedzialność za wszystkie te „drobne obowiązki gospodarskie” spadnie wprost na jego własne barki.

„Nic dziwnego, że mul Gurthak woli siedzieć spokojnie w Erthos” – pomyślał i prychnął gniewnie. – „Stary drań świetnie zdaje sobie sprawę, w jaki koszmar mnie wpędza.”

Była to pierwsza weselsza myśl, jaka przyszła mu do głowy od momentu pojawienia się w jego gabinecie Skirvona i Dastiriego.

Nie miał wielkich nadziei na to, że przez następne kilka tygodni, pojawi się ich więcej.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY PIERWSZY

–Wyglądasz na zmęczonego – zauważył oschle regimentarz Namir Velvelig, odchylając głowę do tyłu by spojrzeć na niezwykle rosłego, młodego oficera, który właśnie zsiadł ze wspaniałego deresza rasy shikowr.

–Dziękuję, panie regimentarzu – odpowiedział młodszy kapitan chan Calirath, wyjątkowo uprzejmie. – W życiu bym się nie domyślił.

Wargi Velveliga uniosły się lekko. U twardego Arpathianina grymas ten stanowił odpowiednik wybuchu rubasznego śmiechu. Książę Janaki odwzajemnił uśmiech. Służył pod rozkazami Velveliga ledwie nieco ponad sześć miesięcy jeszcze zanim wysłano go do Nowej Uromathii, w odpowiedzi na prośbę kapitana Halitu o pomoc w obsadzeniu rozległych nowych rubieży, które zespoły Konsorcjum Chalgyn tak błyskawicznie poszerzały. Działo się to jakby w zamierzonych czasach – dwa miesiące temu – jeszcze zanim atak obcych rozpętał piekło. Przez te pół roku młody arystokrata nauczył się głęboko szanować, a nawet podziwiać niższego od siebie, przysadzistego regimentarza. W rewanżu Velvelig jasno stawiał sprawę własnego stosunku do Janakiego – traktował go na równi z innymi młodszymi oficerami... oczywiście w granicach rozsądku.

–Nie spodziewałem się pana tak szybko z powrotem, kapitanie – przyznał Velvelig nieco ciszej. Janaki oddał lejce adiutantowi i wszedł na drewnianą werandę budynku administracyjnego Fortu Raylthar.

„A nie!” – przypomniał sobie – „teraz to miejsce nazywa się przecież Fort Ghartoun.”

Nową nazwę zobaczył wjeżdżając przez główną bramę. Widniała na tablicy informacyjnej. Zastanawiał się, kto wpadł na ten pomysł. Znajac Velveliga mógł przypuszczać, że zna prawidłową odpowiedź. Regimentarz był – zgodnie ze stereotypem Arpathianina – twardy i nieulękły, ale pod grubą zbroją tych cech, krył się ciepły i wrażliwy człowiek.

Sam fort zbudowano w Nowej Ternathii po wschodniej stronie Gór Krwawego Nieba, ledwie dziesięć mil od pięknego, głębokiego Jeziora Śnieżnego Szafiru, około dwudziestu mil od legendarnej Żyły Krwawego Nieba – prawdopodobnie najbogatszego złoża srebra znanego człowiekowi. Odkrycie tego portalu miało uczynić Konsorcjum Fairnos niewyobrażalnie bogatym zaraz po tym, jak doprowadzona zostanie tu linia kolejowa z Fortu Salby. Portal i strzegący go fort znajdowały się na wysokości czterystu pięćdziesięciu stóp, lecz wyższe, pokryte zmarzliną szczyty pobliskich gór pomiędzy Ghartoun i Jezioro Śnieżnego Szafiru,

sięgały nawet dziesięciu tysięcy stóp. Zbocza gór były gęsto zalesione, dzięki czemu w Ghartoun nawet zimą nie brakowało wody. Mniej wysokie góry i wzgórza na wschód od fortu były natomiast suche i mniej gościnne. Janaki wolał zrównoważony klimat Fortu Ghartoun od wilgotnej pogody panującej w okolicy, w której stacjonował kapitan Halitu. O tak późnej porze roku temperatura spadała tu nocami poniżej zera, ale za dnia było przyjemnie, a powietrze było ostre i rześkie akurat na tyle, że skutecznie pobudzało i odświeżało organizm wychowanego w Estafel chłopaka. Przez ostatnie dwa tygodnie Janaki z wytęsknieniem czekał na okazję, żeby spędzić dzień lub dwa nad jeziorem. Uwaga Velveliga przypomniała mu jednak właściwą przyczynę jego powrotu do Ghartoun.

–Sam się nie spodziewałem, że ponownie zobaczymy się tak szybko, panie regimentarzu – powiedział i widocznie spoważniał.

– Ale ostatnio bardzo często dzieje się coś nieoczekiwanego, prawda?

–Owszem, kapitanie – zgodził się Velvelig. Przytrzymał na Janakim spojrzenie przez kilka sekund, po czym wskazał głową budynek. – Zapraszam do siebie.

–Tak jest.

Janaki poszedł za Velveligiem do wewnątrz. Przebyli krótki korytarz i weszli do gabinetu regimentarza. Młodszy żołnierz zamknął za sobą drzwi i stanął na baczność. Velvelig pokręcił jednak niecierpliwie głową.

–Dajmy pokój tym nonsensom – powiedział zdecydowanie. Proszę się uważać za już zameldowanego.

–Tak jest. Dziękuję, panie regimentarzu.

–Tylko nie zaczynaj mi teraz dziękować – prychnął Velvelig. Janaki otworzył szerzej oczy. Regimentarz skrzywił się i usiadł na stojącym za biurkiem, obrotowym krześle.

–Czy mogę zapytać, z jakiego powodu nie powinienem panu dziękować? – spytał po chwili młodszy z mężczyzn.

–Dlatego, że jestem pewien, że miałeś nadzieję na jedno lub dwudniowy odpoczynek przed wyruszeniem w dalszą drogę do Failcham.

–No tak – Janaki skinął powoli głową. – Rozumiem, że nie ma na to szans?

–Dobrze rozumiesz... wasza wysokość.

Brwi Janakiego powędrowały ku górze. Velvelig oparł się wygodniej i westchnął.

–Janaki, ja pamiętam, że kiedy zgłosiłeś się do mnie osiem miesięcy temu obiecałem ci, że będziesz traktowany na równi z innym – zaczął – i generalnie sędzę, że to był dobry pomysł. Nawet i teraz. Nie jestem Ternathianinem, ale zawsze uważałem, że wasza tradycja, według której następca tronu powinien mieć wojskowe doświadczenie – realne, praktyczne wojskowe doświadczenie – to bardzo rozsądny obyczaj. Dlatego zresztą wysłałem cię do Nowej Uromathii, gdy tylko okazało się, że Halifu potrzebuje posiłków. Ale spodziewam się, że sam rozumiesz, iż na przestrzeni ostatniego miesiąca zaszły pewne zmiany.

Urwał i przechylił głowę na bok. Janaki wzruszył ramionami.

–Oczywiście, że rozumiem panie regimentarzu – powiedział cicho. – Rozumiem też, dlaczego to mnie powierzono misję odeskortowania tych jeńców na tyły. Nie mówię, że mi się to podoba, ale rozumiem. Natomiast, za pozwoleniem mam wrażenie, że pan ma na myśli coś bardziej konkretnego.

–To prawda – Velvelig obrócił się z krzesłem w bok na tyle, że mógł wyjrzeć przez okno na dziedziniec Fortu Ghartoun. – W twoim plutonie nie ma Głosu, prawda? – zapytał.

–Nie, panie regimentarzu – odpowiedział Janaki, zaskoczony nieco pytaniem. – Kapitan Halifu zastanawiał się, czy ze względu na obecność tych jeńców nie przydzielić nam telepaty, ale brakuje ich w całym łańcuchu, zwłaszcza teraz, kiedy tyle operacji toczy się naraz. Nie miał więc tylu wolnych Głosów, żeby tak beztrudnie nimi dysponować. Poza tym, podróżował z nami Darcel Kinlafia, więc dopóki nie poszedł... przodem to mieliśmy kontakt ze światem.

–Wiem – Velvelig zaśmiał się cicho – Kinlafia był tu w zeszłym tygodniu. Gnał, jakby ktoś podpalił ogon jego konia. Sam zresztą też wyglądał jakby coś mu się paliło! Nie zatrzymał się nawet na tyle, by napić wierzchowca – regimentarz zdawał się z wielką uwagą przyglądać czemuś, co działo się na placu za oknem. – Najwyraźniej strasznie mu się spieszyło. Miał od ciebie jakiś dokument, jeśli się nie mylę.

–Tak jest, panie regimentarzu. Ja... no cóż. Wydawało mi się, że to ważne, żeby jak najszybciej złożył w Sharonie osobisty raport.

–Ach tak, więc to wyłącznie twoja sprawka? – Velvelig oderwał wzrok od okna i spojrzał z powrotem na księcia. – No cóż, może i słusznie zrobiłeś. Mi jednak chodziło o to, że po wyruszeniu z Brithik nie utrzymywałeś zbyt częstego kontaktu ze światem i nie znasz najświeższych wiadomości z domu?

–Nie, nie bardzo.

Długi marsz z Fortu Brithik zajął im niemal trzy tygodnie. Udało się przebyć ten dystans w tak krótkim czasie (wolniej szli dopiero w górach pomiędzy Brithik a

Salby) ponieważ Janaki zostawił za sobą większość rannych jeńców. Drugim powodem było to, że pomiędzy Brithik i Fortem Ghartoun położono już drogi z prawdziwego zdarzenia. Przy tych drogach, niczym paciorki na sznureczku, przycupnęły małe miasteczka – zazwyczaj składające się z kilku prymitywnych chat skupionych wokół należących do Zarządu Portali stacji wymiany koni lub posterunków Głosów. Kiedy wracał z jeńcami, większość z nich była już opuszczona przez mieszkańców, wyjąwszy oczywiście stały personel Zarządu.

Aczkolwiek, mimo że większość rannych pozostała w Brithik, nadal prowadził ze sobą sześć wozów szpitalnych. Wybrał ten sposób transportu, ponieważ zdobycie wierzchowców dla każdego z jeńców byłoby dużo bardziej skomplikowane, nie mówiąc już o dodatkowych kwestiach bezpieczeństwa, jakimi musiałby się wtedy zająć. Jeden konny żołnierz z karabinem Model 10 w gotowości był z powodzeniem w stanie przypilnować wozu szpitalnego pełnego jeńców, z których żaden nie mógł w tej sytuacji próbować indywidualnej ucieczki. Skoro zaś zdecydował się zabrać ze sobą te wozy, to musiał wziąć też dowodzącego setką Thalmayra.

Przed wyjazdem nie uśmiechało mu się to wcale z kilku powodów. Jednym z nich był fakt, iż nadal uważał, że to arkaniański idiota jest osobiście odpowiedzialny za doprowadzenie do masakry swych własnych ludzi. Janaki miał dużo czasu by przemyśleć dokładnie to, czego dopuścił się Thalmayr i im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w opinii, że obcy oficer jest skończonym głupcem. Nawet biorąc pod uwagę to, że nie miał prawa wiedzieć, jak działa broń kapitana chan Tesha. Janaki był przy tym też na tyle uczciwy, by przyznać się przed sobą, że niechęć do Thalmayra wynikała z tego, że obcy w swym obecnym stanie niepokojąco przypominał żywego trupa. Podkapitan Yar „wyłączył” go zupełnie i młody oficer nie przypuszczał nawet, jak... upiorne wrażenie wywoływać będzie całkowicie pozbawiona wyrazu twarz o pustym spojrzeniu.

Niestety, młodszy kapitan chan Rodair, Uzdrowiciel z Fortu Brithik nalegał, by Thalmayr został odtransportowany do Fortu Raylthar. Zbadał Arkanianina i stwierdził, że jego paraliż mógł mieć swe źródło jedynie w nacisku na rdzeń kręgowy, a nie w jego faktycznym naruszeniu czy zerwaniu. Jeśli miał rację, to Arkanianin po interwencji chirurga miał jeszcze szansę chodzić. Chan Rodair chirurgiem nie był. Był nim natomiast kapitan Golvar Silkash, lekarz Velveliga. Skończył odpowiednie szkoły, a co więcej cieszył się znakomitą renomą. Z kolei asystent Silkasha, młodszy kapitan Tobis Makree był dodatkowo obdarzony silnym Talentem. Biorąc to wszystko – a zwłaszcza niecodzienną kombinację Talentu i umiejętności chirurgicznych Makree – pod rozwagę, chan Rodair zasugerował, że to właśnie w Raylthar Thalmayr miał największe szanse na dojście do zdrowia.

Osobiście Janakiemu nie za bardzo zależało na tym, czy Hadrign Thalmayr kiedykolwiek odzyska władzę w nogach, czy też nie. Nie podobało mu się to, ale nie miał zamiaru okłamywać samego siebie i przypisywać sobie fałszywej troski.

Niemniej, do jego obowiązków należało między innymi dopilnowanie, by jeniec otrzymał jak najlepszą opiekę medyczną, na jaką było ich stać. Nawet, jeśli ów jeniec wykazał się wcześniej jednym z dwóch niewybaczalnych grzechów każdego oficera – kardynalną głupotą. Tak więc – nieco wbrew sobie – przywiózł Thalmayra do Fortu Ghartoun.

–Ostatnio otrzymałem nowe wiadomości jakieś... osiemnaście dni temu – powiedział. – Czy wolno spytać dlaczego to, że nie byłem w stanie robić tego częściej, stał się nagle tak istotny?

–Dlatego – powiedział z uśmiechem Velvelig – że jakieś dwanaście dni temu, twój ojciec wściekł się na Konklawe i był łaskaw poinformować zgromadzone tam szanowne głowy państw Sharony, że siedzą sobie z palcami w tyłkach, podczas gdy ktoś strzela do ich poddanych. Pozwolił sobie też zasugerować, że być może istnieją poważniejsze kwestie niż prawa do połowów ryb na Sharonie. I zasugerował to, by tak rzec, z pełną mocą. Jeśli chcesz usłyszeć na własne uszy to mój Głos może to dla ciebie odtworzyć.

–Och... rany – jęknął po chwili Janaki. Velvelig – najwyraźniej nie zważając na stereotyp Arpathianina – roześmiał się w głos widząc minę księcia.

–Plotki o gorącej krwi cesarza słyszałem już przedtem – powiedział regimentarz kręcąc głową, kiedy już przestał się śmiać – ale okazuje się, że nie dorównywały jednak rzeczywistości.

–Ojciec jest jednym z najcierpliwszych ludzi we wszechświecie... dopóki otaczający go ludzie przynajmniej próbują robić, co do nich należy – odparł Janaki. – Siebie samego traktuje w tych sprawach jeszcze surowiej niż innych. Ale niech bogowie mają w swej opiece tego, kogo Zindel zacznie podejrzewać o bumelanctwo, czy uchylanie się od odpowiedzialności.

–Też odniosłem takie wrażenie. W tym konkretnym wypadku, według telepatycznych relacji USMS, miał wszelkie prawo zachować się właśnie tak, jak się zachował. Wydaje się też, że poparła go większość uczestników Konklawe. I właśnie dlatego został wyznaczony na pierwszego planetarnego cesarza Sharony.

Janaki przez chwilę patrzył w milczeniu na regimentarza. Od początku spodziewał się, że jego ojciec – jak i cała dynastia – odegra ważną rolę na Konklawe i w całym kryzysie bez względu na decyzje podjęte w Tajwanie. Ani przez chwilę jednak nie spodziewał się czegoś takiego.

Przez kilka chwil wiadomość po prostu nie chciała mu pozwolić objąć się rozumem. Po chwili jednak dał za wygraną i pierwszą myślą Janakiego było, że na całej Sharonie nie można było znaleźć człowieka bardziej nadającego się na to stanowisko

niż Zindel chan Calirath. Druga myśl nasunęła się taka, że sam okazał się wyjątkowo mało lotną osobą nie przewidziawszy takiego rozwoju sytuacji, trzecia myśl natomiast napełniła go zimnym strachem. Zrozumiał bowiem, kto będzie pewnego dnia musiał odziedziczyć tę schedę po ojcu.

„Być może właśnie dlatego, że zwykłego strachu nie brałem nawet takiej możliwości pod uwagę” – pomyślał.

Velvelig przyglądał się jak barczysty młodzieniec rozważa konsekwencje świeżo zasłyszanej informacji i spodobało mu się to, co widział w jego oczach. Niewielu ludzi zdałoby sobie sprawę z tego, co naprawdę oznaczają rozszerzone źrenice Janakiego chan Caliratha. Velvelig to wiedział, a jego domysły potwierdziły jeszcze opadające o ułamek cała ramiona prostującego się młodego oficera i jego głębokie westchnienie.

–To... muszę to jakoś przetrwać, panie regimentarzu – powiedział w końcu książę.

–Poczekaj, poczekaj, to jeszcze nie wszystko, dalej robi się jeszcze bardziej ciekawie – oznajmił Velvelig. – Kandydatów na to stanowisko było dwóch. Twój ojciec i... Chava Busar.

Rozszerzone jeszcze przed momentem oczy, teraz zwężyły się gwałtownie i wystygły, patrzyły wręcz lodowato. To też niezmiernie Velveliga ucieszyło. Niewielu było arpathiańskich septów, którzy nie czuli, że mają bardzo na pieńku z cesarzem Chawą, a septowie ze szczepu Velveliga – czy raczej z tego, co z jego szczepu zostało – kultywowali pamięć o tym, co oni sami „zawdzięczali” dynastii Busar. Było to jednym z powodów – choć Janaki nigdy tego od swego dowódcy nie usłyszał – dla których Namir Velvelig tak bardzo ucieszył się widząc młodszego kapitana chan Caliratha zgłaszającego się na służbę do jego oddziału.

–Rozumiem. Może z tego jeszcze wyniknąć coś paskudnego – powiedział po chwili Janaki. – Niemniej, było to jak przypuszczam, nieuniknione. Kto inny mógł być kontrkandydatem ojca?

–Ciężko było go nawet nazwać „kontrkandydatem” – sprzeciwił się Velvelig. – Z tego co wiem z przekazów – a pamiętajmy, że mają one już tydzień – twój ojciec zwyciężył prawie jednogłośnie. Chava nawet się do niego nie zbliżył. Niestety Uromathianin nie uznał decyzji Konklawe i oznajmił, że nie jest ona dla niego wiążąca. Co – biorąc pod uwagę, że udział w Konklawe jest zupełnie dobrowolny – nie było takie znów bezpodstawne – przyznał niechętnie regimentarz.

–To znaczy, że kategorycznie odmówił uznania wyników głosowania?

–Niezupełnie. Przedstawił jednak niewiarygodnie długą listę warunków, od których spełnienia uzależnił samo choćby rozważenie tego, czy „podda świętą suwerenność Uromathii pod rozkazy obcej korony”. – Oficer się skrzywił. – Konklawe rozważa je

teraz wszystkie po kolei. Osobiście to nie wydaje mi się, że je spełnią, ale Chavie zależy chyba przede wszystkim na przeciągnięciu sporu w nieskończoność.

–Ale któreś z tych żądań na pewno spełnią – powiedział ponuro Janaki. – Może Chava i lubi chować głowę w piasek i może woli umrzeć, niż ustąpić mojemu ojcu, ale reszta Konklawe nie składa się z głupców.

–Też tak sędzę – zgodził się Velvelig. – Możliwości są tylko dwie: albo spełnić kilka jego warunków, albo wdać się w długą, wyniszczającą wojnę pomiędzy Uromathią a resztą planety. Podejrzewam, że będzie naciskał, żeby ustąpić mu tylko w dwóch czy trzech punktach. Nie muszę ci chyba mówić, że z pewnością będą to te punkty, które w jego mniemaniu najskuteczniej ograniczą władzę Zindela nad Uromathią.

Janaki skinął głową i Velvelig wzruszył ramionami.

–Dlatego właśnie Janaki nie odpoczniesz sobie tutaj – powiedział cicho. – Uwolnię cię od reszty rannych i dam ci dodatkowych ludzi do wozów szpitalnych. W ten sposób będziesz mógł szybciej wieźć zdrowych jeńców. Chcę żebyś dotarł do Sharony tak prędko jak to tylko możliwe. Nie wiemy co planuje Chava i w tej sytuacji możesz okazać się niezwykle potrzebny ojcu – spojrzał na młodszego oficera ze współczuciem. – Obawiam się, że dni w mundurze masz już za sobą. Teraz już nie możemy pozwolić, żeby cokolwiek ci się stało.

Janaki chciał zaprotestować. Otworzył usta i urwał, gdy przez odległy zakamarek jego umysłu przetoczyło się echo Przebłysku, który ukazywał mu Kinlafię i Andrin. Wizja była nadal frustrująco niejasna – prawdopodobnie dlatego, że sam nie był jednym z jej bohaterów. Echo to zostało jednak w jakiś sposób pobudzone tym, co powiedział Velvelig. To było pewne, choć nadal nie stanowiło żadnej konkretnej wskazówki. Poza tym – Velvelig miał absolutną rację. Akceptowalny poziom ryzyka, jakie mógł podejmować dziedzic Uskrzydłonej Korony w czasie pokoju nie był taki sam, jak w czasie wojny. Teraz Janaki był przede wszystkim człowiekiem, który mógł stać się dziedzicem tronu całej Sharony.

–Rozumiem, panie regimentarzu – powiedział w końcu. Zadowolony Velvelig skinął głową. W głębi źrenic Janakiego zobaczył iskry buntu, ale widział także wspólne wszystkim Calirathom poczucie obowiązku, górujące nad wszystkimi innymi uczuciami.

–Wiedziałem, że zrozumiesz – przyznał cicho regimentarz. Sam zresztą uważam, że to ogromna strata. Bez względu na wszystko dobre, co może jeszcze z tego wyniknąć. To znaczy – strata dla wojska. Są ludzie, którzy mundur po prostu noszą nie mając pojęcia, co to, tak naprawdę oznacza. Ty rozumiałeś to doskonale już w chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Według mnie byłbyś naprawdę znakomitym żołnierzem.

–Takie słowa z pańskich ust to naprawdę dla mnie wielki zaszczyt, panie regimentarzu – odpowiedział Janaki, znów zaczerpnął głęboko powietrza, po czym wstał. – Za pozwoleniem panie regimentarzu, pójdę i poinformuję swoich ludzi, że nie zatrzymujemy się tu na dłużej. Chciałbym, żeby przynajmniej wykąпали się w gorącej wodzie i zjedli coś porządnego zanim wyruszymy w dalszą drogę.

–Oczywiście – powiedział Velvelig także podnosząc się z miejsca, po czym wyciągnął dłoń nad biurkiem. – Powodzenia, wasza wysokość. Mam nadzieję, że nie będzie pan mieć nic przeciwko by niewierny Arpathianin spędził kilka godzin w nocy modląc się za pana i pańskiego ojca? – uśmiechnął się krzywo. Księżę mocno uściśnął jego dłoń.

–Na pewno nie zaszkodzi, a może się jeszcze okazać, że obaj bardzo będziemy takiej pomocy potrzebować – powiedział.

* * *

Młodszy zbrojny Hart Loumas siedział w cieniu rzucanym przez niewielką, płócienną plandekę, i próbował nie zwracać uwagi na buczące mu koło uszu owady. Powtarzał sobie, że nie mógł wymigać się od tego zadania, mimo że wiązało się ono z odpieraniem natarcia rojów szczególnie zajadłych insektów. Nie mógł, a w każdym razie nie powinien. Tak czy inaczej wiedział, że większość jego kolegów z SZZP chętnie zamieniłaby się z nim miejscami. Choćby dlatego, że mógł siedzieć w cieniu, a upał był przecież potworny. Rozumiał to i kiedy się nad sprawą dłużej zastanowił, zaczął doceniać swoją sytuację. Doceniał ją jednak tylko na poziomie umysłu. Na wszystkich pozostałych poziomach bardzo mu się tu nie podobało. Między innymi dlatego, że mimo cienia pocił się jak mysz.

Rzucił okiem na zegarek, po czym zamknął oczy i wczuł się w swój Talent. Jak na Kreślarza miał wyjątkowo dobry zasięg, lecz i tak nie Widział dalej niż na cztery mile. Co więcej, sięgając Talentem na ponad dwie mile, musiał zachowywać ścisłą koncentrację, zwłaszcza jeśli chciał być w stanie odróżnić ślady ludzkiej energii życiowej od tych, które emitują inne zwierzęta. Przeczesanie całego terenu, który Widział ze swego posterunku zajęło mu dobre dwadzieścia minut. Sporą połąć terenu zasłaniał mu łuk portalu. Żaden Talent nie działał przez portale, więc i on – jeśli chciał Obejrzeć las po jego drugiej stronie musiał obejść go dokoła. Dlatego właśnie siedział tu z Tairsalem chan Synarchem, starszym Błyskaczem kompanii kapitana chan Tesha. Ich posterunek wysunięty był jeszcze poza opatrzone workami z piaskiem gniazda strzeleckie i poza główne zasieki i umocnienia, które chan Tesh kazał zbudować we Wrotach Piekieł. Na drugą stronę portalu – tę zasłoniętą przez jego łuk – mogli się dostać piechotą w przeciągu piętnastu minut.

Gdyby zauważyli cokolwiek, chan Synarch przeszedłby do Wrót Piekieł i prawie natychmiast Błysnął wiadomości do chan Tesha i kapitana Halifu.

Loumas i chan Synarch zmieniali pozycję co godzina, za każdym razem przechodząc na drugą stronę portalu w tym samym wszechświecie. W ten sposób mieli pod kontrolą teren w promieniu pełnych trzystu sześćdziesięciu stopni. Szczerze mówiąc było to piekielnie nudne zadanie. Żołnierze wiedzieli jednak, że innej możliwości nie było. Nikt nie miał pojęcia skąd mogli nadciągnąć wrogowie, którzy samych siebie nazywali „Arkanianami”. Kapitan Arthag przeprowadził rozpoznanie na odległość piętnastu mil w każdą stronę, lecz nie znalazł najmniejszych śladów ludzkiego osadnictwa. Stracił przy tym jednego żołnierza i dwa konie. Krokodyle. Chan Tesh postanowił wtedy, że nie ma sensu prowadzić kolejnych zwiadów i narażać ludzi. Żaden oficer wart swego stopnia nie lubił tracić podkomendnych na darmo. Poza tym jasne było, że gdyby w ogóle istniały jakieś ślady mogące doprowadzić ich do obcych, to znaleźliby je w tym już zbadanym, trzydziestomilowym kole. Oficer nie chciał też wysłać Arthaga i jego ludzi zbyt daleko od fortyfikacji, jakimi opatrzył sam portal.

Z nudów Loumas zaczął się zastanawiać czy w pogłoskach o latających zwierzętach mogło tkwić jakieś ziarno prawdy. Sam nie był pewien, skąd się one wzięły. Arkaniańscy jeńcy zostali przecież wszyscy odesłani na tyły, żeby uniemożliwić wszelkie ewentualne próby odbicia. Loumas wolałby, żeby przynajmniej kilku zostawiono tu. Dzięki temu żołnierze mogliby zacząć poznawać ich język i przeprowadzić w końcu tak potrzebne przesłuchania. Z drugiej strony rozumiał, jak cennym źródłem informacji wywiadowczych byli jeńcy i nie dziwił się kapitanowi chan Teshowi ani kapitanowi Halifu, że mieli na uwadze przede wszystkim bezpieczeństwo obcych.

Tych nedorzecznych opowieści o wielkich, skrzydlatych stworzeniach nie rozpowiedział więc żaden z jeńców i Loumas nie miał pojęcia, w czyjej głowie powstały.

„Pewnie wymyślono je z nudy i niewiedzy. Przecież my nic o nich nie wiemy – oczywiście poza tym jednym, że mają cholernie niebezpieczną broń” – pomyślał.

Prychnął chcąc samemu sobie dodać wesołością otuchy. Wyszło mu to jednak zdecydowanie za bardzo lękliwie. Uświadomił sobie, że druga strona również nie wiedziała niczego o Sharonie i możliwościach broni jej mieszkańców. Wystarczającym tego dowodem był sposób, w jaki starali się bronić portalu. Nawet to jednak nie stanowiło dla niego – ani dla nikogo innego – szczególnej pociechy. W końcu stali w obliczu samych niewiadomych. Co więcej, obcy swój obóz na bagnach wybudowali w jakiś niezmiernie, niezrozumiały sposób. Nie było tu przecież niczego, żadnej drogi, ani przystani. Nic.

„Całe szczęście, przynajmniej nie będą w stanie podkraść się niezauważeni do naszych pozycji” – powtórzył w myślach z przekonaniem. – „Może to i nudna służba, ale jestem pewien, że...”

Myśli Loumasa prysnęły, a mięśnie zesztyniały w jednej chwili. Skupił się jeszcze bardziej i zaklął na głos.

„Cholera! Szkoda, że nie ma z nami Dalekowidza” – pomyślał.

Jego Talent pozwalał mu dostrzegać żywe istoty, ale to, co Widział niemal zawsze było... zanieczyszczone. Same stworzenia były widoczne wyraźnie ale to, co akurat robiły, a także ich otoczenie było bardzo często trudne do określenia. Mniej więcej w połowie wypadków musiał domyślać się, na co tak właściwie patrzy i jak większość Kreślarzy był w tym dobry. Domyślać się jednak można było wtedy, gdy patrzyło się na rzeczy, istoty czy wydarzenia znajome, spodziewane, a kto do cholery mógł przewidzieć cokolwiek w odniesieniu do obcych? Gdyby miał ze sobą Dalekowidza mógłby podać mu odpowiednią odległość i kąt patrzenia, po czym Dalekowidz Zobaczyłby wyraźnie co tam się dzieje.

Loumas zamknął oczy, skupił się mocniej i potrząsnął chan Synarcha za ramię.

–E? – ocknął się żylasty żołnierz. Poderwał głowę. Jego wzrok natychmiast nabrał ostrości i zwrócił się pytająco na Loumasa.

–Mam kontakt – powiedział szorstko Loumas. – To chyba jakaś mała łódź. Zbliża, się od wschodu.

Chan Synarch skinął głową, sięgnął do obszernej kieszeni na prawej nogawce i wyciągnął z niej papier i ołówek.

–No, mów – rzucił zwięźle z ołówkiem w gotowości.

–Obraz nie jest specjalnie wyraźny – powiedział Loumas wiedząc, że chan Synarch zrozumie dlaczego. – Są jakieś cztery mile stąd. Nie czuję łodzi zbyt dobrze, ale porusza się cholernie szybko – na oko to jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu mil na godzinę. Na te swoje ternathiańskie węzły będziesz musiał sobie przeliczyć sam.

Uśmiechnęli się do siebie nerwowo. Loumas mówił dalej;

–Jest ich trzech. Jeden ma na sobie coś w rodzaju munduru, tyle, że zupełnie niepodobnego do tych, które oglądaliśmy tutaj. Nie ma chyba hełmu, a jego bluza jest czerwona – nie ma na niej tych maskujących wzorów, które mieli ci z bazy – pokazał palcem w stronę arkaniańskich fortyfikacji i obozu. – Pozostali dwaj są na moje oko ubrani po cywilnemu. Ich stroje raczej nie wyglądają na mundury, poza tym nie są jednolite. Żaden z nich nie ma widocznej broni. Nie mają ze sobą ani tych rur, ani kusz. Na łodzi też nic takiego nie Widzę – skrzywił się Loumas. – Dalekowidz pewnie powiedziałby więcej, ale ja teraz nic więcej nie Zobaczę.

–Rozumiem – chan Synarch zapisywał słowa kolegi szybko i wyraźnie. Używał przy

tym stenografii, której uczyli się wszyscy Błyskacze. Kiedy skończył przeczytał cały tekst na głos. Loumas skinął głową.

–Dobrze jest – potwierdził.

–W takim razie wysyłam – powiedział chan Synarch. Wydarł z notesu zapisaną kartkę, złożył ją, wsunął do jednego z metalowych zasobników, które wisiały mu u pasa. Wstał, biegiem okrążył portal i wbiegł w chłodne, leśne ostępy Wrót Piekieł, skąd widział już bunkier będący kwaterą główną kapitana chan Tesha. Gdy tylko tam się znalazł Błysnął zasobnik z wiadomością wprost do rąk adiutanta dowódcy.

–Wysłałem – lakonicznie poinformował Loumasa, przebiegając ponownie na bagienną stronę portalu. Kreślarz skinął głową. Nadal zajęty był śledzeniem zbliżającej się łodzi. W ciągu trzech minut, jakie zajęło im sporządzenie wiadomości obcy przebyli niemal półtorej mili. Dotrą tu za następne trzy lub cztery...

Po drugiej stronie portalu rozległ się ostry dźwięk trąbki. Loumas wypuścił powietrze. Aż do teraz nie zdawał sobie nawet sprawy, że wstrzymał oddech. Żołnierze pędzili na swoje stanowiska. Odsłonił zęby w zimnym uśmiechu.

„Może i przeoczyłem w tych łodziach jakąś superbroń” – pomyślał – „ale z zaskoczenia nie wezmą nas na pewno.”

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY DRUGI

Balkar chan Tesh opuścił lornetkę i zmarszczył w zamyśleniu czoło. Udało mu się dotrzeć do wysuniętego punktu obserwacyjnego kapitana Parai chan Dersala po bagiennej stronie portalu w chwili, gdy zauważona przez Loumasa łódź była jeszcze o dobrą milę od nich. Teraz stał obok żołnierza i obserwował ją. Obcy zbliżali się coraz bardziej. Miał nadzieję, że jego ludzie nie poznali po nim, jak bardzo był zmieszany i zaskoczony.

„Jak się to do diabła porusza?” – zastanawiał się. Łódź nie była wyposażona w żagiel. Nie miała wiosła, ani żadnego komina, który świadczyłby o istnieniu jakiegś odmianny napędu parowego. A mimo to dziwna łódź – o długości najwyżej piętnastu stóp – płynęła przez głębsze miejsca bagien na tyle szybko, że jej dziób unosił się nad wodę, a rufa była prawie zanurzona.

„To nie jest naturalne... tylko czemu właściwie ja się jeszcze dziwię po tym wszystkim, co już zobaczyłem?”

Naumyślnie powoli i spokojnie schował lornetkę do futerału, po czym splótł ręce na piersi i czekał. Łódź tymczasem gwałtownie – nienaturalnie gwałtownie – wyhamowała i zwolniła przy niewielkim wzniesieniu na brzegu kilkadziesiąt jardów przed portalem.

Zgodnie z tym, co zapowiedział Loumas pasażerów było trzech. Dwóch z nich miało na sobie najwyraźniej cywilne ubrania o kroju jakiego – co akurat nie było niczym dziwnym – chan Tesh nie widział nigdy w życiu. Były o wiele bardziej dopasowane, lub nawet obcisłe od jakichkolwiek współczesnych strojów na Sharonie. Marynarki cywilów miały długie poły, szerokie, wycięte klapy i wyglądające na zbyt duże srebrne guziki. Obie były ciemne – wyższy, Kasztanowłosy mężczyzna stojący na dziobie, wyraźnie starszy z dwójki, miał na sobie marynarkę koloru dojrzałego wina, podczas gdy młodszy, przypominający z wyglądu Uromathianina, nosił strój ciemnozielony. Spodnie obu były jasne. Nosili je wsunięte w sięgające połowy łydki, spiczasto zakończone eleganckie buty. Jednego chan Tesh był pewien – mniej wygodnego stroju na przeprawę przez bagna obcy nie mogli sobie wymarzyć.

Człowiek siedzący na rufie i trzymający prosty w konstrukcji ster. – „Przynajmniej to jedno ma jasne zastosowanie” – pomyślał chan Tesh z goryczą – miał na sobie mundur. Nie mogło to być nic innego, choć jak już poinformował dowódcę Loumas, tak wyglądającego uniformu jeszcze wśród obcych nie widzieli. Było w nim coś, co sugerowało, że właściciel nie był starszy stopniem od podoficera. Czerwona bluza odlegle i bez wyraźnego powodu skojarzyła się kapitanowi ze strojem marynarzy.

Chan Tesh pomyślał, że być może dlatego, iż mężczyzna wykonywał zadanie, które zwykle powierza się właśnie marynarzom.

Łódź dryfowała łagodnie i cicho przez rosnące w płytkiej wodzie trzciny i po chwili zaryła wreszcie dziobem w miękkie błoto. Rozległo się głośnie mlaśnięcie. Chlapnęła woda. Pasażerowie siedzieli zupełnie nieruchomo, dłonie trzymali na widoku. Nawet mężczyzna przy sterze puścił rumpel bardzo powoli i złożył dłonie – wnętrzem do dołu – na udach. Chan Tesh uśmiechnął się na ten widok niewesoło. Gdyby ktoś celował w niego z dwudziestu karabinów Model 10 i co najmniej jednego karabinu maszynowego zachowałby się dokładnie tak samo.

Kapitan zauważył, że oczy starszego z cywilów były niezwykle rozbiegane. Jego spojrzenie zatańczyło w tę i z powrotem po nieruchomo czekających Sharonianach. Chan Tesh odniósł niejasne wrażenie, że umknęło im niewiele. Po chwili obcy przymrużył powieki i ruchliwe spojrzenie skupiło się na samym kapitanie.

– Witam – powiedział obcy w dziwnie akcentowanym, ale wyraźnym i zrozumiałym ternathiańskim. – My przychodzimy rozmawiać?

Chan Tesh zamarł. Mimo wszystko słowa jego własnego języka w ustach obcego podziały mocno i oficer mógł tylko mieć nadzieję, że nie pokazał po sobie zaskoczenia. Nie on jeden zareagował w ten sposób. Gdzieś z tyłu ktoś gwałtownie zaczerpnął powietrza, a ktoś inny warknął nieco zbyt głośnym szeptem:

–Te dranie wzięły naszych żywcem!

Rozmowny cywil powoli podniósł się w łodzi, lecz zamarł na powrót, kiedy zobaczył poruszające się w ślad za nim lufy karabinów. Wyraźnie wiedział, czym była ta broń. Przełknął ciężko ślinę i zaczął pocić się bardziej niż powinien, nawet w tym bagienным upale. Nie spanikował jednak i chan Tesh musiał przyznać, że był to spory wyczyn.

–Nie strzelać – powiedział w miarę spokojnie. – My rozmawiać proszę. Wiele zabijania błęd. Wy wysłać słowo. Powiedzieć, że my rozmawiamy. Ważne.

–Myśli pan kapitanie, że oni naprawdę chcą rozmawiać? – zapytał chan Tesha stojący z tyłu chan Dersal.

–Prędzej rozmawiałbym z pieprzoną żmiją – syknął młodszy kapitan chan Talmarha i warknął głucho.

–Porządnie od nas oberwali, Morek – zauważył chan Dersal patrząc na dowódcę baterii moździerzy. – I to dwa razy. Wydaje mi się, że na ich miejscu też zacząłbym negocjować zawieszenie broni. I to szybko.

Chan Tesh wykonał nieznaczny ruch ręką i obaj oficerowie zamilkli w jednej chwili. Dowódca kompanii przyglądał się Arkanianom w milczeniu przez kolejne kilka sekund. Co prawda przerwał swym żołnierzom dyskusję, ale przyznał niechętnie w duchu, że całkowicie zgadza się ze zdaniem chan Talmarha. Niestety...

–Starszy zbrojny chan Kormai – powiedział cicho.

–Tak jest, kapitanie? – odpowiedział zza prawego ramienia podoficer. W odróżnieniu od chan Tesha Frai chan Kormai był typowym Ternathianinem. Od swego kapitana wyższy był o głowę, bary miał szerokie jak byk, a jeśli gdziekolwiek na jego ciele znajdowały się choć dwa kilogramy zbędnej tkanki, to chan Tesh nie miał szczęścia ich zauważyć. Zbrojny zaciągnął się do Cesarskiej Armii Ternathii w wieku szesnastu lat. Za dwa miesiące wypadały jego czterdzieste szóste urodziny. Przez ostatnie trzydzieści lat zdążył zobaczyć już prawie wszystko, co było w wojsku do zobaczenia i chan Tesh czerpał z jego obecności i doświadczenia wielką pociechę. Zwłaszcza w chwilach takich jak ta.

–Jak sądzę powinniśmy upewnić się, że ci... panowie nie mają przy sobie czegoś, czego wolelibyśmy, żeby nie mieli, zbrojny.

–Zrozumiałem, kapitanie – zielone oczy chan Kormaia omiotły łódź. – Mam być miły, czy skrupulatny?

–Po tym, co nam zrobili myślę, że świat się nie skończy jeśli trochę uchybimy uprzejmości, zbrojny – powiedział oschle chan Tesh. – Tylko bez zbędnego dotykania, jasne?

–Myślę, że na tym etapie znajomości jakoś się powstrzymam, kapitanie.

–Dobrze – Chan Tesh spojrzał na mężczyznę w łodzi. – Będziemy rozmawiać – powiedział wypowiadając oba słowa powoli i wyraźnie. Jednocześnie zastanawiał się, jak dobrze obcy poznali ich język. – Najpierw musimy się uciec do pewnych środków ostrożności.

–Uciec się? – powtórzył cywil najwyraźniej nie rozumiejąc wyrażenia.

–Musimy was najpierw przeszukać – wyjaśnił chan Tesh, wsunął dłonie do własnych kieszeni, i zaczął nimi poruszać, jakby czegoś szukał. Cywil przechylił głowę na bok i skrzywił się.

–Rozumiem – powiedział niezbyt zachwyconym tonem. – Rozumiem wasze... – urwał znowu i zaczął szukać słowa. Zrezygnował jednak i powiedział coś we własnym języku. Chan Tesh patrzył uprzejmie, ale bez zrozumienia i cywil wydał policzki w geście zniechęcenia. Wzruszył ramionami i odezwał się do swoich towarzyszy. Chan Tesh poznawał mowę, jaką posługiwali się obcy, ale rzecz jasna nie rozumiał z niej

ani słowa. Odczekał więc i w końcu cywil ponownie spojrzął na niego.

–Rozumiem wasze środki ostrożności – powtórzył używając znanych słów.

–Dobrze – powiedział chan Tesh i skinął głową chan Kormaiowi.

Podczas gdy kapitan rozmawiał z obcym parlamentariuszem chan Kormai ukradkiem wyznaczył sobie pomocników. Ruszył teraz naprzód i postąpiło za nim czterech żołnierzy. Wszyscy należeli do piechoty morskiej. Chan Tesh zauważył też, że podoficer dobrał sobie doświadczonych i niemłodych już ludzi.

–Wysiądźcie z łodzi – rzucił chan Kormai do cywila równie wolno i wyraźnie jak chan Tesh. – Tylko powoli. Ręce tak.

Splótł własne ręce na karku. Tym razem w oczach cywila pojawiły się isierki gniewu. Chan Tesh nie przejął się tym ani trochę. Nie zamierzał dbać o spokój obcych.

Młodszy z cywilów powiedział coś ostro w swoim języku, ale jego przełożony pokręcił tylko głową, po czym wyszedł powoli z łodzi i stanął na brzegu tak, jak nakazał mu chan Kormai. Buty ugrzęzły mu po kostki w błocie. Skrzywił się z niesmakiem, czując jak bagno próbuje ściągnąć mu je ze stóp. Dotarł jednak na bardziej suchy fragment brzegu bez straty obuwia, zatrzymał się i założył ręce za głowę.

Starszy zbrojny obszedł go i stanął z tyłu. Kiedy podoficer zaczął go obszukiwać szczeka cywila zadrżała z napięcia. Żołnierz pracował rzeczywiście niezwykle dokładnie. Chan Tesh z podziwem obserwował jak jego podwładny demonstruje skrywany dotąd talent. Kapitan widział wiele przeszukań – prowadzonych przez policjantów, wojskowych a czasem i cywilów – ale bardzo rzadko zdarzały się skrupulatniejsze od tego. Chan Kormai nie obchodził się z obcym szczególnie łagodnie – cywil skrzywił się raz lub dwa – ale chan Tesh widział, że podoficer nie robi niczego ponad to, czego wymagało zadanie. Gdy zbrojny wreszcie się wyprostował stało się jasne, że o ile obcy nie schował czegoś w którymś z otworów własnego ciała, to musiał być czysty.

Chan Tesh poczuł ochotę, by nakazać przeszukanie także i wspomnianych otworów. Obcy pokazali, że stać ich na niejedno, w tym na bardzo dziwne zachowania. Pomyślał jednak, że wszystko ma swoje granice – nawet jego własna paranoja. Jeśli przybysze dysponowali jakąś superbronią na tyle małą, by mogli ją ukryć w miejscach, jakie miał na myśli, to po co w ogóle kłopotaliby się wysyłając posłów? Ponadto, skoro obcy rzeczywiście chcieli nawiązać jakąś formę kontaktów dyplomatycznych, to należało zachować pewne cywilizowane normy zachowania. Chan Tesh nie miał pojęcia, czego te normy mogły od niego wymagać, ale z

pewnością odradzały nakazywanie parlamentariuszowi pochylanie się i rozwieranie pośladków. Witac się należało z pewnością uprzejmie.

Chan Kormai skończył i wyprostował się. Cywil odwrócił się i spojrzał mu w twarz z godną podziwu pewnością siebie. Uniósł brwi w niemym pytaniu.

–Skończyłem – powiedział zbrojny i gestem pokazał obcemu, że można już opuścić rękę.

–Jesteśmy zadowoleni?

–Jak na razie... kapitanie – odparł Kormai i ruchem dłoni nakazał cywilowi odsunąć się od wody. Dwóch żołnierzy z piechoty morskiej uważnie obserwowało zachowanie mężczyzny, a Kormai spojrzał na drugiego z obcych.

I tym razem przeszukiwał bardzo dokładnie i metodycznie. Młodszemu z obcych brakowało opanowania, którym wykazał się jego przełożony. Twarz poczerwieniała mu z wściekłości, mięśnie twarzy grały z upokorzenia. Chan Kormai nie zachowywał się ani trochę ostrzej niż za pierwszym razem, ale nie był też bardziej łagodny. Widoczny w spojrzeniu cywila gniew nie wzruszał go zupełnie.

–Skończyłem – powiedział wreszcie. Obszukany obcy nie odezwał się ani słowem, tylko przeszedł przez podmokłą ziemię i stanął obok swego towarzysza. Chan Kormai rzucił spojrzenie na chan Tesha. W jego oczach pojawiła się ledwie dostrzegalna, ale niewątpliwie prawdziwa iskierka wesołości. Dowódca kompanii poczuł, że i jego usta drgają, próbując podnieść się w uśmiechu.

Mężczyzna, który sterował łodzią był spokojniejszy i traktował rewizję z większą obojętnością niż obaj cywile. W odróżnieniu od nich – a w każdym razie w odróżnieniu od młodszego z nich – rozumiał, że nie chodziło tu o wyrządzenie im afrontu, co zdawało się potwierdzać wcześniejsze domysły chan Tesha. Ten obcy mógł okazać się doświadczonym podoficerem.

Kiedy wszyscy trzej Arkanianie dotarli już – pod nieustanną opieką ludzi chan Kormaia – bezpiecznie na brzeg, starszy zbrojny zajął się samą łodzią. Tak samo jak w przypadku ludzi, nie spieszył się, przeszukiwał pokład dokładnie i metodycznie.

Obaj cywile mieli ze sobą teczki. Chan Kormai z najwyższą ostrożnością przejrzał także i ich zawartość. Uważał, by nie zniszczyć żadnego z pokrytych niezrozumiałym pismem dokumentów, które znalazł wewnątrz, ale przejrzał kolejno każdy ich plik. Przerwał pracę w połowie pierwszej teczki i wyjął z niej coś na zewnątrz.

–Proszę na to spojrzeć, kapitanie – powiedział do chan Tesha.

Kapitan podszedł do łodzi i zmarszczył czoło. Podoficer trzymał w ręku kamień. Tak

to przynajmniej wyglądało. Kryształ. Wielki odłamek, przezrystego kwarcu, nieco większy od pięści dorosłego człowieka. Większy nawet od pięści chan Kormaia – a to oznaczało, że był rzeczywiście spory.

–Co pan o tym myśli, kapitanie? – spytał podoficer, gdy chan Tesh – nieco niepewnie – wziął skałkę do ręki. To jednak nie mógł być kwarc. Skała była na to o wiele za ciężka.

–No cóż – powiedział oficer po chwili. – Przycisk do papierów to raczej nie jest. Z podobnego materiału zrobione są te ich działka. To niezbyt sympatyczne skojarzenie, prawda? – skrzywił się. – To oczywiście nie jest dokładnie ten sam materiał, ale jest podobny i... wywołuje podobne wrażenie.

–Zgadzam się kapitanie. A oni – chan Kormai rzucił ukradkowe spojrzenie na posłów – przyglądają się panu bacznie jak jastrzębie.

–Naprawdę? – zapytał cicho chan Tesh nie odrywając wzroku od kryształu, który obracał w rękach i przyglądał się odbijającym od jego gładkich ścian promieniom słońca. – Wyglądają na podenerwowanych, Frai?

–Nie wiem, czy można to nazwać zdenerwowaniem, kapitanie – odpowiedział cicho starszy zbrojny. – Na pewno są zaciekawieni i może troszeczkę zaniepokojeni. Trudno powiedzieć. Ale z całą pewnością są tak samo ciekawi naszej reakcji, jak my jesteśmy zaintrygowani tym czymś.

Chan Tesh parsknął rozbawiony. Zastanawiało go, jak zareagowaliby Arkanianie, gdyby nagle cisnął ten nie-kwarc w bagno, jak najdalej od siebie. Kusiło go, by to sprawdzić, tylko po to, żeby zobaczyć zachowanie obcych. Powstrzymał się jednak i oddał kamień chan Kormaiowi.

–Schowaj to z powrotem – powiedział. – Idę o zakład, że w drugiej teczce znajdziesz identyczny kryształ.

–Proszę o wybaczenie, kapitanie, ale nie zakładam się o przegrane sprawy. Nawet z oficerami.

Zgodnie z przewidywaniami obu żołnierzy w drugiej teczce spoczywał niemal identyczny kamień. Oba tajemnicze przedmioty wpędziły chan Tesha w lekki niepokój i dlatego nie oddał od razu teczek właścicielom. Odłożył je na bok i zaczął na chan Kormaia, który podjął przerwane przeszukanie łodzi.

Poza teczkami obcy przywieźli ze sobą trzy płócienne plecaki z wodą, jedzeniem i czymś co wyglądem – i zapachem – przypominało preparat odpędzający owady. Na broń jakiegokolwiek znanego ludzkości typu nie wyglądało natomiast nic, poza sztucami.

Kiedy łódź została już opróżniona chan Kormai wezwał ręką kilku żołnierzy i wyciągnęli ją całkowicie na brzeg. Chan Tesh nie był pewny, czy podoficer był po prostu ostrożny, czy tak samo jak jego samego dręczyła go ciekawość co do napędu łodzi. Cokolwiek jednak nie wprawiało w ruch pojazdów Arkanian, nadal nie potrafili tego znaleźć. Łódź wyglądała najzwyczajniej w świecie. Jediną jej cechą szczególną było to, że zaprojektowana została wyraźnie z myślą o prędkościach większych niż dostępne były łodziom, które znał kapitan. Drugą niecodzienną rzeczą była niewielka, połyskliwa kostka kryształu umocowana do stępki od strony rufy.

W przeciwieństwie do dziwnych kawałków kryształu, które znaleźli w teczkach, ta kostka wykonana była z dokładnie takiego samego materiału, którego obcy używali do produkcji swoich rur miotających ogniste kule i jakiego kawałki znaleźli Soral Hilovar i Nolis Parcanthi. Wynikało z tego, że właśnie ów kryształ stanowił źródło napędu łodzi. To jednak ani trochę nie przybliżyło ich do wyjaśnienia zasady, na jakiej napęd ten był oparty,

Wreszcie chan Kormai wyprostował się i spojrzał na dowódcę z w miarę zadowolonym wyrazem twarzy.

–No to już, kapitanie – powiedział. – Poza tymi niby-skałkami – machnął ręką w stronę połyskującego kawałka kryształu – nie ma tu niczego, czego mogliby użyć jako broni.

–Chyba, że to właśnie te kryształy są bronią – zauważył oschle chan Tesh. Podoficer wzruszył ramionami.

–Wedle życzenia. Mogę sprawdzić, jak z tymi kamykami poradzi sobie czterdziestka szóstka – zaproponował klepiąc kolbę swojego rewolweru marki Halanch i Welnahr przytroczonego do biodra.

–A do pocisku artyleryjskiego od dwunastocalówki też byś strzelał, zbrojny? – zapytał wyraźnie zaintrygowany chan Tesh.

–To zależy kapitanie – odparł z uśmiechem chan Kormai. – Do ternathiańskiego bym się nie odważył, ale do tych uromathiańskich gówienek... mógłbym zaryzykować.

–Tym razem chyba jednak obejdziemy się bez takich eksperymentów – zdecydował chan Tesh.

–Tak jest, kapitanie. Ale, za przeproszeniem, co z nimi teraz zrobimy?

–I to właśnie, starszy zbrojny, nazywamy celnie zadanyim pytaniem.

–Ja się z tym bydlakiem jeszcze policzę – mruknął Uthik Dastiri spoglądając gniewnie na potężnego, rudowłosego Sharonianina, który go chwilę wcześniej zrewidował.

Mówił cicho, ale nie był w stanie ukryć pulsującej w nim głęboko nienawiści. Rithmar Skirvon rozumiał reakcję kolegi, choć sam inaczej oceniał całą sytuację. Cel przeszukania był dla niego oczywisty i nie miał tego obcym żołnierzom za złe. Zachowali się po prostu profesjonalnie i tego właśnie nie rozumiał Dastiri. Obcy zrewidowali ich jednak bardzo szorstko i dokładnie. Skirvon postanowił potraktować zdenerwowanie Dastiriego z wyrozumiałością. Nie skarcił go ani słowem.

–Fakt, bywało, że witano mnie o wiele cieplej – zauważył.

–Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – zdziwił się poczerwieniały na twarzy Dastiri. Skirvon poklepał go po ramieniu.

–Rozumiem, że cię trochę zdenerwowali i wcale ci się nie dziwię. Ale zapamiętaj sobie jedno – im dłużej pozwolisz gniewowi panować nad sobą, tym dłużej będziesz w tej sytuacji upośledzony. Gniew nie pozwoli ci jasno myśleć ani kojarzyć faktów. Nie zauważysz ważnych szczegółów i innych istotnych rzeczy.

–Jak możesz podchodzić do tego tak spokojnie? – spytał Dastiri z wyrazem twarzy wahającym się pomiędzy wściekłością a skruchą. – Kiedy poczułem jego rękę...

–On robił to, co do niego należy, Uthik – powiedział łagodnie, lecz stanowczo Skirvon. – Na jego miejscu zrobiłbym dokładnie to samo i z dokładnie takich samych powodów.

Młodszy z dyplomatów przetrwał te słowa przez kilka chwil w milczeniu. Wreszcie ciężko westchnął.

–Spróbuję o tym pamiętać, Rithmar. Ale Torkash mi świadkiem, prędzej tego drania zastrzelę z własnej kuszy niż się do niego uśmiechnę.

–Dobrze – powiedział oschle Skirvon. – O tym ja spróbuję pamiętać.

Chciał dodać coś jeszcze, ale rozmyślił się. W tej chwili nie miało to większego sensu. Z czasem Dastiri zrozumie i to. Tymczasem trzeba było myśleć o zupełnie innych sprawach.

Swoje przybycie zaplanowali starannie, uważając, by nie zdradzić Sharonianom żadnych istotnych z wojskowego punktu widzenia informacji – w tym ukryli istnienie i zdolności smoków. Istniała zawsze możliwość, a nawet prawdopodobieństwo, że Arkaniańscy jeńcy, których schwytali obcy, opowiedzieli już o istnieniu latających zwierząt, ale żadną miarą nie usprawiedliwiała to bez troski. Dlatego też pięćsetnik

Klian rozkazał pilotowi smoka wysadzić ich i wylądować łądz o czterdzieści mil od bagienno portalu. Resztę drogi przebyli już płynąc w tym trudnym terenie i Skirvon miał szczerą nadzieję, że wysiłek nie pójdzie na marne. Sharonianie powinni od tego momentu spodziewać się głównie łodzi.

Drugą istotną sprawą była reakcja obcych na należące do dyplomatów KO. W ich ciekawości nie widział nic dziwnego, choć nie był gotów zakładać się o to, co tak naprawdę ją wzbudziło.

Nadal istniała możliwość, że nedorzeczna teoria Kelbryan i Olderhana mówiąca, że obcy stworzyli cywilizację bez wykorzystania magii była jednak prawdziwa. Wciąż jednak wydawała mu się tak...

Myśli przerwał mu głos obcego – najwyraźniej dowódcy Sharonian – który powiedział coś do tego drugiego żołnierza – prawdopodobnie w stopniu starszego miecznika – który ich wcześniej rewidował. Wysoki podoficer coś odpowiedział, dowódca skinął głową i podszedł do Skirvona.

–Nazywam się kapitan Balkar chan Tesh – powiedział. – Kim jesteście i czego chcecie?

„Bez zbędnych wstępów i konkretnie” – przemknęło Skirvonowi przez głowę.

–Rithmar Skirvon – przedstawił się mówiąc powoli i wyraźnie, po czym dokonał też prezentacji Dastiriego.

Chan Tesh – którego nazwisko – według informacji przekazanych przez magister Kelbryan – wskazywało na to, że jest Ternathianinem – nie wydawał się szczególnie szczęśliwy z powodu ich wizyty. Panował nad swoim wyrazem twarzy, ale Skirvon był doświadczonym dyplomatą i nie potrzebował żadnego „Talentu” żeby dostrzec wściekłość, pełgającą w pozornie spokojnym spojrzeniu obcego żołnierza.

–Skąd znacie ternathiański? – zapytał ostro kapitan zaraz po wstępnej prezentacji. Skirvon uśmiechnął się w duchu. Był niemal pewien, że tak właśnie będzie brzmiało pierwsze pytanie i miał na nie starannie przygotowaną odpowiedź.

–Jedna osoba. Życ. Krótka. – powiedział. – Ciężka rana. Mówione słowa. Nagrane. Chcieć ratować, ale arkaniański uzdrowiciel zginął w walce. Długie dni do nowy lekarz. Wiele, wiele dni. Złe rany. Mówić słowa, ale nie przeżyć. Śmierć przed uzdrowicielem – dodał głosem pełnym smutku. – Arkana w żalu. My rozmawiać?

Na twarzy chan Tesha nie zadrgał ani jeden mięsień, ale oczy patrzyły zimno i podejrzliwie.

–Kto to był? – zapytał. – Kto przeżył?

Skirvon i Dastiri spierali się wielokrotnie jak powinni odpowiedzieć na to pytanie. Dzięki obcej dziewczynie, dzięki Shaylar, mieli pełną listę nazwisk członków zaatakowanego zespołu, choć oczywiście nie przyznaliby się do tego, nawet gdyby chan Tesh kładł ich na rozżarzonych węglach. Zнали więc wszystkie nazwiska i wiedzieli nawet czyją śmierć Shaylar widziała na własne oczy. Sharonianie mieli identyczną listę – przecież ta mała dziwka wysłała wiadomość – i to wizualną – w samym środku bitwy. Dastiri uważał, że powinni wybrać nazwisko jakiegoś człowieka, którego śmierci Shaylar nie zobaczyła. Sprzeciwiał się przyznawaniu, że to właśnie ona przeżyła. Skirvon długo tę możliwość rozważał, lecz ostatecznie postanowił nie ryzykować. W końcu w rękach nieprzyjaciół znalazło się bardzo wielu Arkanian. Pozostali przy życiu ludzie z kompanii Olderhana byli w niewoli już cały miesiąc i bogowie tylko raczyli wiedzieć, jakie informacje udało się obcym z nich wyciągnąć. Zwłaszcza, jeśli w przesłuchaniu brał udział jeden z tych ich „Głosów”. Sama Shaylar co prawda twierdziła, że nie potrafi czytać w myślach i być może nawet nie kłamała, aczkolwiek...

Skirvonowi bardzo nie podobało się, że oboje jeńców – członków tak niewielkiego zespołu jak ten napotkany przez Olderhana – okazało się ludźmi posiadającymi umysłowe „Talenty”. Co gorsza oboje mieli różne Talenty, co sugerowało, że ich rodzajów mogło być bardzo wiele. Któż może wiedzieć, co obcy są jeszcze w stanie zrobić z pomocą swoich mózgów? Dyplomata nie miał zamiaru ryzykować powodzenia całej operacji, pozwalając się złapać na kłamstwie na tak wczesnym etapie rozmów. Postanowił więc działać ostrożnie.

–Arkana bardzo, bardzo żałuje – powiedział zasmuconym głosem. – Dziewczyna bardzo ranna. Bardzo chcieć dojść do uzdrowiciela. Daleka, daleka droga. Ona umarła – dodał i udało mu się nawet wycisnąć z oczu kilka łez.

–Shaylar? – wstrząs ściągnął twarz chan Tesha. Ręka oficera opadła do kolby broni – „pistoletu” – spoczywającego w pochwie przy jego boku. Palce zacisnęły się na wypolerowanym, drewnianym uchwycie. – Shaylar przeżyła, a wy pozwoliliście jej umrzeć?

Siła nagłej fali wściekłości i agresji w głosie chan Tesha była wielkim zaskoczeniem – tym bardziej, że do tej pory wykazywał się podziwu godnym opanowaniem. Co gorsza – nie był w swej reakcji osamotniony. Wszyscy Sharonianie, wśród których stał Skirvon mieli w oczach ten sam, groźny błysk.

–Bardzo próbowaliśmy ratować życie – tłumaczył Skirvon roniąc kilka łez więcej. – Ale rana bardzo, bardzo zła. Długo, daleko do lekarza. Arkana wielki, wielki smutek. Arkana, Sharona nie strzelać. Ne-go-cjo-wać – powiedział przesadnie starannie. – Nie strzelać.

–Skoro była tak ciężko ranna – zapytał lodowatym głosem chan Tesh – to jak w

takim razie zdołała was nauczyć naszego języka?

Skirvon zobaczył, że knykcie palców oficera zaciśniętych na kolbie pistoletu bieleją i zrozumiał nagle - nie tylko intelektualnie, ale i emocjonalnie - że jego życie zawisło na przysłowiowym włosku. Najwyraźniej Olderhan nie mylił się w swojej ocenie – Shaylar musiała być dla obcych niezwykle ważna. Być może nawet sam Olderhan nie wiedział, jak bardzo.

Udało mu się (a przynajmniej miał taką nadzieję) ukryć tłoczące się w głowie myśli i nie dał ich po sobie poznać. Nagle jednak pomyślał, że wybór strategii polegającej na uporczywym twierdzeniu, że Shaylar nie żyje mógł okazać się błędem. Wydanie obcej i jej męża pobratymcom zanim oboje nie zostaną przesłuchani w Arkanie lub Nowej Arkanie było oczywiście wykluczone. Do tego momentu sądził, że utrzymywanie, iż oboje zginęli – a z raportu Olderhana wynikało, że Shaylar była przekonana, że Jathmar nie żyje jeszcze w momencie wysyłania tamtej przeklętej wiadomości do swojego świata – było najlepszym sposobem na trzymanie ich kart z dala od negocjacyjnego stołu. Teraz jednak dotarło do niego, że decydując się na tę wersję wydarzeń jednocześnie odbierał sobie w ten sposób możliwość rzucenia tej karty na stół, nawet gdyby bardzo jej potrzebował. A biorąc pod uwagę siłę nienawiści, bijącej od stojących dokoła Sharonian nie byłoby to złym pomysłem.

Niestety wycofać się już nie mógł.

–Ranna bardzo – powiedział. – Głowa ranna, w środku. – Poklepał się po skroni, w którą – co wiedział z nieocenionego w swej drobiazgowości raportu Olderhana – została raniona ta mała dziwka. – Nie działała dobrze – ciągnął przerywając co chwila z rozmysłem by zyskać na czasie udawanym poszukiwaniem słów. – Mówiła. Nie do nas – do siebie. My nagraliśmy.

Specjalnie użył andarańskiego czasownika „nagrywać”. Chan Tesh obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

–Już drugi raz używasz tego słowa: „nagraliśmy” – zauważył. – Co to znaczy?

–Ono znaczy... – Skirvon urwał i wyraźnie zirytowany wywrócił oczyma. – Nie znam słów. Mogę pokazać. Proszę?

Udało mu się nie odetchnąć z ulgą. Chan Tesh zmrużył oczy. Gniew nie zniknął, ale oficer usilnie starał się nad nim zapanować i zmusić do posłuszeństwa własnej woli.

Odsunął nawet dłoń od pistoletu.

–Pokazać? Jak?

–Torba, proszę – powiedział Skirvon wskazując na swoją teczkę. Chan Tesh

przechylił głowę i zastanowił się przez chwilę, po czym skinął i powiedział coś do rosnącego starszego miecznika. Skirvon mówił po ternathiańsku o wiele lepiej, niż pokazywał to obcym, lecz i tak nie zrozumiał szybko wypowiedzianego zdania. To okazało się jednak niepotrzebne. Podoficer podał mu teczkę.

Dyplomata otworzył ją ostrożnie i wyciągnął z niej KO. Ku jego zaskoczeniu chan Tesh widocznie się spiął. Co więcej wymierzone w niego lufy karabinów niebezpiecznie drgnęły.

–Co to jest? – zapytał ostro chan Tesh.

–To tylko kryształ osobisty – wyjaśnił uspokajająco Skirvon znów używając andarańskich słów. Podniósł kryształ do góry.

–Do czego to służy? – syknął chan Tesh.

–Kamień trzyma mowę. Nagrywa słowa.

–Co? – oficer zamrugnął z niedowierzaniem.

–Trzyma mowę – powtórzył Skirvon i wymamrotał zaklęcie uruchamiające urządzenie. Błysk KO uruchamiającego zakodowane w nim zaklęcia utonął w świetle słońca, ale sam ekran był bardzo dobrze widoczny. Dyplomata stuknął w odpowiednim miejscu rysikiem i wywołał specjalną, okrojoną listę słów przygotowaną uprzednio na taką właśnie okazję przez dyplomatów w oparciu o podręcznik magister Kelbryan. Potem dotknął polecenia „odtwórz”.

–Shaylar – rozległ się kobiecy głos.

Ułożenie tej listy zabrało im kilka dni intensywnej pracy. Razem z Dastirim dobierali te, otrzymane od Gadrial Kelbryan, nagrania głosu Shaylar, w których w jej słowach słychać było zmęczenie lub ból. W niektórych przypadkach ból był wyłącznie emocjonalny, ale to nie miało większego znaczenia. Liczyło się tylko to, żeby głos Shaylar jak najbardziej przypominał majaczenie ciężko rannej osoby. Jakby kolejne słowa wypowiadał bredzący w malignie lub przez sen człowiek.

Skirvon spodziewał się, że reakcja Sharonian będzie silna, ale czegoś takiego nie oczekiwał.

Chan Teshowi opadła szczęka. Dosłownie.

Skirvon spojrział na niego i doznał nagłego olśnienia. Mimo tego wszystkiego co usłyszał od Olderhana, czego dowiedział się z wyczerpujących nagrań i notatek Kelbryan, nawet mimo reakcji chan Tesha i jego podoficera na widok kryształu, nie wierzył do końca, że Sharonianie nie znali magii. Nie wierzył w to, aż do tej chwili. Nie

mógł w to wcześniej uwierzyć, ponieważ nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób można stworzyć cywilizację bez pomocy czarów. Do tego momentu był przekonany, że Jathmar i Shaylar sprytnie oszukiwali Arkanian, chcąc skłonić ich do błędu fałszywymi informacjami.

Chan Tesh nikogo jednak sprytnie nie oszukiwał. Kapitan był zdyscyplinowanym, pewnym siebie i kompetentnym oficerem. To, co jego żołnierze zrobili z oddziałem Hadrigna Thalmayra było dobitnym, brutalnym nawet, świadectwem jego doświadczenia. A mimo to jego zdumienie po usłyszeniu pojedynczego słowa odtworzonego z najzwyklejszego kryształu osobistego nie miało sobie równych. Graniczyło niemal z jakimś pierwotnym przerażeniem. Głęboko w duchu Skirvon uśmiechnął się do siebie uradowany jak mały chłopiec.

Olderhan miał rację. Oni nie znają magii.

To oznaczało, że obcy nie są nawet w połowie tak groźni jak z początku sądził. Skoro nie potrafili zrobić czegoś tak prostego, musieli być trochę jak dzieci w dorosłym świecie. Mul Gurthak się nie pomylił. Obcy polegali wyłącznie na swoich maszynach. Na swoich „karabinach”, których użyli – użyli z zaskoczenia – w obu dotychczasowych potyczkach. I jak zauważył mul Gurthak, gdyby nie zaskoczenie wywołane tym, że atakowali nie zaklęciami, a fizycznymi pociskami, które swobodnie przekraczały granicę portalu, Thalmayr nie dałby się pokonać tak łatwo.

Dotąd Skirvon uważał, że Sharonianie zbudowali swą cywilizację w oparciu o maszyny, „Talenty” i magię, która stanowiła dla niego niezbędny element każdej zaawansowanej kultury. Teraz stało się jasne, że magii jednak nie znali, co wywracało do góry nogami wszystko, co na ich temat myślał.

„Spokojnie, tylko spokojnie” – napomniął się w myślach. – „Wszystko w swoim czasie.”

Odczekał, aż chan Tesh wyjdzie z szoku.

–Jak to zrobiłeś? – głos oficera ani razu nie zabrzmiał jeszcze tak sucho, co Skirvon zauważył z rosnącym, choć skrywanym zadowoleniem.

–Kamień to „kryształ osobisty” – dyplomata wyraźnie powtórzył andarańskie słowa. – Shaylar mówi, kryształ nagrywa... – znów użył andarańskiego terminu -...jej słowa. Potem, zaklęcia – ponownie po andarańsku – pracują ze słowami. Robią... listę słów naszych i waszych.

Znowu stuknął w menu wyświetlając obok siebie andarańskie i ternathiańskie wyrazy oznaczające „słowo” i obrócił kryształ tak, by chan Tesh mógł spojrzeć do kryształu. Oczy kapitana ponownie zwężyły się w szparki. Okazało się, że fonetyczny zapis ternathiańskiego słowa znaczył dla niego równie mało, co pozostałe znaki

arkaniańskiego alfabetu. Z równą oczywistością jednak okazał się człowiekiem na tyle inteligentnym, że zrozumiał, na co patrzy. Spoglądał do wnętrza kryształu przez kilka chwil, po czym pokręcił głową i na powrót podniósł oczy na Skirvona.

–Więc mówisz, że ten... kryształ osobisty pozwolił wam schwytać słowa Shaylar i na tej podstawie przeanalizować nasz język?

–Proszę – powiedział Skirvon robiąc jednocześnie bezradną minę – za dużo słów. Nie mam ich wielu.

Chan Tesh syknął nagle ze świeżym gniewem w głosie.

–Skoro potrafiliście zrobić to – wskazał palcem na KO – to dlaczego nie potrafiliście uratować Shaylar?

–Próbowaliśmy, bardzo próbowaliśmy – powiedział z żalem Skirvon. Przypomniawszy sobie, co opowiadał Olderhan o reakcji Sharonian na widok procesu magicznego uzdrawiania. Biorąc pod uwagę kompletną ignorancję obcych w sprawach magii z pewnością nie będzie zbyt trudno przekonać ich, że Shaylar rzeczywiście zmarła w wyniku obrażeń. Tym łatwiej, że naprawdę by do tego doszło, gdyby nie udana interwencja uzdrowiciela.

–Głowa bardzo ranna – powtórzył po raz kolejny. – Nasz lekarz zabity w walce. Chcieli iść drugi lekarz, ale wiele, wiele dni. Ona umarła zanim doszli. Bardzo dzielna – dodał ze smutkiem. – Arkana wielki żal.

–Tak – warknął ochryple chan Tesh patrząc wściekle na obcego. – Była bardzo odważna. I moi ludzie będą się domagać ukarania jej morderców.

–Proszę – powiedział Skirvon pospiesznie. – Za dużo słów. Musi uczyć się więcej. Ale teraz rozmawiać Sharona. Nie strzelać. Rozmawiać.

–Rozejm? - w głosie chan Tesha słyhać było głębokie powątpiewanie, lecz to i tak było ogromnym postępowaniem. Jeszcze przed chwilą aż tryskał furją. – Chcecie rozejmu?

–Rozejm znaczy nie strzelać? – upewnił się Skirvon i chan Tesh przytaknął.

–Rozejm to czas na rozmawiać, nie strzelać. Tak. Tego właśnie chcecie? Rozmawiać, żeby już do nas nie strzelać?

–Sharona nie strzelać. Arkana nie strzelać. Tak.

–Ja sam nie mogę ogłosić rozejmu. Rozumiesz? Muszę porozmawiać z kimś z góry. Z większą władzą. Z kimś wyższym rangą. Rozumiesz?

–Tak. Wysłać słowa?

–Wyślę wiadomość.

–Ach... wiadomość – Skirvon znów stuknął rysikiem w kryształ i zapisał w nim „nowe” słowo. W pełnej wersji słownika „wiadomość” była już zapisana, ale o tym nikt przecież nie wiedział.

Chan Tesh obserwował jak słowo pojawia się w wersji andarańskiej i w fonetycznym, zapisie. Po chwili Skirvon podniósł wyczekująco oczy. Oficer zmarszczył brwi.

–Rozumiesz, że nie możesz ze mną negocjować rozejmu? – nacisnął chan Tesh. Dyplomata nie odpowiedział. Sharonianin spróbował raz jeszcze.

–Nie jestem dyplomata. Jestem żołnierzem. „Dyplomata” to ktoś, kto mówi w imieniu rządu. Rozumiesz?

Skirvon energicznie skinął głową i zapisał kolejne „nowe” słowa w KO.

–Będę musiał sprowadzić tu dyplomata – ciągnął chan Tesh. – Wyślę wiadomość i dyplomata tu przyjedzie.

–Aha! – Skirvon znów pokiwał, tym razem z większym jeszcze entuzjazmem, ale nagle zamarł i pokręcił przecząco głową.

–Nie – powiedział. – Nie tutaj.

–Co? – chan Tesh znowu zmrużył oczy. Skirvon ukląkł w błocie, za co natychmiast przeprosił w myślach swojego krawca.

–Portal Sharona – powiedział rysując suchą gałązką niewielkie kółko na podmokłej ziemi. Potem, jakieś dwie stopy od pierwszego, narysował drugi okrąg. – Portal Arkana – powiedział pokazując palcem na górujące nad nimi przejście do innego wszechświata.

Chan Tesh skrzywił się i otworzył usta, ale Skirvon podniósł rękę, prosząc oficera gestem o cierpliwość. Chan Tesh popatrzył mu przez chwilę w oczy, po czym wzruszył ramionami i skinął głową.

–Dobrze. Mów dalej.

–Arkana, Sharona dy-plo-ma-ci spotkać się tutaj. Skirvon narysował znak „X” pomiędzy dwoma kółkami i stuknął w nie patykiem. Pokazał na miejsce pierwszej potyczki Na jego twarzy pojawił się wyraz najszczerzej żałoby, który doskonale udał

także i Dastiri. Posmutniał nawet marynarz.

–Wielki żal – oznajmił Skirvon. – Wielki ból. – Dotknął palcem wskazując swe serce, i znów wskazał na „X” w błocie. Dyplomaci mówić tutaj. – Ponownie wskazał na portal i dodał. Sharona nie tutaj. Arkana chce Sharona zostać tutaj – wskazał żołnierzy Tesha i ich umocnione workami z piaskiem stanowiska, ale macie mówić tam.

Znów wskazał na znak na ziemi. Chan Tesh uniósł brew.

–To znaczy, że zgadzacie się, żebyśmy zatrzymali ten portal? Chcesz, żeby wasi dyplomaci spotkali się tam z naszymi? - tym razem to Sharonianin pokazał na narysowany na ziemi krzyżyk.

–Ty zostań – żołnierze zostać – powiedział Skirvon rozmyślnie nie odpowiadając wprost na pierwsze pytanie chan Tesha i znów wskazał na „X”. – Tu mówić dyplomaci. Ja. Dastiri. Dyplomaci z Sharony.

–I chcecie rozejmu na czas rozmów?

–Nie strzelać. Tak. Negocjować.

Chan Tesh popatrzył z namysłem na prowizoryczną mapkę. Potem przyjrzał się badawczo Skirvonowi i Dastiriemu. Wreszcie odezwał się znowu.

–Wyślę wiadomość i sprowadzę tu dyplomatów – wskazał na krzyżyk. – Do Polany Powalonych Drzew.

–Po-wa-lo-nych Drzew? – spytał Skirvon tym razem szczerze nie rozumiejąc. Chan Tesh wyciągnął rękę w stronę wielkich drzew wznoszących się za nim, po drugiej stronie spornego portalu.

–Drzewa – wyjaśnił – powalone – pokazał gestem rozcapierzonej dłoni walące się drzewo. – Łamie się. Wali. Powalone. Tak nazywamy miejsce, w którym wymordowaliście naszych cywilów. Powalone Drzewa.

–Ach... miejsce żalu – skinął głową Skirvon. – My iść negocjować Powalone Drzewa.

–Dlaczego? – w spojrzeniu chan Tesha znów pojawił się chłód i głęboki, zapiekły gniew pełgający gdzieś na samym dnie. – Dlaczego akurat tam?

–Sharona walczyć ciężko. Arkana żal. Arkana chce zobaczyć. Chce pa-mię-tać – Skirvon starannie wymówił ternathiańskie słowo. – Odważna Sharona.

Brwi chan Tesha powędrowały wysoko, po czym zmarszczyły się w zamyśleniu.

–Chcecie spotkać się tam, gdzie ich zabiliście, żeby oddać im cześć?

–Cześć? – powtórzył Skirvon.

–Jeśli ktoś zrobi coś odważnego i umrze, czujemy szacunek i oddajemy mu cześć. Mówimy, że był odważny i dobry, i powinno się go pamiętać z dobrym uczuciem tutaj – chan Tesh dotknął swego serca. Skirvon energicznie przytaknął.

–Tak. Spotkać się Powalone Drzewa, oddać cześć dzielna Sharona. – Urwał i spojrzał na żołnierza z niepokojem. – Zły bardzo spotkać się na Powalone Drzewa?

–Czy jesteśmy tak źli, że nie zechcemy rozmawiać? – Chan Tesh wzruszył ramionami. – Nie wiem. Nie mam pojęcia. Propozycja spotkania tam, po to, żeby uhonorować naszych cywilów na pewno wam pomoże, ale łatwo nie będzie. To nie my zaczęliśmy.

Skirvon pochylił głowę i uśmiechnął się łagodnie.

–Arkana nie zacząć – powiedział. – Kto zacząć? Dwóch ludzi martwych, żaden nie widział. Kto zacząć?

Chan Tesh skrzywił się nieładnie.

–A więc tak to według was wygląda? To nie wy zaczęliście i wiecie to stąd, że nikt nie widział, kto zabił Falsana? To bardzo ciekawe rozumowanie.

Obdarzył Skirvona intensywnym spojrzeniem, lecz ku zaskoczeniu dyplomaty nie powiedział nic więcej. Ani nie nalegał na Skirvona by ten zmienił zdanie, ani nie wskazywał – co mógł przecież uczynić – że to żołnierze z Arkany ścigali grupę cywilów, osaczyli ich i wymordowali. Skirvon uśmiechał się łagodnie i zmienił nieznacznie swoją opinię o tym niewykształconym barbarzyńcy w mundurze. Najwyraźniej był na tyle inteligentny, że podobne rozmowy wolał zostawić dyplomatom.

–Kiedy spotkanie? – zapytał Arkanianin.

–Zostaniecie tutaj – odpowiedział chan Tesh. – Wyślemy wiadomość. Zaczekacie z nami, aż przyjdzie odpowiedź na to pytanie.

Skirvon zrozumiał, że chan Tesh albo nie wiedział, gdzie znajdował się najbliższy dyplomata, co – w razie gdyby było prawdziwe – byłoby bardzo interesującą informacją, albo też nie chciał zdradzić jak bardzo daleko mieli do swoich dyplomatów. Co też byłoby niezwykle ciekawe.

–Będziemy was karmić – dodał sztywno oficer. – Dostaniecie wodę i jeśli będzie trzeba pożyczymy wam koce. – „Jeśli będzie trzeba?”. Czyżby te „myślowe” wiadomości, w których istnienie Skirvon nadal ledwie wierzył naprawdę podróżowały

z taką szybkością? A może dyplomaci Sharony byli jednak gdzieś w pobliżu? Pytań i niewiadomych było frustrująco wiele, ale na tym etapie negocjacji nie mógł spodziewać się niczego innego.

–Zaczekamy – zgodził się Skirvon.

Chan Tesh skinął głową i odwrócił się na pięcie tak elegancko jak zrobiłby to andarański arystokrata na pokazie musztry. Jeszcze jedno interesujące spostrzeżenie. Tutaj, w samym środku zapomnianej przez bogów dziczy, ten kapitan – według podręcznika Kelbryan odpowiednik prostego setnika – zachowywał się tak samo słuźbiście i regulaminowo jak chodzący z zadartymi nosami, błękitnokrwieści Andaranie.

Albo zatem mieli tak samo silne militarne tradycje jak Andara albo oficer się przed nimi tym swoim zaangażowaniem po prostu popisował. Każda z odpowiedzi sugerowała Skirvonowi pewne określone możliwości postępowania, trzeba się było tylko dowiedzieć, która była tą właściwą. Z powoli narastającym uczuciem bardzo podobnym do ulgi zdał sobie sprawę, że nadchodzące rozmowy mogły okazać się bardzo interesujące.

Możliwości były wprost nieograniczone.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY TRZECI

Dorzon Baskay, wicehrabia Simrath, na potrzeby swojej nowej roli zrezygnował z części „chan” w swoim nazwisku. Istniała możliwość, że dyplomaci z Arkany wiedzieli, iż przysługuje ona jedynie wojskowym, a młodszy kapitan Simrath nie był teraz żołnierzem. Arystokrata był poza tym stanowczo za młody, by udawać weterana w stanie spoczynku, więc tego też nie robił. Teraz musiał za to odegrać dyplomatę. I to bardzo przekonującego dyplomatę.

To zadanie wcale mu się nie uśmiechało. Innej możliwości jednak nie było. Wszyscy sharoniańscy dyplomaci znajdowali się ponad trzy miesiące drogi stąd, a nikt nie zamierzał się do tego przed drugą stroną przyznawać. I tak mieli już niemal dwudniowe opóźnienie. Przez ten czas kapitan chan Tesh naradzał się przy pomocy Głosów z regimentarzem Velveligiem. Obaj oficerowie zdawali sobie sprawę, że arkaniańska gotowość do rozmów nie musiała trwać wiecznie. Gdyby wypuścili teraz okazję z rąk, to mogła się już nigdy nie powtórzyć. Żaden z nich nie chciał zmarnować tak dogodnej okazji na próbę uniknięcia regularnej wojny, więc Velvelig podjął w efekcie decyzję, która stanowiła źródło obecnego niezadowolenia chan Baskaya.

–Nie mamy do dyspozycji ani jednego dyplomaty z prawdziwego zdarzenia. Nie mamy też czasu, żeby tu kogoś takiego sprowadzić – przyznał bezradnie chan Tesh. – Nie mam pojęcia, czy tamci są z nami szczerzy, czy nie. Nawet jeśli są, to dali nam w miarę jasno do zrozumienia, że znajdują się na końcu długiego – i wolnego – łańcucha komunikacyjnego. Zatem, to czego oni chcą niekoniecznie musi odpowiadać rzeczywistym i ostatecznym intencjom ich przełożonych z wojska czy rządu. W tej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na kilka miesięcy bezczynności. Nie możemy siedzieć z palcami w tyłkach i czekać na prawdziwych dyplomatów, tym bardziej, że nadal nie wiadomo, kto nami w tym momencie rządzi. Wrota Piekieł są po prostu zbyt odległym wszechświatem. I tu zaczyna się pańska rola, młodszy kapitanie.

Chan Baskay przytaknął, choć od razu nie spodobało mu się to, do czego w oczywisty sposób zmierzał chan Tesh. Chan Baskay nie był dyplomatą, mimo, że urodził się w arystokratycznej rodzinie. Był tylko kawalerzystą. I właśnie tylko kawalerzystą chciał być zawsze i od dawna. Owszem, był synem earla, którego ród miał tak długą tradycję politycznej, cywilnej służby Cesarstwu Ternathii, że można ją było rozciągnąć z Wrót Piekieł do samego Estafel, ale sam, osobiście nigdy nie chciał się do tej tradycji dokładać.

Kiedy udało mu się wreszcie wstąpić do SZZP miał już nadzieję, że udało mu się

tego uniknąć. Niestety, wyglądało na to, że przekleństwo krwi dopadło go nawet i tu.

–Według informacji z pańskiej teczki osobowej – ciągnął chan Tesh – ma pan za sobą jakiś czas pracy w Izbie Lordów. To prawda?

–Nie do końca, panie kapitanie – odparł chan Baskay. – To mój ojciec zasiada w Izbie. Jako jego syn kilkakrotnie go zastępowałem. Zdarzało się to, gdy jeszcze byłem w Akademii – uśmiechnął się cierpko. – Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że ojciec chciał mnie w ten sposób odwieść od pomysłu wstąpienia do wojska, a zachęcić do podjęcia kariery w dyplomacji. Nie zadziałało.

–Rozumiem – chan Tesh oparł się w swoim składanym krzeselku i badawczo przyjrzał się młodemu oficerowi. Po raz kolejny zastanowił się, dlaczego kawalerzysta używa nazwiska „chan Baskay”, zamiast „wicehrabia Simrath”, do czego miał przecież pełne prawo.

–W takim razie, skoro kariera dyplomatyczna nigdy pana nie pociągała kapitanie, moja prośba może zakrawać na ironię losu – powiedział po chwili. – Jednocześnie mam nadzieję, że rozumie pan, dlaczego cieszę się mając pod ręką kogoś z pańskim pochodzeniem. Szczerze mówiąc, młodszy kapitanie, nie ma tu nikogo innego z choćby cieniem doświadczenia w poważnej polityce czy w prowadzeniu negocjacji. Oczywiście idealną osobą do tego zadania był książę koronny Janaki, ale tak między nami, to jestem bardzo zadowolony, że akurat teraz nie mogę już skorzystać z jego pomocy.

–Co do tego nie będę się z panem spierać, kapitanie – powiedział z przekonaniem chan Baskay. Sama myśl o tym, że następca tronu znalazł się w okolicy w tak niebezpiecznym momencie sprawiała, że przeszły go ciarki.

–W każdym razie, po jego wyjeździe pańska kandydatura nasuwa się sama – zauważył kapitan. – Z drugiej jednak strony nie jest to chyba coś, co mógłbym tak po prostu rozkazać.

Chan Tesh urwał i spojrzał wyczekująco na podwładnego. Chan Baskay jęknął przeciągle w duchu. Oczywiście – wolałby móc kapitanowi odmówić, lecz to akurat było niemożliwe. Z wielu powodów – nie tylko dlatego, że był ostatnim z rodu mężczyzn, którzy zawsze służyli Uskrzydłonej Koronie. Ternathiańscy arystokraci po prostu nie odmawiali, słysząc głos obowiązku. Nigdy. Nie mógł tego zrobić, bo nie mógłby spojrzeć w twarz nikomu z krewnych. Ani też – dotarło to do niego po chwili – samemu sobie.

Poza tym, skoro już trzeba było to robić, to rzeczywiście jego kandydatura wydawała się najlepsza. Tutaj chan Tesh się nie pomylił. Podstawowe prawa rządzące polityką, chcąc niechcąc, wysłał dosłownie z mlekiem matki. Mógł też

korzystać ze znajomości doświadczeń swoich licznych przodków – nie licząc obserwacji i spostrzeżeń kilkuset żyjących arystokratów, których znał osobiście. Był niemal stuprocentowo pewien, że sobie poradzi w nowej roli.

Nie był natomiast pewien, czy jest do niej gotowy psychicznie. Wiążąca się z tym zadaniem odpowiedzialność była ogromna i wyraźnie czuł na swych barkach jej przytłaczający, przerażający ciężar. Z pewnością nie była to misja dla amatora – te rozmowy powinien poprowadzić najlepszy dyplomata, jakiego kiedykolwiek wydała Sharona. A Sharona miała do dyspozycji niestety tylko jego.

–Nie ma problemu, kapitanie – powiedział wreszcie z westchnieniem. – Rozumiem i zrobię, co w mojej mocy. Czego dokładnie spodziewacie się po mnie z regimentarzem Velveligiem?

Tak mniej więcej rozpoczęła się rozmowa, która doprowadziła go do tej chwili. Jechał teraz równym, spokojnym tempem, pomiędzy targanymi wiatrem drzewami. Dokoła tańczyły złote i czerwone liście, a on zbliżał się do przedstawicieli obcej, multiwersalnej cywilizacji.

„Cywilizacji” – uświadomił sobie – „z którą jesteśmy praktycznie w stanie wojny. Vothonie, nie pozwól mi tego spieprzyć!”

Szczęście uśmiechnęło się do niego dwa razy. Pierwszym z tych uśmiechów okazała się głupota jego siostry. Charazan Baskay uczęszczała do jednej z tych okropnych, prywatnych szkół dla dziewcząt z dobrych domów, które specjalizowały się w przerabianiu umysłów młodych kobiet na kompost. W jej wypadku szkoła w niczym nie uchybiła swej reputacji. Kierując się logiką tak... szczególnie, że chan Baskay nie starał się jej nawet zrozumieć, postanowiła, że dobrym pomysłem będzie wysłanie bratu do wojska płaszcza i fraka, by mógł je nosić na „wieczorkach tanecznych i balach oficerskich”. Nie podpowiedziała niestety, gdzie brat miał szukać takich imprez, niemniej przesyłka dotarła za nim na sam kraniec pogranicza. Gdy tylko zobaczył jej zawartość uniósł oczy ku niebu, po czym schował stroje na sam spód swego kufra. Miał zamiar pozostawić je tam własnemu losowi aż do dnia powrotu do Sharony, a już z pewnością nie zdawał sobie sprawy, że ordynans spakował mu je przed wyruszeniem na pogranicze pod rozkazy chan Tesha.

Niemniej miał go ze sobą i teraz, w tym szaleńczym wybryku sługi dostrzegł działanie ręki samego przeznaczenia. Dzięki temu i dzięki Charazan dysponował odpowiednim cywilnym ubraniem, w którym mógł podjąć się tej maskarady. Gdy tylko zdał sobie z tego sprawę pobłogosławił w myślach swoją niezbyt lotną siostrzyczkę.

Drugim szczęśliwym zbiegiem okoliczności była obecność podkapitana Trekara chan Rothaga. Ciemnowłosa i ciemnooki chan Rothag pochodził z Narhathan i

dorastał w samym cieniu Pięści Bolakinu.

Chan Baskay miał jasne włosy i szare oczy, tak często występujące wśród ternathiańskiej arystokracji. Brązowe włosy chan Rothaga były natomiast tak brązowe, że prawie czarne, a jego smagła cera i mocny nos mogły należeć do Shurkhalianina. W odróżnieniu od chan Baskaya, chan Rothag nie miał żadnego doświadczenia, ani powiązań z arystokracją czy pracą w dyplomacji. Dysponował natomiast rodzajem Talentu, z którego chętnie korzystała policja i wywiad wojskowy.

Chan Rothag był Wykrywaczem. Nie potrafił co prawda czytać w umysłach innych ludzi, w zasadzie w ogóle nie był telepatą. Wiedział jednak, natychmiast i nieomylnie, kiedy spotykał się z kłamstwem. Nie był w stanie w żaden magiczny sposób – chan Baskay zdrzął, kiedy zdał sobie sprawę, jakiego przymiotnika właśnie użył – stwierdzić, jaka prawda kryła się za słowami kłamcy, ale wielką pomocą była już przecież sama wiedza o tym, że ktoś kłamie. W armiach Sharony wszyscy dowódcy powyżej poziomu młodszego kapitana starali się mieć ze sobą przynajmniej jednego Wykrywacza. Nieczęsto się to jednak udawało. Wykrywacze byli zbyt cenni dla wyższych oficerów by ci ostatni mieli ochotę tak łatwo się z nimi rozstawać. Balkar chan Tesh jednak, jeżeli chodziło o dobór personelu wykazywał się zdolnościami graniczącymi niemal z Talentem. Dlatego też chan Rothag jechał teraz obok chan Baskaya.

Chan Rothag spędził kilka dni w towarzystwie arkaniańskich jeńców zanim zabrał ich na tyły księżę Janaki. Będąc człowiekiem szkolonym w prowadzeniu przesłuchań czuł dojmującą frustrację nie mogąc się w żaden sposób z obcymi porozumieć. Chan Baskay wiedział, że chan Tesh czuł w pewnym momencie pokusę, by posłać chan Rothaga razem z Janakim. W końcu jednak z tego pomysłu zrezygnował. Dalej, w górze łańcucha było wielu innych, równie dobrych specjalistów od przesłuchań, natomiast tutaj chan Rothag był jedyny. W tej sytuacji chan Baskay uznał obecność chan Rothaga za podobnie pomyślnie zrządzenie losu, co przesyłkę od Charazan.

–No to zaczynamy – powiedział cicho patrząc na plątaninę powalonych, potrzaskanych drzew i gałęzi, pomiędzy którymi zginęli członkowie zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn.

–Odwagi wicehrabio – odpowiedział chan Rothag z lekkim uśmiechem. Oficjalnego tytułu używali teraz wszyscy towarzysze chan Baskaya. – Poradzi pan sobie znakomicie.

–Łatwo ci mówić – odgryzł się chan Baskay.

–Graj po prostu wicehrabiego i nie zapominaj o naszych umówionych sygnałach – chan Baskay pomyślał, że chan Rothag mówił odrażająco spokojnie. Być może dlatego, że w odróżnieniu od arystokraty Wykrywacz miał spędzić następne kilka

godzin praktycznie w milczeniu. Nie mieli żadnych poszlak, które wskazywałyby na to, jak dobrze – albo jak słabo – Arkanianie znali ternathiański. Jeśli okazałoby się, że znają go lepiej, niż się do tego przyznawali, to będąc doświadczonymi dyplomatami bez najmniejszych trudności rozpoznaliby, że chan Rothag ma tak samo poważne doświadczenie w dyplomacji jak – dajmy na to – w hodowli trzody chlewnej. Chan Baskay starał się nawet przekazać podkapitanowi kilka podstawowych zasad, lecz po kilku próbach poddał się w rozpacz.

–Lepiej siedź po prostu cicho – poradził zrezygnowany. – Wypracujemy sobie jakiś system znaków, którymi będziesz mógł dać mi znać, czy obcy kłamia, czy nie. Poza tym obaj znamy farnaliański. Jeśli zajdzie potrzeba poufnej rozmowy uciekniemy się do niego. No i... hmm...

Spojrzał na chan Rothaga z namysłem.

–Mam nieodparte wrażenie, że właśnie przeistoczyłeś się w Shurkhalianina – oznajmił. Narhathanin uniósł brew. Chan Baskay wzruszył ramionami.

–Jeśli uda nam się przekonać ich, że jesteś krewnym lub rodakiem Shaylar zyskamy dobrą wymówkę, dzięki której będziesz mógł się wtrącać – im bardziej emocjonalnie tym lepiej – po farnaliańsku. To się może przydać, w krytycznych, czy niebezpiecznych momentach. Zgoda?

–Zgoda – przytaknął chan Rothag. Nawet nie starał się ukryć ulgi, którą poczuł dowiedziawszy się, że nie będzie musiał rozmawiać z obcymi. To w połączeniu z jego obecną dziarskością było szczególnie irytujące. Z drugiej strony rada, jakiej udzielił chan Baskayowi była bardzo dobra. Oficer przebiegł w myślach wymyśloną historię, niczym aktor po raz ostatni przepowiadający sobie tekst sztuki przed wejściem na scenę.

Zgodnie z tym, co chan Tesh powiedział starszemu dyplomacie z Arkany, wicehrabia Simrath był ternathiańskim dyplomatą średniej rangi, który akurat przebywał u swej siostry w ostatnim (rozsądnie nienazwanym) cywilnym mieście w łańcuchu tranzytowym (którego nazwy również nie podano) do którego kobieta wyemigrowała ze swoim mężem. Po ataku na zespół Konsorcjum Chalgyn wicehrabia wysłał na Sharonę telepatyczną wiadomość, z pytaniem do cesarza czy powinien udać się do wszechświata, w którym nastąpił kontakt. Po otrzymaniu zgody wyruszył natychmiast i dotarł do fortu kapitana Halifu – teraz oficjalnie noszącego już nazwę Fort Shaylar – niemal w tym samym momencie, co wiadomość o prośbie Arkanian chcących rozejmu i negocjacji o ostatecznym zawieszeniu broni.

Chan Baskay czułby się o wiele lepiej, gdyby jego misja – i cały ten podstęp – rzeczywiście została zaakceptowana przez cesarza. Na wysłanie wiadomości do Sharony i oczekiwanie odpowiedzi, póki nie spłynęłaby w dół łańcucha nie było

jednak czasu. W rezultacie nie znali więc żadnych możliwych do zaakceptowania przez cesarza lub Zarząd Portali warunków granicznych w ramach których mogli prowadzić rozmowy. Chan Baskay mógł tylko mieć nadzieję, że chan Tesh i Velvelig nie mylili się, że cesarska aprobata w końcu nadejdzie. Był prawie pewien, że obaj oficerowie mieli rację, lecz i tak część jego zadania polegała na przeciągnięciu rozmów do momentu, w którym nie otrzymają prawdziwych wytycznych z Sharony.

Dotarli do ustalonego miejsca spotkania i chan Baskay poczuł jak tężeją mu mięśnie twarzy. Nie pierwszy już raz oglądał te powoli zarastające zielenią, wypalone miejsca i inne ślady, po krótkiej, gwałtownej potyczce. Poczuł znajome ukłucie nienawiści i natychmiast je zgłuszył.

„Jesteś tu po to, żeby wynegocjować rozejm i nie dopuścić, by coś takiego wydarzyło się znowu kiedykolwiek w przyszłości” – napomniał się w myślach. „Poza tym pamiętaj, że nigdy nie widziałeś tego miejsca, dopiero co przybyłeś do tego wszechświata i jesteś cholernym dyplomata, a nie żołnierzem. Zachowuj się więc jak dyplomata. Patrz na ciebie.”

Przyglądając się śladom starcia pozwolił swej twarzy nieco spoważnieć, po czym podniósł wzrok na Arkanian i spojrzał na nich z arystokratyczną wyniosłością. Rzeczywiście przyglądali mu się uważnie. Przez głowę przemknęło mu pytanie, czy aby nie poprosili o spotkanie w tym konkretnym miejscu tylko po to, by wytrącić sharoniańskich dyplomatów z równowagi.

Z pozoru taki pomysł był głupotą. Po co prosić o rozmowy, skoro jednocześnie robiło się wszystko, by je sabotować? Z drugiej jednak strony Arkanianie mogli mieć nadzieję nie tyle na ostateczne rozwścieczenie i zniechęcenie przeciwnika do rozmów, co na zyskanie kilku dodatkowych punktów dzięki rozproszeniu drugiej strony. Zajęci własnymi myślami i emocjami Sharonianie mogli nieświadomie poczynić jakieś ustępstwa.

Owszem – ta teoria brzmiała paranoicznie, brzmiała pokrętnie, jeśli nawet nie wariacko. A jednak wydawała się słuszna.

Arkanianie przybyli na miejsce wcześniej od niego. W zgodzie z wcześniejszymi umowami dwóm mężczyznom w cywilnych strojach – to musieli być dyplomaci obcych, Skirvon i Dastiri – towarzyszyła eskorta w liczbie nie przekraczającej dwudziestu pięciu żołnierzy. Im z kolei towarzyszył kapitan chan Tesh – wybrał się tu wraz z młodszym kapitanem Arthagiem plutonem kawalerii by pokazać szacunek i by upewnić się, że obcy nie pokuszą się o coś, co nie spodobałoby się Sharonianom. Wliczywszy w to dwudziestu ludzi z osobistej eskorty wicehrabiego Simratha, Sharona miała przewagę liczebną ponad dwóch do jednego. Nie zamierzali podejmować najmniejszego nawet ryzyka.

„No proszę” – pomyślał ironicznie chan Baskay przyglądając się żołnierzom obu stron trzymającym palce co prawda z dala od spustów, ale mierzących się nieprzyjaznymi spojrzeniami – „to dopiero jest kojąca atmosfera, w której można przeprowadzić pozbawione zbędnych emocji negocjacje dotyczące międzywszechświatowego zawieszenia broni.”

Składająca się z ludzi Arthaga „straż honorowa” obwieściła przybycie grupy wicehrabiego Simratha. Kapitan chan Tesh z całą powagą i szacunkiem zasalutował swojemu podkomendnemu.

–Wicehrabio - powiedział uroczyście. – Witamy na Polanie Powalonych Drzew.

–Dziękuję kapitanie – odpowiedział Baskay uśmiechając się uprzejmie, choć nieco zdawkowo. Po chwili ten widniejący na jego twarzy uśmiech powoli zgasł. – Wolałbym jednak, żeby do tego spotkania doszło w innych okolicznościach – powiedział, rozmyślnie podnosząc głos na tyle, by mogli go usłyszeć dyplomaci z Arkany. – Widziałem relację i znam raporty. W tym przekaz Shaylar – pokręcił głową przybierając jeszcze bardziej chmurny wyraz twarzy. – Przekazy prywatnych osób, które stąd do mnie dotarły nie są wcale mniej pełne gniewu niż oficjalne komunikaty.

–Nie wątpię, mój panie – przytaknął chan Tesh. – Niemniej, według tych ludzi, była to jednak pomyłka.

–Doszły mnie takie słuchy – chan Baskay ponownie rzucił okiem na Arkanian. – Byłbym zachwycony, gdyby się okazało, że to prawda, i że jednak można będzie uniknąć dalszego rozlewu krwi.

–Cóż, mój panie, przypuszczam, że w dużej mierze zależy to właśnie od pana. I od... tamtych panów oczywiście.

–Celnie powiedziane kapitanie – zgodził się chan Baskay. – Zaiste wielce trafnie. Jak sądzę powinniśmy wobec tego przejść do rzeczy. Czy mógłby pan dokonać prezentacji?

–Oczywiście, mój panie.

Chan Baskay zsiadł z konia, podał lejce jednemu z ludzi Arthaga. Potem poszedł wraz z chan Rothagiem za chan Teshem ku czekającym Arkanianom.

Arkanianie przygotowali już stół konferencyjny na tyle niezwykły, że chan Baskay przez kilka sekund nie potrafił oderwać od niego wzroku. Był to blat zmontowany z kilku wąskich, drewnianych listewek, które po złożeniu mogły się zmieścić w podróżnych jukach. Teraz poszczególne części wzmocnione poprzecznymi listwami tworzyły stabilną całość.

I nie byłoby w tej konstrukcji niczego specjalnie zdumiewającego, gdyby nie jeden mały szczegół. Stół nie miał nóg.

Blat unosił się po prostu w powietrzu, doskonale poziomo i nieruchomo, mimo, że zawisł kilkadziesiąt cali nad nierównym gruntem. Nie znajdował się wyżej, niż typowe blaty zwyczajnych stołów. Chan Baskay poczuł jak włosy stają mu dęba. Przez głowę przebiegło mu, że to nienaturalne, przez chwilę zastanawiał się nawet nad słowem „diabelskie”, ale wysiłkiem woli ukrył je gdzieś z tyłu głowy.

„Nie ma w tym nic diabelskiego” – napomniał się. – „To jest po prostu odmienne. Może i bardzo odmienne, ale nic ponad to.”

Powtórzył to sobie kilka razy i udało mu się – przynajmniej na poziomie umysłu – w to uwierzyć. Latający stół nie był niczym niezwykłym. Ot, po prostu kolejna manifestacja nieznanego dotąd, ale zupełnie normalnej technologii obcych. Oczywiście o ile „normalnym” można było nazwać długi na dziesięć stóp, ciężki blat unoszący się swobodnie trzydzieści sześć cali nad dywanem płomiennie zabarwionych jesienią, opadłych liści.

To, że obcy przywieźli ze sobą własną wersję przenośnego stołu nie było niczym dziwnym. Widok okazał się jednak wystarczająco niecodzienny, by chan Baskay zapomniał o swym zadaniu. Po chwili zdał sobie z tego sprawę, otrząsnął się i podniósł wzrok. Nie ruszył jednak głową i nadal trzymał ją w pozycji mówiącej „o-rany-patrzcie-jaki-niesamowity-stół”. Kątem oka spostrzegł we wzroku Arkanian cień zadowolenia i satysfakcji.

Kiedy zrozumieli, że są ukradkiem obserwowani cień ten zniknął natychmiast. Zwężili oczy i wyprostowali się. Najwyraźniej zrozumieli, że nie mają do czynienia z zupełnie nieopierzonym młokosem. Widząc to chan Baskay uśmiechnął się do nich uprzejmie i tym razem on odczuł niejakie zadowolenie – zobaczył, że zaczęli się zastanawiać.

Udało mu się nie uśmiechnąć szerzej. Nie chciał pozwolić obcym, by dostrzegli jego radość. Dopiero teraz zauważył – i zignorował – kilka mebli, które przypominały krzesła, lecz tak samo jak stół pozbawione były nóg. Krzesła te wsunięte zostały pod blat, zupełnie tak, jakby Arkanianie mieli nadzieję, że nie zostaną zauważone natychmiast. Chan Baskay rozmyślnie nie poświęcił im zbyt dużej uwagi.

–Wicehrabio Simrath – powiedział uroczyście chan Tesh – proszę poznać się panowie, Rithmar Skirvon i Uthik Dastiri, przedstawiciele państwa, znanego jako Unia Arkany. Mistrzu Skirvon, Mistrzu Dastiri, poznać się proszę – oto sir Dorzon Baskay, czterdziesty szósty wicehrabia Simrath z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Ternathii, przybyły tu jako reprezentant Zarządu Portali i Cesarza Ternathii, oraz lord Trekar Rothag, współpracownik i doradca wicehrabiego.

Wymieniono oficjalne ukłony, po czym chan Baskay uniósł swą arystokratyczną brew.

–Rozumiem panowie, że mówicie naszym językiem?

–Trochę mówimy – powiedział starszy z dwu arkaniańskich cywilów – Skirvon. – Nauczyć się więcej z KO podczas rozmów. Mogę pokazać?

Wskazał sporych rozmiarów kryształ kwarcu ustawiony już wcześniej na środku szybującego stołu. Chan Baskay pozwolił powędrować ku górze swej drugiej brwi.

–Ależ proszę – zachęcił obcego.

Skirvon uklonił się lekko i wymamrotał coś w swoim języku. Skałka na moment zajaśniała i po chwili pojawiły się w jej wnętrzu świecące słowa, jakie chan Baskay znał już z relacji chan Tesha. Skirvon pochylił się nad urządzeniem, dotknął go kryształowym rysikiem i powiedział coś jeszcze. Tym razem było to dłuższe i wyraźnie wymagające większego skupienia zdanie.

–KO jest pomocą w nauce języków obcych – odezwał się nagle jakiś głos. Barwą przypominał Skirvona, ale nie był identyczny, a ponadto słów tych nie wypowiedział wcale Arkanianin. Dobięgly z lśniącego kawałka kamienia.

–Kiedy mówimy, KO słucha. Uczy się. Po jakimś czasie nauczy się zamieniać słowa z naszego języka na słowa z waszego języka i na odwrót.

Słowa dobywające się z KO były o wiele lepiej i sprawniej wypowiedziane po ternathiańsku, niż wszystko, co do tej pory powiedział Skirvon. Nawet chan Tesh, który przecież widział już wcześniej zdumiewającą technologię obcych w działaniu wydawał się zaskoczony. Chan Baskay musiał przywołać na pomoc całe swoje opanowanie i zimną krew, by nie pokazać swego zdumienia na zewnątrz. Udało mu się i wreszcie spojrzał Skirvonowi prosto w oczy.

–Więc jeśli będę mówić do kamienia, to on przetłumaczy moje słowa na wasz język? – zapytał i usłyszał głos nieco przypominający własny, który powiedział coś w języku, jakim nigdy wcześniej się nie posługiwał.

* * *

Skirvon obserwował reakcje Sharonian na najnowszą sztuczkę i prawie się uśmiechnął. Poczł się niczym lis w kurniku. Mimo, że obcy starali się to z całych sił ukryć jasnym było, że kolejna manifestacja magii wprawiła ich w osłupienie. Co więcej – nie wiedzieli, że KO miał jedną, niezbyt może uczciwą przewagę nad nimi. Sharonianie myśleli, że urządzenie nadal uczy się ich mowy, podczas gdy Skirvon załadował do niego ten sam zestaw zaklęć i danych, którego używała w rozmowach z

Shaylar magister Kelbryan. Dyplomata nie miał najmniejszego zamiaru wyprowadzać obcych z błędu. Nie potrzebowali przecież wiedzieć, że w kryształach tkwiło całe słownictwo, jakie Kelbryan wyciągnęła od jeńców. On sam musiał się pilnować i mówić po andarańsku bardziej prostymi zdaniami niż uczyniłby to normalnie. Wiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno mu wyjawić prawdziwego poziomu zaawansowania w nauce ternathiańskiego.

„Z drugiej strony” – pomyślał – „nie zaszkodziłoby, gdybym trochę bardziej zaszokował tych kmiotów pokazując im jak szybko zaklęcia w kryształach potrafią uczyć się ich języka.”

–Nie macie panowie nic przeciwko temu? – zapytał po andarańsku.

* * *

–Nie macie panowie nic przeciwko temu? – odezwał się po ternathiańsku kryształ. Chan Baskay pokręcił głową.

–Oczywiście, że nie. To bardzo wygodne rozwiązanie – powiedział spokojnie.

* * *

Skirvon był pod sporym wrażeniem. Ten cały wicehrabia Simrath był najwyraźniej równie zaskoczony jak chan Tesh i pozostali Sharonianie, ale zdumiewająco dobrze zdołał opanować głos i prawie nie dał po sobie poznać zdziwienia. Jego tytuł – czterdziesty szósty wicehrabia czegoś tam – wskazywał na niewiarygodnie długi rodowód arystokraty, co pozostawało w zgodzie z nedorzecznie starożytnym rodowodem samej Ternathii, jaki sugerowała Shaylar. Same te liczby były godne szacunku, ale jeszcze bardziej zaimponowała Skirvonowi właśnie postawa obcego dyplomaty – jego pewność siebie i samokontrola. To musiał być, mimo swego młodego wyglądu, niezwykle doświadczony dyplomata. Skirvon zaczął się zastanawiać, jakie zrządzenie losu przywiodło go tak daleko od centrum cywilizacji, że znalazł się akurat pod ręką – we właściwym miejscu, o właściwym czasie.

„Być może czeka mnie poważniejsze wyzwanie, niż się tego spodziewałem” – pomyślał niemal radośnie. W końcu potyczka z równym sobie stanowiła źródło o wiele większej satysfakcji niż rozmowy przypominające zabieranie cukierków bezbronnym dzieciom. Oczywiście wynik negocjacji nie mógł się w związku z tym zmienić ani o jotę.

–W takim razie... – wykonał ręką zapraszający gest i wypowiedział słowo, które aktywowało zasobniki z zaklęciami zamocowane pod polowymi krzesłami, które kazał żołnierzom rozstawić pod stołem. Pokryte wygodnymi poduszkami krzesła wysunęły się spod stołu, zachowując niezmienną wysokość.

–...zapraszam – dokończył jak gdyby nigdy nic.

*** * ***

Tym razem na głowie chan Baskaya nie drgnął ani jeden włos. Nie spodziewał się niczego innego, więc na widok ruchomych krzesel uśmiechnął się tylko, podał swój płaszcz jednemu z ludzi kapitana Arthaga i usiadł. Siadając na nienaturalnie zawieszonym w powietrzu krześle poczuł tylko lekki dreszcz emocji w żołądku. Nie potrafił pozbyć się wrażenia, że siedzenie opadnie pod ciężarem jego ciała, ale tego także nie dał po sobie poznać. Oparł ręce na stole, splótł dłonie i spojrzał na obcych uprzejmie i z wyczekiwaniem.

Stół, podobnie jak wygodne krzesło, nawet nie drgnął, kiedy oparł na nim swe ramiona. Był tak samo stabilny, jak wszystkie inne stoły, przy których dotąd zasiadał. Zresztą tego właśnie oczekiwał. Arkanianom z pewnością nie pomogłoby, gdyby stół zachował się inaczej.

*** * ***

„To musi być zawodowiec” – pomyślał z uznaniem Skirvon przyznając dyplomacie z Sharony kolejne punkty za opanowanie.

Kiedy młodszy z obcych, Rothag, nieco bardziej niepewnie niż jego przełożony zasiadł obok Simratha Skirvon rzucił okiem na Dastiriego i też zajęli miejsca. Spojrzeli ponad stołem na Sharonian. Skirvon otworzył usta, lecz zanim zdążył powiedzieć cokolwiek głos zabrał Simrath.

–Ta wasza tłumacząca skałka jest w rzeczy samej bardzo wygodna - zauważył. – Z drugiej strony słowa są jedynie narzędziami, czyż nie? Tym, co liczy się najbardziej są odpowiedzi na dwa następujące pytania. Po pierwsze – czy macie zamiar zaprzestać ataków na cywilnych obywateli Sharony? I po drugie – czy zamierzacie również zaprzestać walki z naszymi żołnierzami i podjąć rozmowy prowadzące do zawarcia trwałego pokoju?

Skirvon otworzył szeroko oczy. Mimo swego wieloletniego doświadczenia nie zdołał ukryć zaskoczenia, w jakie wprawiała go bezpośredniość Simratha.

–Z całym szacunkiem, wicehrabio – powiedział po chwili te pytania nie są aż tak proste, jak pan sugeruje. Powiada pan, że wasi ludzie byli cywilami. Ale nasi żołnierze o tym nie wiedzieli, a ponadto w tej samej potyczce zginęło również wielu naszych. Arkana wyraża głęboki żal z powodu tego, co zaszło, ale dla nas okoliczności, w jakich doszło do walki nie są równie oczywiste, co dla was.

–Dla nas to jednak bardzo oczywiste – odparł Simrath uśmiechając się przyjaźnie. – Wasi żołnierze zaatakowali naszych cywilów. Potem, gdy jeden z naszych oficerów –

był to kapitan Arthag jak sądzę – wskazał na jednego z żołnierzy, którzy towarzyszyli Arkanianom spod bagiennego portalu – podjął próbę nawiązania kontaktu jako parlamentarzysta, kiedy chciał się po prostu dowiedzieć o los naszych ludzi, zaczęliście do niego strzelać. Z naszego punktu widzenia, w obu tych wypadkach jasno i wyraźnie wiadomo, kto strzelił jako pierwszy.

Skirvon zmusił swoją twarz, by nie zmieniła wyrazu. Simrath zmierzał prosto do sedna sprawy, a co gorsza zamierzał zepchnąć przedstawicieli Arkany do defensywy. W pewnym zakresie zgadzało się to ze strategią, jaką założył sobie Skirvon, ale nie wolno było dopuścić, by Sharonianie tkwili w przekonaniu, że to oni kierują przebiegiem negocjacji. Nie byłoby też dobrze doprowadzić do tego, by spodziewali się ich szybkiego zakończenia. Musiał utrzymać ich przy tym stole jeszcze co najmniej przez kilka tygodni, tymczasem postawa Simratha mogła zmusić go do podejmowania przedwczesnych decyzji, co groziło pokrzyżowaniem tego planu. Musiał więc znaleźć sposób na przeciąganie negocjacji bez dochodzenia do jakichkolwiek wniosków, czy zbyt nagłych porozumień.

–Proszę o wybaczenie, wicehrabio – powiedział – ale obawiam się, że mówi pan za szybko i przy użyciu zbyt wielu nowych słów. Mój kryształ nie nadaje z prawidłowym tłumaczeniem. Z czasem się to oczywiście zmieni, ale póki co urządzenie nie poznało jeszcze odpowiednio wielu słów do przekładania długich i skomplikowanych zdań.

* * *

Chan Baskay splótł palce na stole i zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział Arkanianin. Brzmiało to sensownie. Ponadto niestety nie miał żadnego sposobu, by przekonać się o rzeczywistych możliwościach świecącej skałki.

–Więc – powiedział z uśmiechem, którym zadowoliliby swych najbardziej aroganckich przodków – ten wasz kryształ jednak nie nadaje się do tego zadania?

–Nie to powiedziałem – przetłumaczył kamień chwilę później. – Mówiłem tylko, że zakłęcie wymaga trochę czasu. My chcemy rozmawiać. Nie chcemy więcej strzelania, ale ważne jest, żeby obie strony rozumiały, o czym jest mowa. Żeby nie było nieporozumień. Żebyście wy zrozumieli, jak według nas wyglądają wydarzenia i żebyśmy my zrozumieli, jak wyglądają według was.

Chan Baskay przechylił głowę i wydał wargi z namysłem. Podejrzewał, że cudowny kamień Arkanian radził sobie lepiej, niż Skirvon był skłonny przyznać. Z drugiej strony nie mógł obcemu dyplomacie odmówić racji. Jeżeli mieli ze sobą rozmawiać, to trzeba było poznać obie wersje wydarzeń, które doprowadziły ich do tego stołu.

–Oczywiście – przytaknął po chwili. – To wy prosiliście nas o spotkanie. Co zatem chce nam przekazać Arkana? Sharona wysłucha.

* * *

„No, teraz lepiej” – pomyślał Skirvon. – „Jeśli uda mi się ich wpędzić w gąszcz formalności, wymiany poglądów i opowieści o punktach widzenia, upłynie wiele czasu, podczas gdy tak naprawdę nikt nie powie niczego, czego byśmy obaj nie wiedzieli już w tej chwili.”

–Arkana jest wdzięczna, że Sharona zechciała nas wysłuchać – zaczął i przybrał pozycję, którą nazywał „pozycją do poważnych rozmów”. Chciał tym gestem podkreślić, że wygłosi właśnie oficjalne stanowisko swojej strony.

–Arkana jest zaszokowana pełnymi przemocą wydarzeniami, do jakich doszło pomiędzy naszymi i waszymi ludźmi – ciągnął. – Szczególnym żalem przepełniło nas odkrycie, że jedyną osobą, która przeżyła pierwszą potyczkę okazała się młoda kobieta. Nasze kobiety nie mogą wstępować do wojska, zupełnie się więc jej nie spodziewaliśmy.

–Ona nie była żołnierzem – przypomniał Simrath lodowatym głosem. – To byli cywile.

–Tak – przyznał Skirvon. – Teraz o tym wiemy. Wtedy jednak tego nie wiedzieliśmy. Nie spodziewaliśmy się natknąć na dziewczynę w takich okolicznościach.

* * *

Chan Baskay miał na końcu języka argument, że przecież Arkanianie sami do tej samej bitwy stanęli z kobietą u boku. Postanowił jednak nie rozgrywać tej karty jeszcze w tej chwili. Jak dotąd druga strona nie dała ani jednego powodu, by mógł myśleć, że w Arkanie rodzili się Utalentowani ludzie. Trudno było mu przyjąć to do wiadomości. Nie bardzo potrafił wyobrazić sobie ludzką cywilizację, która mogła się bez nich obejść, ale z drugiej strony nigdy też nie spodziewał się, natknąć na ludzi, którzy dzięki czarom zawieszali w powietrzu swe stoły. Możliwość więc, że Arkanianie byli równymi ignorantami w dziedzinie Talentów, jak Sharonianie jeśli chodzi o magię, była zupełnie prawdopodobna. A skoro tak, to im mniej obcy wiedzieli o Nosach i Tropicielach i ich zdolnościach, tym lepiej.

–Rozumiem – powiedział po chwili zastanowienia. – Załóżmy więc wersję, że nie byliście świadomi tego, że nasi ludzie byli cywilami... tymczasowo.

–Dziękuję wicehrabio – odpowiedział Skirvon i zaczerpnął powietrza.

–Kiedy ją znaleźliśmy byliśmy przerażeni – wznowił przerwana opowieść. – Z całych sił staraliśmy się ją utrzymać przy życiu. Niestety uzdrowiciel, który był wraz z naszymi żołnierzami został zabity na polanie. Z naszym oddziałem podróżowała magister dysponująca pomniejszych arkanami leczenia, ale to zupełnie nie to samo,

co prawdziwy uzdrowiciel. Próbowali więc odtransportować ją do lekarza z prawdziwego zdarzenia.

Chan Baskay zmarszczył brwi, rozprostował dłonie i odchylił się w latającym krześle. Zdawkowo potarł płatek prawego ucha, co stanowiło jeden z umówionych wcześniej z chan Rothagiem sygnałów. Narhathanin nie sprawiał wrażenia, jakby cokolwiek zauważył, wyprostował się tylko i założył nogę na nogę.

„A więc” – odczytał sygnał chan Baskay – „nie do końca kłamstwo, ale też i nie cała prawda. Niczego innego po dyplomacie nie mogłem się raczej spodziewać.”

–Chwileczkę – powiedział. – „Kryształ nie przetłumaczył dwóch wyrażeń, których pan właśnie użył. Kto to jest „magister”? I czym są „pomniejsze arkana”? Arkana to przecież nazwa waszego świata?

Skirvon zamrugał, jakby bardzo czymś zaskoczony. Potem uśmiechnął się.

–Ach tak. Rozumiem, w czym problem. Po pierwsze, wicehrabio, „magister” to ktoś z Darem, ktoś kto potrafi używać magii – zastukał w unoszący się w powietrzu stół. – To jest jeden z przykładów magii. Niektórzy ludzie posiadający Dary potrafią zmuszać przedmioty do latania i do wielu innych, podobnych działań. Inni, których nazywamy „magistronami” dysponują umiejętnością rzucania zaklęć leczących. Magister, która była z naszymi żołnierzami tuż po walce nie była magistronem. Po drugie, słowem „arkana” oznaczamy konkretny Dar, magiczną zdolność. Stara tradycja mojego ludu głosi, że tym samym słowem określamy swój świat, ponieważ jest on Darem od bogów dla ludzi. Stąd pańskie niezrozumienie tego wyrażenia. Miałem na myśli to, że magister naszego oddziału miał jedynie pomniejszy, drugorzędny Dar uzdrawiania. Do wyleczenia ran młodej kobiety potrzebny był ktoś z mocnym, wykształconym Darem.

–Rozumiem – skinął głową chan Baskay i rzucił spojrzeniem na chan Rothaga. Młodszy kapitan nie drgnął, ale potarł koniuszkiem prawego palca wskazującego swój lewy mankiet. Ten znak oznaczał, że Narhathanin był pewien, że wszystko, co właśnie powiedział Skirvon było prawdą.

–Rozumiem – powtórzył chan Baskay. – Mówi pan, że byliście przerażeni ujrzawszy wśród ofiar młodą kobietę – spojrzał na rozmówcę nieco ostrzej. – Kiedy i jak umarła Shaylar?

–Odniosła poważne obrażenia głowy – odpowiedział Skirvon. – Była też poparzona. Nie aż tak, jak niektórzy jej towarzysze, ale ogień tylko pogorszył jej ogólny stan. Odtransportowaliśmy ją jak najszybciej było można do naszej najbliższej bazy, w której czekał już prawdziwy uzdrowiciel, ale niestety już za późno. Przeżyła sześć dni.

Chan Rothag wyprostował się w krześle i zdjął nogę z nogi. Nerwy chan Baskaya zagrały.

–Przepraszam na chwilę – powiedział uprzejmie i spojrzał na chan Rothaga. – Zrób zasmuconą minę – odezwał się po farnaliańsku – i powiedz mi, w czym skłamał.

–Kłamię jak pies o tych oparzeniach i o sześciu dniach – odparł w tym samym języku chan Rothag. Wyglądał tak, jakby miał zaraz zalać się łzami. – Reszta to mniej lub bardziej prawda. Sprawdźmy go?

–Jeszcze nie pora – chan Baskay pochylił się do Rothaga i z zatroskanym wyrazem twarzy położył mu dłoń na ramieniu. – Nie ma sensu, zbyt wcześnie przyznawać się, że wiemy, kiedy on kłamię – powiedział cicho, łagodnie. – Poza tym, zobaczymy jak daleko potrafią się posunąć.

Chan Rothag przytaknął skinieniem, nadal mając nieszczęście na twarzy. Chan Baskay raz jeszcze poklepał go krzepiąco po ramieniu i odwrócił się do Skirvona.

–Lord Rothag pochodzi z Shurkhal – skłamał z kamienną twarzą. – Potwierdzenie wiadomości o ranach i tak długim cierpieniu kobiety z jego kraju okazała się dla niego ciężkim ciosem.

Ukradkiem przyglądał się badawczo wyrazowi twarzy Skirvona. Tak otwarte, bezczelne kłamstwa były w rozmowach między Sharonianami niemożliwe. Obie strony od dawna przystępowały do negocjacji ze swymi Wykrywaczami. Teraz zrobił to jednak rozmyślnie, na próbę. Skirvon nie zrobił nic, co pozwalałoby obawiać się, że rozgryzł podstęp. Obcy dyplomaci najwyraźniej nie mieli w swoim świecie niczego, co pozwalałoby rozpoznawać nieprawdę.

„Założę się, że są przyzwyczajeni do kłamstw” – pomyślał. – „To znaczy, że potrafią robić to na zawołanie.” Zrozumiał, że nie wolno mu o tym zapomnieć.

–Przykro mi, że spowodowałem cierpienie pańskiego towarzysza – powiedział Skirvon. – A jednak Arkana też cierpi. Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy nikogo z waszego świata. Nie chcieliśmy pierwszej potyczki. Oficer, który w tej bitwie dowodził został już usunięty ze służby, gdy tylko jego przełożeni dowiedzieli się, co zaszło. Zanim jednak zdołaliśmy nauczyć się waszego języka, i zanim doprowadziliśmy do kolejnego, tym razem pokojowego kontaktu, wasze wojsko zaatakowało nas bez ostrzeżenia. Naszych ofiar było znacznie więcej – spojrzał jak zbity pies. – Oficer, którego żołnierzy napadliście nie był tym, który walczył z waszymi cywilami. Tyle, że wy nie próbowaliście się nawet tego dowiedzieć. Woleliście walczyć.

–Przepraszam, ale kiedy zaatakowaliśmy was bez ostrzeżenia? – powtórzył beznamiętnie chan Baskay i pokręcił głową. – To nie my zaatakowaliśmy. Być może

wasz oficer był „niewinny” w sprawie rzezi na polanie, ale wydał rozkaz otwarcia ognia do naszego oficera, który samotnie zbliżył się z flagą parlamentariusza i chciał rozmawiać o wydaniu naszych rannych. To wy nas zaatakowaliście. Po raz kolejny.

Mierzył Skirvona spokojnym, lecz twardym i lodowatym wzrokiem.

–Skirvon, przedstawianie swojego punktu widzenia to jedna sprawa, ale przekręcanie prawdy i obrażanie tym samym inteligencję rozmówcy, to już jednak zupełnie co innego.

Skirvon wymienił z Dastirim kilka zdań w języku, który nie był andarańskim. Kryszał milczał. Po chwili Skirvon znów spojrzał na Sharonianina.

–To bardzo trudne – powiedział. – My patrzymy na te wydarzenia z jednej perspektywy, a wy z zupełnie innej. My chcemy przeprosić za akty przemocy, ale wy jesteście tak podejrzliwi, że nie dajecie nam nawet dokończyć myśli. Owszem, zdajemy sobie sprawę, jak musicie być wściekli – w naszym świecie też jest wiele – albo będzie, gdy wiadomość wreszcie tam dotrze – gniewu i wściekłości. Nie tylko bowiem straciliśmy wielu dobrych żołnierzy, nie tylko pomyłkowo zaatakowaliśmy grupę cywilów, ale sami także straciliśmy cywila. Cywil ten, człowiek, który zginął podczas ataku na nasz obóz, był jednym z największych magistrów, jakich wydała nasza cywilizacja. Magister Halathyn vos Dulainah przebywał w bazie na bagnach. Nawet nie próbował walczyć, a mimo to zabito go bez cienia litości. Cała Arkana okryje się – o ile już się nie okryła – głęboką żałobą. Magistra Halathyna kochały miliony, setki milionów. Szok po jego śmierci, szok, wściekłość i ból mogą okazać się przepotężne.

–Więc teraz okazuje się, że po waszej stronie też zginął cywil? – chan Baskay zmarszczył brwi.

–Owszem. Bardzo ważny i popularny człowiek.

–Czyżby tak popularny – zapytał chłodno chan Baskay – jak popularna była Shaylar Nargra-Kolmayr w naszym świecie?

Skirvon skrzywił się nieznacznie i chan Baskay pokręcił głową.

–Lord Rothag pochodzi z Shurkhal – kawalerzysta ponownie... dyplomatycznie rozminął się z prawdą. – Poproszę więc o chwilę czasu. Chciałbym zamienić z nim kilka słów. Zapytam jak on ocenia stosunek wzajemnych strat...

Oficer spojrzał na chan Rothaga i przechylił głowę.

–Trekar, mam wrażenie, że dotknęliśmy czegoś bardzo istotnego – powiedział znów zmieniając język na farnaliański. – Problem w tym, że nie wiem co to dokładnie jest i

jak bardzo jest to ważne. Mam też wrażenie, że w tym, co on mówi coś cuchnie. Mógłbyś mi powiedzieć ile kłamstw usłyszałem tym razem?

–Na temat śmierci tego cywila mówi prawdę – odpowiedział chan Rothag. – Nie kłamie też jeśli chodzi o jego popularność, ani o przewidywaną reakcję w ich rodzimym wszechświecie. Ale masz rację, że coś tu śmierdzi. Zauważyłem, że nie powiedział ani słowa, dlaczego ten arcyważny naukowiec znalazł się nagle na takim zadupiu. Bardzo ostrożnie dobrał też słowa i ani razu nie powiedział wprost, że to my go zabiliśmy.

–Tak. Też to zauważyłem – odparł chan Baskay starając się nie zdradzić tonem głosu ani wyrazem twarzy narastającej frustracji. – Do czego te pokrętne bydlaki zmierzają?

Zwrócił się na powrót do Skirvona. Arkanianin nadal patrzył uważnie i z troską, a także z pewną domieszką żalu i cierpienia. Chan Baskay widział jednak płonąca na dnie jego oczu ciekawość. Skirvon umierał z ciekawości. Chciał wiedzieć, o czym rozmawiali Sharonianie. Chan Baskay uśmiechnął się w duchu na tę myśl, ale zaraz zmarszczył brwi.

–Sharona wyraża swój żal. Żal z powodu śmierci jeszcze jednego cywila i to człowieka tak popularnego, że jego śmierć nie może stać się niczym innym, jak tylko kolejną przeszkodą na drodze do porozumienia między naszymi światami – powiedział najzupełniej poważnie. – Tym bardziej jednak podkreśla to absolutną konieczność negocjacji w sprawie zawieszenia ognia. Sharona nie chce śmierci kolejnych niewinnych osób.

–Arkana stoi na dokładnie takim samym stanowisku – zapewnił natychmiast Skirvon. – Chcemy zaprzestać walk na czas rozmów, które doprowadzą do trwałego rozwiązania sytuacji – tym razem to on uśmiechnął się smutno. – Może upłynąć wiele czasu, zanim dojdziemy do porozumienia na temat winy i niewinności. Jestem też głęboko przekonany, że wypracowanie ostatecznej zgody pomiędzy naszymi cywilizacjami zajmie jeszcze dłużej. Jednym z problemów będzie na przykład kwestia własności tego konkretnego wszechświata.

–Wrota Piekieł stanowią integralną część terytorium Sharony – odpowiedział oschle chan Baskay.

–Wrota Piekieł? – powtórzył Skirvon i chan Baskay rzucił mu chłodny uśmiech.

–Po tym, co wasi żołnierze zrobili tu z naszymi cywilami ta nazwa wydała się nam bardzo odpowiednia – wyjaśnił, po czym spojrzał nieco łagodniej. – Podejrzewam, że po tym, co nasi zrobili z waszym wojskiem nie powinniście mieć kłopotów z jej akceptacją.

–To prawda – zgodził się Skirvon. – Bez względu jednak na nazwę kwestia kontroli nad nim okaże się z pewnością dla obu stron szalenie istotna.

Chan Baskay po raz kolejny zmrużył oczy. Skirvon spojrzął szczerze i wzruszył ramionami.

–Oczywiście, mój panie. Zarówno my jak i wy zdajecie sobie sprawę, że tu – szerokim gestem wskazał rosnące dokoła drzewa, wśród których, pokrytych jaskrawo ubarwionymi liśćmi tańczyły delikatne powiezy wiatru – znajduje się to, co nazywamy „skupiskiem portali”. Powstało tu wiele portali, umożliwiających dostęp do wielu wszechświatów. Owszem, żałujemy przelanej krwi i niepotrzebnej przemocy, ale zarówno wasz cesarz, jak i Zarząd Portali muszą zdać sobie sprawę, że kontroli nad tyloma portalami nie będziemy mogli zrzec się tak po prostu. Zwłaszcza, że nie chcemy jej ochoczo przekazać ludziom, z którymi jesteśmy praktycznie w stanie wojny.

–W tej chwili – ciągnął Arkanianin – obie strony pragną zachować całkowitą kontrolę nad całością skupiska, choćby po to tylko, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Żadna ze stron nie zechce się takiego zabezpieczenia pozbyć. W końcu jednak trzeba będzie doprowadzić do jakiegoś porozumienia – być może pójdziemy na kompromis i podzielimy skupisko między siebie. Do tego jednak musimy mieć, tak samo zresztą jak wy, choćby cień uzasadnionej nadziei, że chciwość i strach drugiej strony nie wywołają kolejnego konfliktu. Wypracowanie takiego porozumienia, w jakiegokolwiek formie, będzie bardzo trudne, zabierze nam wiele czasu i będzie wymagać ogromnej cierpliwości. Lecz z drugiej strony – zawsze jest lepiej rozmawiać niż strzelać.

Siedzący obok chan Baskaya chan Rothag założył nogę na nogę. Chan Baskay westchnął w duchu. Żałował, że Wykrywacz nie jest w stanie powiedzieć mu, które fragmenty wypowiedzi Skirvona były „w większości szczerze”.

Jakąś częścią siebie chciał wstać i rzucić arkaniańskiemu dyplomacie w twarz jego kłamstwa na temat Shaylar. Co więcej, ledwie się powstrzymywał by nie wydusić prawdy z tego zblazowanego drania własnymi rękoma. Skoro Shaylar nie zginęła tak, jak opowiedział, to jak to się stało? Czego się dopuścili obcy? Co jej zrobili, by wydobyć z niej informacje, którymi nakarmili swoje kryształ? Do głowy przyszło mu kilka powodów, dla których zachowany w skale głos kobiety, mógł brzmieć tak słabo i niewyraźnie, niemal jak słowa kogoś załamanego. I żaden z tych powodów nie miał nic wspólnego z obrażeniami, które powstały w walce na Polanie Powalonych Drzew. Czy oni to właśnie jej zrobili? Czy to była przyczyna jej śmierci? Czy zginęła wskutek tortur w jakiejś ponurej, ciasnej celi? A jeśli tak, to czy ten uśmiechnięty bydlak, który siedział teraz naprzeciwko niego znał całą prawdę?

Kolejne pytania płonęły w jego głowie, domagały się odpowiedzi. Na twarzy chan

Baskaya nie drgnął jednak ani jeden mięsień. Dobrze wiedział, że nie może pozwolić, by kierował nim gniew. Rozumiał, że nie może nazwać ich bezlitosnymi mordercami, nawet teraz, gdy wiedział, że niewinna i odważna, młoda kobieta nie zginęła tak, jak utrzymywali obcy. Ponadto Skirvon miał absolutną rację co do kwestii kontroli nad skupiskiem Wrót Piekieł. Z pewnością nikt na Sharonie nie zechce wypuścić takiego skarbu z rąk – zwłaszcza, że wychodziło na to, iż zespół Chalgyn odkrył to miejsce, zanim dotarli doń Arkanianie. Nikt nie zechce oddać portali niebezpiecznej, agresywnej bandzie dzikusów, których żołnierze wymordowali cywilnych naukowców. Tak więc, bez względu na to jak oceniał Skirvona i jego nieznanych mocodawców, to obcy dyplomata nie mylił się. Arkana też nie zechce bezproblemowo oddać niczego Sharonie. Zwłaszcza nie po tym, jak zginęło już tak wielu ludzi.

A zatem kwestia kontroli nad tym wszechświatem musiała zostać w jakiś sposób rozwiązana. Było to tak boleśnie oczywiste, jak fakt, że chan Baskayowi nie wolno było zrobić niczego, co z góry uprzedziłoby obcych o stanowisku, jakie ostatecznie zajmie w tej sprawie Sharona. Wysłana przez kapitana chan Tesha wiadomość o tym, że Arkanianie zaproponowali rozmowy pokojowe dotrze do rodzimego wszechświata dopiero za pięć dni. Odpowiedź będzie podróżowała z powrotem do Wrót Piekieł przez kolejny tydzień. Rozumiał, że nie może pozwolić, by jego własne emocje zrujnowały ewentualną możliwość rozwiązania konfliktu drogą dyplomatyczną – tym bardziej, że przecież nikt jeszcze nie udzielił mu upoważnienia do prowadzenia rozmów w imieniu Zarządu i Cesarza.

–Oczywiście, że lepiej jest rozmawiać niż strzelać – powiedział uśmiechając się ponad stołem do zakłamanego bydlaka. – Czy to wasze oficjalne stanowisko?

–Chcemy, by na czas trwania rozmów wstrzymane zostały działania wojenne – powiedział Skirvon energicznie przytakując. Chan Rothag ponownie dotknął lewego mankietu.

„No cóż, na coś takiego mogę się w dobrej wierze zgodzić” – pomyślał chan Baskay z niewyraźnym poczuciem ulgi. „On ma rację. Negocjacje są lepsze od walki. Szkoda tylko, że nie wiem, co poza tymi frazesami kryje jego pokrętny umysł. Jedynym sposobem, by się tego dowiedzieć są chyba kolejne rozmowy.”

–Znakomicie – powiedział. – Sharona zgadza się. Nie będziemy strzelać. Będziemy rozmawiać.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY CZWARTY

–Muszę przyznać, że poczułam ogromną ulgę – westchnęła Shaylar opierając się wygodniej na ustawionym na pokładzie leżaku. – Nie zrozum mnie źle – mrugnęła okiem do Gadrial, która wyciągała się obok niej. – Bardzo polubiłam Kła Niebios i cieszę się, że jednak udało się znaleźć dla niego miejsce na tym statku, ale loty smokami są dosyć... forsowne. Zwłaszcza dla Jathmara i dla mnie.

–Zwłaszcza dla was? – spojrzała na nią Gadrial.

–No wiesz, ty i Jasak macie dużo dłuższe doświadczenie.

–Owszem, lataliśmy już wcześniej, jeśli o to ci chodzi, ale nie myśl sobie, że skoro podróżowaliśmy już w jedną stronę, to lecąc w drugą wcale się nie męczymy. Obawiam się, że tak dobrze jednak nie jest – uśmiechnęła się. – Wierz mi, te niekończące się godziny z wiatrem wyjącym prosto do uszu nie są dla mnie ani trochę bardziej przyjemne niż dla was dwojga.

–Wierzę – Shaylar uśmiechnęła się w odpowiedzi. – A z drugiej strony muszę przyznać, że oglądanie całego świata z góry jest wprost fascynujące. Jathmar od dawna miewał sny o lataniu. Wydaje mi się, że to ma coś wspólnego z jego Talentem. Podejrzewam, że spełnienie marzeń w takich okolicznościach to nie dokładnie to, o co prosił bogów, ale i tak wiem, że cieszy się na każdy lot jak dziecko. Przynajmniej przez pierwszych sześć godzin w siodle.

–A więc ty też to zauważyłaś?

Shaylar uśmiechnęła się słysząc żartobliwy, wesoły ton Gadrial. Arkanianka zachichotała, po czym, przypomniawszy sobie o Jathmarze podniosła głowę i spojrzała na szerokie bocianie gniazdo uczonego masztu statku. Stali na nim Jasak z Jathmarem. Obaj mężczyźni patrzyli w bezkresne, błękitne wody południowej części oceanu Evanos. Wątpiła, by cokolwiek stamtąd widzieli, ale przecież nie o to chodziło.

Stosunek emocjonalny Jathmara do Jasaka nie był tak... jednoznaczny, jak to było w przypadku Shaylar. Takiego obrotu spraw prawdopodobnie nie można było uniknąć z dwóch powodów, co Gadrial rozumiała ze smutkiem.

Pierwszy był taki, że Jathmar nie posiadał zdolności swojej żony do współodczuwania. Shaylar była Głosem i jak sama często powtarzała, urodziła się po to, by porozumiewać się z innymi. Nie mogła wręcz zaprzestać komunikacji z otaczającymi ją ludźmi, nawet kiedy tego chciała. W związku z tym wszystkim

wiedziała dużo więcej od męża na temat tego, co czuje Jasak i jak przeżywa obecną sytuację. Z kilku półsłówki Gadrial wnioskuje też, że shurkhaliński kodeks honorowy był o wiele bliższy temu, jakim posługiwał się Jasak i jego andarańscy pobratymcy niż zbiór zasad, według jakich wychował się Jathmar. W tym akurat magister widziała pewną ironię losu, ponieważ Jasak i Jathmar często mówili i zachowywali się tak, jakby wychowali się kilka mil od siebie, a nie w odległości wielu wszechświatów.

Po drugie i prawdopodobnie nawet ważniejsze – obaj byli mężczyznami. Gadrial z trudem powstrzymała cisnące się na jej usta westchnienie. Istnieje termin zoologiczny, który wyjaśnił jej kiedyś kolega w Instytucie Garth Showma – „samiec alfa”. Od chwili, gdy Gadrial poznała to pojęcie zaczęła żałować, że armia Andary nie zmusza swoich żołnierzy do uczestnictwa w kursach biologii. Było jasne, że o ile kiedykolwiek w życiu spotkała na swojej drodze „samca alfa” to był to właśnie sir Jasak Olderhan – mężczyzna ucieleśniający wszystkie andarańskie cnoty. Spotkała też jednak drugiego „samca alfa” – Jathmara Nargrę.

„Co tylko potwierdza teorię, że najbardziej irytujące męskie cechy występują we wszystkich wszechświatach” – zlorzczyła w myślach. – „Rahil! Czym sobie zasłużyłam, że znalazłam się w takim towarzystwie w tak ciężkich chwilach?”

Jathmar zdawał sobie oczywiście sprawę, że Jasak był w pełni – niemal fanatycznie – oddany chronieniu jego i Shaylar przed jakimikolwiek dalszymi krzywdami. Niemniej nadal pozostawał przecież mężem Shaylar i kochał ją, co sprawiało, że jego prymitywna męska konstrukcja wymagała od niego, by to on ją chronił. On i nikt inny. Tego – z oczywistych przyczyn – nie mógł zrobić, ponieważ był całkowicie uzależniony od, Jasaka czyli od oficera, dowodzącego oddziałem, który wymordował wszystkich przyjaciół Sharonian. To ostatnie jeszcze pogarszało sprawę, bez względu na to, co Jasak mówił obcym o swoich intencjach poprzedzających starcie na polanie. Wszystko razem sprawiało, że poczucie porażki i frustracja Jathmara wciąż rosły.

Co gorsza, fakt że Shaylar, która co prawda kochała Jathmara całym sercem, od razu zaakceptowała to, że Jasak – na mocy swojego kodeksu honorowego – został jej obrońcą (nie będąc zarazem jej mężem) prawdopodobnie budził w Sharonianinie zazdrość.

Po drugiej stronie stał Jasak, który sam będący wzorowym „samcem alfa” nie mógł zgodzić się na cokolwiek, co mogło zdjąć z niego odpowiedzialność za los *shardonai*. Przez to zachowywał się opiekuńczo nie tylko wobec Shaylar, ale i wobec Jathmara, co – mimo, że Jathmar był człowiekiem inteligentnym i doskonale rozumiał sytuację – wywoływało w Sharonianinie poczucie poniżenia. Nie mówiąc o urazie, wrazeniu utraty kontroli nad własnym życiem i podrażnionej dumie.

Dlatego właśnie Gadrial i Shaylar prawie dosłownie wygoniły ich obu na stanowisko obserwacyjne. Kobiety miały nadzieję, że jeśli spędzą trochę czasu same, to mężczyźni wykorzystają sytuację, żeby porozmawiać w cztery oczy i przewyciężyć przynajmniej część nieporozumień.

„Tak, oczywiście” – pomyślała Arkanianka z goryczą – „prędzej Evanos wyschnie.”

–Myślisz, że odkąd tam weszli zamienili ze sobą choć trzy słowa? – spytała Shaylar. Zamyślona Gadrial zamrugła słysząc jej głos.

–Słucham? – pokręciła głową. Shaylar parsknęła wesoło.

–Pytałam, czy myślisz, że zamienili ze sobą choć trzy słowa od kiedy weszli na górę? – powtórzyła wskazując ręką na bocianie gniazdo.

–Mam taką nadzieję – odparła po chwili Gadrial z szerokim uśmiechem. Obie wiedziały jak wyglądała prawda. – Ale nie jest to jakaś specjalnie wielka nadzieja.

–Ja też nie spodziewam się rewelacji – uśmiech powoli opuścił oblicze Shaylar i zaczerpnęła głęboko powietrza. – Aczkolwiek rozumiem ich doskonale. To dość paskudna sytuacja, prawda?

–Bardzo paskudna – zgodziła się Gadrial z ciężkim westchnieniem. – Gdybyśmy tylko potrafili cofnąć czas to...

–Nie mów tego – przerwała jej Shaylar. Gadrial otworzyła oczy z niedowierzaniem. Widać było, że poczuła się niezręcznie. Sharonianka pokręciła głową. – Miałam na myśli, że nie musisz tego mówić. Wiem co czujecie i Jathmar też to wie, bez względu na to jak... mało komfortowo czuje się pod opieką Jasaka. Po prostu nie ma sensu. Słowa niczego i tak nie zmieniają i nie ma żadnego powodu, żebyście się wciąż oskarżali i żebyście nas bez przerwy przepaszali za coś, co nie jest waszą winą i na co żadne z nas nie ma już wpływu.

–Pewnie masz rację. To o czym porozmawiamy, by ubarwić sobie nasz i tak przyjemny rejs wycieczkowy? – Gadrial uśmiechnęła się zawadiacko.

Shaylar zachichotała. O ile zdołała się zorientować okręt płynął ze wschodniego wybrzeża, wielkiego wyspiarskiego kontynentu Lissii przez cały Ocean Zachodni ku zachodnim brzegom Nowej Farnalii. Oznaczało to niemal pięć tysięcy mil żeglugi, która miała zająć im około dziewięciu dni, mimo że płynęli jednym z cudownie szybkich arkaniańskich statków. Niemniej – jak już wcześniej przyznała w rozmowie z Gadrial – bardzo się cieszyła na tę przerwę w trudach podróży, nawet jeśli każda kolejna mila morska przypominała jej boleśnie o wodach ambasady, w której pracowała jej matka.

–Zastanawiałam się – powiedziała po chwili – nad tym co półsetnik Varkal i Jasak mówili na temat różnicy pomiędzy Kłem Niebios i Pazurem Wichru.

–Tak?

–Odniosłam niejasne wrażenie, że pomiędzy smokami bojowymi, a tymi które półsetnik Varkal nazywa transportowymi istnieją bardziej znaczące różnice niż tylko rozmiary, czy zwrotność w locie – Shaylar zakończyła zdanie niemal pytająco i uniosła brwi.

–Och, oczywiście – przytaknęła Gadrial. – Pamiętaj tylko, że ja nie jestem magistronem i to, co wiem na temat smoków, a także innych ulepszonych magicznie gatunków nie różni się od tego, co usłyszałybyś na Arkanie od dowolnego laika. Choć – wargi jej drgnęły w nieznacznym uśmiechu – może jednak trochę więcej – mój zawód ma swoje wymagania. Ale naprawdę nie będzie to wiele. Powiem ci po prostu tyle, co wiem sama.

–Zamieniam się w słuch – powiedziała Shaylar, wyprostowała się lekko na leżaku, przekręciła na bok i spojrzała na Arkaniankę.

–No więc – zaczęła Gadrial – tak jak Daris mówił w Forcie Falon, smoki bojowe zostały zaprojektowane z myślą o szybkości zwinności lotu, w przeciwieństwie do smoków transportowych.

–Zaprojektowane? – powtórzyła Shaylar. Gadrial spojrzała na nią zdziwiona i Sharonianka pokręciła głową. – Wiem, że muszę pogodzić się z myślą o tym, że wy potraficie zrobić wiele rzeczy, które dotąd uważałam za niemożliwe, ale tak czy inaczej trochę... Dziwnie się czuję słuchając o „projektowaniu” żywej istoty.

–Powiedziałam ci, że nie jestem magistronem, więc te zagadnienia to nie moja specjalność – przypomniała Gadrial – ale sama technika jest nam znana już od długiego czasu. Co więcej – to jedno z niewielu pól magii teoretycznej i stosowanej, w której Ransar przoduje od około trzystu lat.

–To znaczy, że jesteście w tym lepsi od Mythalan, tak?

–Owszem – Gadrial odwróciła wzrok i spojrzała na spokojny, błękitny bezkres. Statek ciął wodę spokojnym, wdzięcznym tempem. – To właśnie magistron z Ransar jako pierwszy opanował zaklęcia pozwalające na badanie tego, co nazwał mapą genetyczną żywych istot.

–Co to jest „mapa genetyczna”? – spytała Shaylar, której mina wyrażała cierpliwość męczennicy.

–Przepraszam – uśmiechnęła się do niej Gadrial. – Słowo „genetyczny” pochodzi od

staroransarańskiego wyrazu oznaczającego „rasę” albo „pochodzenie”. Powodem, dla którego Hansara – Rayjhari Hansara, tak nazywał się magistron, który opracował zaklęcia i teorię – tak nazwał tę mapę – było to, że stanowi ona symboliczną reprezentację cech fizycznych żywych stworzeń. Podstawowa zasada magii mówi, że mapy tego rodzaju są terytoriami, po których można podróżować. Skoro więc Hansara wymyślił sposób na wizualizację i obróbkę charakterystyki żywego organizmu, to do „projektowania” istot na zamówienie był już tylko krok.

Shaylar zadrżała, jakby przeszył ją lodowaty szpikulec. I tak – metaforycznie rzecz ujmując – było w istocie.

–Czy to o czym mówisz stosuje się także do ludzi? – spytała po chwili.

–Nie – odparła z naciskiem Gadrial. Shaylar spojrzała naraz z ulgą i niedowierzaniem. Arkanianka wzruszyła ramionami. – Nie ma żadnego arkanicznego powodu, dla którego nie można by tej technologii zastosować wobec człowieka – dodała. – Kod istoty ludzkiej można wizualizować tak samo, jak każdego innego żywego stworzenia, ale od samego początku podobne eksperymenty zostały prawnie zabronione.

–Nawet w Mythal? – spytała z jeszcze głębszym niedowierzaniem Shaylar. Gadrial zaskoczyła ją wybuchem ostrego śmiechu.

–Przede wszystkim tam! Zmienianie ludzi jest prawdopodobnie ostatnią rzeczą, jakiej życzyliby sobie *shakira*. Dzięki temu można by przemienić *garthan* w *shakira*. Według ich religii byłoby to bluźnierstwo. Co najmniej bluźnierstwo. Poza tym – z bardziej praktycznego punktu widzenia, który według mnie jest dla nich chyba nawet ważniejszy – gdyby zamienić wszystkich *garthan* w magicznie uzdolnionych *shakira* to pomyśl tylko, co stałoby się z członkami dotychczasowej kasty panów? Już jakiś czas temu zauważyłam, że tam religia służy ziemskim ambicjom człowieka, a nie na odwrót.

–A gdyby zmienili *garthan* w jeszcze bardziej posłusznych niewolników?

–O! Ten pomysł mógłby przypaść przywódcom *shakiry* do gustu – przyznała Gadrial, krzywiąc się z odrazy. – W każdym razie teraz. Dawniej, wtedy gdy ustanowiono prawa zakazujące eksperymentów na ludziach, żaden *garthan* nawet nie śnił o ucieczce, czy choćby sprzeciwie wobec swych panów. Nie istniała więc potrzeba stworzenia „bardziej posłusznych niewolników”. W ówczesnym systemie nieposłuszeństwo było po prostu wykluczone.

–A dlaczego inne państwa postanowiły tego zabronić?

–Ponieważ w tamtych czasach technologia magiczna opierała się wyłącznie na badaniach metodą prób i błędów – wyjaśniła Gadrial. – W zasadzie pod wieloma

względami jest tak do dziś, zwłaszcza wtedy, gdy sporządzanie mapy nowego gatunku dopiero się rozpoczyna. Hansara wynalazł sposób na symboliczną wizualizację cech, ale pamiętaj Shaylar, że to niezwykle skomplikowany proces i początkowo nie było sposobu ustalić, który obszar mapy odpowiada jakim cechom stworzenia. Odkrywca i jego współpracownicy musieli więc za każdym razem nie tylko opracować bezpieczne metody modyfikacji map, ale i ustalić, które jej elementy tak naprawdę powinny zostać poddane modyfikacjom, by uzyskać pożądany cel. Przez długie dziesięciolecia większość eksperymentów kończyła się stworzeniem istot niezdolnych do samodzielnego życia, a w najlepszym wypadku czegoś, co było bardzo dalekie od zamierzeń twórców. Nikt więc nie chciał zezwolić na testy na ludziach, ponieważ równie dobrze to, co miało być w zamierzeniu udoskonaleniem człowieka mogło się skończyć na przykład narodzinami trójgłowych potworów. Poza tym, zarówno Hansara jak i większość jego kolegów pochodziło z Ransar.

–A jakie to ma znaczenie? – spytała Shaylar. Gadrial urwała i spojrzała na nią ciekawie.

–Wiesz – powiedziała po chwili – mówisz po andarańsku tak płynnie, że zdarza mi się zapominać o tym, jak mało w istocie wiesz na temat Arkany. Nie wiesz na przykład, z jakich powodów – nie myślę oczywiście o osobistych – Ransaranie nie lubią Mythalan.

–Mam rozumieć, że jeden lub więcej tych powodów wiąże się z tym, o czym mówimy?

–Tak. Można tak powiedzieć. Widzisz, jedną z głównych przyczyn wrogości pomiędzy narodami Mythal i Ransar jest całkowita odmiennosc naszych systemów religijnych. Oni wierzą, że ludzka dusza – nazywają ją *yurhą* – doświadcza dziesiątków, setek a może i tysięcy wcieleń. Celem tej wędrówki przez kolejne inkarnacje jest pełna realizacja *yurhy* – osiągnięcie „wyższego poziomu rozwoju” – a ostatecznie dosięgnięcie poziomu boskości, w którym dusza zleje się w jedno z całym wszechświatem. Tak właśnie wyobrażają sobie Boga: jako cały wszechświat. Ich bóg nie jest nikim konkretnym, nie jest stwórcą, lecz czymś w rodzaju... całości energii magicznej, skumulowanej w otaczającym nas świecie. To dlatego właśnie *shakira*, uznają się w tak „oczywisty” sposób za lepszych od członków pozostałych kast. To oni przecież otrzymali Dary pozwalające na pracę z magiczną energią, są więc zatem bliżsi bóstwa niż wszyscy pozostali. Po prostu w ich kaście rodzą się sami osobnicy z wysoko rozwiniętą *yurhą*.

–To samo – ciągnęła – służy też usprawiedliwieniu ich stosunku do *garthan*. Funkcją kasty niewolników jest wykonywanie wszystkich brudnych, poniżających, wyczerpujących fizycznie czynności, na które *shakira* po prostu nie mają czasu. Nie mają go, ponieważ muszą zajmować się poznawaniem tajników magii, co przybliża ich do najwyższego poziomu egzystencji. Co więcej – byłoby grzechem, gdyby

pozwolili sobie na zajmowanie się zwykłymi pracami. To mogłoby spowodować, że ich *yurha* osunęłyby się w dół wzdłuż tego „wielkiego łańcucha bytu”.

–To, co mówisz brzmi trochę jak zniekształcona wersja religii niektórych Lissian – powiedziała ostrożnie Shaylar – tyle, że oni akurat należą do najłagodniejszych i najbardziej przepelnionych współczuciem narodów Sharony.

–Mythalanie nie są ani łagodni, ani pełni współczucia – przypomniała Gadrial z naciskiem i westchnęła. – Mam wrażenie, że na mój stosunek do nich zbyt mocno niekiedy wpływają moje osobiste doświadczenia – przyznała – ale częścią problemu, jaki mam z ich kulturą jest to, że jeśli się już raz zaakceptuje ich wierzenia i wynikające z nich nastawienie do świata to cała reszta, włącznie z niehumanicznym traktowaniem *garthan*, okazuje się zupełnie logiczna i racjonalna. Oni po prostu nie są w stanie pojąć, czemu żadna inna kultura ich nie rozumie i nie postępuje jak oni. To właśnie jest jeden z powodów, dla których Andara i Ransar nie żyją z Mythal w zgodzie.

–Dla nich bowiem – ciągnęła – jedynym celem ludzkiej rasy, jedynym sensem naszego istnienia jest ostateczne osiągnięcie pojednania i jedności ze światem. Wierzą w reinkarnację i według nich *yurha* ma do dyspozycji praktyczne nieskończoną ilość wcieleń, w których może się rozwijać. Krzywdząc kastę *garthan* - albo jej pojedynczych przedstawicieli – nie robią więc w zasadzie nic nagannego. Po pierwsze każda inkarnacja to tylko krótki etap w nieskończonej podróży, a po drugie każdy z niewolników i tak stanie się kiedyś jednym z *shakira*. Jedną z najokrutniejszych tradycji Mythal – odbieranie rodzicom magicznie uzdolnionych dzieci i przekazywanie ich na wychowanie rodzinom *shakira* - jest usprawiedliwiana właśnie jako pomoc udzielana tym dzieciom na drodze do osiągnięcia oświecenia.

Shaylar poparzyła przez chwilę na Gadrial. Pamiętała o tym, że Arkanianka nienawidziła Mythalan. Z drugiej jednak strony знаła ją – znała magister Gadrial Kelbryan. Jeśli ona nienawidziła Mythalan to dlatego, że gardziła ich sposobem widzenia świata. Z pewnością nie było tak, że zniekształcała ich wierzenia z powodu swej nienawiści.

–A czym od ich religii różni się twoja, ransarańska? – zapytała wreszcie.

–Właściwie wszystkim – prychnęła Gadrial. – Po pierwsze wszyscy Ransaranie – z wyjątkiem Manisthuan – są monoteistami. To znaczy, że wierzymy w istnienie tylko jednego Boga. Bóg jest z definicji nieskończony i – także z definicji – dwie nieskończone istoty nie mogą istnieć naraz. Jest więc tylko jeden. Wszyscy nasi teologowie już dawno temu zgodzili się, że jeśli dwa byty są od siebie oddzielone i da się je od siebie odróżnić, to pod jakimś względem muszą być skończone. Po prostu muszą się gdzieś kończyć, skoro mają być dwa. Niestety – jesteśmy Ransaranami i choć godzimy się co do tego, że Bóg jest jeden, to różnimy się co do tego, kim On –

lub Ona – jest.

W kącikach oczu Shaylar pojawiły się wesole iskierki. Zachichotała.

–Muszę oddać sprawiedliwość Mythalanom – powiedziała Gadrial. – Szczerze mówiąc nie wyobrażam sobie ludzi, którzy mogliby być dla nich bardziej... drażniący od Ransaran. Wygląda to tak, jakby Bóg rozmyślnie nas stworzył by im dopiec. Z wzajemnością, rzecz jasna.

–Ransaranie wyznają trzy główne religie – mówiła dalej – istnieje też całkiem spora liczba pomniejszych sekt. Ja osobiście jestem członkinią Bractwa Rahil. My Rahilianie wyznajemy naukę Rahil – Wielkiej Prorokini. Według przekazów Rahil była magistronem o niewyobrażalnie wielkiej wiedzy i umiejętnościach. Przyszła na świat w czasach zanim jeszcze zrozumiano teorię magii. Wierzymy, że jej ogromny Dar był bezpośrednio przekazany przez Boga jako znak Jego upodobania i aprobaty. Jej teksty teologiczne stanowią podstawę naszych wierzeń. Według Rahilian Bóg jest nieskończony i jako taki jest absolutnie niepoznawalny. Niemniej wiadomo o nim, że jest dobrym i kochającym Stwórcą, stopniowo ujawniającym nam tę część siebie, którą – jako skończeni śmiertelnicy – jesteśmy w stanie pojąć.

–Podobnie jak Mythalanie, Rahilianie wierzą, że celem naszego fizycznego, śmiertelnego istnienia, wcielenia jest – by użyć mythalańskiego określenia – samodoskonalenie się duszy. Osiągamy je dokonując w życiu właściwych wyborów i nabierając doświadczenia. Wierzymy też jednak, że Bóg jest czymś innym niż wszechświat, uważamy, że On rozciąga się poza to, co zmysłowe i przekracza to tak samo, jak wykraczają poza świat ludzkie dusze. Uważamy także, że On szuka indywidualnej więzi z każdym z nas. Tak przynajmniej pisała Rahil.

–Na przestrzeni stuleci – przyznała Gadrial – Rahilianie i wyznawcy pozostałych dwóch głównych religii Ransar spędzili bardzo dużo czasu masakrując się wzajemnie z powodu różnic religijnych. Wojny te dobiegły końca jakieś sto lat temu. Nie jest oczywiście tak, że teraz jest pięknie i spokojnie. Spory nie zanikły. Doszliśmy jednak do porozumienia, że bez względu na to, która ze stron ma rację Bóg prawdopodobnie nie cieszy się widząc, że Jego – lub Jej – czciciele mordują innych tylko dlatego, że tamci żyją w błędzie. Niemniej wszystkie nasze religie mają trzy wspólne fundamenty: po pierwsze, wierzymy, że Bóg jest osobowy, wszechmocny i, że istnieje poza materialnym wszechświatem. Po drugie, Ransaranie nie wierzą w reinkarnację, choć wszyscy uznajemy, że ludzka dusza jest nieśmiertelna. Wierzymy też, że każda z tych nieśmiertelnych dusz otrzymuje jedno wcielenie, w którym jej zadaniem jest nawiązanie kontaktu z Bogiem. Istnieją różnice co do losu, jaki spotyka dusze, którym nie uda nawiązać się właściwego kontaktu. To zresztą było jednym z powodów, dla których tak radośnie wybijaliśmy się w przeszłości.

–Po trzecie, wierzymy, że każdy powinien otrzymać jak najwięcej możliwości, by

stać się tym, kim chce się stać, by zrealizować samego siebie. Nie tylko dlatego, że wszyscy wiemy, iż Bóg chce, byśmy się nawzajem kochali, ale dlatego, że stając się tym, kim chcemy się stać, zbliżamy się do Niego, a zatem i do nawiązania tego „właściwego kontaktu”... bez względu na to jak go sobie wyobrażamy.

Urwała i spojrzała na Shaylar. Telepatka powoli skinęła głową. Gadrial miała rację. Zakładając, że opis obu religii był dokładny – lub przynajmniej uczciwy – a w to Shaylar nie wątpiła, nienawiść, pogarda i strach, jakie Mythalanie czuli do Ransaran nie były niczym zaskakującym. Dla kogoś wyznającego podobne jak Gadrial zasady religijne i filozoficzne nie mogło istnieć nic bardziej odstręczającego od mythalańskiego systemu kastowego. Tym bardziej godna podziwu okazała się głęboka miłość, jaka swego czasu złączyła magister Kelbryan i magistra Halathyna.

–Biorąc pod uwagę – podjęła Gadrial – wielką wartość, jaką Ransaranie przypisują życiu każdego człowieka możliwość, że którakolwiek z głównych religii – których wyznawcy w tym samym czasie zapamiętałe wycinali innowierców – dopuści prowadzenie eksperymentów na ludziach metodą prób i błędów była, by tak rzec, znikoma. Tak, więc zarówno Mythalanie, jak i my – choć z różnych powodów – zabroniliśmy takich praktyk na ludziach od samego początku.

–Ale innych stworzeń zakaz już nie dotyczył – zauważyła Shaylar. Gadrial pokręciła głową i Sharonianka ledwie tylko powstrzymała się od nieprzyjemnego grymasu.

Im więcej dowiadywała się o Mythalanach, tym bardziej brała stronę Ransaran. Mimo to coraz lepiej rozumiała też, że nawet humanistycznie nastawieni rodacy Gadrial różnili się bardzo od jej własnych pobratymców. Większość Sharonian nie zgodziłaby się, gdyby podobne eksperymenty chciano przeprowadzać na jakichkolwiek żywych istotach – nie tylko na ludziach. Oczywiście zdarzały się wyjątki, ale dzięki istnieniu takich osób jak matka Shaylar, których Talent umożliwiał porozumiewanie się z inteligentnymi gatunkami zwierząt nie było tych wyjątków wiele. Niewielu Sharonian zgodziłoby się z twierdzeniem, że krowy czy kury są intelektualnie czy moralnie równe ludziom, ale tak samo niewielu zaprzeczyłoby tego samego w odniesieniu do wielkich małąp czy morskich ssaków, których inteligencja, choć nie identyczna z ludzką różniła się od niej w bardzo niewielkim stopniu. Pod pewnym względem istnienie tego samego Talentu sprawiało także, że nie przesadzano z porównywaniem do ludzi tych istot, z którymi kontakt był niemożliwy. Niemniej Sharonianie nie traktowali świata jako swej wyłącznej własności i pomysł sztucznego tworzenia potworów byłby dla nich wysoce niestosowny.

Oczywiście Shaylar nie miała zamiaru podejmować w tej chwili rozmowy na ten temat. Tym bardziej, że jak dotąd udało się jej utrzymać w tajemnicy fakt istnienia tego konkretnego Talentu, mimo, że opowiadała już Gadrial o matce.

„Będzie o wiele trudniej, jeśli zapytają mnie w jakim państwie moja mama jest

ambasadorem" – przemknęło jej przez myśl. – „Nie powinnam więc dodatkowo kusić losu.”

–A jaki to wszystko ma związek ze smokami i ich podziałem na transportowe i bojowe? – zapytała.

–Pierwsze smoki zostały zbudowane właśnie przez ransarańskich magistronów – wyjaśniła Gadrial takim tonem, jakby podawała przyjaciółce przepis na ciasto.

–Zbudowane??? Z czego? – zapytała telepatka.

–Co do tego wciąż trwają spory – przyznała Gadrial. – Według jednej z wersji w owym czasie, w Ransar nadal jeszcze żyły wielkie jaszczury. – Wzruszyła ramionami. – Osobiście do mnie to nie przemawia. Wszystkie skamieliny wskazują na to, że ogromne gady wymarły – wymarły nagle, jeśli myśleć o tym w kategoriach geologicznych – na długo zanim na świecie pojawiły się pierwsze smoki. Pewnym podobieństwom nie można jednak zaprzeczyć.

–W każdym razie – ciągnęła ignorując zdumioną minę Shaylar – smoki powstały w Ransar i początkowo były wyłącznie zwierzętami pociągowymi. Przenosiły towary. Żyją jeszcze u nas smoki bezskrzydłe, które służyły zamiast koni czy jednorożców. Nawet wojsko wykorzystywało je głównie do przewozu ludzi i sprzętu. Potem jednak do akcji wkroczyli Mythalanie.

–Pewnie nie uwierzysz, ale wiedziałam, że w końcu to powiesz – uśmiechnęła się Shaylar.

–Mądra z ciebie dziewczyna – pochwaliła ją Gadrial i zachichotała. – Podejrzewam, że w grę wchodziła tu ich zawiść. Nie potrafili znieść myśli, że prymitywni Ransaranie wynaleźli coś, w czym oni nie mieli żadnego udziału – ciągnęła. – I faktycznie, bolesna prawda jest taka, że w owym okresie w porównaniu z Mythalanami rzeczywiście byliśmy prymitywni. Hansara był Tosarianinem, a Tosaria była jednym z naszych bardziej rozwiniętych państw. Moi przodkowie na przykład, malowali się wówczas na żółto-niebiesko i ozdabiali swoje szalasy głowami nieprzyjaciół. Mythalanie uważali, że wszyscy Ransaranie tacy są i właśnie wtedy Hansara dokonał swojego odkrycia i smoki pojawiły się na świecie. Aroganccy *shakira* oczywiście postanowili natychmiast udowodnić, że są w stanie zrobić to lepiej od nas. A zatem nie interesowało ich banalne usprawnianie zwierząt pociągowych. Postanowili znaleźć im zastosowanie militarne.

Wesoła jeszcze przed chwilą Gadrial spoważniała natychmiast.

–Kieł Niebios jest czystej krwi smokiem transportowym. Tak, jak mówił Daris jego rodowód sięga prawdopodobnie pierwszego jaja. Jest większy, silniejszy i mniej zwrotny od smoków bojowych. Potrafi też od nich więcej przenieść i jest bardziej

wytrzymały. Ponadto, poza kłami i pazurami nie ma żadnej broni.

–Chcesz powiedzieć, że smoki bojowe potrafią walczyć jeszcze w inny sposób? – spytała Shaylar szeroko otwierając oczy.

„Matko Martheo!” – pomyślała z lękiem. – „Przecież te ich rogi, szpony i zębiska są dostatecznie groźne! Po co takim potworom więcej broni? Chyba nawet Mythalanie nie mogli posunąć się do czegoś takiego?!”

–Oczywiście, że tak – odpowiedziała Gadrial tak ponuro, jakby usłyszała myśli Sharonianki. – Broń, której użyli przeciwko wam ludzie Jasaka nazywamy „smokami piechoty” dlatego, że działa ona tak samo, jak „naturalna” broń, którą Mythalanie wbudowali żywym smokom. Shaylar, niektóre ze smoków bojowych potrafią ziać ogniem – czy raczej pluć ognistymi kulami. Inne są w stanie miotać pioruny. A jeszcze inne – mimo podejmowanych co jakiś czas wysiłków w celu zakazania takich praktyk – wydychają trujące gazy.

Shaylar spojrzała na nią w przerażeniu. Arknianka wzruszyła ramionami. Z pewnością czuła to samo, co Shaylar, ale w tym geście chodziło o coś innego. Gadrial spojrzała towarzyszcze prosto w oczy.

–Rozumiem, że jest to dla ciebie straszne i nienaturalne, Shaylar – powiedziała – i zgadzam się z tobą, że wbudowanie czegoś takiego żywej istocie jest typowo mythalańskie. Sama zawsze uważałam, że smok bojowy jest najstraszliwszą ze wszystkich broni. Może zaraz po zakłęciach masowego zniszczenia, które zostały zakazane tuż po zawiązaniu Unii. Przynajmniej to jedno udało się Arkanie osiągnąć. Nie wydaje mi się jednak, żeby twoi pobratymcy bardzo się różnili od nas, kiedy dochodzi do wojen. Wszystkim naszym oficerom zarzucasz ze zgrozą w głosie, że żołnierze Jasaka żywcem palili twoich przyjaciół. Zgadzam się z tobą. To straszna śmierć. Ale na wojnie ma miejsce wiele takich sytuacji, prawda? Powiesz mi może, że w waszym świecie nigdy nie wylewano płonącego oleju na głowy wojowników szturmujących zamkowe mury? Wasza artyleria – te wasze „moździerze” – nigdy nie rozerwała nikomu trzewi i nikt na polu bitwy nie wykrwawił się powoli na śmierć? Nigdy nie paliliście okrętów przeciwnika na pełnym morzu i nie dawaliście tym samym jego marynarzom stojącym na pokładzie wśród ognia wyboru pomiędzy spłonieniem a utonięciem?

Shaylar otworzyła usta chcąc coś odpowiedzieć, lecz zamknęła je na powrót. Zrozumiała, że Gadrial ma rację. Na każdej wojnie i w każdym wszechświecie ludzie umierali straszliwą śmiercią. Żaden świat nie ma monopolu na okrucieństwo.

–Nie chcę przez to odmówić ci prawa do uznania za barbarzyństwo tego, co stało się z waszym zespołem – ciągnęła Gadrial łagodniejszym już głosem. – Tu masz słuszność, choćby dlatego, że byliście cywilami i chcieliście się tylko obronić. Ale

myśląc o okropieństwach, jakie mogą spotkać twoich pobratymców za sprawą arkaniańskiej broni nie zapominaj, że i my z lękiem myślimy o tym, do czego wy jesteście zdolni. Obie strony pełne są strachu i obie uważają przeciwników za barbarzyńców. Co noc modłę się do Boga, żeby okazało się, że obie się mylimy, że Mistrz Skirvon i Mistrz Dastiri usiądą do rozmów z waszymi ludźmi i uda im się wynegocjować jakieś rozwiązanie całej tej sytuacji, dzięki czemu nikt już nie będzie musiał zginąć.

–Ale jeśli Skirvon i Dastiri zawiodą – mówiła dalej – wtedy o tym, co się wydarzy zdecydują ludzie tacy jak ojciec Jasaka i Arkana pójdzie na wojnę z Sharoną. Wiesz już, co powie ojcu Jasak, ale to od nas – od ciebie, Jathmara i ode mnie – zależy, czy uda się przekonać diuka, że rzucanie na wroga każdej możliwej broni jest złe. A rozmawiając z nim o tym będziesz musiała być brutalnie szczerą co do tego, jak barbarzyńscy potrafią być Sharonianie.

Zamilkła. Przez kilka chwil słyhać było tylko szum fal i wiatru. Shaylar nieznacznie skinęła.

–Masz rację – powiedziała. – Przynajmniej w części. Jestem pewna, że śmierć od wybuchu pocisku artyleryjskiego jest równie straszna jak ta od jednej z waszych błyskawic. Masz też rację, że i my używaliśmy płonącego oleju i paliliśmy wrogie okręty. Używaliśmy do tego substancji, którą nazywamy „ogniem ternathiańskim”. Wychodzi na to, że jedyną różnicą między naszymi światami jest to, w jaki sposób popełniamy swoje okrucieństwa.

–Obawiam się, że tak – przytaknęła smutno Gadrial.

–Może czuję tak, jak czuję wyłącznie dlatego, że jestem cywilem. Nigdy wcześniej nie widziałam z bliska niczyjej śmierci. Nie przypuszczałam nawet, jakie to przerażające i jakie brzydkie – na jej twarz wypłynął grymas przypominający nieco słaby uśmiech. – Kiedy się o tym tylko słyha, nie można zrozumieć, jakie to mało... humanitarne. Pomyślę nad tym, o czym powiedziałaś. Zwłaszcza o tym, że należy przekonać ojca Jasaka, że Sharonie nie jest gniazdem żmij, które tylko czekają by rozpełznąć się po całej Arkanie.

–Z tego co słyhałam o diuku, to raczej tak nie pomyśli – zauważyła Gadrial – ale będą też inni i niektórzy z nich pewnie już właśnie tak myślą.

–Rozumiem – Shaylar skinęła głową i ciężko westchnęła. Otrząsnęła się po chwili. – Mówiłaś o smokach... – dodała.

–Mówiłam, że smoki piechoty zostały nazwane tak, a nie inaczej, ponieważ działają tak, jak „wrodzona” broń smoków bojowych – przypomniała Gadrial. – Tylko, że smoki piechoty są o wiele słabsze niż oddech smoka. Smoki polowe są po wielokroć

potężniejsze od smoków piechoty, których użyli ludzie Jasaka i mają większy zasięg. Nawet najsilniejszy smok polowy nie jest jednak tak silny jak broń smoków bojowych. Smoki piechoty i polowe muszą być ładowane zaklęciami z zasobników. Żywe smoki bojowe są zasobnikami same w sobie. Ładują się samoczynnie, czerpiąc po każdym strzale energię wprost z magicznego pola.

–Bardzo się staram pamiętać o tym, o czym rozmawialiśmy przed chwilą – powiedziała cicho Shaylar – ale kiedy cię teraz słucham okazuje się to trudne.

–Nie mówiłam, że moja opowieść będzie przyjemna...

–Wiem, wiem – Shaylar pokręciła głową. – Czy chcesz powiedzieć, że smoki bojowe nienawidzą mnie, a transportowe jak Kieł są obojętne, z powodu różnic w tej... magii, którą Mythalanie zaszczepili zwierzętom? – spytała Shaylar rozmyślnie próbując oderwać umysł od wizji śmierci i zniszczenia.

–Prawdopodobnie – przyznała Gadrial opierając się wygodniej na leżaku. Także i ona ucieszyła się ze zmiany tematu. –

Aczkolwiek wydaje mi się, że nie chodzi tu tyle o samą tę broń, co o zmiany w... osobowości smoków, które nastąpiły po zaszczepieniu w nich umiejętności ziania. Pierwsi hodowcy w Ransar kładli nacisk na potulność swoich wychowanków. Twórcy smoków nie chcieli pozwolić, by istoty o tych rozmiarach i sile mogły kiedykolwiek wpaść na pomysł pożarcia swych treserów. Mythalanie jednak, tworząc smoki z myślą o zastosowaniu ich na polu walki, postanowili „ulepszyć” i to. Kilku smoczym rodom zaszczepili więc cechy krokodyli z rzeki Mythal. – Skrzywiła się – przez co smoki te są o wiele bardziej agresywne niż zwykłe zwierzęta transportowe, takie właśnie jak Kieł Niebios.

–Rozumiem – powiedziała powoli Shaylar. Była gotowa przyznać Gadrial rację. Wyczuwała pokrewieństwo pomiędzy Kłem, a wielkimi waleniami, które rozmawiały z jej matką szukając kontaktu z ludźmi. Smok nie był aż tak rozumny jak morskie ssaki – a przynajmniej ona tego nie potrafiła wyczuć - niemniej jego osobowość wywoływała w niej podobne odczucia. Skoro jednak Kieł Niebios przypominał wieloryby, to smoki bojowe należało przyrównać do wielkich rekinów... lub może do barrakud.

–To bardzo ciekawe – odezwała się po chwili. – Muszę to przemyśleć. Zresztą miałabym się nad czym zastanawiać nawet bez twojego wykładu – uśmiechnęła się zawadiacko i ziewnęła. Ziewnięcie nie było w stu procentach udawane i wykrzywiło nieco jej uśmiech. – Jeśli nie masz nic przeciwko, to skorzystam z pogody i podrzemię na słońcu do obiadu.

–Ależ proszę. Wypoczywaj póki masz okazję – doradziła Gadrial z równie

zawadiacką miną. – W następnych sześciu wszechświatach nie będzie już tak słonecznie.

–W takim razie...

Shaylar wyprostowała się w leżaku i opatuliła nogi lekkim kocem. Uśmiechnęła się do Gadrial, zamknęła oczy i prawie natychmiast przyśnił się jej koszmar. Na nocnym niebie Sharony tańczyły płomienie ognistego oddechu upiornych smoków.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY PIĄTY

–A więc Davir? Jak myślisz, jakie będą u nas reperkusje tych negocjacji? – zapytał Darl Elivath. Było późno. Siedział z Davirem Perthisem i sączyli herbatę. Znajdowali się w przeznaczonym dla dziennikarzy USMS pomieszczeniu, w skrzydle Wielkiego Pałacu oddanym wyłącznie na potrzeby prasy. Czekali na oficjalny komunikat Komisji Unifikacyjnej Konklawe, który miał potwierdzić, że powstała już wstępna wersja Aktu Zjednoczenia.

–Pytasz o ich wpływ na Konklawe i Zjednoczenie? Czy na podjęcie decyzji o wejściu na wojenną ścieżkę? – spytał Perthis.

–Pytam o obie te rzeczy – powiedział Elivath. – W końcu gdyby nie groźba wojny, to Konklawe nie zostałyby zwołane, prawda?

–No cóż – Główny Głos USMS podrapał się z namysłem w brodę. – To, że oni w ogóle chcą z nami rozmawiać to raczej dobry znak. Takich rzeczy nie robią przecież barbarzyńcy, jakich wszyscy się w nich spodziewaliśmy. A możliwość, że to była od początku pomyłka – że ich wojsko nie miało pojęcia, że strzela do cywilów – zupełnie nie przyszła mi wcześniej do głowy.

Perthisa zaskoczyło z jak dużą niechęcią się do tego przyznał. Pomyślał, że przyczyną tej niechęci mógł być fakt, że w podsycanie nienawiści wobec „Arkanian” osobiście zainwestował bardzo wiele i nie chciał by okazało się, że wszystko poszło na marne. A może chodziło tu o obrazy z ostatniego, telepatycznego przekazu Shaylar? Raz jeszcze przed oczami stanął mu Ghartoun chan Hagrahyl podnoszący się z uniesionymi, pustymi rękoma... i raz jeszcze zobaczył, jak chwilę potem padał dławiąc się własną krwią.

Perthis całe swoje życie zawodowe poświęcił mediom. Bez cienia wątpliwości wiedział, że to, co zobaczył dzięki wiadomości nadanej przez Shaylar było prawdą. Głos nie był w stanie – w dosłownym sensie tego słowa – skłamać podczas tak głębokiego połączenia z innym telepatą. Mimo to, Perthis był dziennikarzem i wiedział, że nawet prawdę można źle zrozumieć lub poddać błędnej interpretacji. Co zatem wydarzyło się tak naprawdę na polanie?

Tego rodzaju pomyłka, niewłaściwe zrozumienie przekazu, rzeczywiście mogła mieć miejsce. Jeśli tak było, to z pewnością przyczynił się do niej fakt, że na Sharonie względnie niewielu ludzi widziało na własne oczy tak gwałtowną, brutalną śmierć. Taki błąd mógł zostać spowodowany samym tylko emocjonalnym ładunkiem, jaki niesło ze sobą oglądanie podobnych obrazów zwykłym, fizycznym wzrokiem. Doświadczenie rzezi za pomocą przekazu telepatycznego było o wiele bardziej

intensywne, a co za tym idzie silniej oddziaływało na wyobraźnię.

–A co myślisz o ich wersji losu Shaylar?

Pytanie Elivatha wyrwało telepatę z zamyślenia. Perthis podniósł wzrok i spojrzał na niego gorzko.

–Tak naprawdę, to nie powiedzieli nam o niej zbyt dużo – zauważył. – Poza tym, że nie zginęła na miejscu, co i tak już wiedzieliśmy. Ciągłe tylko powtarzają, że próbowali dotrzeć z nią do Uzdrowiciela, który mógłby ją uratować, gdyby tylko zdążyli na czas. Wiesz, tego rodzaju informacje nie są zbyt wiele warte. Zresztą fakt jest taki, że Shaylar nie żyje i że to oni ją zabili.

–Myślisz, że obcy kłamią?

–Tego nie powiedziałem – Perthis zauważył, że jego głos zabrzmiał tak, jakby się z czegoś tłumaczył. Machnął ręką. – No dobra. Przyszło mi to kilka razy do głowy. Trudno mi tak nagle zmienić zdanie na ich temat. A przy tym, Darl, przyjrzyj się twardym faktom – nie mamy ani jednego dowodu, że to, co nam opowiadają obcy jest prawdą. Nie podoba mi się to.

–Ale skoro próbowali ją uratować i jeśli jakoś nam to udowodnią, to czy nie wydaje ci się, że opinia publiczna też zacznie ich inaczej traktować?

–Jeśli rzeczywiście chcieli ocalić jej życie i rzeczywiście na polanie popełnili straszliwy błąd, to tak – odparł Perthis. – Tylko, że strasznie dużo tych "Jeśli", Darl. Wiele jeszcze pozostaje do wyjaśnienia. Powinni nam na przykład wyjaśnić, w jaki sposób oddział regularnego wojska może uznać za napastnika stojącego z wyciągniętymi, pustymi rękoma mężczyznę. Ja nie twierdzę, że tego rodzaju pomyłka jest niemożliwa. Bogowie chyba tylko wiedzą jak wiele podobnych zdarzeń miało miejsce w naszej własnej historii. Mam na myśli tylko to, że ciężko będzie przekonać do tego ludzi, którzy Widzieli bitwę na własne oczy z perspektywy naszego zespołu. Samemu ciężko mi uwierzyć w tę wersję z pomyłką.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował. Nie wiedział ile tak naprawdę Elivath słyszał na temat plotek mówiących o telepatycznych wiadomościach, które ostatnio dotarły podobno do cesarza Zindela i reszty uczestników Konklawe. Pierwszy raport regimentarza Velveliga informował o tym, że Arkanianie chcą nawiązać negocjacje i ten upubliczniono w sieci Głosów. Kolejne jednak wiadomości – w tym także odpowiedzi Konklawe i Zindela – trzymano już w tajemnicy.

Pozornie chodziło o to, by nie podsycać nadziei opinii publicznej, ani nie zaognić sytuacji w razie, gdyby – co raczej nieuniknione w trakcie rozmów z zupełnie nieznaną dotąd cywilizacją – pojawiły się w negocjacjach jakieś problemy lub tarcia. W tej oficjalnej wersji przyczyn utajnienia treści wiadomości Perthis dostrzegał dużo

sensu, ale do jego uszu dotarły też szeptane pogłoski, według których treść przekazów sugerowała, iż Arkanianie nie byli w rozmowach do końca szczerzy. Nie wiedział, na jaki temat obcy mieliby kłamać, ale sam fakt nie wydawał się zbyt pocieszający.

–No cóż, załóżmy, że okaże się iż oni rzeczywiście zrobili co tylko mogli, by ją uratować – powiedział Elivath – i że po tym wszystkim co już zdążyło się wydarzyć, naprawdę chcą wypracować jakieś pokojowe rozwiązanie całej sytuacji. I gdyby się tak okazało, to jak myślisz? Jakie miałyby to znaczenie dla decyzji Konklawe i dla Zjednoczenia?

–Nie wiem, czy można spodziewać się jakiegokolwiek efektu – odpowiedział Perthis. Elivath uniósł sceptycznie brew i główny Głos wzruszył ramionami. – Od jakiegoś czasu Konklawe – zauważył – zaczęło już żyć własnym życiem. Poza tym, nawet jeśli udałoby nam się powstrzymać konfrontację z obcymi tym razem, to i tak mielibyśmy już zawsze świadomość, że te bydlaki tam gdzieś siedzą, prawda? I mielibyśmy ich obecność brać pod uwagę we wszystkich własnych równaniach politycznych.

–Naprawdę tak uważasz?

Elivath skrzywił się i odstawił filiżankę z herbatą na stolik. Przez chwilę bawił się obracając ją na spodeczku. Ściągnął lekko usta i wyjrzał przez okno. Za szybą rozciągały się rześkie oświetlone ogrody Wielkiego Pałacu przykryte wielką, granatową kopułą usianego gwiazdami nieba. Po kilku chwilach powrócił wzrokiem do Perthisa.

–Rozmawiałem niedawno z jednym z teoretyków Zarządu – powiedział korespondent sieci Głosów. - Z tego, co mówił wynika, że Wrota Piekieł mogą być jedynym punktem styczonym ze światem tamtych. Gdybyśmy więc zdobyli nad tym portalem całkowitą kontrolę, albo gdybyśmy się zdołali tam od nich jakoś odgradzić to chyba byłby to koniec całej historii?

–Jedyny punkt styczony? Co to znaczy?

Perthis oparł się wygodniej na krześle. Szczerze mówiąc nigdy nie uważał Elivatha za najbystrzejszego człowieka w USMS. Doceniał i szanował moc jego Talentu i niezłomność jego zasad, ale zawsze też myślał o nim jako o jednym z tych korespondentów, którzy wymagają dodatkowo subtelnej pomocy.

Zdawał sobie sprawę, że Elivath jest świadom tej jego opinii – był to jeden z problemów, z którymi musieli sobie radzić wszyscy obdarzeni silnymi Talentami i pracujący wspólnie telepaci. Sytuację poprawiało to, że obaj darzyli się wzajemnym szacunkiem. Niemniej, nigdy nie nazwałby dziennikarza mistrzem intelektu. Korespondent okazywał się niesłychanie skuteczny, gdy chodziło o wytłumaczenie

odbiorcom nawet skomplikowanych pojęć i wydarzeń, ale tylko wtedy, gdy sam je wcześniej przyswoił. Zazwyczaj więc dziennikarze, którzy cały problem zbadali i wykryli, musieli to wszystko objaśniać najpierw jemu. Częścią pracy Perthisa było właśnie wyszukiwanie ekspertów, którzy w odpowiedni sposób tłumaczyli różne sprawy Elivathowi i poczuł się teraz lekko zaskoczony słysząc, że dziennikarz zdobył jakąś informację samodzielnie, zwłaszcza, że chodziło tu o problem dość złożony. Skoro jednak korespondent rzeczywiście dowiedział się czegoś samodzielnie, to Perthis chciał to usłyszeć.

–Dlaczego we Wrotach Piekieł miałyby być jedyny punkt styczny? – podjął po chwili główny Głos. – Chyba jedynym argumentem, który pozwalałby nam tak myśleć jest to, że to dopiero pierwszy portal do nich.

–Nie jestem najbardziej biegły w tych sprawach – zauważył Elivath i Perthis pomyślał, że jego kolega lubi używać sformułowań nie w pełni oddających istoty rzeczy. – Obaj o tym wiemy, ale według tego faceta, najnowsze modele teoretyczne opisujące działanie multiwersum wskazują, że nasz wszechświat jest częścią czegoś, co można by nazwać... linią wszechświatów. Taką, jak te splecione, stalowe liny, których użyto do zawieszenia mostu nad Cieśniną Ylani.

Machnął ręką i zmarszczył brwi, jakby nie był do końca zadowolony z przedstawionego przez siebie porównania. Perthis pomyślał, że nie ma w tym nic dziwnego. Jak dotąd nikt jeszcze nie wymyślił trafnego porównania, którym można by opisać strukturę multiwersum.

–W każdym razie powiedział, że wszystkie dotychczasowe badania teoretyczne i praktyczne wskazują na fakt, że wszechświaty składające się na multiwersum wzięły swój początek ze wspólnego pnia. Tym, co sprawiło, że się... rozeszły, były wydarzenia mające wiele możliwych rezultatów. Każdy z rozmaitych skutków danego wydarzenia gdzieś się wydarzył i przez to wszechświaty się podzieliły, zróżnicowały i rozeszły.

Umilkł i uniósł pytająco brew. Perthis skinął lekko głową, na znak, że nadała za tonem rozumowania. Tę część teorii znali wszyscy, usłyszeć ją można było wszędzie. Być może jakiś arpathiański Sept, zaszyty wśród wzgórz i żyjący nadal bez ognia jeszcze nigdy o tym nie słyszał, ale poza nim jednym znał tę teorię każdy.

–No i – ciągnął Elivath – ten facet twierdzi, że do niedawna zawsze podejrzewaliśmy, iż każdy nowo powstały wszechświat, oddzielał się od wspólnego pnia w swoim – by tak rzec – niepowtarzalnym kierunku. Jakby wydarzenie, które spowodowało rozdzielenie odrzucało go pod innym kątem do wektora wszechświata macierzystego. Ostatnio jednak podważono tę teorię i obecnie popularność zyskała sobie inna, mówiąca, że podobne do siebie wszechświaty położone są równoległe do siebie. Z braku lepszego słowa, oczywiście. Skierowane są jakby „w tę samą stronę”

i nie oddalają się od siebie.

–To samo mówił mi ktoś zaraz po tym, jak cała ta historia z obcymi nabrała rumieńców – przytaknął Perthis kiwając głową. – Słyszałem też, jakoby Przebłyski Calirathów stanowiły dowód na istnienie tych równoległych wszechświatów.

–Tak – zgodził się Elivath. – W każdym razie od tego całego wykładu rozboleła mnie głowa.

–To dlatego, że skupiłeś się na samej teorii, a nie na tym co z niej wynika – Perthis uśmiechnął się wesoło. – Pamiętaj, że fachowcy uważają Przebłyski za rodzaj spojrzenia za zasłonę, do wszechświata równoległego, podczas gdy zwykle przewidywanie przyszłości jest wybieganiem myślą naprzód do tego samego, własnego wszechświata. Przebłyski nie są prawdziwym przepowiadaniem. Przypominają raczej... badania statystyczne.

Ten konkretny Talent umożliwia śledzenie możliwych działań ludzkich i ich rezultaty, ale nieprzewidywalność ludzkiej natury nie pozwala nawet Calirathom mieć pewności, co do tego, jak postąpi dany człowiek w danym wszechświecie. Widzą tylko ewentualne skutki ewentualnych działań, czyli innymi słowy tych samych ludzi w innych – równoległych – wszechświatach. Przebłyski pokazują po prostu najbardziej prawdopodobny wynik.

–Mówiłem ci, że od tego boli mnie głowa. Teraz też.

–Szczерze powiedziawszy z moją jest nie lepiej – Perthis wyszczerzył się w uśmiechu. – Chodzi jednak o to, że to właśnie dlatego Calirathowie Widzą konsekwencje ludzkich działań, których nie Widzą inni. A gdyby wszechświaty, o których mówimy nie leżały naprawdę blisko siebie, gdyby nie były faktycznie „równoległe” i podobne, to Przebłyski nie pomagałyby w przewidzeniu wydarzeń w naszym wszechświecie, ponieważ te inne światy, do których zagląдают Calirathowie byłyby zanadto od Sharony odmienne.

–Myślę, że to właśnie miał na myśli ten naukowiec, kiedy mówił mi, że równoległe wszechświaty „nie oddalają się zanadto od siebie”. Powiedział też, że portale powstają w miejscach, w których jeden wszechświat „zderza się” z innym, a skoro podobne wszechświaty nie oddalają się od siebie tylko „zmierają w tym samym kierunku” to oznacza, że portale prowadzą do najbardziej odmiennych wszechświatów, bo to one właśnie mają największą szansę na zderzenie. Według niego ta teoria najlepiej tłumaczy, dlaczego aż dotąd nie natknęliśmy się na innych ludzi. Ci obcy, z którymi spotkaliśmy się teraz są od nas inni, ale muszą wywodzić się z tej samej „liny” wszechświatów dlatego właśnie, że są ludźmi.

–Chyba rozumiem, do czego zmierzasz – powiedział powoli Perthis, któremu

naprawdę zaimponowała wiedza Elivatha. Oczywiście wiedział, że Głos nie wymyślił tego wszystkiego sam z siebie, ale widać było, że od chwili rozmowy z naukowcem myślał prawie wyłącznie na ten temat i zdołał go dogłębnie przetrawić. – Chodzi ci o to – ciągnął Główny Głos – że skoro wszyscy podróżujemy, jak to nazwałeś, w tę samą stronę, to szanse na zderzenie wszechświatów z naszej „liny” z wszechświatami z ich „liny” są minimalne.

–Dokładnie tak – energicznie pokiwał głową Elivath. Perthis wyjrzał przez okno w ciemności nocy. Zamyślił się.

–Jednego tylko nie jestem pewien Darl – odezwał się po chwili. – Bardzo bym chciał, żeby było tak, jak mówisz, ale staram się podążać za logiką tej teorii. I zastanawiam się, czy nie jest tak, że w chwili, w której nasze wszechświaty się ze sobą zetknęły powstała nowa „lina”? Czy nie powstało bardzo wiele zupełnie nowych wszechświatów, których początkiem jest punkt, w którym w naszym wszechświecie i w ich wszechświecie natknęto się na skupisko portali? A jeśli tak, to czy wątki tej nowej „liny” nie leżą dokładnie pod kątem prostym do naszych dotychczasowych?

–Teraz to mnie już naprawdę boli – jęknął żałośnie Elivath. Perthis zachichotał.

–Nie będzie chyba tak źle. W każdym razie nie wydaje mi się – powiedział. – Tak czy inaczej to, o czym rozmawiamy tym bardziej jeszcze podkreśla powagę naszego problemu, prawda? Żaden z nas nie jest teoretykiem multiwersum, ale z tego co wiem o tych, którzy nimi są, wynika, że nikt tak naprawdę nie wie, jakie konsekwencje może za sobą pociągnąć ten kontakt. Być może nigdy nie natrafimy już na portal łączący nas z obcymi, ale możliwe też, że pojawi się ich nagle cała masa. Dlatego też wydaje mi się, że powinniśmy działać z założeniem, że możemy się na nich jeszcze natknąć.

–A to, że pomyślałeś – wtrącił lekko ironicznie Elivath – że to doskonała okazja, by postawić Ternathię na czele całej planety, to tylko tak przy okazji.

Perthis ledwie tylko powstrzymał się od gwałtownego zamrugania powiekami. Spostrzegawczość dziennikarza zaskoczyła go kompletnie. „Wydaje mi się, że go nie doceniałem” – pomyślał po chwili główny Głos. – „Albo to, albo po prostu moje niewinne manipulacje nie były aż tak dyskretne jak bym sobie tego życzył.” Popatrzył przez kilka sekund Elivathowi w oczy i wzruszył ramionami.

–Masz po części rację – przyznał. – Zacząłem o tym myśleć, kiedy powstało zagrożenie ze strony obcych. Stwierdziłem, że jeśli mamy odpowiedzieć im w taki sposób, na jaki zasługują, to ktoś musi stanąć u steru. U jednego steru. Zindel jest najlepszym z kandydatów, jacy przyszli mi do głowy – kąciki ust Perthisa wygięły się niewesoło ku górze. – Poza tym, jest na tyle opanowany, że mam pewność, iż w razie potrzeby powstrzyma swoje mordercze zapędy.

–Myślę też – ciągnął - że potrzebujemy takiego rządu światowego, który nie tylko poprowadziłby negocjacje z obcymi tym razem, ale będzie też w stanie mieć na nich oko w przyszłości. Nie zaprzeczę też, że uważam, iż dzięki takiej formie władzy – zwłaszcza jeśli dostaliby ją ludzie z takim doświadczeniem jak Ternathianie – powinno nam się udać rozwiązać nie tylko problem obcych, ale i wiele innych, z którymi się do tej pory borykaliśmy.

–Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś musi dać wreszcie klapsa rozbrykanej dzieciarni Sharony? – zapytał Elivath, lecz Perthis pokręcił głową.

–To pewnie jakaś część problemu – zauważył – ale na pewno nie całość. To na dłuższą metę nie wystarczy.

Urwał na chwilę i zastanowił się, jakich słów użyć, by dokładnie przekazać to, co chciał. Czuł się dziwnie. Był przecież doświadczonym dziennikarzem, a mimo to w rozmowach podobnych do tej znalezienie właściwych słów przychodziło mu z trudem.

–Owszem mamy problem z niektórymi, jak to powiedziałaś, dziećmi Sharony. Trzeba, żeby wreszcie dorosły – powiedział wreszcie poważnym tonem. – Ale patrząc realistycznie i biorąc pod uwagę zawór bezpieczeństwa, jaki udostępniają nam portale, narody, których problemem jest jedynie brak dojrzałości nie stanowią dla nas już takiego zagrożenia jak dawniej. Jednak niestety, to nie stosuje się do każdego z naszych trudnych dzieci.

–Masz na myśli Uromathię, czyż nie? – zapytał Elivath.

–Owszem – potwierdził Perthis. – Choć jak się temu dokładniej przyjrzeć to większość obecnych problemów z Uromathią zawdzięczamy wyłącznie Chavie. Chodzi mi o to, że chociaż Uromathianie jako naród zachowują się czasem tak, jakby mieli na nodze potężnych rozmiarów odcisk, który zaczyna ich boleć szczególnie, kiedy przechodzą obok Ternathian, to na dłuższą metę nie są ani bardziej źli ani szowinistyczni od innych nacji. Prawdziwym problemem jest to, że ich cesarz – a także wszyscy jego trzej synowie – są wariatami nadającymi się do leczenia.

–Z jednej strony – ciągnął – wynika z tego, że gdybyśmy się go pozbyli, to rozwiązalibyśmy za jednym zamachem wszystkie związane z Uromathią problemy. Z drugiej jednak niewątpliwie pojawiłby się zaraz jakiś inny Chava, obojętnie z Uromathii czy skądinąd i powstałyby nowe zmartwienia. Dlatego uważam, że oddanie władzy Ternathii, która dysponowałaby mechanizmami radzenia sobie z wszelkimi przyszłymi Chawami zaoszczędziłoby naszemu światowi wiele łez. Bez względu na to, co się stanie we Wrotach Piekieł.

–Musisz jeszcze założyć, że na czele tego rządu nie stanie ktoś taki jak Chava –

zauważył Elivath.

–Do tego po prostu nie wolno dopuścić – powiedział z naciskiem Perthis.

W spojrzeniu Elivatha widać było dużo większy sceptycyzm niż w oczach telepaty. Nie zaprotestował jednak. Nie mógł i Perthis dobrze o tym wiedział.

Ostatnio stało się jasne, nawet dla Chavy Busara, że jego kandydatura na tron cesarza Sharony okazała się całkowitym niewypałem. Głosowali za nią jedynie jego najbliżsi sąsiedzi i to tylko dlatego, że obawiali się jego reakcji, w wypadku gdyby tego nie zrobili. Nikt jednak poważnie nie myślał, że Busar byłby dobrym władcą całej planety. Jediną korzyścią, jaką odniósł z tego, że ktoś w ogóle oddał na niego głos, było to, że w połączeniu z militarną siłą Uromathii dawało mu to pewną pozycję w negocjacjach warunków, pod którymi zgodziłby się zaakceptować decyzję Konklawe. Nic więcej.

„Choć to i tak o wiele za dużo” – pomyślał zachmurzony Perthis.

–Czyli spodziewasz się, że ten nowy kompromis, który ma ogłosić Komisja Unifikacyjna rzeczywiście przejdzie? – zapytał Elivath.

–Tak uważa Tarlin – odparł Perthis.

–Powiedział ci to?

Elivath wydawał się zaskoczony. Perthis wybuchnął śmiechem. Tarlin Bolsh wraz ze swoim działem analiz spraw międzynarodowych miał reputację człowieka, który kiedy chodziło o prognozy dotyczące ważnych wydarzeń, dbał o własną skórę. Nie miał do dyspozycji Przebłysków – dla USMS nie pracował żaden Calirath – a zwykła prekognicja nie pomagała w przewidywaniu wydarzeń politycznych, w związku z czym zarówno Bolsh jak i jego eksperci koncentrowali się najczęściej na tym, by się nie pomylić, niż na tym, żeby mieć rację.

–Mniej więcej... choć nie sądzę by powtórzył to przy ludziach – odpowiedział znacząco Główny Głos i tym razem zaśmiał się Elivath.

–Tak czy inaczej – ciągnął Perthis, z którego oblicza uśmiech zdążył już zniknąć – wydaje mi się, że Tarlin ma rację.

–Gdybym był na miejscu Zindela nie chciałbym, żeby Chava wchodził do mojej rodziny.

–Ani ja – zgodził się Perthis. – Ale, co zresztą powiedział Tarlin, Chava naprawdę sprytnie dobrał listę swoich żądań. Małżeństwa wiążące ze sobą rody władców zawsze były tradycyjnym, ternathiańskim sposobem na utrwalenie władzy nad

nowymi „poddanymi” – swoją drogą nie podoba mi się sposób, w jaki Chava nadużywa tego słowa – i wcielenie ich terenów do Imperium. – Głos wzruszył ramionami. – Jeżeli rzeczywiście mamy odbudować Imperium Ternathii na skalę planetarną pod rządami dynastii Calirath, to zawarcie ślubu przez następcę ich tronu z kimś z dynastii rządzącej Uromathią byłoby jak najbardziej sensownym posunięciem.

–Może byłoby sensowne w jakimś doskonałym świecie – parsknął Elivath. – W tym świecie Chava Busar zostanie teściem Janakiego chan Caliratha. To nie będzie najszczęśliwsze małżeństwo pod słońcem.

–Ale na dłuższą metę może być korzystne – zauważył Perthis. – Janaki jest Calirathem, a Calirathowie prowadzili politykę przy pomocy ślubów od niepamiętnych czasów. Było tak, odkąd zaczęto spisywać dzieje ludzkości. Nie wszystkie te związki były oczywiście udane pod względem osobistym, ale Janaki rozumie, że nie ma innej możliwości. Bądźmy uczciwi Darl. Cokolwiek nie myślimy tu sobie o Chavie, to Uromathia jest drugim, co do znaczenia państwem Sharony. Uromathian jest bardzo wielu i zasługują na swój udział w rządzeniu światem. Jeśli tego nie dostaną to jak by to wyglądało w oczach całej reszty? Ty i ja jesteśmy pewni, że Zindel chan Calirath nie zechce wprowadzić jakiejś formy tyranii, ale jeśli chcemy doprowadzić do tego, żeby wszystkie inne państwa zrzekły się suwerenności na jego rzecz, to musimy je najpierw przekonać, że jest zdolny do podejmowania racjonalnych decyzji między innymi w kwestii równego dostępu do władzy.

–Możliwe. Nie – skrzywił się Elivath – nie „możliwe”. Masz rację. Ale i tak nie wydaje mi się, żeby Zindel cieszył się szczególnie na myśl o posiadaniu wspólnych wnucząt z Chavą

–Biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie nie można znaleźć na tym świecie dwóch facetów, którzy bardziej się nie cierpią niż Zindel i Chava to trochę mało powiedziane – zauważył Perthis głosem równie suchym jak letnie wiatry w Shurkhal. – Zindel oczywiście zdaje sobie sprawę, że Chava o tym wie. Dlatego też tak się upiera przy swojej „niechęci” do pomysłu z małżeństwem. Tarlin powiedział, że według jego analityków jest to sposób Zindela na zasygnalizowanie Chavie, że w istocie jest to jedyny warunek, na który Ternathia przystanie. Osobiście też myślę, że Uromathia na to pójdzie. Chava wie, że nie dostanie korony świata. Jest zbyt zniechęcony i nikt mu nie ufa. Może za to mieć nadzieję na to, że ta korona przypadnie jego wnukowi. Zgodzi się zwłaszcza, że ktoś o jego inteligencji na pewno rozumie, iż wcześniej czy później – nawet przy tym układzie – nadarzy się okazja wzmocnienia własnej pozycji.

–Wprost nie mogę się doczekać – powiedział gorzko Elivath.

–Sam nie byłbym zachwycony, gdyby do czegoś takiego doszło – powiedział

spokojnie Perthis. – Z drugiej strony pomyśl –

Chava też powinien sobie o tym przypomnieć – od jak dawna Ternathia grywa w podobne gierki – Główny Głos pokazał zęby w bardzo nieprzyjemnym uśmiechu. – Chava Busar myśli, że jest sprytny i w jakiś pospolity sposób tak w istocie jest – ciągnął Perthis. – Uważa też Uromathię za starożytne imperium, a siebie za faceta bez cienia litości. To również prawda. Z tym, że Ternathia jest o wiele starsza, a to, że Calirathowie zawsze dbali o pomyślność swoich poddanych nie znaczy, że nie są bezlitośni. Tak naprawdę Darl, jeśli przyjrzeć się dziejom Ternathii, to okazuje się, że mało kto potrafi być równie bezlitosny jak Calirath, który nie widzi innej drogi do zwycięstwa. Czy naprawdę uważasz, że Chava i Zindel chan Calirath grają w tej samej lidze, jeśli chodzi o intelekt i brak skrupułów?

Elivath otworzył szeroko usta. Zamknął je jednak w zamyśleniu i zmarszczka na jego czole wygładziła się, przechodząc płynnie w szeroki uśmiech.

–No, jeżeli tak to ujmujesz – powiedział po chwili – to nie.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY SZÓSTY

Hadrign Thalmayr leżał sztywno na boku. Położono go w białej pościeli, w przewiewnym, zalanym słońcem pokoju. Oczy miał mocno zaciśnięte. Na czole setnika lśniły kropelki potu. Jego pięści zaciśnięte były tak mocno, że paznokcie wyryły mu w dłoniach krwawe półksiężycy.

Przez okno wpadały leniwe powiewy wiatru. Odczuwał je niczym pieszczotę. Z daleka dolatywały go odgłosy, których nie pomyliłby z niczym innym na świecie. Musztra. Głosy wykrzykujące rozkazy w obcym języku. Nieregularnie świdrujące powietrze dźwięki gwizdków, stalowy szczęk broni, głębokie brzmienie ostro rzuconych słów – obcy odliczali kolejność w szyku. Powietrze było chłodne, a wszystkie te hałasy rozpoznałby każdy zawodowy żołnierz, nawet nie rozumiejąc ani słowa z podsłuchiwanym komend. To wszystko jeszcze bardziej wpłynęło na sposób, w jaki zapadł. Drzemał. Namacalnie czuł relaksującą, łagodną siłę miejsca, w jakim się znalazł.

Wszystko tu było teraz takie ciche i zwyczajne... i właśnie przez to tym bardziej przerażała go własna bezradność. Mężczyzna siedzący na krześle obok odezwał się po raz kolejny. Znow tym samym, zupełnie niezrozumiałym, ale jednoznacznie pocieszającym głosem. Thalmayra nie było jednak można zwieść tak łatwo. Zaciśnął oczy jeszcze mocniej i zagryzł wargę. Poczł ból i pozwoliło mu to przyzwać jeszcze więcej sił. Były mu potrzebne, ponieważ w tej samej chwili poczuł ten ohydny, obrzydliwy dotyk wślizgujący się do wnętrza jego umysłu.

Z całych sił powstrzymywał się, by nie jęknąć lub nie załkać z przerażenia. Wezwał do siebie całą moc swej nienawiści, strachu i odrazy. Nawet jednak z ich pomocą było mu ciężko. Bardzo ciężko.

Nie wiedział jak długo trwało to tym razem. Niekiedy mężczyzna kryjący się za tym kłamliwym głosem wycofywał się później, czasem, kiedy rezygnował wcześniej, trwało to krócej. Zawsze jednak wracał. Thalmayr był coraz bardziej zrozpaczony. Tamten wracał zawsze i jeszcze raz i jeszcze. I na pewno będzie próbować dotąd, aż złamie ostatnią linię obrony swej nieszczęsnej, unieruchomionej ofiary. O tym, co miało stać się później Hadrign Thalmayr bał się nawet myśleć.

Wreszcie jednak oprawca zrezygnował... znow pewnie na krótko. Dowodzący setką nadal leżał w bezruchu, nie chciał nawet drgnąć, czy otworzyć oczu, dopóki nie będzie mieć niezbitej pewności, że tamten naprawdę wyszedł, że nie czekał pochylony nad nim niczym sęp.

Leżał bardzo długo, aż w końcu, niezwykle ostrożnie podniósł powieki. Stojące obok

krzesło było puste. Setnik poczuł ogromną ulgę i odetchnął. Nareszcie mógł się nieco rozluźnić.

Chciał przewrócić się na plecy, ale nie pozwoliły mu worki z piaskiem podtrzymujące go na boku. To też nie była najgorsza pozycja, zwłaszcza, że na kręgosłupie czuł jeszcze głęboką ranę.

Znów zacisnął mocniej zęby. Pomyślał o tej świeżej bliźnie i o cierpieniu, które spowodowali ci tak zwani „uzdrowiciele” obcych. Rzeźnicy! Barbarzyńcy! Przez cały czas miał co do nich rację. Teraz przekonał się o tym na własnej skórze i tym goręcej przeklinał sir Jasaka Olderhana i jego „bezcennych” *shardonai*.

„Powinienem był cholera, rzucić oboje na pożarcie najbliższemu smokowi!” – pomyślał wściekle. – „Ich samych i wszystkich ich pieprzonych przyjaciół!”

Od dawna przecież podejrzewał, że ta fałszywa mała suka z posiniaczoną twarzą i żałośnie patrzącymi oczkami, zdołała w jakiś sposób przekazać wiadomość do swych przyjaciół-rzeźników. Nie miał pojęcia, w jaki sposób jej się to udało, ale sposób, w jaki obcy żołnierze rzucali mu w twarz jej imieniem podczas przesłuchań dowodził, że tak było. A sposób, w jaki dręczyli jego umysł sugerował bardzo dobitnie jak mogła tego dokonać.

„Przez cały czas gdy, ten pieprzony idiota Olderhan zabawiał się w obrońcę uciśnionych, ona przekazywała przyjaciołom informacje na temat naszych pozycji i tego, jak najlepiej nas podejść i powybić! Tylko w ten sposób mogli się przecież dowiedzieć, że dziewczyna żyje!”

Zazgrzytał zębami. To wszystko przez nią. To ona sprowadziła żołnierzy, którzy zaatakowali oddział Thalmayra. To nie przez niego. Skąd mógł wiedzieć? W jaki sposób miał się domyśleć, do czego ta dziwka jest zdolna? Nie mógł podejrzewać, że sprowadzi mu na kark cały pieprzony regiment! Gdyby nie ona, to jego żołnierze nadal by żyli. Żyły też magister Halathyn.

A on sam – Hadrign Thalmayr nie byłby tym na wpół sparaliżowanym jeńcem rzeźników, którzy zaczęli całą tę historię masakrując ludzi tego bezmyślnego, niekompetentnego Olderhana. Nie więziliby go rzeźnicy, którzy w jakiś sposób zdołali przetransportować go przez setki – jeśli nie tysiące – mil w taki sposób, że zupełnie tego nie pamiętał. Nie trzymaliby go rzeźnicy, którzy otwierali ciała bezradnych jeńców w swej odrażającej próbie „niesienia pomocy” a potem, korzystając z osłabienia rannych, gwałcili ich umysły w poszukiwaniu przydatnych sobie informacji.

W końcu pewnie uda im się go złamać. Torturami można złamać każdego, tak samo jak okrucieństwem. Thalmayr nie wiedział, jakimi jeszcze straszliwymi mocami

mentalnej destrukcji dysponują obcy i nie miał pojęcia, co jeszcze każą mu wytrzymać. Ale wiedział, że nie ułatwi im zadania. Przysięgał to sobie raz po raz, niczym mantrę oporu, a rozpacz obejmowała go swym łagodnym, chłodnym powiewem.

* * *

–Szczerze mówiąc – powiedział kapitan Golvar Silkash to chyba zanosi się na porażkę – oficer Korpusu Uzdrowicieli pokręcił głową i spojrzał niezadowolonym wzrokiem. – Zrobiłem co mogłem, Tobis wciąż próbuje, ale nigdy dotąd nic miałem jeszcze do czynienia z takim oporem pacjenta. Nie mam po prostu pojęcia, co można jeszcze zrobić, żeby się do niego przebić.

Namir Velvelig burknął coś pod nosem. To nie był pierwszy raz, kiedy Silkash przynosił mu podobnie brzmiące informacje, ale regimentarz miał nadzieję, że kiedyś, w jakiś sposób, coś się jednak zmieni. Oczywiście nie zmieniał się nic. Oficer zamyślił się patrząc na kubek z herbatą, który przesuwiał w tę i z powrotem po swym biurku. Silkash dostał identyczny kubek, ale od początku rozmowy nie spojrzał nań ani razu.

–Myślisz, że Tobis ma rację? – zapytał.

–W czym? Że ten człowiek ma jakieś załączki własnego Talentu?

–Tak. Czy to mogłoby być przyczyną?

–Myślę, że tak – skrzywił się Silkash. – Tobis zna się na tego typu rzeczach o wiele lepiej ode mnie, choć w tym wypadku to chyba i on raczej zgaduje. Nie mamy doświadczenia z ludźmi, którzy nigdy nawet nie słyszeli o Talentach.

Velvelig znów zamruczał niewyraźnie i wyjrzał za okno, za którym spokojnie zachodzące słońce znikalo za Góry Krwawego Nieba. Patrzył tak, jakby miał nadzieję, że za tymi brązowymi i miedzianymi szczytami znajdzie odpowiedź, której tak potrzebowali. Kapitan Silkash był najlepszym chirurgiem i lekarzem, z jakim Namir Velvelig miał przyjemność służyć, W odróżnieniu jednak od większości oficerów Korpusu Uzdrowicieli i swojego asystenta, młodszego kapitana Tobisa Makree, sam nie posiadał żadnego Talentu. W związku z tym nie mógł z całą pewnością ustalić przyczyn sposobu, w jaki arkaniański jeniec reagował na podejmowane przez Makree próby Uzdrawiania. Poza tym – jak słusznie zauważył Silkash – nikt wcześniej nie próbował leczyć ludzi, którzy nie mieli wcześniej styczności z Talentami.

–A jak idzie chan Tergisowi z nauką ich języka, panie regimentarzu? – spytał Silkash tyleż z czystej ciekawości, co po to by zmienić temat na mniej drażniący. Velvelig warknął coś po raz trzeci i chirurg zastanowił się nad tym, że w jakiś niezwykle sposób udawało się regimentarzowi nadawać tym nieartykułowanym dźwiękom różne

treści. Nie wiedział, czy nie była to przypadkiem wrodzona cecha wszystkich Arpathian. Pierwszy pomruk oznaczał niezadowolenie, drugi zarazem irytację i zgodę, w trzecim natomiast słychać było gniew i frustrację. Silkash zdał sobie sprawę, że były to uczucia, które dokładnie w tej kolejności towarzyszyły każdemu kontaktowi z „Arkanianami” czy to traktowanymi jako poszczególne jednostki, czy też jako cały naród.

–Nienajlepiej – oznajmił po chwili regimentarz. – Zarczucamy go taką ilością wiadomości od chan Tesha i chan Baskaya, że tak naprawdę nie ma za bardzo czasu, żeby się tym zająć. A jeśli już mu się to udaje, natrafia na taki sam mur milczenia ze strony tego idioty Thalmayra, na jaki natrafia Tobis.

Oficer umilkł i przypomniał sobie w duchu, że powinien jednak oddać jeńcowi sprawiedliwość.

–Podejrzewam zresztą, że gdyby to mnie złapano – zwłaszcza po takiej masakrze, jaką my im urządziliśmy – to też niechętnie współpracowałbym z tymi, którzy mnie pojмали. W końcu oni na pewno wiedzą, tak jak i my, że obowiązkiem jeńca jest ochrona informacji. A mimo, że ten oficer okazał się kretynem, to sam oddział należał na pewno do najlepszych.

–Skoro pan tak twierdzi – powiedział Silkash z powątpiewaniem. Velvelig spojrzał pytająco i chirurg wzruszył ramionami. – Wiem, że nie miałem okazji przyjrzeć im się zbyt dobrze, ale według mnie to nie są żadni elitarni żołnierze.

–Nie? – Velvelig spojrzał na lekarza z namysłem i prychnął. – Pewnie wydają ci się zbyt załamani i przygnębieni, prawda? Za mało rozmowni?

–Tak jest, regimentarzu. Wszyscy zachowują się dokładnie tak, jak pan powiedział – Silkash pochylił głowę na bok. – I dlaczego?

–Dlatego, że tak właśnie powinni zachowywać się doborowi żołnierze, którzy uszli z życiem, z takiego kotła w jaki ich wpędziliśmy. Pomyśl o tym, Silky. Z raportów chan Tesha wynika, że oni nie podejrzewali nawet, że jesteśmy w stanie prowadzić ogień przez portal. Ich dowódca – jaki by nie był – padł zaraz od pierwszej salwy, co pozbawiło głowy ich system dowodzenia. Wybuchające dokoła pociski moździerzy musiały być najbardziej przerażającą rzeczą, jakiej w życiu doświadczyli. Chan Tesh ich dosłownie szatkował, a oni nie byli w stanie nijak odpowiedzieć. I jak wtedy zareagowali?

Niewiedza Silkasha była oczywista, więc Velvelig zamachał kubkiem dla lepszego efektu.

–Zaatakowali, Silky. Wyskoczyli zza tych swoich umocnień, wyszli z dziur, które dawały im, jakie takie schronienie – cały czas pod ostrzałem, co dla nikogo nie

byłoby łatwe, wierz mi – i ruszyli wprost nanasze stanowiska, skąd szedł koszący ich ogień – oficer pokręcił głową. – Jakkolwiek nie oceniać tego, co zrobili z zespołem Konsorcjum Chalgyn i decyzji ich dowódcy w obliczu zagrożenia ze strony chan Tesha, to ci ludzie są fantastycznymi żołnierzami. Gwarantuję ci, że ten kretyń Thalmayr nie miał nic wspólnego z ich szkoleniem. Takich ludzi nie dałby po prostu rady wyszkolić. Okazali się bez porównania lepsi w wykonywaniu swoich zadań niż on. I właśnie dlatego aż tylu ich poległo. Zamiast odwrócić się i uciec, zamiast się załamać, zaatakowali. To raczej na pewno był czyn zupełnie spontaniczny. Próbowali przenieść swoją broń na drugą stronę portalu, żeby móc z niej skorzystać. Bardzo możliwe, że odzywa się we mnie krwiożerczy Sept, ale za to, co tam pokazali jestem gotów wybaczyć im bardzo dużo.

–Nie myślałem o tym w ten sposób – przyznał po chwili Silkash.

–Wcale się tego po tobie nie spodziewałem. To jednak wiele wyjaśnia, jak sądzę, jeśli chodzi o ich obecne zachowanie. Ci żołnierze nie byli przygotowani na ewentualność porażki. Spodziewali się zwycięstwa. A nawet jeśli przyszłaby im do głowy klęska, to nie takich rozmiarów. Na pewno są na tyle inteligentni, że rozumieją, iż przegrali, ponieważ stanęli przeciwko broni, z jaką nie mieli dotąd styczności, a na dodatek ich dowódca okazał się idiotą. Tyle, że zrozumienie przychodzi do człowieka przez umysł, a nie przez serce. Nie ma wpływu na emocje. Porażka jest dla wyborowego żołnierza sprawą żalosalną i upokarzającą. Całkowita klęska, jak ta, o której tu mówimy, to coś jeszcze gorszego. Są więc zgorzkniali, zawstydzeni i przekonani, że zawiedli swój kraj, honor i samych siebie. A jednak – zamiast po prostu załamać się, co robią?

–Zapiekli się w sobie i odmawiają jakiegokolwiek z nami współpracy. To właśnie robią – ciągnął regimentarz, po raz kolejny odpowiadając na własne pytanie. – Może, z czasem – zwłaszcza, jeśli te negocjacje rzeczywiście coś dadzą – to się może zmienić. Starłem się ten moment przyspieszyć, dlatego właśnie tak usilnie nalegałem na to, żeby nasi ludzie traktowali jeńców nie tylko godnie, ale i z szacunkiem. A mimo to zupełnie się nie dziwię ich postawie.

–Teraz, kiedy o tym mówisz, to i ja przestaję – przyznał Silkash. – Ale to, o czym mówił Tobis, fakt, iż nie mieli wcześniej kontaktu z Utalentowanymi też z pewnością się do tego dokłada. Po pierwsze, dlatego że nie mają bladego pojęcia o co chodzi chan Tergisowi co niejako automatycznie wyklucza ochotę do współpracy, a po drugie jeżeli którykolwiek z nich ma choć krztynę własnego Talentu to może reagować dokładnie tak, jak Thalmayr.

–Prawdopodobnie tak – zgodził się Velvelig. – Niestety znów wracamy do Thalmayra – usta Arpathianina wydeły się z całą pogardą, której nie czuł wobec obcych żołnierzy, tylko wobec ich dowódcy. – Jakie są rokowania?

–Fizycznie? – Silkash wzruszył ramionami. – Rozumiem dlaczego młodszy kapitan chan Rodair przysłał go tutaj do nas, do Fortu Ghartoun, ale wolałbym, żeby tak się nie stało. I to z kilku powodów.

–Mianowicie?

–Nie lubię tego człowieka, ale jestem Uzdrowicielem. Przysięga Uzdrowiciela wymaga, bym każdego pacjenta traktował ze współczuciem i szacunkiem, a także abym leczył go najlepiej jak potrafię. Dlatego chan Rodair przysłał go tutaj. Sądził, że uszkodzenie kręgosłupa Thalmayra można będzie wyleczyć chirurgicznie. Mylił się jednak. Co więcej – sam się pomyliłem, gdy go po raz pierwszy zbadałem. Być może dlatego, że bardzo chciałem, żeby chan Rodair miał rację, aczkolwiek w niczym nie zmienia to faktu, że obaj byliśmy w błędzie. W efekcie poddaliśmy go więc zupełnie niepotrzebnej – i bezcelowej – operacji. To jest złe samo w sobie, a dodatkowo to, co powoduje jego opór wobec wysiłków Tobiasa sprawia też, że nie bardzo radzimy sobie z kontrolowaniem poziomu jego bólu. Zadaliśmy mu więc dodatkowe cierpienia.

–To przecież nie twoja wina – zauważył Velvelig. – Robiłeś, co w twojej ocenie było najlepsze. Okoliczności też ci nie sprzyjały.

–Tak, wiem o tym, panie regimentarzu. Tobis też zdaje sobie z tego sprawę. Problem w tym, że nie wie o tym Thalmayr. Na dodatek nie zwalnia to nas z odpowiedzialności.

–Cóż. To, że facet jest skończonym idiotą wiedzieliśmy już wcześniej – powiedział pocieszająco Velvelig. – Nie powinniśmy się więc spodziewać, że nagle nabierze rozumu.

–Nie... nie patrzyłem na to w ten sposób, panie regimentarzu. – Silkash ze zdziwieniem zauważył, że musi z wysiłkiem powstrzymać się od uśmiechu.

–W takim razie powinienes. Ale, jak dotąd mówimy tylko o jego stanie fizycznym. A mentalnie i emocjonalnie? Czego się możemy spodziewać?

–Szczерze powiedziawszy, to ciężko powiedzieć, skoro nawet Utalentowany Uzdrowiciel nie potrafi się do niego przebić. Póki co Tobis twierdzi, że udało mu się wykorzenić jego popęd samobójczy.

–To chyba powinien pochwalić nawet sam Thalmayr – prychnął Velvelig.

–Owszem, przy założeniu, że wie, że to zasługa Tobisa. Natomiast on prawdopodobnie nie ma pojęcia, co przy nim robi Tobis.

–Tak. Tego jestem pewien – przytaknął chmurnie Velvelig. – Wiesz, naprawdę żałuję, że księżę Janaki obarczył nas tym gościem.

–A jednak dzięki temu zadaniu książę oddalił się od strefy zagrożenia. To jedyny plus całej sytuacji.

–Pewnie tak – Velvelig upił herbaty i raz jeszcze wyjrzał w zadumie za okno. Słońce prawie już zniknęło. Górskie szczyty widniały mrokiem i czernią na tle poświaty zachodu. Oficer pomyślał, że trzeba będzie zapalić lampy.

–Jeśli wolno mi zapytać, regimentarzu – odezwał się Silkash w narastających ciemnościach. – Wspominał pan o wiadomościach od chan Tesha. Jak idą negocjacje?

–Oczywiście, że wolno zapytać, ale gdybym znał odpowiedź na twoje pytanie to nie byłbym regimentarzem siedzącym na tym zadupiu – odparł oschle Velvelig. – Zbijałbym kasę jako wróżka na Sharonie.

Znów sięgnął po herbatę, wypił, odstawił kubek na biurko i wyciągnął pudełko zapalek. Zapalił lampy, umieścił szklane klosze na miejscu, przykręcił knoty i opadł głęboko w krzesło zakładając dłonie pod głowę.

–Chan Baskay i Rothag nadal są przekonani, że obcy kłamią w niepokojąco wielu kwestiach - powiedział. – Najbardziej martwi mnie jednak nie to, że dyplomaci... ukrywają prawdę. Bogowie świadkami, że i u nas tak się dzieje, kiedy tylko jest to możliwe i gdyby nie istnieli odpowiednio Utalentowani ludzie, to kłamstw w polityce byłoby na Sharonie jeszcze więcej. Ale skoro rzeczywiście tak bardzo obcym zależy na zawieszeniu broni to spodziewałbym się, że będą bardziej otwarci albo i zupełnie szczerzy. Tymczasem dali nam bardzo mało informacji. Wydaje się wręcz, że mają też jakąś obsesję na temat szczegółów dotyczących samego przebiegu rozmów. Unikają natomiast właściwej części negocjacji. Dziwna jest też postawa ich eskorty. Kilka potencjalnie paskudnych incydentów już miało miejsce.

–Jakie to były incydenty, panie regimentarzu?

–Właśnie takie jak całe te negocjacje. Głupie. Wywoływali je ich ludzie, którzy obrażali się z powodu najbanalniejszych nawet, niewinnych uwag. Zdarzało się też, że ktoś z nich, niby przypadkiem, obrażał naszych dyplomatów. Ten ich Skirvon już trzykrotnie sugerował odroczenie rozmów do chwili, gdy „opadną emocje”. Nie byłem tam co prawda osobiście, ale gotów jestem zgodzić się z chan Baskayem. Wydaje mi się, że ich żołnierze otrzymali wyraźne rozkazy, nakazujące im prowokować podobne incydenty, które mają na celu odwlekanie rozmów. Napisałem to zresztą w raporcie.

–Ale czemu miałyby im na tym zależeć? – Silkash był wyraźnie zdumiony.

–Tego nie rozumie ani chan Baskay ani ja – przyznał Velvelig. – Logicznie rzecz ujmując, jeśli chcą tylko, żebyśmy tracili czas, to nie wiem, po co w ogóle zaczęli rozmawiać.

–I nikt nie ma żadnego pomysłu?

–Chan Baskay ma w miarę sensowną teorię. Jednym z powodów, dla których my nie naciskaliśmy na nich zbyt mocno, jest czas potrzebny na komunikację z Sharoną. Nie wiemy, w jaki sposób obcy komunikują się na długie dystanse, ale jeśli nie posiadają Talentów, to nie mają też i Głosów. Możliwe jest, że używają do przesyłania wiadomości swojej magii, ale równie dobrze mogą być zmuszeni przekazywać informacje w sposób tradycyjny. Chan Baskay zasugerował, że ich opóźnienie może być jeszcze większe od naszego. Podejrzewa, że Skirvon przeciąga wszystko w nieskończoność, gdyż czeka na bardziej dokładne dyspozycje, albo nawet na przybycie jakiegoś starszego rangą dyplomaty, który przywiózłby do Wrót Piekieł propozycje ich rządu, co do kwestii własności skupiska.

–A tymczasem męczą się rozmawiając z nami, bo...?

–Pewności nie mam, ale możliwe, że chcą mieć pewność, że nie posuniemy się dalej za portal na bagnach. Dzięki Głosowi Kinlafii wiemy, że ich portal wejściowy w tamtym wszechświecie nie znajduje się blisko tych mokradeł. Nic więcej jednak nie wiadomo. Mogą mieć w pobliżu jakąś ważną kolonię albo cokolwiek i być może chcą odwrócić od niej naszą uwagę.

Velvelig wzruszył ramionami najwyraźniej niezbyt zadowolony z własnej hipotezy.

–Pewnie jest jakieś inne wytłumaczenie. Ja go jednak po prostu nie dostrzegam. Korzyść z tego wszystkiego jest taka, że podczas negocjacji nikt nie ginie. W pewnym sensie więc rozmowy są korzystne zarówno dla nich jak i dla nas. Poza tym – uśmiechnął się niespodziewanie – mamy czas, by sprowadzić tam prawdziwego dyplomatę i zluzować biedaka chan Baskaya!

*** * ***

Dowodzący dwoma tysiącami, Mayrkos Harshu podniósł wzrok znad wyświetlonych w jego KO dokumentów. Ktoś zastukał łagodnie i ostrożnie w futrynę drzwi jego biura. Bystre niczym u polującego gryfa, ciemne oczy skupiły spojrzenie i spoczęły na oficerze stojącym w wejściu. Dwutysięcznik odłożył sarkolisowy rysik na biurko ruchem przypominającym chowanie miecza do pochwy.

–Wejść – rzucił. – Rozumiem, że przyszedłeś tu z popołudniowym raportem? – spytał Harshu unosząc brwi. Neshok przytaknął.

–Tak jest. Czy mogę się przygotować?

–Oczywiście, że możesz. Przecież właśnie po to tu jesteś, chyba że już zawodzi mnie pamięć – syknął cierpko Harshu.

Dwutysięcznik cierpiał na manię prześladowczą polegającą na tępieniu wszystkich przejawów „marnowania czasu”. Drażniło go zwłaszcza to, co nazywał „bezsensownymi i zbędnymi pytaniami”. Ciągnęła się za nim również reputacja oficera karzącego podkomendnych za to, że popełniali błędy wynikające z głupoty i lenistwa, które powodowało, iż nie chciało im się zadawać pytań. Obie te cechy sprawiały, że współpraca z nim bywała niekiedy... uciążliwa.

–Tak jest – odpowiedział Neshok i zajął się pospiesznie przygotowaniami. Wyjął swój kryształ i włączył go. Przez cały czas czuł na sobie niecierpliwe spojrzenia dwutysięcznika. Nie bał się ich jednak tak, jak niektórzy inni oficerowie. Miał za sobą o wiele potężniejszego niż Harshu protektora. Poza tym zbyt dobrze rozumiał, jak wielką szansą może okazać się dla niego obecna misja, by przejmować się nawet owianymi złą sławą napadami złości dowódcy.

„A ten dupek Olderhan pewnie myśli, że zniszczył moją karierę przy pomocy swoich cholernych *shardonai*” - pomyślał pięćsetnik uśmiechając się w duchu złośliwie. – „Bogowie! Przecież on jest jeszcze głupszy niż mówił o nim dwutysięcznik mul Gurthak.”

Neshok niezbyt miło wspominał reprimendę, jakiej mul Gurthak udzielił mu na oczach Olderhana i dwóch dyplomatów. Nikt nie wspominałby czegoś takiego zbyt ochoczo, tym bardziej, że miał wtedy podejrzenia, że mul Gurthak zamierzał zostawić go samemu sobie, gdyby Olderhan po powrocie do Garth Showma złożył formalną skargę na Neshoka. Okazało się jednak, że nie doceniał dwutysięcznika, który w tamtej sytuacji po prostu chronił własną skórę. Szybki awans Neshoka i przydzielenie go, do dwutysięcznika Harshu jako starszego analityka wywiadu stanowiło wystarczający dowód niezmiennego zaufania ze strony mul Gurthaka.

„Gdyby nie to, że Olderhan uparł się na wzięcie w *shardon* tej małej, aroganckiej dziwki i jej męża i gdyby nie to, że wsparła go ta cała magister Kelbryan, to plan dwutysięcznika zadziałałby jak złoto” – myślał. – „Nie mieliśmy pojęcia, że udało się jej tak szybko opanować cywilizowany język, choć z drugiej strony dzięki temu jeszcze łatwiej byłoby nam sprawić, by zaczęła mówić. Zanim bym z nią skończył wyśpiewałaby mi wszystko, czego tylko bym zapragnął.”

Dotknął koniuszkami palców Niemrugającego Oka - widniejącej na jego kołnierzyku oznaki Korpusu Wywiadu. Zanim wyszedł na powitanie Olderhana i jego jeńców zdjął znaczek na wyraźne polecenie mul Gurthaka. Udawanie „zwykłego” oficera nie okazało się szczególnie trudne, choć czuł przy tym wyraźny niesmak. Dwutysięcznik uznał jednak, iż „zwyktemu” oficerowi łatwiej będzie rozdzielić Olderhana i obcych. Potem, gdyby udało się odebrać setnikowi więźniów i „zaginęliby administracyjnie” gdzieś w Forcie Talon, zrzuciłoby się to wszystko na barki jakiegoś podoficera, który najwyraźniej źle rozumiał rozkazy. Oczywiście wszyscy bardzo by żalowali zguby, ale cóż. Takie rzeczy się przecież zdarzają. Neshok nie wątpił ani przez chwilę, że

Olderhan, gdyby dostał swych jeńców z niewielkimi choćby obrażeniami wpadłby w furię. Jeśli jednak Neshokowi udałooby się wyciągnąć z nich torturami jakiegokolwiek ważne informacje obroniliby go przed setnikiem możni przełożeni z Wywiadu.

Tak się jednak nie stało. Mul Gurthak uznał, że jest coś winien Neshokowi za samo tylko podjęcie próby. Dlatego właśnie został awansowany i przeniesiony tutaj, co powinno pomóc jego dalszej karierze.

„I pewnego dnia znajdę się na stanowisku, z którego będę mógł odpłacić temu świętoszkowatemu draniowi Olderhanowi dokładnie tak, jak na to, kurwa, zasługuje” – pomyślał jadownicie pięćsetnik. W tej samej chwili poczuł jednak ukłucie dawnego strachu. Przypomnił sobie zimną, przenikliwą pogardę, którą widział w oczach sir Jasaka Olderhana. Pamiętał też, że ci frajerzy z Drugiej Andarańskiej rzuciliby się na niego i na cały jego oddział, gdyby tylko tknęła tę małą dziwkę, choć jednym palcem.

Odsunął te myśli od siebie i jeszcze raz poprzysiął zemstę. Nie podobało mu się tylko jedno – wciąż nie mógł zapomnieć skwierczącej aury magii bojowej, która otoczyła gotową do ataku i patrzącą groźnie swymi zabójczymi, migdałowymi oczyma Gadrial Kelbryan. Niestety...

Dwutysięcznik Harshu chrząknął, co w uszach młodszego oficera miało oznaczać: „Rusz się wreszcie”. Neshok otrząsnął się z resztek zamyślenia.

–Przepraszam – powiedział. – Jestem już gotowy.

–Świetnie – samym tylko tonem Harshu dodał „w samą porę”. Neshok przyćmił magiczne oświetlenie biura i stuknął rysikiem w swój KO. Nad blatem biurka Harshu pojawił się ruchomy, żywy obraz. Dwutysięcznik natychmiast przestał się wiercić, spojrzał swymi żywo rozbieranymi oczyma w kryształ i porównał nowy obraz z tymi, które oglądał już wcześniej. Zawsze, gdy kryjący się za wzrokiem oficera intelekt wkraczał do akcji znikła cała hiperaktywność i niecierpliwość.

–Jak pan widzi nadal otrzymujemy obrazy bardzo dobrej jakości – zauważył Neshok.

–Tak, to prawda – zgodził się Harshu po chwili namysłu. – Czy oni na pewno niczego nie podejrzewają? – oderwał spojrzenie od małych, ruchomych figurek żołnierzy z Sharony i wbił je w pięćsetnika. – Czy na pewno nie ma możliwości, że oni podsuwają nam to, co sami chcą, żebyśmy zobaczyli?

–Nie ma – powiedział z przekonaniem Neshok i prychnął. – Nadal zanim pozwolą komukolwiek wejść do Wrót Piekieł wyciągają łódź na brzeg i wywracają ją stępką do góry. – Arkanianie przyjęli od obcych nazwę wszechświata, w którym nastąpił kontakt. Jak zauważył Simrath, dyplomata z Sharony – była to nazwa odpowiednio ponura dla obu cywilizacji. – Oczywiście jest, że Mistrz Skirvon ma rację. Ci głupi, przesądni barbarzyńcy nie mają pojęcia o magii, więc niczym nie ryzykują... To

znaczy tak myślą.

–Może nie byłoby najgorszym pomysłem – powiedział wesoło Harshu spoglądając na powrót na wyświetlone przed sobą obrazy – gdybyśmy mniej czasu spędzali składając sobie wzajemne gratulacje, a trochę więcej uwagi poświęcili zastanawianiu się, czy aby nie lekceważymy naszych przeciwników.

–Tak jest. Słuszna uwaga – przyznał trzeźwo Neshok. Surowość, z jaką Harshu rozprawiał się z podkomendnymi, którzy w jego ocenie coś spieprzyli stosował też do siebie. Natomiast opowieści o losie tych, którzy naprawdę coś spieprzyli były na tyle nieciekawe, że nawet Neshok nie chciał polegać jedynie na opiece swoich przełożonych z wywiadu.

–Chciałem powiedzieć – ciągnął – że jak pan już wie, udało nam się ich przekonać, że zasobniki z zakłęciami dla łodzi muszą być przytwierdzone pod kilem. Nie sprawdzali nawet komory wypornościowej pod ławką – co w mojej i moich ludzi opinii – wskazuje na to, że nie mają pojęcia o tym, że tam właśnie ukrywamy prawdziwe zasobniki napędowe. A odwracając łodzie do góry nogami – co uważają za środek bezpieczeństwa – daje naszym kryształom rozpoznawczym spod łodzi pole widzenia w zakresie trzystu sześćdziesięciu stopni. Nie jest to rzecz jasna taki sukces, jaki odnieśliśmy mogąc tymi kryształami poruszać, albo gdybyśmy mogli posłać tam gryfa rozpoznawczego. Tym bardziej można tego żałować, że ich właściwy obóz znajduje się w pewnej odległości od miejsca, gdzie lądują łodzie. Pod niektórymi względami jednak jest jeszcze lepiej niż się spodziewaliśmy. Kryształy znajdują się na tyle blisko ich umocnień, że widać je wyraźnie, a ponadto możemy podsłuchiwać wszystko, co mówią w zasięgu.

Harshu spojrział na pięćsetnika i mruknął pod nosem z uznaniem.

–Mimo, że kryształy z łodzi są nieruchome – ciągnął Neshok już pewniej – udało się nam dokonać sześciu przejść rozpoznawczych – uśmiechnął się. – Wystrojenie eskorty mistrza Skirvona w galowe mundury było genialnym pomysłem. Gratuluję panu. Sam powinienem był na to wpaść – okazanie przełożonemu, że rozumie się, jak świetne są jego pomysły nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło. – Obcy ich nigdy wcześniej nie widzieli, nie mieli więc pojęcia, że ten śmieszny grzebień z końskiego włosia na hełmie półsetnika Narshu jest w istocie urządzeniem wywiadowczym, a nie kiczowatą ozdóbką. Tak czy inaczej to, czego dowiedzieliśmy się dzięki akcji Narshu potwierdziło tylko informacje uzyskane poprzez kryształy z łodzi.

–Rozumiem – Harshu zmarszczył czoło z namysłem i opuścił splecione dłonie na biurko. – A czy wiadomo coś o tych dwóch? – wskazał głową dwóch Sharonian znajdujących się pod płócienną plandeką nieopodal portalu.

–Tak jest – Neshok skinął głową. – Nadal nie jesteśmy pewni, w jaki sposób oni

robią, to, co wydają się robić, ale dzięki zaklęciom translatorskim dostarczonym przez mistrza Skirvona i dwutysięcznika mul Gurthaka, które posłużyły do przełożenia rozmów tej dwójki i ich kolegów wiemy, że są to obserwatorzy. Wiadomo też, że nie są w stanie pracować poprzez portal. Tak samo jak my nie potrafimy rzucać zaklęć pomiędzy wszechświatami, tak i oni muszą przechodzić na drugą stronę. Robią to w równych odstępach czasu, najwyraźniej po to, by pozbyć się ślepego punktu. Obserwujemy ich od wielu dni i okazało się, że zawsze robią to o ustalonych porach dnia. Różnice wynoszą najwyżej parę minut.

–Szkoda tylko, że nie udało się dokładniej ustalić, jakie jest ich zadanie – odezwał się zamyślony Harshu. Neshok skinął głową.

–Zgadza się, ale po prostu nie mamy możliwości sprawdzenia sposobu, w jaki działają te ich Talenty. Z tego, co podsłuchaliśmy wynikałoby, że Talent, którym posługuje się ten tu – pięćsetnik wskazał palcem niższego z dwóch strażników – działa nieco podobnie jak nasze zaklęcia wróżebne. Ale z całą pewnością nie jest to dokładnie do samo. Po pierwsze oni do tego wróżenia nie potrzebują kryształu, żeby poszukiwany obiekt zobaczyć, a po drugie wygląda na to, że oni nie muszą wiedzieć czego szukają, żeby przeczesać dany obszar. Jest też coś jeszcze, choć tego nie jesteśmy pewni zupełnie. Kilka podsłuchanych zagadkowych uwag wskazuje na to, że on jest ograniczony do wykrywania żywych istot.

–To ma chyba sens – zastanowił się Harshu na głos. – Jeśli te ich Talenty są rzeczywiście jakimiś dziwnymi władzami umysłu, to nie zdziwiłbym się, gdyby odbierali dzięki nim jakieś wibracje czy fale mentalne. A nie wyobrażam sobie, żeby skały mogły emitować podobne fale.

–Bardzo słusznie.

–A udało się wam ustalić, jaki oni mają zasięg? – zaciekawiał się Harshu.

–Niestety nie – Neshok pokręcił głową. Harshu spojrział na niego krzywo i pięćsetnik też lekko się skrzywił. – Jak dotąd nic na ten temat nie mówili, a w każdym razie nie wychwyciły tego nasze kryształy.

–To niedobrze pięćsetnikowi – skomentował Harshu. – Ta informacja ma kluczowe znaczenie dla naszych planów, czyż nie?

–Owszem – Neshok spojrział na wyświetlony nad biurkiem obraz. Nie chciał dłużej patrzeć w oczy przełożonego. Po chwili odchrząknął.

–Mamy jedynie przybliżone dane. To znaczy, wiemy bez wątpienia, z jakiej odległości nas nie widzą.

Harshu rozprostował ramiona. Prawą ręką nakazał Neshokowi mówić dalej.

–Jak pan wie dokładamy wszelkich starań, by ukryć przed nimi fakt istnienia smoków. Skoro już o tym mowa, to materiał zarejestrowany przez kryształę rozpoznawcze wskazuje niezbicie, że oni nie mają pojęcia o tym, że latanie jest możliwe i nie podejrzewają, że my taką możliwością dysponujemy. – „Co tylko potwierdza, że to barbarzyńcy” – dodał już tylko w myślach.

–Wiemy także, że przez długi czas zastanawiali się, w jaki sposób ewakuowaliśmy rannych z bagien i jak dostarczyliśmy tam posiłki. Teraz, kiedy pokazaliśmy im łódzie, wydaje im się, że rozwiązali zagadkę.

–To akurat dobra wiadomość.

–To prawda. Zgadzam się. Fakt, że nie wiedzą nic o smokach ani o gryfach wskazuje, że ich obserwatorzy nie widzieli przylotu naszych dyplomatów i ich eskorty. Lądowali na małej wysepce około czterdziestu mil od portalu, resztę drogi pokonywali już łodziami. Po części dlatego, że potrzebowaliśmy sposobu na podrzucenie im kryształów rozpoznawczych, a po części ponieważ nie chcieliśmy dekonspirować smoków. Wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia, że wystawili tych obserwatorów z Talentami. Nie wiedzieliśmy nawet o istnieniu Talentu tego rodzaju. Z jakiegoś powodu *shardonai* setnika Olderhana nas o nim nie poinformowali. Na szczęście mistrz Skirvon i pięćsetnik Klian zgodzili się, że trzeba działać ostrożnie i tak też zrobiliśmy.

–Tak czy inaczej – mówił dalej – mamy pewność, że na czterdzieści mil nie widzą. Gdyby zobaczyli coś takiego, to nasze kryształę podsłuchałyby odpowiednią rozmowę. Stąd też wiemy, że nadal nie są świadomi istnienia smoków.

–Czterdzieści mil – mruknął Harshu. – Dla smoka trzydzieści minut. Minimum dwadzieścia.

–Tak jest. Ale musimy pamiętać, że te czterdzieści mil to, odległość, której jesteśmy pewni. Realny zasięg ich obserwatorów może być jeszcze mniejszy.

–Ale może też i nie być – zauważył szorstko Harshu.

–Oczywiście – przytaknął Neshok. – Jest coś jeszcze – pięćsetnik odczekał chwilę i starszy oficer podniósł na niego wzrok. – Z informacji uzyskanych dzięki kryształom wiemy, że ten ich Talent pozwala obserwować pewien zakres terenu, ale jest to bardzo konkretny zakres. Kiedy obcy korzysta z Talentu siedzi nieruchomo z zamkniętymi oczyma i obraca głowę powoli z boku na bok, jakby patrzył na coś przez powieki.

–I...? – ponaglił Harshu.

–I nigdy nie podnosi głowy.

Harshu zmarszczył brwi i przez chwilę milczał. Potem jednak zmrużył oczy.

–Sugerujesz, że skoro oni nie wiedzą o istnieniu smoków, to po prostu nie obserwują nieba?

–Właśnie tak – powiedział Neshok nie przyznając się, że obserwację tę zawdzięcza jednemu ze swoich podoficerów. – Skoro sami nie potrafią latać, to nic dziwnego, że skupiają się na zagrożeniach lądowych. Przecież innych się nie spodziewają.

–Tak, słusznie – zgodził się Harshu.

Dwutysięcznik skupił oczy na czymś innym. Na czymś widocznym tylko dla siebie samego. Siedział tak w zamyśleniu przez kilka minut, po czym zwrócił się na powrót do Neshoka.

–Coś jeszcze? Coś nowego? – zapytał.

–To już mniej więcej wszystko. Przygotowałem dla pana całość materiału. Życzy pan sobie, bym skopiował to do pańskiego KO?

–Tak, poproszę.

–Tak jest.

Neshok błyskawicznie przygotował krysztaly do kopiowania. Zauważył przy tym nagłówki dokumentów, nad którymi pracował wcześniej Harshu. Były to plany dotyczące ilości wojsk i terminarze ich przybycia. Pięćsetnik nie zdziwił się ani trochę.

–Proszę bardzo. Gotowe – powiedział, kiedy w obu krysztalach pojawiła się ikona oznaczająca koniec kopiowania.

–Dziękuję. – Harshu przyjrzał mu się przez kilka chwil, po czym skinął głową. – Poza tym, że wykazujesz pewną tendencję do poniżania wroga, uważam, że raport złożyłeś wzorowo, pięćsetniku powiedział. – Oby tak dalej... tylko staraj się, żeby twoja niechęć do przeciwnika nie spowodowała, że zaczniesz popełniać błędy. Pogarda często w ten sposób skutkuje. Czy wyrażam się jasno?

–Tak jest, absolutnie jasno, dwutysięczniku – przytaknął Neshok i stanął na baczność.

–Świetnie. Oby tak dalej, pięćsetniku – powtórzył starszy oficer.

–Tak jest.

Neshok wykonał w tył zwrot nieco bardziej regulaminowo niż zwykle i wyszedł z

gabinetu Harshu. Dobrze się poczuł słysząc pochwałę... z drugiej strony tym bardziej zabolęła wcześniejsza nagana.

Dwutysięcznik okazał się naprawdę dobry w tego typu sprawach. Cóż, w końcu był to jego znak firmowy. Każdy wcześniej czy później dostawał od niego po głowie, niewielu jednak spotykały komplementy.

I na tym ostatnim postanowił się skupić Neshok. Po chwili znalazł się na dziedzińcu Fortu Rycharn.

„Niezbyt duże to Rycharn” – pomyślał. – „Akurat odpowiedniej wielkości dla tego mięczaka Kliana.” Dziś jednak w forcie roilo się od ludzi. Na prowizorycznym lądowisku dla smoków też było tłoczno ponad miarę. Tylu ciężkich zwierząt transportowych na raz Neshok jeszcze w życiu nie widział. Dokoła lądowiska rozmieszczono potężne platformy ładunkowe. Mniejsze, taktyczne smoki transportowe razem ze zwierzętami bojowymi zajęły zachodnią część pola, w jak najdalszej odległości od palisady fortu i pełnego żołnierzy obozu. Do Rycharn przybyły już trzy z czterech zaplanowanych przez mul Gurthaka fal posiłków. Ostatnia miała dotrzeć do fortu w przeciągu tygodnia.

„Ciekawe, co potem?” – zapytał Neshok sam siebie, nasłuchując dźwięków przeludnionego obozu. – „Wszyscy upierają się, że żadna ostateczna decyzja nie została jeszcze podjęta. Zastanawiam się tylko, czy to na pewno prawda...”

Prychnął cierpko. To, co powiedział mu na poufnej odprawie – tuż przed wyruszeniem do Rycharn – mul Gurthak, zwłaszcza fragment o tym, jak istotne było uniemożliwienie obcym umocnienia swoich pozycji przy Wrotach Piekieł, nie pozostawiało raczej wątpliwości, co do zamierzeń komendanta Fortu Talon. Oczywiście Neshok wiedział, że może się mylić. Nawet zresztą jeśli się nie mylił, to mogły jeszcze zmienić się same okoliczności. Skirvon i Dastiri nieprzerwanie prowadzili przecież negocjacje. Istniał też inny problem. Tutaj dowódcą był Harshu i mul Gurthak nie mógł na niego naciskać zbyt intensywnie bez odkrywania kart, czego z pewnością wolał uniknąć.

„I to właśnie dlatego mul Gurthak przysłał mnie tutaj. W końcu dowódcy podejmują decyzje w oparciu o dane wywiadu. To oznacza, że człowiek, który dostarcza komendantowi tych informacji ma spore szanse na... wywarcie odpowiedniego wpływu na ostateczny kształt rozkazów.”

Dowodzący pięcioma setkami Alivar Neshok uśmiechnął się przechodząc pomiędzy kolejnymi rzędami smoków, platform transportowych, białych, płóciennych namiotów pełnych oczekujących żołnierzy i szeregów rur smoków polowych ustawionych razem z pozostałymi działkami. Pomyślał o wpływie na bieg wydarzeń, jakim nieoczekiwanie obdarzył go los. Rozumiał, że była to poważna odpowiedzialność. Nie

mógł działać nieostrożnie, ani też zbyt pochopnie.

I nie liczyło się przy tym, że miał okazję zniweczyć plan tego świętoszkowatego, tchórzliwego skurwysyna Olderhana, który zamierzał oddać wrogowi najważniejsze skupisko portali w historii.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY SIÓDMY

–Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwego, pięćsetniku.

Sarr Klian podniósł wzrok. Po drugiej stronie stolika siedział dwutysięcznik Harshu. W dłoni trzymał swobodnie kieliszek wina. Na pokrytym białym obrusem stole stały puste talerze. Oficerowie dopiero co skończyli jeść. Znajdowali się w pomieszczeniu, które do chwili przybycia Harshu było salonem Kliana. Teraz, kiedy z uwagi na stale zwiększającą się ilość stacjonującego w Rycharn wojska zmienił się dowódca fortu i Klian musiał odstąpić swoją kwaterę dwutysięcznikowi. Zrobił to bez żalu, choć chwilami żałował jednak swojego biura i mieszkania. Wiedział, że to głupie uczucie. Harshu był najwyższym stopniem oficerem w forcie i potrzebował możliwie najlepszych warunków pracy. Takie więc dostał.

–Nie wyglądam? – powtórzył i na twarz Harshu wypłynął uśmiech.

–Czyżbyś starał się zyskać na czasie, pięćsetniku?

Powiedział to łagodnie, co kontrastowało z krążącą na jego temat opinią. Uniósł lekko dłoń z kieliszkiem i przechylił go nieznacznie. Świecące na ścianach lampy zostały wcześniej przyćmione tak, by można było bez przeszkód spożyć posiłek. Ich blask wypełnił teraz wnętrze kieliszka czerwoną poświatą.

–Chyba ma pan rację, dwutysięczniku – odpowiedział Klian, spoglądając przełożonemu ponad stołem prosto w oczy. – Z doświadczenia wiem, że kiedy dowódca zaczyna od takiej uwagi, to najczęściej zanoszą się na by tak rzec... wieczór porad?

Harshu uśmiechnął się jeszcze szerzej i pochylił głowę na bok.

–Tak, masz rację, to dość trafna obserwacja, pięćsetniku. Tym razem jednak naprawdę jestem ciekaw twojej opinii. Siedzisz tu na pograniczu dłużej niż ktokolwiek inny. Nie chcę przez to powiedzieć, że samo to czyni cię niezastąpionym ekspertem, ale jestem oczywiście świadom, że wkroczyłem na twoje terytorium, które znasz o wiele lepiej ode mnie.

–Jest pan ciekawy mojej opinii? A na jaki dokładnie temat? – spytał Klian. – Jeśli chodzi o moje zdanie na temat odsunięcia mnie od dowództwa, to chyba żaden oficer nigdy nie skakał do góry z takiego powodu. Ale nie, nie tłamszę w sobie zawiści. To byłoby w najlepszym razie bezsensowne, a w najgorszym głupie. Jestem pięćsetnikiem, a tutaj mamy już do czynienia z ilością wojska odpowiednią dla dowodzącego pięćsetnioma tysiącami – może nawet dziesięćsetnioma. Nie ma regulaminowej

możliwości, żebym mógł dowodzić takimi siłami. Ba! Nie mógłbym nawet, gdybym był tu jeszcze wyższy rangą.

–Mam wrażenie, że jesteś ze mną szczery – zauważył Harshu. Upił łyk wina i wzruszył ramionami. – To dla mnie ulga. W końcu będziesz dowodził logistyką fortu, a niewiele rzeczy może pomóc w podłożeniu dowódcy świni bardziej niż właśnie... jak by to ująć... kreatywny bałagan w logistyce spowodowany przez zawistnego oficera.

–Zapewniam pana – odezwał się nieco sztywno Klian – że nigdy nic takiego nie przeszło mi przez myśl...

–Nie powiedziałem, że tak było – przerwał mu Harshu. – Właściwie to miałem na myśli coś wręcz przeciwnego. Jednakże – odstawił kieliszek na stół, z koszyka z pieczywem wyciągnął bułkę i zaczął ją rozrywać na kawałki, które układał w stosik na krawędzi swego talerza – nie o tym chciałem porozmawiać pięćsetniku. Otóż mam wrażenie, że nie pochwała pan naszego planu i chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

Klian przez chwilę siedział w zupełnym bezruchu, potem sięgnął po swój kieliszek i napił się wina, by zyskać chwilę, podczas której mógłby zebrać myśli. Wreszcie odchrząknął.

–Dwutysięczniku – powiedział – to pan tu dowodzi. To czy podobają mi się pańskie plany, czy nie, nie ma tu najmniejszego znaczenia, prawda? Skoro jednak muszę odpowiedzieć, to owszem, są pewne elementy tego planu – a przynajmniej tej jego wersji, którą znam – które budzą mój niepokój.

–Konkretnie? – ponaglił Harshu.

–Cóż – Klian oparł się wygodniej na krześle, dłonie splótł na obrusie i pomyślał, że nie powinien się mimo wszystko czuć niczym kadet w akademii, który dostał właśnie na egzaminie podchwytliwe pytanie z taktyki. – Jeżeli chodzi o plany defensywne to nie widzę w nich żadnej luki. Ma pan całkowitą rację, że nie dysponując żadnym odpowiednikiem smoków – a choć nie znam raportów pięćsetnika Neshoka, to skłaniam się ku opinii, że obcy nie mają żadnego środka transportu powietrznego – przedarcie się przez bagna byłoby dla nich ogromnym problemem. Musieliby mieć niewyobrażalną wręcz przewagę liczebną, by przeprowadzić w tak trudnym terenie skuteczne natarcie, zwłaszcza, że nie mają też magicznie napędzanych łodzi. Nie udałoby im się to tym bardziej, że stale nękalibyśmy ich z powietrza. I nie ma tu znaczenia skuteczność i siła ich broni.

–Nikt też nie może panu odebrać prawa do planowania działań ofensywnych – ciągnął Klian. – Obaj jesteśmy żołnierzami, dwutysięczniku i obaj wiemy, że koniec końców, wojny i bitwy wygrywa się przenosząc zmagania na teren nieprzyjaciela, a nie jedynie dzięki cierpliwemu odpieraniu ataków. Martwi mnie raczej nastawienie,

które wyczuwam u większości pańskich oficerów. Cały sztab zachowuje się tak, jakby wszyscy byli pewni, że tak czy inaczej podejmiemy takie działania, że zaatakujemy.

Umilkł nadal patrząc Harshu prosto w oczy. Dwutysięcznik odpowiedział podobnym spojrzeniem. Trwało to może pół minuty. Wreszcie ciszę przerwał starszy oficer.

–Nic dziwnego, że tak się zachowują – przyznał spokojnie i odsłonił zęby w smutnym uśmiechu. – Przecież, pięćsetniku, żołnierze wykazują się największą efektywnością, kiedy idą do ataku i nawet, jeśli nic takiego się nie wydarzy, utrzymywanie w ludziach bojowego ducha nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Gdybyśmy utwierdzali ich w przekonaniu, że będziemy cały czas siedzieć w okopach, to w razie, gdyby jednak doszło do tego, że musielibyśmy zaatakować nie byłoby czasu na odpowiednie zmobilizowanie personelu.

–Rozumiem, dwutysięczniku – powiedział Klian bezbarwnie. Harshu uśmiechnął się szerzej.

–A jednak nie udało mi się ciebie uspokoić – zauważył. Klian chciał coś powiedzieć, ale dowódca powstrzymał go gestem. – Nie, nie przejmuj się, pięćsetniku. Pytałem o twoje zdanie i nie zrobiłem tego bez powodu. Aczkolwiek nie wydaje mi się, że twoje zastrzeżenia dotyczą tylko morale żołnierzy.

–Wydaje mi się – Klian pochylił się nieznacznie nad stołem – że mój niepokój budzą jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze, bez względu na to jak dobrze spisuje się nasz wywiad w okolicach portalu na bagnach, czy nawet na Polanie Powalonych Drzew, to tak naprawdę nie znamy rzeczywistych zdolności bojowych Sharonian. Nie mamy żadnych jasnych dowodów na efektywność ich ciężkiej broni, nie wiemy jak daleko od miejsca kontaktu znajdują się ich główne bazy, nie wiemy z jak dużą cywilizacją mamy do czynienia. Zdaję sobie sprawę, że wywiad ocenia, iż obcy nie spodziewają się znaczących posiłków wcześniej niż za kilka tygodni, ale co nam w zasadzie daje ta informacja? Nie wiemy jak poważne okażą się te posiłki i co przyślą w następnej kolejności. W razie ataku, gdyby nawet udało nam się nawet posłać do diabła wszystkich obcych w okolicy, to czy damy sobie radę z rezerwami? Czy mając dzięki smokom i gryfom przewagę w rozpoznaniu, równoważymy ich błyskawiczną komunikację, którą dysponują oni dzięki tym swoim Głosom? A jak wygląda stosunek sił ich Talentów – wliczając te, których się nawet nie spodziewamy – do siły naszych Darów?

–Drugą sprawą jest – ciągnął Klian – że o ile setnik Olderhan się nie myli, a myślę, że ma rację, to cały konflikt rozpoczął się przez pomyłkę. Zastępca Olderhana spieprzył pierwszy kontakt tak koncertowo, że bardziej nie było już można. Potem ja sam się nie popisałem i podjąłem błędną decyzję, a na koniec setnik Thalmayr popisał się monumentalną wręcz głupotą. Jeśli więc tak wyglądają sprawy, to wydaje

mi się, że nadal istnieje szansa na wynegocjowanie pokojowego zakończenia sporu, chyba, że któraś ze stron rozmyślnie z niej zrezygnuje. I – mówiąc zupełnie szczerze – obawiam się reakcji obcych na widok jakichkolwiek ruchów naszych wojsk. Zwłaszcza, że to my przecież zaproponowaliśmy nawiązanie rozmów.

–Być może cię to zaskoczy pięćsetniku, ale ja w zupełności rozumiem twoje zastrzeżenia – oznajmił Harshu. Klian poczuł jak jego brwi same wędrują ku górze. Dwutysięcznik zachichotał.

–Wiem, że mam opinię wściekłego smoka – ciągnął – i być może trochę nawet sobie na nią zasłużyłem. Nie jestem jednak ślepy i zdaję sobie sprawę z potencjalnego ryzyka i zagrożeń, o których wspomniałeś. Problem w tym, że otrzymałem wyraźne polecenia od dwutysięcznika mul Gurthaka i nie mogę pozwolić sobie na beczynność, nawet spowodowaną tak słusznymi argumentami. Od kiedy mul Gurthak podrzucił mi to zgniłe jajo spędziłem niezliczone bezsenne noce rozważając to wszystko, czego się obawiasz – mówił dalej. – Wierz mi. Naprawdę wiele o tym myślałem. Na tę chwilę skłaniam się ku opinii, że połączenie naszej mobilności i możliwości prowadzenia rozpoznania z powietrza więcej niż równoważy ich Głosy. Nie wiemy ilu mają tych Głosów, ani do jednostek jakiego poziomu są oni przypisani. Czy jeden Głos przypada na jeden batalion? Czy na kompanię? Nie chce mi się wierzyć, by było ich tylu, że służyliby w każdym plutonie. Poza tym, o ile dobrze rozumiem Głosy muszą pracować w parach. Biorąc to wszystko pod rozwagę, sądzę, iż nasza zdolność do widzenia więcej i dalej, informacje, którymi dysponują nasi dowódcy, stanowi korzyść przewyższającą straty wynikające z tego, że my nasze raporty musimy przysyłać brzęczkami. To oczywiście nie daje nam przewagi na poziomie strategicznym i obcy z pewnością okażą się lepsi, jeśli chodzi o organizację manewrów dużych zgrupowań wojska. Czy jednak uda im się z tego skorzystać, jeśli to my zdobędziemy przewagę na poziomie taktycznym? Co tak naprawdę daje przewaga komunikacyjna, jeśli nie wiadomo, co się dzieje po drugiej stronie frontu? Zwłaszcza, kiedy przeciwnik nie ma takiego problemu?

Harshu wzruszył ramionami jakby dla podkreślenia faktu, że żaden z nich nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Z drugiej jednak strony, sądząc po liczebności sił, które wysunęli naprzód i z rozmów nagranych przez nasze kryształowe rozpoznawcze wydaje się oczywiste, że zdolności transportowe tych ludzi są jeszcze gorsze niż początkowo myśleliśmy. Obcy polegają na nieulepszanych magicznie zwierzętach pociągowych. W rozmowach wspominają o całych miesiącach, które muszą upłynąć zanim dostaną jakiegokolwiek znaczące wzmocnienia. Chociaż trzeba przyznać, że według nich będą to rzeczywiście poważne siły.

–Oczywiście – ciągnął dwutysięcznik – nadal mamy poważne kłopoty ze zrozumieniem ich języka. Nawet, jeśli znamy wszystkie słowa danej wypowiedzi, to

nie zawsze znamy kontekst, który pozwoliłby nam zrozumieć, o czym mówią. Niemniej jasne jest, że należy się spodziewać, iż Sharonianie przyślą tu spore posiłki. Możliwe nawet, że większe, niż my zebraliśmy tutaj. Ale zanim zdołają je przerzucić na pozycje upłynie sporo czasu, a my jesteśmy już prawie w komplecie. Oczywiście nie dokonaliśmy tego bezkarnie. Siły, jakie tu mamy to już właściwie wszystko, co udało się znaleźć w tym łańcuchu tranzytowym. W krótkim czasie w Rycharn znajdują się maksymalne siły, jakimi będziemy dysponować w przewidywalnej przyszłości. Oni z kolei, jak zauważyłeś, będą mieć, co najmniej nadzieję na dalsze poważne wzmocnienia. Innymi słowy za chwilę stosunek sił będzie dla nas najkorzystniejszy z możliwych, przynajmniej do momentu, w którym Dowództwo dowie się o całej sprawie i przyśle nam dodatkowe posiłki. Tyle, że do tego momentu pozostają jeszcze długie miesiące.

–Trzeba też pamiętać – nie przerywał – że gra idzie tu o największe i prawie na pewno najbardziej cenne skupisko portali odkryte w dziejach. Z niektórych wypowiedzi obcych wynika, że oni oceniają to dokładnie tak samo, a w tej chwili portale należą do nich. Jak sądzisz? Gdybyśmy to my tam siedzieli, to czy łatwo zgodzilibyśmy się je oddać, albo przynajmniej nimi podzielić? Zwłaszcza z ludźmi, których uważalibyśmy za niebezpiecznych barbarzyńców? Bo oni – oczy dwutysięcznika prześwidrowały nagle Kliana na wylot – tak właśnie o nas myślą.

Pięćsetnik odpowiedział przełożonemu spojrzeniem i żałował, że nie zna odpowiedzi na ostatnie pytanie. Żałował też, że nie ma odwagi, by zapytać jak ma się waga i wartość skupiska portali do wagi i kosztów ewentualnego konfliktu zbrojnego z obcą, multiwersalną cywilizacją.

–Muszę równoważyć świadomość wszystkich tych problemów z posłuszeństwem wobec rozkazów dwutysięcznika mul Gurthaka i własną oceną sytuacji – podjął po chwili Harshu. – Przyznam się, że mimo swojej reputacji boję się jak cholera, tyle, że to nie zmienia faktu, że jestem do pewnych rzeczy zobowiązany, prawda?

–Nie, chyba rzeczywiście nie zmienia dwutysięcznikowi – zgodził się Klian. Chciał zapytać jak dokładnie brzmiały rozkazy mul Gurthaka, ale skoro Harshu do tej pory mu tego nie zdradził, to nie było szansy, że zrobi to teraz.

–Co do ewentualnych rozwiązań dyplomatycznych – powiedział Harshu. – Ja, podobnie zresztą jak ty pięćsetniku, jestem żołnierzem a nie dyplomata. Nigdy nie chciałem być dyplomata. Dyplomatami są za to mistrz Skirvon i mistrz Dastiri i zapewniam cię, że z najwyższą uwagą wysłuchuję ich rad i wniosków. Na samym wstępie rozkazów dwutysięcznik mul Gurthak uczulił mnie na to, bym nie lekceważył ich opinii i nie zamierzam tego zrobić.

Klian skinął głową, dusząc w sobie jeszcze jedno nie zadane pytanie. Miał poważne podejrzenia, że Skirvon i Dastiri wykonywali nie tylko wyłącznie dyplomatyczną

robotę i, że ich „rady i wnioski” miały na Harshu nieco zbyt silny wpływ.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odzywał. Wreszcie Harshu odetchnął głęboko i pokręcił lekko głową.

–Cokolwiek się nie wydarzy, pięćsetniku, nie mam zamiaru robić niczego, zanim nie zbierzemy pełnych sił. To jeszcze całe trzy doby. Mistrz Skirvon i mistrz Dastiri powinni pojawić się tu za cztery dni. Tymczasem zapewniam cię, że nie podjąłem jeszcze decyzji o ataku.

Klian odprężył się wyraźnie, ale Harshu jednak nie skończył mówić.

–Nie zdecydowałem też, że nie zaatakujemy – ciągnął. – Nie mogę podjąć żadnej decyzji, dopóki Skirvon i Dastiri nie poinformują mnie o obecnym nastawieniu Sharonian do nas i ogólnym klimacie, w jakim toczą się rozmowy. Niemniej – spojrzał Klianowi bardzo głęboko w oczy – nie mogę odwlekać podjęcia tej decyzji dużo dłużej. Jeśli będziemy trzymać tu wszystkich żołnierzy i smoki jeszcze przez jakiś czas, to nasza sytuacja logistyczna stanie się bardzo trudna. Sam to wiesz i nie muszę ci przypominać. Nawet gdyby nie, to jeśli okaże się, że atak z naszej strony jest nie do uniknięcia to byłbym zbrodniarzem, gdybym wstrzymał się z decyzją do chwili, w której obcy otrzymają uzupełnienia.

* * *

–Ciekawe, czy Chava przyjąłby ode mnie zaproszenie na obiad? – zastanowił się głośno Zindel XXIV. Cesarz wyglądał za okno na przepięknie utrzymane ogrody Wielkiego Pałacu. Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie, pod którym pracowała pokaźna armia ogrodników. Wielki Pałac wraz z przylegającymi do niego terenami zajmował tak wielki obszar, że nie było tu słyhać żadnego z normalnych odgłosów wielkiego miasta. Zindel cały czas żałował, że okoliczności, które skłoniły go do zamieszkania w jednym z pałacowych apartamentów nie były równie błogie, jak widok za oknami.

–Śmiem wątpić, wasza wysokość – odpowiedział zza pleców władcy Shamir Taje. – Nie cenię sobie zbyt jego inteligencji, jeszcze gorszą opinię mam o jego moralności – o ile takową w ogóle ma – ale nie mogę mu odmówić instynktu samozachowawczego.

–Sugerujesz Shamir, że mógłby pomyśleć, że moje zaproszenie wynikło z jakichś ukrytych motywów? – zapytał cesarz nieco urażonym tonem. Odwrócił się od okna i spojrzał na starego przyjaciela.

–Ależ skąd, wasza wysokość – zaprzeczył Taje nabożnie i Zindel zachichotał.

–No cóż. Prawdopodobnie masz rację. Nie przyszedłby. Poza tym, szczerze mówiąc,

rzeczywiście mógłbym kierować się jakimiś mrocznymi motywami. Pomyśl tylko ile świętych miejsc na ukrycie zwłok dałoby się znaleźć w ogrodach tego pałacu. Co więcej, wczoraj widziałem grządkę z kwiatami, które wyglądały jakby rozpaczliwie potrzebowały nawozu.

Zindel żartował, ale jego oczy spoglądały śmiertelnie poważnie.

–Wasza wysokość – powiedział Pierwszy Doradca. – Z całego serca żałuję, że nie możemy go po prostu zignorować. Muszę też przyznać, że propozycje niektórych naszych sprzymierzeńców, by po prostu zostawić Uromathię poza jurysdykcją nowego rządu światowego są niezwykle kuszące. Z biegiem czasu Uromathianie zrozumieliby, jakie koszty – zarówno polityczne jak i ekonomiczne – pociąga za sobą izolacja i któryś z następców Chavy musiałby wreszcie doprowadzić do zbliżenia z resztą planety. Niestety, najbardziej prawdopodobnym następcą Chavy jest któryś z tych jego obmierzłych synalków, co nie zapowiada niczego szczególnie pomyślnego. Co więcej ten scenariusz i tak zakłada sytuację, w której Chava gotów byłby cierpieć w bezczynności ogólnoświatowy ostracyzm na tyle długo, by jego następca miał cokolwiek do powiedzenia.

–Te pomysły pomijają też prosty fakt, że już zupełnie niedługo możemy potrzebować uromathiańskiej armii. I to bardzo – dodał Zindel ponuro.

Taje otworzył usta by coś powiedzieć, ale rozmyślił się i milczał. Cesarz przyglądał mu się przez chwilę, po czym odwrócił z powrotem do okna i splótł ręce na plecach.

–Mów Shamir – zachęcił.

–Wasza wysokość, oni z nami rozmawiają na Polanie Powalonych Drzew – przypomniał Taje.

–Wiem o tym. Wiem też, że analitycy i spece rozmaitej maści mają dzięki temu pełne ręce roboty. Wierz mi. W całym multiwersum nie ma drugiej osoby, która miałaby większą nadzieję na to, że z tych negocjacji wyniknie coś dobrego.

Cesarz mówił spokojnie, ale oczy, którymi śledził latające pomiędzy drzewami ptaki mówiły co innego. Wyobraził sobie, jak zachowałby się jego sokół Charaeil, widząc tak łakome kąski.

„Szkoda, że nie mogę rzucić mu na pożarcie Chavy” – pomyślał i uśmiechnął się nieco wbrew sobie. – „Chociaż nie wiem, czy Finena zechciałaby się takim kąskiem podzielić.”

Zaraz jednak uśmiech zniknął. Zindel spojrział przez ramię na Tajego. Pierwszy Radca widział za oknem tę samą spokojną, cichą scenerię, ale nastrój w oczach władcy był zupełnie inny. Czaiło się w nich coś mrocznego i groźnego.

–Chciałbym, żeby udało się rozwiązać ten kryzys zanim zginie ktoś jeszcze, Shamir. Ale jestem Calirathem i to, co noszę tu – dotknął swej skroni – to co widziałem w Przebłysku nie zapowiada pokojowego zakończenia.

–Wasza wysokość – przypomniał łagodnie Taje – nie wszystkie Przebłyski się przecież sprawdzają.

–Tak, ale tylko niewiele z tych, które się nie sprawdziły było tak wyraźnymi – powiedział Zindel. – Nie zapominaj też o Andrin – cesarz pokręcił głową. – To, że powiedziałem, iż jej Talent jest mocniejszy od mojego nie było tylko sztuczką w celu zwiększenia jej szacunku w Tajnej Radzie. Ona naprawdę ma większe zdolności ode mnie, bogowie chrońcie ją. Jej Talent nie jest jeszcze tak wykształcony jak mój – brakuje jej po prostu doświadczenia życiowego i nie mogła wytrenować tego, co ja już zdążyłem zrobić, ale wierz mi Shamir. Ona ma wielki Talent.

Oczy władcy spoglądały w tej chwili bardziej ponuro niż kiedykolwiek przedtem. Zacisnął szczęki i spojrzął na coś, co Widział tylko on i jego córka. Po chwili skupił spojrzenie na swoim doradcy.

Ona też nie Widziała niczego, co zwiastowałoby pokojowe współistnienie obu światów – powiedział.

–Ale, jeśli to prawda, to czy Widzicie kiedy to się dzieje? – spytał Taje. Cesarz podniósł brew i Taje wzruszył ramionami.

–Nawet, jeśli dzięki tym negocjacjom zyskalibyśmy jedynie kilka lat – zauważył – albo choćby parę miesięcy, to moim zdaniem wasza wysokość, gra jest warta świeczki. Jak sam mój panie powtarzasz od kilkudziesięciu dni, przed nami stoi monumentalne zadanie przygotowania się do konfliktu na niespotykaną dotąd skalę. W tej sytuacji każdy dzień może się okazać bezcennym.

–To prawda – zgodził się Zindel. – Zwłaszcza – dodał chmurnie – że mamy na głowie Chawę.

–Przynajmniej wreszcie powiedział czego chce. Z pewnością chodziło mu o to od samego początku.

–Wiem – wyraz twarzy cesarza zmienił się nieznacznie. Taje nigdy nie był w stanie wytłumaczyć na czym polegała ta różnica, ale zawsze zauważał ją natychmiast. Zbyt dobrze znał Zindela. To nie była mina władcy świata. Była to mina zatroskanego ojca.

–Wiem – powtórzył cesarz – i bogowie niech mi poświadczą. Chciałbym móc tego wszystkiego Janakiemu oszczędzić.

–Wasza wysokość, nie musisz przecież przyjmować oferty Chawy – powiedział Taje.

– Możemy odesłać ją z powrotem do Komisji Unifikacyjnej z naszymi poprawkami. Bez względu na wszystko nie tylko Uromathia ma tu coś do powiedzenia. Nadal też możemy skorzystać z propozycji Ronnela i zupełnie przestać przejmować się Chavą.

–Nie kuś mnie, Shamir – mruknął nachmurzony Zindel. Znów odwrócił się do okna i spróbował nacieszyć oczy spokojem i ciszą ogrodów. Jednak nawet tak skromnej przyjemności nie mógł skosztować z lekkim sercem. To od niego – i od członków jego rodziny – zależało, czy ten spokój i błogostan będzie mógł przetrwać. Żałował, że nie ma pewności, że jest w stanie wypełnić ten obowiązek. Tak samo mocno żałował, że nie zna sposobu by oszczędzić własnemu potomkowi ceny, jaką musiał zapłacić za samą tylko próbę ratowania sytuacji.

„Cholera, ciekawe ilu ojców i w ilu pokoleniach mojego rodu zadawało sobie to samo pytanie?” – zapytał sam siebie w rzadkim odruchu współczucia dla samego siebie. Nadal się nad tym zastanawiał, gdy niezmiennym głosem podjął przerwany wątek.

–Właśnie zgodziliśmy się, że powinniśmy zyskać tyle czasu, ile tylko możliwe. Nie mogę więc go marnować jakimiś wybiegami, które i tak tylko odwlekłyby nieuchronne. Chava zrezygnował z wielu swoich wstępnych żądań by skończyć na tym jednym – samo to wystarczyło, by pewna część uczestników Konklawe poparła ten jego „przejaw gotowości do kompromisu”. Co więcej jego taktyka wyciągania na światło dzienne wszystkiego, co kiedykolwiek różniło go z Ternathią okazała się korzystna także pod innym względem. Teraz nie potrzebuje poparcia większości by zablokować każdą poprawkę Aktu, która mu się nie spodoba. Wystarcza mu do tego odpowiednio liczna mniejszość.

–To prawda wasza wysokość – przyznał Taje. – Z drugiej strony, jeśli zdecydujesz się w imieniu Ternathii zaakceptować jego warunki, to i tak swoje poparcie muszą jeszcze wyrazić nasi sprzymierzeńcy na Konklawe. A nie byłbym zbyt pewny, czy zechcą właśnie tak zagłosować.

–Widzę, że myślisz o Ronnelu – zauważył oschle Zindel i pokręcił głową z gorzkim uśmiechem. Pomyślał o cesarzu Farnalii.

–Czasem zdarza mi się żałować, że Ronnel tak bardzo przypomina swych przodków. Mogę sobie doskonale wyobrazić jak rzuca się na mur tarcz z pianą i bojowym okrzykiem na ustach, wywijając toporem młyńca nad głową.

–Aż taki zły to on nie jest, wasza wysokość – zaprotestował Taje i Zindel parsknął śmiechem.

–Ależ on jest dokładnie tak zły – powtórzył – i na dodatek nienawidzi Chavę całą mocą swojego namiętnego serca. Tym bardziej, że oni obaj miewają ze sobą częściej

do czynienia, mają przecież kawałek wspólnej granicy w pobliżu Scurlis. Ronnel nie powiedział mi, co Chava mu zrobił, ale inni dostarczyli mi dość informacji bym zaczął się domyślać. A Junni z Eniath powiedział mi też niemało – pewnie nawet więcej niż chciał.

–Dlatego też – ciągnął cesarz – Ronnel jest takim zagorzałym przeciwnikiem jakichkolwiek... układów z Uromathią. Jeśli jednak myśli, że pomysł posiadania z Chawą wspólnych wnuków jest mi miły, to się grubo myli. Niestety będzie musiał jednak się ugiąć, tak samo zresztą jak ja. Nie możemy dopuścić do podziału Sharony pomiędzy stronnictwo Chavy i nasze. Bądźmy uczciwi Shamir, gdyby tu nie o nas osobiście chodziło, to pomyślelibyśmy pewnie, że biorąc pod uwagę proporcje sił między Ternathią i Uromathią, jest to całkiem dobre i sprawiedliwe wyjście z sytuacji.

Taje niechętnie skinął głową.

–No dobrze – oznajmił Zindel nie odwracając się od okna – przekaż posłowi Kinshe, że Ternathia oficjalnie akceptuje poprawki Uromathii do Aktu Zjednoczenia. Mam nadzieję – dodał z lekkim uśmiechem – że korona Sharony okaże się warta uromathiańskiej synowej.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY ÓSMY

„DZIŚ HISTORYCZNE GŁOSOWANIE”

Thaminar Kolmayr ledwie rzucił okiem na wielki nagłówek widniejący na porannym wydaniu „Dziennika Zatokowego”, który przyniosła przed chwilą jego nowa asystentka. Nie musiał czytać ani słowa więcej. Opisywane w artykule wydarzenia znał bardzo dokładnie. W ciągu ostatnich koszmarnych, dłużących się bez końca tygodni poznał się na polityce bardziej, niż sobie tego kiedykolwiek życzył.

Nigdy przedtem nie interesował się zbytnio podobnymi sprawami. Jednak od chwili, gdy obcy zamordowali ich córkę, Thaminar i Shalassar śledzili wiadomości z Tajwany w milczącym, pełnym bólu napięciu. Robili to jednak z zupełnie innych powodów niż większość mieszkańców Sharony. Wszystkich zajmowała kwestia przyszłych struktur władzy, tego kto ją obejmie i jak te zmiany wpłyną na ich życie. Thaminar z lękiem myślał o nadchodzących zmianach – ostatnio wraz z żoną doświadczyli już ich wystarczająco dużo i nie był pewien, czy przeżyje kolejne. Wiedział też zarazem, że były nieuniknione. I jakkolwiek zmiany te same w sobie nie obchodziły ich wcale to obojgu bardzo zależało na dojściu sprawiedliwości.

Oglądanie zdjęć i nazwiska córki w przeróżnych gazetach i odbieranie ich w telepatycznych przekazach sieci Głosów, okazało się ogromnie bolesnym przeżyciem. Żaden z tych tekstów czy obrazów nawet nie zbliżał się w okrucieństwie do ostatniego nadanego przez Shaylar komunikatu z polany, niemniej ani on, ani Shalassar nie mieli już ochoty ich odbierać i czytać. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy w ogóle zrezygnowali z korzystania z telepatycznych przekazów – za bardzo przywodziło im to na myśl śmierć córki – i polegali wyłącznie na gazetach. Za każdym razem, gdy widzieli w nich zdjęcie swojej maleńkiej Shaylar powtarzali sobie, że już do tego przywykli.

Nie kończący się, ściskający piersi żal nie chciał jednak przeminąć. Po jakimś czasie zrozumieli, że już nigdy się od niego do końca nie uwolnią. Cierpienie zelżało na tyle, że udało się obojgu pozbierać strzaskane kawałki życia i ruszyć powoli naprzód. Bolało jednak nadal. Ból czał się wokół postrzępionej, wydarłej boleśnie dziury, której powstanie w ich duszach spowodowała śmierć Shaylar. Strata dziecka zawsze jest szalenie okrutnym przeżyciem. Dosłowna, bezpośrednia świadomość okoliczności, w jakich do niej doszło, współodczuwanie przerażenia i bólu, jaki czuła ich córka w ostatnich minutach swego życia było jeszcze gorsze. Nie mogli przecież nawet przytulić jej na pożegnanie...

Shalassar wróciła z kuchni. W rękach trzymała tacę ze śniadaniem. Nie czuł

właściwie głodu – rzadko teraz bywał głodny. Aromatyczny zapach kawy okazał się jednak miłym wspomnieniem zwyczajnego, domowego życia i Thaminar powitał go z wdzięcznością. Chwyтали się podobnych rzeczy kurczowo, chwyтали się swoich małych rytuałów, znajomych czynności wykonywanych już tysiące razy. W ten sposób dawali sobie radę z nawrotami cierpienia i zyskiwali siły na przetrwanie kolejnego dnia.

Kobieta rzuciła okiem na nagłówek. Tuż pod nim widniało jeszcze jedno, podkreślone czarną obwódką zdjęcie Shaylar, umieszczone pomiędzy fotografiami jedynych dwóch ludzi, którzy liczyli się jeszcze na Konklawe. Delegaci zagłosowali już za utworzeniem zjednoczonego Imperium Sharony w oparciu o model i instytucje Cesarstwa Ternathii z jego władcą – Zindelem chan Calirathem na czele. Uromathia odmówiła uznania wyników tego głosowania, co rozwścieczyło wszystkich, choć z drugiej strony nikt nie spodziewał się innego rozwoju sytuacji. Jedynym zaskoczeniem było to, że cesarzowi Chavie udało się swój sprzeciw przeprowadzić. Dzięki odwołaniu do rzekomych okrucieństw starożytnych Ternathian, przekonał kilka mniejszych państw do poparcia swego stanowiska.

„Choć może” – pomyślał Thaminar – „przekonywanie” nie było tu najlepszym słowem. Chava po prostu zastraszył tych kilkunastu delegatów. Dziwnym trafem wszyscy jego sojusznicy graniczyli z Uromathią.”

Bez względu jednak na ocenę zastosowanych metod, uromathiańskiemu cesarzowi udało się zyskać dla siebie poparcie, co dodało jego buńczuczny protestom pewnego uprawomocnienia. Thaminar musiał to – choć niechętnie – przyznać. Chava Busar i jego obóz, okopali się ostatecznie za zasłoną swojej propozycji „rozsądnego kompromisu”. Teraz pozostawało już tylko czekać i przekonać się czy narody, które już zaakceptowały Zindela z Ternathii i jako przyszłego cesarza świata, okażą się równie chętne by zaakceptować poprawki wysunięte przez Chavę.

–Myślisz, że się zgodzą? – zapytała cicho Shalassar przygryzając lekko wargę. Zajęła się nakładaniem śniadania, na które żadne z nich nic miało ochoty.

–Nie wiem – odpowiedział Thaminar. Kobieta zamarła, talerzyk z kilkoma plasterkami melona zawisł w jej dłoni nad gładkim blatem stołu. Do pokoju wpadało jasne światło dnia. Podniosła oczy na męża.

–Wcześniej byłem zdania, że skoro tylko Zindel zgodzi się na propozycję Uromathii – wzruszył ramionami – to nie będzie problemu. Okazuje się jednak, choć ciężko w to uwierzyć, że Chava jest jeszcze mniej popularny, niż się tego spodziewaliśmy.

Shalassar zaskoczyła go lekkim uśmiechem i pokręciła głową.

–Naprawdę uważasz, że opozycja może być nadal aż tak silna? Może to tylko gazety

podgrzewają atmosferę, żeby nabić sobie nakłady?

–Zrobiłaś się strasznie cyniczna, moja droga – zauważył Thaminar. – Choć owszem, możesz mieć rację.

Odpowiedział jej uśmiechem. Prawda wyglądała tak, że nie miał pojęcia, ku czemu skłonią się umysły zebranych w Tajwanie mężczyzn i kobiet. Z jednej strony wyglądało na to, że wszystko już jest pozamiatane, z drugiej jednak niektórzy delegaci – dziennikarze sugerowali, że niejaki wpływ wywierał na nich cesarz Ronnel z Farnalii – uparcie trwali na swoich pozycjach, odmawiając jakichkolwiek ustępstw na rzecz Uromathii. Wyglądało na to, że sama myśl o tym, iż pewnego dnia rządzić nimi będzie wnuk Chavy Busara była dla nich nie do zniesienia. W stosunku do całego składu Konklawe była to mniejszość, ale w jej skład wchodził najzagorzalsi zwolennicy utworzenia globalnego państwa. Poza tym Akt Zjednoczenia musiał zostać uchwalony większością nadzwyczajną. Tak samo miała się sprawa z uchwalaniem poprawki do pierwszej wersji Aktu, co sprawiało, że „opozycjoniści” mieli w swym ręku poważne argumenty.

–Koniec końców – odezwał się Thaminar – sędzę, że wszystko zależy od postawy Ronnela. Z tego, co czytałem, to jest on jednym z najwierniejszych sojuszników Zindela i nie wierzę, żeby akurat w tej sprawie zagłosował wbrew Ternathii. Poza tym, to przecież nie jego syn ma ożenić się z jedną z córek Chavy.

–Tak? A pamiętasz Fyysela? Czy on kierował się według ciebie rozsądkiem, gdy zgłoszono kandydaturę Chavy? – Shalassar nie zgodziła się z optymizmem męża. Mężczyzna skrzywił się nieznacznie.

Pomyślał, że miała rację. Fyysel zdecydowanie poparł pierwotną propozycję Halidara Kinshe, ale kiedy Chava zgłosił własną osobę, Fyysel wypowiedział się w imieniu własnych poddanych i wyraził najwyższe oburzenie. Król Shurkhal oznajmił butnie, że jeśli świat jest na tyle głupi by na siłę zmuszać jego naród do zaakceptowania władcy z Uromathii, to honor Shurkhalian i Shurkhalianek wymaga, by przypomnieli sobie jak toczy się wojny.

Thaminar nie potrafił zliczyć ile razy słyszał lub widział w gazetach swego królestwa i debatach publicznych zdanie „Śmierć tak – Uromathia nie”. Zgadzał się z tymi nastrojami w zupełności. Był też świadom, że Uromathia zrobiła wszystko, co w jej mocy, by podgrzać antyternathiańskie nastroje w krajach niegdyś podbitych przez starożytne Imperium. Chava miał nadzieję, że przeciągnie na swoją stronę także część opinii publicznej. Mimo więc sromotnej klęski, jaką poniosła kandydatura Chavy na stanowisko cesarza, udało mu się skonsolidować niewielką choć krzykliwą frakcję szaleńców, których wyszukał w delegacjach niemal wszystkich państw poza Ternathią. Na szczęście w miarę rozwoju sytuacji udało się ich zmarginalizować. W tym samym czasie Zindel coraz więcej państw przekonywał do siebie, jako rozsądny,

umiarkowany i honorowy kandydat, który nie pozwolił swym sojusznikom na narzucenie reszcie własnej kandydatury siłą. Wreszcie więc nastroje przechyliły się zdecydowanie na stronę cesarza Ternathii.

Pozostawała jedynie kwestia przekonania stronników Zindela – w tym króla Fyysela – by zgodzili się na porozumienie, które dawało potomkom Chavy Busara uczestnictwo we władzy nad Sharona.

–Sądzę, że tak czy inaczej będą musieli się z tym pogodzić – powiedział po chwili zastanowienia. – Skoro Zindel powiedział już „tak”, to jak mogliby się temu sprzeciwić? Chcą przecież, by został cesarzem całej Sharony. Zaprzeczanie jego prawa do podejmowania decyzji dotyczących jego własnej rodziny nie byłoby chyba zbyt obiecującym początkiem? – pokręcił głową. – To czyste szaleństwo.

–Uważasz, że Zindel wywołuje u ludzi szaleńcze reakcje? A Chava to niby nie? – odparła Shalassar.

–Nie potrafię ci udzielić prostych odpowiedzi, kochanie – powiedział. – Żałuję, ale już w nie, nie wierzę. Tak czy inaczej możemy teraz tylko czekać na chwilę, w której podliczą głosy.

–Wiem, wiem – Shalassar zdobyła się na słaby uśmiech. Mąż odpowiedział jej tym samym, po czym złożył gazetę i rozmyślnie odłożył ją na bok. Shalassar nałożyła mu na talerz kawałek melona, winogrona i daktyle. Thaminar pomyślał, że dobrze by było, gdyby zmartwienia można było odsunąć od siebie równie łatwo, jak prosto odkładało się gazety. To było jednak niemożliwe. Dzisiejsze głosowanie było szalenie istotne i choć oboje woleliby o nim nie myśleć zdawali sobie sprawę, że od tego nie uciekną.

Oczywiście nie znaczyło to, że nie mogli udawać obojętności.

–Przyjmujesz dziś jakieś delegacje? – zapytał Thaminar zmieniając temat z głosowania w Tajwanie na sprawy bardziej bezpośrednio dotyczące ich życia.

Shalassar uśmiechnęła się ponownie, ale jej mąż wyczuł przez małżeńską więź jej napięcie i stres. Ona z równie wielkim wysiłkiem odsunęła od siebie myśli od głosowania na temat Zjednoczenia.

–Nie. Nikogo się nie spodziewam – odpowiedziała kręcąc głową. – Choć oczywiście dzwon może zadzwonić i tak.

Ostatnia uwaga sprawiła, że uśmiech na jej twarzy stał się nieco bardziej szczery. Ambasador świata ludzi w świecie morskich ssaków nie mógł pracować w taki sam sposób jak inni ambasadorzy. Życie Shalassar stanowiło w tej sprawie rozstrzygający dowód.

Praca ambasadorów, którzy pracowali na styku ludzie-ludzie była w porównaniu z jej zajęciem niesłychanie nudna. Ci pierwsi dyplomaci otrzymywali pisemne, słowne, lub Głosowe informacje o terminach i miejscach spotkań, a potem udawali się tam o właściwej porze i rozmawiali. Byli więc w stanie prowadzić kalendarze i planować swe życie z wyprzedzeniem co najmniej jednego dnia.

Ambasadorzy odpowiadający za kontakty z wielkimi małpami – gorylami górskimi, szympanсами, orangutanami, pawianami i niektórymi innymi gatunkami naczelnymi – wiedli o wiele mniej zorganizowane życie. Nie mogli spodziewać się, że zostaną zakwaterowani w wytwornych willach, gdzieś w eleganckich dzielnicach którejś ze stolic Sharony. Musieli żyć wśród tych istot, wobec których reprezentowali ludzkość. Mieszkali więc zazwyczaj w pobliżu dzikich obszarów porośniętych dziewiczymi lasami bądź dżunglą, w miejscach które pozostawiono na wyłączny użytek rozumnych małp. Pozwalało to emisariuszom zwierząt po prostu wyjść spośród drzew i zapukać do drzwi ludzkiego wysłannika w dowolnie wybranej przez siebie chwili. Małpy cieszyły się złą sławą korzystania z tej możliwości do woli. Oficjalne, protokolarne wymogi i obyczaje, które panowały wśród ludzi nie interesowały ich zupełnie.

Częściej oczywiście zdarzało się, że to ludzie inicjowali kontakt z małpami. W takich razach ambasadorzy wyruszali do dżungli w poszukiwaniu tej konkretnej populacji, do której ludzie mieli sprawę. Nierzadko chodziło o uzyskanie od małp zgody na planowaną na ich terenie budowę – osiedla, drogi lub kopalni.

Zdarzało się od czasu do czasu, że o wymagane pozwolenie nie było wcale łatwo. Sytuacje takie nie stanowiły jednak zasady, a raczej wyjątki – zazwyczaj w takich razach dochodzono do porozumienia na zasadzie coś za coś. Niekiedy małpy uzyskiwały w zamian przeniesienie całego klanu zwierząt w inny nadający się do zamieszkania rejon, czasem też wystarczało podarować im jakąś technologię, która poprawiała ich poziom życia. Dzięki temu niejedyn już dziki kot doświadczył nieprzyjemnej niespodzianki, stając naprzeciw uzbrojonych w białą broń szympanсів broniących zajadłe swych młodych. Większość małp wprost uwielbiała posługiwać się toporami i piłami.

Niektóre z klanów uzyskały w ten sposób dostęp do opłaconych przez negocjujące rządy czy firmy lekarstw i usług Uzdrowicieli.

Wiadomości o każdym z takich pomyślnych porozumień szybko docierały do pozostałych małpich rodzin w danym regionie. Jeśli na przykład szympansy Nishani zezwoliły ludziom na budowę kopalni w zamian za opiekę medyczną, to nie chcąc być gorszym klan Minarti natychmiast wysyłał swego przedstawiciela do ambasadora Sharony z pytaniem, czy i jego klan nie mógłby w czymś się ludziom przysłużyć. Często okazywało się też, że na terenach zasiedlonych przez małpy rosły jakieś lecznicze zioła, które nie były dostępne nigdzie indziej. Także i tego rodzaju skarby

poszczególne klany wymieniały na opiekę medyczną. Tak było właśnie w przypadku klanu Minarti, do którego sprowadzono specjalistów od ogrodnictwa. Nauczyli oni niecodziennych studentów właściwych metod opieki nad roślinami i starannego korzystania z zasobów ziół, tak by małpy bezmyślnie nie wytrzebiły gatunku. Uradowane szympansy otrzymały więc swoją opiekę lekarską, ludzie dostali swoje zioła i wszyscy byli zadowoleni.

Wszystko to bardzo przypominało targi, do jakich dochodziło między ludźmi. Była to jedna z rzeczy, które niezmiernie dziwiły Shalassar i Thaminara, ponieważ ich własne doświadczenia były zupełnie odmienne.

Po pierwsze, szympansy miały o wiele lepiej – w sensie ludzkich standardów – od waleni rozwinięte poczucie upływu czasu. Współpracujący z delfinami czy wielorybami człowiek nie dysponował żadnym sposobem na przewidzenie, o której godzinie mógł się pojawić ich wysłannik, pragnący kontaktu z ambasadorem ludzi.

Środowisko, w jakim przyszło im żyć różniło się znacznie od tego, w którym rozwinęła się cywilizacja ludzi czy umysły wielkich małp i tak samo bardzo od ludzkiej różniła się wrażliwość morskich ssaków i ich potrzeby. Gdyby walenie miały szansę poznać historię klanu Minarti uznałyby ją zapewne za niezmiernie nudną.

Większość rozumnych istot zamieszkujących Sharonę (w tym większość ludzi) czuła wobec morskich ssaków żal i lekką wyższość. Głównie dlatego, że mieszkańcy mórz nie mieli rąk, dzięki którym mogłyby korzystać z wytworów technologii człowieka. Większość rozumnych istot z głębin z kolei w ogóle nie poświęcały małpom uwagi, może poza tym, że było im naczelnym żal i czuły wobec nich (a także wobec większości ludzi) lekką wyższość, ponieważ dwunogi były uwięzione na lądzie i nie mogły cieszyć się z trzech czwartych powierzchni swej rodzimej planety. Zupełnie też nie przejmowały się interesami prowadzonymi przez górskie goryle i szympansy, choć już w stosunku do ludzi, którzy ciągle podróżowali po ich akwenach, musiały tę postawę nieco zmodyfikować.

Oczywiście ludzie nie wpływali na ich życie jakoś szczególnie dotkliwie. Byli przecież w stanie ledwie tylko posmakować nieskończonego oceanu – ojczyzny waleni. Niemniej terytoria zajmowane przez obie strony z biegiem czasu zaczęły się z sobą pokrywać. Początek dwustronnych kontaktów sięgał momentu pojawienia się Talentów i to właśnie ludzie wyszli z inicjatywą. Nikt – nawet Shalassar – nie wiedziała, w jaki sposób morskie stworzenia przechowywały swą wiedzę historyczną, ale sam fakt, że to robiły pozostawał poza wszelką wątpliwością. Władcy mórz pamiętali więc czasy, w których nawet najwspanialszy i najlepszy spośród nich stanowili dla ludzi jedynie pokarm... Potem wszystko się zmieniło.

Niektóre z waleni nadal były w stosunku do ludzi uprzedzone, a nawet wrogie z powodu wydarzeń, które miały miejsce tysiące lat wcześniej. Jednak większość

pamiętała, że dwunogi zaczęły zachowywać się inaczej od razu, gdy zorientowały się, że mają do czynienia z obdarzonymi świadomością, inteligentnymi istotami. W związku z tym nawet te niechętnie zgadzały się, że utrzymanie jakiejś stałej formy kontaktu jest niezbędne i nieuniknione.

I to właśnie było zadaniem ambasadorów takich jak Shalassar, która całe życie poświęciła kontaktom z morskimi ssakami i nawet wyraźniej niż jej znajomi dyplomaci pracujący z małpami, poczuła po jakimś czasie, że istoty te stały się najważniejszą rzeczą w jej życiu. Przestała być wobec mieszkańców mórz jedynie urzędnikiem. Ona sama i pozostali członkowie jej rodziny nawiązywali z wielkimi, pływającymi stworzeniami – delfinami, morświnami – przyjaźnie, które tworzyły niewzruszone, intymne mosty między oboma gatunkami.

Dziś także nikt nie zwolnił jej z obowiązków, co oznaczało, że rezultat dzisiejszego głosowania nie był dla niej sprawą wyłącznie prywatną. Interesował ją również z przyczyn zawodowych. Jeżeli bowiem Zindel chan Calirath rzeczywiście zostałby cesarzem zjednoczonej Sharony, zostałby też automatycznie przełożonym Shalassar, a ona stałaby się jego przedstawicielem wobec waleni. Dotychczas reprezentowała tylko królestwo Shurkhal i gdyby to się zmieniło musiałaby znaleźć sposób, by przekazać tę wiadomość w głębiny.

Ta myśl przywiodła ją na powrót do głosowania. Rzuciła okiem na zegarek. Nadeszła już prawie pora telepatycznego sprawozdania USMS z Tajwany. Wtem poczuła obejmujące ją od tyłu ramiona Thaminara. Zamknęła oczy i wtuliła się w męża. Uchwyciła się miłości, która napłynęła szerokim strumieniem przez małżeńską więź i oblała ją niczym druga para kojących rąk. Męskie wargi musnęły jej szyję.

–Chodźmy na plażę – powiedział markotnie. – Nie chcę siedzieć w domu.

Shalassar skinęła głową i wyszli na zewnątrz. Poszli wzdłuż brzegu i odeszli spory kawałek za dom, minęli ambasadę z jej pomostem i dzwonem. Wkrótce dotarli do swego ulubionego, ocienianego przez palmy miejsca. Usiedli na kocu i dali się pochwyć nieskończonym przestrzeniom morza i nieba. Shalassar siedziała oparta plecami o męża. Cieszyła się oferowanym przez niego oparciem. Chowiała się w silnych, opiekuńczych ramionach.

Tutaj, na słońcu pod otwartym niebem wśród podmuchów wiatru, ból i strata były mniej dojmujące niż w ograniczonym ścianami i sufitem domu. W ciągu ostatnich tygodni spędzili w ten sposób wiele godzin. Shalassar złożyła głowę na piersi męża. Do obojga przyszły naraz te same wspomnienia. Zobaczyli Shaylar skaczącą po plaży, bawiącą się ze starszymi braćmi. Widzieli jak buduje zamki z piasku, jak goni za muszelkami. Usłyszeli pośród fal jej śmiech, ujrzeli jak płynie na grzbiecie jednego z delfinów – gości ambasady.

Siedzieli tak długo. Przyglądali się ptakom krążącym im nad głowami, zasłuchali się w ich niewysłowienie samotne krzyki. Mewy wirowały i niknęły na tle nieba i wody. Pobratymcy Shalassar wierzyli, że po śmierci ludzka dusza wzbija się niczym ptak ku chmurom i śpiewa przez całą drogę ku rajom, w których odnajduje wieczny odpoczynek u boku swych bogów...

Shurkhalianie natomiast utrzymywali, że dusza jest czymś na podobieństwo ziarenka piasku zagubionego pośród wielkiej pustyni. Kiedy ktoś umierał, wiatr porywał jego duszę i unosił na wielką pustynię nieba, gdzie dołączała do ruchomych rajskich wydm. Dusze ludzi wartościowych, godnych wyróżnienia, wicher wynosił jeszcze wyżej, gdzie rozbłyskiwały i zamieniały się w kolejne klejnoty w diademie nocnego nieba, na którym służyły żyjącym, wskazując drogę wśród piasków.

Rodzice Shaylar nie wiedzieli, czy dusza ich córki skończyła swą ziemską wędrówkę jako ptak wyśpiewujący swą ostatnią pieśń, czy zamieniła się w gwiazdę zdobiącą czoło bóstwa. Wierzyli jednak, że gdziekolwiek jest, odnalazła spokój i szczęście zarezerwowane dla tych, którzy przeszli przez życie z radością i pożytkiem dla bliźnich. Wierzyli, że jej ostatni uczynek, spalenie map, które mogły stanowić zagrożenie dla życia wszystkich mieszkańców Sharony, sprawił, że bogowie chętnie ujrzeni ich dziecko u swego boku.

* * *

–Myślisz, że Ronnel naprawdę jest po naszej stronie? – Britham Dulan wyszeptał pytanie wprost do ucha Shamira Taje.

Andrin wiedziała, że nie powinna była podsłuchiwać pytania Doradcy Spraw Wewnętrznych, lecz słuch zawsze miała wyjątkowo dobry. Co więcej ciekawość nie dręczyła jedynie Dulana. Cesarz Farnalii znów stał, krzyczał i ciskał spojrzeniem pioruny. Odpierał właśnie kolejną, cierpką uwagę kóregoś ze sprzymierzeńców Chavy Busara.

Zajmował się tym już dobre kilka godzin. Wczesny poranek zdążył się zamienić w późne popołudnie.

Usta Tajego wykrzywiły się w grymasie, mogącym wyrażać rozbawienie lub irytację i zgodę, lub te trzy rzeczy naraz. Pierwszy Radca nie odpowiedział jednak ani słowem. Być może zbyt dobrze wiedział, że w trakcie obrad Konklawe na członkach ternathiańskiej delegacji skupiała się uwaga wszystkich zgromadzonych. Andrin stwierdziła jednak, że woli usłyszeć, jakie jest jego zdanie i po chwili wykorzystwała młody wiek jako swój atut. Nie robiła tego zbyt często, choć miała przecież ledwie siedemnaście lat i zdarzały się czasem sytuacje, w których mogła pozwolić sobie na coś, co nie uchodziłoby dorosłym.

–Tato – spytała cicho ojca, podnosząc ku niemu spojrzenie – dlaczego cesarz Ronnel robi tyle hałasu?

Zindel chan Calirath musiał całym wysiłkiem woli powstrzymać się by nie wybuchnąć głębokim, głośnym śmiechem. „Hałas” był właśnie tym słowem, które doskonale odzwierciedlało to, co w tej chwili wyprawiał jego stary przyjaciel, choć pewnie poza Andrin nikt by go nie użył. Po kilku sekundach, kiedy miał już pewność, że panuje nad własnym głosem spojrzał na córkę i nieznacznie pochylił głowę.

–Ronnel jest nieco... uparty – powiedział niezwykle oględnie. – W prostych słowach, on po prostu nie lubi Chavy, nie ufa mu i nie chce, żeby cesarz Uromathii kręcił się w pobliżu cesarskiego tronu. A już na pewno nie w pobliżu tronu imperium, którego poddanym będzie Ronnel.

–Ale skoro ty się nie sprzeciwiasz poprawkom, to dlaczego on to robi? – spytała. – To nielogiczne.

–Polityka często bywa nielogiczna – odparł cesarz. – Ludzie kierują się emocjami równie często, jak rozumem. Zrozumienie tego faktu, jest jedną z podstaw sztuki władzy. Kiedy może to przynieść korzyści trzeba na to pozwalać, by tym skuteczniej doprowadzić do realizacji własnych zamierzeń. Teraz właśnie Ronnel jest przekonany – nieco zbyt emocjonalnie – że ma racjonalne powody, by nie ufać Chavie. I ma rację. Szczerze powiedziawszy każdy, kto zna Chavę ma ku temu powody.

Zastanawiał się, czy powinien powiedzieć córce o tym, że wywiad doniósł mu, iż Chava potrafił posunąć się do zastraszania i terroryzowania własnych obywateli... a także obywateli swoich sąsiadów. „Rozbójnicy” kryjący się w górach i dolinach wzdłuż granic Uromathii z niewyjaśnionych przyczyn nie zostali zlikwidowani od dziesięcioleci – które to dziesięciolecia dziwnym trafem zbiegały się z okresem panowania Chavy. Z jeszcze bardziej niezrozumiałych powodów ci „rozbójnicy” atakowali terytoria wyłącznie tych państw, za którymi Chava nie przepadał. Poza tymi – i tak dość ponurymi – podejrzeniami agenci Ternathii podsuwali inne, jeszcze bardziej mroczne przypuszczenia, których jednak nikt nie zdołał ostatecznie potwierdzić lub odrzucić.

Zastanowił się nad tymi niejasnymi raportami i spojrzał głębiej w czyste, szare jak morze oczy córki. Postanowił o tym nie mówić. Pewnego dnia będzie musiał jej o tym wszystkim powiedzieć, ale jeszcze nie dziś. Teraz – mimo całej swej siły ducha – Andrin była przecież jeszcze tylko dziewczynką – jego małą dziewczynką, a on był jej ojcem i właśnie jako ojciec postanowił uchronić ją przed złem, chociaż przez jakiś czas.

–Nie sposób pomylić Chavy ze szlachetnym paladynem ze starych legend – powiedział zamiast tego. – Ronnel i niektórzy inni nie chcą o tym zapomnieć. Jeśli

mam być zupełnie szczery, to podejrzewam, że jedną z przyczyn jego zachowania jest to, że jest moim dobrym przyjacielem.

Andrin spojrzała nieco zmieszana. Cesarz lekko uściśnął jej ramię.

–Powiedziałem Ronnelowi, że tak musi być, że musimy się zgodzić na warunek Chavy – wyjaśnił – ale on nie wierzy, że ja tego naprawdę chcę. I ja go rozumiem – przyznał – zwłaszcza, że gdybym miał jakikolwiek wybór, to oszczędziłbym biednego Janakiego. Chodzi więc o to, że Ronnel jest przeświadczony, iż moja decyzja wynika z dbałości o rację stanu i to go boli. Boli go, że do czegoś podobnego zmusił mnie ktoś taki, jak Chava. Nie zapominaj przy tym, kto Janakiego trzymał do chrztu. Myślisz, że będzie teraz zadowolony widząc Chavę Busara jako jego teścia?

Andrin skrzywiła się i pokręciła głową. Zindel wzruszył ramionami.

–Ja też nie, ale jak już powiedziałem nie mamy większego wyboru. Ani ja ani twój brat. Gdyby Janaki wiedział to wszystko, co ja wiem, sam podjąłby identyczną decyzję. A wracając do twego pytania. Ronnel hałasuje, bo skłania go do tego mieszanka jego własnych zatargów z Chavą i uczuć, które każą mu „bronić” mnie przed tym, co – według niego – zostało mi narzucone. W efekcie sprowadza się to do tego, o czym już ci powiedziałem – przypomniat – polityka często bywa nielogiczna.

–No, ale skoro mówisz, że to konieczność...? – zauważyła i cesarz ponownie wzruszył ramionami.

–Ronnel i ja różnimy się w tym punkcie – przyznał cesarz. – Ja twierdzę, że potrzebujemy włączyć Uromathię w skład nowego imperium od samego początku. Myślę też, że musimy zrobić to w taki sposób, by wszyscy mieli jasność, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by spełnić żądania Chavy. Nie możemy pozwolić sobie na wykluczenie Uromathii, która tkwiłaby osamotniona niczym ropiejący wrzód i którą nadal musielibyśmy się przejmować, mając przed sobą perspektywę ciężkiej wojny z Arkanianami. Skoro więc musimy wcielić Uromathię do imperium musimy to zrobić tak, by Chava nigdy nie mógł wysunąć choć pół zastrzeżenia, że nie poszliśmy z nim na kompromis.

–Ronnel z kolei – ciągnął cesarz – widzi tę sytuację inaczej. Według niego Konklawe już zatwierdziło Zjednoczenie oraz mój wybór na cesarza Sharony. Uważa też, że poradzilibyśmy sobie bez Uromathii. Podoba mu się ta wizja, bo nie chce, by Chava zbliżył się choć na krok do przyszłych ośrodków decyzyjnych. Co więcej – informacja o tym, że Arkanianie zaczęli z nami rozmawiać pozwala Ronnelowi myśleć, że nie musimy się spieszyć tak, jak myśleliśmy, zwołując Konklawe. W skrócie – w punktach, w których ja chcę pracować z Uromathią, on chciałby pracować bez niej. I uda mu się, jeśli tylko uniemożliwi zebranie większości nadzwyczajnej, potrzebnej mi do przegłosowania poprawki do Aktu.

Uśmiechnął się do córki, lecz w cesarskim spojrzeniu krył się mrok.

–Widzisz sama Drin, że Ronnel stara się mi przeszkodzić wyłącznie dlatego, że jest moim przyjacielem.

Andrin powoli skinęła głową. Jej młode spojrzenie pełne było chmur, tańczyły w nim cienie. Zindel zrozumiał, że Zobaczyła to, co Widział i on. Żadne z nich nie doznało dostatecznie wyraźnego Przebłysku – jeszcze nie – i pod wieloma względami stan ten okazywał się bardziej męczący i przynosił im ze sobą większą grozę, niż gdyby już znali całą prawdę. Dzięki tysiącleciom doświadczeń, członkowie dynastii Calirath dowiedzieli się, że im bardziej wydarzenia oglądane w Przebłyskach dotyczyły osobiście Utalentowanych i im boleśniej miały go dotknąć tym wizje były mniej szczegółowe. To właśnie przepelniało Zindela chan Caliratha strachem. W obrazach pełnych chaosu, jakie przychodziły do niego i Andrin, dało się bowiem odczuć wiele straty i bólu.

Ronnel Karone nie podzielał jednak Talentu Calirathów. Nie mógł więc wiedzieć tego, czego w tej jednej chwili dowiedziała się Andrin.

–Rozumiem papo – powiedziała cicho i złożyła swą smukłą dłoń na jego rękę. – Dziękuję, że mi to wytłumaczyłeś.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Na tle jasnego i pięknego poranka, chmurny nastrój Sarra Kliana wydawał się jeszcze bardziej paskudny.

Zeszłej nocy przybyły ostatnie oddziały posiłków dwutysięcznika Harshu i Klian musiał przyznać, że same ich rozmiary robiły duże wrażenie. Mul Gurthakowi udało się zgromadzić nawet większe siły niż zapowiadał we wstępnych rozkazach dla Kliana. Nie tylko zdołał przysłać im dwa pełne kły Sił Powietrznych, lecz także dorzucił do tego dodatkowy, składający się z czterech, rzadkich żółtych smoków lot. Tego się Klian nic spodziewał.

Smoki bojowe Sił Powietrznych organizowano w loty i napady na podstawie ich oddechu. Smoki czerwone (tradycyjne kolory pierwszych mythalańskich smoków wojennych miały niewiele wspólnego z barwami współczesnych zwierząt, lecz używano ich nadal) ziały ogniem, czy też – co było nieco dokładniejszym opisem – pluły ognistymi kulami. Hodowano je jako zwierzęta szturmowe ogólnego zastosowania, choć czas, jakiego kula ognia potrzebowała by dotrzeć do celu sprawiał, że bestie te nie nadawały się zbyt do walk powietrznych.

Czarne smoki z kolei miały błyskawice. To je właśnie zaprojektowano by wypełnić lukę w uzbrojeniu czerwonych, która nie pozwalała im skutecznie walczyć w podniebnych pojedynkach smoków. Siła ataku smoka czarnego nie była tak potężna jak jego czerwonych kuzynów, lecz była za to o wiele bardziej skoncentrowana, a co ważniejsze czarny smok uderzał dosłownie „błyskawicznie”, co sprawiało, że jakiegokolwiek uniki nie miały sensu, przeciwnie niż w walce ze smokami czerwonymi.

Oba rodzaje smoczego uzbrojenia nadawały się też oczywiście świetnie do rażenia celów naziemnych. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał znaleźć się na drodze smoka zięjącego ogniem czy ciskającego błyskawice. Od ostatniego razu, gdy ludzie mierzyli się ze smokami minęło dwieście lat. Jednak jeszcze straszniejsze – „koszmarne” jak często myślał o nich Klian – od czerwonych i czarnych zwierząt były bestie koloru żółtego.

Każda niemal organizacja pacyfistyczna Arkany – jak również zaskakująco liczna grupa oficerów Sił Powietrznych – starała się regularnie o oficjalny zakaz hodowania żółtych smoków, na podobnej zasadzie, na jakiej w chwili zawiązania Unii zakazano stosowania broni masowego rażenia. Przeciwnicy żółtych smoków nie mogli jak dotąd poszczycić się całkowitym sukcesem, ale liczba tych zwierząt w aktywnej służbie zmalała drastycznie. Po prostu nie rodziło się ich już tyle, co dawniej i Klian nie spodziewał się nawet, że w Łańcuchu Lamia znajdzie się choć jedno zwierzę tego

gatunku. Nie wyobrażał też sobie, dlaczego zdecydowano się je tu przysłać, ani w jakich sytuacjach zamierzało ich użyć dowództwo bądź ktokolwiek inny.

Żółte smoki ziały trującymi gazami.

Ich zasięg był najmniejszy spośród całej smoczej rodziny, ale były mimo to najbardziej zabójczymi jej przedstawicielami. Ich oddech oddziaływał na największym obszarze ze wszystkich smoczycy broni i bez masek gazowych oraz solidnego treningu w ich stosowaniu nie można się było przed nim ochronić.

Smoki te rodziły się w kilku odmianach. Najgroźniejsza z nich ziała tym, co Uzdrowiciele nazywali neurotoksynami i niosła pewną śmierć. Inne dysponowały gazami w rodzaju chloru, który także był szalenie niebezpieczny, choć przy sprzyjającym wietrze, lub przy wystarczająco szybkiej ucieczce z objętego atakiem obszaru istniały jakieś szanse przeżycia. Neurotoksyny zabijały przy wchłonięciu najmniejszej nawet ich ilości. Krążyły plotki, według których Mythalanie opracowali podczas Wojen Portalowych neurotoksyny, działające skutecznie już w zetknięciu ze skórą, ale jeżeli nawet była to prawda, to szczęśliwie ten ich rodzaj nie został nigdy użyty w warunkach bojowych. Niemniej żółte smoki i tak wywoływały u Kliana gęsią skórę.

Zwłaszcza teraz, kiedy stał na palisadzie Fortu Rycharn i patrzył na rojące się od smoków lądowisko i dalej, na długie szeregi płóciennych namiotów. Według najświeższych raportów, Harshu dysponował dwoma regimentami kawalerii i ośmioma batalionami piechoty. Do tego miał pod swoimi rozkazami jednostki wsparcia artyleryjskiego. Oznaczało to, że dowodził ponad dwoma tysiącami kawalerzystów i niemal dziewięcioma tysiącami piechurów. Dochodzili do tego kanonierzy, personel latający i specjalne jednostki inżynieryjne. W sumie Harshu miał pod sobą ponad czternaście tysięcy ludzi – czyli pełną dywizję. Klian przyglądał się tym siłom i gorzko pomyślał, że gdyby sam od początku dysponował równie mocnymi argumentami, sytuacja od dawna byłaby już opanowana.

„Zakładając, że nie zmarnowałbyś tych chłopców, tak jak zmarnowałeś kompanię C” – napomniał się samokrytycznie.

Słyszał łopoczącą, turkoczącą na rześkim wietrze flagę. Poczul ochotę, by odwrócić się i spojrzeć na centralny budynek fortu. Nie drgnął jednak. Nie było sensu. I tak usłyszał już wszystko, co powinien.

–Panowie – oznajmił dwie godziny temu swoim oficerom dwutysięcznik Harshu. – Ostatnie informacje przekazane mi przez Mistrza Skirvona wskazują jasno, że druga strona nie prowadzi z nami rozmów w dobrej wierze. Nasz dyplomata nabrał takich podejrzeń i upewnił się, co do ich słuszności na przestrzeni ostatnich kilku tygodni i doniósł o tym dwutysięcznikowi mul Gurthakowi. Co więcej – nasz wywiad

potwierdził, że stacjonujący przy portalu obcy oczekują na przybycie znacznych posiłków w przeciągu następnych sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu dni.

Dowódca urwał i Klian spochmurniał w jednej chwili. Pięcsetnik rozejrzał się dokoła, powiódł wzrokiem po milczących twarzach. Tak bardzo chciał, by ktokolwiek się odezwał. Nikt tego jednak nie zrobił. Zacerpnął więc głęboko powietrza i sam podniósł rękę.

–Tak, pięcsetniku Klian – zachęcił Harshu.

–Przepraszam dwutysięczniku, ale co to według mistrza Skirvona znaczy, że nie negocjują w dobrej wierze? Po co mieliby w takim razie w ogóle podejmować rozmowy?

–Nie zażądali wstrzymania ruchów wojsk – zauważył Harshu. – Oczywiście nie zrobili tego, ponieważ uważają – lub mają nadzieję – że są w stanie otrzymać posiłki wcześniej niż my. Niestety dla nich samych, są w błędzie. Mistrz Skirvon ocenia, że ich głównym motywem jest gra na czas, który ma im pozwolić na wprowadzenie do gry świeżych, wzmocnionych sił. Żadną miarą natomiast nie chcą rozwiązać powstałych między naszymi cywilizacjami różnic drogą pokojową. Cały czas utrzymują, że pierwsze starcie wynikło wyłącznie z naszej winy i odmawiają, jakichkolwiek prób podjęcia rozmów na temat przyszłości skupiska portali. Mistrz Skirvon, który czego chyba nie muszę nikomu z obecnych przypominać, ma w rozmowach z nimi największe osobiste doświadczenie – uważa, że ich celem jest zatrzymanie dla siebie na stałe Wrót Piekieł. To czy zamierzają posunąć się dalej poza skupisko, czyli głębiej w nasze terytorium na tym etapie nie jest jeszcze jasne, aczkolwiek nie możemy wykluczać i takiej ewentualności.

Klian zawahał się. Nie wiedział czy powinien przypomnieć, iż Skirvon także nie domagał się wstrzymania ruchów wojsk na czas negocjacji. Nie odezwał się jednak. Harshu to wiedział i Klian nie miał żadnych wątpliwości, że Skirvon wstrzymywał się z tym, by zobaczyć czy Sharonianie zaproponują podobne rozwiązanie sami, co miało stanowić sprawdzian ich szczerości.

–W oparciu o raporty mistrza Skirvona – ciągnął Harshu – dwutysięcznik mul Gurthak upoważnił mnie do przeprowadzenia wymierzonych w przeciwnika działań prewencyjnych, o ile rzecz jasna, sytuacja w mojej ocenie będzie tego rodzaju akcji wymagać – dwutysięcznik urwał na chwilę. Klian miał wrażenie, że serce chce mu wyskoczyć z piersi. Wtedy spokojnym, zrównoważonym tonem odezwał się ponownie dowódca. – Nie otrzymaliśmy wprawdzie rozkazu do ataku, ale mul Gurthak znajduje się jedenaście dni smokiem stąd. Nie może więc oceniać sytuacji równie dobrze jak my tu w Forcie Rycharn i sam zdaje sobie z tego sprawę.

Powiódł wzrokiem po napiętych twarzach oficerów. Spojrzeniem rzucał im

wyzwanie. Czekał, by nie zgodzili się z czymkolwiek, co przed chwilą powiedział. Nikt się jednak nie odezwał. Nawet Klian milczał.

–Na chwilę obecną dysponujemy poważną, przytłaczającą wręcz przewagą. Wszystkie nasze dane wywiadowcze potwierdzają, że obcy mogą wystawić jedynie równowartość naszego niepełnego regimentu, a co więcej nie są świadomi istnienia naszych sił powietrznych. Równie znaczną przewagę mamy też, jeśli chodzi o mobilność naszych oddziałów. Biorąc pod uwagę fakt, że Sharonianie czekają na poważne wzmocnienia sądzę, że nie mamy wyboru. Musimy zadać im szybki i zdecydowany cios. Atakujemy.

Klian zacisnął zęby. Słów, które przed chwilą padły obawiał się od samego początku odprawy. Harshu mówił dalej.

–Oczywiście naszym bezpośrednim celem jest zapewnienie Arkanie kontroli nad Wrotami Piekieł i znajdującym się w tym wszechświecie skupiskiem portali – wyjaśnił. – Dwutysięcznik mul Gurthak wyraził się w tej sprawie jasno. Unii nie stać na to, by pozostawić tak duże skupisko w rękach Sharony. Zwłaszcza nie w sytuacji, kiedy istnieją podejrzenia, że obcy mogą planować atak na nasze pozostałe terytoria. Jednakże, choć sam atak i przejście kontroli nad Wrotami Piekieł nie powinien – biorąc pod uwagę dysproporcje sił – stanowić poważniejszego problemu, to zupełnie inaczej może się mieć sprawa z utrzymaniem tego wszechświata. Tym bardziej, że przeciwnik spodziewa się posiłków. W prostych słowach, potrzeba nam przestrzeni buforowej na organizację obrony, zwłaszcza, że wejściowy portal Sharonian jest bardzo duży. Nie uda nam się go obronić siłami, które mamy obecnie do dyspozycji.

–W związku z powyższym – ciągnął – postanowiłem, że pójdziemy dalej, poza Wrota Piekieł. Dzięki ostatniemu odkryciu magistra Halathyna możemy korzystać z detektorów portali o niezrównanym zasięgu i czułości. W razie potrzeby jesteśmy w stanie zlokalizować i zabezpieczyć wszystkie portale w danym wszechświecie o wiele szybciej niż do tej pory. Naszym celem będzie dotarcie jak najdalej tylko się da. Optymalnie jak myślę, powinniśmy znaleźć inny portal o przepustowości naszego portalu na bagnach, który stałby się dla obcych wąskim gardłem, miejscem łatwym do utrzymania w obliczu nieuniknionego kontrataku sił Sharony. Jeżeli to się nie uda, chciałbym abyśmy opanowali teren na tyle rozległy by nasze siły powietrzne mogły bezustannie nękać postępującego wroga i niszczyć jego linie zaopatrzeniowe. Istotne jest, byśmy zyskali tyle czasu, ile dowództwo potrzebuje by wysłać nam kolejne posiłki. Czekając beczynnie we Wrotach Piekieł nie uda nam się tego osiągnąć.

Nadal nikt się nie odzywał. Dwutysięcznik powoli pokręcił głową.

–Zdaję sobie sprawę, że przeniesienie działań wojennych poza Wrota Piekieł będzie jednoznacznym naruszeniem integralności terytorium Sharony, co oczywiście równa się jawnemu wypowiedzeniu wojny. A jednak panowie, nie widzę sensu w

oszukiwaniu się. Wypowiedzeniem wojny będzie już atak na Wrota Piekieł.

Ostatnie zdanie wypowiedział bez zmrużenia oczu, wciąż tym samym, beznamiętnym tonem.

–Nie podjąłem tej decyzji z lekkim sercem. Niemniej, jak zauważył dwutysięcznik mul Gurthak, pozostawienie Wrót Piekieł i przyczółka na naszym terytorium w rękach Sharonian stanowi ryzyko dla bezpieczeństwa i żywotnych interesów Unii Arkany. Jesteśmy żołnierzami i naszym obowiązkiem jest strzec tych interesów i to właśnie uczynimy. A skoro już musimy zaatakować, to zbrodnią byłoby niedotrzymanie potem reguł strategii wojennej. Dyplomaci będą mogli dyskutować o odpowiedzialności i ewentualnym przekazywaniu sobie wszechświatów później. Kiedy już ucichną odgłosy bitew. My musimy zadbać o to, by usiedli do stołu mając w rękach zwycięską kartę. Czy to jasne?

Wszyscy obecni skinęli. Skinął też sam Harshu.

–Dobrze – powiedział i wyszczerzył zęby w złowrogim uśmiechu.

–Jak wszyscy wiemy, największą przewagą Sharonian są ich Głosy. Szczerze mówiąc nie sądzę, by byli w istocie tak bardzo groźni jak niektórzy z nas sugerują. Wiadomości, którymi się wymieniają nie mają znaczenia, o ile nie będą mieć wojska, które byłoby w stanie nas powstrzymać. Niemniej, mogę się mylić, a nawet jeśli mam rację ukrywanie przed wrogiem ruchów własnych wojsk jest jedną z podstawowych zasad na wojnie. Przyznaję, że mimo, iż długo zastanawiałem się nad tym problemem nie wymyśliłem żadnego sensownego rozwiązania, choć z drugiej strony nie tylko ja nie dałem mu rady. Natomiast pięćsetnik Neshok zaproponował rozwiązanie, które może okazać się skuteczne. Nie jest ono oczywiście pozbawione wad – oficer spochmurniał – i jest bardziej skomplikowane niżbym sobie tego życzył. Nie żyjemy jednak w idealnym świecie, a – jak powiedziałem – to może się udać. Pięćsetniku!

Harshu zachęcił oficera gestem ręki. Wywiadowca wstał i przedstawił swój plan. Słuchając go Klian od razu pojął, dlaczego dwutysięcznik nie był zadowolony.

Teraz, stojąc na palisadzie wśród tego pięknego poranka czuł się... brudny. Brudny i przerażony. Nie miał zastrzeżeń, co do przedstawionej przez Harshu analizy sytuacji. Nie wątpił też, że pierwsze etapy zaplanowanej przez dowódcę operacji zwińczy sukces.

Ale co potem? Co się stanie, gdy Sharonianie dowiedzą się, że po raz kolejny zostali zaatakowani? Tym razem już żaden Arkanianin nie będzie mógł tłumaczyć, że było to tylko „nieporozumienie”.

„Neshok uparcie nazywa obcych „barbarzyńcami” – pomyślał bliski rozpaczy pięćsetnik. – „Harshu używa słów o wiele ostrożniej, ale tak naprawdę myśli

dokładnie to samo. Nie wiem, do jakiego stopnia wynika to z tego, że takimi informacjami karmi go w swoich raportach Neshok, a ile jest w tym jego osobistego przekonania. Ale ja przecież poznałem Shaylar i jej męża. Są, jacy są, lecz z pewnością nie są barbarzyńcami, a to, co zrobili z kompanią C dobitnie świadczy o tym, iż wojna z nimi – mimo że nie posługują się magią – nie będzie łatwa. Czy tylko ja to dostrzegam?"

Na to pytanie nie znajdował odpowiedzi. Nie znajdował takiej, która nie przepełniałaby go panicznym lękiem.

* * *

Słońce przetaczało się powoli nad ich głowami. Żadne z nich nie próbowało nawet podłączyć się do prowadzonej na żywo, telepatycznej transmisji z burzliwej sesji odbywającego się w Tajwanie Konklawe. Kiedy zbliżyło się południe służba podarowana im przez króla Fyysela, przyniosła im na plażę pyszne drugie śniadanie. Z wysiłkiem odegrali więc kolejne przedstawienie i zjedli, choć nie mieli najmniejszej ochoty.

–Dyskutują naprawdę zaciekle – oznajmił Dalisar Tharsayl, szef przysłanych przez Fyysela ludzi patrząc jak skubią owoce. – Cesarz Farnalii krzyczał o „wymuszeniach” i „szantażach” dokonywanych przez Chavę. Król Hinorei odpowiedział zarzucając Ternathii „zbrodnie przeciwko ludzkości”, które miały miejsce dwa tysiące lat temu i zapytał Ronnela, dlaczego tak chętnie chce wsadzić na tron Sharony swego przyjaciela Zindela, ale tak usilnie sprzeciwia się temu, by w „narzucanej światu przemocą” dynastii mieli swój udział Uromathianie.

Pokręcił głową. Na jego twarzy malował się gniew, troska i zdziwienie. Shalassar spojrziała mu w oczy.

–A spodziewałeś się, że będzie inaczej? – spytała. Pokręcił głową raz jeszcze. Tym razem bardziej energicznie.

–Nie proszę pani – przyznał. – Już jakiś czas temu przestałem spodziewać się po ludziach jakichkolwiek racjonalnych zachowań i nie wierzyłem, że zmieni się to nagle akurat teraz.

Starożytne uprzedzenia i resentymenty w połączeniu z oportunistycznym i żądzą władzy, wykluczają choćby cień racjonalności. Jedyne, co miało szansę przetrwać to chaos nieuporządkowanych, gwałtownych emocji.

Shalassar zaskoczyła sama siebie wybuchem ponurego śmiechu. On także się uśmiechnął, po czym lekko się jej ukłonił.

–Debata jeszcze trwa – powiedział – ale sądzę, że powoli zmierza ku końcowi. Nasz

władca przemawiał już kilkakrotnie a przecież wszyscy chyba na tym świecie wiedzą, z jaką mocą król Fyysel – i wszyscy jego poddani – nienawidzi i gardzi wszystkim, co sobą reprezentuje Chava. Mimo to mówił powoli, spokojnie i z wielką mocą. Mówił, że powinniśmy zaakceptować uromathiańską poprawkę do Aktu Zjednoczenia. Tym, którzy chcą za blokować jej przyjęcie powiedział, że z jednej strony chcą uczynić Zindela z Ternathii cesarzem Sharony, a z drugiej zwykłym figurantem i zapytał, czy naprawdę chcą zainaugurować jego rządy takim wyrazem braku zaufania do jego zdolności decyzyjnych. Pytał jak będą mogli zaufać innym jego decyzjom, skoro nie zgadzają się już z tą jedną – dotyczącą małżeństwa jego własnego syna.

Thaminar nie potrafił ukryć wyraźnego w swym spojrzeniu zaskoczenia. Tharsayl uśmiechnął się krzywo.

–Nie powiedziałbym, że wygłosił ten argument w charakterze żartu, panie Kolmayr – powiedział. – Przecież sama myśl o tym, że jego dzieci będą musiały pewnego dnia pokłonić się przed Chawą Busarem, nawet przy założeniu, że potomek Janakiego będzie jego wnukiem, musi spędzać Zindelowi sen z oczu, ale – uśmiech znikł z twarzy Tharsala – mimo to postanowił się na to zgodzić. Wierście mi – powiódł wzrokiem po obojgu – Akt Zjednoczenia zostanie przyjęty wraz z poprawką. Król Fyysel i cesarz Zindel nie spoczną, póki Konklawe nie powoła rządu światowego, zdolnego do prowadzenia wojny z wrogiem z zewnątrz. Tak się właśnie stanie i dusza waszej córki zostanie pomszczona.

Oczy Shalassar zapłonęły. Thaminar mocno uścisnął jej dłoń.

–Dziękuję – powiedziała zabierając rękę z uścisku męża. Sługa króla Fyysela uklonił się dwornie i odszedł nakazując reszcie służących, by poszli za nim. Odeszli zabierając niedojedzone resztki poczęstunku.

* * *

–Panie i panowie delegaci, członkowie Konklawe, proszę o uwagę.

Głos Orema Limany brzmiał zmęczeniem, lecz był też mocny i czysty. W wielkiej sali Kancelarii Cesarza Garina zapadła cisza. Nie stało się to od razu, ale dość szybko i Davir Perthis uśmiechnął się w napięciu do Tarlina Bolsha. Obaj siedzieli na stanowisku USMS znajdującym się wysoko nad miejscami dla delegatów. Częścią umysłu nasłuchiwał telepatycznego przekazu nadawanego przez Daria Elivatha, ale znacznie uważniej śledził Konklawe na żywo.

„A więc to wszystko zmierzało właśnie ku temu” – pomyślał. Wszystko co zrobił. Wszystkie chwile, w których naginał swe własne poczucie etyki zawodowej. Każda z dyskusji delegatów, każda minuta negocjacji, wzajemnego przekonywania się i gróźb. Każde słowo wypowiedziane po to, by zastraszyć przeciwnika. Wszystko to skupiło

się w tej jednej chwili i miało rozstrzygnąć się w tym jednym, jedynym głosowaniu.

Nikt teraz nie był w stanie przewidzieć, czy Konklawe przyjmie poprawkę do Aktu Zjednoczenia.

„Bo kto mógłby przypuszczać, że Ronnel Karone tak zajadle będzie obstawać przeciwko oczywistym planom Zindela?” – przemknęło mu przez głowę.

Główny Głos pokręcił głową na myśl o tym, jak dziwnymi drogami może kroczyć polityka i jak bardzo może go to nadal zaskakiwać mimo wieloletniego doświadczenia. Spektakl, którego główny bohater – jeden z najbliższych sprzymierzeńców Ternathii – zmagał się do ostatniej kropli krwi o to, by uniemożliwić realizację planu swojego cesarskiego sojusznika, przeszedłby do historii i trafił na karty podręczników nawet gdyby nie chodziło o tak poważną sprawę jak ta.

–Jak myślisz? – zapytał szeptem Bolsha.

–Nie myślę – odpowiedział szef działu międzynarodowego kątem ust, nie odrywając wzroku od Limany. – Nie myślę i nie mam zamiaru bawić się w zgadywanki. Nawet mnie nie pytaj. Moim zdaniem do ostatniej chwili sprawa nie jest rozstrzygnięta.

–Bardzo cenna analiza – zakpił Perthis.

–Wybacz – mruknął Bolsh w odpowiedzi – ale jeśli chcesz przepowiedni w takiej sprawie, to wynajmij sobie Caliratha.

–A... – Perthis chciał powiedzieć coś jeszcze, ale umilkł. W sali zapadła cisza tak głęboka, że aż raniła uszy obecnych.

–Panie i panowie delegaci, członkowie Konklawe – powtórzył wśród martwego milczenia Limana. Głosy zostały podliczone. Panie przewodniczący Kinshe?

Halidar Kinshe, przewodniczący Komisji Unifikacyjnej wstał z miejsca. W dłoni trzymał plik dokumentów.

–Panie i panowie – powiedział – Konklawe głosowało nad poprawką paragrafu trzeciego w artykule drugim, przyjętego uprzednio tekstu Aktu Zjednoczenia, polegającą na dopisaniu następującego punktu...

Spojrzał na trzymaną w rękę kartkę i powoli, wyraźnie odczytał tekst, dając Głosom każdej z delegacji czas potrzebny na przetłumaczenie swych słów.

–Artykuł drugi, paragraf trzeci, punkt czternasty: Postanawia się, że następca Połączonych Tronów Imperium Sharony, w przeciągu trzech miesięcy od ratyfikacji niniejszego Aktu Zjednoczenia przez wszystkie Strony, poślubi Księżniczkę Koronną

Uromathii oraz że Akt Małżeństwa, o którym mowa, i wynikające z niego prawa dziedziczenia po wsze czasy unieważni jakiegokolwiek roszczenia innych Osób, Dynastii czy Narodów do Korony Imperium Sharony.

Urwał i odchrząknął.

–Podaję wyniki głosowania. Za poprawką polegającą na dodaniu powyższego punktu głosowało czterystu sześćdziesięciu trzech delegatów, przeciwko głosowało dwustu trzydziestu siedmiu. Poprawka została przyjęta – dokończył i głęboko odetchnął.

*** * ***

Słońce nadal toczyło się spokojnie po niebie. O tej porze zaczęło już chylić się ku horyzontowi, oblewając zachodnią część nieba wspaniałymi barwami. Dzień zamieniał się w wieczór. Od wody powiały pierwsze chłodniejsze podmuchy wiatru. Wtedy ponownie pojawił się Tharsayl. Szedł po plaży w luźnej, białej szacie, po której w mgnieniu oka można było rozpoznać w nim królewskiego sługę. Zbliżył się do nich i głęboko uklonił.

–Już po wszystkim – oznajmił cicho.

Thaminar poczuł jak Shalassar zabiło mocniej serce. Oboje popatrzyli Tharsaylowi w oczy, bardziej niż zaniepokojeni tym, co mogli w nich zobaczyć. Sylwetka sługi odcinała się na tle złotego o zachodzie nieba. Wyprostował się nad nimi i odpowiedział spojrzeniem.

–Poprawka została przyjęta. Uzyskała o jeden głos więcej niż to było konieczne. Uromathia, zgodnie z ustaleniami, ratyfikowała Akt – powiedział spokojnie. – Mamy nowego cesarza: Zindela chan Caliratha. Zindela XXIV z Ternathii... od dziś Zindela Pierwszego z Sharony.

Thaminar głośno wypuścił wstrzymywane dotąd powietrze. Aż do teraz nie zdawał sobie sprawy jak bardzo się w istocie bał. Mimo tego wszystkiego, co powtarzał przez cały czas Shalassar, mimo wszystkich logicznych argumentów i słów rozsądku bał się do ostatniej chwili...

–Matko Martheo – szepnął czując przez małżeńską więź, bijącą od żony ulgę – dzięki ci za tę łaskę.

Ostatni promień światła na sekundę zajaśniał im w oczach i zaraz potem słońce osunęło się za krawędź świata. Thaminar zdał sobie sprawę, że ich długie oczekiwanie dobiegło wreszcie swego kresu.

–Pozwól, że zaprowadzę cię do domu, kochana – łagodnym głosem zaprosił

Shalassar. – Robi się chłodno i jesteś zmęczona.

Odwróciła się w jego ramionach, spojrzała mu głęboko w oczy i wtedy na ich twarze wypłynęły prawdziwe, szczerze uśmiechy. Pierwsze uśmiechy od tamtej strasznej chwili.

–Tobie też musi być zimno – powiedziała. – Poza tym... zgłodniałam, naprawdę.

Powiedziała to tak, jakby była prawdziwie zaskoczona. Thaminar przytulił ją bardzo mocno, prawie zapłakał czując ogromną ulgę. Wstał i pomógł żonie podnieść się z piasku. Poszli powoli w stronę domu, który tworzyli razem od tylu lat.

Gdy mijali pomost ambasady rozległ się dźwięk dzwonu. Zatrzymali się zdumieni. Shalassar ścisnęła mocniej, przepraszając dłoń męża i pobiegła na pomost. Thaminar i Tharsayl ruszyli za nią wolniej i zatrzymali się po chwili.

To był delfin. Światła było akurat tyle, że zdołali dostrzec jego gładką, lśniącą skórę. Połyskiwała wilgocią w miejscach, w których elegancki, zgrabny pysk i tułów zwierzęcia wystawały spod wody. Shalassar uklękła przy gościu i złożyła dłoń na jego głowie, tuż za wielkim, wilgotnym okiem.

Thaminar od zawsze miał wrażenie, że te oczy śledziły jego i Shalassar z ogromną, niezmierną ciekawością. Było tak zawsze, gdy któreś z tych pięknych i tajemniczych stworzeń przybywało w pobliże pomostu. Tym razem w spojrzeniu delfina dostrzegł jednak coś jeszcze. Zesztywniał i w tej samej chwili – wyraźnie zaskoczona – wstrzymała oddech Shalassar.

Delfin wydał z siebie ostry, lecz śpiewny dźwięk, który w jakiś niewytłumaczalny sposób zabrzmiał... radością. Thaminar nie słyszał tego, co delfiny przekazywały jego żonie, ale czasem odbierał niewyraźne echa tych rozmów dzięki małżeńskiej więzi. Teraz zwierzę wydawało się ucieszone i pogodne. Nie rozumiał tego. Delfin został z nimi jeszcze przez kilka chwil, po czym odpłynął od pomostu, skinął głową w kierunku mężczyzn, wydał z siebie dziwny, bulgocący dźwięk i zniknął pod wodą.

Po chwili wynurzyła się z wody jego płetwa grzbietowa. Cięła wodę, ciągnąc za sobą długi szlak w kształcie litery V. Wreszcie woda eksplodowała fontanną i smukłe ciało wystrzeliło w powietrze. Kropelki wody wyleciały tak wysoko w górę, że zaśniły w nich promyki niewidocznego już słońca i spadły z powrotem niczym deszcz topazów i rubinów. Delfin wykonał parę stóp nad wodą pełne salto, wbił się w ciemną toń i zniknął na dobre.

Shalassar wyprostowała się powoli i odwróciła od fal. Thaminar wyczuł przez więź jej zdziwienie.

–Chciały wiedzieć czy zapadła już decyzja – wyjaśniła. – Chciały sprawdzić czy już

wiadomo, kto został naszym przywódcą.

–Co?

Thaminar nie był pewien czy dobrze usłyszał. Słowa żony brzmiały zbyt nedorzecznie. Przez wszystkie lata jej służby jako ambasadora, delfiny nigdy, ani razu nie wyraziły zainteresowania polityką ludzi. A już na pewno nie w taki sposób.

Kobieta przeszła przez pomost, stanęła przy mężu i objęła go ramieniem. Stała tak z głową opartą o jego ramię i zapatrzyła się w miejsce, w którym zniknął emisariusz z podwodnego świata.

–W jakiś sposób dowiedziały się, że dziś dokonywaliśmy wyboru – powiedziała cicho. – Tylko Marthea wie, skąd. Dziś uwierzyła bym, że to Ona sama im powiedziała. W każdym razie wiedziały o tym i jeden z nich przyszedł sprawdzić, jaki jest wynik. Tego posłańca nigdy wcześniej nie widziałam, ale miałam wrażenie, że jest w swoim stadzie kimś bardzo ważnym. Pytał z głębokim niepokojem.

–A jak zareagował, gdy już mu powiedziałaś? – spytał Tharsayl niemal z czcią w głosie i na twarz Shalassar wypłynął powoli błogi uśmiech.

–Nic nie powiedział. Odebrałam jednak silną falę radości – takiej radości, jakiej nie czułam u delfinów nigdy przedtem. Nic z tego nie rozumiem. Możesz przekazać królowi, że nie rozumiem, co tu zaszło, ale że delfiny są... zadowolone, bardzo zadowolone z tego, że wybraliśmy na swego przywódcę Zindela chan Caliratha. Miałam wrażenie...

Urwała i przygryzła wargę.

–Pani? – zachęcił delikatnie Tharsayl i Shalassar spojrzała mu w oczy. Dokoła ciemniał wieczór.

–Miałam wrażenie, że ten ich posłaniec podjął jakąś decyzję. Bardzo poważną, istotną decyzję. Bardzo ciężko jest ujmować myśli delfinów w ludzkie słowa i pojęcia, ale jestem pewna, że zapadła jakaś decyzja. Krytyczna. Nie wiem tylko czy kiedykolwiek nam powiedzą...

Wzruszyła ramionami i bezradnie rozłożyła ręce.

–Być może nigdy się nie dowiemy. Niemniej to bardzo ciekawe, że delfiny zwróciły uwagę na nasze sprawy polityczne. Nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło.

–Nigdy? - spytał z naciskiem, prawie ostro Tharsayl.

–Nigdy – pokręciła głową Shalassar. – Mieszkańcy mórz bardzo różnią się od nas –

stworzeń lądowych. Wielkie wieloryby są jeszcze bardziej obojętne od orek i delfinów, które z natury są bardzo ciekawskie. Mimo to, nawet delfiny, tak lubujące się we wspólnych z ludźmi zabawach w wodzie, stworzenia niemal zawsze pomagające pechowym pływakom, nigdy nie wykazywały zainteresowania tym, jak urządzamy swoje własne sprawy. Jeżeli już, to ciekawiło je wyłącznie to, co mogło wpłynąć na ich los i *vice versa*.

Tharsayl zmarszczył czoło i spojrzał w ciemną już wodę, tak samo wzburzoną jak jego wzrok.

–Książę koronny Danith opowiedział ojcu po swoim powrocie stąd niesamowitą historię, pani. O tym, co wydarzyło się tego dnia, gdy poznaliście prawdę o wydarzeniach z polany.

Oboje małżonkowie spojrzeli ciekawie.

–Gdy byliście państwo połączeni z Głosem Zarządu Portali... – sługa zawahał się, wyraźnie starając się dobrać właściwe słowa. – Zebrały się tu delfiny, pływały w kręgu razem z wielorybami. One... reagowały na wiadomości.

–Reagowały? – powtórzyła Shalassar. – W jaki sposób? Na co dokładnie?

–Była taka chwila, taki straszny moment, w którym krzyknęłaś, pani – powiedział Tharsayl. – Właśnie wtedy morze ożyło. Zwierzęta wyskoczyły z wody. Wszystkie. Jego Wysokość opowiadał, że wydały z siebie nieziemski, przeraźliwy dźwięk. Odgłos wściekłości.

Wstrząśnięta Shalassar otworzyła szeroko oczy. Patrzyła na sługę. Tharsayl powoli pokręcił głową.

–Poseł Kinshe twierdził, że pani ból był tak wielki, że przelał się do ich umysłów. Były wściekle. Potwierdza to i książę i poseł.

–Ale dlaczego? – szepnęła Shalassar i spojrzała w oczy równie zdumionego Thaminara. – Rozumiałabym żalobę. Większość z posłów, którzy do nas przyплыwali znało Shaylar. Obserwowali jak ona dorasta. Wielu z nich – głównie delfiny i orki – bawiło się z nią. Ale wściekłość? Gniew? Nigdy takich uczuć nie czułam od żadnego z nich – spojrzała zmieszana na Tharsayla. – Skąd oni wiedzieli, że to gniew?

–Nie wiem pani, ale obaj poczuli to samo. Dźwięk brzmiał wściekłością a gniew był tak silny, że poczuła go też pani Kinshe-Falis, która jest przecieź Utalentowanym Uzdrowicielem. Jeden ze śpiewających wielorybów wynurzył się cały, pani. Staął na ogonie i ryknął tak głośno, że zatrząsły się szyby w oknach.

Shalassar aż jęknęła i mocniej ścisnęła ramię Thaminara.

–Ale one się tak nie zachowują – zaprotestowała. – Po prostu nie.

Nikt się nie odezwał. Shalassar zadrżała. Zdjął ją nagły lęk, a dokoła coraz ciaśniejszym kręgiem zaciskała się noc.

–Chcę już do środka – powiedziała słabo.

Thaminar skinął głową i raz jeszcze objął ją ramieniem. Podtrzymał ją w drodze powrotnej. Dotarło do niego, że tak mocno nie wstrząsnęło nią nic od dnia, w którym wiadomość z Wrót Piekieł obróciła ich świat w ruinę.

Raz jeszcze rzucił okiem w ciemną toń. Rozległe połączenie morza spotykały się na horyzoncie z równie potężnym, ciemnym już w większości niebem. Tylko na samym zachodzie widać jeszcze było bladą poświatę. Tam – za wybrzeżami Ricathii – zniknęło słońce. Na wschodzie i nad ich głowami pojawiły się już gwiazdy.

Dlaczego śmierć Shaylar tak mocno poruszyła mieszkańców głębin? Dlaczego tak bardzo interesowały się dzisiejszym głosowaniem? Świat, który przez większą część jego życia wydawał się spokojny i przewidywalny, dzisiejszej nocy okazał się groźnym i zagadkowym miejscem. Gdzieś daleko stąd, pod innym niebem, inni Sharonianie znajdowali się bardzo blisko zupełnie innego, jeszcze potężniejszego niebezpieczeństwa, które czaiło się w zupełnie innym mroku.

„Matko Martheo” – z nagłym, niezrozumiałym nawet dla siebie zapalem zaczął się modlić – „miej ich w swej opiece. Miej pieczę nad nami wszystkimi...”

Wtedy właśnie dotarli do domu i jego gazowych lamp, które rozproszyły ciemności i załęcznione myśli, którym na ciemnym pomoście ulegli wszyscy troje. Zwykły gest, zamknięcie drzwi, przyniósł ze sobą posmak zbawienia i ratunku. Odgradzili się od zła kryjącego się gdzieś na zewnątrz – w nocy multiwersum.

Zaprowadził Shalassar do krzesła, nalał i rozdał trzy szklaneczki whiskey. Sączyli alkohol i cieszyli się bezpieczeństwem zamkniętych drzwi. Siedzieli w czterech ścianach, mieli światło lamp i ciepło wzajemnej bliskości. Znow wrócili myślami do niezwykłego zachowania i nieznanego planów zwierząt... nie wiedząc, czemu znow poczuli ukłucie strachu.

„Miej ich w swej opiece” – usłyszał we własnej głowie. – „Błagam, miej ich w swej opiece.”

*** * ***

–No cóż tysięcznikowi Toralk – odezwał się do dowódcy sił powietrznych dowodzący dwoma tysiącami Mayrkos Harshu, gdy pierwsze promienie popołudniowego słońca spadły na Fort Rycharn – Dajmy tym smokom trochę polatać.

Ciąg dalszy nastąpi...

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/